



# NORA

BESTSELLEROWA AUTORKA „NEW YORK TIMESA”

# ROBERTS

# W UKRYCIU

Czasami nie ma bezpiecznej kryjówki

# NORA ROBERTS

## W UKRYCIU

Przełożyła  
Danuta Śmierchalska



# Spis treści

## CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

## CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

## CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

Tytuł oryginału: *Shelter in Place*

Copyright © 2018 by Nora Roberts

Copyright for the Polish Edition © 2019 Edipresse Kolekcje Sp. z o.o.

Copyright for the translation © 2019 Danuta Śmierzchalska

Edipresse Kolekcje Sp. z o.o.

ul. Wiejska 19

00-480 Warszawa

Dyrektor Zarządzająca Segmentem Książek: Iga Rembiszewska

Senior Project Manager: Natalia Gowin

Produkcja: Klaudia Lis

Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska

Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska

Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51),

Beata Trochonowicz (tel. 22 584 25 73), Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)

Redakcja: Wiesława Borkowska

Korekta: Anna Parcheta, Anna Godlewska

Projekt okładki: James Sinclair

Biuro Obsługi Klienta

[www.hitsalonik.pl](http://www.hitsalonik.pl)

mail: [bok@edipresse.pl](mailto:bok@edipresse.pl)

tel.: 22 278 15 55

(pon.–pt. w godz. 8.00–17.00)

[facebook.com/edipresseksiazki](https://facebook.com/edipresseksiazki)

[facebook.com/pg/edipresseksiazki/shop](https://facebook.com/pg/edipresseksiazki/shop)

[instagram.com/edipresseksiazki](https://instagram.com/edipresseksiazki)

ISBN 978-83-8164-216-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyjątkowym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie [Zecer](#).

Pamięci mojej babki o ogniście rudych włosach



## CZEŚĆ PIERWSZA

# UTRACONA NIEWINNOŚĆ

Żadne zdobycze okupione winą nie wynagrodzą utraty owego wewnętrznego spokoju, który jest nieodłącznym towarzyszem niewinności i cnoty; ani też nie mogą zrównoważyć w najmniejszym nawet stopniu zła, niepokoju i trwogi, które poczucie winy zaszczepia w naszej piersi <sup>1</sup>.

Henry Fielding

# ROZDZIAŁ 1

**W** piątek 22 lipca 2005 roku Simone Knox kupiła dużą pomarańczową fantę, popcorn i żelki Swedish Fish. Ten wybór, tradycyjny zestaw na wieczór w kinie, zmienił jej życie i prawdopodobnie je uratował. Mimo to nigdy więcej nie sięgnęła po fantę.

Tymczasem teraz chciała jedynie usiąść w kinowej sali z dwiema najbliższymi przyjaciółkami i pogрузić się w ciemności. Ponieważ jej życie – obecnie oraz absolutnie do końca lata, a może na zawsze – było bezgranicznie beznadziejne. Chłopak, którego kochała, jedyny, z którym chodziła przez siedem miesięcy, dwa tygodnie i cztery dni, wyobrażając sobie, że razem spędzą zbliżający się ostatni rok szkoły – dłoń w dłoni, serce przy sercu – rzucił ją.

Esemezem.

*Nie tracę więcej czasu, bo muszę być z kimś, kto jest gotowy być ze mną całkowicie, a to nie jesteś ty, więc z nami koniec. Cześć.*

Przekonana, że nie mógł napisać tego serio, próbowała do niego zadzwonić, ale nie odbierał. Upokarzając się, wysłała mu trzy esemesy. Potem weszła na jego stronę w MySpace. Upokorzenie to zbyt słabe słowo na opisanie jej cierpienia.

*Wymieniłem stary WYBRAKOWANY model na seksowny nowy.*

*Precz z Simone!*

*Czas na Tiffany!*

*Pozbyłem się FRAJERKI i lato oraz ostatni rok spędzę z najseksowniejszą w klasie dziewczyną z rocznika 2006.*

Jego post, uzupełniony zdjęciami, zdążył już wywołać komentarze. Simone

była wystarczająco bystra, aby się domyślić, że każde kumplom napisać o niej coś złośliwego i podłego, ale to nie zmniejszyło jej bólu ani zażenowania.

Rozpaczała przez wiele dni. Pocięczała się słowami otuchy i słusznym gniewem dwóch najbliższych przyjaciółek. Wściekała się na docinki młodszej siostry i wlokła do swojej wakacyjnej pracy oraz na cotygodniowe lekcje w klubie tenisowym, na które nalegała matka.

Czytając esemes od babci, pocięgnęła nosem. CiCi mogła medytować z dalajlamą w Tybecie, szaleć ze Stonesami w Londynie albo malować obrazy w swojej pracowni na Tranquility Island, ale w jakiś sposób zawsze potrafiła wszystkiego się dowiedzieć.

*Teraz to bardzo boli, a więc ściskam cię mocno, mój skarbie. Poczekaj jednak parę tygodni, a zrozumiesz, że to tylko kolejny dupek. Skop im tyłki. Namaste.*

Simone nie uważała, że Trent to dupek (choć Tish i Mi zgadzały się z CiCi). Może i ją rzucił, i to w bardzo wredny sposób, ponieważ tego z nim nie robiła. Po prostu nie była gotowa. Nawiasem mówiąc, Tish zrobiła to ze swoim byłym chłopakiem po balu na zakończenie roku szkolnego, a potem jeszcze dwa razy, a ten i tak ją rzucił.

Najgorsze było to, że wciąż kochała Trenta i w swoim zdesperowanym szesnastoletnim sercu wiedziała, że nie pokocha nikogo innego. Już nigdy. Mimo że porwała strony pamiętnika, na których wypisała swoje przyszłe nazwiska: pani Trentowa Woolworth, Simone Knox-Woolworth, S.K. Woolworth – podarła je na strzępy, a potem spaliła, razem ze wszystkimi jego zdjęciami, w palenisku na tarasie podczas ceremonii girl-power z przyjaciółkami – nadal go kochała.

Chociaż część niej chciała umrzeć, musiała dalej żyć, jak zauważyła Mi, dlatego pozwoliła dziewczynom zaciągnąć się do kina.

Tak czy inaczej, zmęczyło ją siedzenie w domu w posępnym nastroju i nie miała najmniejszej ochoty snuć się po centrum handlowym z matką i młodszą siostrą, więc kino wygrało.

Mi też wygrała, bo teraz przyszła jej kolej, żeby wybrać film, więc Simone była skazana na jakieś dzieło science fiction pod tytułem *Wyspa*, które Mi szalenie chciała zobaczyć. Tish było wszystko jedno. Jako przyszła aktorka uważała, że oglądanie filmów i przedstawień teatralnych jest dla niej zarówno obowiązkiem, jak i przygotowaniem do rozpoczęcia kariery. Poza tym Ewan McGregor był w pierwszej piątce jej ulubionych filmowych chłopaków.

– Usiądźmy. Chcę zająć dobre miejsca. – Mi, drobna, sprężysta, z ciemnymi, wyrazistymi oczami i gęstą grzywą czarnych włosów, wzięła popcorn – bez dodatku masła – napój i ulubione m&m’sy z orzeszkami ziemnymi.

W maju Mi skończyła siedemnaście lat. Rzadko umawiała się na randki, przedkładając naukę nad chłopców, i uniknęła zaliczenia do kujonów wyłącznie ze względu na swoją gimnastyczną sprawność i mocną pozycję w drużynie cheerleaderek. Niestety kapitanem drużyny była Tiffany Bryce, złodziejka cudzych chłopaków i zdzira.

– Muszę iść do toalety. – Tish podała przyjaciółkom swoje przekąski – podwójny popcorn maślany, colę i czekoladowo-miętowe Junior Mints. – Potem was znajdę.

– Nic nie kombinuj z twarzą i włosami – ostrzegła ją Mi. – I tak nikt ich nie zobaczy, kiedy zacnie się film.

I bez tego wygląda idealnie, pomyślała Simone, ostrożnie niosąc popcorn przyjaciółki do jednej z sal multikina w centrum handlowym DownEast. Tish miała długie, gładkie, jedwabiste kasztanowe włosy z profesjonalnie zrobionymi złotymi pasemkami, ponieważ jej matka nie utknęła gdzieś w latach pięćdziesiątych zeszłego wieku. Klasycznemu owalowi jej twarzy – Simone uwielbiała przyglądać się twarzom – zalotnego uroku dodawały dołeczki. Te dołeczki ciągle flirtowały, jako że Tish zawsze znajdowała powód do uśmiechu. Simone wyobrażała sobie, że ona też często by się uśmiechała, gdyby stała się wysoka i zgrabna, miała jasne niebieskie oczy i dołeczki.

Jakby tego było mało, rodzice Tish całkowicie wspierali jej ambicję zostania aktorką. Według Simone, przyjaciółka zgrała całą pulę. Wygląd, osobowość,

inteligencję oraz rodziców, z którymi można się dogadać.

Mimo to Simone uwielbiała Tish.

Wszystkie trzy miały już plan – na razie trzymany w tajemnicy, ponieważ z rodzicami Simone kompletnie nie można się było dogadać – że po ukończeniu szkoły spędzą lato w Nowym Jorku.

Może nawet tam zamieszkają, bo z pewnością jest bardziej ekscytujący niż Rockpoint w stanie Maine.

Simone uważała, że piaszczyste wydmy na Saharze są bardziej ekscytujące niż Rockpoint w stanie Maine.

Ale Nowy Jork? Blask świateł, tłumy ludzi.

Wolność!

Mi studiowałaby medycynę na Columbii, Tish mogłaby uczyć się aktorstwa i chodzić na przesłuchania. A ona... mogłaby studiować cokolwiek.

Cokolwiek, byle nie prawo, jak pragnęli jej ograniczeni rodzice. Co było zrozumiałe, a przy tym takie obciachowe i banalne, skoro jej ojciec to osobistość wśród prawników.

Ward Knox przeżyje rozczarowanie, ale tak już musi być.

Może studiowałaby sztukę i została słynną artystką, jak CiCi. To by nieźle przeraziło rodziców. I tak jak CiCi brałyby sobie i porzucała kochanków wedle kaprysu (kiedy już będzie gotowa „to” robić).

Trent Woolworth dopiero by zobaczył!

– Wróć stamtąd – nakazała Mi, trącając ją łokciem.

– O co chodzi? Przecież jestem tutaj.

– Nie, jesteś w Strefie Dumania Simone. Wyjdź stamtąd i dołącz do świata.

Podobało jej się w SDS, ale...

– Muszę otworzyć drzwi mocą swojego umysłu, bo ręce mam zajęte. Okej, zrobione. Wróciłam.

– Umysł Simone Knox jest godny podziwu.

– Muszę używać go w dobrym celu, a nie po to, żeby myśleć, jak utopić tę zdzirę Tiffany w kałuży orgazmicznego śluzu.

– Nie musisz. Jej mózg to orgazmiczny śluz.

Simone pomyślała, że jej przyjaciółki zawsze wiedzą, co powiedzieć. Porzuciła SDS, dołączając do świata z Mi oraz Tish, gdy tylko ta wróciła, skończywszy zajmować się swoją już przedtem doskonałą twarzą i włosami.

To była piątkowa premiera filmu, więc sala kinowa okazała się już w połowie wypełniona. Mi zajęła trzy miejsca w centralnym rzędzie. Sama usiadła bliżej środka, aby Simone – wciąż ze złamanym sercem – mogła usiąść między nią a Tish, której długim nogom należał się fotel przy przejściu.

Mi odwróciła się na swoim miejscu. Obliczyła, że miały jeszcze sześć minut, zanim światła przygasną.

– Musisz iść jutro na imprezę do Allie – powiedziała.

SDS znów zaczęła wabić Simone.

– Nie jestem gotowa imprezować, poza tym wiesz, że będzie tam Trent z tą zdziwą Tiffany, mającą śluz zamiast mózgu.

– Właśnie o to chodzi, Sim. Jeśli nie pójdziesz, wszyscy pomyślą, że się ukrywasz, że nie przestałaś o nim myśleć.

– Przestałam i nie przestałam.

– W tym rzecz – podkreśliła Mi. – Nie dasz mu satysfakcji. Pójdziesz z nami – Tish idzie ze Scottem, ale on jest świetny – ubierzesz się w coś ekstra i pozwolisz, żeby Tish zrobiła ci makijaż, bo ona to potrafi. I będziesz zachowywać się w stylu: Kto? Niby on? No wiesz, dasz do zrozumienia, że już ci kompletnie przeszło. Złożysz oświadczenie.

Simone poczuła, jak SDS przyciąga ją ku sobie.

– Nie sądzę, żebym potrafiła stawić temu czoło. To Tish jest aktorką, nie ja.

– Zagrałaś Rizzo w wiosennym przedstawieniu *Grease*. Tish była rewelacyjną Sandy, ale ty jako Rizzo wypadłaś równie fantastycznie.

– Ponieważ brałam lekcje tańca i trochę potrafię śpiewać.

– Śpiewasz wspaniale i byłaś świetna. Stań się Rizzo na imprezie Allie. No wiesz, pewną siebie, seksowną, i dawaj do zrozumienia, że masz ich gdzieś.

– No nie wiem, Mi.

Jednak potrafiła to sobie jakoś wyobrazić. Jak i to, że Trent, widząc ją pewną siebie, seksowną i mającą ich gdzieś, znów ją zechce.

Nagle Tish im przerwała i pochyliwszy się, chwyciła Simone za rękę.

– Nie panikuj.

– Dlaczego miałabym... O nie. Błagam!

– Zdzira poprawia sobie błyszczyc na ustach, a ta kreatura czeka pod drzwiami damskiej łazienki jak grzeczny piesek.

– O cholera. – Mi zacisnęła palce na ramieniu Simone. – Może wybierają się na inny film.

– Nie, idą tutaj, bo takie już mam szczęście w życiu.

Mi ścisnęła ją mocniej.

– Nawet nie myśl o tym, żeby stąd uciekać. On cię zobaczy i wyjdiesz na ofiarę. Nie jesteś ofiarą. To jest twoja próba generalna przed imprezą u Allie.

– Pójdzie? – W policzkach Tish ukazały się dołeczki. – Namówiłaś ją?

– Pracujemy nad tym. Siedź spokojnie. – Mi odwróciła się lekko. – Masz rację, wchodzą. Zostań na miejscu – syknęła, kiedy ramię Simone zadrżało pod jej dłonią. – Masz ich nawet nie zauważać. Jesteśmy przy tobie.

– Jesteśmy przy tobie teraz i na zawsze – powtórzyła Tish, ściskając rękę Simone. – Jesteśmy... murem pogardy. Kapujesz?

Przeszli obok nich, blondynka z kaskadą loków i w obcisłych, przyciętych džinsach oraz złoty chłopiec – wysoki, przystojny rozgrywający mistrzowskiej drużyny Wildcats.

Trent posłał Simone leniwy uśmiech, od którego kiedyś miękło jej serce, i z rozmysłem przeciągnął ręką po plecach Tiffany, pozostawiając dłoń na jej pupie.

Tiffany odwróciła głowę, kiedy szepnął jej coś do ucha, i spojrzała przez ramię. Jej doskonałe, świeżo pokryte błyszczyciem wargi wykrzywił lekceważący uśmieszek.

Ze złamanym sercem, w poczuciu, że jej życie bez Trenta straciło wszelką wartość, Simone wciąż miała zbyt wiele ze swojej babki, by przyjąć tego rodzaju

zniewagę.

Odwzajemniła uśmieszek i pokazała środkowy palec.

Mi zachichotała.

– Tak trzymaj, Rizzo!

Chociaż złamane serce Simone mocno biło, zmusiła się do patrzenia, jak Trent i Tiffany siadają trzy rzędy przed nimi i natychmiast zaczynają się obściskować.

– Wszyscy mężczyźni chcą seksu – stwierdziła rozsądnie Tish. – Niby czemu mieliby nie chcieć? Ale kiedy tylko o to im chodzi, nie są tego warci.

– Jesteśmy lepsze od niej. – Mi oddała Tish jej Junior Mints i colę. – Bo ona ma tylko to.

– Masz rację – odparła Simone. Być może oczy trochę szczypały, ale w sercu płonął ogień, który zdawał się uzdrawiający. Podała Tish jej popcorn. – Pójdę na imprezę do Allie.

Tish się roześmiała – z premedytacją drwiąco i na tyle głośno, by Tiffany drgnęła. Tish posłała Simone szeroki uśmiech.

– Ta impreza będzie należała do nas – oznajmiła z przekonaniem.

Simone przytrzymała popcorn między udami, aby wolne ręce podać przyjaciółkom.

– Kocham was, dziewczyny.

Zanim skończyły się reklamy i trailery, przestała obserwować sylwetki trzy rzędy niżej. Prawie. Spodziewała się, że będzie rozmyślać przez cały film – właściwie miała taki zamiar – ale złapała się na tym, że ją wciągnął. Ewan McGregor był bajeczny, a silna i odważna Scarlett zrobiła na niej wrażenie.

Jednak po kwadransie uświadomiła sobie, że należało pójść z Tish do toalety – chociaż byłaby to katastrofa, gdyby zastały tam Tiffany z błyszczącym – albo nie przesadzać z fantą.

Po dwudziestu minutach się poddała.

– Muszę iść się wysiusiać – szepnęła.

– Daj spokój! – odszepnęła Mi.

– Wrócę szybciotko.



– Chcesz, żebym poszła z tobą? – zapytała Tish.

Simone pokręciła głową, podając przyjaciółce do potrzymania resztki popcornu i fanty.

Przecisnęła się przed nią i szybko ruszyła w górę przejścia. Skręciła w prawo, w pośpiechu dopadła do toalety i otworzyła drzwi.

Pusto, nikt nie czeka. Z ulgą weszła do kabiny i opróżniając pęcherz, zaczęła się zastanawiać.

Wybrnęła z sytuacji. Może CiCi miała rację. Może już wkrótce zrozumie, że Trent to dupek.

Jednak był taki przystojny i miał ten uśmiech, i...

– Nieważne – mruknęła. – Dupki też bywają przystojni.

Mimo wszystko nie przestała o tym myśleć, myjąc ręce i przyglądając się sobie w lustrze nad umywalką.

Nie miała długich jasnych loków ani błękitnych oczu i fantastycznego ciała Tiffany. Wyglądała, o ile mogła stwierdzić, po prostu zwyczajnie.

Zwyczajne były jej brązowe włosy, których matka nie pozwoliła rozjaśnić. Miała poczekać, aż skończy osiemnaście lat, a wtedy będzie mogła zrobić z nimi, co tylko zechce. Żałowała, że dziś związała je w koński ogon, bo nagle poczuła, że przez to wygląda dziecinnie. Może je obetnie. Postawi w sztywne kolce. Może.

Miała zbyt szerokie usta, nawet jeśli Tish twierdziła, że są seksowne, jak u Julii Roberts.

Oczy brązowe, jednak nie tak głębokie i wyraziste jak u Mi. Po prostu brązowe, jak jej głupie włosy. Oczywiście Tish, jak to ona, twierdziła, że są bursztynowe, ale to tylko wyszukane określenie dla brązowego koloru.

Nieważne. Może i była zwyczajna, ale nie sztuczna jak Tiffany, która też miała brązowe włosy, ale je rozjaśniała.

– Nie jestem sztuczna – powiedziała do lustra. – A Trent Woolworth to dupek. Tiffany Bryce to wstrętna dzidzia. Oboje mogą iść do diabła.

Kiwnąwszy stanowczo głową, uniosła ją wysoko i wymaszerowała z łazienki.

Pomyślała, że głośne strzały – petardy? – i krzyki to odgłosy filmu. Zła na siebie, że zwlekała z wyjściem i ominęła ją ważna scena, przyspieszyła kroku.

Kiedy zbliżała się do kinowej sali, drzwi otworzyły się gwałtownie. Mężczyzna z dzikim wzrokiem zatoczył się i upadł w przód.

Krew... czy to krew? Jego dłonie zacisnęły się na zielonej wykładzinie – która pokrywała się teraz czerwienią – po czym znieruchomiały.

Błyski. Przez drzwi uchylone na kilkanaście centymetrów i zablokowane nogami mężczyzny dostrzegła błyski. Huk wystrzałów, jeden po drugim, krzyki. Cienie i sylwetki ludzi, którzy padali, biegli, padali.

I postać, ciemną w mroku sali, idącą miarowym krokiem wzdłuż rzędów.

Zastygła z przerażenia, Simone patrzyła, jak postać odwraca się i strzela w plecy uciekającej kobiecie.

Nie mogła oddychać. Gdyby była w stanie zaczerpnąć powietrza, wypuściłaby je z krzykiem.

Część jej umysłu nie przyjmowała do wiadomości tego, na co patrzyła. To nie mogło dziać się naprawdę. Musiało być jak film. Po prostu udawanie. Odezwał się jednak instynkt, każąc jej uciekać z powrotem do łazienki i przykucnąć za drzwiami.

Dłonie odmawiały Simone posłuszeństwa, kiedy grzebała w torebce w poszukiwaniu komórki.

Ojciec nalegał, żeby numer dziewięćset jednaście zapisała na pierwszym miejscu w pamięci telefonu.

Wzrok jej się zamglił, a oddech stał się szybki i urywany.

– Tu numer alarmowy. Jak mogę pomóc?

– On ich zabija. Zabija ich. Pomocy! Moje przyjaciółki. O Boże, Boże! On strzela do ludzi.

Reed Quartermaine nie cierpiał pracować w weekendy. Nie przepadał również za pracą w centrum handlowym, ale chciał jesienią wrócić na studia. A studia wiązały się z drobnym szczegółem zwanym chesnym. Po dodaniu do tego

podręczników, kwatery i jedzenia okazywało się, że trzeba pracować w weekendy w centrum handlowym.

Jego rodzice pokrywali większość wydatków, ale nie dawali rady zapłacić za wszystko. Nie w sytuacji, gdy siostra Reeda rozpoczynała kolejny rok nauki, a brat już od trzech lat studiował na American University w Waszyngtonie.

Jasne, że za nic nie chciał kelnerować przez resztę życia. A zatem college. I zanim włoży biret i togę, być może zrozumie, co do diabła chce robić przez resztę życia.

Jednak latem pracował jako kelner i starał się dostrzegać jasną stronę swego położenia. Znajdująca się w centrum handlowym restauracja Mangia funkcjonowała z powodzeniem, a na napiwki nie narzekał. Być może kelnerowanie tu przez pięć wieczorów w tygodniu z podwójną zmianą w soboty pozbawiało go życia towarzyskiego, ale przynajmniej jadał dobrze.

Jeśli dzięki miseczkom makaronu, pizzom z licznymi dodatkami, porcją słynnego tiramisu z Mangii jego długa, koścista sylwetka nie nabrała ciała, to nie dlatego, że się nie starał.

Ojciec Reeda liczył kiedyś na to, że drugie w kolejności dziecko pójdzie w jego ślady i zostanie gwiazdą futbolu, tak jak uczynił starszy syn, ale kompletny brak umiejętności na boisku i smukła postura chłopaka rozwiały te nadzieje. Jednak nogi, które bardzo mu się wydłużyły, zanim zdążył skończyć szesnaście lat, oraz chęć do biegania całymi dniami uczyniły z niego średniej wielkości gwiazdę uniwersyteckiej bieżni, co trochę zrekompensowało ojcu rozczarowanie.

Potem siostra Reeda zdjęła z niego presję, objawiając wybitny talent do gry w piłkę nożną.

Podawał teraz do stołu cztery przystawki – *insalata mista* dla matki, gnocchi dla taty, panierowane paluszki sera mozzarella dla chłopaka i smażone ravioli dla dziewczyny. Flirtował niewinnie z dziewczyną, która posyłała mu długie, nieśmiałe uśmiechy. Niewinnie, bo domyślił się, że miała najwyżej czternaście lat, więc nie była zauważalna dla studenta wkrótce drugiego już roku college'u.

Reed wiedział, jak flirtować niewinnie z młodszymi dziewczynami, starszymi kobietami i prawie wszystkimi pomiędzy. Liczyły się napiwki, a po czterech latach wakacyjnego kelnerowania roztaczanie uroku przed klientami doprowadził do perfekcji.

Objął spojrzeniem swój rewir – rodziny, kilka starszych par, tu i ówdzie randkownicze około trzydziestki. Prawdopodobnie przyszli na kolację, a potem wybiorą się do kina, co mu podsunęło myśl, by zapytać Chaza – zastępcę kierownika w sklepie GameStop – czy chciałby pójść na ostatni seans *Wyspy*, kiedy obaj skończą pracę.

Przeciągnął karty kredytowe przez czytnik, ucinając pogawędkę z trojgiem gości, którzy dali mu solidny, dwudziestoprocentowy napiwek, ruszył do kolejnego stolika, wpadł na moment do kuchni, gdzie panował obłęd, i tak dotrwał do swojej przerwy.

– Dory, robię sobie dziesięć minut wolnego.

Kierowniczką sali przebiegła wzrokiem jego rewir i przyzwalająco skinęła głową.

Kiedy przekroczył podwójne szklane drzwi, otoczył go zwykły dla piątkowych wieczorów zgiełk i zamęt. Reed pomyślał, czy nie wysłać Chazowi esemesa i swoje dziesięć minut spędzić w kuchni, ale miał ochotę wyjść na zewnątrz. Poza tym wiedział, że w piątki Angie pracuje w sklepiku Fun In The Sun, więc cztery czy pięć minut przerwy mógł przeznaczyć na trochę mniej niewinny flirt.

Angie miała chłopaka, z którym spotykała się nieregularnie, ale Reed słyszał, że ostatnio jest wolna. Mógł spróbować szczęścia i umówić się na randkę z kimś, kto miał równie opłakane godziny pracy.

Przemieszczał się szybko na długich nogach pomiędzy robiącymi zakupy ludźmi, grupkami nastoletnich dziewczyn i chłopaków, którzy im się przypatrywali, matkami pchającymi dziecięce wózki albo prowadzącymi maluchy, wśród bezustannej, otepiającej muzyki, którą już przestał słyszeć.

Reed miał gęstwą czarnych włosów, które zawdzięczał włoskiemu

pochodzeniu matki. Dory nie wywierała presji, żeby się ostrzygł, a jego ojciec w końcu się poddał. Oczy Reeda, głęboko osadzone, jasnozielone przy oliwkowej cerze, rozjaśniły się na widok Angie w sklepiku. Zwolnił kroku, niedbale włożył ręce do kieszeni spodni i podszedł do niej.

– Hej, jak leci?

Posłała mu uśmiech, przewracając ładnymi brązowymi oczami.

– Dużo pracy. Wszyscy chodzą na plażę oprócz mnie.

– I mnie. – Oparł się o gablotę z wystawionymi okularami przeciwsłonecznymi, mając nadzieję, że wygląda przystojnie w służbowym stroju – białej koszuli, czarnej kamizelce i czarnych spodniach. – Zastanawiam się, czy nie pójść na Wyspę. Ostatni seans jest o dziesiątej czterdzieści pięć. To prawie tak jak wycieczka na plażę, nie sądzisz? Masz ochotę się przyłączyć?

– Och... nie wiem. – Angie bawiła się włosami w odcieniu słonecznego blondu, który współgrał ze złocistą opalenizną nabytą, jak podejrzewał, po zastosowaniu samoopalacza z sąsiedniej witryny. – Rzeczywiście chciałabym to zobaczyć.

Nadzieja gwałtownie wzrosła, a Chaz został wypchnięty z listy Reeda.

– Trzeba się trochę rozerwać, nie?

– Tak, ale... Powiedziałam Misty, że spotkamy się po zamknięciu sklepów.

Chaz znów wskoczył na listę.

– To super. Właśnie szedłem, żeby się dowiedzieć, czy Chaz chce się wybrać. Moglibyśmy pójść razem.

– Możliwe. – Znów posłała mu uśmiech. – Tak, możliwe. Zapytam ją.

– Świetnie. Idę zobaczyć się z Chazem. – Przesunął się, żeby zrobić miejsce kobiecie, która cierpliwie czekała, podczas gdy jej córka – na oko czternastoletnia – mierzyła pół miliona par okularów. – Tak czy inaczej możesz mi wysłać esemes.

– Gdybym mogła kupić dwie pary – zaczęła dziewczyna, sprawdzając, jak wygląda w niebieskich szklach – miałabym jedną na zapas.

– Jedną, Natalie. To ta jest zapasowa.

– Napiszę ci esemes – mruknęła Angie, po czym przyjęła profesjonalny ton. – Te wspaniale na tobie wyglądają – zwróciła się do dziewczyny.

– Naprawdę?

– Absolutnie – odpowiedź Angie dobiegła Reeda, kiedy opuszczał sklepik. Ruszył szybko, bo musiał nadrobić czas.

GameStop był pełen zwykłych komputerowych maniaków oraz towarzyszących młodszym komputerowym maniakom rodziców o szklistym wzroku, którzy próbowali popędzać ich naprzód.

Na monitorach wyświetlano reklamy gier. Na ściennych ekranach różnorodność tych ogólnie dostępnych, na laptopach mniej przyjazne, do użytku osób pełnoletnich albo pod nadzorem rodziców.

Reed dostrzegł Chaza, króla komputerowych maniaków, który objaśniał jakąś grę kobiecie wyglądającej na zdezorientowaną.

– Jeśli interesują go gry militarne, strategiczne i o tematyce „budowanie”, ta mu się spodoba. – Chaz podsunął na nosie okulary przypominające denka butelek coli. – Ukazała się przed paroma tygodniami.

– Wydaje się taka... brutalna. Czy jest odpowiednia?

– Powiedziała pani, że to na szesnaste urodziny. – Skinął szybko głową Reedowi. – I lubi serię Splinter Cell. Jeśli tamte są dla niego dobre, ta też będzie.

Kobieta westchnęła.

– Chłopcy chyba zawsze lubią grać w wojnę. Wezmę ją, dzięki.

– Zapłaci pani przy kasie. Dziękujemy za zakupy w GameStop. Nie mam czasu, stary – zwrócił się do Reeda, kiedy klientka odeszła. – Jestem zavalony pracą.

– Pół minuty. Ostatni seans, *Wyspa*.

– Jestem cały za. To o klonach, kochany.

– Super. Mam Angie na celowniku, ale ona chce zabrać Misty.

– Och, ja...

– Nie zawieź mnie, stary. Ze wszystkich spotkań, na które ją dotąd namówiłem, to jest najbardziej zbliżone do randki.

– Tak, ale Misty jest trochę przerażająca. I... Będę musiał za nią zapłacić?

– To nie jest randka. Pracuję nad tym, żeby się w nią zmieniło. Dla siebie, nie dla ciebie. Masz mi towarzyszyć i pomóc ją poderwać, a Misty ma towarzyszyć Angie. Klony! – przypomniał Chazowi.

– Okej. Chyba. Jezu. Nie spodziewałem się...

– Świetnie – uciął Reed, zanim Chaz zdążył zmienić zdanie. – Zarezerwuję bilety. Spotkamy się na miejscu.

Reed wyszedł szybko ze sklepu. A więc to się działo! Wspólna nierandka mogła utorować drogę spotkaniu sam na sam, a to stworzyłoby możliwość, żeby się z Angie trochę podotykali.

Przydałaby mu się odrobina dotyku. Teraz jednak miał trzy minuty na powrót do Mangii, inaczej Dory da mu popalić.

Puścił się biegiem i nagle usłyszał coś, co brzmiało jak wybuchy petard albo serie strzałów gaźnika. Pomyślał o strzelankach z GameStop. Bardziej zadowolony niż zaniepokojony zerknął za siebie.

Wtedy zaczęły się krzyki. I huk.

Nie z tyłu, uświadomił sobie, ale z przodu. Ten huk wywoływały dziesiątki uciekających ludzi. Uskoczył w bok na widok kobiety, która pędziła w jego stronę, pchając przed sobą wózek z płaczącym dzieckiem.

Czy to, co miała na twarzy, to była krew?

– Co...

Kobieta biegła dalej z ustami otwartymi w niemym krzyku.

Za nią toczyła się lawina. Ludzie uciekali w popłochu, depcząc porzucone torby z zakupami, potykając się o nie oraz o tych, którzy upadli.

Jakiś mężczyzna poślizgnął się i zgubił okulary, które odbijały się na podłodze, aż zmiażdżyła je czyjaś stopa. Reed chwycił go za ramię.

– Co się dzieje?

– On ma broń. Zastrzelił... zastrzelił...

Mężczyzna podniósł się na nogi i pobiegł, kulejąc. Dwie nastolatki, łkając i krzycząc, wpadły do sklepu po lewej stronie.

Reed zdał sobie sprawę, że hałas – odgłos strzałów – dochodził nie tylko z przodu, ale i z tyłu. Pomyślał o Chazie znajdującym się trzydzieści sekund sprintem za nim i o przyjaciółach w restauracji, których miał w dwukrotnie większej odległości przed sobą.

– Ukryj się, stary – mruknął do Chaza. – Znajdź jakieś miejsce, żeby się ukryć.

A potem pobiegł w stronę restauracji.

Odgłosy wystrzałów nie ustawały, wydawało się, że teraz dochodzą zewsząd. Szkło pękało i roztrzaskiwało się, kobieta z zakrwawioną nogą jęcząc, skuliła się pod ławką. Reed słyszał coraz więcej krzyków, ale gorzej było, kiedy cichły nagle, niczym przecięta taśma.

Wtem zobaczył małego chłopca w czerwonych spodenkach i koszulce z Elmo, który jak pijany chwiejnym krokiem mijał salon Abercrombie & Fitch.

Okno wystawowe eksplodowało. Ludzie rozproszyli się, zanurkowali, szukając osłony, a chłopczyk upadł z płaczem, wołając matkę.

Po drugiej stronie centrum handlowego Reed dostrzegł uzbrojonego bandytę – chłopaka? – który śmiał się i strzelał, strzelał, strzelał. Ciało leżącego na podłodze mężczyzny szarpnęło się, kiedy przeszły je pociski.

Reed w biegu pochwycił chłopczyka w koszulce z Elmo, przytrzymując go pod ramieniem jak piłkę futbolową, z którą nigdy nie potrafił sobie poradzić.

Odgłosy strzałów – nigdy, przenigdy nie zapomni tego dźwięku – docierały coraz bliżej. Z przodu i z tyłu. Zewsząd.

Nie da rady przedostać się do Mangii, nie z dzieciakiem. Skręcił i instynktownie zanurkował do sklepika.

Angie, dziewczyna, z którą flirtował pięć minut wcześniej, całą wieczność wcześniej, leżała w kałuży krwi. Jej ładne brązowe oczy wpatrywały się w Reeda, podczas gdy zwisający mu spod ramienia chłopczyk zanosił się płaczem.

– O Boże, Jezu... Jezu... Boże.

Strzelanina wciąż trwała, nieustannie.



– Okej, okej, nic ci nie jest. Jak masz na imię? Ja jestem Reed, a ty?

– Brady! Chcę do mamusi!

– Okej, Brady, za chwilę ją znajdziemy, ale teraz musimy być bardzo cicho.

Brady! Ile masz lat?

– Tyle. – Maluch podniósł cztery paluszki, a wielkie łzy kapały mu na policzki.

– To jesteś dużym chłopcem, prawda? Musimy być cicho. Tam są źli ludzie. Wiesz, kto to są źli ludzie?

Ze łzami i smarkami spływającymi mu po buzi, oczami szeroko otwartymi pod wpływem szoku, Brady kiwnął głową.

– Będziemy cicho, żeby źli ludzie nas nie znaleźli. A ja zadzwonię po tych dobrych. Po policję. – Robił, co w jego mocy, żeby zasłonić przed chłopcem widok Angie. Ze wszystkich sił starał się o niej nie myśleć, o niej i o śmierci.

Otworzył jedno z przesuwanych drzwi do magazynu i wypchnął z niego towar.

– Wejść tam, okej? Jakbyśmy bawili się w chowanego. Ja zostanę tutaj, ale ty tam siedź, kiedy będę dzwonił do dobrych ludzi.

Popchnął chłopca do środka, wyjął telefon i dopiero teraz zauważył, jak bardzo trzęsą mu się ręce.

– Tu numer alarmowy, jak mogę pomóc?

– Centrum handlowe DownEast – zaczął.

– Policja już jedzie. Jest pan na terenie centrum?

– Tak. Mam przy sobie małego chłopca. Umieściłem go w magazynie sklepiku Fun In The Sun. Angie... dziewczyna, która tu pracowała. Ona nie żyje. Boże. Jest co najmniej dwóch, którzy strzelają do ludzi.

– Może pan podać swoje nazwisko?

– Reed Quartermaine.

– Okej, Reed, czujesz się bezpieczny tam, gdzie jesteś?

– Chyba, kurwa, żartujesz?

– Przepraszam. Jesteś w sklepiku, a więc masz jakąś osłonę. Radzę ci tam

zostać, ukryć się i nie ruszać z miejsca. Jest z tobą dziecko?

– Powiedział, że nazywa się Brady i ma cztery lata. Został rozdzielony z matką. Nie wiem, czy ona... – Rozejrzał się, zobaczył, że Brady skulił się i z oczami pełnymi łez ssie kciuk. – Chłopiec prawdopodobnie jest w szoku czy czymś takim.

– Postaraj się zachować spokój, Reed, i bądź cicho. Policja jest na miejscu.

– Oni nadal strzelają. Bez przerwy strzelają. Śmieją się. Słyszałem, jak on się śmieje.

– Kto się śmiał, Reed?

– Strzelał, szyba eksplodowała, facet leżał na podłodze, a on wciąż do niego strzelał i się śmiał. Jezu Chryste.

Reed usłyszał krzyki – nie wrzaski, ale jakby okrzyki bojowe. Coś plemiennego i triumfalnego. I kolejne strzały, a potem...

– Ustały. Strzały ustały.

– Zostań tam, gdzie jesteś, Reed. Pomoc już do ciebie idzie. Zostań na miejscu.

Reed znów spojrzał na dziecko. Szkliste oczy spotkały jego wzrok. Chłopiec odezwał się:

– Mamusia.

– Za chwilę ją znajdziemy. Dobrzy panowie już idą. Już idą.

Później pomyśli, że to było najgorsze. Czekanie... wśród wiszącego w powietrzu zapachu prochu, wołania o pomoc, jęków i szlochów. I widok na własnych butach krwi dziewczyny, której nigdy nie zabierze do kina.

## ROZDZIAŁ 2

Odziewiętnastej dwadzieścia pięć 22 lipca funkcjonariuszka policji Essie McVee dokończyła raport na temat stłuczki na parkingu centrum handlowego DownEast.

Nikt nie doznał obrażeń, uszkodzenie było minimalne, ale kierowca lexusa zachowywał się bardzo agresywnie w stosunku do trzech studentek w mustangu convertible.

Mimo że wina wyraźnie leżała po stronie mustanga – co łkająca dwudziestolatka przyznała – bo cofała bez sprawdzenia, czy ma wolną przestrzeń z tyłu, nadęty waźniak i jego zażenowana towarzyszka w lexusie byli, również wyraźnie, po kilku drinkach.

Essie pozwoliła swemu partnerowi zająć się lexusem, mając świadomość, że Barry wygłosi oklepaną gadkę o kobietach kierowcach. Zamierzała to zignorować, bo wiedziała również, że Barry postawi facetowi zarzut prowadzenia samochodu pod wpływem alkoholu.

Uspokoiła dziewczyny, wzięła od nich oświadczenie i informacje, wypisała mandat. Lexus nie przyjął zbyt uprzejmie zarzutu jazdy pod wpływem alkoholu ani taksówki, którą Barry zamówił, ale policjant poradził sobie z tym w swój zwykły, żartobliwy sposób, udając, że mu przykro.

Kiedy radio na jej ramieniu zaskrzeczało, Essie nadstawiła ku niemu ucho. Nawet po czterech latach służby w takich chwilach serce zaczynało jej bić mocniej.

Odwróciła się szybko do Barry'ego i po wyrazie jego twarzy poznała, że on też słucha komunikatu. Pochyliła głowę do mikrofonu.

– Zespół czterdziesty piąty jest na miejscu. Znajdujemy się dokładnie przed kinem.

Barry otworzył bagażnik i rzucił jej kamizelkę kuloodporną.

Czując suchość w ustach, Essie zapięła ją i sprawdziła broń. Nigdy dotąd nie użyła jej poza strzelnicą.

– Wsparcie już jedzie, będą za trzy minuty. SWAT się zbiera. Jezu, Barry.

– Nie możemy czekać.

Znała procedurę, przeszła szkolenie, ale nie spodziewała się, że kiedykolwiek będzie musiała ją zastosować. Hasło strzelec zamachowiec oznaczało, że liczy się każda sekunda.

Essie pobiegła z Barrym w stronę szerokich szklanych drzwi.

Często bywała w tym centrum handlowym i teraz myślała, jakim zrzędzeniem losu znalazła się ze swoim partnerem tuż przed wejściem do multikina.

Nie zastanawiała się, czy wróci do domu, żeby nakarmić starego kota, ani czy dokończy książkę, którą zaczęła czytać. Nie mogła.

Zlokalizować, powstrzymać, odciągnąć uwagę, unieszkodliwić.

Wyobraziła sobie tę sytuację, zanim dopadli do drzwi.

Foyer multikina otwierające się na główną część galerii handlowej, z prawej strony kasa biletowa, dalej sklepik z przekąskami i napojami, z lewej korytarz z trzema salami kinowymi. Operator w centrali podał informację, że strzelec jest w tej z numerem jeden – największej.

Essie zajrzała do środka przez szklane drzwi, weszła i oboje zaczęli posuwać się zakosami, ona z lewej strony, a Barry z prawej. Słyszała muzykę płynącą z głośników w galerii i gwar tłumu kupujących.

Dwóch facetów w sklepiku otworzyło usta na widok gliniarzy z wyciągniętą bronią. Obaj podnieśli ręce do góry. Duża butelka gazowanego napoju wypadła z dłoni temu z lewej i grzmotnęła w ladę, rozpryskując płyn.

– Jest tu ktoś jeszcze? – rzucił Barry.

– T-t-tylko Julie, przy schowkach w szatni.

– Zabierzcie ją i wyprowadźcie na zewnątrz. Już! Szybko, idźcie!

Jeden z nich skoczył do drzwi za ladą. Drugi stał z rękami w górze, jękając się:

– O co? O co chodzi? O co chodzi?

– Ruszaj się!

Posłuchał.

Essie skręciła w lewo, ostrożnie wyjrzała za róg i zobaczyła ciało leżące twarzą w dół przed drzwiami do sali numer jeden, a za nim smugę krwi.

– Mamy ciało – zameldowała i zaczęła iść dalej, powoli, ostrożnie, mijając z prawej strony salę kinową, z której dobiegał śmiech, w kierunku odgłosów za drzwiami jedynki. Odgłosów strzałów i krzyków.

Wymieniła spojrzenia z Barrym i przestąpiła leżące ciało. Na jego kiwnięcie głową pomyślała: ruszamy.

Gdy otworzyli drzwi sali, popłynęła z niej fala odgłosów przemocy i strachu, a przyćmione światło z korytarza wślizgnęło się do środka.

Essie zobaczyła strzelca – mężczyznę w keplarowej kamizelce, hełmie, noktowizyjnych goglach, z karabinem automatycznym w jednej ręce i pistoletem w drugiej.

W chwili gdy go dostrzegła, strzelił w plecy mężczyźnie, który uciekał do bocznego wyjścia.

Następnie skierował karabin w stronę drzwi i otworzył ogień.

Szukając osłony, Essie zanurkowała za ściankę za ostatnim rzędem foteli i zobaczyła, jak Barry zostaje trafiony w kamizelkę, a strzał odrzuca go w tył.

Nie w środek ciała, powtarzała sobie, gdy adrenalina tętniła jej w żyłach, nie w środek ciała, bo, tak jak Barry, strzelec miał na sobie kamizelkę. Wzięła trzy szybkie wdechy, przetoczyła się po podłodze i zaszokowana ujrzała, że rusza na nią pochyłym przejściem.

Strzelała nisko – w biodra, krocze, nogi, kostki – i nie przestawała strzelać nawet wtedy, gdy padł.

Pokonała odruch, który nakazywał jej ruszyć na pomoc partnerowi, i podeszła do zabójcy.

– Zamachowiec unieszkodliwiony. – Z bronią wciąż wycelowaną w mężczyznę, wyjęła mu z dłoni pistolet i postawiła stopę na karabinie, który upuścił. – Funkcjonariusz jest ranny. Mój partner został trafiony. Potrzebujemy lekarza. Boże, tu jest mnóstwo ofiar. Potrzebujemy pomocy. Powtarzam: potrzebna pomoc.

– Mamy doniesienia o innym zamachowcu, być może dwóch lub więcej, na terenie galerii handlowej. Potwierdzasz, że jeden strzelec został trafiony?

– Tak. – Przyjrzała się dolnej części jego ciała, która była masą krwi. – Nie wstaje. – W chwili, gdy to powiedziała, z jego piersi wydobył się szybki, chrapliwy oddech.

Miał krostę na podbródku. Wpatrywała się w nią do czasu, gdy zdolna była podnieść głowę, by spojrzeć na to, co zrobił.

Ciała bezwładnie leżące w przejściu, osunięte na fotelach, wciśnięte w wąskie przestrzenie między rzędami, gdzie ludzie upadli albo próbowali się ukryć.

Essie nigdy tego nie zapomni.

Gdy oddział SWAT wpadł przez drzwi sali kinowej, podniosła rękę do góry.

– Funkcjonariuszka McVee. Strzelec jest zneutralizowany. Mój partner...

Gdy to mówiła, Barry zakasłał i jęknął. Essie zaczęła podnosić się z przysiadu i, poczuwszy zawrót głowy, się zachwiała.

– Jesteś ranna, McVee?

– Nie. Nie, tylko... Nie. – Z wysiłkiem podeszła do Barry'ego.

– Następnym razem, kiedy będę narzekał, jak gorąco jest w tych kamizelkach i jakie są ciężkie, walnij mnie. – Wciągnął powietrze w płuca. – Boli jak skurwysyn.

Przełknąwszy kulę w gardle, Essie wzięła Barry'ego za rękę.

– Bez niej bolałoby bardziej.

– Dopadłaś go, Essie. Dopadłaś sukinsyna.

– Tak. – Znów musiała mocno przełknąć kulę, ale kiwnęła głową. – Myślę, że to dzieciak. Barry, on nie jest sam.

Zjawiło się więcej gliniarzy i służby medyczne. Podczas gdy inne jednostki

policji rzuciły się do galerii handlowej w poszukiwaniu drugiego zamachowca albo zamachowców, Essie z Barrym sprawdzali w kinie toalety, magazyn, szafki.

– Potrzebujesz lekarza – powiedziała, kiedy zbliżyli się do damskiej toalety.

– Później. To ona dzwoniła pod dziewięćset jedenaście. – Ruchem głowy wskazał drzwi.

Essie popchnęła je, wymierzyła do środka broń i w lustrze nad umywalką dostrzegła własną twarz. Chorobliwą bladość, ale to lepsze niż szary odcień ciemnobrązowej skóry Barry'ego.

– Tu policja – zawołała Essie. – Simone Knox? Tu policja.

Odpowiedziała jej cisza.

– Może stąd wyszła.

Drzwi kabin były otwarte, ale tylko jedno z nich lekko uchylone.

– Simone – powtórzyła Essie, podchodząc tam. – Jestem funkcjonariuszka McVee z policji Rockpoint. Jesteś już bezpieczna.

Otworzyła drzwi i ujrzała dziewczynę skuloną na sedesie, z rękami przyciśniętymi do uszu.

– Simone. – Pochyliwszy się, położyła dłoń na kolanie Simone. – Już wszystko w porządku.

– Oni krzyczą. On ich zabija. Tish, Mi, moja mama, moja siostra.

– Pomoc już tu jest. Znajdziemy je. Wyprowadźmy cię stąd, dobrze? Byłaś bardzo mądra. Dzwoniąc dziś po pomoc, uratowałaś życie ludziom, Simone.

Wtedy Simone podniosła głowę. Jej wielkie brązowe oczy były zalane łzami i przerażone.

– Komórka mi padła. Zapomniałam ją naładować i padła, więc ukryłam się tutaj.

– To dobrze, doskonale. Teraz chodź ze mną. Jestem funkcjonariuszka McVee. A to funkcjonariusz Simpson.

– Ten mężczyzna, mężczyzna wybiegł i upadł. Krew. Zobaczyłam... Zobaczyłam... Tish i Mi są w kinie. Mama i siostra na zakupach.

– Znajdziemy je. – Objęła ramieniem Simone, pomogła jej wstać, a potem

wyść. – Pójdiesz z funkcjonariuszem Simpsonem. A ja pójdę poszukać twojej mamy, siostry i przyjaciółek.

– Essie.

– Jesteś ranny, Barry. Weź dziecko. Niech ją zbadają.

Poprowadziła dziewczynę korytarzem obok sal kinowych. Raport sytuacyjny w radiu stwierdzał, że jeszcze dwaj zamachowcy zostali zastrzeleni. Miała nadzieję, że to już wszyscy, ale musiała się upewnić.

Jednak kiedy Barry przejął Simone, kierując do szklanych drzwi i błyskających świateł policyjnych aut i ambulansów, dziewczyna zatrzymała się i spojrzała prosto w oczy Essie.

– Tulip i Natalie Knox. Mi-Hi Jung i Tish Olsen. Musisz je znaleźć. Proszę. Proszę, znajdź je.

– Rozumiem. Już się tym zajmuję.

Essie ruszyła w drugą stronę. Nie słyszała już odgłosu strzałów i ktoś, dzięki Bogu, wyłączył muzykę. Jej radio skrzeczało meldunki na temat sprawdzonych miejsc i wezwania pomocy medycznej.

Przystanęła i spojrzała na galerię handlową. Odkąd sięgała pamięcią, robiła tu zakupy, przechadzała się, jadała posiłki.

Potrzeba czasu, pomyślała, niemal sparaliżowana, żeby usunąć zwłoki, opatrzyć i wywieźć rannych, odebrać oświadczenia od tych, którzy uniknęli obrażeń – fizycznych obrażeń, poprawiła się. Wątpiła, by ktokolwiek, kto przeżył ten wieczór, przetrwał go bez szwanku.

Pojawili się już ratownicy medyczni, ale tak wielu ludziom nie byli w stanie pomóc.

Kobieta z ramieniem zalany krwią tuliła na kolanach mężczyznę, dla którego nie było już ratunku. Człowiek w koszulce Red Sox leżał twarzą do podłogi. Essie widziała substancję szarą mózgu wyzierającą z otworu w czaszce. Kobieta, nieco ponaddwudziestoletnia, łkając, siedziała przed Starbucksem w fartuszku zbryzganym krwią.

Essie dostrzegła malutki różowy sportowy bucik i chociaż miała nadzieję, że



dziewczynka, która go zgubiła, znalazła bezpieczne miejsce, serce jej się ścisnęło na ten widok.

Zobaczyła mężczyznę, mniej więcej dwudziestoletniego, który chwiejnym krokiem opuszczał sklep GameStop. Jego oczy za przekrzywionymi okularami o grubych szklach spoglądały nieprzytomnie, jakby był odurzony.

– To koniec? – zapytał ją. – Już po wszystkim?

– Jesteś ranny?

– Nie. Uderzyłem się w łokieć. Ja... – Te nieprzytomne oczy prześlizgnęły się po niej, a potem po krwawiących i martwych. – Jezu, o Jezu. Na... na zapleczu. Mam ludzi na zapleczu. Tak jak mówili, żeby zrobić, gdyby... Są na zapleczu.

– Poczekaj chwilę. – Odwróciła się i przez radio zapytała, czy może wyprowadzić grupę na zewnątrz i do którego punktu kontrolnego.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

– Chaz Bergman. Jestem dziś kierownikiem zmiany.

– Okej, Chaz, dobrze się spisałeś. Wyprowadźmy teraz twoich ludzi. Funkcjonariusze przyjmą wasze zeznania, ale najpierw wszystkich wyprowadźmy.

– Mam przyjaciela. Nazywa się Reed, Reed Quartermaine. Pracuje w Mangii, to restauracja. Może go pani znaleźć?

– Znajdę. – Essie dodała go do swojej listy.

– Czy to już koniec? – powtórzył pytanie Chaz.

– Tak – potwierdziła, mając świadomość, że kłamie. Dla nikogo, kto tego dnia doświadczył przemocy, to nigdy się nie skończy.

Reed trzymał na ręku Brady'ego, kiedy dostrzegł kilkoro spośród pracowników Mangii. Niektórzy siedzieli na krawężniku, obejmując się nawzajem. Rosie, nadal w kucharskim fartuchu, zakrywała dłońmi twarz.

Zawsze mu mówiła: „Zjedz ten makaron. Podtucz się, chudzielcu”.

– Już wszystko dobrze, już dobrze. – Reed zamknął oczy i pochylił się, by przysiąść obok niej.

Poderwała się i objęła go.

– Nie jesteś ranny. – Ujęła w dłonie jego twarz.

Pokręcił głową i zapytał:

– Nikomu nic się nie stało?

Rosie wydała z siebie płaczliwy dźwięk.

– Wszedł i... – Urwała, zauważywszy chłopca, którego Reed trzymał. –  
Później o tym porozmawiamy. Kim jest ten przystojniak?

– To Brady. – Nie wszyscy się uratowali, pomyślał. – My, hm, spędzaliśmy  
razem czas. Muszę mu pomóc znaleźć mamę.

I zatelefonować do własnej, stwierdził. Wysłał jej esemes, napisał, że nic mu  
nie jest, niech się nie martwi. Ale musiał zadzwonić do domu.

– Dobrzy chłopcy przyjechali na ratunek – powiedział Reed.

– To prawda. – Rosie uśmiechnęła się przed łyzy.

– Chcę do mamusi.

– Poproszę o pomoc któregoś z gliniarzy.

Reed wstał i podszedł do policjantki – wybrał dziewczynę, bo sądził, że Brady  
będzie wolał pójść z kobietą.

– Czy może mi pani pomóc? To jest Brady, nie może znaleźć mamy.

– Cześć, Brady. Jak nazywa się twoja mama?

– Mamusia.

– Jak tatuś się do niej zwraca?

– Skarbie.

Essie się uśmiechnęła.

– Jestem pewna, że ma jeszcze inne imię.

– Lisa Skarbie.

– Dobrze, a jak brzmi twoje pełne imię?

– Jestem Brady Michael Foster. Mam cztery lata. Mój tatuś jest strażakiem  
i mam psa o imieniu Mac.

– Strażak. A jak się dokładnie nazywa?

– Michael Skarbie.

– Okej. Poczekaj chwilę.

Strażacy byli wśród służb ratunkowych, więc Essie znalazła jednego z nich.

– Szukam Michaela Fostera. Mam jego syna.

– Foster jest jednym z moich ludzi. Masz Brady’ego? Jest ranny?

– Nie.

– Jego matkę wiozą do szpitala. Dostała dwa strzały w plecy, cholera. Foster szuka teraz chłopca. Nie wiedział, że tu są, dopóki ratownicy nie znaleźli Lisy. – Przetarł twarz dłońmi. – Trudno powiedzieć, czy przeżyje. O, tam jest!

Essie zobaczyła mężczyznę, który spieszył przez tłum wstrząśniętych ludzi. Mocno zbudowany, ciemnoskóry, o krótko ostrzyżonych włosach. Drgnął, opuścił ramiona, a potem biegiem ruszył w stronę syna.

– Tatuś! – pisnął Brady w ramionach Reeda.

Michael wziął syna z jego rąk, objął mocno i zaczął całować główkę i buzię.

– Brady, Bogu dzięki, Bogu dzięki. Jesteś ranny? Czy ktoś cię skrzywdził?

– Mamusia upadła i nie mogłem jej znaleźć. Reed mnie znalazł i powiedział, że musimy być bardzo cicho i czekać na dobrych panów. Byłem bardzo cicho, tak jak mi kazał, nawet kiedy wsadził mnie do schowka.

W oczach Michaela zakręciły się łzy, kiedy spojrzał na Reeda.

– Ty jesteś Reed?

– Tak, proszę pana.

Michael wyciągnął rękę i chwycił jego dłoń.

– Nigdy nie będę w stanie dostatecznie ci podziękować. Mam ci tyle do powiedzenia, ale... – Przerwał, kiedy jego umysł rozjaśnił się na tyle, by zauważyć krew na spodniach i butach Reeda. – Jesteś ranny.

– Nie, nie sędzę... To nie moja krew. Nie jest... – Słowa zamaryły mu w ustach.

– Okej. Dobrze, Reed. Posłuchaj, muszę zabrać stąd Brady’ego. Potrzebujesz pomocy?

– Muszę znaleźć Chaza. Nie wiem, czy wszystko z nim w porządku. Muszę go znaleźć.

– Poczekaj.

Michael oparł sobie Brady’ego wygodniej na ręce i wyciągnął radio.

– Chcę do mamusi.

– Okej, kolego, ale teraz musimy pomóc Reedowi.

Podczas gdy Michael rozmawiał przez radio, Reed rozejrzał się wokół. Tyle świateł, wszystko takie jaskrawe i niewyraźne. Tak wielki hałas. Rozmowy, krzyki, płacz. Zobaczył, jak jakiś mężczyzna na noszach, jęczący i zakrwawiony, jest wkładany do karetki. Kobieta w jednym bucie, z cienką strużką krwi spływającą z boku twarzy, kulejąc, krążyła w kółko i wołała Judy dopóty, dopóki ktoś w mundurze jej stamtąd nie zabrał.

Dziewczyna z długim, ciemnym końskim ogonem siedziała na krawężniku i rozmawiała z policjantem. Cały czas kręciła głową, a jej oczy, jasnobrązowe jak u tygrysa, błyszczały w kłębowisku wirujących świateł.

Reed dostrzegł telewizyjne vany i jeszcze więcej jasnych świateł za żółtą policyjną taśmą. Ludzie tłoczyli się za nią, niektórzy wykrzykując czyjeś imiona.

Uderzyła go nagła myśl: niektóre z wołanych osób nigdy nie odpowiedzą.

Zaczął się cały trząść od środka: żołądek, jelita, serce. W uszach miał szum, wzrok mu się zamglił.

– Hej, Reed, może usiądziesz na chwilę? Dowiem się, co z twoim przyjacielem.

– Nie, muszę... – Zobaczył Chaza, który wychodził z grupą ludzi prowadzoną przez policjantów. – Jezu. Jezu, Chaz!

Wykrzyknął to tak, jak ci ludzie za policyjną taśmą, i pobiegł sprintem.

Siedząca na krawężniku Simone czekała, by odzyskać czucie w nogach. Ciało miała zdrętwiałe, jakby ktoś znieczulił ją całą nowokainą.

– Z twoją mamą i siostrą wszystko jest w porządku. – Usłyszała głos policjantki McVee i starała się zrozumieć jej słowa.

– Gdzie one są? Gdzie są?

– Wkrótce je stamtąd wyprowadzą. Twoja mama ma trochę drobnych obrażeń. Drobnych, Simone. Nic jej nie jest. Dostały się do jednego ze sklepów i tam schroniły. Mama ma kilka ran ciętych od lecącego szkła i uderzyła się w głowę. Ale to nic poważnego, rozumiesz?

Simone była w stanie jedynie kręcić głową.

– Mama uderzyła się w głowę.

– Nic jej nie będzie. Były w bezpiecznym miejscu i zaraz wyjdą.

– Mi i Tish.

Wiedziała. Zrozumiała ze sposobu, w jaki funkcjonariuszka McVee objęła ją ramieniem. Właściwie nie była tego świadoma, czuła tylko ciężar.

Ciężar.

– Mi jest w drodze do szpitala. Zajmą się tam nią, zrobią wszystko, co w ich mocy.

– Mi... Postrzelił ją? – Głos Simone zabrzmiał tak ostro, że zranił jej własne uszy. – Postrzelił ją?

– Jedzie do szpitala, czekają już, żeby się nią zająć.

– Musiałam się wysiusiać. Nie było mnie tam. Musiałam się wysiusiać. Tish tam była. Gdzie jest Tish?

– Trzeba poczekać, aż wszyscy wyjdą i zostaną policzeni.

Simone nie przestawała kręcić głową.

– Nie, nie, nie. Siedziły razem. Ja musiałam iść się wysiusiać. Postrzelił Mi. Strzelił do niej. Tish. Siedziły razem.

Spojrzała na Essie i zrozumiała. A zrozumienie sprawiło, że znów zaczęła czuć. Czuła wszystko.

Reed zamknął Chaza w niedźwiedzim uścisku. Poczuł, że przynajmniej niektóre sprawy wróciły do normy. Obejmując się, stali naprzeciwko dziewczyny z długim, brązowym końskim ogonem i tygrysimi oczami.

Kiedy wydała z siebie przenikliwy lament, Reed oparł głowę na ramieniu Chaza.

Wiedział, że w tym lamencie bez słów kryło się imię osoby, która już nigdy nie odpowie.

Nie mogli jej zmusić do powrotu do domu. Wszystko jej się mieszało i plątało, ale miała świadomość, że siedzi na twardym plastikowych krześle w szpitalnej poczekalni i trzyma w ręce colę.

Siostra i ojciec siedzieli z nią. Natalie wtuliła się w tatę, ale Simone nie chciała być obejmowana ani dotykana.

Nie wiedziała, jak długo czekali. Bardzo długo? Pięć minut?

Inni ludzie też czekali.

Słyszała, jak podawano liczby. Różne.

Trzej zamachowcy. Osiemdziesiąt sześć osób rannych. Czasem liczba rannych zwiększała się, czasem zmniejszała.

Trzydzieści sześć osób nie żyje. Pięćdziesiąt osiem.

Liczby wciąż były nowe, wciąż się zmieniały.

Tish nie żyła. To się nie zmieni.

Musieli czekać na tych twardych krzesłach, podczas gdy ktoś wyjmował odłamki szkła z głowy jej matki i opatrywał rozcięcia na twarzy.

Simone wyobrażała sobie tę twarz, wszystkie te skaleczenia i bladość, głęboką bladość pod makijażem. Jasne włosy matki, zawsze perfekcyjnie ułożone, teraz splątane i zakrwawione.

Wywieźli ją na jednych z tych noszy na kółkach, a płacząca Natalie kurczowo trzymała ją za rękę.

Natalie nie została ranna, bo mama popchnęła ją do sklepu, a sama upadła. Natalie wciągnęła ją do środka i za gablotę z wystawionymi letnimi koszulkami.

Natalie była dzielna. Simone jej to powie, kiedy znów będzie w stanie mówić.

Teraz jednak musieli usunąć szkło z głowy matki i zbadać ją, bo uderzyła się w głowę i na kilka minut straciła przytomność. Wstrząśnienie mózgu.

Simone wiedziała, że Natalie chce wrócić do domu, bo tata powtarzał jej, że mamie nic nie będzie, że zaraz wyjdzie ze szpitala i będą mogli jechać.

Simone nie zamierzała wracać, a oni nie mogli jej zmusić. Tish nie żyła, Mi przechodziła operację. Nie mogli jej zmusić.

Trzymała puszkę coli w obu dłoniach, żeby ojciec nie wziął jej znów za rękę. Nie chciała, żeby ktokolwiek trzymał ją za rękę czy przytulał. Jeszcze nie teraz. Może już nigdy. Musiała tylko czekać na tym twardym plastikowym krześle.

Pojawił się lekarz i ojciec zerwał się na równe nogi.

Tata jest taki wysoki, pomyślała Simone z roztargnieniem, taki wysoki i przystojny. Nadal miał na sobie garnitur i krawat, bo wrócił do domu z firmowej kolacji i włączył wiadomości. Po czym pojechał prosto do centrum handlowego.

Lekarz przekazał ojcu informacje: lekkie wstrząśnienie mózgu i kilka szwów.

Kiedy matka wyszła z gabinetu zabiegowego, Simone z drżeniem podniosła się z krzesła. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo bała się, że z matką nie jest dobrze. Że będzie z nią jak z Mi albo gorzej – jak z Tish.

Ale matka wyszła do poczekalni. W kilku miejscach na twarzy miała dziwaczne opatrunki, ale nie była blada, tak bardzo blada jak przedtem. Tak, jak Simone wyobrażała sobie, że wyglądają martwi ludzie.

Natalie skoczyła i objęła matkę.

– Moja dzielna dziewczynka – szepnęła Tulip. – Moje dzielne dziewczynki – powiedziała, wyciągając rękę do Simone.

I w końcu Simone zapragnęła być dotykana, chciała przytulić i być przytulaną. Objęła ramionami matkę razem z Natalie stojącą pomiędzy nimi.

– Wszystko w porządku, mam guz na głowie. Zabierzmy nasze córki do domu, Ward.

Simone usłyszała łzy w głosie matki i przytuliła się do niej mocniej na jeszcze jedną chwilę. I zamknęła oczy, kiedy ojciec objął je wszystkie trzy.

– Pójdę po samochód – powiedział.

Simone się odsunęła.

– Ja nie jadę. Nie wracam teraz do domu.

– Kochanie...

Jednak Simone gwałtownie potrząsnęła głową i o kolejny krok odsunęła się od zmęczonej, pokaleczonej i pokrytej opatrunkami twarzy matki.

– Nie jadę. Mi... Operują ją. Nie jadę.

– Kochanie. – Tulip znów spróbowała. – Nie możesz tu nic zrobić i...

– Mogę tu być.

– Nat, pamiętasz, gdzie stoi nasz samochód?

– Tak, tato, ale...

– Zabierz mamę. – Podał Natalie kluczyki. – Wy dwie idźcie do samochodu.

Dajcie chwilę mnie i Simone.

– Ward, dziewczynki muszą wrócić w domu. Muszą być z dala od tego.

– Idź do samochodu – powtórzył, nawet gdy Simone znów usiadła, obejmując się ramionami w wyrazie pełnego przygnębienia buntu. Pocałował żonę w policzek, szepnął coś, po czym usiadł obok córki. – Wiem, że jesteś przerażona. Wszyscy jesteśmy.

– Nie byłeś tam.

– To też wiem. – Teraz usłyszała ból w jego głosie, ale otrząsnęła się. Odepchnęła to. – Simone, jest mi strasznie przykro z powodu Tish. Z powodu Mi. Obiecuję, że kiedy będziemy w domu, dowiemy się, co z Mi, i że jutro cię do niej zawiozę. Ale mama musi wracać, Natalie też.

– Zabierz je.

– Nie mogę cię tu zostawić.

– Muszę zostać. Ja je opuściłam. Opuściłam je.

Przyciągnął ją do siebie. Opierała się, próbowała mu się wyrwać, ale był silniejszy i trzymał ją, aż wreszcie się poddała.

– Jest mi bardzo przykro z powodu Tish i Mi – powtórzył. – I przez resztę życia będę wdzięczny za to, że nie było cię w kinie. Teraz muszę zaopiekować się twoją mamą i siostrą. Muszę zaopiekować się tobą.

– Nie mogę zostawić Mi. Nie mogę. Proszę, nie próbuj mnie zmuszać.

Mógłby i Simone obawiała się, że to robi, ale gdy się od niego odsunęła, pojawiła się CiCi.



Długie, powiewające rude włosy, pół tuzina rzędów koralików i kryształków na szyi, szeroka niebieska spódnica i sandały Dr. Martens.

Podniosła Simone z krzesła, zamykając ją w wyćwiczonych jogą ramionach i obłoku brzoskwiniowo pachnących perfum z leciutką nutą marihuany.

– Bogu dzięki! Och, maleńka! Dzięki niech będą wszystkim bogom i boginiom. Tulip? – zapytała Warda. – Natalie?

– Właśnie poszły do auta. Tulip ma parę guzów i zadrapań, to wszystko. Nat nic się nie stało.

– CiCi zostanie ze mną. – Simone zbliżyła usta do ucha babki. – Proszę cię, proszę.

– Oczywiście, że zostanę. Jesteś ranna? Jesteś...

– On zabił Tish. Mi... Operują ją.

– Och, nie. – CiCi zaczęła kołysać Simone i szlochać razem z nią. – Te słodkie dziewczyny, takie młode, słodkie dziewczyny.

– Tata musi zabrać mamę i Natalie do domu. Ja muszę czekać tutaj. Czekać na Mi. Proszę.

– Oczywiście, że musisz. Zajmę się nią, Ward. Zostanę przy niej. Przywiozę ją do domu, kiedy skończą operować Mi. Zajmę się nią.

Słyszając ostry ton słów CiCi, Simone wiedziała, że ojciec był gotów zaprotestować.

– W porządku. – Ujął twarz córki w dłonie i pocałował ją w czoło. – Simone, zadzwoń, jeśli poczujesz, że jestem ci potrzebny. Będziemy się modlić za Mi.

Patrząc, jak ojciec się oddala, wsunęła rękę w dłoń CiCi.

– Nie wiem, gdzie ona jest. Mogłabyś się dowiedzieć?

CiCi Lennon potrafiła sprawić, że ludzie mówili jej wszystko, co chciała wiedzieć, i robili to, co uważała, że powinni robić. Nie trzeba było długo czekać, aby zaprowadziła Simone do innej poczekalni.

W tej były krzesła z poduszkami, sofy i ławki, a nawet automaty z przekąskami.

Simone dostrzegła rodziców Mi, jej starszą siostrę, młodszego brata

i dziadków. Ojciec Mi pierwszy ją zauważył. Wyglądał tysiąc lat starzej niż wtedy, gdy zabierały Mi w drodze do kina.

Pamiętała, że pracował wtedy w ogrodzie przed domem i pomachał im na pożegnanie.

Wstał i ze łzami w oczach podszedł, by ją objąć.

– Tak się cieszę, że nie jesteś ranna. – Mówił perfekcyjnym, precyzyjnym angielskim i pachniał świeżo skoszoną trawą.

– Opuściłam je. Musiałam skorzystać z toalety i zostawiłam je. Wtedy...

– Och, cieszę się z tego powodu. Panno Lennon, to miło, że pani przyszła.

– CiCi – poprawiła go. – Teraz wszyscy jesteśmy rodziną. Chciałybyśmy poczekać z wami, przesłać Mi nasze uzdrawiające myśli i światła.

Podbródek mu drżał, gdy ojciec Mi próbował się opanować.

– Simone, mój skarbie, może usiądziesz z mamą Mi? – Objęła ramieniem pana Jung. – Przejdźmy się trochę.

Simone podeszła i usiadła przy pani Jung. Kiedy ta ścisnęła jej dłoń, trzymała ją mocno.

Wiedziała, że CiCi wierzy we fluidy, światła, okadzanie i medytację. I wszelkiego rodzaju rzeczy, na których myśl jej córka przewracała oczami. Wiedziała również, że jeśli ktokolwiek czystą siłą woli mógłby sprawić, żeby Mi z tego wyszła, była to CiCi.

Dlatego trzymała się tej myśli tak kurczowo, jak ścisnęła rękę matki Mi.

## ROZDZIAŁ 3

**K**iedy CiCi wróciła, Simone wstała, żeby pan Jung mógł usiąść przy żonie. Zanim zdążyła zająć inne krzesło, Nari, siostra Mi, wzięła ją pod ramię.

– Pomóż mi przynieść herbatę.

Przeszły razem przez rozległą poczekalnię do lady, na której były pojemniki z gorącą wodą, kawą, torebki herbaty i jednorazowe kubeczki.

Nari, smukła, pilna studentka drugiego roku MIT, zręcznie ustawiła herbatę na tekturowej tacy.

– Nie powiedzą ci. – Mówiła cicho, posyłając Simone długie spojrzenie ciemnych oczu zza szkieł okularów w ciemnych oprawkach. – Jest źle. Mi została trafiona trzy razy.

Simone otworzyła usta, ale nie wydobyła z nich słowa. Nie było słów.

– Słyszałam, jak jeden z policjantów rozmawiał z pielęgniarką, kiedy zabrano ją na salę operacyjną. Straciła mnóstwo krwi. Jest taka drobna i straciła tak wiele krwi. Pójdiesz ze mną, żeby oddać dla niej krew? Może nie będzie dla niej, ale...

– Tak. Co mamy zrobić? Dokąd pójść?

Ponieważ była niepełnoletnia, Simone potrzebowała zgody CiCi. Stały w kolejce, bo tak dużo osób postanowiło zrobić to samo.

Simone odwróciła głowę, kiedy igła wbiła się w jej ciało, bo na widok igieł robiło jej się lekko niedobrze. Później, zgodnie z zaleceniem, wypila kubeczek soku pomarańczowego. Wracając, powiedziała CiCi, że musi skorzystać z toalety.

– Pójdę z tobą.

– Dzięki, nie trzeba. Zaraz wrócę.

Chciała iść sama, głównie dlatego, że musiała wymiotować sok pomarańczowy.

Kiedy jednak weszła do środka, przy jednej z umywalek ujrzała płaczącą kobietę.

Matka Tiffany. W siódmej klasie pani Bryce była jej nauczycielką angielskiego. W tym samym roku – o czym wszyscy wiedzieli – pan Bryce rozwiódł się z nią i ożenił z o wiele młodszą kobietą, z którą miał romans i która była w ciąży.

Simone zdała sobie sprawę, że zupełnie nie myślała o Tiffany ani o Trentcie, chłopaku, którego, jak jej się wydawało, kochała.

– Pani Bryce – odezwała się.

Wciąż łkając, kobieta odwróciła się.

– Bardzo mi przykro. Jestem Simone Knox. Uczyła mnie pani w szkole średniej. Znam Tiffany. Widziałam ją dziś wieczorem, zanim... Przedtem.

– Byłaś tam?

– Z Mi-Hi Jung i Tish Olsen. W kinie. Mi jest teraz operowana. Została postrzelona. Postrzelił ją. I zabił Tish.

– Boże.

Stały tak, obie płacząc.

– Tish? Tish Olsen? O Boże. – Pani Bryce objęła Simone, a ta przywarła do niej. – Tiffany jest na bloku operacyjnym. Ona... Nie potrafią mi powiedzieć.

– A Trent? Była z Trentem.

Pani Bryce odstąpiła krok w tył i przycisnąwszy do oczu kłęby kciuków, pokręciła głową.

– Pomodłę się za Mi. – Odwróciła się znów do umywalki, odkręciła wodę i zaczęła opłukiwać twarz. – A ty pomódl się za Tiffany.

– Zrobię to – obiecała szczerze Simone.

Już nie miała potrzeby wymiotować. Czuła się pusta.

W poczekalni zasnęła z głową na kolanach CiCi. Obudziwszy się, pozostała

zwinięta na nich i tak otumaniona, że sala wydawała jej się zasnuta cienką warstwą dymu.

Przez ten dym dostrzegła mężczyznę z siwymi włosami i w niebieskim stroju chirurga, który rozmawiał z panią Bryce, a także z panem Bryce'em, jak się zorientowała, oraz kobietą, która zaszła z nim w ciążę i została jego żoną.

Pani Bryce znów płakała, ale nie tak, jak wcześniej w toalecie. Dłonie kurczowo splótła na kolanach, miała mocno zaciśnięte usta, ale nie przestawała kiwać głową. I nawet poprzez warstwę mgły Simone widziała wdzięczność.

Tiffany nie umarła, nie tak jak Tish. Jak Trent.

Mi też nie umrze. Nie może.

Czekali. Simone znów zapadła w sen, ale tym razem płytki, więc poczuła, kiedy CiCi się poruszyła.

Lekarka z kruczoczarnymi włosami zaczesanymi do tyłu mówiła z akcentem – być może indyjskim. Znikł, kiedy Simone się podniosła i poprzez mgłę dotarły do niej słowa kobiety.

Mi przeżyła operację.

Rana postrzałowa w prawym ramieniu, ale mięśnie nienaruszone. Pocisk drasnął prawą nerkę. Zoperowana, prawdopodobnie nie ma trwałych uszkodzeń. Rana w klatce piersiowej. Płuca pełne krwi. Drenaż, operowanie, transfuzja. Następne dwadzieścia cztery godziny będą decydujące. Mi jest młoda i silna.

– Kiedy z sali pooperacyjnej zostanie przeniesiona na OIOM, będą państwo mogli ją zobaczyć. Krótco, tylko po dwie osoby naraz. Jest pod wpływem środków uspokajających – kontynuowała lekarka. – Będzie spała kilka godzin. A państwo powinni spróbować trochę odpocząć.

Pani Jung płakała, ale tak jak pani Bryce.

– Dziękuję, bardzo dziękuję. Poczekamy, a potem do niej pójdziemy. – Pan Jung objął żonę ramieniem.

– Zaprowadzę państwa na OIOM. Ale tylko rodzinę – dodała, zerkając na Simone i CiCi.

– Ta dziewczyna należy do rodziny – odparł pan Jung.

Ustępując, lekarka obejrzała się na Simone.

– Muszę umieścić twoje nazwisko na zatwierdzonej liście odwiedzających.

– Simone Knox.

– Simone Knox? Pierwsza osoba, która zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście?

– Nie wiem. Zadzwoniłam do nich.

– Simone, powinnaś to wiedzieć. Zawiadamiając ich tak szybko, dałaś Mi szansę na przeżycie. Umieszczę cię na liście.

Po tym, jak Simone pojechała do domu i poszła do łóżka, do mrocznych, urywanych snów, Michael Foster usiadł przy szpitalnym łóżku śpiącej żony.

Ocknęła się i znów zapytała o Brady'ego. Jej pamięć krótkotrwała była zakłócona, ale powiedziano mu, że powróci. Tymczasem za każdym razem, kiedy się budziła, musiał ją przekonywać, że ich synowi nic się nie stało.

Reed Quartermaine. Zawdzięczali to Reedowi Quartermaine'owi.

Obudzi się, pomyślał. Będzie żyła. I z powodu kuli w kręgosłupie już nigdy nie będzie chodzić. Jeden pocisk trafił ją tuż pod łopatką, ale drugi uszkodził dolny rdzeń kręgowy.

Michael próbował uwierzyć, że mieli szczęście, bo musiał w to wierzyć, żeby ją przekonać. Gdyby pocisk trafił wyżej, straciłaby czucie w tułowiu i rękach. Potrzebowałaby respiratora, nie byłaby w stanie odwrócić głowy.

Jednak mieli szczęście. Została jej oszczędzona trauma utraty kontroli nad pęcherzem i jelitami. Z upływem czasu i dzięki terapii będzie mogła używać zmotoryzowanego wózka inwalidzkiego, a nawet prowadzić samochód.

Ale jego piękna żona, która uwielbiała tańczyć, już nie będzie chodzić. Już nigdy nie będzie ścigać się po plaży z Bradym, wędrować pieszo, biegać w górę i w dół po schodach w domu, na który zaoszczędzili, odmawiając sobie wszystkiego. Wszystko dlatego, że trzech chorych, samolubnych drani urządziło sobie bezsensowne mordercze szaleństwo.

Nie wiedział nawet, który z tych trzech postrzelił jego żonę, matkę jego

dziecka, miłość jego cholernego życia. To bez znaczenia który, pomyślał. Oni wszyscy to zrobili.

John Jefferson Hobart, znany jako JJ, lat siedemnaście.

Kent Francis Whitehall, lat szesnaście.

Devon Lawrence Paulson, lat szesnaście.

Nastolatki. Socjopaci, psychopaci. Nie obchodziło go, jaką etykietkę przypną im psychiatrzy.

Znał liczbę ofiar, przynajmniej na godzinę czwartą rano, kiedy ją ostatnio sprawdzał. Osiemdziesiąt dziewięć. A jego Lisa była jedną z dwustu czterdziestu dwóch osób rannych. Bo trzech pokręceni chłopcy, uzbrojeni po zęby, weszli w piątkowy wieczór do centrum handlowego z zadaniem, żeby zabijać i ranić. Zadanie zostało wykonane.

Nie potrafił zaliczyć ich do ofiar – nie zasługiwali na to. Był jednak wdzięczny policjantce, która zastrzeliła Hobarta, i zadowolony, że dwaj pozostali zabili siebie – albo jeden drugiego. O czwartej rano ten szczegół pozostawał niewyjaśniony.

Michael był zadowolony, że nie czeka ich proces. Zadowolony, że on, człowiek, który poświęcił się ratowaniu życia, nie musi spędzać bezsennych nocy, wyobrażając sobie, że sam ich zabija.

Lisa poruszyła się, więc usiadł bliżej. Kiedy otworzyła oczy, ucałował jej dłoń.

– Brady?

– Nic mu nie jest, kochanie. Twoi rodzice się nim zajęli. Nic mu nie jest.

– Trzymałam go za rękę. Podnosiłam go, żeby uciec, ale wtedy...

– Liso, skarbie, nic mu się nie stało.

– Jestem taka zmęczona.

Kiedy zamknęła oczy, znów zaczął przyglądać się, jak śpi.

Reed obudził się o świcie. W głowie mu łupało, oczy piekły i czuł suchość w gardle. Najgorszy na świecie kac bez jednej kropli alkoholu.

Wziął prysznic – już trzeci, odkąd wrócił do domu do wyczerpanych, wdzięcznych rodziców i tulącej się do niego, łkającej siostry. Po prostu nie mógł dojść do siebie po tym, jak krew Angie poprzez spodnie przesiąknęła na jego skórę.

Wziął ibuprofen, popijając go wodą prosto z kranu.

Potem włączył komputer. Bez problemu znalazł relacje na temat strzelaniny.

Przyjrzał się trzem nazwiskom, potem zdjęciom. Pomyślał, że chyba zna Whitehalla, ale nie potrafił stwierdzić skąd.

Był pewien, że rozpoznaje Paulsona. Widział, jak ten ze śmiechem dziurawi kulami ciało mężczyzny.

Jeden z tych dwóch zabił Angie, ponieważ, jak donoszono, trzeci z nich, Hobart, nie opuszczał kina.

Jeden z nich zabił Justina, pomocnika kelnera z Mangii, dla którego to była pierwsza wakacyjna praca. I Lucy, kelnerkę, która pod koniec roku planowała odejść na emeryturę, żeby wsiąść z mężem do kampera i zwiedzać kraj.

Klientów też. Reed nie wiedział, jak wielu.

Dory była w szpitalu. Bobby, Jack i Mary również.

Rosie powiedziała mu, że chłopak z bronią wszedł przez szklane drzwi, zasypał kulami główną salę, po czym wyszedł. Trwało to dziesięć sekund, może dwadzieścia. Nie więcej.

Przeglądając relacje świadków, zatrzymał się i dwa razy przeczytał tę z GameStop.

*Usłyszeliśmy strzały, ale tak naprawdę nie wiedzieliśmy, co to było. W tym sklepie panuje hałas. Wtedy jakiś człowiek wbiegł, krzycząc, że ktoś strzela do ludzi. Krwawił, ale chyba nawet nie wiedział, że został postrzelony.*

*Właśnie wtedy kierownik sklepu – nie znam jego nazwiska – zaczął mówić, żeby wszyscy poszli na zaplecze. Kilka osób próbowało wybiec na zewnątrz, ale strzelanina się zbliżała. Była słyszalna i kierownik powtarzał ludziom, żeby*



*ukryli się na zapleczu. Brakowało tam miejsca, bo sklep był zatłoczony. Nigdy w życiu tak się nie bałem jak wtedy, ściśnięty w tym pokoju. Ludzie krzyczeli i modlili się, a on powiedział, że musimy być cicho.*

Wtedy to usłyszeliśmy, te strzały, bardzo głośne. W samym sklepie. Szkło pękało. Myślałem, że wszyscy umrzemy, ale wtedy to się skończyło. A może przeniosło dalej. On chciał, żebyśmy tam zostali do przyjazdu policji, ale ktoś chyba wpadł w panikę i popchnął drzwi. Część ludzi wybiegła. Przyszła policja i wyprowadziła nas na zewnątrz. Ten chłopak uratował nam życie, ten młody kierownik w okularach z grubymi szklami. Jestem przekonany, że uratował nam życie.

– Brawo, Chaz – mruknął Reed.

W małej kuchni swojego niewielkiego mieszkania Essie zaparzyła cały dzbanek kawy. Miała mnóstwo czasu, żeby ją wypić, ponieważ została tymczasowo zawieszona. Szef zapewnił ją, że wróci, i prawdopodobnie dostanie medal, ale trzeba przestrzegać procedury. Nie tylko użyła broni, ale zabiła.

Wierzyła szefowi i wiedziała, że zrobiła, co do niej należało, ale stwierdziła, że dopóki nie przywrócą jej do służby, będzie miała napięte nerwy. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnie być policjantką, zanim nie pojawił się cień wątpliwości, że może zostać zwolniona.

Podczas gdy stary kot spał na poduszce, Essie przygotowała sobie bajglę i wzięła ostatniego banana. Ponieważ rozmiar i rozkład mieszkania pozwalały jej widzieć ekran znad służącego zarówno do jedzenia, jak i do pracy kuchennego stołu, usiadła przy nim i włączyła telewizor.

Wiedziała, że prasa zna jej nazwisko, a zerknąwszy wcześniej przez okno, przekonała się, że dziennikarze wytropili jej adres. Nie zamierzała wychodzić z domu, przed którym czekał ją grad pytań, aparaty fotograficzne i kamery. Ktoś zdradził numer jej stacjonarnego telefonu, więc odłączyła aparat. Nieustanne dzwonienie wkurzało ją jak diabli.

Jak dotąd komórka pozostawała bezpieczna. Jeśli jej partner lub szef zechcą

się z nią skontaktować, uda im się. Poza tym miała e-mail.

Jedząc, otworzyła laptop i zaczęła oglądać poranne programy informacyjne, szukając wszelkich nowych dla niej informacji.

Używając laptopa, sporządziła listę nazwisk, które miała w głowie.

Simone Knox, jej matka i siostra. Reed Quartermaine. Chaz Bergman. Michael, Lisa i Brady Foster. Mi-Hi Jung.

Sprawdzi, co dzieje się z nimi wszystkimi, nawet jeśli będzie musiała poświęcić na to prywatny czas.

Zanotowała nazwiska zamachowców. Zamierzała dowiedzieć się o nich wszystkiego, co się da, o ich rodzinach, nauczycielach, przyjaciółkach i pracodawcach, jeśli tacy byli. Chciała ich poznać.

Wpisała liczby – aktualne – zabitych i rannych. Dodała nazwiska, kiedy je podano. Resztę zdobędzie.

Robiła, co do niej należy, pomyślała, oglądając wiadomości, jedząc i pracując. To jednak nie znaczyło, że sprawa nie była osobista.

CiCi Lennon żyła wedle własnych zasad. Dwie najważniejsze – „Staraj się nikogo nie skrzywdzić” oraz „Miej jaja, żeby mówić, co myślisz” – często się ze sobą kłóciły, ale pozostawały w harmonii z zasadą „Bądź wredna, kiedy to konieczne”, więc dobrze na tym wychodziła.

Wychowała się w Rockpoint, zamieszkanym przez klasę wyższą przedmieściu Portland w stanie Maine. Jej rodzice byli statecznymi metodystami i republikanami o tradycyjnych poglądach. Ojciec, dyrektor finansowy, i matka – pani domu, jak z dumą o sobie mówiła – należeli do country clubu, w każdą niedzielę chodzili do kościoła i urządzali przyjęcia. Co trzy lata ojciec kupował nowego cadillaca, w sobotnie poranki grywał w golfa, a w niedzielne popołudnia w tenisa (w parze z żoną), i kolekcjonował znaczki.

Matka co poniedziałek bywała u fryzjera, w środy grała w brydża i należała do klubu ogrodniczego. Deborah (nigdy Deb ani Debbie) Lennon pieniądze na drobne wydatki trzymała w białej rękawiczce w górnej szufladzie komody, nigdy

w życiu nie wypisała czeku ani w inny sposób nie zapłaciła rachunku, a wracającego z pracy męża witała z odświeżonym makijażem. Przygotowywała mu wieczorne drinki – wytrawne martini z jedną oliwką, z wyjątkiem lata, kiedy przerzucał się na gin z tonikiem i plasterkiem limonki – żeby mógł się odprężyć przed kolacją.

Lennonowie zatrudniali gospodynię zajmującą się domem codziennie, ogrodnika, który przychodził raz w tygodniu, a w sezonie także pracownika do utrzymania basenu. Posiadali letni dom w Kennebunkport i byli uważani, przez siebie samych i przez innych, za filary społeczności.

Naturalnie CiCi zbuntowała się przeciwko wszystkiemu, czym byli i za czym się opowiadali.

Cóż innego mogło zrobić dziecię lat sześćdziesiątych, by przerazić swoich konserwatywnych rodziców, niż z pasją zaangażować się w kontrkulturę? Potępiała patriarchalną strukturę Kościoła i ich styl życia, krytykowała rząd, brała udział w protestach przeciwko wojnie w Wietnamie i dosłownie spaliła swój biustonosz.

W wieku siedemnastu lat CiCi spakowała torbę i autostopem wyruszyła na marsz do Waszyngtonu. Od tego czasu podróżowała, a towarzyszyły jej seks, prochy i rock and roll. Spędziła wiosnę w Nowym Orleanie, dzieląc rozpadający się dom z grupą malarzy i muzyków. Malowała obrazy dla turystów – miała wrodzony talent.

Pojechała do Woodstock vanem, który pomogła pomalować w cudowny psychodeliczny wzór. Pewnego sierpniowego dnia, podczas błęgiego deszczowego weekendu, poczęła dziecko.

Kiedy zorientowała się, że jest w ciąży, skończyła z prochami i alkoholem, zastosowała dietę wegetariańską (jak będzie to robić mnóstwo razy z mnóstwa powodów przez dziesiątki lat) i dołączyła do hipisowskiej komuny w Kalifornii.

Malowała, uczyła się tkąć, sadziła i zbierała warzywa, bez powodzenia spróbowała żyć w lesbijskim związku.

W ładne wiosenne popołudnie urodziła córkę na łóżku w zrujnowanym domu

na farmie, kiedy z gramofonowej płyty płynęła piosenka Janis Joplin, a za otwartym oknem na wietrze kołysały się tulipany.

Kiedy Tulip Joplin Lennon miała sześć miesięcy, CiCi, tęskniąc za zielenią Wschodniego Wybrzeża, złapała okazję i zabrała się z grupą muzyków. Po drodze na krótko związała się z pewnym autorem piosenek, który, pijany w sztok, zaoferował jej trzy tysiące dolarów za namalowanie go.

Zrobiła to, portretując go odzianego jedynie w fendera stratocastera i zdezelowane buty.

CiCi wyruszyła dalej, sportretowany muzyk podpisał umowę z wytwórnią płytową i umieścił jej obraz na okładce albumu. Ślepym trafem jego singiel *Farewell, CiCi* znalazł się na liście przebojów Top 40, a sprzedaż albumu przyniosła mu złotą płytę.

Dwa lata później, kiedy CiCi i Tulip mieszkały w szeregowcu w Nantucket, muzyk przedawkował. Portret wystawiono na aukcję i sprzedano za trzy miliony dolarów.

W tym momencie artystyczna kariera CiCi gwałtownie nabrała rozpędu.

Siedem lat po tym, jak wyruszyła autostopem do Waszyngtonu, u jej ojca zdiagnozowano raka trzustki. Mimo że wysyłała kartki pocztowe i zdjęcia ich wnuczki, dzwoniła do nich dwa czy trzy razy w roku, stosunki CiCi z rodzicami pozostawały sporadyczne i napięte.

Wybuch płaczu matki podczas telefonicznej rozmowy sprawił jednak, że CiCi zadziałała zgodnie ze swoją kolejną zasadą: „Pomóż, kiedy możesz”.

Spakowała córkę, swoje przybory do malowania i rower do kupionego z trzeciej ręki rzęcha kombi i pojechała do domu.

Tam dowiedziała się paru rzeczy. Że jej rodzice kochali się głęboko. I że głęboka miłość nie oznaczała, że matka potrafi dać sobie radę z „brudnymi” pracami przy ojcu. Zrozumiała, że dom, w którym się wychowała, już nigdy nie będzie jej domem, ale że może tam mieszkać tak długo, jak długo służy to jakiemuś celowi.

Zrozumiała, że ojciec chciał umrzeć w domu, a ponieważ go kochała – cóż za

niespodzianka – cholernie dobrze dopilnuje, żeby jego życzenie się spełniło. Oparła się intensywnym namowom matki, by posłać Tulip do prywatnej szkoły, i umieściła ją w miejscowej placówce publicznej. W czasie gdy woziła ojca na chemioterapię, na wizyty u lekarza, sprzątała wymiociny, jej matka z radością zajmowała się Tulip.

CiCi zatrudniła pielęgniarkę, którego współczucie, łagodność i miłość do rocka uczyniły z nich przyjaciół na całe życie.

Przez dwadzieścia jeden miesięcy pomagała pielęgniarzowi opiekować się jej umierającym ojcem i prowadziła domowe rachunki, a matka uparcie trwała przy zaprzeczaniu rzeczywistości i rozpieszczała Tulip.

Ojciec zmarł w domu z kochającą żoną zwiniętą na łóżku u jego boku i córką trzymającą go za rękę.

Przez kilka kolejnych miesięcy CiCi akceptowała fakt, że matka nigdy nie stanie się niezależna, nigdy nie nauczy się pilnować stanu konta czy naprawić przeciekającego kranu. I uznała, że kompletnie oszaleje, jeśli pozostanie na przedmieściu w wielkim domu z kobietą, która ledwie umiała pojąć, jak wymienić żarówkę.

Ponieważ ojciec zostawił matkę więcej niż zabezpieczoną materialnie, CiCi zatrudniła menedżera do spraw finansowych, złotą rączkę na telefon i kiedy dotychczasowa odeszła na emeryturę, pełną entuzjazmu młodą gospodynią, która stałaby się również osobą do towarzystwa.

Kiedy podczas tych dwudziestu jeden miesięcy dowiedziała się, że ojciec zmienił testament i zostawił jej milion dolarów, po odliczeniu podatków, jej pierwszą reakcją była wściekłość. Nie potrzebowała ani nie chciała pieniędzy konserwatywno-prawicowej elity. Mogła – i robiła to – utrzymywać siebie i swoją córkę ze sztuki.

Jej wściekłość zgasła, kiedy zabrała Tulip na rejs promem na Tranquility Island i zobaczyła dom. Zachwyciły ją jego chaotyczny układ i szerokie tarasy – na dole i na piętrze. Widok na ocean, wąski pasek plaży, krzywizna skalistego wybrzeża.

Mogłaby to malować w nieskończoność.

Znak NA SPRZEDAŻ był dla CiCi właśnie tym. Znakiem.

Tylko czterdzieści minut rejsu promem od Portland – wystarczająco daleko (dzięki Bogu!) od matki, ale wystarczająco blisko, by uśmierzyć poczucie winy. Do tego wioska z wesołą społecznością artystów o wygodną przejażdżkę rowerem dalej.

Kupiła go – po twardych negocjacjach – za gotówkę i rozpoczęła nowy rozdział życia.

Teraz znów znalazła się na przedmieściu dla klasy wyższej, miała nadzieję, że na krótko, w domu córki zawsze bardziej przypominającej swoją babkę niż matkę, która próbowała dać jej poczucie przygody, niezależności i wolności.

Ponieważ nadal wyznawała zasadę „Pomóż, kiedy możesz”. A swoje wnuczki kochała bezgranicznie.

W eleganckiej, nowoczesnej kuchni przygotowała śniadanie dla córki i Warda. Kiedy przed domem pojawili się reporterzy, odłączyła telefony i zasłoniła okna.

Oglądała wiadomości w telewizji w pokoju gościnnym i słyszała odtwarzane nagranie telefonu Simone pod dziewięćset jedenaście. Zmroziło ją do szpiku kości. Ktoś ujawnił nie tylko nagranie, ale i nazwisko Simone.

Usiadła z Wardem i Tulip w kąciku jadalnym w kuchni i przedstawiła im swoją propozycję.

– Pozwólcie mi zabrać Simone na wyspę, przynajmniej na czas, kiedy nie zacznie się szkoła.

– Ona musi być w domu – zaczęła Tulip.

– Prasa nie zostawi jej w spokoju. Była pierwszą osobą, która zadzwoniła po pomoc, i jest piękną szesnastoletnią dziewczyną. Jedna z jej przyjaciółek zginęła, a druga jest w szpitalu. Mi przetrwała noc – dodała CiCi. – Wciąż jest w stanie krytycznym, ale wyjdzie z tego.

Ward westchnął niepewnie.

– Nie chcieli mi przekazać o niej żadnej informacji, kiedy tam dzwoniłem.

CiCi spojrzała na niego. Jest dobrym człowiekiem, pomyślała. Dobrym

człowiekiem, dobrym mężem, dobrym ojcem.

– Hwan kazał im umieścić nazwiska moje i Simone na zatwierdzonej liście odwiedzających. – Ponieważ był dobrym człowiekiem, CiCi wyciągnęła rękę i oparła dłoń na jego dłoni. – Powinieneś do niego zadzwonić.

– Tak. Zadzwonię.

Teraz CiCi położyła dłoń na dłoni córki.

– Tulip, wiem, że w tej chwili potrzebujesz swoich dzieci, a one potrzebują ciebie. Zostanę tak długo, jak długo będę mogła pomóc. Simone nie odjedzie, dopóki nie nabierze pewności, że nic ci nie jest i że z Mi wszystko jest w porządku. I przypuszczam, że policja musi z nią porozmawiać.

– Będziemy musieli przygotować oświadczenie dla prasy – wtrącił Ward. – Masz rację. Nie zostawię jej w spokoju.

– Ty też masz rację. Ale po tym wszystkim pozwólcie mi ją zabrać, dać jej parę tygodni spokoju i ciszy. Mogę jej to zapewnić nawet przy tym szalonym tłumie urlopowiczów na wyspie, Mi też, kiedy poczuje się wystarczająco dobrze. Nikt nie będzie jej przeszkadzał, ani im obu, dopilnuję tego. A Simone potrzebuje kogoś oprócz nas, z kim może o tym porozmawiać. Mój przyjaciel część lata spędza na wyspie. Jest terapeutą, ma gabinet w Portland. Możesz sprawdzić jego kwalifikacje, Ward. Możesz się z nim spotkać i pomówić.

– Będę musiał to zrobić.

– Wiem, ale przekonasz się, że jest bardzo dobry. Ona potrzebuje z kimś porozmawiać. Ty i Natalie też, kochanie.

– Nie chcę teraz z nikim rozmawiać ani nikogo widzieć. Chcę tylko być w domu, ze swoją rodziną.

CiCi chciała odpowiedzieć, ale Ward ostrzegawczo pokręcił głową.

– Okej, pomyślcie o tym. Tymczasem kilka tygodni na wyspie może pomóc Simone uciec od tego wszystkiego. Natalie też, jeśli zechce przyjechać, ale wiem, że bardzo jej zależy na obozie jeździeckim, a ten niedługo się zaczyna. Lubi spędzać czas na wyspie, ale Simone to kocha.

– Porozmawiamy o tym – odparł Ward. – Jesteśmy ci wdzięczni, CiCi, za...

– Nic z tych rzeczy. Rodzina robi to, co konieczne. A myślę, że tej rodzinie potrzeba teraz więcej kawy.

Kiedy wstała, do kuchni weszła Simone. Ciemne kręgi pod oczami o zgaszonym, ciężkim spojrzeniu odcinały się od bladości twarzy.

– Mi się obudziła. Pielęgniarka powiedziała, że jest u niej lekarz, a jej tata powiedział... powiedział, że o mnie pytała. Muszę jechać i zobaczyć się z Mi.

– Oczywiście, że musisz, ale najpierw powinnaś zjeść śniadanie. Nie chcesz chyba, żeby Mi zobaczyła cię taką bladą. To nie sprawi, że ona poczuje się lepiej, prawda, Tulip?

– Chodź, usiądź, skarbie – poprosiła matka.

– Nie jestem głodna.

– Tylko odrobinę. CiCi przygotuje ci coś niewielkiego.

Simone usiadła i spojrzała na twarz matki. Opatrunki, sińce.

– Lepiej się czujesz?

– Tak – odparła Tulip, ale jej oczy wezbrały łzami.

– Nie płacz, mamo. Proszę.

– Nie wiedziałam, gdzie jesteś. Uderzyłam się w głowę, a biedna Nat... To trwało ledwie minutę, ale byłam dezorientowana i przerażona – powiedziała. –

Słyszałam strzały, krzyki i nie wiedziałam, czy nic ci się nie stało, czy jesteś bezpieczna. Wiem, że Mi chce się z tobą zobaczyć, ale najpierw ja potrzebuję cię na chwilę.

– Nie wiedziałam, czy ty i Nat... Nie wiedziałam. – Usiadła obok matki i wtuliła twarz w jej ramię. – Kiedy się obudziłam, myślałam, że to był zły sen. Ale nie był.

– Już wszystko z nami w porządku.

– Z Tish nie.

Tulip głaskała ją i kołysała.

– Zadzwoń do jej ciotki. Zadzwoiłabym do matki, ale... Myślę, że zadzwonię do ciotki. Zapytam, czy możemy cokolwiek zrobić.

– Trent też nie żyje.



– Och, Simone.

– Widziałam w wiadomościach... Spojrzałam, zanim zesłam na dół, i zobaczyłam nazwiska, zdjęcia tych, którzy to zrobili. Chodzili do mojej szkoły. Znałam ich. Chodziłam z nimi do szkoły. Z jednym miałam zajęcia, a oni zabili Tish i Trenta.

– Nie myśl teraz o tym.

Zaprzeczenie, pomyślała CiCi, jak u jej babki. Zamykaj oczy na to, co złe, dopóki zdołasz.

CiCi patrzyła, jak Simone wstaje i siada na innej ławce, na wprost rodziców.

– W wiadomościach podali moje nazwisko. Wyjrzałam na zewnątrz i zobaczyłam, że są tam ludzie, reporterzy.

– Nie musisz się o to martwić – uspokoił ją Ward. – Zajmę się tym.

– To moje nazwisko, tato. I mój głos... Puścili nagranie mojego telefonu na policję. Mają moje zdjęcie ze szkolnego albumu. Nie chcę z nimi rozmawiać, nie teraz. Muszę zobaczyć się z Mi.

– Tata z nimi porozmawia – odparła szybko CiCi, podając jajecznicę z jednego jajka, dwa plasterki bekonu i tost z masłem. – A mama pomoże ci trochę się umalować. Moja Tule zawsze miała dobrą rękę do makijażu. Schowamy ci włosy pod czapkę z daszkiem, włożysz ciemne okulary i wyjdę z tobą z tyłu domu, a tata zajmie ich od frontu. Przejdziemy przez ogródki na podjazd Jeffersonów, gdzie zaparkowałam samochód. Zadzwoiłam do nich wczoraj wieczorem, żeby to wyjaśnić. Potem musimy jedynie zadzwonić do szpitala, żeby wpuścili nas bocznym wejściem.

– To bardzo dobry plan – mruknął Ward.

– Kiedy musisz szybko wymknąć się z hotelu, motelu, czegokolwiek, uczysz się, jak to robić. Zawieziemy cię do Mi. – CiCi delikatnie pogłaskała splecione włosy Simone. – Tylko najpierw trochę zjedz.

## ROZDZIAŁ 4

Zadziałało, dokładnie tak, jak zapowiedziała CiCi. Choć Simone miała wrażenie, że to jakiś dziwaczny sen z rodzaju tych, które miewała, nie będąc ani w pełni obudzona, ani głęboko śpiąc. Wszystko wydawało się jednocześnie wyraziste i nieostre, a dźwięki dochodziły z jakiegoś rozbrzmiewającego echem tunelu.

Kiedy jednak CiCi zaprowadziła ją na OIOM, serce Simone zaczęło bić tak głośno i szybko, jakby było zamknięte w ściśniętych dłoniach. To poczucie cofnęło ją w czasie do kabiny w toalecie, gdzie w przerażeniu kuciała z rozładowanym telefonem.

– CiCi.

– Oddychaj. Wciągaj powietrze nosem, jakby twój brzuch był balonem, który nadmuchujesz, a potem znów wypuszczaj je nosem, jakbyś je z niego spuszczała. Wdychaj i wydychaj – mówiła łagodnym tonem, jednym ramieniem obejmując Simone w pasie. – Tak jest. Już nic ci nie jest. Z Mi wszystko będzie dobrze, więc oddychaj dla niej. Spójrz, tam jest Nari.

Nari, blada ze zmęczenia, z podkrążonymi oczami, wstała i podeszła do nich.

– Rodzice są u Mi. Lekarz powiedział, że wkrótce przeniosą ją na oddział terapii półintensywnej, może jeszcze dzisiaj, bo jej stan się poprawił.

– Jest lepiej? – Simone poczuła, że się dławi. – Naprawdę lepiej?

– Tak, zapewniam. Wygląda... – Nari zacisnęła usta, które zaczęły drżeć. – Jest bardzo słaba, ale już jest lepiej. Musieliśmy jej powiedzieć o Tish. Bardzo chce cię zobaczyć, Simone.

– Nari, kochanie, byłeś tu całą noc? – zapytała CiCi.

– Dziadkowie zabrali mojego brata do domu. Ja zostałam z rodzicami. Nie mogliśmy jej zostawić.

– Przyniosę ci kawę. A może herbatę? Jakiś napój?

– Będę wdzięczna za kawę.

– Simone, posiedź z Nari. Nari, kiedy twoi rodzice wyjdą od Mi, wszyscy troje powinniście pojechać do domu i trochę się przespać. Simone i ja tu zostaniemy. Zaczniemy się zmieniać, żeby ktoś zawsze tutaj był. Na razie usiądź.

– Nie wiem, czy pojedą – powiedziała Nari, kiedy CiCi poszła po kawę.

– CiCi ich przekona. Jest w tym dobra. – Żeby być silną dla Mi, trzeba zacząć od razu, pomyślała Simone, prowadząc Nari z powrotem w stronę krzesel. – Będziemy się zmieniać, żeby Mi nigdy nie była sama.

– Ona pamięta. W każdym razie trochę. Policja rozmawiała z nią dziś rano. Lekarz pozwolił im wejść na kilka minut. A ty rozmawiałaś z policją?

– Dzisiaj nie. Jeszcze nie.

CiCi wróciła z colą dla Simone i kawą dla Nari.

– Dużo śmietanki i mało cukru, tak?

– Tak. – Nari zdołała się uśmiechnąć. – Pamiętałaś.

– Mam to zamknięte tutaj. – CiCi postukała się palcem w skroń i usiadła. – Przez kilka lat od czasu do czasu jeździłam z muzykami w trasę i zajmowałam się sprzętem. Uczysz się wtedy zapamiętywać, jaką kto lubi kawę, jaki alkohol i seks.

– CiCi.

– Takie jest życie, moje dziewczyny. Widujesz się z kimś, Nari?

Simone nie wiedziała, jak jej babka to robi, ale rozumiała powód. Z koszmaru przeniosła Nari do normalności. Simone podejrzewała, że w ciągu trzech minut dowiedziała się więcej o chłopaku, z którym Nari zaczęła się spotykać, niż wiedzieli o nim Mi czy ich rodzice. Irlandczyk z pochodzenia i katolik z Bostonu, który jeszcze dziś ruszył w drogę, żeby się z nią zobaczyć.

Kiedy pojawili się mama i tata Mi, CiCi wstała i podeszła, by szybko objąć

każde z nich. Simone zauważyła, że podczas ich szeptanej wymiany słów pani Jung ze łzami w oczach obejrzała się na drzwi, ale CiCi nie przestawała mówić cichym, kojącym tonem.

To jest jak sen, pomyślała Simone, kiedy w ciągu paru minut Jungowie zgodzili się na trochę wrócić do domu.

Kiedy to załatwiła, CiCi znów usiadła i poklepała Simone po kolanie.

– Nie wydaje im się, że będą spać, ale zasną. Ciało i umysł muszą się zregenerować, a umysł pokieruje ciałem.

– Nie wiedziałam, że Nari ma prawdziwego chłopaka.

– Sądzę, że ona też tego nie wiedziała, dopóki nie powiedział, że rzuca wszystko i przyjeżdża, żeby być przy niej. A teraz chcę, żebyś wytworzyła silne, pozytywne myśli.

Poruszając palcem w powietrzu, CiCi spojrzała na Simone porozumiewawczo oczami, które ta uważała za złociste, a które w rzeczywistości miały ten sam odcień, co jej własne.

– I nie myśl, że nie widzę tego uśmiešku, który posyłasz mi po cichu w głowie. Mimo wszystko wytwórz te myśli. Będziecie razem płakać, ale płacz jest uzdrawiający, choćby teraz na to nie wyglądało. Wysłuchasz jej, wszystkiego, co zechce powiedzieć. I o cokolwiek zapyta, nie będziesz ukrywać przed nią prawdy, bo jeśli teraz zawiedziesz wasze wzajemne zaufanie, możecie już nigdy go nie odzyskać.

– Nie chcę mówić niczego, co pogorszy sprawę.

– Już jest zła i przechodźcie przez to razem. Musicie być ze sobą szczerze. Teraz jest przy niej pielęgniarka. Idź zobaczyć się ze swoją siostrą, kochanie. Bądź silna i dzielna.

Simone nie czuła się silna ani dzielna, nie z tym szumem w głowie i uciskiem w piersi. Skinęła głową pielęgniarce, ale tak naprawdę nie zrozumiała, co ta do niej powiedziała.

Zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy przez szybę zobaczyła Mi.

Mi wydawała się taka maleńka, tak bardzo chora. Słaba, tego słowa użyła

Nari, ale w oczach Simone Mi wyglądała na rozbitą. Jak coś kruchego, co spadło i się roztrzaskało.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, ze zmęczonych oczu Mi popłynęły łzy.

Simone nie pamiętała, jak tam weszła. Czy pielęgniarka powiedziała jej, żeby nie dotykała Mi. Ale musiała to zrobić, musiała.

Przycisnęła policzek do policzka Mi, chwyciła rękę, które zdawały się wątłe jak skrzydełka ptaka.

– Myślałam... Bałam się, że mnie okłamali. – Głos Mi, wątki jak jej ręce, dławilo łkanie. – Bałam się, że ty też zginęłaś, a oni mi tego nie mówią. Bałam się...

– Nie zginęłam. Jestem tu. Nie zostałam ranna. Nie było mnie tam. Wyszłam...

Simone słyszała siebie – i słyszała głos CiCi: „Wysłuchaj jej”.

– Czy Tish naprawdę nie żyje?

Z policzkiem wciąż opartym na policzku Mi, Simone skinęła głową.

Rozplakały się obie. Drobne ciało Mi drżało w jej objęciach.

Simone przesunęła się, usiadła na brzegu łóżka i wzięła Mi za rękę.

– Wszedł tam. Z początku go nie widziałam. Potem usłyszeliśmy strzały i krzyki, ale to się stało bardzo szybko i nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Tish zapytała: „Co się dzieje?” i wtedy... – Mi zamknęła oczy. – Mogę dostać trochę wody?

Simone sięgnęła po kubek z wygiętą słomką i przytrzymała go, by Mi mogła się napić.

– Zastrzelił ją. Simone, zastrzelił ją, a ja poczułam ten... ten straszny ból. Tish opadła na mnie, a raczej się na mnie przechyliła, i poczułam jeszcze większy ból, a ona... nie wiem... drgała. Simone, on wciąż do niej strzelał, a ona była nade mną, więc zginęła. Ja nie. Uratowała mnie. Powiedziałam to policji. Nie mogłam się poruszyć. Nie mogłam jej pomóc. I byłam przytomna, ale to wydawało się nierzeczywiste. On wciąż strzelał i strzelał, a potem wszystko ustało. Strzały. Ale ludzie krzyczeli i płakali. Ja nie mogłam krzyczeć i nie

mogłam się poruszyć. Myślałam, że nie żyję i wtedy... Sądzę, że po prostu straciłam przytomność. Nie pamiętam już nic aż do chwili, gdy obudziłam się tutaj.

Zacisnęła palce, lekkie jak skrzydełka, na palcach Simone.

– Czy ja umrę?

Powiedz jej prawdę.

– Byłaś bardzo ciężko ranna i baliśmy się o ciebie. Minęło wiele godzin, zanim lekarka wyszła z sali operacyjnej, ale powiedziała, że dochodzisz do siebie. A dziś powiedzieli, że zamierzają zabrać cię z OIOM-u, bo już nie jesteś w stanie krytycznym. CiCi jest tu ze mną. Przekonała twoich rodziców, żeby na chwilę pojechali do domu i się przespali. Nigdy by się stąd nie ruszyli, gdybyś miała umrzeć.

Mi znów zamknęła oczy.

– Tish umarła. Dlaczego?

– Nie wiem. Nie potrafię... To wciąż wydaje mi się nierealne.

– Wyszłaś do toalety. Co się wydarzyło?

– Właśnie wracałam i pomyślałam, że ten hałas to dźwięki z filmu. A wtedy ktoś – jakiś mężczyzna – spróbował wybiec stamtąd i upadł. Widziałam, że jest cały zakrwawiony. Zajrzałam do środka, tylko na sekundę, i zobaczyłam... Zobaczyłam, że ktoś strzela, i wszystko słyszałam. Pobiełam z powrotem do toalety i zadzwoniłam pod dziewięćset jedenaście. Powiedzieli, żebym została tam, gdzie jestem, ukryła się i czekała, a kiedy rozmawiałam, telefon mi padł.

Mi uśmiechnęła się lekko.

– Znów zapomniałaś go naładować.

– Już więcej nie zapomnę, nigdy. Pojawiła się policja. Policjantka. Podałam jej wasze nazwiska, mamy i Natalie.

– Były w galerii handlowej. Zapomniałam o tym.

– Ich było trzech, Mi. Tak podano w wiadomościach. Dwóch w galerii i jeden w kinie.

– A twoja mama i Natalie? Nie, Simone, nie.

– Z nimi wszystko jest w porządku. Mama ma wstrząśnienie mózgu i kilka skaleczeń od lecącego szkła. Nat zaciągnęła ją za ladę. Nic jej nie jest. Im obu nic nie jest. – Zawahała się, a po chwili mówiła dalej. – Było ich trzech i zabijali ludzi. Zabili Tish. A my ich znałyśmy.

– Znałyśmy ich? – powtórzyła powoli Mi.

– Nie żyją. Cieszę się, że nie żyją. JJ Hobart.

– O Boże.

– Kent Whitehall i Devon Paulson byli w galerii handlowej. JJ był w kinie.

– Zabił Tish. Widywałam ich w szkole prawie codziennie. Zabili Tish.

– I Trenta. Nie żyje. Tiffany jest ciężko ranna. Wczoraj wieczorem spotkałam jej mamę. JJ strzelał do Tiffany. Może mieć uszkodzony mózg, a jej twarz... Słyszałam tylko trochę. Nie wiem, jak bardzo z nią źle.

– Wiedziałam, że zwłaszcza JJ był podły, czasami strasznie podły, ale... – Podkrążone oczy Mi znów wezbrały łzami. – To ja wybrałam ten film. Bardzo chciałam go zobaczyć, a teraz Tish nie żyje.

– To nie twoja wina. I nie moja, że wyszłam do toalety i nie było mnie tam. A jednak tak to czuję. Naprawdę tak czuję. Ale to ich wina, Mi. Nienawidzę ich. Zawsze będę ich nienawidzić.

– Jestem bardzo zmęczona – szepnęła Mi, zamykając oczy. – Nie odchodź.

– Będę na zewnątrz – powiedziała Simone, kiedy pielęgniarka podeszła do drzwi i dała znak, że jej czas się skończył. – Nigdzie nie pójde.

W przeszłości raz czy dwa razy Reed miał bardzo interesujące sny o rozbieraniu Angie do naga. Teraz, gdy powracały koszmary, w których ukrywał się przy jej martwym ciele, siedział w tylnym rzędzie ławek metodystycznego kościoła na jej pogrzebie.

Niemal wyperswadował sobie przyjście tutaj. Tak naprawdę nie byli przyjaciółmi. Właściwie jej nie znał. Nie wiedział, że jej rodzice się rozwiedli, czy że grała na flecie, a brat służył w piechocie morskiej. Być może dowiedziałby się tego wszystkiego, gdyby poszli do kina, na pizzę albo na

spacer po plaży. Ale nie zrobili tego.

Teraz był zagubiony, pełen poczucia winy i czuł się głupio, siedząc tu, wśród płaczących ludzi, którzy ją znali i kochali.

Jednak musiał przyjść. Prawdopodobnie był ostatnią osobą – niebędącą klientem – która z nią rozmawiała. Te straszliwe minuty spędził, ukrywając małego chłopca w jej sklepiku, podczas gdy ciało Angie znajdowało się tuż... obok. Miał jej krew na swoich butach i spodniach.

Dlatego siedział teraz, słuchając modlitw, szloch, przejmujących mów pochwalnych, w garniturze zbyt ciasnym w ramionach. Kiedy przyjechał do domu na lato, matka powiedziała mu, żeby kupić nowy garnitur, ale Reed odrzucił ten pomysł jako marnotrawstwo pieniędzy. Jak zwykle matka miała rację.

Rozmyślanie o garniturze wywołało w nim poczucie, że nie okazuje szacunku. Pomyślał więc o trzech twarzach, które bez przerwy oglądał w wiadomościach.

Młodszy od niego, wszyscy trzej, a jeden z nich zabił Angie.

Nie Hobart, jak pamiętał. Ten był w kinie, a policjantka – funkcjonariuszka McVee – zastrzeliła go. W mediach podano, że Hobart pracował w kinie. Powiedziano, że był ich przywódcą.

Angie zabił albo Whitehall, albo Paulson.

Na zdjęciach w telewizji i prasie czy w internecie wyglądali normalnie. Jednak nie byli normalni. Ten, którego Reed widział – i wciąż widywał w sennych koszmarach – wyposażony w kevlarową kamizelkę, ze śmiechem strzelający mężczyźnie w głowę, nie był normalny.

Teraz wiedział o nich więcej, o tych trzech, którzy podczas ośmiominutowej masakry zabili bliską mu dziewczynę. Hobart po nieprzyjemnym rozwodzie rodziców zamieszkał z ojcem. Jego młodsza siostra została z matką. Ojciec, zapalony kolekcjoner broni, nauczył dzieci polować i strzelać.

Whitehall mieszkał z matką, ojczymem, przyrodnim bratem i przyrodną siostrą. Ojciec, obecnie bezrobotny, kilka razy został aresztowany: za naruszenie porządku publicznego w stanie nietrzeźwym i za jazdę pod wpływem. Sąsiedzi



mówili, że Whitehall stronił od innych i miał problemy z narkotykami.

Paulson wydawał się wzorowym uczniem. Otrzymywał dobre stopnie, nie sprawiał kłopotów, miał ustabilizowane życie rodzinne, był jedynakiem. Należał do drużyny skautów i zdobył odznakę za osiągnięcia w strzelectwie sportowym. Był członkiem juniorem amerykańskiego związku strzelectwa sportowego z perspektywą na udział w olimpiadzie. Jego ojciec reprezentował Stany Zjednoczone na igrzyskach w Sydney w roku 2000 i w Atenach w 2004.

Ludzie, którzy znali Paulsona, powiedzieli, że zauważyli (po fakcie) może z pół roku wcześniej, że stał się bardziej zamknięty w sobie. Byłoby to mniej więcej w czasie, kiedy dziewczyna, która mu się podobała, stwierdziła, że woli kogoś innego, i Paulson spiknął się z Hobartem. Wtedy ci trzej, którzy stali się masowymi zabójcami, zaczęli wzajemnie karmić się swoim gniewem.

Dokumentowali to, jak doniosły media, w komputerowych plikach, które władze teraz analizowały. Z kolei Reed analizował relacje, zagłębiał się w spekulacje w internecie, oglądał telewizyjne wiadomości i nieustannie rozmawiał z Chazem i innymi ludźmi.

Chociaż bardzo chciał wiedzieć, po prostu zrozumieć, dlaczego to zrobili, spodziewał się, że minie wieczność, zanim wszystko wyjdzie na jaw. Jeśli w ogóle.

Jego zdaniem ze strzępów informacji, które złożył w całość, z plotek i rozmów wynikało, że Hobart nienawidził wszystkich. Matki, nauczycieli, współpracowników. Nienawidził czarnych, Żydów i gejów, ale głównie po prostu nienawidził. I lubił niszczyć.

Whitehall nienawidził swojego życia, pragnął być kimś i wierzył, że wszystko i wszyscy działali przeciwko niemu. Dostał wakacyjną pracę – w centrum handlowym – i w ciągu dwóch tygodni został wylany za przychodzenie do pracy na haju, jak twierdził były współpracownik, o ile w ogóle się pojawiał.

Paulson nienawidził swojego losu. Doszedł do wniosku, że przez całe życie robił wszystko, jak należy, a jednak stracił dziewczynę i w niczym nie potrafił dorównać ojcu. Stwierdził, że teraz musi być zły.

Ich celem stało się centrum handlowe, a Hobart wybrał multikino, ponieważ chciał zniszczyć miejsce, w którym miał zarabiać na życie.

Plotka głosiła, że przeprowadzili trzy próby, mierząc czas i doskonaląc plan. Zamierzali przegrupować się w salonie Abercrombie & Fitch, zabarykadować się tam, wziąć zakładników jako karty przetargowe i zastrzelić tylu policjantów, ilu tylko zdołają.

Whitehallowi i Paulsonowi niemal się udało, ale złożyli sobie przysięgę. Jeśli jeden z nich zginie, zginą wszyscy.

Kiedy Hobart się nie pojawił, a policjanci zaczęli się zbliżać, Whitehall i Paulson – jak opowiadali świadkowie – przybili żółwika, zawołali „Tak, kurwa!” i skierowali broń ku sobie nawzajem.

Być może coś z tego było prawdą. Może nawet większość. Jednak Reed spodziewał się, że coraz więcej będzie wychodziło na jaw. Miała powstać książka o nich, prawdopodobnie również cholerny telewizyjny film. Reed miał nadzieję, że nie powstaną.

Wrócił do rzeczywistości, kiedy ludzie zaczęli wstawać, i poczuł falę wstydu, że zamiast słuchać z uwagą, pogrążył się w myślach.

Wstał i czekał, podczas gdy żałobnicy wynosili Angie. Nie potrafił wyobrazić jej sobie w trumnie, nie chciał jej tam sobie wyobrażać. Członkowie jej rodziny wyszli jeden za drugim i stanęli razem, jakby podtrzymywali się wzajemnie.

Zauważył kilka osób, które teraz znał – Misty, przyjaciółkę Angie, i kilkoro innych pracowników centrum handlowego. Nie zaskoczył go widok Rosie. Siedział przy niej poprzedniego dnia na pogrzebie Justina, pomocnika kelnera. Wiedział, że ostatnie kilka dni Rosie spędziła na pogrzebach i w szpitalnych salach.

Stanął na uboczu, pozwalając jej odejść. Prawdopodobnie szła na następny pogrzeb albo żeby odwiedzić któregoś z rannych, może zanieść jedzenie komuś, kto stracił bliską osobę albo dochodził do zdrowia w domu. Taka była Rosie. Przeciwnieństwo tych trzech zabójców.

Z kościoła wyszedł na cudowne letnie popołudnie. Słońce świeciło na

błękitnym niebie usianym lekkimi białymi obłokami. Trawa była soczyście zielona. Wiewiórka pomknęła na drzewo.

To wszystko wydawało się nierealne.

Po drugiej stronie ulicy zobaczył reporterów, którzy kręcili filmowe relacje i robili zdjęcia. Chciałby nimi za to gardzić, ale czyż sam nie wsłuchiwał się w każde słowo, nie wpatrywał w każde zdjęcie, które publikowali?

Mimo to ruszył w drugą stronę, do samochodu, który zaparkował dwie przecznice dalej. Gdy usłyszał, że ktoś woła jego imię, zgarbił się, zamiast odwrócić. Jednak czyjaś ręka łagodnie opadła na jego ramię.

– Reed, to ja, funkcjonariuszka McVee.

Posłał jej puste spojrzenie. Miodowozłociste włosy opadały jej na plecy związane w gęsty koński ogon. Miała na sobie gładki biały T-shirt i spodnie khaki. Wyglądała młodziej.

– Przepraszam, nie poznałem pani bez munduru. Była pani na pogrzebie?

– Nie. Czekałam tutaj. Dzwoniłam do ciebie do domu. Twoja mama powiedziała mi, gdzie jesteś.

– Złożyłem zeznanie. Kilka razy.

– Nie jestem na służbie. Próbuję, no cóż, być w kontakcie z każdym, z kim zetknęłam się tamtego wieczoru. Dla siebie samej. Idziesz na cmentarz?

– Nie, czuję, że to nie byłoby właściwe. Jej rodzina i w ogóle. Nie znałem Angie aż tak dobrze. Po prostu... Próbowałem ją przekonać, żeby się ze mną umówiła. Być może poszlibyśmy na ten sam film, na ostatni seans, i... Jezu.

Niezdarnie obracał słoneczne okulary w drżących dłoniach.

– Chcesz pójść do parku? Usiąść na chwilę i popatrzeć na wodę? To zawsze pomaga mi się uspokoić.

– Nie wiem. Może. Chyba tak.

– Co powiesz na to, żeby pojechać ze mną? Potem odwiozłabym cię do twojego samochodu.

– Okej, jasne.

Rozmyślając o tym później, zastanawiał się, dlaczego z nią pojechał. Nie znał

jej. Była tylko niewyraźną twarzą i mundurem na tle szaleństwa i zamętu.

Jednak znajdowała się tam. Uczestniczyła w tym, tak jak on.

Kiedy wsiadł do jej samochodu, zauważył, że jest starszy i marniejszy od jego auta, chociaż o wiele czystszy. Potem sobie przypomniał.

– Zastrzeliła pani Hobarta.

– Tak.

– Rany, chyba nie wylali pani za to ani nic, co?

– Nie. Jestem wolna od zarzutów. Jutro wracam do pracy. Jak sobie radzą twoi rodzice?

– Są w rozsypce, ale dają radę.

– A ludzie z restauracji?

– Myślę, że to trudniejsze. Byliśmy tam i widzieliśmy... Nie można pozbyć się tego widoku. Ale pozbieraliśmy się. Jak Rosie, główna kucharka. Robi bardzo wiele. Chodzi na pogrzeby, do szpitala, zanoszą ludziom jedzenie. Sądzę, że to pomaga. Chyba.

– Co tobie pomaga, Reed?

– Nie wiem.

Przez uchylone okno czuł na twarzy powiew powietrza – morską bryzę. Prawdziwą. Auta przemykały obok nich, na chodniku kobieta pchała wózek z dzieckiem. Wszystko prawdziwe. Życie po prostu trwało dalej. A on był jego częścią. Miał szczęście być jego częścią.

– Często rozmawiam z Chazem. Moim przyjacielem z GameStop.

– Pamiętam. Uratował ludziom życie. Ty też.

– Ten mały? Brady? Jego tata do mnie zadzwonił. Chce przywieźć Brady'ego na spotkanie ze mną, może w przyszłym tygodniu. Powiedział, że jego żona ma się lepiej.

Przez chwilę Essie nic nie mówiła, ale – tak jak CiCi – wierzyła w prawdę i zaufanie.

– Przeżyła, ale jest sparaliżowana. Już nie będzie chodzić. On zapewne nie zechce cię tym obarczać, ale się zorientujesz.

– Cholera! Niech to szlag!

Odchylił głowę na oparcie fotela. Po chwili odzyskał oddech.

– Próbuje słuchać muzyki, rzucam piłkę do kosza na podwórzu, ale nie mogę przestać o tym czytać czy słuchać wiadomości. Nie mogę przestać.

– Uczestniczyłeś w tym.

– Rodzice chcą, żebym z kimś porozmawiał. Wie pani, z jakimś psychologiem czy kimś takim.

– Dobry pomysł. Ja muszę się z nim spotykać. Wymaga tego procedura, ale jest też drugi powód.

Reed otworzył szeroko oczy i spojrzał na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Musi pani porozmawiać z psychologiem?

– Już rozmawiałam. Jestem wolna od zarzutów – to był uzasadniony strzał – ale na razie posadzili mnie przy biurku. I muszę rozmawiać z policyjnym psychologiem. Niedługo wrócę do pełnej służby. Nie mam nic przeciwko temu, żeby przepracować ten problem. Zabiłam kogoś.

Zaparkowała i zgasła silnik.

– Zrobiłam to, żeby uratować ludziom życie, również własne i swojego partnera. Jednak zabiłam siedemnastoletniego chłopca. Gdybym potrafiła otrząsnąć się z tego bez najmniejszego żalu, nie powinnam być gliną.

Wysiadła z auta i czekała na niego.

Przez pewien czas przechadzali się. Idąc promenadą, minęli plac zabaw, a potem usiedli na ławce, gdzie mewy nurkowały i krzyczały, a niebieskie jak niebo fale przetaczały się w zatoce.

Łódki sunęły po wodzie i Reed słyszał śmiech dzieci. Tuż obok przebiegła kobieta o seksownym ciele w spodenkach z lycry i podkoszulku. Para, która w oczach Reeda wyglądała tak, jakby oboje mieli po tysiąc lat, spacerowała, trzymając się za ręce.

– Czy to prawda, co piszą w gazetach i mówią w telewizji, że on – ten Hobart – był przywódcą?

– Powiedziałabym raczej, że zapewne miał najsilniejszą wolę, naciskał na

realizację planu. Ale oni trzej? Wydaje mi się, że byli jak fragmenty chorej, smutnej układanki, które dopasowały się do siebie w najgorszym momencie. Kilka miesięcy wcześniej czy kilka miesięcy później Paulson prawdopodobnie by nie pasował.

Reed wiedział, jak gazety i telewizja opisywały Paulsona, co mówili jego sąsiedzi i nauczyciele. Jak bardzo ich to zaszokowało i że nigdy nie był gwałtowny, a zawsze pogodny i pomocny. Cholerny skaut.

Teraz wkładano Angie do ziemi. Wczoraj pochowano chłopaka, który podjął swoją pierwszą wakacyjną pracę. Jak wielu jeszcze?

– Nie sądzę, żeby można było zabijać w ten sposób, po prostu zabijać ludzi tak, jak oni to zrobili, jeśli nie ma się tego w sobie. Może – prawdopodobnie – każdy jest zdolny do zabijania, ale tak, jak pani to zrobiła. Żeby ratować czyjeś życie, chronić ludzi. W samoobronie czy jak żołnierz, wtedy jest inaczej. Jednak żeby zrobić to, co oni, trzeba mieć w sobie coś innego.

– Masz sporo racji. Myślę, że pochodząc z takiego środowiska, mając taką rodzinę, Paulson otrzymałby pomoc. Jednak związał się z pozostałymi w złym czasie i fragmenty tej układanki się połączyły.

Reed słuchał miękkich uderzeń fal, krzyku ptaków, czyjś radio. Złapał się na tym, że kiedy tu siedzi i z nią rozmawia, świat wydaje mu się bardziej rzeczywisty.

Miał wrażenie, że mocniej się weń zagłębia, kiedy tak z nią siedzi.

– Jakie to było uczucie? Kiedy pani do niego strzeliła?

– Aż do tamtego piątkowego wieczoru nigdy nie użyłam broni poza strzelnicą. Byłam cholernie przerażona – odparła. – Ale głównie przed i po fakcie. W tym momencie? Sądzę, że to się sprowadza do treningu i instynktu. On strzelił do mojego partnera. Widziałam martwych i umierających ludzi. Strzelił do mnie, a wtedy zrobiłam to, do czego byłam wyszkolona. Usunęłam zagrożenie. Potem musiałam działać dalej. Mój partner został postrzelony, ale nie został poważnie ranny. W toalecie była dziewczyna. Pierwsza osoba, która zadzwoniła pod numer alarmowy.

– To... Simone Knox.

– Tak. Znasz ją?

– Nie, po prostu... nie mogę przestać czytać i patrzeć. Pamiętam jej nazwisko.

– Należy to twojego klubu. Uratowała innym życie. Ukryła się i skontaktowała z policją. Barry – mój partner – i ja byliśmy na parkingu przed wejściem.

– O tym też czytałem. Byliście tuż obok.

– Wygląda na to, że Simone zadzwoniła minutę, może dwie po tym, jak Hobart wdarł się drzwiami ewakuacyjnymi, które zostawił niezamknięte na zamek. Tego wieczoru straciła przyjaciółkę, a druga wciąż jest w szpitalu i wraca do zdrowia. Simone sobie radzi, ale to trudne.

– Z nią też pani rozmawiała.

– Z nią, z jej przyjaciółką Mi, z Bradym i jego tatą. – Essie z westchnieniem podniosła twarz do słońca. – To mi pomaga i lubię myśleć, że może pomaga też im.

– Dlaczego została pani policjantką?

– W tamtym momencie wydawało mi się, że to dobry pomysł. – Uśmiechnęła się, a potem znów westchnęła, spoglądając na wodę. – Lubię porządek. Wierzę w prawo, ale to jest połączenie, które mi służy. Bardzo mi pasuje. Zasady i procedura, i staranie się, żeby pomagać ludziom. Nigdy nie wyobrażałam sobie siebie w takiej sytuacji, jak w tamten piątek, ale teraz wiem, że potrafię sobie poradzić. Mogę wykonywać tę pracę.

– Jak została pani policjantką?

Essie odwróciła do niego głowę i uniosła brwi.

– Zainteresowany?

– Może. Nie. Tak – odrzekł, uświadomiwszy to sobie. – Jestem zainteresowany. Nie zastanawiałem się za bardzo nad tym, co będę robił. Uważałem, że w końcu znajdę jakąś pracę. Lubię college. Mam dobre oceny, ale lubię tam być, więc nie myślałem zbyt wiele o tym, co będzie, kiedy skończę studia. Powiedziałem Brady'emu, że czekamy na dobrych ludzi, bo tak było.

A więc tak, chciałbym wiedzieć, jak zostać gliniarzem.

Zanim Essie odwiozła go do jego samochodu, Reed po raz pierwszy miał plan na przyszłość. Ten plan wykuł się ze śmierci, ale Reed wiedział, że wyrasta z niej jego życie.

Seleena McMullen miała ambicje i nałóg palenia. Ambicja, żeby zyskać sławę jako blogerka kazała jej stanąć na zewnątrz kościoła podczas ceremonii pogrzebowej. Jako reporterka internetowej strony *Hot Scoops*, z jej cokolwiek wątpliwą reputacją, nie cieszyła się zbytnim szacunkiem zgromadzonych tam przedstawicieli prasy i elektronicznych mediów.

To jej nie przeszkadzało. Pewnego dnia osiągnie większy sukces niż którykolwiek z nich.

Zarówno tę postawę, jak i ambicje rozwinęła w sobie podczas nauki w szkole średniej i college'u. Nie miała wątpliwości, że jest inteligentniejsza od każdego ze swoich rówieśników, więc nie widziała przeszkód, żeby ich o tym poinformować.

Jeśli to oznaczało brak prawdziwych przyjaciół, co z tego? Byli klienci. Jimmy'emu Rodgersowi przypisywała zasługę pomocy w przetarciu ku temu drogi w ósmej klasie. Udając, że ją lubi, mówiąc jej, że jest ładna – wszystko po to, żeby naiwnie odrabiała za niego prace domowe, podczas gdy on śmiał się z niej za jej plecami – dostarczył Seleenie bodźca do rozwinięcia własnego biznesu.

Odrabiała zadania domowe – oczywiście za opłatą. Zanim ukończyła szkołę średnią, zdążyła już zgromadzić pokaźną sumkę, którą powiększyła w college'u.

Świeżo po studiach, z jeszcze ciepłym dyplomem z dziennikarstwa w ręce, zaczęła się w gazecie „Portland Press”. Nie na długo. Redaktora naczelnego i współpracowników uważała za idiotów i nie zadawała sobie trudu, aby zachowywać się dyplomatycznie. Jednak przyszłość widziała w internecie i w wieku dwudziestu czterech lat przyłączyła się do *Hot Scoops*. Pracowała głównie w domu, a ponieważ swoją obecną posadę uważała za co najwyżej etap



przejściowy na drodze do własnej strony internetowej, własnego popularnego bloga, tolerowała redakcyjne ingerencje i beznadziejne zadania.

Wtedy niespodziewanie wpadła jej w ręce sprawa masakry w centrum handlowym DownEast.

Poszukując nowych butów do biegania, weszła tam kilka sekund przed tym, jak padły pierwsze strzały. Widziała, jak jeden z zamachowców – zidentyfikowany jako Devon Lawrence Paulson – dokonuje krwawego spustoszenia i przykucnąwszy za mapą centrum, wyjęła aparat fotograficzny i dyktafon.

Zdobyła sensacyjny materiał dla wszystkich gazet, stacji telewizyjnych, stron internetowych, ubiegając innych reporterów.

Kontynuując temat, tropiła ofiary masakry, członków ich rodzin, personel szpitala. Przekupywała salowe, zyskując dostęp do sal wystarczająco długi, by zrobić kilka zdjęć pacjentom, do jednej wślizgnęła się po tym, jak pacjent został przeniesiony z OIOM-u.

Dyktafon w jej kieszeni wychwycił fragment rozmowy Mi-Hi Jung i – bonus! – Simone Knox, co miało uatrakcyjnić kolejną opowieść.

Wykalkulowała, że potrzebuje jeszcze tylko kilku relacji, by zakończyć etap przejściowy. Już otrzymywała propozycje. A teraz nikotynowy nałóg dał jej jeszcze jedną okazję.

Odeszła od reszty reporterów, żeby zapalić. Pół przecznicy dalej stanęła z papierosem oparta o drzewo i zaczęła się zastanawiać. Kiedy zakończy się ceremonia w kościele, mogłaby pójść na cmentarz, ale ile jeszcze kliknięć wygenerują kolejne zdjęcia ubranych na czarno ludzi? Może ktoś by zemdłał, jak dzień wcześniej matka zabitego chłopaka. Ale, no cóż, była tam i to sfotografowała.

Czas na więcej plotek o zamachowcach, zdecydowała i już niemal ruszyła do samochodu, kiedy zobaczyła policjantkę.

Funkcjonariuszka McVee, pomyślała, przesuwając się wokół drzewa. Seleena kilka razy przymierzała się do rozmowy z nią – młoda policjantka, która

zastrelała Johna Jeffersona Hobarta, zapewniała wysoką klikalność. McVee nie była chętna do współpracy, ale w tym momencie stała na uboczu, unikając hałaśliwej gromady reporterów i włączonych kamer. Czekwała.

Interesujące, pomyślała Seleena. Ona też zaczęła czekać.

Pojawiła się trumna, więc zrobiła kilka zdjęć długim obiektywem, na wypadek, gdyby nic lepszego się nie wydarzyło. Obserwowała przesuwaną się McVee i dostrzegła kolejną okazję.

Reed Quartermaine – nastoletni obrońca dziecka strażaka, chłopca, którego matka została postrzelona w plecy.

Seleena zrobiła im kilka zdjęć, kiedy rozmawiali, potem ruszyli razem, wreszcie wsiedli do samochodu policjantki. Podczas gdy wszyscy skierowali się na cmentarz, pobiegła do swojego auta. Dwa razy niemal straciła ich z oczu, ale uznała to raczej za szczęśliwą okoliczność. Gdyby wyglądało na to, że siedzi im na ogonie, policjantka mogłaby ją zauważyć.

Układając sobie w głowie potencjalny tekst, zaparkowała w sporej odległości i obserwowała swoją zdobycz z samochodu, dopóki nie usiedli na ławce. Zadowolona, że zainwestowała w długi obiektyw, podeszła do nich najbliżej, jak się ośmieliła. Była po prostu jeszcze jedną osobą robiącą zdjęcia zatoki i łodzi.

Może nie mogła zbliżyć się dostatecznie, by ich słyszeć, a policjantka by z nią nie rozmawiała, ale kadrując zdjęcia, miała już gotowy nagłówek: „W kolejnym bolesnym dniu w Rockpoint śmierć łączy bohaterów masakry w centrum handlowym DownEast”.

O tak, już wkrótce zrobi ten krok, który zaprowadzi ją do celu.

## ROZDZIAŁ 5

– Trzy lata później –

**S**imone obróciła się, usiadła i trąciła mężczyznę, który dzielił z nią łóżko.  
– Musisz już iść.

Zamruczał w odpowiedzi.

Znała jego imię, wiedziała nawet, dlaczego zdecydowała się uprawiać z nim seks. Był czysty, w dobrej formie i chciał tego samego, co ona. Poza tym miał interesujące rysy, jakby wystrugane, rzeźbione i ostre. W wyobraźni widziała go jako współczesnego Billy’ego Kida. Twardego westernowego banitę.

Trochę czasu minęło, nim zaakceptowała myśli, że przygody na jedną noc mają konkretne, szczególne zalety w porównaniu z dramatami i problemami w związkach – albo są dla nich pretekstem.

Nie trzeba było jednak długo czekać, by uświadomiła sobie, że niosą też ze sobą ogromną nudę.

Ten facet, Ansel, ubierał się przy słabym brzasku rozjaśniającym okno. Simone nie zaciągnęła zasłon – po co zawracać sobie tym głowę?

Lubiła spoglądać na Nowy Jork i nie miała nic przeciwko temu, żeby jakaś część Nowego Jorku lubiała patrzeć na nią.

– Dobrze się bawiłem – powiedział.

– Ja też – odparła. Myślała tak na tyle szczerze, że nie można było uznać tego za kłamstwo.

– Zadzwoń do ciebie.

– Świetnie. – Może zadzwoni, może nie. Tak czy inaczej, nie miało to

wielkiego znaczenia.

Ponieważ nie wysiliła się, żeby wstać, sam znalazł drogę do wyjścia. Gdy usłyszała odgłos zamykanych drzwi, włożyła nocną koszulkę i szybko wyszła z pokoju, żeby przekręcić zamek.

Chciała wziąć prysznic i ruszyła do łazienki, którą dzieliła z Mi w ich maleńkim mieszkaniu. Fakt, że miało dwie sypialnie i znajdowało się blisko kampusu, wynagradzał konieczność wchodzenia na trzecie piętro, nierzadki brak ciepłej wody i wygórowany miesięczny czynsz.

Mieszkały jednak w Nowym Jorku. Czasami zapominały rozglądać się za duchem przyjaciółki, której tu nie było.

Simone zmyła z siebie seks i wstawiła głowę pod skąpy strumień letniej wody. Nosila teraz krótko obcięte włosy, które niedawno ufarbowała na fioletowy odcień dojrzałego bakłażana.

Dzięki temu miała wrażenie, że jest odmieniona. Wydawało się, że zawsze poszukiwała czegoś, dzięki czemu poczuje się kimś innym niż dziewczyna z Rockpoint w stanie Maine. Czegoś, co sprawi, że pewnego dnia spojrzy w lustro i pomyśli: Och, jesteś wreszcie!

Lubiła Nowy Jork, jego tłumy, ruch, hałas, kolor. I, mój Boże, tak – wolność od krytycyzmu, pytań i oczekiwań rodziców.

Jednak wiedziała, że przyjechała tu, żeby spełnić marzenie Tish.

Podobało jej się na uniwersytecie Columbia, harowała, żeby się tam dostać, ale wiedziała, że zrobiła to, aby być częścią marzenia Mi.

Nie potrafiła znaleźć własnego i nie była pewna, czy jakieś ma.

Mimo to życie tutaj na pożyczonych marzeniach okazało się lepsze niż życie w domu, gdzie wszystko jej przypominało tamte wydarzenia. Gdzie matka spoglądałaby na kolor jej włosów z zakłopotaniem i dezaprobatą, a ojciec, z tym zmartwionym spojrzeniem, od niechcienia pytałby, jak sobie radzi.

Nic jej nie było. Ile razy musiała to powtarzać? To Mi wciąż miała napady lęku i nocne koszmary. Chociaż teraz stały się rzadsze.

Simone zrobiła wszystko, co możliwe, aby pogrzebać tamten wieczór razem

z przyjaciółką. Odkąd Mi wyszła ze szpitala, Simone nie czytała niczego, co nawiązywało do tamtego wydarzenia, nie śledziła żadnych wiadomości na ten temat. W każdą rocznicę w ogóle nie czytała gazet ani nie oglądała programów informacyjnych na wypadek, gdyby natrafiła na jakąś wzmiankę.

Przyjeżdżała do domu tylko na zimowe ferie i na tydzień latem, który spędzała na wyspie z CiCi. Kiedy nie była na zajęciach albo nie pracowała, bawiła się – intensywnie.

Po wyjściu spod prysznicza owinęła się w ręcznik kąpielowy z egipskiej bawełny – prezent od matki – i przetarła zaparowane lustro nad maleńką umywalką.

Nie, pomyślała, jeszcze nie. Ujrzała dziewczynę ze zmęczonymi oczami i mokrymi włosami. I nic więcej.

Powiesiła ręcznik i znów włożyła nocną koszulkę. Wychodząc z łazienki, w ich żaloznej namiastce kuchni zobaczyła Mi, która stawiała czajnik na dwupalnikowej kuchence.

– Nie możesz spać?

– Byłam niespokojna. Usłyszałam drzwi.

Mi zapuściła włosy, które wyglądały jak kaskada jedwabistej czerni. Kiedy się odwróciła, Simone ujrzała jeszcze jedną parę zmęczonych oczu.

– Przepraszam.

– Nieważne. Znam go?

– Nie sędzę. To też bez znaczenia. – Wchodząc do kuchni, Simone sięgnęła po dwie filiżanki. – Muzyka była dobra, a on nieźle tańczył. Szkoda, że nie poszłaś ze mną.

– Musiałam się uczyć.

– Jesteś najlepsza we wszystkim – kolejny raz.

– Bo się uczę.

Simone czekała, podczas gdy Mi bezmyślnie bawiła się torebkami herbaty.

– Coś jest grane, widzę to.

– Dostałam zgodę na udział w letnim projekcie badawczym.

- To wspaniale! Jak w zeszłym roku? Doktor Jung, inżynier biomedyczny.
- To marzenie. Niezupełnie jak w zeszłym roku. Ten projekt jest w Londynie.
- Ja pierdzielę, Mi! – Objąwszy przyjaciółkę, Simone zaczęła tańczyć z nią wokół kuchni. – Londyn! Lecisz do Londynu!
- Dopiero pod koniec czerwca i... rodzina prosiła, żebym najpierw przyjechała do domu. Żebym spędziła z nimi trochę czasu po zakończeniu semestru, zanim polecę do Londynu. Muszę to dla nich zrobić.
- Okej. – Może serce trochę jej się ścisnęło, ale Simone kiwnęła głową.
- Pojedź ze mną do domu. Simone, pojedź do domu.
- Mam pracę...
- Nienawidzisz tej pracy – przerwała jej Mi. – Jeśli chcesz kelnerować w jakiejś zapyziałej kawiarni, możesz to robić gdziekolwiek. Nie jesteś tu szczęśliwa. Dobrze ci idzie na Columbii, ale to cię nie cieszy. Uprawiasz seks z facetami, którzy nie dają ci szczęścia.
- Rockpoint też nie da.
- Szczupła, drobna, poruszająca się z wdziękiem gimnastyczki Mi wróciła do przygotowywania herbaty.
- Musisz znaleźć to, co cię uszczęśliwia. Jesteś tu ze względu na mnie i Tish, a mnie nie będzie przez całe lato. Powinnaś znaleźć to, co daje ci radość. Twoja sztuka... Nie rób tego! – rzuciła ostro, gdy Simone przewróciła oczami. – Masz talent.
- To CiCi ma talent. Ja tylko się tym zabawiam.
- Więc przestań się zabawiać! – warknęła znów Mi. – Przestań się zabawiać, przestań pieprzyć się z kim popadnie i marnować czas!
- O rany. – Simone wzięła herbatę, na którą już nie miała ochoty i oparła się o lodówkę wyprodukowaną w zeszłym stuleciu. – Lubię się zabawiać, pieprzyć się z kim popadnie i marnować czas. Nie zamierzam spędzić życia na studiowaniu i badaniach naukowych, zaszywając się w laboratorium, ponieważ nie chcę nie mieć żadnego życia. Jezu, kiedy ostatnio uprawiałaś seks?
- Ty uprawiałaś go dość za nas obie.

– Może gdybyś się z kimś bzyknęła, nie byłabyś taką jędzą. Nie chodzisz na imprezy, nie bywasz w klubach, od miesięcy z nikim się nie umówiłaś. Tylko szkoła, laboratoria albo to nędzne mieszkanie. Szczęśliwa, dobre sobie!

Z błyskiem w oku Mi zacisnęła pięść.

– Zamierzam czegoś dokonać. Nie zginęłam i chcę zrobić użytek ze swojego życia. Jestem szczęśliwa. Czasami tylko prawie, a czasami naprawdę. Jednak wiem, że pracuję, żeby coś osiągnąć i patrzę, jak moja przyjaciółka wszystko odrzuca.

– Chodzę na zajęcia, do pracy, do klubów. Jak to ma być odrzucaniem czegokolwiek, a tym bardziej wszystkiego?

– Chodzisz na zajęcia, ale żadne z nich nie obchodzi cię na tyle, żeby zrobić coś więcej niż je zaliczyć. Chodzisz do pracy, która znaczy dla ciebie mniej niż nic, zamiast rozejrzeć się za czymś, co będzie znaczyło. – Teraz to się z niej wylewało, tama puściła. – Chodzisz do klubów, bo nie możesz znieść samotności, milczenia dłużej niż godzinę. I spotykasz się z facetami, których nie masz zamiaru widzieć ponownie, właśnie dlatego, że nie masz zamiaru ich znów widzieć. Niepozwalanie sobie na bliskość czy zaangażowanie w coś lub w związek z kimś to cholerna definicja odrzucania wszystkiego.

Simone uśmiechnęła się zimno.

– Byłam cholernie blisko z facetem, który właśnie wyszedł.

– Jak ma na imię?

Austin, Angel, Adam... cholera, cholera, cholera.

– Ansel – przypomniała sobie.

– Musiałaś pogrzebać w pamięci. Przyprowadziłaś jakiegoś faceta do domu, uprawiałaś z nim seks i nie minęła godzina, a musisz szukać w pamięci jego imienia.

– Co z tego? Co, kurwa, z tego? Jeśli jestem taką dziwką, dlaczego obchodzi cię to, co robię i co czuję?

– Ponieważ, do cholery, jesteś moją dziwką.

Simone otworzyła usta, aby wyrazić oburzenie, ale wydobył się z nich rechot.

Kiedy Mi – zaczerwieniona z gniewu, ze łzami wściekłości w oczach – spojrzała na nią, Simone zwijała się ze śmiechu.

Chociaż Mi parsknęła z irytacją, Simone wzniosła toast herbatą.

– To się nadaje na T-shirt. „Dziwka Mi-Hi”. – Wolną ręką poklepała się po klatce piersiowej.

Ścierając kłykami łzy gniewu, Mi pojęła absurdalność tej sytuacji i wybuchnęła śmiechem.

– I nosiłabyś ją z dumą.

– Czemu nie?

– Och, do diabła, Sim. – Mi odstawiła na bok herbatę i potarła dłońmi twarz. – Kocham cię.

– Wiem, wiem.

– Marnujesz się, chodzisz na zajęcia, które głównie przesypiasz.

– Mi, nigdy nie zostanę cholernym inżynierem biomedycznym. Większość z nas nadal zastanawia się, co ma robić.

– Jedyne zajęcia, na których wykazujesz prawdziwe zainteresowanie, to te związane ze sztuką, więc skoncentruj się na nich i przemyśl to. Marnujesz się w pracy, której nie lubisz, nie potrzebujesz, a z twoimi zbyt wysokimi kwalifikacjami sama powinnaś prowadzić tę kawiarnię.

– Nie chcę prowadzić kawiarni. Mnóstwo ludzi nie lubi swojej pracy. A ja jej potrzebuję, bo przynajmniej część wydatków zamierzam pokrywać z własnej kieszeni.

– To znajdź pracę, która ci się spodoba. Marnujesz się, sypiając z mężczyznami, na których ci nie zależy.

Teraz Simone ocierała kłykami własne łzy.

– Nie chcę, żeby teraz na kimkolwiek mi zależało. Nie wiem, czy kiedykolwiek zechcę. Zależy mi na tobie, na mojej rodzinie i to wszystko.

– Moim zdaniem to smutne, że cenię cię wyżej niż ty sama siebie, więc dobrze, że jestem w pobliżu, żeby zrzędzić i nie dawać ci spokoju.

– Jesteś w tym naprawdę dobra.



– Jestem prezeską Klubu Zrzęczenia i Nękania. Ty ledwie kwalifikujesz się do bycia członkinią honorową. Wyjedź na lato, Sim. Spędzałybyśmy czas na plaży, dopóki nie polecę do Londynu. Mogłabyś pobyć z CiCi, nawet pozwolić, żeby zabrała cię na wycieczkę po Europie, tak jak chciała to zrobić, kiedy skończyłaś liceum. Możemy podnająć komuś mieszkanie. Nie zostawaj tu sama.

– Pomyślę o tym.

– Zawsze to mówisz, kiedy chcesz, żebym się zamknęła.

– Możliwe. Posłuchaj, jestem zmęczona i muszę być w sklepie o ósmej, żeby wykonywać pracę, której nie lubię. Muszę się trochę przespać.

Mi bez słowa skinęła głową i wylała do zlewu herbatę, której żadna z nich nie dopiła.

Simone rozumiała charakter tego milczenia, można w nim było wyczytać niepokój.

– Piżama-party? – zasugerowała.

Ramiona Mi opadły z ulgą.

– Byłoby fajnie.

– Z oczywistych powodów użyjemy twojego dziewiczego łóżka. – Kiedy szły do sypialni Mi, objęła przyjaciółkę ramieniem. – Aaron dał mi swój numer telefonu. Może on ma jakiegoś przyjaciela.

– Powiedziałaś, że nazywa się Ansel.

– Cholera.

Wpełzły do łóżka Mi i przytuliły się, żeby podnieść się na duchu.

– Tęsknię za nią – szepnęła Mi.

– Wiem. Ja też.

– Myślę, że inaczej czułabym się w Nowym Jorku, gdyby ona tu była. Przy Tish byłybyśmy inne.

Wszystko byłoby inne, pomyślała Simone.

Marzyła o tym, śniła, że siedzi obok Mi i przygląda się Tish, zdrowej i pełnej życia, występującej na scenie. W światłach reflektorów.

Śniła o Mi pracującej w laboratorium, tak promiennej i świeżej w białym

fartuchu.

A potem ujrzała siebie siedzącą na tratwie na gładkim, spokojnym morzu. Dryfującą donikąd.

Wróciła do rzeczywistości, w której tłumowi studentów podawała wymyślną, zbyt drogą kawę, za którą większość płaciła kartami kredytowymi otrzymanymi od rodziców – a mimo to nie chciało im się dorzucić jej porządnego napiwku.

Kiedy drugi raz w tym tygodniu szorowała muszlę klozetową w damsko-męskiej toalecie, ponownie z uwagą przyjrzała się sobie w lustrze.

Wiedziała, że ten skurwiel kierownik przydzielał jej toaletę dwa razy częściej niż komukolwiek innemu, ponieważ nie chodziła z nim do łóżka (żonaty, co najmniej czterdziestoletni, z kucykiem, fuj!).

– Pieprzyć to – powiedziała do siebie.

Z powietrza, które śmierdziało wybielaczem i sztucznym zapachem cytryn, weszła w bezustanny szum ekspresów do kawy, perorowania o polityce i pojękiwanie na temat związków.

Zdjęła idiotyczny czerwony fartuch, za którego pranie musiała płacić, i wyjęła torebkę z wąskiej szafki, za której wynajmowanie również potrącano z jej żalosalnej wypłaty.

Kierownik Skurwiel posłał jej drwiący uśmiech.

– Jeszcze nie czas na twoją przerwę.

– Mylisz się. Najwyższy czas, żebym zrobiła sobie przerwę. Odchodzę.

Wyszła z kawiarni w świat hałasu i koloru, uświadamiając sobie, że czuje coś, czego zdecydowanie zbyt długo jej brakowało.

Czuła się szczęśliwa.

Sześć miesięcy po ukończeniu Akademii Policyjnej Reed był na patrolu z Bullem Stockwellem. Funkcjonariusz Tidas Stockwell zdobył przydomek „Bull” nie tylko ze względu na cechy fizyczne, ale i osobowość. Weteran od piętnastu lat w służbie, Bull używał ostrego języka, był twardy i twierdził, że jego nos na kilometr wyczuwa, gdy ktoś wciska kit.

Kilka spraw działało na niego jak płachta na byka, w tym: wszystko, co uważał za antyamerykańskie (ruchoma skala), dupki (szeroki zakres kwalifikacji) i skurwysyny. Głównymi kandydatami na skurwysynów byli wszyscy, którzy krzywdzili dzieci, bili kobiety lub znęcali się nad zwierzętami.

Nie głosował na Obamę – nigdy w życiu nie zagłosował na Demokratów i nie widział powodu, aby to zmieniać. Ale gość był prezydentem Stanów Zjednoczonych i z tego tytułu zasługiwał na szacunek i lojalność Bulla.

Bull nie był bigoteryjny. Wiedział, że dupki i skurwysyny mieli różny kolor skóry i bywali różnego wyznania. Może nie rozumiał, o co chodzi z tym całym gejostwem, ale tak naprawdę guzik go to obchodziło. Uważał, że jeśli ktoś chce być w związku z kimś tak samo zbudowanym, to jego sprawa.

Miał za sobą dwa rozwody, dziesięcioletnią córkę z pierwszego małżeństwa, którą wielbił bez skrepowania, i jednookiego kota z jedną łapą, którego uratował po nalocie na kryjówkę handlarzy narkotyków.

Przez większość czasu strofował Reeda, mówiąc, że jest głupi i zbyt powolny, wymyślał mu od studencików i durnych żółtodziobów. Ale w trakcie sześciu miesięcy służby Reed dowiedział się więcej o prawdziwej treści i ciemnych stronach pracy gliniarza niż na wszystkich zajęciach w college'u czy w ciągu miesięcy spędzonych w Akademii.

Dobrze zapamiętał, że odpowiadając na wezwanie do awantury domowej, ma stanąć pomiędzy Bullem a sprawcą (mężczyzną), zanim jego rozjuszony partner zacznie ryć ziemię kopytami i prychać.

Kiedy zatem zajechali, by podjąć interwencję w szeregowym domu, w którym byli już cztery razy z tego samego powodu, Reed przygotował się, żeby zrobić właśnie tak.

– Dostał zakaz zbliżania się do niej, więc teraz jego dupa należy do mnie.

Reed przypomniał sobie, o kogo chodzi. LaDonna Gray przyjęła z powrotem swojego męża Vica Graya po tym, jak podbił jej oko i rozbił wargę, a potem znów, kiedy złamał jej rękę i dokonał ewidentnego gwałtu małżeńskiego.

Jednak trzeci incydent – pobicie jej do nieprzytomności i wybicie dwóch

zębów dwa miesiące po tym, jak urodziła syna – spowodował sądowy zakaz zbliżania się.

– Lepiej żeby nie dotykał tego dziecka. – Bull podciągnął spodnie i zasypanym śniegiem chodnikiem ruszyli do drzwi.

Z sąsiedniego domu wybiegła kobieta.

– On ją zabije! Jestem pewna, że tym razem ją zabije!

Reed teraz to słyszał – wrzaski, krzyki, płacz dziecka.

O cholera, pomyślał.

Zobaczył też, że drzwi do mieszkania są wyłamane.

Wszedł z partnerem do środka i na parterze zauważył ślady przemocy: przewrócony stół i rozbitą lampę.

Na piętrze dziecko krzyczało tak, jakby ktoś wbijał mu w ucho szpikulec do lodu, ale wrzaski, przekleństwa, szloch i odgłosy uderzeń dobiegały z głębi domu.

Reed, młodszy i o dłuższych nogach, poruszał się szybciej niż Bull i zdążył zobaczyć, jak Vic Gray rzuca się do ucieczki przez tylne drzwi. Na kuchennej podłodze leżała zakrwawiona kobieta. Jęczała i łkała.

– Mam go! – Reed puścił się sprintem z budynku. Biegnąc, zgłosił się do centrali.

– Funkcjonariusz Quartermaine w pościgu za podejrzanym o napaść. Podejrzany to Victor Gray, mężczyzna rasy kaukaskiej, dwadzieścia osiem lat, porusza się pieszo na południe w stronę Prospect. Podejrzany ma metr osiemdziesiąt wzrostu, waży osiemdziesiąt dwa kilogramy. Ma na sobie czarną parkę, czerwoną wełnianą czapkę i dzinsy. Skręca na wschód w stronę Mercer.

Gray przeciął biegiem podwórze, znacząc ścieżkę w dwudziestocentymetrowej warstwie śniegu, który spadł poprzedniej nocy, i przeskoczył ogrodzenie. Reed pomyślał, o ile byłby szybszy, mając na nogach swoje najki zamiast służbowych butów.

Oddech wydobywał mu się z ust kłębamii mroźnej pary. Reed wspiął się na ogrodzenie i zeskoczył na śnieg. Usłyszawszy krzyki, przyspieszył. Nie bez

powodu zdobył w liceum medal za wyniki na bieżni.

Na podwórzu dostrzegł kobietę leżącą na śniegu obok na wpół ulepionego bałwana. Z nosa kapła jej krew. Obejmowała płaczącego malucha.

– Próbował zabrać mi dziecko! – krzyknęła.

Reed biegł dalej. Zobaczył, że Gray znów skierował się na wschód. Zgłosił to. Pokonał kolejny płot i doganiając Graya, zauważył, że ten skręcił w kierunku otwartych drzwi następnego szeregowego domu, skąd dobiegały muzyka i kobiecy śmiech.

Usłyszał, jak jakaś kobieta mówi:

– Nie muszę podziwiać, jak dobrze odgarnąłeś śnieg na tarasie. Zamknij drzwi. Jest zimno!

Miał tylko jedną myśl: on tam nie wejdzie i już nikogo innego nie skrzywdzi. Reed może nie był gwiazdą futbolu, jak jego ojciec, ale wiedział, jak atakować.

Rzucił się i chwycił Graya za kolana na wąskim tarasie przed otwartymi drzwiami.

Gray krzyknął, szorując twarzą po kamieniach.

– Hej, co jest, do cholery! – Z domu wyszedł mężczyzna z kieliszkiem wina w jednej ręce i iPhone'em w drugiej. – Chryste, on cały krwawi. Nagrywam to. Nagrywam. To brutalność policji.

– Śmiało, proszę nagrywać. – Zdyszany, z poczuciem, że kości grzechoczą mu po zderzeniu z Grayem, Reed wyciągnął kajdanki. – Śmiało, proszę nagrywać dupka, który parę przecznic dalej stłukł własną żonę na miazgę, napadł kolejną kobietę i próbował porwać jej dziecko jako zakładnika. Osobnika, który kierował się prosto do pańskiego domu.

Reed odwrócił się i zameldował przez radio:

– Mam go. Podejrzany został zatrzymany, może potrzebować pomocy medycznej. Jaki tu jest adres?

– Nie muszę ci nic mówić.

– Zamknij się, Jerry. – Kobieta, która chwilę wcześniej się śmiała, odsunęła na bok faceta z telefonem. – Gilroy Place 5237, panie oficerze.

– Na tyłach przy Gilroy Place 5237. Dziękuję pani. Victorze Gray, jesteś aresztowany za napaść, dwukrotną, i pobicie. – Zatrzasnął kajdanki na przegubach Graya. – Za próbę uprowadzenia dziecka, opór przy aresztowaniu i złamanie zakazu zbliżania się.

– Ten człowiek ma swoje prawa.

Reed podniósł wzrok.

– Jest pan prawnikiem?

– Nie, ale wiem...

– To dlaczego nie przestanie pan przeszkadzać policji?

– Jesteś na terenie prywatnym.

– To mój teren prywatny – włączyła się kobieta – więc, do diabła, zamknij się, Jerry. Pan też trochę krwawi, panie oficerze.

Reed poczuł krew w ustach i na piekących nasadach dłoni.

– Nic mi nie jest, proszę pani. Victorze Gray, masz prawo zachować milczenie.

Podczas gdy Reed cytował prawo Mirandy, Jerry uśmiechnął się kpiąco.

– Sporo czasu ci to zajęło.

– Nie jest pan prawnikiem? – Reed postawił Graya na nogi. – No to złamasem, ogólnie mówiąc.

– Złożę skargę!

– Wystarczy. Wyjdz. Wynoś się z mojego domu, Jerry.

Kiedy kobieta rozprawiała się z tym złamasem, Reed usłyszał policyjne syreny. Ponieważ wydawała się kontrolować sytuację, sztywnym krokiem poprowadził Graya przed front domu.

– Pozwę twój pierdolony tyłek – wymamrotał Gray.

– Tak, zrób to, Vic.

LaDonna Gray miała trzy pęknięte żebra, złamane nadgarstek, nos oraz kość policzkową, podbite oczy i obrażenia wewnętrzne. Jej syn nie został skrzywdzony.

Sheridan Bobbett, która z dwuletnim synem bawiła się na swoim podwórzu,

odniosła drobne obrażenia, a dziecko miało kilka sińców na rękach i ramionach. Według jej zeznania Gray wpadł na podwórze i ją przewrócił. Walczyła z nim, kiedy próbował wyrwać jej syna z ramion, a potem uciekł, gdy ścigający go policjant przeskoczył ogrodzenie.

Eloise Matherson, mieszkanka domu przy Gilroy Place 5237, była naocznym świadkiem aresztowania. Zeznała, że przez otwarte drzwi widziała, jak mężczyzna zidentyfikowany jako Victor Gray biegnie do jej domu, zobaczyła policjanta, który dopadł go zaledwie parę kroków od jej drzwi i unieszkodliwił, gdy Gray próbował stawiać opór. Wyraziła wdzięczność funkcjonariuszowi, który powstrzymał niebezpiecznego mężczyznę przed wtargnięciem do jej domu.

I ukradkiem dała Reedowi swój numer telefonu.

Bull zwałił na Reeda papierkową robotę – tak to jest z nowicjuszami. A Reed podsłuchał, jak dzwoni do szpitala, żeby dowiedzieć się o stan LaDonny Gray.

Zanim Reed dokończył raport, wideo, które Jerry Złamas nagrał telefonem, trafiło do lokalnych wiadomości.

Reed wysłuchał przyjaznych drwin – tak to jest z gliniarzami – skrzywił się lekko na widok zimnej wściekłości na swojej twarzy i domyślił się, że czeka go krytyka ze strony szefa za uwagę o złamasie.

– Trafiłeś już do internetu, Quartermaine. – Jeden z kolegów poklepał monitor komputera. – Do bloga McMullen.

– Cholera.

– Och, nazywa cię młodym i bardzo męskim, a potem...

– Co?

– Przypomina sprawę centrum handlowego DownEast. Nie przejmuj się, młody. Nikt nie czyta tych jej bzdur.

Wszyscy czytają, pomyślał Reed. Łącznie z glinami. Tak jak wielu ludzi przeczytało książkę, którą wydała rok wcześniej: *Masakra w DownEast*. Przy popularności jej plotkarskiego bloga prawdopodobieństwo, że cholerne wideo stanie się wiralem – i obejrzą go w całym kraju – zmieniło się w pewność.

Zrozumiał, że wieści już się rozeszły, kiedy Essie – teraz już detektyw McVee z policji Portland – weszła do pokoju i dała mu znak.

Zaprowadziła go do chwilowo wolnej sali odpraw.

– Wszystko w porządku?

– Tak, jasne.

– Coś tu zostawiło ślad. – Dotknęła palcem jego posiniaczonej szczęki.

– Uderzyłem się w tył jego głowy podczas zatrzymania. To nic wielkiego.

– Przyłóż do tego lód. Media trochę pobawią się tą sprawą. Młody bohater z centrum handlowego DownEast zostaje bohaterskim policjantem – o ciętym języku. I tak dalej.

Reed przeciągnął dłonią po włosach – krótkich, bo sierżant domagał się, żeby strzygł swoje gęste loki.

– Cholera, Essie.

– Poradzisz sobie. Sierżant upomni cię za uwagę o złamasie. Ale on oraz wszyscy gliniarze w Portland i okolicy będą ci po cichu klaskali. Nie martw się tym i nie przejmuj McMullen ani pozostałymi mediami. Nie wychylaj się i wykonuj swoje zadania.

– Właśnie wykonywałem – zauważył.

– To prawda. A na wideo tego złamasa widać policjanta, który robi, co do niego należy, jest opanowany i nie traci nad sobą kontroli poza tym, że mruknął pewne słowo. Wideo również pokazuje, że rzeczony złamas solidnie na nie zasłużył. Zrobiłeś to jak trzeba, Reed, i chciałam, żebyś usłyszał to ode mnie, bo czuję, że miałam coś wspólnego z twoim wstąpieniem do służby.

– Masz z tym mnóstwo wspólnego. Chciałem... musiałem go dopaść. Kiedy zobaczyłem tę zakrwawioną kobietę na podłodze, musiałem go dorwać. To nie była żadna retrospekcja. Nie przypomniał mi się tamten wieczór ani nic w tym rodzaju, ale czułem się tak jak wtedy, kiedy wiedziałem, że muszę wziąć tamtego dzieciaka.

– To instynkt, Reed. Ty go masz. – Z aprobatą zamarkowała uderzenie w jego posiniaczoną szczękę. – Używaj go i ucz się od Bulla. To życzliwy sukinsyn



pomimo swojego głupiego gadania.

– Daje mi popalić – to nie skarga. Wcale. Z LaDonną Gray obchodził się delikatnie jak ksiądz. Chyba jest coś, czego mogę się od niego nauczyć – jak traktować ofiary przemocy, żeby tak bardzo nie czuły się ofiarami.

– To dobrze. Co powiesz na kolację w przyszłym tygodniu?

– Chętnie. Nadal widzisz się z tym profesorem?

– Niezły z ciebie glina. – Podniosła dłoń i pomachała palcami, pokazując pierścionek.

– Jasny gwint, Essie. – Już miał wyciągnąć do niej rękę, ale się powstrzymał.

– Nie mogę obejmować detektywa w miejscu pracy. To musi poczekać. Facet jest szczęściarzem.

– Cholerna racja. Jeśli będziesz chciał pogadać, wiesz, do kogo zadzwonić. Wyślę ci esemes w sprawie kolacji.

Reed poszedł prosto do szatni, żeby zdjąć mundur. Dokończył papierkową robotę i był już po służbie. Zastał tam Bulla, który wieszał w szafce własną kurtkę.

– Skończyłeś obcałowywać się z panią detektyw?

– Nie mogę jej całować. Właśnie się zaręczyła.

– Ha! Gliniarze powinni wiedzieć, że lepiej się nie żenić. – Włożył biały T-shirt. – Nazwałeś tego świadka złamasem, wiedząc, że cię nagrywa?

– To jest na nagraniu, więc głupotą byłoby zaprzeczać.

– No cóż. – Przyglądając się sobie w lustrze na drzwiach szafki, Bull przeciągnął dłonią po krótko ostrzyżonych włosach. – Wygląda na to, że postawię ci piwo. – Zamknął szafkę. – Mimo wszystko może być z ciebie całkiem niezły glina.

## ROZDZIAŁ 6

Patricia Jane Hobart pochłaniała treść bloga McMullen, warzywnymi patyczkami nabierając humus z miski.

Była grubiutkim dzieckiem, stale rozpieszczanym przez matkę ciastkami, słodkimi przekąskami i ulubionymi m&m'sami. Zainteresowania Patricii – komputery, czytanie, oglądanie telewizji i od czasu do czasu gra komputerowa – współgrały z jej apetytem. Często zjadała całą torebkę herbatników Oreo (preferowała Double Stuf z podwójnym kremem, schłodzone w lodówce), które popijała litrem coli, zatopiona w lekturze powieści szpiegowskiej, kryminalnej, czasami romansie, albo wypróbowując swoje hakerskie umiejętności.

Podczas gdy ojciec (ciemniak i nieudacznik) i matka (beznadziejna idiotka) toczyli wojnę, obracając w perzynę swoje małżeństwo, z przyjemnością nastawiała ich wzajemnie przeciwko sobie, zyskując w nagrodę coraz większe zamieszanie – i coraz więcej ciasteczek.

Zanim skończyła dwanaście lat, ważyła siedemdziesiąt dwa kilogramy przy stu pięćdziesięciu siedmiu centymetrach wzrostu.

Manipulowała nauczycielami i sąsiadami równie przebiegle jak rodzicami. Nosila maskę spokojnego dziecka, nad którym znęcali się rówieśnicy. Faktycznie znęcano się nad nią, ale zachęcała do tego i skwapliwie wykorzystywała to do swoich celów.

Podczas gdy dorośli głaskali ją i pocieszali, planowała zemstę, a dokonywała jej tak podstępnie i precyzyjnie, że wzbudziłoby to podziw agenta CIA.

Chłopiec, który nazywał ją Tucznikiem Patty, spadł na głowę z roweru, gdy pękł uszkodzony przez nią łańcuch.

Uznała, że jego złamana szczęka, wybite zęby, pobyt w szpitalu i tysiące dolarów, które jego rodzice musieli wybulić na zabiegi stomatologiczne, to prawie wystarczający rewanż.

Przywódczyni dziewczyn, która ukradła majtki Patricii, gdy ta była pod prysznicem po gimnastyce, a potem pomysłowo przypięła je do rysunku słonia i umieściła na tablicy ogłoszeń, omal nie umarła, kiedy orzeszki ziemne starte przez Patricię na proszek i wsypane do termosu z kakao wywołały u niej szok anafilaktyczny.

Jako nastolatka Patricia była już wirtuozem zemsty.

Czasami korzystała z pomocy brata, jedynej na świecie osoby, którą kochała niemal równie mocno jak siebie. Angażowała go w swoje plany – dla niego również kilka opracowała – na tyle, że utrzymywali ze sobą silną więź po rozwodzie rodziców.

Nie mogła znieść, że JJ mieszkał z ich nic niewartym ojcem i że tak naprawdę wolał taki układ. Rozumiała dlaczego. Mógł dorastać bez żadnej kontroli i konsekwencji, podkradając piwo i trawkę, podczas gdy ona utkwiała u ich marudnej matki cierpiętnicy.

Jednak JJ był od niej zależny. Nieszczerólnie bystry, potrzebował jej pomocy przy zadaniach domowych. Miał problem z kontrolowaniem odruchów i musiała mu przypominać, że zemsta jest najlepsza, kiedy się ją starannie przygotowuje.

Nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż staranne przygotowywanie zemsty.

W wieku siedemnastu lat jej brat zbyt często pokazywał się światu jako gniewna, skłonna do przemocy, rozgoryczona bestia. Z kolei u Patrycji maska cichego, pilnego dziecka z problemem nadwagi skrywała przebiegłą, brutalną psychopatkę.

Doskonale świadoma, że nastoletni chłopcy – a uważała, że wszyscy mężczyźni są na tym samym poziomie – wetknęliby fiuta we wszystko, uprawiała seks zarówno z Whitehallem, jak i z Paulsonem. Wykalkulowała, że to sposób, aby ich kontrolować – jako przydatne narzędzia – i sprawić, aby

wierzyli, że to oni kontrolują ją.

JJ miał więcej rozumu, ale więzi rodzinne liczyły się bardziej.

Patricia obmyśliła plan. Masową strzelaninę wstrząsającą do głębi nie tylko społecznością, którą gardziła, ale całym miastem – całym krajem. Opracowywała go miesiącami, wybierając i odrzucając miejsca, wciąż od nowa ustalając czas, dobierając broń.

Nie powiedziała o tym nikomu, nawet bratu, dopóki nie zdecydowała się na centrum handlowe. Centrum, gdzie chichoczące dziewczyny, które traktowały ją jak śmiecia, przechadzały się grupami. Gdzie idealni rodzice ze swoimi idealnymi dziećmi chodzili na pizzę i do kina. Gdzie starzy ludzie, którzy powinni już umrzeć, spacerowali w paskudnych dresach albo jeździli na elektrycznych hulajnogach.

Uznała centrum handlowe za idealne miejsce, by odegrać się na wszystkich i wszystkim, czym gardziła.

Nawet wtedy, gdy powiedziała o tym bratu, kazała mu przysiąc, że dochowa tajemnicy. Miał nie mówić o tym nikomu ani nie zapisywać niczego, co omawiali. Kiedy nadejdzie odpowiedni czas, kiedy wszystko będzie gotowe, wszelkie wątpliwości zostaną usunięte, wtedy wprowadzą w to jego dwóch przyjaciół.

Wędrowała po centrum handlowym kilometrami – dołączając do tych odrażających starych ludzi, by przeprowadzić na nich symulację, i pozwalała, żeby zrobili z niej swoją maskotkę.

Robiła zdjęcia, rysowała mapki, obserwowała pracowników ochrony. Schudła trochę, żeby nie rzucać się w oczy, i zarządziła, żeby JJ załatwił tam sobie pracę na pół etatu. Wybrał multikino, więc przydzieliła mu ten sektor.

Patricia obliczyła, że operacja Born To Kill powinna być przeprowadzona w połowie grudnia, co dałoby jej czas na dopracowanie trudnych elementów i wykorzystanie tłumów robiących zakupy przed świętami, aby uzyskać jak największy efekt. Zastrzeliliby setki ludzi.

A wtedy JJ, dosłownie, chwycił za broń. I nawet jej o tym nie powiedział.

Po całej tej wielkiej pracy, którą wykonała, stracił kontrolę nad odruchami. Patricia dowiedziała się o strzelaninie, gdy przerwano powtórkę serialu *Przyjaciele*, by nadać wiadomości z ostatniej chwili.

Musiała wstać, żeby zniszczyć notatki, mapki, zdjęcia, każdy strzępek półrocznej pracy. W walącej się szopie sąsiadów ukryła laptop. Kupiła go – i przeznaczyła wyłącznie dla operacji w centrum handlowym – za gotówkę, kiedy odwiedziła dziadków w ich wielkim, luksusowym domu w Rockpoint.

Wiedziała, że policja się zjawi. Przesłuchają ją i matkę, od góry do dołu przeszukają ich wynajęty nędzny dom w marnej dzielnicy. Będą rozmawiać z sąsiadami, nauczycielami i innymi uczniami.

Bo JJ zostanie schwytany. Nawet gdyby trzymał się jej planu tak, jak robił to dotąd, zostanie schwytany. Nigdy nie pociągnąłby jej za sobą, ale ci jego dwaj wredni kumple tak.

Jednak gliny nie miałyby nic oprócz tego, słowa dwóch dupków przeciwko piętnastoletniej dziewczynie z odznaką wzorowej uczennicy, bez najmniejszej plamy na życiorysie.

Kiedy nerwowo przechadzała się, czekając na kolejne wiadomości, obmyślała, co powie, jak zareaguje, każde słowo, wyraz twarzy, język ciała.

W szoku i poczuciu głębokiego, szczerego żalu opadła na podłogę, kiedy reporter o ponurym spojrzeniu oznajmił, że zabójcy – uważa się, że było ich trzech – nie żyją.

Nie JJ. Nie jedyna na świecie osoba, która ją znała i której na niej zależało. Nie jej brat.

Ten żal wyrwał jej z piersi głęboki jęk. Stłumiła go. Zachowa go dla policji. Dla idiotki matki, kiedy gliny wyciągną ją z drugiej pracy – sprzątanania biur bandy kłamliwych prawników.

Zachowa je dla telewizyjnych kamer.

A kiedy tu przyjdą, kiedy ją zawiadomią i przesłuchają – razem z drżącą matką u boku – kiedy przeszukają dom od góry do dołu, porozmawiają z sąsiadami, ujrzą zaszokowaną piętnastolatkę. Dziewczynę kurczowo uczeploną

matki i szlochającą. Dziewczynę tak niewinną, jak jej brat był winny.

Jak można było się spodziewać, matka się rozsypała, ojciec zaś wpadł we wściekłość i sięgnął po butelkę, z którą już się nie rozstanie. Ona się trzymała. Poprosiła prawników z kancelarii, w której sprzątała matka, żeby pomogli jej napisać oświadczenie wyrażające szok, przerażenie i żal. Oświadczenie, podkreśliła ze łzami w oczach, które będzie przeprosinami wszystkich.

A ponieważ rodzice nie potrafili sobie z tym poradzić, sama odczytała oświadczenie zdławionym łkaniem głosem.

Musiały się przeprowadzić. Patricia ukryła laptop w pudle z pluszakami. Nie mogły zamieszkać daleko – matka potrzebowała swoich posad, a pracodawcy ją zatrzymali. Patricia ukończyła liceum z korepetytorem opłaconym przez bogatych dziadków ze strony ojca.

Nie wychylała się i chowała w sobie pragnienie zemsty, przygotowując się, by smakować ją na zimno.

Mając osiemnaście lat, ważyła perfekcyjne pięćdziesiąt jeden kilogramów przy wzroście stu sześćdziesięciu trzech centymetrów. Początkowy spadek wagi jej rodzina przypisywała stresowi i smutkowi, ale Patricia pracowała nad tym, żeby zmienić się w skuteczną, elastyczną broń.

Miała ludzi do zabicia i zbierała dossier na temat ich wszystkich.

Doszła do wniosku, że czas ma po swojej stronie, a musiała jeszcze skończyć college. Przy swoich wyśmienitych ocenach i inteligencji miała wielki wybór i zdecydowała się na uniwersytet Columbia, ponieważ dwie osoby, które obrała za cel – a zwłaszcza jedna – tak właśnie zrobiły.

Jak lepiej kontrolować tę, którą uważała za najbardziej odpowiedzialną – nawet bardziej niż policjantka, która wpakowała w niego kule – za śmierć brata?

Bez Simone Knox gliniarze nie przybyliby na miejsce tak szybko, nie pojawili się w kinie, nie zabiliby jej brata. Wyszędłby tą samą drogą, którą wszedł, gdyby nie Simone Knox.

Już tysiąc razy mogła zabić Knox i dokończyć dzieło brata na jej małej azjatyckiej przyjaciółce. Ale zemsta na talerzu nie była jeszcze dość zimna.

I obie są jeszcze daleko od pierwszej, która zapłaci.

W łańcuchu pokarmowym swojej zemsty na początku umieściła rodziców. Teraz jednak, czytając blog McMullen w wynajętej kawalerce, którą opłacali dziadkowie – po prostu nie mogła mieszkać z kimś jeszcze! – rozważyła to ponownie.

Nie policjantka i nie bohaterski chłopak, który został gliną. Oni też zajmowali zbyt wysoką pozycję, żeby przesunąć ich tak nisko. Jednak może, tylko może, mogłaby wybrać kogoś mniej ważnego, przeprowadzić swego rodzaju test.

Siedząc w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy od budynku swojego głównego celu i przeżuając humus z warzywnymi patyczkami, rozpoczęła selekcję.

Dwudziestego drugiego lipca 2005 roku Roberta Flisk miała trzydzieści sześć lat. Wybrała się do centrum handlowego z siostrą i siostrzenicą, żeby dziesięcioletniej Caitlyn przekłuto uszy.

Ten rytuał inicjacyjny zamierzały zakończyć deserem lodowym. Jednak kiedy Caitlyn miała już swoje maleńkie złote sztyfty, Shelby niosła torbę drogich środków czyszczących, a Roberta wyszła z butiku po zakupie kolczyków, wszystko się zmieniło.

Roberta zatrzymała się przed sklepem, żeby kupić swojemu małemu synkowi plażowe zabawki na długi weekend z dziadkami. Ona i jej mąż planowali spędzić ten czas na wyspie Mount Desert w nadziei, że zdołają naprawić ich chwiejące się małżeństwo.

Później powie policji, rodzinie i reporterom, że widziała, jak chłopak zidentyfikowany jako Kent Francis Whitehall wszedł do galerii, kiedy ona, jej siostra i siostrzenica kierowały się do tych samych drzwi.

Pomyślała, że przebrał się w kostium na jakąś imprezę. Dopóki nie uniósł broni. Jej siostra była pierwszą ofiarą ataku.

Kiedy upadła, Caitlyn krzyknęła, padając na podłogę razem z matką. Roberta rzuciła się na siostrzenicę i siostrę, osłaniając je swoim ciałem. Whitehall strzelił do niej dwa razy – w lewe ramię i lewą nogę – i ruszył dalej w poszukiwaniu

następnych celów.

Po tym jak jej siostra zginęła, siostrzenica była strauumatyzowana, a jej własne obrażenia wymagały dwóch operacji i miesięcy terapii – fizycznej i emocjonalnej – Roberta nie wahała się rozmawiać z mediami.

Stała się żarliwą, głośną orędowniczką ograniczenia prawa do posiadania broni. Pomogła stworzyć For Shelby, organizację aktywistyczną działającą na rzecz zmian w tej dziedzinie.

Ich strona internetowa i na Facebooku podawały dzienną liczbę zgonów w wyniku postrzałów – morderstw, samobójstw, przypadkowych śmierci.

Małżeństwo Roberty się rozpadło. Okazało się kolejną ofiarą DownEast.

Wygłaszała przemówienia, organizowała wiece i marsze, pojawiała się w telewizji – zawsze mając na szyi medalion w kształcie serca ze zdjęciem siostry.

Ta tragedia uczyniła z niej wojowniczkę, nazwisko i twarz Roberty stały się dobrze znane, a jej głos słyszalny nie tylko lokalnie, ale w całym kraju.

Z tego powodu idealnie odpowiadała potrzebom Patricii.

Patricia poświęciła cały miesiąc na zbieranie informacji, śledzenie, robienie notatek i zdjęć, na planowanie. Wróciła do Rockpoint na większą część lata i pozornie spędzając czas z dziadkami, skrupulatnie rejestrowała zwyczaje i porządek dnia Roberty.

W końcu uznała to za śmiesznie łatwe.

Pewnego wczesnego poranka, przed świtem, wyslizgnęła się z domu dziadków i przebiegła osiemset metrów w stronę domu jednej z przyjaciółek babki. Włożyła krótką blond perukę i lateksowe rękawiczki i zdjęła zapasowe kluczyki do samochodu przyczepione na magnesie do nadkola. Pojechała ostrożnie, przestrzegając ograniczenia prędkości, do cichej okolicy, w której mieszkała Roberta, zaparkowała i wyjęła z plecaka pistolet i tłumik zabrane ojcu, gdy kolejny raz upił się do nieprzytomności.

O wschodzie słońca, jak w zegarku, Roberta pojawiła się w drzwiach na tyłach domu. W zwykły dzień przebiegłaby przez swój ogródek, furtkę sąsiadów



i spotkałaby się z pierwszą z dwóch osób, z którymi uprawiała poranny jogging.

Jednak tego poranka czekała na nią Patricia.

Wyszła zza grubego pnia klonu czerwonego.

Kiedy zaskoczona Roberta, poprawiając słuchawki w uszach, podniosła na nią wzrok, Patricia powaliła ją dwoma szybkimi strzałami w klatkę piersiową. Dzięki tłumikowi odgłosy wystrzałów zabrzmiały jak nieszkodliwe pyknięcia. Trzeci strzał – śmiertelny, w głowę – słyhać było głośniejsze, ale musiała go oddać. Patricia wyjęła z plecaka przygotowaną przez siebie tabliczkę i rzuciła ją na zwłoki Roberty.

## OTO TWOJA DRUGA POPRAWKA, SUKO! <sup>2</sup>

Zebrała łuski i włożyła je do plecaka razem z pistoletem i tłumikiem. Wschodzące słońce barwiło niebo smugami czerwieni i różu, gdy Patricia przyjechała z powrotem i odłożyła kluczyki na miejsce.

Schowała w plecaku perukę i rękawiczki, wyjęła z niego i włożyła słuchawki, po czym pobiegła.

Czuła... nic szczególnego, jak stwierdziła. Spodziewała się euforii czy zdumienia. Czegokolwiek. Ale nie czuła nic więcej niż wtedy, gdy dobrze wykonała niezbędne zadanie.

Trochę satysfakcji.

Biegła truchtem, jak to miała w zwyczaju, odkąd zaczęła obserwować poranne zajęcia Roberty, do piekarni półtora kilometra dalej.

Słuchała wiadomości i przypuszczeń, że głośne wspieranie przez Robertę ograniczenia prawa do posiadania broni uczyniło z niej cel dla jakiegoś szalonego zwolennika drugiej poprawki.

Trzeba znów poczekać, zdecydowała. Czekać, planować i obserwować. A test? Świetnie dała sobie radę. Zabijanie jest łatwe, jeśli tylko ma się plan i trzyma się go.

Weszła do piekarni, szerokim uśmiechem powitana przez kobietę – Carole –

która otwierała ją każdego ranka.

– Cześć, Patricio. Jesteś punktualnie.

– Cudowny dzień! – Odpowiadając jej promiennym uśmiechem, Patricia, truchtała w miejscu. – Carole, co dziś powiesz na te trzy muffiny z jabłkiem?

– Załatwione. To naprawdę miłe z twojej strony, że codziennie rano przynosisz dziadkom smakołyki.

– To najlepsi dziadkowie na świecie. Nie wiem, co bym bez nich zrobiła. – Patricia wydobyła pieniądze z bocznej kieszeni plecaka i odchyliwszy go, otworzyła główną część, by schować torebkę z muffinami obok peruki i pistoletu.

Wróciwszy do domu, ukryła perukę, rękawiczki, pistolet i tłumik. Wzięła szybki prysznic, zaniósła muffiny do kuchni i włożyła je do salaterki na blacie. Właśnie zaczęła parzyć kawę, kiedy babka weszła, powłócząc nogami.

– Już zdążyłaś pobiegać! – powiedziała, tak jak mówiła każdego cholernego ranka.

– Wstałam o wschodzie słońca. Cóż za cudowny dzień! Dziś są muffiny z jabłkiem, babciu.

– Rozpieszczasz nas, serdeńko. Rozpieszczasz nas na śmierć.

Patricia się uśmiechnęła. Rozpieści ich jak należy, a kiedy w końcu umrą, dostanie po nich wszystko.

Mając wszystko, mogłaby wiele zrobić.

Tego wieczoru Essie i jej narzeczony urządzili letnie barbecue w małym ogródku na tyłach domu, na którego kupno się skusiła, kiedy została detektywem.

Musiała przez to zaciskać pasa, ale – na Boga! – była taka szczęśliwa, że ma swój śliczny dom z trzema sypialniami i małym, wesołym ogródkiem.

A od kiedy Hank się tam wprowadził, mogła trochę odetchnąć finansowo i wszystko zrobiło się radośniejsze.

Teraz jej dom i ogródek były pełne gliniarzy i nauczycieli – z dodatkiem paru

członków rodziny i sąsiadów. I było wspaniale.

Hank, w jej oczach zachwycający z przyszyżoną kozią bródką, nauczycielskich okularach i fartuchu na szelkach z napisem UGOTUJĘ ZA SEKS, obsługiwał grill. Zrobił też sałatkę ziemniaczaną, faszerowane jajka i inne dodatki. Essie obierała i siekała, a nawet mieszała, ale fartuch Hanka mówił prawdę, a on dowiódł, że jest cholernie dobrym kucharzem.

Nalała sobie kieliszek margarity – to potrafiła zrobić – i obserwowała, jak ukochany mężczyzna żartuje z jej byłym partnerem.

Ona i Barry nie przestali utrzymywać ze sobą kontaktów, kiedy zamieniła mundur na złotą odznakę detektywa. Przyglądanie się, jak dobrze gliniarz, którego lubiła i szanowała, dogaduje się z jej mężczyzną, dawało jej poczucie stabilności.

Zaskakujące dla niej było to, że się dogadali, a nawet to, że związała się z profesorem Colesonem, znawcą Szekspira, w eleganckich okularach w rogowej oprawie.

Nie szukała miłości, poszła tylko na randkę w ciemno (pierwszą i ostatnią), bo przyjaciółka dręczyła ją w tej sprawie tak długo, aż pokonała opór.

Przy aperitifie była oczarowana, przy głównym daniu szczerze go lubiła, a przy deserze pragnęła. Poszli do łóżka, gdy zaprosiła go pod kiepskim pretekstem drinka przed snem – określenia, którego nigdy dotąd nie użyła.

Kiedy rano przygotował dla niej śniadanie, była już kompletnie zakochana.

Podeszła do grilla i całe jej ciało uśmiechnęło się, kiedy pochylił się, by dać jej całusa.

– Pomóc ci?

– Za chwilę, kiedy przełożę te burgery na półmisek, będziesz mogła je zanieść razem z hot dogami na stół.

– Zrobi się. Barry, wzięłeś już sobie przypalonego hot doga?

– Wziąłem dwa. To świetne miejsce, Essie. Problem w tym, że Ginny rozgląda się i zaczyna narzekać, że nie mamy takich ładnych rabatek.

– Potrzebuje Terri. – Essie wskazała energiczną blondynkę, która pilnowała

dwójki małych bliźniaków. – Nasza sąsiadka z domu obok jest geniuszem, jeśli chodzi o kwiaty. Daje nam wskazówki.

– Tego lata zapobiegła zamordowaniu wielu okazów flory – dodał Hank. – Essie ma coraz lepszą rękę do roślin. Moje zdolności wciąż są wątpliwe. Bardzo proszę, moja piękna. – Przełożył burgery na półmisek i dodał do nich hot dogi.

– Dziękuję. Myślę, że to na chwilę zaspokoi tę hordę. Powinieneś zrobić sobie przerwę i coś zjeść, Hank.

– Dobry pomysł. Barry, co powiesz na zimnego drinka na początek?

– Jestem cały za.

Essie skierowała się do stołu, po drodze pozbywając się kilku burgerów i hot dogów, które goście chwyтали prosto z półmiska.

Postawiła go i wzięła prawie pustą salaterkę po sałatce ziemniaczanej. Zabrała z nią do kuchni pusty talerz, na którym wcześniej były plasterki pomidorów (z ogrodu Terri), żeby napełnić je ponownie.

Zastała tam Reeda, który stał oparty o kuchenny blat i popijał piwo pogrążony w wyglądającej na poważną rozmowie z dziesięcioletnim synem jej obecnego partnera.

– Mowy nie ma, absolutnie, stary – mówił Reed. – Jestem gotów skrzyżować z tobą strumienie protonów w tej sprawie, ale mowy nie ma, żeby Batman pokonał Iron Mana. Iron Man ma kostium.

Quentin – z okrągłą jak księżyc buzią, piegowaty i w okularach – pozwolił sobie mieć odmienne zdanie.

– Batman też ma kostium.

– Nie potrafi przebrać się i latać, bracie.

Essie słuchała tej dyskusji, napełniając salaterkę i półmisek.

– Napiszę opowiadanie – oznajmił Quentin. – A wtedy zobaczysz. Mroczny Rycerz wymiata.

– Napisz, a ja to ocenię.

Wyraźnie zachwycony Quentin wybiegł z domu.

– Masz z nim dobry kontakt – zauważyła Essie.

– To nietrudne. Dzieciak jest świetny. Nawet jeśli się myli co do Tony’ego Starka.

– Kim jest Tony Stark?

– Nie sądzę, żebym mógł teraz nawet z tobą rozmawiać. – Kręcąc głową z dezaprobatą, Reed upił trochę piwa. Sięgnął jednak po salaterkę, żeby ją zanieść do ogrodu, i w tym momencie zadzwoniła komórka w kieszeni Essie.

Wyjęła ją, zmarszczyła brwi, a potem westchnęła.

– Cholera.

– Nie masz dziś służby.

– Nie o to chodzi. Mam ustawiony alarm, który mnie powiadamia, jeśli pojawia się wiadomość o kimś, kto przeżył masakrę w centrum handlowym. I jest ktoś.

– Kto? O co chodzi?

– Roberta Flisk. Dziś wczesnym rankiem została znaleziona martwa w swoim ogrodzie. Strzelono do niej trzy razy. Była...

– Pamiętam. – Reed miał własne akta. Przeanalizował każdą wiadomość i artykuł w prasie, przeczytał wszystkie książki na temat tamtego wydarzenia i nadal to robił. – Jej siostra była pierwszą ofiarą poza kinem. Ona sama też została postrzelona. Należała do najważniejszych graczy w walce o ograniczenie prawa do posiadania broni. Według przecieków na jej zwłokach zostawiono wiadomość: „Oto twoja druga poprawka, suko!”. Kurwa.

– Kto ją znalazł?

– Przyjaciele. Podobno codziennie uprawiali razem jogging. O wschodzie słońca.

– Codziennie?

Policjant wymienił spojrzenia z policjantką, kiedy Essie podniosła na niego wzrok i pokiwała głową.

– Tak, porządek dnia. Ktoś wiedział, jakie ma zwyczaje. Albo ją znał, albo obserwował. Ktoś więcej niż jakiś chory skurwiol z obsesją na temat drugiej poprawki.

– Była rozwiedziona, prawda? Wyszła drugi raz za męża? Miała przyjaciela? Byłego? – zapytał Reed.

– Starasz się zostać detektywem?

– Wygląda na to, że musisz się temu przyjrzeć.

– Tak, na to wygląda. – Już nie jest nowicjuszem, pomyślała Essie, i ma zadatki na bystrego, solidnego śledczego. – Ale nie przydzielono mi tej sprawy.

– Mimo to jej się przyjrzyj – odparował. – Ta kobieta tam była. My tam byliśmy. Musisz się tym zająć.

– Masz rację, jednak nie teraz. Nie dziś. – Podała mu salaterkę, a sama podniosła półmisek. – Jutro zwrócę się do kogoś, kto się tym zajmuje.

– Możesz informować mnie na bieżąco?

Kiwnęła głową, wyglądając przez oszklone tylne drzwi.

– To się nigdy tak naprawdę nie skończy. To coś takiego, czego nie możesz po prostu zamknąć i odłożyć na bok. Jednak również nie możesz z tym żyć na co dzień.

– Media znów zaczną o tym mówić. Tak to jest.

– Nie wychylaj się i wykonuj swoją pracę.

– Ale będziesz mnie informować? – uparł się.

– Tak, tak, ale dziś już o tym nie myśl. Weź sobie następne piwo.

Przez kilka kolejnych dni Reed każdą wolną chwilę spędzał, kompletując informacje na temat śledztwa w sprawie Fisk. Essie dotrzymała słowa i informowała go na bieżąco, nawet przekonała śledczych, żeby pozwolili mu zobaczyć miejsce zbrodni.

Obejrzał ogród i stwierdził, że drzewa i rośliny stanowiły doskonałą osłonę dla kogoś, kto chciałby się tam zaciąć.

Ofiara wychodzi tylnymi drzwiami, myślał, co – jak potwierdzały liczne zeznania – było jej codziennym zwyczajem.

Reed sam to zrobił, od drzwi przeszedł przez taras i zatrzymał się na pokrytej śladami krwi trawie.

Trzeba pozwolić jej wejść głębiej do ogrodu, stwierdził. To mniejsza szansa, żeby uciec z powrotem do domu, z sąsiednich domów trudniej dostrzec zabójstwo, a widok z ulicy jest zasłonięty.

Sprytnie.

Trzy strzały, dwa w środek ciała, potem w głowę.

Teraz odszedł w bok od obszaru wyznaczonego przez lekarza sądowego i ekipę śledczych. Zauważył, że z prawej strony jest mnóstwo miejsca do ukrycia się, gdy cel zmierza w stronę furtki.

Czy zabójca coś powiedział? Reed sądził, że jeśli ktoś postanowił zamordować kobietę za sprzeciw wobec prawa do posiadania broni, chciałby, żeby poznała powód.

Jednak miał wrażenie, że słychać było tylko ciszę.

Zastanawiał się, czy stanęła jej przed oczami tamta chwila w centrum handlowym, kiedy ujrzała, jak Whitehall unosi karabin AR-15.

Sam czasami łapał się na rozważaniu, czy los czeka, by posłać mu kulę, która nie trafiła go tamtego wieczoru. Tę, która zawisała w powietrzu, jak na stopklatce, i wbije mu się w ciało, kiedy los naciśnie guzik odtwarzania.

Czy Roberta to sobie przypomniła?

Ponieważ doszedł już do wniosku, że nie ma wpływu na to, który guzik los postanowi wcisnąć, starał się żyć i przyczyniać się do zmian na lepsze, a przynajmniej próbować. Sądził, że Roberta Flisk robiła to samo.

Odtworzył w pamięci jej obraz. Czarna czapeczka z logo przedstawiającym pistolet otoczony kółkiem i przekreślony, krótkie jasne włosy, słuchawki w uszach. Ciemnoniebieski podkoszulek i tego samego koloru szorty do biegania. Wysportowane ciało – blizny na nodze jako nieustanne przypomnienie tamtego koszmaru – klucz do domu w wewnętrznej kieszonce w pasku. Biało-różowe najki i białe skarpetki.

Wyobraził sobie, jak zatrzymuje się na chwilę.

Szok, nagła świadomość, pogodzenie się z losem? Reed nigdy się tego nie dowie.

Dwa ciche pyknięcia, zastanawiał się, z trzydziestki dwójki z tłumikiem, jak stwierdzili balistycy. Oba w środek ciała. Ofiara pada, myślał, ponownie przekraczając plamy zasuszone na trawie przez letnie słońce.

Trzecie pyknięcie – głośniejsze, bo tłumik działał już słabiej – strzał wymierzony pod kątem z góry w tył głowy.

Potem rzucona z rozmachem tabliczka z napisem, wiadomość.

Uderzyło go, że coś tu jest nie tak, po prostu nie pasuje. To zabójstwo miało wszystkie cechy dokonanego na zimno, nawet profesjonalnie. Jednak napis ujawniał wzburzenie – gniew i brak rozwagi.

Zabójca nie spieszył się i był ostrożny. Zbiera łuski i nie pozostawia żadnych śladów poza kulami w ciele ofiary, a potem dodaje tabliczkę z odręcznie wypisanym zdaniem, przedstawiając się jako wkurzony obrońca drugiej poprawki?

Sęk w tym, że sprawca nie był wkurzony, zabójstwo nie wydawało się mieć motywu osobistego.

Jej były mąż okazał się czysty, rozważał Reed, ponownie przemierzając miejsce zbrodni. On i ofiara utrzymywali serdeczne stosunki. Facet nie miał broni, na dodatek przekazywał organizacji Roberty coroczną darowiznę w imieniu ich syna.

W czasie gdy została zabita, pomagał przygotować śniadanie – potwierdziło to mnóstwo świadków – dla kilkudziesięciu skautów, w tym swojego syna, na obozie na wyspie Mount Desert.

Nie miała przyjaciela, na randki umawiała się rzadko i niezobowiązująco, nie była w konflikcie z sąsiadami, wolontariuszami czy pracownikami swojej organizacji.

Otrzymała kilka gróźb śmierci, oczywiście, od kogoś w rodzaju tego, kto zostawił wiadomość. Ale to po prostu nie pasowało.

Albo pasowało zbyt dobrze.

Reed wrócił do samochodu, przypominając sobie, że kiedy zaparkował, dwie osoby wyszły do niego ze swoich ogródków, żeby zapytać, co tu robi. Musiał im



pokazać policyjną odznakę.

Chociaż sąsiedzi zeznali, że albo byli w łózkach, albo dopiero wstawali w czasie, gdy popełniono morderstwo, przyszło mu na myśl, że śledzący ofiarę morderca musiał łatwo wtopić się w otoczenie cichej okolicy zamieszkaną przez wyższą klasę średnią.

Wsiadł do samochodu i zanotował kilka swoich obserwacji i teorii. Być może jego główna teoria była tylko błędnym myśleniem nowicjusza, jednak ją naszkicował.

Zabójca był cierpliwy i opanowany, mógł wtopić się w otoczenie ofiary, zabił sprawnie i precyzyjnie. A wiadomość?

Zasłona dymna.

Oczywiście żadna z jego obserwacji, teorii i spekulacji za cholere nie pomoże Robertcie Flisk ani osieroconemu przez nią synowi. Mimo to Reed przepisze je wszystkie i włączy do akt.

I o nich nie zapomni.

Kiedy Simone usłyszała o brutalnym zabójstwie Roberty Flisk, osoby, która przeżyła masakrę w centrum handlowym DownEast, wyłączyła telewizor. Starła się nie pamiętać.

Zrobiła to, czego chciała Mi: podnajęła mieszkanie i pojechała do domu.

Po tygodniu wspólnego zamieszkiwania z rodzicami i siostrą uciekła na wyspę.

Szczerze kochała rodziców. I mimo że perfekcyjność siostry – w tym przypadku potwierdziła się zasada: jaka matka, taka córka – doprowadzała ją do szału, kochała również Natalie.

Tyle że nie mogła z nimi mieszkać.

CiCi pozostawiała jej przestrzeń, dosłownie, w przypominającym domek dla lalek gościnnym domku nad jej studium o przeszklonych ścianach. Pozostawiała jej przestrzeń również pod względem emocjonalnym.

Jeśli chciała przespać połowę dnia, CiCi nie pytała, czy się dobrze czuje. Jeśli

chciała przez pół nocy spacerować po plaży, CiCi nie czekała na nią z zatroskaną twarzą. Nie usłyszała słów krytyki na temat porzucenia pracy ani długiego westchnienia na temat koloru swoich włosów.

Załatwiała za CiCi tyle spraw, ile tylko mogła, przygotowywała niektóre posiłki – mimo że jeśli chodzi o gotowanie, nie było się czym chwalić. Zgadzała się pozować za każdym razem, gdy CiCi ją o to prosiła.

W rezultacie po dwóch tygodniach Simone naprawdę musiała podziękować Mi. Od miesięcy nie czuła się tak wypoczęta i zrelaksowana. Na tyle, że zaczęła trochę malować.

Odłożyła pędzel, gdy CiCi wyszła na taras z tacą, na której stały dzbanek sangrii, kieliszki, miseczka salsy i chipsy.

– Jeśli nie chcesz robić sobie przerwy, zabiorę to do swojego studia i wypiję cały dzbanek.

– Nie mogę na to pozwolić. – Simone odstąpiła krok w tył, by przyjrzeć się morskemu pejzażowi, nad którym pracowała przez ostatnie trzy godziny.

– Jest dobry – pochwaliła CiCi.

– Nie jest.

– Oczywiście, że jest.

Ponieważ CiCi, w kapeluszu z szerokim rondem na czarno-białych splotach (jej najnowszy look), nalała do kieliszków sangrię, Simone opadła na jeden ze stojących na tarasie ogrodowych foteli.

Najnowszy tatuaż CiCi oplatał jej nadgarstek celtyckimi symbolami niczym bransoletka.

– To mówi moja babcia, nie artystka.

– Jedna i druga. – Stuknęła się kieliszkiem z Simone, usiadła i wyciągnęła nogi ze stopami w sandałach Birkenstock, krzyżując je w kostkach. – Jest dobry, masz wycucie ruchu i nastroju.

– Światło nie jest takie jak trzeba, a grzebanie się z tym jeszcze je zepsuło. Uwielbiam twoje pejzaże morskie. Twoje portrety są wręcz niesamowite, za każdym razem, a pejzaży nie malujesz często. Jednak kiedy to robisz, są

nastrojowe i magiczne.

– Po pierwsze, nie jesteś mną i powinnaś mieć świadomość własnej, wyjątkowej tożsamości. Po drugie, maluję pejzaże, nie tylko morskie, i martwe natury, kiedy chcę się uspokoić albo kiedy mam na to ochotę. Najczęściej wolałabym po prostu siedzieć tu i patrzeć na wodę. Portrety? Ludzie są nieskończenie fascynujący, podobnie jak malowanie ich. Malowanie to moja pasja. Jednak nie twoja.

– Najwyraźniej.

– Masz dziewiętnaście lat. I mnóstwo czasu, żeby odnaleźć własną pasję.

– Próbowałam seksu.

CiCi roześmiała się gardłowo, wzniosła toast i wypła.

– Ja też. To zajebicie radosne hobby.

Rozbawiona Simone nabrała chipsem trochę salsy.

– Robię sobie w tym przerwę.

– Ja też. Jesteś artystką – i nie sprzeczasz się z babką. Jesteś artystką, która ma talent i wizję. Malarstwo to dla ciebie dobra dziedzina, ale nie jest twoją pasją i nie będzie głównym środkiem wyrazu. Eksperymentuj.

– Jak? Tata ciągle próbuje skłonić mnie do pójścia na prawo, a mama myśli, że powinnam znaleźć sobie miłego, solidnego chłopaka.

– Oni są tradycjonalistami, kochanie. Nic na to nie poradzą. Ja nie jestem, ale też nic na to nie poradzę. Dlatego powiem ci, że byłabyś głupia, robiąc którąkolwiek z tych rzeczy. Eksperymentuj – powtórzyła – ze wszystkim. Jeśli chodzi o sztukę, dam ci to, czego nikt nie chce: radę. Pamiętasz sierpień, który tu spędziłaś po tym strasznym wydarzeniu?

Simone spojrzała na pas plaży, otaczające ją skały, a dalej bezkresną wodę.

– Myślę, że to ocaliło mi zmysły, więc tak, pamiętam.

– Ty i Mi spędzałyście mnóstwo czasu na plaży w owym tygodniu, kiedy tu była. Budowałyście zamki z piasku. Mi były pedantyczne, ładne i tradycyjne – takie jak ona. A twoje fascynujące, pełne twórczej inwencji i fantazyjne.

Simone wzięła kolejnego drinka.

– Zatem powinnam budować zamki z piasku?

– Twórz. Na początek wypróbuj glinę, zobacz, dokąd cię zaprowadzi.

W zeszłym roku zdobyłaś podstawy.

– Skąd wiesz?

CiCi tylko się uśmiechnęła i upiła łyk.

– Wiem mnóstwo rzeczy. I wiedząc, że będziemy prowadzić tę rozmowę, zamówiłam materiały. Są w moim studiu. Możemy się nimi dzielić, pracować na zmianę. Spróbuj. Jeśli okaże się, że to nie glina, znajdziesz coś innego. Wykorzystaj to lato, żeby zacząć, zobacz, czy odkryjesz, co jest twoją pasją.

## ROZDZIAŁ 7

Skreśliwszy Robertę Flisk ze swojej listy, Patricia stwierdziła, że ma dość college'u. Poza tym, że zajęcia śmiertelnie ją nudziły, uczęszczanie na nie i przygotowywanie się do nich zabierało jej czas i rozpraszało, kiedy już posmakowała pierwszego zabójstwa.

Wróciła do Rockpoint, do dziadków – sprytnie ich omamiwszy. Byli zachwyceni, że mają pod swoim dachem słodką, troskliwą i usłużną wnuczkę. Zadbała o to, ponieważ mowy nie było, żeby zamieszkała w wynajętej ruderze z bezużyteczną, stale narzekającą matką.

W odpowiedzi na pytania dziadków o jej wykształcenie i przyszłość Patricia zapisała się na kursy on-line w miejscowym college'u. Służyły jej też za przykrywkę dla poszukiwania informacji o tworzeniu fałszywych tożsamości i kart kredytowych.

Miała plany.

Miała również do dyspozycji własne skrzydło w majestatycznym starym domu, bmw roadstera i wystarczające umiejętności, żeby podbierać pieniądze z rachunków dziadków. Dzięki dodatkowym funduszom zaczęła gromadzić broń i znaczne zapasy gotówki.

Śmiała się z dowcipów starych ludzi, załatwiała sprawunki, woziła babkę do salonów kosmetycznych i stała się niezbędna. Ogólnikowe rozmowy o poszukiwaniu pracy i inwestowaniu w karierę ustały, rozwiły się jak mgła.

Niczego nie zauważyli.

W tym samym czasie Patricia kupowała i dostarczała jedzenie matce, składała jej obowiązkowe wizyty, załatwiała usuwanie śniegu sprzed chodnika i podjazdu

jej nędznego domu.

I nie wychylała się.

Robiła tak przez dwa lata, czekając, żeby zabić matkę. Uważała to za nagrodę za swoją cierpliwość i ciężką pracę, jaką było odgrywanie roli oddanej córki i wnuczki.

Wszyscy wiedzieli, że Marcia Hobart była kobietą słabą i znękaną. Kobieta, która nigdy nie pozbyła się poczucia winy z powodu czynu swojego syna ani żalu z powodu jego śmierci.

Nawet kiedy zwróciła się do Boga, wybrała Jego najbardziej mściwy i karzący obraz. Jej pokuta – jako członkini organizacji Córki Ewy – wymagała wiecznego cierpienia i żalu.

Jedynym światełkiem rozjaśniającym mrok jej życia była córka (Patricia o to zadbała). Jak gdyby urodziła dziecko pełne dobroci i współczucia, dziecko o bystrym umyśle i spokojnym zachowaniu, które – częściowo – wynagrodziło jej urodzenie potwora.

Mimo to kochała tego potwora.

Przez pięć lat od masakry w centrum handlowym DownEast Patricia wykorzystywała tę miłość jako cichą broń.

Pilnowała, żeby artykuły na temat strzelaniny, obrzydliwe listy piętnujące Marcję jako odpowiedzialną za masakrę oraz śmiertelne pogróżki trafiały do rąk matki. Niektóre wysyłała sama, inne przyklejała do frontowych drzwi albo wsuwała pod nie. Tego wieczoru, kiedy wyjeżdżała, żeby studiować na Columbii, przez okno w pokoju wypoczynkowym wrzuciła kamień zawinięty w papier z wyjątkowo zjadliwą opinią, po czym wpadła do domu i z krzykiem skuliła się za kanapą.

Anonimowa wskazówka sprawiła, że McMullen zaczęła uprzykrzać życie Marcii – w domu, w pracy. Marcia straciła drugą posadę. Mimo że prawnicy chcieli ją zatrzymać, przeprowadziła się dalej – do kolejnego nędznego domu – izolując się od ludzi.

Brała pigułki na sen, coraz więcej pigułek, żeby pokonać nieustanny,

narastający niepokój. Patricia podzieliła się z dziadkami swoimi obawami. Matka czasami mieszała tabletki albo brała podwójną dawkę, bo zapomniała, że jedną już wzięła.

Dziadkowie, którzy odcięli się od Marcii za to, że rozwiodła się z ich synem dupkiem, okazali Patricii serdeczne współczucie.

Umieściła w domu matki ukryte kamery, żeby móc ją obserwować. Wiedziała, kiedy zadzwonić z telefonu na kartę, który kupiła, jak wyrwać zamroczoną matkę ze snu wspomaganego xanaxem i szeptać imię brata.

Podczas odwiedzin podawała jej dodatkową pigułkę albo dwie, ucierając je na proszek i dosypując do zupy ugotowanej przez oddaną córkę, a potem włączała rodzinne nagrania wideo z czasów, kiedy JJ był malutki.

Ze łzami w oczach opowiadała dziadkom o tym, jak znalazła matkę odrętwiałą na kanapie i włączony film. Jeszcze w college'u – jako główną dziedzinę studiowała psychologię – pytała swoich wykładowców o radę. Zaaranżowała przypadkowe przedawkowanie, zrozpaczona zatelefonowała pod numer alarmowy i w ambulansie trzymała matkę za bezwładną rękę.

Stworzyła wrażenie zatroskanej, kochającej córki, której matka, pogrążona w poczuciu winy, nadużywała środków uspokajających. Nawet kiedy chodziła na spotkania grup wsparcia dla dzieci osób uzależnionych, Patricia znajdowała nowe sposoby manipulowania matką, aby ta uwierzyła, że traci zmysły.

W przeddzień urodzin brata wślizgnęła się wieczorem do domu i upiekła jego ulubiony tort czekoladowy. Z rozmysłem rozrzuciła składniki na kuchennym blacie, miskę i rondel w zlewie, aranżując scenę. Potem zgasiła stały płomyk w piekarniku <sup>3</sup>.

Obudziwszy oszołomioną tabletkami matkę, zaprowadziła ją do kuchni wypełnionej zapachem czekolady i pieczonego ciasta.

– Jest ciemno. – Marcia chwiejnie przestępowała z nogi na nogę. – Która godzina?

– Czas na tort! Upiekłaś taki ładny.

– Naprawdę? Nie pamiętam.

– Czekoladowy, JJ najbardziej go lubi. Chce, żebyś zapaliła świececzki, mamó.  
Marcia omiotła wzrokiem kuchnię.

– Czy on tu jest?

– Już idzie. Włącz telewizor. Tu jest pilot.

Marcia posłusznie wzięła do ręki pilota i z pomocą Patricii, która ustawiła jej palce, wcisnęła guzik „play”. Na ekranie pojawił się uśmiechnięty, szczerbawy JJ, chichoczący, kiedy matka zapalała urodzinowe świececzki.

– Zapal świececzki, mamó. Dla JJ’a.

– Był moim słodkim chłopczykiem. – Łzy, wzruszenie i poczucie winy pojawiły się w oczach Marcii. Wzięła długą gazową zapalniczkę i zapaliła świececzki. – Nie chciał być zły. Tak bardzo mu przykro. Spójrz, spójrz, jaki jest szczęśliwy. Dlaczego przestał być szczęśliwy?

– Musisz wziąć tabletki. JJ chce, żebyś je wzięła. Są tutaj. Musisz je wziąć.

– Wzięłam. Czyżbym nie wzięła? Jestem bardzo zmęczona. Gdzie się podział JJ? Na zewnątrz jest ciemno. Mali chłopcy nie powinni wychodzić z domu, kiedy jest ciemno.

– Zaraz przyjdzie. Musisz wziąć tabletki na urodziny JJ’a. Sądzę, że powinnaś wziąć po jednej za każdą świececzkę.

– Sześć świececzek, sześć tabletek. Mój synek ma sześć lat. – Patrząc w telewizor oczami wilgotnymi od łez, Marcia połknęła jedną po drugiej sześć tabletek, popijając je winem, które Patricia postawiła obok.

– Dobrze, bardzo dobrze. JJ potrzebuje więcej światła. Musi mieć więcej światła, żeby znaleźć drogę do domu. Myślę, że się zgubił!

– Nie. Nie. Gdzie jest mój synek? JJ!

– Musisz zapalić zasłony. Jeśli spryskasz je trochę płynem do zapalniczki, dadzą bardzo jasne światło. JJ je zobaczy i przyjdzie do domu.

Marcia wzięła puszkę z płynem. Patricia przez chwilę zastanawiała się, czy zobaczyła rodzaj świadomości w oczach matki. Może rodzaj ulgi. Marcia chlusnęła na zasłony płynem do zapalniczek i podpałała je.

– Widzisz, jak jest jasno! Musisz włączyć piekarnik, mamó.



– Upiekłam tort?

– Jak zawsze. – Biorąc Marcję za ramię, Patricia podprowadziła ją do kuchenki. – Włącz piekarnik – powtórzyła i położyła dłoń matki na pokrętle.

– Jestem taka śpiąca. Chcę spać.

– Włącz piekarnik, potem możesz się zdrzemnąć.

– Wtedy JJ przyjdzie?

– Och, wkrótce go zobaczysz. Włącz piekarnik. Tak, dobrze. Czemu po prostu nie położysz się tutaj na kanapie?

Kiedy matka opadła bezwładnie na siedzisko, Patricia użyła drugiej zapalniczki – którą przyniosła ze sobą – aby podpalić zmoczone już zasłony w pokoju wypoczynkowym.

Idąc do drzwi, patrzyła na rozluźnione rysy matki.

– Zaśpiewaj JJ'owi *Happy Birthday*, mamo.

Z zamkniętymi oczami, bełkocąc, Marcia próbowała śpiewać.

Zanim opary gazu zdążyły zrobić swoje, kiedy dotarły do zasłon i wybuchły, Patricia była już w swoim łóżku w domu dziadków.

Spała spokojnie jak dziecko.

W telefonie leżącym na nocnej szafce Reeda odezwał się alert. Reed obrócił się na łóżku, chwycił aparat i zerknął na wyświetlacz.

– O cholera.

– Sprawa policyjna? – Eloise Matherson poruszyła się obok niego.

– Tak. – Niezupełnie, pomyślał, ale odkąd poszedł w ślady Essie i śledził wydarzenia związane z masakrą w centrum handlowym DownEast, nie chciał zignorować ani jednego sygnału.

– Przepraszam.

– Tak bywa. – Znów się poruszyła. – Chcesz, żebym sobie poszła?

– Nie, śpij dalej. Później napiszę ci esemes. – Klepnął ją lekko w pupę i wstał z łóżka.

Ich przyjacielski status – z dodatkowymi korzyściami od czasu do czasu –

odpowiadał obojgu. Nie było to nic poważnego, ponieważ aspekt przyjacielski pozostawał priorytetem.

Reed po ciemku chwycił ubranie i wzięwszy szybki prysznic, pomyślał o Marcii Hobart. Miał jej dossier i będzie musiał odświeżyć swoją wiedzę, ale pamiętał, że była rozwiedziona, kiedy jej syn otworzył ogień w multikinie w centrum handlowym DownEast. Hobart mieszkał z ojcem, a jego młodsza siostra z matką.

Zajmowała się sprzątaniami, przypomniał sobie, wkładając dzinsy. Wiedział, że od czasu strzelaniny dwa razy się przeprowadziła.

Alert w jego komórce informował, że strażacy gaszą ogromny pożar w jej obecnym miejscu zamieszkania – taki, który zagrażał sąsiednim budynkom. Wewnątrz domu Hobart znaleźli zwłoki.

Reed sięgnął po swoją prywatną broń, chwycił kluczyki do samochodu i butelkę Mountain Dew z lodówki. Upił trochę duszkiem, zbiegając po schodach dwa piętra na zachwaszczony parking i do samochodu.

Samochód, ten sam dodge neon, który dostał od rodziców po ukończeniu liceum, był zupełnym rżęchem. Tak jak budynek, w którym mieszkał, stanowił kompletną rudere.

Zdecydował, że się tym zadowoli i weźmie przykład z Essie, oszczędzając na zaliczkę na kupno domu.

Jak się okazało, rudera, w której mieszkał, znajdowała się o pięć minut drogi od domu Marcii Hobart.

Po niecałych dwóch minutach usłyszał syreny.

Kiedy dostrzegł samochody patrolowe, zjechał na pobocze, żeby zaparkować. Rozpoznał jednego z policjantów, który ustawiał blokadę, i podszedł do niego.

– Hej, Bushner.

– Quartermaine! Mieszkasz w sąsiedztwie?

– Niedaleko. Co wiecie?

– Gównu wiemy.

– Dobrze, że to przyznajesz. Co jeszcze?

– Słyszałem, że dziewięćset jedenaście zgłosiło eksplozję i pożar. Dom tam dalej jest spalony do szczętu, a w środku znaleźli grzanekę. Strażacy nadal burzą zgliszcza. Budynek po wschodniej stronie się zajął, ale wszyscy zdążyli go opuścić.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym tam podszedł?

– Nie ma sprawy.

Reed widział sylwetki strażaków w ochronnych kombinezonach na tle trzaskającego ognia. Strumień wody łukiem przelatywał przez zasłonę dymu i deszcz popiołu. Ludzie stali, obejmując dzieci albo siebie nawzajem. Niektórzy szlochali.

Słyszał szczekanie rozkazów i trzeszczące radia.

Zobaczył, że Bushner miał rację. Dom, w którym mieszkała znękana Marcia Hobart, zmienił się w zgliszcza. Reed patrzył, jak się zapadają, wystrzeliwując płomienie i podobne do świetlików iskry w wypełnioną dławiącym dymem ciemność. Więcej strażackich węży atakowało płomienie po zachodniej ścianie budynku stojącego po wschodniej stronie, a inne polewały ten po zachodniej, żeby powstrzymać rozprzestrzenianie się ognia.

Trawnik przed tymi trzema domami i wąskie przejścia między nimi stały się czarnym grzęzawiskiem utworzonym z mokrego popiołu i błota.

Reed rozejrzał się wśród tłumu i dostrzegł parę młodych ludzi. Kobieta trzymała w ramionach małe dziecko. U ich stóp siedział żółty labrador. Po twarzy kobiety płynęły łzy, kiedy patrzyli na dom po wschodniej stronie.

Podszedł do nich.

– Czy to wasz dom?

Mężczyzna, dwudziestokilkuletni, jak ocenił Reed, z potarganymi we śnie, gęstymi jasnymi włosami, kiwnął głową i objął kobietę.

– Pali się. Nasz dom się pali.

– Ugaszą go. A wy zdążyliście wyjść. Ty i twoja rodzina wyszliście.

– Wprowadziliśmy się zaledwie dwa tygodnie temu. Nawet nie skończyliśmy się rozpakowywać.

Reed patrzył, jak woda zalewa płomienie.

– Będzie trochę zniszczeń, ale nic, czego nie dałoby się naprawić.

Kobieta stłumiła szloch i wtuliła twarz w ramię męża.

– To dom do remontu, Rob. Kupiliśmy dom do remontu.

– Wszystko będzie dobrze, Chloe. Naprawimy wszystko.

– Czy moglibyście powiedzieć mi, co się stało? Co wiecie? Przepraszam. –

Reed wyjął odznakę. – Nie jestem ciekawski.

Chloe wytarła łzy.

– Boże. Custer, nasz pies, zaczął ujadać i obudził małą. Byłam wściekła, bo ledwie ją uspiliśmy. Nie śpi w nocy i około drugiej ją nakarmiłam. Było tuż po trzeciej, kiedy Custer zaczął szczekać, a dziecko się rozpłakało.

– Wstałem, to była moja kolej – wyjaśnił Rob. – Wstałem i krzyknąłem na psa. Wrzeszczałem na niego. – Pochylił się teraz, żeby pogłaskać labradora, który oparł się o jego nogi. – Ale nie chciał zamilknąć. Zerknąłem przez okno. W pierwszej chwili nie zdałem sobie sprawy, co to było – to światło – a potem spojrzałem jeszcze raz i zobaczyłem sąsiedni dom. Zobaczyłem ogień. Widziałem płomienie w oknach.

– Rob krzyknął, żebym wstała i wzięła dziecko. Chwyciłam Audrę i kiedy wybiegaliśmy z sypialni, Rob złapał za telefon, żeby zadzwonić pod dziewięćset jedenaście.

– Coś eksplodowało. – Płomienie odbijały się w jego oczach i Rob przycisnął palcami powieki. – Rozległ się huk. Roztrzaskały się szyby w naszej sypialni.

– Szkło. Gdyby Custer nie... Szkło poleciało. Audra spała w łóżeczku pod oknem przy naszym łóżku. Gdyby Custer nie szczekał, gdyby nas nie obudził, szkło...

– To dobry pies.

– Wybiegliśmy – ciągnęła Chloe. – Nawet się nie zatrzymaliśmy, żeby coś zabrać, tylko wybiegliśmy, kiedy Rob dzwonił pod dziewięćset jedenaście.

– Bardzo słusznie postąpiliście. Wasza rodzina się uratowała. Tylko to się liczy. Pożar został ugaszony – powiedział Reed.

– Boże. Nasz dom się nie spalił. Rob, nie spalił się!

– Naprawicie wszystko i jestem pewien, że zrobicie z niego coś wyjątkowego. Słuchajcie, gdybyście czegoś potrzebowali – zapasów, ubrań, rąk do pomocy, żeby to uporządkować... – Wyjął z kieszeni wizytówkę. – Moja matka stale coś organizuje, więc zna mnóstwo ludzi. Mogę was skontaktować.

– Dziękujemy. – Chloe wytarła kolejną łzę, a Rob wsunął wizytówkę do kieszeni. – Wiesz, kiedy pozwolą nam wejść znów do środka? Wejść i się rozejrzeć?

– To będzie zależało od strażaków, a oni zechcą się upewnić, że nie ma niebezpieczeństwa. Pozwólcie, że zobaczę, czy uda mi się czegoś dowiedzieć, może przyprowadzę kogoś, żeby z wami porozmawiał.

Poszedł do jednej z pomp i zauważył pokrytego potem i sadzą Michaela Fostera.

– Michael! – powitał go.

– Reed! Co tu robisz?

– Chodzi o mamę JJ'a Hobarta – to był jej dom.

Oczy Michaela błysnęły z uwagą w ubrudzonej sadzą twarzy.

– Jesteś pewien?

– Taką dostałem informację.

– Kurwa. – Michael wciągnął powietrze w płuca. – Kurwa mać. – Wypuścił je ze świstem. – Hobart, znowu – mruknął.

– Wiem, stary. Słuchaj, masz chwilę?

– Nie teraz, ale będę miał za kilka minut.

– Poczekam na ciebie. A tymczasem widzisz tę parę z psem i dzieckiem? To ich dom właśnie uratowaliście. Czy ktoś mógłby z nimi porozmawiać?

– Tak, przyślę tam kogoś. Matka Hobarta? Mieszkała sama?

– O ile wiem, tak.

– Niewiele z niej zostało.

Reed pomyślał, że nie zaszkodzi pogadać z ludźmi, którzy wciąż gromadzili się przed domem, na ulicy, na swoich trawnikach i gankach. Jego pierwszym

wrażeniem było, że Marcia Hobart nie tyle stroniła, co wręcz odizolowała się od innych. Wydawało mu się również, że sąsiedzi nie wiedzieli o jej związku z organizatorem masakry w centrum handlowym DownEast.

– Ej, ty tam!

Reed odwrócił się i ujrzał starą kobietę w skrzypiącym fotelu bujanym na skrzypiącym ganku.

– Słucham, proszę pani.

– Jesteś reporterem czy kimś takim?

– Nie, proszę pani, jestem funkcjonariuszem policji.

– Nie wyglądasz za bardzo na policjanta. Chodź no tutaj.

Jej twarz, złocistobrązowa i pomarszczona pod śnieżnobiałymi włosami, przypominała rodzinę. Okulary spoczywały na czubku nosa, kiedy mierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

– Przystojny chłopiec, muszę przyznać. Co za policjant?

– Funkcjonariusz Reed Quartermaine, proszę pani.

– Nie o to pytałam.

– Staram się być dobrym policjantem.

– Cóż, niektórzy tacy są, niektórzy nie. Może ty będziesz. Usiądź tu, bo skurcz mnie chwycił w szyi od zadzierania głowy, żeby na ciebie patrzeć.

Reed usiadł na równie skrzypiącym krześle obok niej.

– Skoro jesteś z policji, powinieneś wiedzieć, kim była kobieta, która dziś umarła w tym domu. – Podsunęła wyżej okulary i badawczo spojrzała na gruzy tłące się po drugiej stronie ulicy. – Może nie jesteś głupim policjantem, skoro trzymasz głowę na kłódkę i czekasz, żeby zobaczyć, czy wiem to, co wiem. Ta biedna kobieta miała syna, który zszedł na złą drogę, zabił ludzi. W centrum handlowym DownEast.

– Czy mogę zapytać, skąd pani to wie?

– Uważnie słucham i patrzę, stąd wiem. Mam wycinki z czasu, kiedy to się wydarzyło, a w niektórych jest jej zdjęcie. Mimo że zestarzała się od tamtej pory, zorientowałam się, kim jest.

– Rozmawiała pani o tym z nią czy kimkolwiek innym?

– A po co? – Kręcąc głową ze smutkiem, spojrzała znów na Reeda. – Próbowała po prostu żyć, jakoś sobie radzić. Sama mam syna, który zszedł na złą drogę. O ile mi wiadomo, nikogo nie zabił, a i tak jest zepsuty. Mam drugiego syna i córkę, którzy codziennie dają mi powody do dumy. Zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby ich dobrze wychować, ale syn zszedł na złą drogę. A ona była smutną, znękaną kobietą.

– Żyła pani w przyjaźni z nią?

– Ona z nikim się nie przyjaźniła. Zaszyla się tutaj, chodziła do pracy, wracała i zamykała się w domu.

– Ktoś ją odwiedzał? – dopytywał Reed.

– Jediną osobą, jaką kiedykolwiek widziałam wchodzącą tam, była jej córka. Przychodziła od czasu do czasu i zostawała przez chwilę. Co parę tygodni przywoziła jej zapasy. Widziałam, że przyniosła jej kwiaty na Dzień Matki. Spełniała swój obowiązek.

Patricia Hobart, przypomniał sobie Reed. Młodsza siostra JJ'a.

– Rozmawiała pani kiedykolwiek z córką?

– Tak, raz czy dwa. Uprzejma, ale małomówna. Pytała mnie, czy znalazłby się tu jakiś młody chłopak, który chciałby skosić trawę, odgarnąć śnieg, takie rzeczy. Powiedziałam jej o Jenny Molar, która mieszka dwa domy dalej. To dobra dziewczyna, pomaga mi, kiedy tego potrzebuję. I jest bardziej odpowiedzialna od większości chłopców. Jenny mi powiedziała, że ta córka zapłaciła jej tyle, ile zażądała, i zaznaczyła, żeby nie przeszkadzać jej matce. Jakby ta nie czuła się najlepiej i się tego wstydziała. Czyli córka spełniała obowiązek wobec matki, nie więcej, nie mniej.

Reed uchwycił coś w jej tonie.

– Nie więcej?

– Tak to widzę, ale ja mam wysokie wymagania. – Uśmiechnęła się, a potem znów spojrzała na drugą stronę ulicy. – Szkoda tego domu. Nic nadzwyczajnego, ale mógł być lepszy. Właściciel nie jest wart splunięcia, więc nie miał nic

przeciwno temu, żeby wynająć go komuś, kto nie będzie uprzykrzał mu życia i domagał się napraw. Sądzę, że weźmie pieniądze z ubezpieczenia i sprzeda tę parcelę.

Podczas gdy Reed się nad tym zastanawiał, kobieta znów uważnie mu się przyjrzała.

– Mój wnuk jest policjantem. Funkcjonariusz Curtis A. Sloop.

– Poważnie? No proszę... Znam Sloopy'ego.

Ponownie poprawiła okulary na nosie.

– Czyżby?

– Tak, proszę pani. Wstąpiliśmy razem do Akademii i w tym samym roku rozpoczęliśmy służbę. Jest dobrym policjantem.

– Stara się być. Jeśli zdarzy ci się rozmawiać z nim wcześniej niż ja, powiedz mu, że spotkałeś jego babcię. – Podała Reedowi rękę, małą i delikatną jak u lalki. – Nazywam się Leticia Johnson.

– Na pewno to zrobię i bardzo mi miło panią poznać, pani Johnson.

– Idź i zostań dobrym policjantem, Reedzie Quartermaine, młody przystojniaku. I może kiedyś wpadniesz mnie odwiedzić.

– Tak, proszę pani.

Zostawił ją bujającą się w fotelu i poszedł szukać Michaela. Znalazł go zatopionego w rozmowie z Essie.

– To twoja sprawa? – zapytał.

– Teraz tak. – Z rękami opartymi na biodrach przypatrywała się rumowisku. – Przyjechał już inspektor, który bada możliwość podpalenia, więc zobaczymy. Oficjalna identyfikacja ciała trochę potrwa.

– Słyszałem, że właściciel nie dbał o naprawy i konserwację domu.

Essie rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

– Tak słyszałeś?

– Od pani Leticii Johnson. Jej wnuk pracuje w policji. Znam go, jest godny zaufania. Ona siedzi na ganku po drugiej stronie ulicy. Powinnaś z nią porozmawiać. Chloe i Roba z sąsiedniego domu pies obudził szczekaniem około



trzeciej nad ranem. Rob wstał, a szczekanie obudziło dziecko śpiące obok ich łóżka. Zobaczył ogień, kazał żonie wstać i kiedy wybiegali z domu, chwycił telefon, żeby zgłosić pożar. Zaraz potem nastąpił wybuch i wybił im szyby w oknie w sypialni.

Essie uniosła brwi.

– Byłeś bardzo zajęty, panie oficerze.

– No cóż, tak czy inaczej, byłem na miejscu. Hobart mieszkała sama, nie utrzymywała kontaktów towarzyskich, nie odwiedzał jej nikt poza córką. Ta wpadała od czasu do czasu, co parę tygodni przywoziła zakupy. Wynajęła dziewczynę z sąsiedztwa do koszenia trawy i odgarniania śniegu w zimie.

– Starasz się o odznakę detektywa, funkcjonariuszu Quartermaine?

Reed uśmiechnął się.

– Za rok – odparł i odwrócił się do Michaela. – Podejrzewasz podpalenie?

– Trudno powiedzieć. Wygląda na to, że były dwa źródła zapłonu – kuchnia i pokój wypoczynkowy. Ja stawiałbym na zasłony. To nie była nieuszczelna instalacja gazowa, raczej gaz ulatniający się z kuchenki. Do eksplozji doszło w niemal zamkniętej przestrzeni, co pomoże śledczym ustalić przyczynę pożaru.

– Mój partner rozmawia z sąsiadami. Chyba podejść i pogadam z panią Johnson. Funkcjonariuszu Quartermaine?

– Pani detektyw McVee.

– Poproszę, żeby przydzielono pana do tego śledztwa.

– Jasny gwint.

– Zaczynaj od przepytывania ludzi w sąsiedztwie. Porób notatki.

Przeszła na drugą stronę ulicy, pozostawiając Reeda, na którego twarzy malował się szeroki uśmiech.

Simone złamała się pod łagodnym, lecz nieustępliwym naciskiem rodziny. Chociaż ojciec już pogodził się z nierealnością marzenia, że starsza córka pójdzie w jego ślady i zostanie prawnikiem, zmiana taktyki okazała się skuteczna.

Zdecydowała, że skupi się na studiowaniu zarządzania biznesem. Rodzice powiedzieli, że miała już okres luzu, a teraz musi przyłożyć się do pracy. Dyplom z zarządzania biznesem pozwoliłby jej skoncentrować się na celu, otworzyłby przed nią wiele drzwi i zapewnił przyszłość.

Próbowała. W kolejnym semestrze zmuszała się do nauki tak, że nawet odpowiedzialna Mi nalegała, żeby sobie odpuściła, robiła trochę przerw. Rok zakończyła z ocenami, które wbiły rodziców w zachwyt i przez lato pracowała jako asystentka asystenta kierownika działu księgowego firmy ojca.

Pod koniec czerwca wróciła na terapię.

W sierpniu, nękana migrenami, mając prawie pięć kilogramów niedowagi i całą szafę garsonek, których nienawidziła, pomyślała o dziewczynie, którą kiedyś była, tej, która wezwała pomoc, a potem ukryła się w toalecie.

Tej, która bała się, że umrze, zanim zaczęła żyć.

I zdała sobie sprawę, że były inne sposoby, żeby umrzeć.

Postanowiła żyć.

Przed powrotem do Nowego Jorku usiadła z rodzicami i Natalie.

– Nie mogę uwierzyć, że obie nasze córki wyjeżdżają na uniwersytety – zaczęła Tulip. – Co my zrobimy, Ward, z naszym pustym gniazdem? Natalie idzie na Harvard, a Simone na Columbię.

– Nie wracam na Columbię.

– Jesteśmy tak... Co?

Simone trzymała ręce zaciśnięte na kolanach. Chciały drzeć.

– Wracam do Nowego Jorku, ale nie na uniwersytet.

– Oczywiście, że wracasz. Trzeci rok ukończyłaś znakomicie.

– Nienawidziłam każdej jego minuty. Nienawidziłam pracy w kancelarii tego lata. Nie mogę dłużej robić tego, czego nienawidzę, i być tym, kim nie jestem.

– Słyszę to po raz pierwszy. – Ward wstał i przeszedł przez pokój, żeby zrobić sobie drinka. – Byłaś znakomicie oceniana. Tak jak Natalie na swoim stażu. W naszej rodzinie nie rzucamy studiów i szanujemy to, że ktoś daje nam możliwości. Rozczarowujesz mnie.

To zabolalo. Oczywiscie, ze zabolalo, i taki byl jego zamiar. Jednak Simone sie na to przygotowala.

– Wiem. I wiem, ze byc moze zawsze bede cie rozczarowywac. Ale dalam ci rok z mojego zycia. Zrobilam wszystko, czego chciales, i wiecej zrobic nie moge.

– Dlaczego musisz wszystko psuc?

Simone obrócila sie twarza do Natalie, zeby wyladowac sie troche na niej za bol zadany przez ojca.

– Co niby ci psuje? Robisz to, co chcesz, w czym jestes dobra. Idz i rob to, badz w tym dobra. Badz ta doskonala biala owca przy czarnej, ktora ja jestem.

– Twoja siostra ma dosc dojrzalosci, zeby rozumiec, ze musi miec fundament, cele przed soba, i ze ma rodzicow, ktorzy zapewniaja jej ten fundament, wsparcie i cele.

– Pasuja do twoich celow – odpowiedziala matce Simone. – Ale moje nie.

– Od kiedy masz jakies cele? – mruknela Natalie.

– Pracuje nad tym. Wracam do Nowego Jorku. Mam zamiar zapisac sie na zajecia ze sztuki...

– Och, na milosc boska! – Tulip wzniosla rece. – Wiedzialam, ze to robota CiCi.

– Nawet z nia o tym nie rozmawialam. Podczas gdy probowalam was zadowolic, ja rozczarowalam. Ale w tym wlasnie rzecz. Nigdy nie rzucila mi tego w twarz, ani razu. Na tym polega roznica. Nigdy nie probowala wtloczyc mnie w ramy, do ktorych nie pasuje, bo tego wlasnie chciala. Mam zamiar chodzic na zajecia ze sztuki, przekonac sie, czy jestem w tym dobra. Zamierzam sie przekonac, czy moge byc lepsza niz dobra.

– A z czego planujesz sie utrzymywac? – zapytal Ward. – Nie mozesz zrezygnowac z wyksztalcenia i oczekiwac, ze bedziemy za to placic.

– Nie oczekuje. Znajde prace.

– W jakiejz zapyzialej kawiarni? – rzucila Natalie.

– Jesli bedzie trzeba.

– To oczywiste, że tego nie przemyślałaś.

– Mamo, od tygodni o niczym innym nie myślałam. Spójrz na mnie. Proszę, przyjrzyj mi się. Nie mogę spać. Nie mogę jeść. Mam garderobę pełną ubrań, które wybrałaś i kupiłaś. Moje życie towarzyskie tego lata obracało się wokół odpowiedniego syna przyjaciela, którego starannie dla mnie wybrałaś. Ubrania nie pasują, a syn przyjaciela śmiertelnie mnie nudzi. Jednak je nosiłam i umawiałam się z nim, i leżałam bezsennie w nocy z pękającą z bólu głową. Od czerwca chodziłam do doktora Mattisa, trzy razy w tygodniu, i płaciłam za te wizyty ze swoich oszczędności, żebyście o tym nie wiedzieli.

– Zrób sobie wolny semestr – zdecydowała Tulip, a w jej oczach zabłyśły łzy. – Odpoczniesz, wyjedziemy gdzieś. Będziemy...

– Tulip – przerwał jej łagodnie Ward, wracając na miejsce już bez drinka. – Simone, dlaczego nam nie powiedziałaś, że zaczęłaś znów chodzić do doktora Mattisa?

– Ponieważ wiedziałam, że częściowym powodem, dla którego musiałam to zrobić, byliście wy, a to nie jest wasza wina. Po prostu taka jest rzeczywistość. To ja nie spełniałam waszych nadziei. To ja w swojej głowie zamknęłam się w tamtej toalecie i bałam się otworzyć drzwi. Muszę otworzyć te drzwi. Wybaczcie – powiedziała, wstając – ale musicie mi na to pozwolić. Jestem pełnoletnia i dokonałam wyboru. Wyjeżdżam dziś wieczorem.

– Trzeba to omówić – odparła stanowczo Tulip.

– Tu nie ma nic więcej do powiedzenia, więc dziś wyjeżdżam. Walizki mam w samochodzie – dodała, ale nie powiedziała im, że najpierw zamierza popłynąć na wyspę. Musiała poczuć pod sobą ten pomost, zanim wkroczy w nieznaną. – Natalie jutro wyjeżdża i powinniście spędzić z nią dzisiejszy wieczór. Kocham was, ale nie mogę tu zostać.

Wyszła szybko z pokoju, a Natalie wybiegła za nią.

– Jak możesz ich tak traktować? – Z wściekłością chwyciła Simone za ramię. – Jesteś niewdzięczna i podła. Dlaczego nie potrafisz być po prostu normalna?

– Wyssałaś stąd całą normalność. Ciesz się tym.

Simone wyrwała ramię i wsiadła do samochodu, kiedy Natalie krzyczała za nią:

– Samolubna, głupia, wariatka!

Jadąc, myślała o dniu, kiedy wyszła z kawiarni, w której pracowała. Nie mogła powiedzieć, że tym razem czuje się szczęśliwa, ale wiedziała, że czuje się wolna.

Przez rok kelnerowała, żeby opłacać swoją część czynszu. Nie była aż tak dumna i niezależna, żeby odrzucić czeki przysyłane przez CiCi, które pomagały pokryć inne wydatki, łącznie z zajęciami ze sztuki i żywnością. Jednak pomagała sobie również, pracując jako modelka dla studentów.

Tak jak robiła to dwa razy w tygodniu – czasem trzy, jeśli miała szczęście – Simone weszła na podest przed klasą, zrzuciła szlafrok i przyjęła pozę, o jaką ją poproszono. Tego wieczoru prawe ramię ugięte w łokciu, dłoń uniesiona wnętrzem do góry, lewa ręka leżąca trochę powyżej i między piersiami.

Pozowanie nago nie krępowało jej bardziej niż szkicowanie czy rzeźbienie nagich modeli. A wynagrodzenie za pozowanie pomagało płacić za szkolenie, szkicowniki, glinę, wypalanie, narzędzia.

Przekonała się, że jest dobra i uwierzyła, że może stać się jeszcze lepsza.

Podczas gdy Patricia piekła urodzinowy tort dla nieżyjącego brata, żeby uczcić rocznicę śmierci matki, Simone po długim dniu wróciła do swojego mieszkania, nalała sobie kieliszek wina i była szczęśliwa.

## ROZDZIAŁ 8

**W** kwietniu 2013 roku Essie urodziła zdrowego chłopca, któremu razem z ogłupiałym z miłości ojcem dali na imię Dylan. Ponieważ w tym samym miesiącu jej partner przeszedł na emeryturę, poprosiła, żeby po jej powrocie z urlopu macierzyńskiego zastąpił go detektyw Reed Quartermaine.

Mimo że z radością przebywała na tym urlopie, trzymała rękę na pulsie, śledząc medialne doniesienia i plotki, a przyszły partner o wszystkim ją informował.

W jej życiu doszło do tak wielu nieoczekiwanych zwrotów, pomyślała Essie, wychodząc na palcach z sypialni, w której spali jej mąż i dziecko.

Nie spodziewała się, że awansuje na detektywa, zwłaszcza w wydziale kryminalnym. Nie spodziewała się, że w jej życiu pojawi się mężczyzna tak miły, zabawny, mądry i seksowny jak Hank. Absolutnie nie wyobrażała sobie oszałamiającej fali miłości, którą czuła, ilekroć spojrzała czy nawet pomyślała o swoim synu.

Jej życie zmieniło się w ciągu jednego lipcowego wieczora i choć punktem zwrotnym była tragedia, przybrało, no cóż, cholernie dobry obrót.

Nalała sobie szklankę ziołowej herbaty z lodem, sięgnęła po jedno ze stosu czasopism i wyszła, żeby usiąść na ganku i pogapić się na ludzi. Wiedziała, że prawdopodobnie zaśnie – i powinna pójść w tym celu na górę do sypialni. „Śpij wtedy, kiedy dziecko śpi”, radziła jej matka. Jednak Essie miała ochotę trochę porozkoszować się wiosennym powietrzem.

Może później zabiorą dziecko w wózku na spacer. I może świeże powietrze pomoże trzytygodniowemu Dylanowi zasnąć na dłużej niż jego rekordowe dwie

godziny i trzydzieści siedem minut.

Może się uda.

Może ona i Hank będą mogli się poprzytulać, obejrzeć film i – jeśli najpierw odciągnie pokarm – wypić nieco wina.

Może...

Zapadła w drzemkę na swoim drewnianym ogrodowym fotelu.

Obudziła się nagle, sięgając po broń, której przy sobie nie miała.

– Przepraszam! Wybacz. – Reed uniósł ręce do góry. W jednej z nich trzymał bukiet różowo-białych tulipanów. – Nie miałem zamiaru cię budzić. Chciałem ci to tylko zostawić.

– Która jest godzina?

– Około siedemnastej trzydzieści.

– Okej, dobra. – Westchnęła. – Przysnęłam na kilka minut. Przyniosłeś mi tulipany.

– Wiem z dobrze poinformowanego źródła – od mojej siostry – że ludzie zwykli zapominać, jak bardzo przez pierwsze tygodnie mamy pozbawione są snu. Dlaczego nie leżysz w domu?

– Nie zamierzałam jeszcze się kłaść. Usiądź. Moi chłopcy drzemią na górze. Wykorzystam twoje towarzystwo, żeby powstrzymać się od zasypiania na ganku. Czekaj, najpierw wejdź do środka i weź sobie coś do picia. Jest herbata i piwo.

– Napiłbym się piwa.

Wszedł do domu, wziął butelkę zimnego piwa i zdjął kapsel. Wrócił i usiadł przy Essie.

– Jak się miewasz?

– Szczerze mówiąc, nie przypuszczałam, że można być tak cholernie szczęśliwą. I stale dzieje się coś dobrego. Hank powiedział mi dziś, że postanowił wziąć roczny urlop. Zostanie w domu i zajmie się dzieckiem. Nie będę musiała zostawiać Dylana z nianią albo w żłobku.

Kiedy w jej oczach stanęły łzy, uderzyła się dłońmi po policzkach.

– Boże, Boże, te hormony. Czy one kiedyś wrócą do normy? Opowiedz mi o pracy. To pomoże.

– Zamknęliśmy sprawę Bower.

– Dopadłeś ją.

– Tak, pazerna, podstępna wdowa została aresztowana. Jej przyjaciel się wywinął. Zawarł układ, a ona jest oskarżona o zabójstwo pierwszego stopnia.

Reed poinformował Essie o niektórych otwartych sprawach i wywołał jej śmiech, opowiadając biurowe ploteczki.

– W weekend obejrzałem kilka kolejnych domów.

– Reed, już prawie rok oglądasz domy.

– Tak, ale żaden z nich nie spogląda na mnie i nie mówi: „Tu jestem”.

– Może jesteś zbyt wybredny i do końca życia będziesz mieszkał w tej norze.

– Mieszkanie to tylko miejsce do spania. Dom powinien być prawdziwy.

Nie mogła nie przyznać mu racji, ale jednak...

– To miejsce, do którego poszłam z tobą parę miesięcy temu, było świetne.

– Prawie. Nie było strzałem w dziesiątkę. Poczuję, że trafiłem, kiedy zobaczę ten właściwy dom.

– Może chodzi o Portland.

– Portland jest w porządku. Jestem tu blisko rodziny, będę pracował z tobą. To wynagradza mieszkanie w tej norze, dopóki nie trafię w dziesiątkę.

– Powiedziałabym, że ta sama postawa powstrzymuje cię przed zaangażowaniem się w poważny związek. Ale byłam pod tym względem taka sama, dopóki nie pojawił się Hank.

– Nie było strzału w dziesiątkę – przyznał. – Dostałem zaproszenie na ślub Eloise. W czerwcu.

– Ona naprawdę to robi!

– Na to wygląda. Eloise w końcu podjęła decyzję i sądzę, że wyjdzie jej to na dobre.

– Jest coś jeszcze. – Szturchnęła go palcem w ramię. – Widzę to.

Przez chwilę Reed wpatrywał się w swoje piwo i potrząsnął głową, odrzucając



włosy, które już nie musiały być krótko ostrzyżone.

– Nie odebrałaś alertu?

– Cholera. Nawet nie wiem, gdzie leżą moje telefony. Kto?

– Marshall Finestein. To ten, który dostał postrzał w biodro i udało mu się wyczołgać.

– I wystąpił jako naoczny świadek, podając wiele szczegółów w sprawie Paulsona. Był konsultantem filmu dokumentalnego. W każdą rocznicę pojawia się w telewizji.

– W następną się nie pojawi. Potracił go samochód, sprawca zbiegł. Finestein codziennie uprawiał jogging. Zaczął, kiedy znów stanął na nogi po tamtych wydarzeniach. Samochód nawet nie zwolnił, uderzył tak, że Finesteinowi spadł adidas, i pojechał dalej.

– Byli jacyś świadkowie?

– Pusta ulica, wczesny ranek. Jednak kilkaset metrów od miejsca zdarzenia została porzucona toyota land cruiser z uszkodzoną przednią krawędzią i śladami krwi, resztkami włókien i skóry. Właściciele – księgowy i pediatra z dwojgiem dzieci – zgłosili kradzież auta mniej więcej w tym czasie, kiedy zmiądz było Finesteina. Przyjrzymy im się jeszcze uważnie, Essie, ale są czyści.

– Ktoś znał porządek dnia Finesteina i trasę, którą jeździł. Ukradł samochód, żeby go zabić.

– To już sześć ofiar związanych z DownEast. Trzy zabójstwa razem z tym, dwa samobójstwa i śmierć Marcii Hobart uznana za wypadek. To jest wzorzec, Essie.

– Jedno z samobójstw popełniono w Delaware, drugie w Bostonie, jedno z zabójstw – uważa się, że związane z gangiem – w Baltimore. – Essie podniosła rękę, zanim Reed zdążył zaproponować. – Nie twierdzą, że nie masz racji, Reed. Jednak to naciągane. Istnieje związek, tak, ale statystycznie przypadki śmierci, zwłaszcza obejmujące samobójstwa i wypadki, masz w każdej dużej grupie ludzi. Brak wzorca w sprawie metody. Pistolet z tłumikiem, nóż, potrącenie samochodem.

– Wzorcem jest przesada – podkreślił Reed. – Trzy kule u Roberty Flisk. Trzyście ran kłutych u Martina Bowlingera, uderzenie z ogromną szybkością wielkim SUV-em w Finesteina. Bowlinger, dopiero od miesiąca pracujący jako ochroniarz w centrum handlowym, wpada w panikę i ucieka, kiedy zaczyna się strzelanina. Nie potrafi z tym żyć, przeprowadza się, sięga po narkotyki. W chwili ataku jest naćpany, umiera już po paru ciosach, ale zabójca nie przestaje dźgać. Przesada. A samobójstwa? – kontynuował Reed coraz bardziej się ożywiając. – Jeśli nimi nie były? Dodaj do tego przypadkową, o czym nadal nie jestem w pełni przekonany, śmierć matki Hobarta, i masz zbyt wiele ofiar.

– Śmierć matki Hobarta nie przystaje do wzorca. Ona nie była ofiarą. Nie uratowała się z masakry.

– Była ofiarą – przekonywał Reed, a spojrzenie jego zielonych oczu stwardniało. – Może nie była nadzwyczajną matką, może była słaba, ale była ofiarą. Ofiarą uczynił ją jej syn.

– Motyw?

– Czasami szaleństwo jest wystarczającym motywem. Wiem, że to naciągane, ale ta sprawa w kółko wraca.

Chociaż lód w szklance stopniał, Essie upiła łyk herbaty.

– I to może być prawdziwy powód, dla którego wciąż tkwisz w tej norze. Nie możesz w kółko do tego wracać, Reed. Być z czymś na bieżąco to jedno. Ja nigdy nie przestanę tego robić. Ale musisz też iść naprzód.

– Nie zostałam gliną, gdyby nie tamten wieczór, gdyby nie ty. A glina we mnie mówi, że to jest wzorzec, w całej rozciągłości. Chcę przyjrzeć się bliżej tym samobójstwom i wypadkowi. W wolnym czasie – dodał szybko. – Jednak chcę, żebyś wiedziała, że to zrobię.

– Okej, dobra. Jeśli coś znajdziesz, będę tą pierwszą, która ci pomoże to przeforsować.

– To wystarczy.

Z okna na piętrze dobiegł ich niespokojny płacz.

– To sygnał dla mnie – oznajmiła Essie. – Chcesz wejść i zostać na kolację?

– Nie dzisiaj, dzięki. Następnym razem to ja przyniosę coś do jedzenia.  
– Umowa stoi. – Podniosła tulipany. – Dziękuję za kwiaty, partnerze.  
– Masz to jak w banku. Baw się dobrze, mamusiu.  
– Mogłabym spać na stojąco. – Zatrzymała się w drzwiach. – Moje cycki są fabryką mleka i od miesiąca nie uprawiałam seksu. I wiesz co? To jest frajda. Wróć i przywieź pizzę.

– Załatwione.

Reed poszedł do samochodu. Postanowił wrócić do swojej nory, wrzucić do piekarnika mrożoną pizzę i trochę pogrzebać w notatkach na temat samobójstw.

Simone ściągała po schodach walizki i pudła z trzeciego piętra do toyoty priusa Mi. Rozstaje dróg, powiedziała do siebie z radosną determinacją. To były właśnie rozstaje dróg i otwarcie wielkich możliwości dla Mi, która przeprowadzała się do Bostonu, by objąć stanowisko w szpitalu Mass General.

Mi na to zasługiwała, pracowała na to i będzie w tym świetna.

– Jak chcesz wpakować tu to wszystko? Książki powinnaś była wysłać.  
– Wszystko się zmieści. – Mi postukała się palcem w skroń. – Mam to opracowane. To jest jak Tetris.

– Nigdy nie rozumiałam tej gry, ale skoro maniaczka komputerowa...

Uświadomiwszy sobie, że pod względem umiejętności w tej dziedzinie pozostawała w tyle, Simone cofnęła się i zaczęła obserwować, jak Mi – z długim, jedwabistym końskim ogonem zwisającym z otworu z tyłu bejsbolówki Boston Red Sox (prezent) – oblicza, układa, przesuwa.

Miała na sobie przycięte dzinsy, różowe sneakersy i T-shirt uniwersytetu Columbia. Drobne dłonie pakowały po kolei każdą rzecz. Krótkie paznokcie, nigdy niemalowane. Pod prawym kciukiem wytatuowany maleńki wietnamski symbol, który oznaczał „nadzieja”.

Cudowne wydłużone, ciemne oczy, delikatna linia żuchwy, wąski nos.

Duży zegarek na smukłym lewym nadgarstku, drobne złote sztyfty w małych, przylegających do głowy uszach.

I, oczywiście, umysł. W ciągu kilku minut Mi zdążyła wszystko załadować do auta.

– Gotowe! Widzisz?

– Tak. Jak mogłam wątpić? Tyle że jest coś jeszcze. – Simone wyciągnęła w jej stronę pudełko, które dotąd trzymała za plecami. – Znajdziesz sobie mieszkanie i wtedy będziesz mogła to otworzyć.

– Znajdę sobie mieszkanie, ale otworzę to teraz.

Mi pociągnęła za sznurek z rafii, zdjęła klapę pudełka i odwinęła bawełnianą tkaninę.

– Och. Och, Sim.

Rzeźba, nie większa od dłoni Mi, miała formę trzech twarzy. Mi i Simone, a pomiędzy nimi Tish.

– Zamierzałam wyrzeźbić tylko ciebie i siebie, ale... ona chciała tu być. Wyobrażam sobie, że tak właśnie by wyglądała. Gdyby...

– To jest piękne – powiedziała Mi głosem zdławionym przez łzy. – My jesteśmy piękne. Ona jest z nami.

– Byłaby z ciebie taka dumna, prawie pani doktor Jung.

– Przede mną jeszcze długa droga. Z ciebie też byłaby dumna. Spójrz, jaka jesteś utalentowana. – Mi delikatnie przeciągnęła palcem po wyrzeźbionych twarzach przyjaciółek. – Ona zostałaby gwiazdą – szepnęła.

– Na pewno.

– To pierwsza rzecz, którą postawię w swoim nowym mieszkaniu. – Mi ostrożnie przykryła znów rzeźbę bawełną i zamknęła klapę pudełka. – O Boże, Sim. Będę za tobą tęsknić.

– Są esemesy, telefony i e-maile, mamy FaceTime. Możemy się odwiedzać.

– Kto ze mną porozmawia, kiedy nie będę mogła zasnąć?

– Ja. Zadzwoń do mnie. – Objąwszy mocno Mi, Simone zakołysała się z nią. – Poznaj nowych przyjaciół. Śmiało, zrób to. Jednak nie wolno ci mieć nowej najbliższej przyjaciółki.

– Tobie też.

– Mowy nie ma. Musisz już jechać. – Simone wciąż trzymała ją w objęciach.  
– Napisz mi esemes, kiedy tam dojedziesz.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham. – Simone z trudem się odsunęła. – Jedź. Skop wszystkim tyłki, Mi-Hi. Pokaż, co potrafisz, znajdź lekarstwo na katar i bądź szczęśliwa.

– Skop wszystkim tyłki, Simone. Pokaż, co potrafisz, twórz wielką sztukę i bądź szczęśliwa.

Mi usiadła za kierownicą, włożyła słoneczne okulary, ukrywając za nimi łzy, i ostatni raz pomachawszy przyjaciółce na pożegnanie, ruszyła w wybraną przez siebie drogę.

Simone weszła z powrotem do domu i do mieszkania, by po raz pierwszy w życiu zamieszkać sama.

Stać ją było na to i nie chciała współlokatorki. Miała pracę, zarabiała dzięki pozowaniu, i nawet sprzedała tu i ówdzie kilka swoich prac za pośrednictwem miejscowej galerii. Poza tym miała już dostęp do środków ze swojego funduszu powierniczego, więc gdy brakowało jej pieniędzy, mogła sięgnąć do niego.

Sypialnię Mi zmieni w swoje studio, warsztat.

Mimo że płakała przy tym więcej niż trochę, przeniosła narzędzia z sypialni i pokoju wypoczynkowego. Przeciągnęła półki, ławkę i taboret.

Teraz, pomyślała, rozstawiwszy wszystko, będzie mogła kłaść się i wstawać z łóżka bez przedzierania się przez materiały artystyczne.

Światło w pokoju Mi – poprawka, w jej studio – było bardzo dobre. Simone mogła przyprowadzać tu modeli, zamiast płacić za miejsce w cudzej pracowni.

Kiedy tak ustawiała i przestawiała sprzęty, czyniła plany. Bez towarzystwa Mi nie będzie jej kuśilo, żeby po prostu przesiadywać, nie będzie długich rozmów ani spontanicznych wieczornych wyjść. Wykorzysta ten czas, żeby pracować.

Nie żeby narzekała na brak przyjaciół, zapewniła siebie. Oczywiście nie byli tak bliscy i może nie zaprzyjaźniała się łatwo, ale miała osoby, z którymi mogła wybrać się gdzieś albo posiedzieć.

Nie musiała być sama. Samotność to jej wybór.

Po dwóch godzinach spędzonych w pustym mieszkaniu wzięła torebkę i wyszła.

Trzy godziny później wróciła z włosami obciętymi asymetrycznie na wysokości żuchwy, z długą grzywką i w kolorze, który w salonie fryzjerskim nazywano „lodowym indygo”.

Zrobiła sobie selfie i przesłała je Mi, która właśnie przyjechała do Bostonu.

Potem rozejrzała się i westchnęła. Wzięła jeden ze szkiców, które przypięła do tablicy, usiadła i zaczęła dopracowywać proporcje nagiej kucającej postaci z długimi włosami spływającymi spiralnie, z jedną ręką palcami opartą na ziemi, a drugą lekko wyciągniętą i wnętrzem dłoni odwróconą do góry.

Co ona robi?, zastanawiała się Simone. Na co patrzy? Gdzie się znajduje?

Poprawiając jej proporcje, wymyślała historie postaci, analizowała, odrzucała. W końcu trafiła.

– Przygotowuje się do skoku – mruknęła. – Nie liczy na los szczęścia, to jest akt odwagi. Skaczesz, nie mając nic, tylko siebie. To jest odwaga. Rozumiem cię.

Tego dnia, nie mając zajęć w szkole artystycznej ani kawiarnianych stolików do obsłużenia, wzięła drut i na podstawie szablonu przygotowała szkielec rzeźby.

Jest zbyt cicho, zdecydowała i włączyła muzykę. Nie rock, stwierdziła, i nie klasyczna. Etniczna. Jej kobieta będzie szukała swojego plemienia. A potem będzie mu przewodzić.

Mając w głowie jasny obraz rzeźby i gotowy szkielec, Simone wzięła narzędzia i zaczęła uwalniać z gliny kobietę, która zostanie przywódczynią plemienia.

Stopy – długie i wąskie. Mocne, smukłe kostki nóg. Wyraźnie zarysowane mięśnie łydek.

Nakładała glinę, odcinała, przecierała, spryskiwała wodą, wygładzała kolana kobiety.

Kiedy postać stopniowo się wyłaniała, Simone pracowała nad jej górną połową, dopóki nie zdała sobie sprawy, że światło się zmieniło.

Zapadał wieczór.

Przykryła rzeźbę, wstała z taboretu i przeszła się po pokoju, rozciągając mięśnie. Trochę wina, zdecydowała, a potem zamówiła chińszczyznę, bo gdyby teraz wróciła do pracy, zapomniałaby o jedzeniu.

Pracując, Simone nie dbała o siebie – często zapominała o jedzeniu, picciu wody, o ruchu.

Pierwszą noc po tym, jak została sama, spędziła, pijąc wino na przemian z wodą, jedząc makaron ze smażoną wieprzowiną i urzeczywistniając swoją wizję.

Powtarzała to przez trzy tygodnie: praca, dzięki której miała pieniądze na opłaty, oraz szkoła i praca, która była pokarmem dla duszy.

Po piętnastogodzinnym dniu zajęć, spędzonym głównie na nogach, wróciła do martwej ciszy swojego mieszkania. Brakowało jej Mi jak amputowanej kończyny, nie mogła zaprzeczyć, ale nie na tym polegał problem. Usiadła i jęła przyglądać się rzeźbie, którą zaczęła tego pierwszego samotnego dnia.

Była dobra, naprawdę dobra. Jedna z najlepszych, które wykonała, ale Simone nie mogła zmusić się, by zanieść ją do galerii.

– Bo jej potrzebuję – stwierdziła głośno. – Ona coś do mnie mówi, i to od samego początku. Rozmawiam sama ze sobą. – Westchnęła i odchyliła głowę w tył. – I co z tego? Co z tego? Ja też mam coś do powiedzenia. Czas ruszyć z miejsca. Zrobiłam to, po co przyjechałam do Nowego Jorku. Pora iść naprzód. – Zamknęła oczy. – Dość już kelnerowania, dość pozowania – płatnego albo za rzeźbiarskie materiały czy używanie pracowni. Jestem artystką, do cholery!

Miała umowę najmu mieszkania na jeszcze dwa miesiące. Mogła wytrzymać albo stracić pieniądze.

Niech przepadną, zdecydowała.

Wyjęła telefon, spojrzała na godzinę i zastanowiła się, jakie są szanse, że CiCi jeszcze nie śpi.

Czekała, a usłyszawszy rażny głos babki, uśmiechnęła się.

– Urządzasz imprezę?

– Nie i wiem, że jest późno.

– Nigdy nie jest za późno.

– Właśnie. No więc myślę, że już czas, żebym poznała smak Europy. Znasz może kogoś, na przykład we Florencji, kto ma mieszkanie do wynajęcia?

– Dziecinko, znam wszystkich wszędzie. Co ty na to, żebyśmy wybrały się tam razem, a ja bym cię przedstawiła?

Uśmiech Simone zmienił się w śmiech.

– Co ty na to, żebym się spakowała?

W czasie osiemnastu miesięcy spędzonych już we Florencji Simone uczyła się języka, uprawiała pomidory i geranium na maleńkim balkonie mieszkania z widokiem na plac Świętego Marka i wzięła sobie włoskiego kochanka imieniem Dante.

Dante, nieprawdopodobnie przystojny, grał na wiolonczeli i lubił gotować makaron dla Simone. Ponieważ jeździł na tournée z orkiestrą, ich związek jej nie przytłaczał i miała dla siebie cały czas, którego potrzebowała, aby poświęcić się pracy.

Nie przejmowała się tym, że podczas podróży miał też inne kobiety. Dla niej Dante był elementem cudownego intermedium pełnego słońca, seksu i rzeźbienia. Simone dała sobie ten czas i to miejsce, nasycając się wszystkim, co oferowało.

Studiowała, przebywała w towarzystwie artystów, mistrzów, rzemieślników i techników. I pociła się na betonowej podłodze odlewni, by jak najwięcej dowiedzieć się o odlewaniu rzeźb z brązu.

Ucząc się, eksperymentując, odkrywając, nabrała dość pewności siebie, żeby skłonić modną galerię sztuki do pokazania jej twórczości, a potem przez cztery miesiące przygotowywała prace na wystawę, którą zatytułowała *Bogowie i boginie*.

Z poczucia obowiązku Simone zaprosiła rodzinę na wernisaż. Odmówili, ale



przysłali do galerii dwa tuziny czerwonych róż i bilecik z życzeniami powodzenia.

Pomagając przy wnoszeniu rzeźb i dyskutując z kierowniczką galerii na temat miejsca ich ustawienia, nie miała czasu się denerwować. Powiedziała sobie, wiele razy, że jeśli wystawa się nie spodoba, będzie to znaczyło, że nie jest dość dobrą artystką.

Jeszcze.

To nie znaczyło, że wróciłyby do domu ze świadomością porażki. Jej rodzice mogliby – poprawka: uznaliby – ją za nieudolną, pomyślała teraz, kolejny raz wahając się pomiędzy surową i poważną czarną suknią a odważną i seksowną czerwoną. Jednak i tak nigdy nie sprostą ich wymaganiom. Od tego mieli Natalie. Ona zawsze pozostanie córką, która zrezygnowała ze studiów na uniwersytecie i odrzuciła wszystkie korzyści, które jej oferowali.

Simone pomyślała, że jej matka wolałaby czarną. Stateczność i wyrafinowanie.

Wybrała czerwoną i dopasowała do niej złote sandały na niebotycznych szpilkach, które doprowadzą jej stopy do rozpaczy. Jednak ukazywały paznokcie u stóp pomalowane na ten sam odcień owocu granatu, co jej bazowy kolor włosów.

Dla podkreślenia kształtu fryzury do tej bazy dodała turkusowe i śliwkowe pasemka.

Aby wyglądać bardziej na przedstawicielkę cyganerii, włożyła kolczyki w kształcie kaskady złotych dysków i mnóstwo brzęczących bransoletek.

Czy nie za bardzo się stara? Może jednak czarna będzie lepsza.

Zanim zdążyła sięgnąć po nią do garderoby, rozległ się dzwonek do drzwi. Kolejna przesyłka od Dantego, stwierdziła, biegnąc z sypialni przez salonik wypełniony już zapachem białych róż, które przysłał jej dzień wcześniej, czerwonych lili, które otrzymała tego dnia rano, orchidei, które dostała wczesnym południem, a po nich różowych tulipanów.

Otworzyła drzwi, pisnęła z radości i objęła ramionami babkę.

- CiCi! CiCi! Jesteś!
- Gdzie indziej miałabym być?
- Przyleciałaś. Przyleciałaś z tak daleka.
- Dzikie konie, *cara*. Dzikie, dzikie konie <sup>4</sup>.
- Och, wejdź, usiądź. Przyjechałaś bezpośrednio tutaj? Pozwól, że wezmę twoją walizkę.
- Przyjechałam bezpośrednio do ciebie, ale nie martw się. Zatrzymam się u Franceski i Isabel.
- Nie, nie, one nie mogą cię mieć! Musisz zostać tutaj. Proszę.
- CiCi odrzuciła w tył włosy, które opadały jej do połowy pleców – teraz w kolorze lśniącej miedzi.
- Z przyjemnością wzięłabym udział w trójkącie z twoim smakowitym włoskim ciachem, ale to trochę niezręczne, kiedy jednym z trojga jest moja wnuczka.
- Dante jest w Wiedniu. W tym czasie ma koncerty. Jednak jest obecny wszędzie tutaj. – Rozłożyła ramiona, pokazując pokój pełen kwiatów.
- Facet jest romantyczny. Wobec tego, skoro jesteśmy tylko my dwie, z radością zostanę. Dam znać Francesce i Isabel. Wpadną dziś na wernisaż, a potem zabiorę was wszystkie, żebyśmy mogły go uczcić. Boże! – CiCi z zachwytem wpatrywała się w swój największy skarb. – Spójrz na siebie! Twoja fryzura to dzieło sztuki. A suknia!
- Właśnie myślałam, że powinnam się przebrać. Mam czarną suknię, która mogłaby...
- Banalna, przewidywalna. Nie rób tego.
- Naprawdę? Jesteś pewna?
- Wyglądasz na odważną, pewną siebie i przygotowaną, ale zrób sobie przysługę i zdejmij te buty. Włóżysz je przed wyjściem. Ile jeszcze mamy czasu?
- Ponad godzinę.
- Świetnie. Wystarczy, żebyś podała mi kieliszek wina, zanim zrobię się na bóstwo.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie. Nie potrafię wyrazić, ile to dla mnie znaczy, że przyjechałaś na ten wernisaż dla mnie.

– Tylko się nie rozpłacz. – CiCi postukała Simone palcem w nos. – Twoje oczy wyglądają fantastycznie. Chciałabym, żebyś zrobiła mi makijaż. Po winie.

Simone zdjęła buty i poszła do kuchni, wybrała lokalne czerwone wino, a na talerzu położyła trochę sera, chleb i oliwki.

– Wiem, że to nie jest ważna wystawa – zaczęła.

– Natychmiast przestań – nie wolno dopuścić negatywnych wibracji. Wszystkie wystawy są ważne, a ta w szczególności. Jest twoja. To twój pierwszy europejski wernisaż. – CiCi otworzyła drzwi balkonowe, wzięła jedno z metalowych krzeseł i sięgnęła po wino, które Simone postawiła na stoliku obok niej. – Za powodzenie, mój skarbie!

Simone stuknęła się z nią kieliszkiem.

– Jestem wdzięczna, że dostałam tę szansę. Po prostu nie chcę przesadzać z oczekiwaniami.

– No cóż, widzę, że jestem tu niezbędna, żeby powstrzymać cię przed gaszeniem własnej gwiazdy. Ona dziś zabłyśnie, zaufaj mi pod tym względem – wiesz, że mam trochę zdolności paranormalnych. Pozwól jej jaśnieć albo skopię ci tyłek.

– Tak się cieszę, że tu jesteś. Jak długo możesz zostać?

– Przez kilka tygodni chcę nadrabiać zaległości i dowiedzieć się, co słychać u ciebie, paru przyjaciół, trochę malować. To piękne miasto – mruknęła CiCi, spoglądając na plac, pokryte czerwoną dachówką dachy i skąpane w słońcu tynki murów. – Czy to jest twoje miejsce, Simone?

– Uwielbiam je. Kocham tu światło i ludzi, i sztukę. Tu oddycha się sztuką. Kocham tutejszy koloryt i historię, jedzenie i wino. Myślę, że pobyt tutaj nie tylko coś we mnie otworzył, ale że się nim karmiłam. A któż lepiej od Włochów karmi ciało i duszę?

– A jednak?

– A jednak. Mimo że będę chciała tu wracać, to nie jest moje miejsce. Jeśli

możesz zostać na trzy tygodnie, wrócę z tobą. Jestem już gotowa.

– Zatem zostanę.

Podczas wernisażu Simone odgrywała swoją rolę, rozmawiając po włosku i angielsku, odpowiadając na pytania o poszczególne prace. Ludzie wchodzili i kręcili się po wystawie. Zdawała sobie sprawę, że wielu zajrzało na nią dla kieliszków wina.

Jednak zajrzeli.

Przywitała się z Franceską i Isabel, kiedy się pojawiły, wymieniając uściski i pocałunki z będącymi od dawna parą kobietami, które wzięły ją pod swoje skrzydła, kiedy znalazła się we Florencji.

Szefowa galerii – pięćdziesięciolatka, która surowej czerni nadała spektakularny wygląd – podeszła i szepnęła coś do ucha Simone.

– Właśnie sprzedałyśmy *Przebudzoną*.

Simone otworzyła usta, ale nie mogła wydobyć słowa. Rzeźba, jedna z kilku, które postanowiła odlać w brązie. Obmyślała ją całymi tygodniami, pełna wątpliwości co do pozy i tworzywa, a potem ustalała z galerią cenę.

A teraz postać kobiety unoszącej się z dywanu kwiatów, z jedną ręką wyciągniętą, jakby chciała dosięgnąć słońca, z lekkim uśmiechem, nad którym Simone męczyła się, by oddać go jak najlepiej, należała do kogoś.

– Kto... O Boże, nie mów, że kupiła ją moja babcia.

– To nie ona. Chodź i poznaj kogoś, kto to zrobił.

W uszach jej szumiało, kiedy szła przez labirynt sal galerii, by poznać biznesmena i jego wytworną żonę, którzy dokonali pierwszego wielkiego zakupu dzieła Simone.

Potem szum w uszach zmienił się wewnętrzną radością, kiedy uściśnieła im rękę i zaczęła rozmawiać.

Musi powiedzieć o tym CiCi.

Wróciwszy, odnalazła w końcu CiCi stojącą obok rzeźby, którą Simone nazwała *Wynurzenie*. Chociaż brąz uważała za najbardziej skomplikowaną

i najtrudniejszą pracę na tej wystawie, ta rzeźba była jej ulubioną.

Ponieważ zawarła w niej swoje serce.

Kobieca głowa i ramiona wynurzały się ze stawu. Głowa była odchylona do tyłu, gładkie, mokre włosy spływały na plecy, oczy były zamknięte, twarz pełna zachwyty i uniesienia.

Simone nadała jej jasnoblękitny kolor.

– CiCi, ja... Co się stało? – Widząc łzy w oczach babki, Simone podbiegła do niej. – Źle się czujesz? Potrzebujesz powietrza? Wody?

– Nie, nie. – CiCi ścisnęła jej rękę. – Odejdź ze mną na chwilę na bok, zanim się ośmieszę.

– Okej. Chodźmy tutaj. – Objęła CiCi w talii i wyprowadziła ją z galerii. – Jest gorąco i tłoczno. Znajdę ci krzesło.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Jezu, nie traktuj mnie jak staruszki. Po prostu daj mi chwilę.

Powietrze na zewnątrz pachniało kwiatami i jedzeniem. Ludzie siedzieli na tarasie restauracji po drugiej stronie ulicy, ciesząc się kolacją i rozmową. Jakaś kobieta przeszła obok – długonoga w krótkiej spódniczce – z psem na smyczy.

– Wiedziałam, że masz talent. Wiedziałam, że to będzie glina. No wiesz, mam trochę paranormalnych zdolności. – CiCi wzięła wino, o którym Simone zapomniała, że je trzyma, i upiła łyk. – Widziałam, jak się rozwijasz, kiedy odwiedziłam cię jesienią. I przysyłałaś mi zdjęcia i wideo. Ale one tego nie pokazywały, moje dziecko. Nie pokazywały tak, jak to. Jak bezpośredni widok. Faktury, detale, uczucie i nastrój. Nie potrafię wyrazić, jakie to wspaniałe. A przecież ledwie zaczęłaś.

CiCi delikatnie otarła łzy.

– Mówię ci to jak artystka do artystki, więc nie gadaj mi głupot, kiedy powiem, że twoje *Wynurzenie* musi należeć do mnie. Kupuję ją nie dlatego, że jesteś moją wnuczką, ale dlatego, że wycisnęła mi z oczu łzy, wzruszyła mnie do głębi duszy.

– To... To jest Tish.

– Tak, wiem. I ona, i ty głęboko mnie wzruszyłyście.

– W takim razie to jest prezent.

– Nie. To nie będzie prezent. Możesz dać mi coś innego, ale nie to. Teraz wróć tam i powiedz im, że praca jest sprzedana, zanim ktoś mi ją podkupi. Muszę wypić to wino i wziąć się w garść. Pospiesz się!

– Zaraz wrócę.

Kiedy Simone wróciła, zastała CiCi opartą o ścianę i uśmiechniętą.

– Wciąż to w sobie mam! Przeuroczy mężczyzna – niewiele starszy od ciebie – przystanął i zaproponował mi kieliszek wina. Powinnyśmy wejść do środka, zanim wywołam rozruchy na tle seksualnym.

– Teraz ja potrzebuję chwili, CiCi. – Simone odszukała dłoń babki. – CiCi, sprzedawałam cztery prace... pięć – poprawiła się. – Pięć z twoją. Anna-Tereza jest zachwycona. Przysięgam, niemal wzięłam z ciebie przykład, niemal zapaliłam świecę i próbowałam rzucić zaklęcie, żebym sprzedała choć jedną i nie przeżyła upokorzenia.

– Żadnych czarów dla własnej korzyści! – Pociągając łyk wina z kieliszka trzymanego w jednej ręce, drugą ścisnęła dłoń Simone. – To jest w złym guście.

– Masz rację. Dante będzie bardzo szczęśliwy, bo pozował do dwóch sprzedanych rzeźb.

– A to jeszcze nie koniec wieczoru. Kiedy wernisaż się zakończy, urządzimy sobie jedno wielkie oblewanie. I spójrz, kto będzie z nami wznosić kieliszki!

– Kto... – Simone odwróciła się we wskazanym przez CiCi kierunku.

Ujrzała biegnącą kobietę, z powiewającymi krótkimi czarnymi włosami. W sneakersach, z plecakiem.

– Mi. O Boże, Mi!

Nie bacząc na swoje wysokie obcasy, Simone popędziła na spotkanie z nią.

– Mój samolot z Londynu był opóźniony. Nie miałam czasu się przebrać. Wyglądam koszmarnie. I jestem tu. Nie spóźniłam się.

Zdyszany potok słów mieszał się z uściskami.

– Ale miałas być na konferencji. Przemawiać tam...

– Mam tylko dzisiejszy wieczór. Muszę wracać z samego rana. Dzizas, wyglądasz obłędnie. Ja jestem nieodpowiednio ubrana.

– Doktor Jung. Moja doktor Jung. – Simone pociągnęła ją do CiCi i objęła je obie. – To najlepszy wieczór w całym moim życiu.

## ROZDZIAŁ 9

**W** ciągu osiemnastu miesięcy i trzech tygodni, które Simone spędziła we Florencji, Patricia Hobart zamordowała troje ludzi.

Zabicie Hildy Barclay, podczas ataku tulącej w ramionach umierającego męża, z którym przeżyła czterdzieści siedem lat, oznaczało podróż do Tamy, gdzie Hilda przeprowadziła się, żeby zamieszkać bliżej córki. Jednak Patricia uznała, że sprawa była warta poświęcenia czasu i pieniędzy.

Żywiła do Hildy głęboką urazę za rozgłos, który ją otaczał, zwłaszcza po tym, jak w imieniu męża ufundowała stypendium dla młodzieży ze społecznie upośledzonych rodzin.

Społecznie upośledzonych, też coś, pomyślała Patricia. Darmozjady i ciemniaki rozpuszczone przez płaczących liberalnych dobroczyńców.

Ponadto pozwoliło to Patricii przez dziesięć dni pobyc z dala od okropnej zimy w Maine i jej czy-oni-wreszcie-kiedyś-umrą dziadków.

Oczywiście zebrała informacje, zanim ucałowała na pożegnanie swoich irytująco długo żyjących dziadków i wyruszyła na dobrze – w opinii wszystkich – zasłużone wakacje.

Może pod jej nieobecność umrą we śnie, a ich równie wstrętny kot, którego babka rozpieszczała jak dziecko, wyje im oczy.

Dziewczyna musi mieć marzenia.

Pokochała Florydę, co ją zaskoczyło. Pokochała słońce i palmy, błękit nieba i wody. Kiedy kontemplowała widok z hotelowego apartamentu – czemu by nie przepuścić trochę pieniędzy? – i robiła zdjęcia, żeby wysłać je do domu, wyobrażała sobie życie tutaj.



Mogłaby to rozważyć, gdyby nie wszyscy ci starzy ludzie.

I Żydzi.

Jednak to rozważy.

W każdym razie wytropienie Hildy i bungalowu z dwiema sypialniami, w którym mieszkała – w tym samym kwartale ulic co rodzina jej córki – okazało się śmiesznie łatwe.

W ciągu trzech dni dokładnie znała porządek dnia Hildy. Stara wiedźma wiodła proste życie. Lubiła uprawiać ogród, miała kilka karmników dla ptaków, które napełniała, i jeździła po okolicy trójkołowym rowerem niczym pomarszczone małe dziecko.

Czwartego dnia, kiedy tragiczny wypadek w ogrodzie albo na rowerze czekał na realizację, Patricia przejechała obok Hildy uzupełniającej ziarno w karmniku wyglądającym jak restauracja – z kwiatkami w oknach i napisem głoszącym, że podają tam jedzenie dla ptaków.

Zatrzymała się, poklepała krótką, ciemnobrązową perukę, poprawiła słoneczne okulary z bursztynowymi szklami i wysiadła z auta.

– Przepraszam bardzo! Proszę pani!

Hilda, żwawa i szczupła, ale umięśniona, w kapeluszu z szerokim rondem, odwróciła się do niej.

– W czym mogę pomóc?

– Mam nadzieję, że to nie zabrzmie dziwnie, ale czy może mi pani powiedzieć, gdzie pani kupiła ten rozkoszny domek dla ptaków? Moja matka byłaby nim zachwycona.

– Och! – Śmiejąc się, Hilda dała Patricii znak, żeby podeszła bliżej. – Jest wielbicielek ptaków?

– Wielką. Rany, z bliska jest jeszcze śliczniejszy. Czy to jedyny w swoim rodzaju?

– To miejscowy wyrób, ale sklep, który je sprzedaje, ma podobne. Nazywa się Bird House.

Zacząła podawać Patricii dokładne wskazówki, które ta posłusznie wpisała

w telefon.

– Wspaniale.

– Wydaje mi się, że wczoraj widziałam, jak tędy przejeżdżałaś.

Uśmiech Patricii zamarł na chwilę.

– To możliwe. Moi rodzice właśnie wprowadzają się do domu kilka ulic dalej. Załatwiam im sprawunki. Nie mogli dłużej znieść zim w Saint Paul.

– Wiem, jak to jest. Sama uciekłam przed zimami w Maine.

– No to pani rozumie – odparła, śmiejąc się, Patricia. – Gdybym znalazła coś takiego jak to, miałabym wspaniały prezent na parapetówkę dla mamy.

– Mój ulubiony domek jest na tyłach ogrodu, żebyśmy mogła go zobaczyć z okna w kuchni. To angielski wiejski dworek.

– Żartuje pani! – Poczawszy natchnienie, Patricia uniosła ręce. – Moja mama wychowała się w takim dworku w regionie Lake District. Będąc nastolatką przeprowadziła się do Stanów. Karmnik dla ptaków w kształcie angielskiego dworku... Byłaby zachwycona!

– Ptaki mogą się tam również gnieździć. Chodź ze mną, pokażę ci go.

– Och, jest pani bardzo miła. Jeśli to nie sprawi wielkiego kłopotu...

– Zrobię to z radością. – Kiedy szły, Hilda pomachała do mężczyzny, który wyszedł z sąsiedniego domu. – Cześć, Pete.

– Dzień dobry, Hildo. Wybieram się na zakupy do spożywczego. Potrzebujesz czegoś?

– Dziękuję, mam wszystko. Twoim rodzicom będzie się tu podobało – dodała, kiedy obchodziły z Patricią dom.

– Mam nadzieję. Mimo że będę szalenie za nimi tęskniła.

Nie mogę jej teraz zabić, pomyślała Patricia. Samochód jest przed domem. I głupi sąsiad.

– Och, jakie piękne lanai <sup>5</sup>! Na pewno może pani pływać przez okrągły rok.

– I pływam – potwierdziła Hilda. – Każdego ranka przed śniadaniem.

Patricia się uśmiechnęła.

– To dlatego ma pani taką wspaniałą figurę.

Wzdychała z zachwytu nad groteskowym domkiem dla ptaków, chwaliła ogród, rośliny i donice, serdecznie dziękując wkrótce martwej kobiecie.

Nie posłuchała jej wskazówek i zamiast do Bird House pojechała do Walmartu, gdzie kupiła toster i przedłużacz.

Punktualnie o siódmej piętnaście następnego ranka Hilda wyszła z domu do lanai, zdjęła niebieski frotowy szlafrok i w prostym czekoladowobrązowym kostiumie weszła do basenu.

Kiedy go okrążała, wykonując równe, spokojne ruchy, Patricia weszła do lanai przez niezamknięte drzwi, włożyła wtyczkę przedłużacza do gniazdka w tylnej ścianie domu i wrzuciła toster do basenu.

Przyglądała się, jak ciało Hildy trzepocze się, gdy woda zabulgotała. Patrząc, jak unosi się na powierzchni twarzą w dół, odłączyła przewód elektryczny i za pomocą siatki do basenu wyłowila toster.

Odkryją, co się wydarzyło – prawdopodobnie – ale czemu im w tym pomagać? Włożyła narzędzie zbrodni do plecaka i, ubrana w spodnie do biegania, koszulkę i czapkę z daszkiem, pobiegła trzy przecznice dalej do wynajętego samochodu.

Wrzuciła toster do kontenera na śmieci za restauracją, a przedłużacza pozbyła się kilka kilometrów dalej na parkingu przy centrum usługowym.

Następnie schowała perukę do plecaka i wróciła do hotelu, gdzie podano jej do pokoju solidne śniadanie złożone z omletu ze szpinakiem, plastrów wędzonego indyka, jagód i świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy.

Zastanawiała się, kto znajdzie pływające zwłoki Hildy. Jej córka? Któreś z wnucząt? Sąsiad Pete?

Może zacnie śledzić lokalne gazety.

Jednak postanowiła, że na razie resztę dnia spędzi – bez żadnej ironii – nad hotelowym basenem.

Dziadkowie nie poszli jej na rękę i nie umarli we śnie. Na razie oddała się więc marzeniom o różnych metodach ich zgładzenia. Zabicie ich miało

począć, ale ojciec wyświadczył jej grzeczność i upił się, po czym usiadł za kierownicą forda pickupa.

Oprócz siebie zabił matkę dwojga dzieci i jej nastoletniego syna, kiedy przejechał środkową linię i uderzył w ich niewielkie auto. Zdaniem Patricii mieli pecha.

Teraz mogła skreślić z listy kolejną osobę.

W ciepłą letnią noc odhaczyła, jeszcze przed Hildą, nazwisko Fredericka Mosebly – pozbawiła go życia za pomocą ładunku wybuchowego umieszczonego pod siedzeniem jego niezamkniętego samochodu.

To ucieszyło ją szczególnie, ponieważ Mosebly odniósł niewielki lokalny sukces, własnym nakładem wydając książkę o masakrze w centrum handlowym DownEast, którą napisał. Co więcej, pierwszy raz skonstruowała bombę. Uznała, że ma do tego smykałkę.

Trzecią osobę w tym roku skreśliła z listy – musiała rozłożyć to na nieco dłuższy czas – po tym, jak wpadała na nią w zatłoczonym barze i wbiła jej w ciało igłę strzykawki wypełnionej toksyną botulinową. Miało to poetycki wydźwięk, ponieważ doktor David Wu – który z żoną i parą znajomych wybrał się na drinka przed kolacją w ekskluzywnej restauracji i uważano, że tamtej pamiętnej nocy w DownEast uratował życie wielu ludziom – był chirurgiem kosmetycznym.

Patricia pomyślała, że skoro zarabiał na życie (i to dobrze), wstrzykując ludziom botoks, może umrzeć od zastrzyku z tą samą substancją.

Po wszystkim pozbyła się strzykawki i cicho wślizgnęła się do domu.

Przez chwilę, bardzo słodką chwilę, pomyślała, że jej modlitwy zostały wysłuchane.

Babka leżała na podłodze w korytarzu. Jęczała, jednak... wciąż oddychała, ale temu można byłoby zaradzić.

Wydając kolejny jęk, babka odwróciła głowę.

– Patti, Patti... – Boże, jak ona nienawidziła tego zdrobnienia. – Dzięki Bogu. Ja... upadłam. Uderzyłam się w głowę. Sądzę, że, och, sądzą, że złamałam

biodro.

Można by to zakończyć, pomyślała Patricia. Musiałaby tylko zakryć dłonią usta starej jędry, zacisnąć palce na jej nozdrzach i...

– Agnes! Nie mogę znaleźć tego pilota! Gdzie go poło...

Dziadek wyszedł z pokoju na dole, z irytacją marszcząc brwi nad dwuogniskowymi okularami.

Ujrzał żonę, krzyknął i Patricia natychmiast zareagowała.

– O Boże, babciu! – Rzuciła się naprzód, opadła na kolana i chwyciła rękę babki.

– Upadłam. Upadłam...

– Wszystko w porządku. Wszystko będzie dobrze. – Wyrwała telefon z torebki i wybrała numer alarmowy. – Potrzebna jest karetka! – Szybko podała adres, pamiętając, by nadać głosowi mocne drżenie. – Moja babcia upadła. Proszę się pospieszyć. Dziadku, podaj babci pled. Ona ma dreszcze. Weź narzutę z kanapy. Myślę, że ona jest w szoku. Trzymaj się, babciu. Jestem przy tobie.

Tak więc ten wieczór nie przyniesie dodatkowej korzyści, pomyślała Patricia, kiedy delikatnie, łagodnie głaskała policzek babki. Jednak złamane biodro (oby!) i osiemdziesięcioletnia kobieta miały ogromny potencjał.

Patricia ukryła gorzkie rozczarowanie, kiedy Agnes wyzdrowiała. Zdobyła jednak podziw personelu szpitala, pomocnic i sąsiadów jako pełna oddania opiekunka.

Wykorzystała ten czas, by przekonać dziadków nie tylko do tego, by dali jej pisemne pełnomocnictwo – prawnicy wyrazili na to zgodę – ale też aby stała się współwłaścicielką wszystkich rachunków: bieżących i inwestycyjnych, rezydencji w Rockpoint oraz letniego domu w Cape May, który był ich inwestycyjną posiadłością.

Skoro i tak miała odziedziczyć biżuterię babki, od czasu do czasu spieniężała którąś z rzeczy podczas przejazdów do Augusty czy Bangor – i weekendowych wyjazdów (za namową lekarzy) – do parku narodowego Bar Harbor.

Część pieniędzy wydała na stworzenie sobie wiarygodnej fałszywej

tożsamości, którą wykorzystwała, by otworzyć skromne konto bankowe i wynająć skrytkę w banku w Rochester w stanie New Hampshire.

Oprócz biżuterii z regularnego okradania konta dziadków oraz sprzedaży ich wakacyjnego domu, którą podpisali, nawet o tym nie wiedząc, bo byli zbyt głupi, miała w skrytce ponad trzy miliony dolarów oraz cztery fałszywe dowody tożsamości, łącznie z paszportami i kartami kredytowymi.

Na wypadek konieczności ucieczki w torbie na szafie trzymała sto tysięcy dolarów w gotówce razem z innymi niezbędnymi rzeczami, i zaczęła przygotowywać kolejną torbę.

Ponieważ ani dziadek, ani babka nie używali już schodów, całe pierwsze piętro miała dla siebie. W sypialni zainstalowała zamki z blokadą, a pokoju gościnnego używała jako pracowni.

Nawet jeśli zakaz wstępu na piętro przychodząca co tydzień sprzątaczką uznawała za dziwny, to nic na ten temat nie mówiła. Płacono jej dobrze i miała mniej pracy.

Kiedy nadeszła kolejna rocznica masakry w centrum handlowym DownEast, Patricia opracowała plany. Mnóstwo planów.

I skreśliła z listy kilka następnych nazwisk.

Seleena McMullen wykorzystywała zbliżającą się rocznicę 22 lipca na swoim blogu i w talk show. Pomogło to zrobić trochę szumu wokół uzupełnionego wydania jej książki.

Nie miała obiekcji, że swój sukces zbudowała na tragedii. Stało się zwyczajem, że za każdym razem, gdy jakiś wariat strzelał w miejscu publicznym, występowała jako gadająca głowa w telewizji kablowej.

Co parę lat wyruszała w objazd i zgarniała wysokie honoraria za publiczne wystąpienia. Została producentem wykonawczym dobrze przyjętego filmu dokumentalnego o masakrze, a jej kariera naprawdę przyspieszyła, gdy Seleena załapała się na niewielką gościnną rolę w serialu *Prawo i porządek: sekcja specjalna*.

Musiała przyznać, że miała wzloty i upadki. W każdą rocznicę Seelena podsycała zainteresowanie sprawą, sama ustawiając się w centrum uwagi.

Miała zespół pracowników, agentkę oraz seksownego chłopaka – po krótkotrwałym małżeństwie i nieprzyjemnym rozwodzie. Niemniej rozwój i seksowny chłopak podniosły jej notowania i klikalność. Te wzrosły gwałtownie, kiedy zapowiedziała, kto wystąpi w jej programie w rocznicowym tygodniu.

Miała policjantkę, która zastrzeliła Hobarta. Wprawdzie musiała przycisnąć burmistrza, żeby przycisnął jej kapitana, żeby przycisnął policjantkę, ale ją miała. Nie mogła dostać nastoletniego wówczas bohatera, obecnie jej partnera, i stało to Seelenie ością w gardle.

Wydział policji w Portland dał jej wybór: jedno albo drugie, nie oboje. Zdecydowała się na policjantkę, która pierwsza znalazła się na miejscu zbrodni, i odpuściła sobie tamtego.

Miała kobietę, która była w kinie i omal nie zginęła. Żyła z bliznami na twarzy i urazowym uszkodzeniem mózgu. Zarezerwowała sobie maniaka komputerowego, który uratował sklep pełen ludzi, barykadując ich na zapleczu, kilkoro innych poszkodowanych, ratownika medycznego i jednego z lekarzy pogotowia, którzy dyżurowali tamtej nocy.

A klejnot w koronie? Siostra zabójcy, młodsza siostra przywódcy zamachowców.

Miała Patricię Jane Hobart.

Pomimo tego – a osiągnięcie było duże, bo siostra Hobarta aż do tej pory nigdy nie udzieliła oficjalnego wywiadu – Seelena krążyła po swoim biurze, wściekając się.

Chciała zdobyć trzy bramki w jednym meczu. Policjantka, siostra Hobarta oraz Simone Knox – ta, która zadzwoniła pod numer alarmowy i pierwsza zawiadomiła policję, dzięki czemu McVee zastrzeliła Hobarta.

Ta suka nawet nie odbierała telefonów. Miała jakiegoś dupka prawnika, który przysłał jej nakaz zaprzestania działań, kiedy wytropiła Simone w nowojorskiej

galerii sztuki.

Publiczne wydarzenie, pomyślała teraz Seleena. I miała absolutne prawo – pieprzona pierwsza poprawka <sup>6</sup> – podetknąć jej mikrofon pod nos.

Nie była zachwycona, że wyrzucają ją z galerii za to, że wykonuje swoją pracę. Napisała zjadliwy artykuł o tym, jak została potraktowana, i na temat tej sukki. I wydrukowałaby go, gdyby jej były – zanim dowiedział się o chłopaku i został byłym – nie przekonał Seleeny, że przez to sama wyjdzie na sukę.

Nie mogła znieść poczucia, że miał rację.

No cóż, mogła ograć ten telefon pod dziewięćset jedenaście i zrobi to. Będzie robić wzmianki o Simone Knox i być może zainsynuuje, że jako dość znana artystka panna Knox nie chce już mieć nic wspólnego z tragedią w centrum handlowym DownEast.

– Popracuj nad tym – mruknęła. – Pomyśl, jak to powiedzieć. Rzuć na nią cień, ale dyplomatycznie, okazując zrozumienie.

Szarpnięciem otworzyła drzwi i zawołała:

– Marlie! Gdzie, do diabła, jest moja macchiato?

– Luca powinien z nią za chwilę wrócić.

– Na miłość boską, dowiedz się, gdzie jest Simone Knox i gdzie będzie za tydzień.

– Och, panno McMullen, ten prawnik...

Seleena obróciła się tak gwałtownie, że nieśmiała Marlie odskoczyła krok w tył.

– Pytałam cię, kurwa, o to? Po prostu się dowiedz. Chcę wiedzieć, gdzie ona będzie, kiedy przeprowadzę wywiad z Patricią Hobart i policjantką, która zabiła jej brata. I chcę mieć jej zdjęcia. Rusz dupę, Marlie.

Seleena z trzaskiem zamknęła drzwi.

– Zobaczymy, kto wygra tę rundę – mruknęła.

Wygrała Simone. Kilka tygodni w okresie rocznicy spędziła, podróżując po Arizonie, Nowym Meksyku i Nevadzie. Szkicowała, fotografowała pustynię,



kaniony i ludzi, wyobrażając sobie, jak te kolory, faktury, kształty, te twarze i formy przetwarza w sztukę za pomocą gliny.

Rozkoszowała się samotnością i odkrywaniem krainy w jej oczach tak odmiennej od wschodniego wybrzeża Maine jak Mars od Wenus.

Nie musząc zaspokajać niczyich życzeń poza własnymi fantazjami, zatrzymywała się, kiedy chciała, i zostawała w tym miejscu tak długo, jak jej pasowało.

Kiedy wreszcie ruszyła na wschód, pojechała okrężną drogą na północ przez Wyoming do Montany, gdzie kupiła więcej szkicowników i – ulegając nagłemu impulsowi – kowbojskie buty.

Zanim przekroczyła granicę stanu Maine, nadszedł sierpień i chociaż stale stosowała kremy z filtrem i nosiła kapelusz, była opalona, a w jej włosach pojawiły się rozjaśnione słońcem pasma.

Miała wspaniały nastrój i była szczęśliwa.

Pragnęła wrócić do pracy, przejrzeć setki szkiców i zdjęć, przemyśleć koncepcje i wyobrażenia. Pragnęła poczuć w palcach glinę.

Rozważała wysłanie esemesa do CiCi, ale postanowiła zrobić jej niespodziankę. Zatrzymawszy się na krótki postój, żeby kupić butelkę szampana – tam, do licha, niech będą dwie – miała zamiar pojechać prosto na prom.

Jednak ukłucie poczucia winy kazało jej zmienić kierunek. Zatrzyma się w domu rodziców. Szybka kurtuazyjna wizyta.

Być może jej stosunki z rodzicami i siostrą pozostawały napięte, ale i ona nie była bez winy. Od dnia, kiedy wyszła z rodzinnego domu, aby realizować swoje marzenia, trzymała się z dala od nich.

Dzięki temu unikała kłótni.

Jednak unikanie kontaktów oznaczało, że takie tradycyjne uroczystości jak Boże Narodzenie, śluby czy pogrzeby stały się wymuszonymi strefami zdemilitaryzowanymi – albo polami bitew.

Czemu więc się nie postarać? – zadała sobie pytanie. Wpaść na chwilę w pogodne sobotnie popołudnie, pogadać, może wypić drinka, pochwalić ogród,

opowiedzieć kilka anegdot z podróży.

Jakże smutne i żałosne było to, że musiała ustalać terminy odwiedzin u własnych rodziców.

No więc tego nie zrobi. Zachowa się tak, jak podczas swojej podróży. Bez planowania.

Ktoś tu urządził wielką imprezę, pomyślała na widok samochodów zaparkowanych wzdłuż ulicy. Kiedy ich rząd ujrzała na długim półokrągłym podejździe rodziców i kolejne ostrożnie wciskające się na miejsce dla obsługi, zrozumiała, że właśnie zamierza zepsuć przyjęcie.

To nie najlepszy czas na odwiedziny, zdecydowała, ale wahała się zbyt długo i jeden z parkujących auta gości zablokował jej wyjazd. Kiedy czekała na wolną drogę, żeby uciec, Natalie i kilka kobiet w równie eleganckich sukniach w stylu garden party przeszły przez bujną zielen trawnika przed domem.

Zaskoczona, że w pierwszym odruchu chciała się ukryć, Simone przywołała na twarz wymuszony uśmiech, gdy Natalie ją spostrzegła. Jej siostra się nie uśmiechnęła, ale zsunęła lekko eleganckie słoneczne okulary i spojrzała sponad nich. I to wystarczyło Simone.

Niespiesznie otworzyła drzwi auta i wysiadła w swoim podróżnym stroju złożonym z zielonych wojskowych spodni z bocznymi kieszeniami na udach, czerwonych kowbojskich butach, słomkowym kapeluszu i zabawnym podkoszulku z napisem „RED, WINE AND BLUE”.

– Cześć, Nat.

Natalie powiedziała coś do swoich towarzyszek, na co jedna z nich poklepała ją po ramieniu, kiedy odchodziły – nie bez długich spojrzeń w tył, które wyraźnie wyrażały dezaprobatę.

Natalie podeszła na chodnik.

Wygląda jak mama, pomyślała Simone, doskonały przykład eleganckiej kobiety o nienagannych manierach.

– Simone – powiedziała. – Nie spodziewaliśmy się ciebie.

– Oczywiście. Właśnie wróciłam. Pomyślałam, że wpadnę się przywitać.

– To nie najlepszy moment.

Simone nie przeoczyła jej tonu – używanego wobec znajomych, których trzeba czasem tolerować.

– To również oczywiste. Możesz im powiedzieć, że wróciłam i zatrzymam się u CiCi. Zadzwonię do nich.

– To byłoby coś nowego.

– Kiedy ostatnio sprawdzałam, telefony działały w obie strony. W każdym razie wyglądasz świetnie.

– Dzięki. Przekażę mamie i tacie, że...

– Natalie!

Mężczyzna, który przeszedł przez trawnik w najjaśniejszych z jasnoszarych mokasynach dobranych do jasnych lnianych spodni, szczyił się czarującymi dołączkami w twarzy hollywoodzkiego przystojniaka. Jego elegancja – biała koszula i granatowy blezer, skąpane w słońcu złoto falujących włosów – idealnie pasowała do stylu Natalie.

Mimo że trochę go znała, Simone potrzebowała chwili, żeby przypomnieć sobie, jak mu na imię. Harry (Harrison) Brookefield, jeden z młodych pistoletów w kancelarii jej ojca.

A także, jak mówiła CiCi, zaaprobowany przez rodziców chłopak Natalie.

– Jesteś! Byłem... Simone? – Ukazując dołączki, wyciągnął rękę na przywitanie. – Nie wiedziałem, że tu jesteś. To wspaniale. Kiedy wróciłaś?

– Jakies pięć minut temu.

– W takim razie na pewno masz ochotę na drinka. – Mówiąc to, objął Natalie w pasie i, zdaniem Simone, jeszcze nie dostrzegł jej sztywności. Potem znów podał rękę Simone.

– Och, dzięki, ale nie jestem odpowiednio ubrana na przyjęcie. Mam zamiar...

– Nie wygłupiaj się. – Harry mocno uścisnął jej dłoń. – Kluczyki są w samochodzie?

– Tak, ale...

– Świetnie.

Gestem przywołał parkingowego.

– Ten samochód należy do rodziny.

– Naprawdę, Harry, Simone musi być zmęczona po podróży.

– Tym bardziej potrzebuje drinka. – Zupełnie jakby owiniętym aksamitem heblem wygładził szorstką korę. – Teraz możesz świętować z całą swoją rodziną, skarbie.

Ten mężczyzna uścisk i wolę ma żelazne, pomyślała Simone, ale głównym powodem – bez względu na to, jak małostkowym – dla którego pozwoliła mu się pociągnąć za sobą, był widoczny dyskomfort Natalie.

– Co świętujemy?

– Nie powiedziałaś jej? Dobry Boże, Natalie. – Harry spojrzął na Simone i puścił do niej oko. – Powiedziała „tak”.

Przez dobre trzy sekundy Simone miała pustkę w głowie.

– Zaręczyliście się. Weźmiecie ślub?

– Co uczyni mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Teraz, kiedy krętą ścieżką ruszyli do ogrodu na tyłach domu, Simone usłyszała muzykę i głosy.

– Gratuluję.

Jak to się stało? – zastanawiała się. Jak to się stało, że siostra, która kiedyś wślizgiwała się do jej łóżka, żeby szeptać sekrety, nie podzieliła się z nią wiadomością o tak istotnym, przełomowym wydarzeniu? Tak radosnym, że zasługiwało na przyjęcie z wytwornymi sukniami, z białymi obrusami przystrojonymi białymi kwiatami, eleganckich kelnerów roznoszących tace z drinkami i małutkimi przekąskami.

– To cudowne. Fascynujące.

Jesteś wciąż taka młoda i taka... rozpieszczona, pomyślała Simone. Jesteś pewna? Powiesz mi?

Harry zatrzymał kelnera i wziął trzy kieliszki szampana.

– Za cudowne i fascynujące – powiedział, podając im je.

– Absolutnie. A więc ustaliliście już datę?

– Październik – za rok od tego października – wyjaśniła Natalie.

– Nie mogłem namówić jej na wiosnę. Poczekam. Pozwólcie, że opuszczę was na chwilę, chcę znaleźć moją matkę. Będzie szczęśliwa, mogąc cię poznać, Simone. Uwielbia zwłaszcza posążek Natalie trzymającej szalę sprawiedliwości, który wyrzeźbiłaś dla niej, kiedy ukończyła prawo. Za chwilę wrócę.

– Jesteś zaręczona. Boże, Natalie, zaręczona! On jest zachwycający i wygląda na wspaniałego faceta. Ja...

– Gdybyś przez ostatnie dwa lata zadała sobie trud, żeby go poznać, wiedziałabyś, że jest wspaniały.

– Cieszę się twoim szczęściem – odparła ostrożnie Simone. – Wyraźnie za tobą szaleje i cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Gdybym wiedziała o przyjęciu, wróciłabym do domu wcześniej i ubrałabym się odpowiednio. Teraz wyjdę, wymknę się, żeby nie stawiać cię w kłopotliwej sytuacji.

– Simone! – Radosny okrzyk CiCi przebił się poprzez muzykę i rozmowy.

– Za późno – stwierdziła Natalie, kiedy babka w powiewnej cygańskiej spódnicy ruszyła szybko przez taras.

– Jest moja podróżniczka! – Pochwyciła Simone w objęcia. – Popatrz tylko, jaka jesteś opalona. Czyż to nie fantastyczne? – Objęła Natalie. – Nasza dziewczynka złowiła sobie narzeczonego. A on jest pychota, mniam-mniam. –

Roześmiała się głośnym, pięknym śmiechem i uściskała je obie. – Chodźmy napić się szampana.

– Mamo.

– Oho! – Parskając śmiechem, CiCi cofnęła się. – Zostałam przyłapana na gorącym uczynku. – Odwróciła się, objęła wnuczki w pasie i uśmiechnęła się do córki.

– Spójrz, kto przyjechał, Tule.

– Właśnie widzę. Simone. – Urocza w sukience z szantungu w kolorze zgniecionych płatków róży, Tulip pochyliła się, żeby pocałować Simone w policzek. – Nie wiedzieliśmy, że wróciłaś.

– Wróciłam przed chwilą.

– To wszystko wyjaśnia. – Z gładkim uśmiechem i iskrami irytacji w oczach Tulip zwróciła się do Natalie. – Kochanie, może zaprowadzisz siostrę na górę, żeby mogła się odświeżyć? Na pewno masz coś, co mogłabyś jej pożyczyć do włożenia.

– Nie bądź taką sztywniarą, Tulip.

Tulip przeniosła iskrzący wzrok na matkę.

– To jest dzień Natalie. Nie chcę, żeby go zepsuto.

– Nie zepsuję go. Nie zostanę. – Simone oddała swój kieliszek Natalie. – Powiedz Harry’emu, że źle się poczułam.

– Pojadę z tobą – odezwała się CiCi.

– Nie. To dzień Natalie i powinnaś tu być. Zobaczymy się później.

– To było chamskie zagranie, Tulip – powiedziała CiCi, kiedy Simone odeszła. – A patrząc na wyraz twojej twarzy, Nat, widzę, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Wstyd mi za was obie.

Simone musiała wytropić człowieka, który zaparkował jej samochód, a potem poczekać, aż znajdzie kluczyki.

Podczas gdy czekała, jej ojciec szybko nadszedł chodnikiem.

Co mi tam, pomyślała, jeszcze jeden cios łokciem w brzuch.

On tymczasem objął ją i mocno przyciągnął do siebie.

– Witaj w domu.

Przykre uwagi i wbijane szpile nie ścisnęły jej za gardło i nie wypełniły oczu łzami, ale ów gest to spowodował.

– Dzięki.

– Ledwie usłyszałem, że wróciłaś, a ty już odchodzisz. Musisz wrócić, kochanie. To wielki dzień dla Natalie.

– Właśnie dlatego odjeżdżam. Ona mnie tu nie chce.

– Nonsens.

– Dała mi to jasno do zrozumienia. Moje nieoczekiwane pojawienie się w stroju nieodpowiednim do okazji wprawilo twoją żonę i córkę w zażenowanie.

– Mogłaś wrócić do domu trochę wcześniej, włożyć coś odpowiedniego.

– Zrobiłabym tak, gdybym wiedziała o przyjęciu.

– Natalie skontaktowała się z tobą dwa tygodnie temu – zaczął, a potem zobaczył wyraz jej twarzy. Westchnął. – Rozumiem. Przepraszam. Przepraszam, dała do zrozumienia, że to zrobiła, w przeciwnym razie sam bym cię zawiadomił. Wróc ze mną. Zamienię z nią słowo.

– Nie, proszę, nie rób tego. Ona mnie tu nie chce i ja też nie chcę tu być.

Smutek zachmurzył oczy Warda.

– Boli mnie, kiedy słyszę twoje słowa.

– Przykro mi. Chciałam wpaść, zobaczyć się z tobą, z mamą, spróbować... trochę to odwrócić. Trochę. Miałam dobre lato. Owocne, satysfakcjonujące, oświecające. Chciałam wam o tym opowiedzieć. I może przekonalibyście się, że podjęłam dobrą decyzję, dla siebie. Może byście to zrozumieli.

– Zrozumiałem to – odparł cicho. – Zrozumiałem, że się myliłem. Uparcie chciałem mieć rację i cię straciłem. A tracąc cię, łatwiej mi było winić za to ciebie niż siebie. Teraz moja młodsza córka wychodzi za męża. Zostanie żoną, a nie moją małą dziewczynką. Dotarło do mnie, że w twoim przypadku bardziej chciałem mieć rację, niż żebyś była szczęśliwa. Wstyd mi zmierzyć się z tym, ale muszę. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

– Tatusiu.

Przytuliła się do niego i załkała.

– To również moja wina. Łatwiej mi było się wycofać, trzymać się z dala.

– Zgoda. Przyjmuję to, że nie zawsze mam rację, a ty nie będziesz się ode mnie odsuwać.

Simone skinęła głową i oparła policzek na piersi ojca.

– Mimo wszystko dobrze było wrócić do domu.

– Wróc na przyjęcie. Dotrzymaj mi towarzystwa.

– Nie mogę. Naprawdę, Natalie wkurza mnie jak diabli, ale nie chcę popsuć jej przyjęcia. Może mógłbyś wybrać się kiedyś na wyspę? Opowiem ci o swojej wyprawie i pokażę kilka rzeczy, nad którymi pracuję.

– Dobrze. – Pocałował ją w czoło. – Cieszę się, że wróciłaś.

– Ja też.

Cieszę się, że wróciłam, pomyślała, zwłaszcza kiedy stanęła przy relingu na promie i patrzyła na coraz bliższą wyspę.



## ROZDZIAŁ 10

Z domu CiCi rozciągał się widok na zatokę, ocean i nierówną linię brzegową Tranquility Island z wysuniętym występem kamienistego lądu na wschodniej stronie, gdzie wnosiła się latarnia morska.

Kiedy CiCi zamieszkała na wyspie, latarnia była przeciętną bryłą nagiej bieli. Zmieniła to.

Wspólnie z tutejszą społecznością artystów nakłoniła radę miejską oraz biznesmenów i właścicieli nieruchomości do wprowadzenia tu odrobiny radosnego szaleństwa. Oczywiście znaleźli się sceptycy nieprzekonani do wizji, w której grupa artystów na drabinach i rusztowaniach malowałaby na murach latarni ukwiały, muszle, syreny, gorgonie i inne koralowce.

Okazało się, że miała rację.

Od ich zakończenia – a nawet już podczas trwania prac – turyści przyjeżdżali, żeby robić zdjęcia, a inni artyści umieszczali unikatową teraz latarnię na swoich pejzażach morskich. Rzadko zdarzało się, aby ktoś z wycieczkowiczów opuścił wyspę bez co najmniej jednej z pamiątek przedstawiających smukłą Latarnię z Tranquility, które w ogromnych liczbach sprzedawano w sklepikach w miasteczku i w sąsiedztwie plaży.

Co kilka lat artyści odświeżali malowidła, często dodając jeden czy dwa ozdobne zawijasy.

CiCi lubiła spoglądać w głąb wybrzeża, podziwiając tę barwną wieżę będącą wyrazem kreatywności.

Jej dom stał na zachód od latarni, na wzniesieniu ponad wysuniętym w wody zatoki fragmentem nierównego wybrzeża. Uroku dodawały mu wielkie okna,

kamienne tarasy. Razem z przerobionym strychem z małym balkonem miał dwa piętra. Na wielkim tarasie nad brzegiem wody, z jej ulubionej strony, w sezonie stało mnóstwo doniczek z kwiatami i ziołami, tonąc w słońcu obok wielkich ogrodowych foteli z jaskrawo kolorowymi poduszkami i kilkoma pomalowanymi stolikami.

Więcej kwiatów i wygodnych siedzisk było ustawionych wzdłuż szerokiego tarasu na piętrze. Znajdowało się tam również jacuzzi, z którego CiCi korzystała okrągły rok, pod pergolą, gdzie często odpoczywała – radośnie naga – z kieliszkiem wina, spoglądając na wodę i płynące po niej łodzie.

Do studia z przeszkloną ścianą z widokiem na zatokę, które zostało zaprojektowane i dobudowane, kiedy kupiła dom, mogła wejść z dużego pokoju albo patia. Uwielbiała tam malować, kiedy woda lśniła błękitem jak klejnot albo kiedy stawała się lodowato szara i miotła się w uścisku zimowego sztormu.

Przebudowała strych – a właściwie zrobili to Jasper Mink (który ogrzewał jej łóżko raz czy dwa pomiędzy swoimi małżeństwami) i jego ekipa, kiedy Simone wyjechała do Włoch.

Było tam piękne światło, mnóstwo przestrzeni, a teraz jeszcze urocza mała łazienka.

Jak lubiła o sobie mówić, CiCi miała trochę paranormalnych zdolności. Wyobrażała sobie, jak Simone pracuje na strychu, mieszkając w tym rozległym domu, dopóki nie odnajdzie własnego miejsca.

CiCi, ze swoimi paranormalnymi zdolnościami, nie miała wątpliwości, gdzie jest to miejsce, ale dziewczyna musiała odkryć je sama.

Tymczasem ilekroć Simone wracała do Maine, tylekroć wracała do CiCi.

Pomimo dwóch artystycznych temperamentów żyło im się razem łatwo. Każda miała własną pracę i przyzwyczajenia, więc czasem całymi dniami się nie widywały. Albo siedziały razem godzinami na tarasie, jeździły na rowerze do miasteczka, spacerowały wąskim skrawkiem plaży nad brzegiem wody lub po prostu w niekrępującej ciszy siedziały na nabrzeżnych skałach.

Kiedy Simone wróciła do domu z wyprawy na zachód, spędziły z CiCi

mnóstwo czasu, przeglądając zdjęcia i szkice, które zrobiła. CiCi pożyczyła od niej kilka zdjęć – ulicznego targu w Santa Fe, stromych ostańców w kanionie de Chelly – aby wykorzystać je w swojej pracy.

Kiedy Ward przyплыnął z wizytą, CiCi zniknęła, żeby zapalić świece i kadzidło oraz medytować, zadowolona, że ojciec i córka starają się ze sobą pogodzić.

Przez dziesięć dni, gdy tłumy letników wypełniały wyspę, żyły szczęśliwe we własnym świecie, mając swoją sztukę, wody zatoki i koktajle przy zachodzie słońca.

Wtedy przyszedł sztorm.

Natalie wpadła do domu z siłą żywiołu. CiCi, dopiero po pierwszej filiżance kawy (nadal wolała oglądać wschody słońca jako ostatnie przed snem niż jako pierwsze po nim) zamrugła jak sowa.

– Cześć, kochanie. Co cię do nas przywiało?

– Gdzie ona jest?

– Zaproponowałabym ci kawę, ale wyglądasz już na bardzo pobudzoną. Może usiądziesz i złapiesz oddech, kochanie?

– Nie chcę siadać. Simone! Niech to szlag! – krzyknęła z wściekłością i jak burza ruszyła do środka, a CiCi już wiedziała, że musi oczyścić dom z tej wirującej negatywnej energii, okadzając go dymem z białej szalwii. – Jest na górze?

– Nie wiem – odparła chłodno CiCi. – Dopiero wstałam. I chociaż cała jestem za wyrażaniem siebie, zechciej łaskawie uważać na ton, jakim się do mnie zwracasz.

– Mam tego dość, mam dość tego wszystkiego. Ona może robić, co tylko chce i kiedy chce i tobie to nie przeszkadza. A ja haruję jak koń, odbieram dyplom jako jedna z pięciu procent najlepszych studentów na roku – pięciu procent najlepszych! – a wy dwie nawet nie zadajecie sobie trudu, żeby się tam pokazać.

Szczerze zdumiona CiCi odstawiła kubek z kawą.

– Czyś ty rozum postradała? Pojechałyśmy tam obie, i to z entuzjazmem,

młoda damo. Nie mogę uwierzyć, że wkurzyłaś mnie do tego stopnia, że nazwałam cię młodą damą. Zabrzmiałaś jak własna matka! Simone tygodniami pracowała nad prezentem dla ciebie i...

– Simone, Simone, ciągle, kurwa, Simone!

– Teraz już zachowujesz się jak Jan Brady <sup>Z</sup> w wersji dla dorosłych. Opanuj się, Natalie.

– Co się dzieje? – Simone weszła szybkim krokiem. – Wasze krzyki słychać aż w moim studiu na górze.

– Twoje studio. Twoje, twoja, ty! – Natalie obróciła się i popchnęła Simone tak mocno, że ta zatoczyła się trzy kroki w tył.

– Dość tego! – rzuciła ostro CiCi, podchodząc do młodszej wnuczki. – W moim domu nie będzie przemocy. Krzyki, wulgarny język – proszę bardzo, ale nie fizyczna przemoc. Nie przeciągaj struny.

– Natalie, o co ci chodzi, do cholery? – Simone podeszła i położyła dłoń na ramieniu CiCi.

– Spójrzcie na siebie! Zawsze wy dwie. – Z twarzą czerwoną z wściekłości, z ogniem w niebieskich oczach, Natalie dźgnęła powietrze dwoma wskazującymi palcami. – Tego też mam dość. To niesprawiedliwe, że kochasz ją bardziej niż mnie.

– Po pierwsze, miłość nie ma nic wspólnego ze „sprawiedliwością”. A po drugie, kocham cię tak samo, nawet kiedy zachowujesz się jak szalona. Właściwie mogłabym kochać cię bardziej, kiedy tak się zachowujesz. To interesująca zmiana.

– Przestań. – Z oczu Natalie trysnęły gorące łzy wściekłości. – Zawsze tylko ona. Zawsze była twoją ulubienicą.

– Jeśli zamierzasz mnie o coś oskarżać, mów konkretnie, bo nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek cię ignorowała.

– Nie wyremontowałaś dla mnie strychu.

CiCi zaczęła mieć dość. Jednym tchem wypła kawe. Nie pomogło.

– Chciałaś, żebym to zrobiła?

– Nie o to chodzi!

– Właśnie że o to chodzi. Nie zabrałam Simone do Waszyngtonu, kiedy ukończyła liceum i nie zorganizowałam dla niej zwiedzania Kongresu, bo tego ode mnie nie chciała. Ty chciałaś, więc to zrobiłam. Daj już sobie z tym spokój.

– Nawet nie mogę już tu bywać, bo ona tu mieszka.

– To twój problem. A wygląda na to, że właśnie tu jesteś. Jeszcze jedno, zanim zamienię tę kawę na Bloody Mary, na którą nabrałam ogromnej ochoty. Simone może i będzie tu mieszkać tak długo, jak zechce. To nie twoja sprawa, kto mieszka w moim pieprzonym domu. Gdybyś chciała się tutaj wprowadzić, byłabyś mile widziana, ale nie tego chcesz.

CiCi podeszła do lodówki.

– Ktoś jeszcze chce Bloody Mary?

– Faktycznie... – zaczęła Simone.

– Otóż to. – Natalie uśmiechnęła się szyderczo. – Właśnie tak, jak mówi mama. Podobne jak dwie krople wody.

– I co z tego? – Simone wyrzuciła ręce w górę. – Mamy ze sobą coś wspólnego. Ty i mama macie ze sobą coś wspólnego. No i co?

– Nie masz za grosz szacunku dla mojej matki.

– Naszej matki, Nat, i z pewnością mam.

– Bzdura. Ledwo spędzasz z nią trochę czasu. Nawet nie pofatygowałaś się do niej na Dzień Matki.

– Na miłość boską, Nat, byłam w Nowym Meksyku! Zadzwoiłam do niej, wysłałam kwiaty.

Oczy Natalie, tak samo przenikliwie błękitne, jak jej matki, płonęły.

– Uważasz, że to ma jakieś znaczenie? Kliknąć na kilka kwiatów w internecie?

Simone przechyliła głowę.

– Powinnaś to powiedzieć mamie i tacie, bo właśnie tak robili z okazji każdego mojego wernisażu.

– To co innego i nie próbuj zrzucić winy na nich. Ona cię nie obchodzi, ani

nikt z nas, cokolwiek wmówiłaś tacie. Kłócili się z twojego powodu. Z twojego powodu Harry i ja okropnie się pokłóciliśmy w wieczór naszych zaręczyn.

– Jezu Chryste. Nie żałuj wódki – zwróciła się do CiCi Simone.

– Bez obaw.

– Wy dwie! – rzuciła ze złością Natalie. – Zadowolone z siebie w swojej alternatywnej rzeczywistości. Ja żyję w prawdziwym świecie. Tym, do którego wtargnęłaś, nieproszona, wyglądając jak coś, co upadło przy drodze. Jednak zdołałaś przymilić się do Harry’ego i taty, prawda? Odgrywając ofiarę.

– Do nikogo się nie przymilałam ani niczego nie odgrywałam. Może gdybyś ich obu nie okłamała, mówiąc, że się ze mną skontaktowałaś, nie miałybyś teraz problemu.

– Nie chciałam cię tam!

Te słowa uderzyły Simone, rozdarły jej serce, mimo że o tym wiedziała.

– Oczywiście. Ale nie byłaś w tej sprawie szczerą i nie zamierzam ponosić za to winy.

– Jesteś samolubna, pełna nienawiści i nie zależy ci na nikim poza sobą.

– Mogę być samolubna, według twojej oceny, ale nie ma we mnie wiele nienawiści. A gdyby mi na nikim nie zależało, nie przyjechałabym do mamy i taty i nie skończyłoby się tym, że przyniosłam wam wstyd. Natomiast ty, wstrętna mała suko, jesteś kłamczuchą i tchórzem, a w swoim prawdziwym świecie nie bierzesz odpowiedzialności za życie. Pieprzyć to, Natalie, i ciebie razem z tym. Nie będę workiem do bicia dla ciebie ani dla mamy.

Chociaż serce jej łomotało, a ręce drżały, Simone wzięła drinka, którego CiCi postawiła na blacie, i wzniosła nim złośliwy toast.

– Ciesz się swoją wersją rzeczywistości, Nat. Ja zostanę przy swojej.

Łzy, podsycane gniewem, błyszczały w oczach Natalie.

– Brzydzisz mnie, wiesz?

– Jestem bardzo przenikliwa, więc tak, zauważyłam to.

– Okej, dziewczęta – przerwała im CiCi. – Dość już tego.

– Zawsze bierzesz jej stronę, prawda?

Z bólem serca CiCi przemogła się, by odpowiedzieć jasno i spokojnie.

– Bardzo się starałam nie brać niczyjej strony, ale zmuszasz mnie do tego, Natalie. Upuściłaś już pary, więc...

– Nic nie znaczę dla żadnej z was. Ją też obróciłaś przeciwko mnie – krzyknęła do Simone. – Nienawidzę cię! Jesteście siebie warte.

Odwróciła się, żeby wybiec i – oślepla z gniewu i rozgoryczenia – zepchnęła *Wynurzenie* z postumentu, który CiCi zrobiła dla rzeźby. Mimo że Simone krzyknęła ze zgrozy, rzeźba rąbnęła o ziemię. Śliczna, pogodna twarz, owe narodziny radości, twarz utraconej przyjaciółki, roztrzaskała się na cztery części.

– O Boże, Boże... – Odgłos uderzenia, widok dokonanego zniszczenia, zmieniły wściekłość Natalie w pełen przerażenia szok. – Przepraszam. Och, Simone, tak mi przykro. Nie chciałam...

– Wynoś się. – Simone ledwie wyszeptała te słowa. Czowała w sobie ranę tak głęboką, że w niej krzyczała. Zanim uniosła rękę, zdołała wziąć do niej drinka, bo zdawała sobie sprawę, że jeśli uderzy, może już nie przestać.

– Simone, CiCi, tak bardzo, bardzo mi przykro. Nie mogę...

Kiedy Natalie postąpiła krok naprzód z wyciągniętą dłonią, Simone podniosła głowę.

– Nie zbliżaj się do mnie. Wynoś się. Wynocha! – Dławiąc się z wściekłości i żalu, Simone wybiegła tylnymi drzwiami, zanim zdążyła użyć pięści zamiast słów.

Łkając, Natalie ukryła twarz w dłoniach.

– CiCi, ja nie chciałam.

– Chciałaś. Chciałaś zranić ją i mnie. Tym razem przeprosiny nie wystarczą.

Gdy Natalie padła jej w ramiona, CiCi poklepała ją po plecach, ale potem obróciła i skierowała do wyjścia.

– Musisz iść i musisz przemyśleć, dlaczego zrobiłaś to, co zrobiłaś, dlaczego powiedziałaś to, co powiedziałaś, i czujesz to, co czujesz. I musisz pomyśleć, jak to naprawić.

– Tak mi przykro. Proszę.

– Jestem pewna, że jest ci przykro, ale zniszczyłaś dzieło siostry w napadzie złości. Złamałaś jej serce, mnie też.

– Nie czuj do mnie nienawiści. – Gdy CiCi otworzyła drzwi, Natalie przywarła do niej. – Ona mnie nienawidzi. Ty tego nie rób.

– Nie czuję do ciebie nienawiści, ona też nie. Nienawidzę słów, które padły z twoich ust. Nienawidzę tego, co zrobiłaś, bo chciałaś nas obie zranić. I nienawidzę tego, że muszę powiedzieć to własnej wnuczce – a kocham cię, Natalie – ale nie możesz tu wrócić dopóty, dopóki nie zmierzysz się z tym, co zrobiłaś, i nie znajdziesz sposobu, żeby to naprawić.

– Ona naprawdę mnie nienawidzi. Ona...

– Przestań – rzuciła CiCi ze złością i odepchnęła Natalie. – Przestań i wejrzyj w głąb siebie zamiast przypisywać winę komuś, kogo nawet nie chcesz zrozumieć. Kocham cię, Natalie, ale w tej chwili jestem pewna jak diabli, że cię nie lubię. Wracaj do siebie.

Serce od nowa jej pękało, ale CiCi zamknęła wnuczce przed nosem drzwi swojego domu.

Oparłszy się o nie, patrząc na piękno, wdzięk i radość tak bezmyślnie zniszczone, ona też zapłakała.

Pozwalając płynąć łzom, poszła do drugiej wnuczki.

Simone siedziała na kamiennych płytach patia, z kolanami przyciągniętymi do piersi, twarzą przyciśniętą do kolan, i szlochała. CiCi usiadła obok i objąwszy ją, kołysała tak długo, aż obie się wypłakały.

– Jak mogła to zrobić? Jak ona może aż tak mnie nienawidzić?

– Nie czuje do ciebie nienawiści. Jest zazdrosna i rozgniewana, i, Boże, pełna pogardy. Pod tym względem jest nieodrodną córką swojej matki. Jednak wiem, na pewno, że Tulip nigdy by tego nie chciała. Nie jesteś taka jak oni, moja kochana dziewczyno, więc traktują to jak obrazę. Wprawiamy ich w zażenowanie, a ono sprawia, że czują się mało ważni, więc wycofują się w pogardę.

Obejmując Simone, która opierała głowę na jej ramieniu, CiCi spoglądała na



wodę, jej głęboki błękit z odrobiną zieleni, fale uderzające o skały.

– Być może mogłabym wziąć część winy na siebie, ale jaki to ma sens? – zastanawiała się CiCi. – Zrobiłam, co mogłam. Tulip była szczęśliwym dzieckiem, a potem moja matka... No cóż, jej też nie można winić. Jesteśmy tym, kim jesteśmy, i kim decydujemy się być.

CiCi delikatnie gładziła Simone po włosach.

– Ona jest zdruzgotana, kochanie. Bardzo tego żałuje.

– Nie, nie, nie broń jej.

– Och, nie bronię. Mnie też zaatakowała, a nie miała prawa. Najwyższy czas, żeby uporała się ze swoim wewnętrznym dzieckiem, przestała obwiniać ciebie, mnie czy cholera wie co, za jej własne problemy. Jeśli zrozumie, co zrobiła i postara się to naprawić, może to być dla niej punkt zwrotny.

– Nie obchodzi mnie to.

– Wiem. Nie winię cię. Rodziny pieprzą sprawy. Do licha, rodziny najczęściej są popieprzone. Jednak popieprzona czy nie, ona zawsze pozostanie twoją siostrą i moją wnuczką. Obu nam przebaczenie nie przyjdzie łatwo, i nie powinno. Natalie musi na nie zasłużyć.

– Nie wiem, czy uda mi się ją naprawić. To jest Tish i nie jestem pewna, czy potrafię. Czy stać mnie na to, żeby spróbować. A jeśli to zrobię, jeśli potrafię, już nie będzie tym samym.

– Naprawisz ją. – CiCi odwróciła się, żeby pocałować Simone w czubek głowy. – Stać cię na to. Nie, nie będzie tym samym. Będzie miała inną wymowę, szerszą. Oto, co zrobimy. Wejdziemy do domu, pozbieramy odłamki, ocenimy stopień zniszczenia. Zabierzemy ją do twojego studia, a kiedy będziesz gotowa, zaczniesz pracować nad jej naprawą. Tymczasem okadzimy dom białą szałwią i pozbędziemy się negatywnej energii.

– Okej, ale czy możemy tu jeszcze trochę posiedzieć?

– Tak zrobimy.

Rozegrawszy partię golfa, Harry wrócił do domu podekscytowany. Zaliczył

kilka dołków więcej, pokonując swoje wcześniejsze osiągnięcia i uznał, że to będzie fantastyczny dzień.

Za godzinę miał zabrać Natalie na lunch z przyjaciółmi, a wczesnym wieczorem zamierzał zrobić przyszłej żonie niespodziankę i pokazać jej dom, który, jego zdaniem, będzie odpowiadał im obojgu.

Dom, ich dom, oznaczał następny etap. Coś, co wynajdą, kupią, urządują i gdzie wreszcie będą żyli razem.

Jego dama chciała, żeby ślub odbył się jesienią, więc Harry poczeka. Chciała wielkiej, formalnej uroczystości, więc na to przystał. Jednak pragnął tego następnego etapu.

Wszedł do mieszkania i postawił kije golfowe przy drzwiach. Wtedy zobaczył Natalie zwiniętą na sofie w salonie. Radosny nastrój Harry'ego stał się jeszcze radośniejszy.

– Hej, kochanie, nie wiedziałem... – Nagle dostrzegł łzy i zgnębiony wyraz twarzy, kiedy wyciągnęła do niego rękę. – Co ci jest? Co się stało?

Kiedy ją objął, na nowo wybuchnęła łkaniem.

– Jezu, chodzi o twoich rodziców? O babcię?

Natalie gwałtownie potrząsnęła głową.

– Och, Harry, zrobiłam coś strasznego.

– Trudno w to uwierzyć. Ćśś, nie płacz. – Wyjął chusteczkę – matka nauczyła go, żeby zawsze miał ją przy sobie – osuszył jej twarz. – Obrabowałeś bank? Kopnęłaś szczeniaczka?

– Pojechałam spotkać się z Simone.

– Rozumiem. Domyślam się, że nie poszło najlepiej.

– Harry, ona mnie nienawidzi. CiCi też mnie nienawidzi.

– Nieprawda.

– Nie masz pojęcia. Nie rozumiesz. Simone zawsze była ulubienicą CiCi. Ona ją uwielbia, są jak dwie krople wody, dokładnie tak jak mówi mama, a mnie dostają się resztki.

– Jeśli to prawda, tych resztek musi zostawać bardzo dużo, bo ilekroć

spotykałem cię z babcią, widziałem, jak bardzo cię kocha i jaka jest z ciebie dumna. Nie dostrzegam tu żadnej nienawiści.

– Naprawdę mnie nienawidzą. Jeśli dotąd tak nie było, to jest teraz, po tym, co się stało.

– Co się stało?

– Nie chciałam tego zrobić. – Ściskając dłońmi materiał jego koszuli, Natalie wtuliła się w Harry’ego. – Byłam taka wściekła, a Simone mówiła do mnie straszne, okropne rzeczy. A CiCi przygotowywała im przeklęte Bloody Mary i wręcz czułam, jak się ze mnie śmieje. Straciłam panowanie nad sobą.

– Natalie, chyba nie uderzyłaś siostry, prawda?

– Nie! Tylko... Tylko straciłam nad sobą panowanie i zepchnęłam to, i się rozbiło. Nie chciałam tego zrobić i bardzo żałowałam, że tak się stało, ale mnie nie słuchały.

– Co zepchnęłaś?

– Rzeźbę. Kobięce popiersie. – Chora ze zdenerwowania, Natalie przycisnęła do oczu kłęby kciuków. – Rzeźbę Simone z tej przeklętej wystawy we Florencji. CiCi ją kupiła i zawsze się nią chwaliła. Popchnęłam ją, a ona spadła i się rozbiła. A potem, sekundę potem, to było tak, jakby zrobił to ktoś inny. Byłam w szoku i tak bardzo tego żałowałam, i próbowałam im to powiedzieć. Nie słuchały.

– Chodzi o kobietę, która wyłania się ze stawu? – Harry widział i podziwiał tę rzeźbę. – Tę z dużego pokoju CiCi?

– Tak, tak. Po prostu straciłam nad sobą panowanie. One... one zjednoczyły się przeciwko mnie, a ja dałam się ponieść nerwom, a potem nie pozwoliły mi przeprosić.

Harry podniósł się z sofy i podszedł do okna. Miał w oczach tę rzeźbę, przypomniał sobie, że kiedy się nią zachwycał, CiCi opowiedziała mu o wernisazu, o tym, jak się poczuła, kiedy ją zobaczyła.

– Natalie, wiedziałaś, ile ta rzeźba znaczyła dla twojej babci i siostry.

– Ona po prostu tam była, a ja nie zamierzałam tego zrobić.

Harry wrócił do niej, usiadł obok i wziął ją za rękę.

– Natalie, znam cię i wiem, że nie mówisz mi teraz wszystkiego.

– Trzymasz jej stronę. – Spróbowała wyrwać rękę, ale Harry mocno ją trzymał.

– Staram się cię wysłuchać, ale nie mąć.

– Nie przyszłam tu, żeby się z tobą kłócić. Nie po to, żeby kłócić się o Simone. Ponownie.

– Nie kłóciliśmy się o Simone. Spieraliśmy się, bo nie powiedziałaś mi prawdy. Powiedziałaś, że twoja siostra nie mogła wrócić do domu, żeby być na przyjęciu. Że była zbyt zajęta. Kazałaś mi myśleć, że ją o nim zawiadomiłaś, a ona odparła, że nie może przyjechać.

– Była gdzieś na zachodzie, więc przypuszczałam...

– Jesteśmy prawnikami – przerwał jej. – Oboje wiemy, jak stosować półprawdy i wieloznaczności. Nie używaj ich w stosunku do mnie. Co się dzisiaj wydarzyło?

Naprawdę przestraszona, Natalie znów uczepliła się jego koszuli.

– Nie naskakuj na mnie, Harry. Nie zniosłabym tego, gdybyś wystąpił przeciwko mnie.

Ujął jej twarz w dłonie.

– Nigdy tego nie zrobię. Jednak musimy być ze sobą szczerzy. Rozmawiać otwarcie.

– Rodzice... Mama się martwi, bo od czasu przyjęcia ojciec już dwa razy był na wyspie.

– Twoja mama się martwi, bo ojciec spędził trochę czasu z twoją siostrą?

– Nic nie rozumiesz! Nie rozumiesz. Simone pogardza matką. I jest niewdzięczna. Po tym wszystkim, co dla niej zrobili, rzuciła studia i wyjechała do Europy.

Harry już to wszystko słyszał i teraz próbował zachować cierpliwość.

– I wygląda na to, że podjęła dobrą decyzję. A jeśli jest jakiś problem, to między twoją matką i siostrą. To nie jest twoja sprawa, Natalie.

– Kocham swoją matkę.

– Oczywiście. Ja też. – Uśmiechnął się i lekko ją pocałował. – Jesteście jak dwie krople wody. Pojechałaś do siostry, żeby z nią porozmawiać czy żeby się kłócić?

– Jestem prawniczką – odparowała. – Pojechałam porozmawiać, a wtedy ona...

Patrzył jej w oczy głęboko, cierpliwie. Miłość do niego mieszała się z poczuciem winy.

– To nieprawda. Chciałam z nią porozmawiać, kiedy wychodziłam z domu, ale kiedy przypłynęłam na wyspę, do CiCi, byłam wściekła. Ja to zaczęłam. Ja. O Boże, Harry, jestem okropnym człowiekiem.

– Nie mów tak o kobiecie, którą kocham. – Przez chwilę trzymał Natalie w objęciach, kochając jednakowo za jej wady i doskonałość. Po prostu ją kochał.

– Posiedź tu, kochanie. Pójdę odwołać nasz lunch. – I oglądanie domu, pomyślał.

– Zapomniałam. Kompletnie o tym zapomniałam.

– Przełożymy to. A potem naleję nam wina i przegadasz to wszystko ze mną. Wymyślimy coś, kochanie.

– Kocham cię, Harry. Bardzo cię kocham. – Przywarła do niego. Był jak port w czasie sztormu. – Jesteś najlepszym, co spotkało mnie w życiu.

– I nawzajem.

– Chcę, żeby to była jej wina. Chcę być na nią zła. Tak jest łatwiej.

– Patrzę na twoją śliczną buzię i te łyzy. Dlatego nie uważam, żeby tak było łatwiej.

CiCi ustawiła sztalugę na tarasie. Lato minie, zanim zdąży to zauważyć, więc każdy jego dzień był dla niej bezcenny. Nie zamierzała malować pejzażu, ale pracować dalej nad studium z jednego ze zdjęć Simone. Kobieta w czerwonym kapeluszu – szerokie, opadające rondo, a pod nim twarz poorana zmarszczkami, które wyżłobiły czas i słońce – przegląda pomidory w koszu na ulicznym targu,

a zasuszony stary mężczyzna przy straganie uśmiecha się do niej.

W jej wersji pomidory stały się czarodziejskimi jajami, jaskrawie barwnymi jak klejnoty, a ptak siedzący na pasiastej markizie – skrzydlatym smokiem.

Od tygodnia bawiła się odcieniami, nastrojem, przesłaniem. W tym czasie Simone w skupieniu, skrupulatnie naprawiała rzeźbę.

CiCi życzyła im obu szczęśliwej pracy, dla każdej zapaliła po świeczce i zaczęła mieszać farby.

Gdy rozległ się dzwonek, zawołała:

– Proszę!

Rzadko zamykała drzwi i miała ku temu dobry powód. Ktokolwiek przyszedł, mógł po prostu wejść, zamiast zmuszać ją, by przerwała pracę i poszła mu otworzyć.

– Tu jestem.

– CiCi.

Niepewna, czy na dźwięk głosu Natalie poczuć ulgę, czy zachować ostrożność, CiCi odłożyła farby i się odwróciła.

Dziewczyna wygląda na skruszoną, stwierdziła. I bardzo zdenerwowaną, kiedy tak kurczowo ściska za rękę chłopaka, którego CiCi w myślach nazywała Przystojnym Harrym.

– Ponieważ zawsze postępowałaś zgodnie z zasadami, wierzę, że zdecydowałaś się przyjąć odpowiedzialność i wymyśliłaś, jak wynagrodzić wyrządzoną krzywdę.

– Przyjmuję odpowiedzialność. Postaram się wynagrodzić krzywdę. Nie wiem, czy jestem w stanie, ale chcę spróbować. Tak bardzo mi wstyd, CiCi, z powodu tego, co wtedy powiedziałam i zrobiłam. Jest tak wiele rzeczy, które muszę powiedzieć Simone, i mam nadzieję, że mnie wysłucha. Jednak muszę ci wyznać, że wiem, ile ta rzeźba dla ciebie znaczyła. Wiem, że symbolizowała więź między tobą i Simone. Rozbiłam ją, bo nie dzielę z wami tej więzi. I to jest niewybaczalne.

– Ja decyduję, co mogę wybaczyć.

– Myślę, że zanim wynagrodzę krzywdę tobie, powinnam spróbować wynagrodzić ją Simone. W tym celu muszę jej coś wyjaśnić.

– W takim razie powinnaś to zrobić. Ona jest na górze w studiu.

Natalie skinęła głową i puściła dłoń Harry’ego.

– Zawsze byłaś dla mnie cudowna i wstydzę się tego, co ci powiedziałam. Nigdy mnie nie zawiodłaś, nigdy, nawet wtedy, kiedy na to zasługiwałam.

– Przebyła długą drogę – mruknęła CiCi, kiedy Natalie weszła do środka.

– To prawda. Przerwaliśmy pani pracę. Mogę poczekać na zewnątrz...

– Nie wygłupiaj się. Nie mogę pracować, jednocześnie zastanawiając się, czy usłyszę krzyki, wrzaski i przekleństwa. Napijmy się piwa.

– Z przyjemnością.

CiCi podeszła do drzwi i poklepała Harry’ego po policzku.

– Jesteś dla niej dobry, Harry. Wcześniej nie byłam tego pewna, ale jesteś dla niej dobry.

– Kocham ją.

– Miłość jest jak klej. Właściwie używana, potrafi naprawić wszystko.

Simone używała kleju, metalowych ćwieków, papieru ściernego i farb. Po tygodniu intensywnej pracy zaczęła wierzyć, że może przywrócić Tish do dawnego stanu. Może sprawić, że jej twarz znów ożyje.

Kiedy odsunęła się nieco, by ocenić poczynione od rana postępy, usłyszała kroki.

– Zobaczymy. Myślę... To chyba możliwe.

Wtedy podniosła wzrok i ujrzała Natalie. Powoli wstała ze stołka.

– Nie jesteś tu mile widziana.

– Wiem. Proszę cię o pięć minut. Proszę. Nie możesz... O Boże! Naprawiłaś to!

– Nie waż się.

Natalie zatrzymała się w biegu do stołu roboczego i zacisnęła dłonie za plecami.

– Nie możesz mi powiedzieć niczego, na co nie zasługuję. To, że jest mi przykro i wstyd, że jestem sobą zniesmaczona, nie wystarczy. Świadomość, że naprawiłaś to, co próbowałam zniszczyć, nie zwalnia mnie z odpowiedzialności.

– Nie jest naprawiona.

– Ale to... ona... Jest taka piękna, Simone. Gniewało mnie to, miałam ci za złe, że potrafisz stworzyć coś takiego z cholernego błota. Wstydę się tego, nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi wstyd. Nie zawiadomiłam cię o zaręczynach, o przyjęciu, bo nie chciałam, żebyś tam była. Wmówiłam sobie, że i tak byś nie przyjechała. Że to nie miałoby dla ciebie znaczenia. Chciałam cię mieć tylko na weselu, bo inaczej ludzie źle by o mnie pomyśleli. To, co o tobie myślałam, co do ciebie czułam, było okropne.

– Dlaczego?

– Porzuciłaś mnie. Miałam wrażenie, że mnie porzuciłaś. Po centrum handlowym... – Urwała, widząc, że Simone odwraca się z twarzą nagle pozbawioną wyrazu. – Coś w tym rodzaju. Nie rozmawiałaś o tym ze mną.

– Rozmawiałam o tym na terapii. Opowiadałam o tym policji. Bez przerwy.

– Nie chciałaś rozmawiać ze mną, a ja potrzebowałam swojej starszej siostry. Byłam przerażona. Budziłam się z krzykiem, a ty...

– Miałam koszmary, Nat. Zimne poty, brak tchu. Nie krzyczałam, więc mama do mnie nie przychodziła, ale śniły mi się koszmary.

Wpatrując się w nią, Natalie otarła łzy z policzka.

– Nic nie powiedziałaś.

– Wtedy nie chciałam o tym mówić. Teraz też nie chcę. Odsunęłam to od siebie.

– Odsunęłaś od siebie mnie.

– Och, bzdura! – Simone odwróciła się do niej gwałtownie. – Bzdura.

– Nieprawda. To nie jest bzdura, Simone, nie dla mnie. Przedtem mnie włączałaś. Byłyście ty, Mi i Tish, ale mnie włączałaś. One były również moimi przyjaciółkami. Potem mnie odcięłaś. Byłyście tylko ty i Mi.

– Jezu Chryste! Tish zginęła. Mi tygodniami była w szpitalu.



– Wiem, wiem. Miałam czternaście lat, Sim. Boże, proszę. Miej trochę litości. Myślałam, że ona nie żyje. Kiedy wyciągnęłam mamę z za lady, pomyślałam, że nie żyje. Sądziłam, że ty też zginęłaś. Potem okazało się, że nie, a mnie się śniło, że nie żyjesz. Że zginęli wszyscy oprócz mnie. Tish była też moją przyjaciółką. I Mi. A zobaczyłam tylko to, że zostałam zastąpiona jako siostra. Zdaję sobie sprawę, jak głupio i samolubnie to brzmi. Kiedy Mi wyszła ze szpitala, wy dwie przyjechałyście tutaj. Do CiCi. A ja myślałam tylko: „Dlaczego mnie zostawiły?”.

– Ona mnie potrzebowała, a ja potrzebowałam...

Natalie nie została ranna, pomyślała Simone. Ale była zraniona. Oczywiście, że była zraniona.

– Nie sądziłam... – powiedziała z trudem. – Nie miałam wrażenia, że cię odsuwam czy porzucam. Po prostu musiałam się od tego oderwać. Od reporterów, policji, rozmów, spojrzeń. Miałam szesnaście lat, Natalie. I byłam wewnątrznie okaleczona.

– Potem zawsze była tylko Mi. Miałyście siebie. Ja też byłam okaleczona.

– Przepraszam. – Simone usiadła znów na stołku i przeciągnęła dłońmi po twarzy. – Przepraszam. Nie dostrzegałam tego. Miałaś mamę i tatę, własnych przyjaciół. Byłaś tak zaangażowana w naukę, w szkolne projekty.

– To mi pomagało nie myśleć. Dzięki temu skończyły się koszmary. Ale chciałam mieć ciebie, Simone. Byłam zbyt wściekła, żeby ci o tym powiedzieć. Nie wściekła – poprawiła się. – Raczej rozczulałam się nad sobą. A potem pojechałaś do Nowego Jorku, na studia. Z Mi. Zaczęłaś farbować włosy na dziwne kolory, ubierać się w sposób, którego mama wręcz nie znosiła. Więc ja też ich nie znosiłam. Pragnęłam mieć z powrotem swoją siostrę, ale żebyś wróciła taka, jakiej chciałam. Nie byłaś taka, jak chciałam albo jak uważałam, że powinnaś być. A potem w pewnym sensie taka byłaś i... nie podobałaś mi się.

Natalie w końcu usiadła, westchnęła i zaczęła się śmiać, nagle zbита z tropu.

– Właśnie zdałam sobie z tego sprawę. Nie podobała mi się Simone, która nosiła biznesowe kostiumy i spotykała się z... jak mu było na imię?

– Gerald Worth pieprzony Czwarty.

– A tak. – Natalie pociągnęła nosem. – Był palantem, ale nieświadomie. Nie lubiłam cię ani tej, ani tamtej, bo nie byłaś tą starszą siostrą, którą miałam, zanim nasz świat się zmienił. A potem rzuciłaś studia i wróciłaś do Nowego Jorku, a później wyjechałaś do Włoch i już nie wiedziałam, kim, do cholery, jesteś. Rzadko przyjeżdżałaś do domu.

– Nie czekało mnie tam szczególnie ciepłe przyjęcie.

– Ty też zbyt się nie starasz.

– Może i nie – odparła Simone. – Może i nie.

– Czułam to wszystko, co powiedziałam w zeszłym tygodniu. Wierzyłam w to. Myliłam się, ale to właśnie czułam, naprawdę. Nie miałam racji, oczekując od ciebie, że – czy ja wiem – zatrzymasz się w miejscu sprzed tamtego wieczora, podczas gdy wszyscy się wtedy zmieniliśmy. Tak bardzo nie miałam racji, mówiąc to wszystko CiCi, która jest najbardziej kochającą i najwspanialszą osobą na świecie. Nigdy nie przestanę się tego wstydzić.

– Nie chciałaby, żebyś wstydziła się w nieskończoność.

– Wiem. Jeszcze jeden powód do wstydu. Jestem tu dzięki Harry’emu, bo on sprawia, że staję się lepszym człowiekiem. – W niebieskich oczach znów zakręciły się łzy. – Sprawia, że chcę być lepsza. Byłaś samolubna, Simone. Ja też. Ale to jesteś ty i jestem ja. Postaram się być lepszą osobą – taką, jaką Harry widzi, kiedy na mnie patrzy. Postaram się być lepszą siostrą. To jedyny sposób, jaki znam, żeby naprawić to, co zrobiłam.

– Nie wiem, czy staniemy się inne, niż jesteśmy, ale przepraszam. Przepraszam, że nie było mnie przy tobie, że tego nie dostrzegałam. Możemy spróbować zacząć od tej chwili, będąc tymi, którymi teraz jesteśmy.

– Tak... Tak. – Z oczami pełnymi łez Natalie wstała i podeszła krok naprzód. Jej wzrok padł na rzeźbę i ujrzała to, czego nie dostrzegała wcześniej.

– To jest Tish.

– Tak.

Dłoń Natalie powędrowała do ust. Jeszcze więcej łez popłynęło po palcach.

– Boże, o mój Boże. To jest Tish. Nigdy naprawdę się nie przyjrzałam... Nigdy nie chciałam. – Natalie z drzeniem opuściła rękę i kiedy Simone wstała, zobaczyła u niej głęboki ból. – To jest Tish. Zrobiłaś coś pięknego, a ja... Musiałaś się poczuć, jakby ona znów umarła. Och, Simone.

– Tak było. – Mimo to obeszła stół, teraz bardziej gotowa przytulić Natalie. – Tak było. Ale potrafię sprawić, że wróci – powiedziała, spoglądając na glinę. – Teraz, w ten sposób.

## **CZĘŚĆ DRUGA**

# **MOC PRZEZNACZENIA**

Bogactwo stracić, trochę stracić, Honor stracić, dużo stracić: Odwagę stracić, wszystko stracić.

Przysłowie niemieckie

## ROZDZIAŁ 11

Reed siedział z Chazem Bergmanem na skałach, obserwując, jak światło księżycy odbija się od wód zatoki. Obaj trzymali po butelce piwa Summer Pale Ale, co formalnie było naruszeniem zakazu picia alkoholu w miejscu publicznym. Reed uznał jednak, że o drugiej nad ranem na pustym odcinku wybrzeża nikogo nie będzie to obchodziło.

Chociaż Chaz przeprowadził się do Seattle, gdzie od razu po studiach dostał pracę, nie stracili ze sobą kontaktu, podtrzymując go przez esemesy i e-maile.

Bezpośrednie spotkania ograniczały się do przyjazdów Chaza na Boże Narodzenie i czasami na długi letni weekend.

– Przepraszam, że nie dałem rady wcześniej – powiedział Reed, kiedy usiedli.

– Policyjna robota?

– Tak.

– Zgarnąłeś tego złego gościa?

Skinąwszy głową, Reed pociągnął z butelki pierwszy łyk piwa.

– Przymknij ich, Danno <sup>8</sup>.

– Detektyw Quartermaine. Wciąż mnie to zachwyca.

– Największy Geek Świata Chaz Bergman. Nie jestem ani trochę zaskoczony.

– Reed wziął kolejny łyk, odpężając się po długim dniu pracy. – Nie sądziłem, że tego lata jeszcze raz się spotkamy. Byłeś tu w lipcu.

– Tak. – Chaz upił nieco piwa i poprawił okulary na nosie.

Wciąż miał nieco zaokrągloną sylwetkę, ale przybyło mu mięśni. O wiele dłuższe włosy związywał z tyłu. Dziwaczna bródka pod środkiem dolnej wargi nie zdołała zakamufłować maniaka komputerowego.

Chaz spojrział na wodę i wzruszył ramionami.

– Mama bardzo chciała, żebym przyleciał i wystąpił w programie McMullen. Chyba jakaś część mnie też tego chciała. Nie dlatego, żeby tyle o tym mówić, ale żeby spotkać się z ludźmi, którzy byli w sklepie w tamten wieczór.

– Ten chłopak – przypomniał Reed. – Miał dwanaście lat, a teraz uczy się, żeby zostać lekarzem.

– Tak. I kobieta, która była w ciąży. Ma bliźnięta.

– Uratowałeś ich, brachu. – Reed stuknął się butelką z Chazem.

– Chyba tak. A skoro o tym mowa, jak się ma Brady Foster?

– Świetnie. W zeszłym roku jako pałkarz swojej licealnej drużyny miał na koncie trzysta czterdzieści trafień. Urodziło im się drugie dziecko. Lisie i Michaelowi.

– Tak, mówiłeś mi o tym.

– Dziewczynka, Camille. Ma pięć lat. Jest szalenie bystra i wygląda jak mama. Mówię ci, Chaz, Lisa jest niesamowita. Dzień po dniu żyje ze skutkami tamtego wieczoru, ale nie pozwala, żeby ją to, no wiesz, definiowało. To jej za diabła nie powstrzymuje. Patrzę na tę rodzinę i na to, ile ten wieczór ich kosztował, i widzę, że nie tylko ocaleli, nie tylko to pokonali. Oni jaśniejają, wiesz? Jak ten cholerny księżyc tam w górze.

– Nigdy cię o to nie pytałem, ale czy kiedykolwiek tam wróciłeś? Do centrum handlowego?

– Tak. – Rozrysował mapy, zaznaczył punkty ataku, ofiary, kierunki ruchu, liczby. Miał to wszystko zebrane w plikach w komputerze. – Bardzo się zmieniło.

– Ja nie mogę tam chodzić. Nie lubię nawet tamtędy przejeżdżać. Nigdy ci tego nie mówiłem, ale przyjąłem pracę w Seattle, bo to było najdalsze w kraju miejsce, do którego mogłem pojechać i tam zostać. W każdym razie na kontynencie nie dostałem ofert z Alaski czy Hawajów. To świetna praca, dobra firma – dodał Chaz. – Ale chodziło o odległość.

– Nie ma w tym nic złego – odparł po chwili Reed.

– Nie myślę o tym tygodniami, miesiącami. Ale wracam tutaj i znów mnie to dosięga. Dziwne... bo w najgorszym czasie znajdowałem się w zamkniętym, zatłoczonym pomieszczeniu, a nie, jak ty, w samym środku tej masakry. Jezu, byliśmy tylko dziećmi, Reed. – Chaz wziął dłuższy łyk piwa. – Albo słyszę o innej masowej strzelaninie i to wszystko do mnie wraca.

– Rozumiem.

– Ja wracam do Seattle, a ty na pierwszą linię.

– Podjąłeś pracę, człowieku. Rozwijasz karierę.

– No tak, jeśli o to chodzi. Pytasz, dlaczego teraz przyleciałem? Przenoszę się do Nowego Jorku. Najpierw zrobię sobie mały przestój, obejrzę mieszkania, które firma zorganizowała. – Chaz wzruszył ramionami. – Chcą, żebym tam pokierował wydziałem cyberbezpieczeństwa.

– Pokierował? Jasny gwint, Chaz! – Reed pogratulował mu, trącając go łokciem w żebra. – Jesteś zajebistą szyczą.

Chaz się uśmiechnął, ale pokręcił głową i poprawił okulary.

– Prawie odrzuciłem tę propozycję. Nowy Jork jest o wiele bliżej niż Seattle, ale nie mogę pozwolić, żeby ten przeklęty wieczór, to przeklęte centrum – jak to nazwałś? – żeby definiowały moje życie. Dlatego w listopadzie przeprowadzam się do Nowego Jorku.

– Gratulacje, stary, pod każdym względem.

– Jak ty to robisz? Odznaka, broń i dzień w dzień ryzykowanie życia?

– Praca detektywa polega głównie na wykrywaniu, mnóstwie papierkowej roboty i rutynowych czynnościach. Nie jest tak, jak w telewizji. To nie są pościgi samochodami i strzelanina.

– Chcesz mi powiedzieć, że w niczym takim nie brałeś udziału?

– W kilku pościgach samochodem. Częściej pieszo – zastanawiam się, dlaczego oni uciekają – ale kilka razy samochodem. To szaleńcy, słowo daję.

– Strzelanina?

– To nie jest O.K. Corral <sup>9</sup>, Chaz.

Chaz tylko na niego spojrział łagodnie zza grubych szkieł okularów.

– Parę razy się włączyłem, kiedy strzelaliśmy.

– Bałeś się?

– Jasne.

– A jednak to zrobiłeś, i nadal robisz. Widzisz, właśnie w tym rzecz, jeśli chodzi o ciebie, Reed. Stawiasz czoło i robisz coś mimo wszystko, zawsze tak było. Nowy Jork to nie jest rzucanie na ziemię jakiegoś uzbrojonego sukinsyna, ale w pewnym sensie jest moim „zrobię mimo wszystko”. – Chaz umilkł i uśmiechnął się. – Z awansem i ogromną podwyżką.

– Cholerny szczęściarz. Założę się, że w tym wynajętym samochodzie masz w lodówce resztę sześciopaka.

– Eagle Scout. Jesteśmy zawsze przygotowani, ale prowadzę, więc jedno musi mi wystarczyć.

– W takim razie zabierzmy je do mojego mieszkania i dokończmy. Jutro... nie, dzisiaj, bo już jest niedziela, a ja mam wolny dzień. Możesz się przespać na kanapie.

– Dobra myśl. Dlaczego wciąż mieszkasz w tej dziurze?

– Nie jest taka zła, a poza tym mówi się o podniesieniu statusu okolicy. Zanim się obejrzyś, będę mieszkał w bardzo atrakcyjnym miejscu. Być może zresztą nie zostaną tam długo. Jutro po południu obejrzę dom. Z zewnątrz i na pokazie wideo wydaje się właśnie tym, którego szukam. Ma ładny ogród i nową kuchnię.

– Przecież nie gotujesz.

– Nieważne. Ma świetną sypialnię i tak dalej. Sąsiedztwo mi się podoba. Do pubów i restauracji mogę wybrać się pieszo. Kosić własną trawę. A najlepsze jest to, że jeśli uda mi się odrobinę obniżyć cenę, będę mógł go kupić, nie sprzedając swojej krwi i nie biorąc łapówek.

– Mógłbyś sprzedawać spermę – zasugerował Chaz. – Pamiętasz tego gościa, nazywał się Fruenski, który robił to na studiach?

– Myślę, że najpierw spróbuję swoich sił w negocjacjach. Tak czy inaczej – powiedział Reed, kiedy się podnieśli – powinieneś pójść tam jutro ze mną i obejrzeć to miejsce.



– Muszę odwiedzić dziadków. To już ustalone. A w poniedziałek lecę do Nowego Jorku, żeby obejrzeć mieszkania dla siebie.

– Chodźmy więc zrobić użytek z tego, co pozostało z sześciopaka.

Reed spał do południa, potem naprędce przygotował kawę i jajecznicę, ponieważ miał towarzystwo. Pożegnał Chaza z obietnicą, że spędzą razem weekend w Nowym Jorku, kiedy jego stary przyjaciel już tam zamieszka.

Kiedy brał prysznic w letniej wodzie – grzejnik gorącej wody w budynku najwyraźniej znów nie działał – pomyślał, jak dobrze było spędzić czas z Chazem. I rozmawiać o sprawach, na temat których przyjaciel, jak zauważył Reed, unikał rozmowy.

Ubierał się, wpatrując w ścianę sypialni, tę, której używał jako prowizorycznej tablicy. Przypiął na niej zdjęcia wszystkich ocalałych z masakry w centrum handlowym DownEast, którzy nie żyli, z oznaczeniem rodzaju śmierci nad każdą z grup: nieszczęśliwy wypadek, z przyczyn naturalnych, zabójstwo, samobójstwo.

Miał mapy z lokalizacją każdej ze zmarłych osób w chwili śmierci. Dołączył do nich nazwiska, daty i godziny. Porównywał te informacje z danymi o lokalizacji i obrażeniach, które ludzie ci odnieśli w wieczór 22 lipca 2005 roku.

Zbyt wielu, pomyślał znowu. Po prostu zbyt wielu.

Nie mógł się spierać z argumentami Essie na temat różnych rodzajów broni i metod zabójstw, ale wiedział, że w tym wszystkim jest jakiś wzór. Tyle że jeszcze nie ukazał mu się wyraźnie.

Reed miał raporty z autopsji, zeznania świadków, kopie wywiadów z najbliższymi krewnymi. Zebrał artykuły i nagrania z wielu lat wstecz aż do wydania specjalnego programu McMullen.

Zaskoczył go tam widok siostry Hobarta. Patricia Hobart, blada, z zapadniętymi oczami, wyglądała starzej niż na jej dwadzieścia sześć lat. Pomyślał jednak, że kiedy miało się brata, który zamordował masę ludzi, matkę,

która wysadziła dom w powietrze, będąc pod wpływem środków odurzających i alkoholu – jak stwierdzał raport lekarza medycyny sądowej, mając za ojca dupka, który po pijanemu zabił kobietę i dziecko, a przy okazji siebie, nietrudno zestarzeć się przedwcześnie.

Nie płakała, przypomniał sobie Reed, przyglądając się jej zdjęciu na ścianie. Jednak pamiętał mnóstwo nerwowych tików. Przygarbione ramiona, palce splecione albo pociągające ubranie.

Nędzny ubiór, brzydkie buty. Mieszkała z dziadkami, będąc główną opiekunką swojej babki, która używała balkonika, odkąd wydobrzała po złamaniu kości biodrowej, i dziadka, który przeszedł dwa niegroźne udary.

Dziadkowie ze strony ojca – bardzo zamożni – wydziedziczyli ojca dupka i stryja, którzy kupę swojej broni udostępnili trzem popieprzonym nastolatkom, aby ci w parę minut zabili z niej, jak się ostatecznie okazało, dziewięćdziesiąt trzy osoby.

Co za cholerna rodzina, pomyślał Reed, przypinając swoją prywatną broń i wkładając do kieszeni portfel, prawo jazdy i komórkę.

Wychodząc, wyjął telefon i wybrał numer Essie. Zadzwoił, bo na esemes mogłaby nie zwrócić uwagi.

Zbiegał po schodach, kiedy odebrała.

– Jadę do domu, o którym ci mówiłem, spotkam się z Renee, agentką nieruchomości. Chodź obejrzeć go ze mną. Zabierz rodzinę.

– Jest upalne, senne popołudnie, Reed.

– Właśnie dlatego jest idealne. Potem pójdziemy do parku, pies i chłopiec będą mogli pobiegać. I zabiorę was wszystkich na pizzę dla uczczenia faktu, że złożyłem ofertę. Naprawdę myślę, że to jest ten dom.

– Powiedziałeś to trzy miesiące wcześniej przy tamtym dziwacznym wiktoriańskim.

– Podobał mi się dziwaczny wiktoriański, ale kiedy go zwiedzaliśmy, poczułem w nim złe wibracje.

– Tak, tak, wibracje, złe... Jesteś uzależniony od kupowania domów, Reed.

Ponieważ mogła to być prawda, Reed nie skomentował jej słów.

– Będzie zabawa. Ten dom jest tylko kilka przecznic od ciebie.

– To ponad pół kilometra.

– Miły niedzielny spacer, prawda? Potem park, pizza. Postawię wam wino.

– To bardzo nieuczciwe.

Reed się roześmiał.

– Daj spokój. Potrzebuję kogoś, kto mi ten dom odradzi, jeśli to zły wybór, albo mnie do niego przekona, jeśli jest odpowiedni. Cholerny grzejnik gorącej wody znów ledwie zipie. Naprawdę muszę się stamtąd wynieść.

Przeciągłe westchnienie Essie powiedziało mu, że ją przekonał.

– Na którą masz umówione spotkanie?

– Na drugą. Właśnie tam jadę.

– Puck i Dylan mogą pójść na spacer i pobiegać. Hank i ja chętnie napijemy się wina. Ale najpierw muszę nas przygotować. Nie składaj oferty, dopóki nie przyjdziemy.

– Załatwione. Dzięki. Do zobaczenia.

Odwrócił się i zerknął na swój dom. Ktoś, kto nie znał zasad ortografii, dodał świeże graffiti, radząc komuś innemu, że powinien PIEPRZYĆ DIUKA.

Reed domyślił się, że chodziło o słowo „kaczka” <sup>10</sup>, ale być może tamci znali kogoś o nazwisku Diuk. A może chcieli pieprzyć jakiegoś arystokratę czy coś w tym rodzaju.

W każdym razie był to kolejny znak, że czas Reeda w tym domu musi się skończyć.

Niemniej kilka przecznic dalej została otwarta niezła kawiarnia i ktoś kupił jeden z sąsiednich budynków, szeroko zapowiadając jego renowację i eleganckie apartamenty.

Status dzielnicy może się podnieść.

Jeszcze jeden powód, żeby się wynieść. Reeda cieszyłby widok sprzątniętej, upiększonej okolicy, jednak nie chciał spędzić życia w apartamencie.

Teraz jadąc, wyobrażał sobie, że postawi grill na swoim tarasie z tyłu domu.

Umiał grillować – tak jakby. Być może nawet nauczyłyby się przygotowywać coś poza jajecznicą, grillowanym serem i kanapkami z bekonem. Być może.

Organizowałyby przyjęcia przy grillu z wędzarnią... albo zimą przy gazowym kominku w dużym pokoju. Jedną z trzech sypialni przeznaczyłyby na pokój gościnny, a w drugiej urządziłyby swoje pierwsze prawdziwe domowe biuro.

Sprawiłyby sobie duży, a miał na myśli naprawdę wielki, płaski telewizor na ścianę i wykupił w kablówce abonament na wszystkie sportowe kanały.

Właśnie o to mi chodzi, zdecydował, wjeżdżając na teren dzielnicy, która miała stać się jego nowym sąsiedztwem.

Domy tu były starsze, ale to mu nie przeszkadzało. Większość została przebudowana. Miały otwarte przestrzenie wewnątrz, odjazdowe łazienki i kuchnie.

Mieszkało tu wiele rodzin, co również Reedowi nie przeszkadzało. Może spotka jakąś seksowną samotną mamę. Lubił dzieci, nie stanowiły problemu.

Wjechał na podjazd jednopiętrowego budynku o mocnej, klockowatej bryle i pomyślał, jak bardzo wolał zuchwałą dziwaczność tamtego wiktoriańskiego domu od solidności tego bardziej tradycyjnego. Ale solidność była dobra, była w porządku. A właściciele wyraźnie postarali się podnieść atrakcyjność domu z zewnątrz roślinami, krzewami i nowymi drzwiami do garażu.

Przydałby mu się garaż.

Wysiadając, zerknął na auto, które już tam parkowało. Nie należało do Renee, jego nadzwyczaj cierplivej agentki nieruchomości. Zaciekawiony, przechodząc mającym należeć do niego, wybrukowanym ceglami chodnikiem, z nawyku zwrócił uwagę na tablicę rejestracyjną.

Kobieta otworzyła drzwi, zanim zdążył nacisnąć (swoją) dzwonek.

– Cześć! Reed, prawda? – Atrakcyjna blondynka w dopasowanej czerwonej bluzce i białych spodniach wyciągnęła do niego rękę. – Jestem Maxie, Maxie Walters.

– Rozumiem. Spodziewałem się spotkać z Renee.

– Tak, dzwoniła do mnie. Wypadła jej nagła sprawa rodzinna. Jej matka miała drobną stłuczkę – nic poważnego – dodała szybko. – Ale wiesz, jakie są mamy.

Renee spróbuje tu dojechać, ale nie chciała, żebyś czekał albo przekładał spotkanie, zwłaszcza kiedy dostaliśmy poufną informację, że sprzedawcy są gotowi jutro opuścić cenę o pięć tysięcy.

– To by nie zaszkodziło. – Reed wszedł do środka i zlustrował wnętrze holu z wysokim sufitem, które zachwydziło go na prezentacji wideo.

– Właśnie zaznajamiałam się z tą nieruchomością. Ma kilka pięknych elementów. Na przykład oryginalne drewniane podłogi. Uważam, że odnawiając je, wykonano wspaniałą robotę. A czy nie zachwyca cię otwarty charakter wejścia? – kontynuowała, gestem wskazując mu drogę i zamykając drzwi.

– Tak, ten dom ma dobry klimat. – Dobrze zaaranżowany, pomyślał Reed, wędrując po salonie – a widział już wszelkie poziomy aranżacji – i wyobraził sobie ogromny ekran na ścianie.

Podobał mu się widok – prosto na kuchnię z szerokim barkiem śniadaniowym i przestrzenią jadalną, oraz na szerokie drzwi otwierające się na taras z tyłu, który Reed pragnął mieć.

– A więc pracujesz z Renee? – Sam nie wiedział, dlaczego zadał to pytanie. Znał wszystkich, którzy z nią pracowali. Odwrócił się do agentki. Blondynka, niebieskie oczy, dwadzieścia kilka lat, mniej więcej metr sześćdziesiąt cztery wzrostu, pięćdziesiąt dwa kilogramy. Jędrne mięśnie.

– Przyjaźnimy się – odparła, prowadząc go do kuchni. – Właściwie była moją mentorką. Mam licencję dopiero od trzech miesięcy. Granitowe blaty – dodała. – Urządzenia są nowe. Co prawda nie ze stali nierdzewnej, ale sądzę, że czysta biel pasuje do tego wnętrza.

Jej głos, pomyślał. Coś w jej głosie. Zatrzymał się w drodze na taras z tyłu domu i odwrócił. Dzielił go od niej śniadaniowy barek.

– Gotujesz, Reed?

– Właściwie nie.

Pomyślał, że zalotny uśmiech, który mu posłała, nie pasuje do przestrzeni między nosem a podbródkiem. Dziewczyna podeszła do barku.

– Jesteś detektywem. To musi być podniecające. Ale nie jesteś żonaty?

– Nie.

– To wspaniały dom dla rodziny, kiedy ją założysz.

Poruszyła się. Nie widział jej dłoni, ale język ciała... Instynkt obudził w nim czujność. Te oczy, włosy, nawet kształt ust z lekkim nagryzem pionowym były zupełnie inne. Jednak ten głos.

Pojął to nagle, ułamek sekundy za późno. Zdażyła już podnieść broń. Reed zanurkował, by się ukryć, ale trafiła go dwa razy, w bok i w ramię.

Ciężko uderzył w odnowioną drewnianą podłogę za granitowym blatem śniadaniowym, czując, jak ciało przeszywa mu obezwładniający ból.

– Niezły gliniarz. – Śmiejąc się, obeszła barek, żeby wykończyć Reeda strzałem w głowę. – Lepiej się sprawiłeś, chroniąc wtedy tego głupiego dzieciaka niż teraz siebie. Pożegnaj się, bohaterze.

Ujrzał, jak na jej twarzy ożywienie zmienia się w szok. Teraz on trzymał wyciągniętą broń. Wystrzelił trzy razy, zmuszony użyć lewej ręki, bo prawą nie był w stanie utrzymać pistoletu.

Usłyszał jej krzyk i pomyślał, że ją trafił, przynajmniej jedną kulą, zanim cofnęła się za barek. Potem usłyszał, jak ucieka w stronę frontowych drzwi.

– Ty skurwysynu! – krzyknęła, biegnąc.

Musiał przeciągnąć się po podłodze z bronią gotową do strzału i wyrzeć zza barku. Zostawiła otwarte drzwi. Słyszał odgłos zapuszczanego silnika i pisk opon.

Jeszcze może wrócić, pomyślał. Jeśli wróci... Zaciskając zęby, podciągnął się do pozycji siedzącej, oparł plecami o barek i stękając z bólu, spróbował wydobyć telefon.

Zemdlał. Nie wiedział, na jak długo. Kiedy się ocknął, próbując oddychać mimo bólu, zdołał wyjąć telefon.

Zaczął wybierać dziewięćset jedenaście, a wtedy pomyślał o Essie i jej rodzinie.

Odebrała po drugim dzwonku.

– Już idziemy! Będziemy za pięć minut.

– Nie, nie. Nie zbliżajcie się. Oberwałem. Zostałem postrzelony.

– Co? Reed!

– Potrzebuję karetki. Potrzebuję wsparcia. Kurwa, znowu mdleję. Trzeba ścigać...

– Reed! Reed! Hank, zostań tu, zostań z Dylanem.

– Essie, co...

Ale ona już biegła, z telefonem w jednej dłoni i pistoletem w drugiej.

– Ranny policjant, ranny policjant! – krzyczała do telefonu.

Hank wziął syna na ręce i chwycił smycz Pucka. I zaczął się modlić.

Ostatnie czterysta metrów Essie pokonała w niecałe dwie minuty, biegnąc z całych sił, a pracujący w swoich ogródkach ludzie nieruchomieli z szeroko otwartymi ustami.

– Policja! Proszę wejść do środka! Do środka!

Przestała biec dopiero wtedy, gdy dopadła do werandy. Z bronią gotową do strzału, sprawdziła wejście, skierowała ją na prowadzące w górę schody, a potem na boki.

I zobaczyła Reeda.

– Proszę, proszę... – Najpierw sprawdziła mu puls. Następnie podniosła się i sięgnęła po ściereczki fantazyjnie ułożone na stole.

Kiedy przycisnęła mu je do rany w boku, znów przeszył go ból.

– Oberwałem.

I jesteś w szoku, pomyślała.

– Tak, wszystko będzie dobrze. Nie ruszaj się. Karetka już jedzie. Wsparcie zaraz tu będzie.

– Ona może wrócić. Potrzebuję swojej broni.

– Kto? Kim ona jest? Nie, nie, nie mdlej, zostań ze mną. Zostań ze mną. Kto to zrobił?

– Hobart, siostra. O kurwa, kurwa mać. Patricia Hobart. Jedzie...

– Nie trać przytomności. Spójrz na mnie! Zostań ze mną, do cholery!

– Prowadzi nowy model hondy civic. Białej. Tablice rejestracyjne z Maine.

Cholera, cholera, nie mogę...

– Możesz. Słyszysz to? Słyszysz syreny? Pomoc już jest.

Ręce miała mokre od jego krwi. Nie była w stanie jej zatamować.

– Tablice rejestracyjne, głupi homar <sup>11</sup> – wykrztusił, walcząc, by nie stracić przytomności. – Cztery, siedem, pięć, Charlie-Bravo-Romeo.

– Dobrze, bardzo dobrze. Tutaj! Tutaj! Pospieszcie się, do diabła! On krwawi. Nie mogę powstrzymać krwawienia!

Ratownicy odepchnęli ją na bok, ułożyli Reeda płasko i wzięli się do pracy.

Gliniarze z wyciągniętą bronią wpadli za nimi.

Essie podniosła lewą rękę, czując krew Reeda spływającą jej po nadgarstku.

– Jestem z policji. Oboje jesteśmy z policji.

– Pani detektyw McVee, jestem Bull. Jezu Chryste, to Reed. Kto to, kurwa, zrobił?

– Napastniczką jest Hobart, Patricia, dwadzieścia kilka lat, tablice rejestracyjne z Maine, z homarem. Cztery, siedem, pięć, Charlie-Bravo-Romeo. Przekażcie to dalej. Nie znam jej adresu – mieszka z dziadkami. Przekażcie to. Schwytajcie tę sukę.

– Pani detektyw – odezwał się jeden z policjantów. – Tu są ślady krwi, które prowadzą na zewnątrz. Ona może być ranna.

Essie obejrzała się na Reeda z głęboką nadzieją, że to prawda.

– Zawiadomcie szpitale i kliniki. Dwóch z was niech obejrzy dom. I ruszajmy, pospieszmy się!

Patricia jechała dalej. Szybko. Ten skurwysyn ją postrzelił. Nie mogła w to uwierzyć! Miała nadzieję, że zdechł, krzycząc. Nie mogła się zatrzymać, żeby to sprawdzić, ale wiedziała, że kula trafiła ją tuż pod lewą pachą. Liczyła na to, że wyszła z drugiej strony. Przeszła na wylot, tak to się nazywa, przypomniała sobie, mrugając, by pozbyć się łez wściekłości i bólu.

Gdyby przeżył wystarczająco długo, skurwiel mógłby ją zidentyfikować. Poza tym wiedziała, że zostawiła za sobą ślady krwi, a to oznaczało DNA.



Uderzyła pięścią w kierownicę ukradzionego samochodu, pędem wjeżdżając na podjazd u dziadków.

Musiała zabrać gotówkę, fałszywe dowody tożsamości, trochę broni i przygotowaną torbę z niezbędnymi rzeczami. Trzeba będzie zostawić kradzione auto i użyć własnego do czasu, aż będzie mogła je porzucić.

Spodziewała się tego, myślała teraz. Spodziewała się. Nie przewidziała tylko, że będzie musiała ruszyć w drogę z raną postrzałową.

Wbiegła do domu i po schodach na piętro.

To wszystko powinno być pójść doskonale, mówiła sobie. Zaskarbiła sobie względy agentki nieruchomości tego dupka gliniarza, przeglądając listę domów, którymi był zainteresowany. Chodziła na drinka – zaprzyjaźniły się! – z tą durną suką. I była przy tym, sącząc lemoniadę z wódką, kiedy ten wkrótce martwy facet skontaktował się z kretynką Renee w sprawie domu.

Potem było łatwo. Wystarczyło przyjść w niedzielę rano, zdobyć kod do zamka w drzwiach, po czym zabić głupią Renee, zabrać jej dokumenty dotyczące domu i tak dalej. A później już tylko czekać.

Ale ją rozpoznał. Jak, do diabła, mu się to udało?

Jęknęła z bólu, polewając ranę wodą utlenioną i przyciskając do niej opatrunek.

Wyczuła to w układzie jego ciała, w sposobie, w jaki przyglądał się jej twarzy.

Prawdopodobnie już nie żył, był martwy, zapewniała siebie, wkładając świeżą bluzkę, wyciągając torbę i dokładając do niej więcej pieniędzy i dowodów tożsamości.

Przygotowała się. Nie była głupia, wiedziała, że będzie miał przy sobie broń. Jednak trafiła go dwa razy – w prawy bok i prawe ramię.

Jak, u diabła, mogła się spodziewać, że on zdoła wyciągnąć broń i strzelić lewą ręką?

Skąd, do cholery, miała to wiedzieć?!

Wzięła jeszcze dwa pistolety, wojskowy nóż, ręcznie wykonaną garotę i duży zapas amunicji. Poświęciła nawet czas, żeby zabrać drugą perukę, trochę

akcesoriów do charakteryzacji, kilka par szkieł kontaktowych, więcej opatrunków i tabletki przeciwbólowe podebrane z zapasów dziadków.

Naprawdę wkurzyło ją to, że nie zarobi na sprzedaży domu i polis na życie, kiedy dziadkowie w końcu wykitują. Miała jednak aż nadto pieniędzy, żeby utrzymywać się dzięki nim przez lata.

Krzywiąc się z bólu, zarzuciła torbę na ramię i ruszyła w dół po schodach.

– Patti? Patti, czy to ty? Dziadek znów coś zrobił z telewizorem. Możesz to naprawić?

– Jasne. Jasne, że mogę – odparła, kiedy babka pojawiła się, głucho stukając balkonikiem.

Patricia wyjęła pistolet dziewięć milimetrów i strzeliła jej prosto w czoło. Kobieta upadła z cichym westchnieniem.

– Naprawione! – zawołała Patricia radośnie, a potem weszła do sypialni, gdzie w przegrzanym powietrzu unosił się zapach starych ludzi.

Dziadek siedział w fotelu z odchylanym oparciem, uderzając dłonią w pilota, próbując usunąć zakłócenia w odbiorze sygnału.

– Coś z tym jest nie tak. Słyszałaś ten hałas, Patti?

– Słyszałam. Pa, pa.

Spojrzał na nią, mrużąc oczy za szklami okularów.

Jemu też strzeliła w głowę i zaśmiała się lekko z radości.

– Nareszcie!

Weszła do domu i opuściła go po dziesięciu minutach – w końcu miała wprawę – zostawiając za sobą dwa ciała.

Uważając, by nie przekroczyć dozwolonej prędkości, pojechała na lotnisko, zostawiła samochód na długoterminowym parkingu, zwinęła sedana o nieokreślonym wyglądzie i znów była w drodze.

## ROZDZIAŁ 12

Widział nad głową wirujące światła i zastanawiał się, czy umarł. Może jakieś seksowne anioły przeprowadzą go przez te światła do czegokolwiek, co tam jest.

Słyszał głosy, mnóstwo gorączkowych głosów przemawiających lekarskim językiem. Nie sądził, aby seksowne anioły martwiły się o rany postrzałowe czy spadające ciśnienie krwi.

Poza tym martwy nie mógłby czuć takiego cholernego bólu.

Poprzez ból i chłód – dlaczego było mu tak zimno? – dezorientację i dziwnie obojętne myśli o własnej śmierci dotarł do niego głos Essie.

– Wszystko będzie dobrze. Reed! Reed, trzymaj się. Wszystko będzie dobrze.

No cóż, pomyślał, w takim razie zgoda.

Potem poczuł jeszcze większy ból. Jego ciało, umysł i cała reszta zdawały się przepływać przez ten ból, opływać go, pływać w nim. Ból to była nazwa tej szalonej gry.

Ponieważ nie miał ochoty grać, odpuścił sobie.

Ten ból nie chciał zejść z boiska, kiedy Reed znów odzyskał przytomność, i to go wkurzyło. Coś czy ktoś go trącił i to też go wkurzyło.

– Spieprzaj – powiedział.

Nawet w jego zatkanych uszach zabrzmiało to jak „przaj”, ale mówił z przekonaniem.

– Już prawie koniec, detektywie.

Reed otworzył oczy. Wszystko było zbyt białe, zbyt jaskrawe, więc już miał je z powrotem zamknąć. Wtedy zobaczył ładną twarz, wielkie brązowe oczy,

złocistobrązową skórę.

– Seksowny anioł. *Sesony nioł.*

Kąciki pełnych, miękkich warg uniosły się. A Reed znów odpłynął w niebyt.

Unosił się i opadał, unosił i opadał, nie jak na rollercoasterze, ale jak na tratwie rozkołysanej na łagodnej rzecznej fali.

Na rzece Styks. Byłoby kiepsko.

Słyszał głos swojej matki.

*Yossarian? Co to za nazwisko, do cholery? To nazwisko Yossariana, panie pułkowniku.*

*Paragraf 22.* Ha.

Reed znów odpłynął. We śnie odbył długą rozmowę na temat śmierci i seksownych aniołów z bombardierem, który miał sekret.

Kiedy fala bólu znów go otrzeźwiła, Reed zdecydował – raz na zawsze – że cała ta śmierć jest do dupy.

– Ona z pewnością tak, ale ciebie to nie dotyczy.

Zamrugnął ciężkimi powiekami i spojrzał uważnie na Essie.

– Nie?

– Zdecydowanie nie. Mógłbyś tym razem przez chwilę nie zasypiać? Właśnie namówiłam twoich rodziców, żeby zeszli na dół i coś zjedli. Mogę ich przyprowadzić z powrotem.

– Co jest, u licha?

Kiedy Essie usiadła przy łóżku i wzięła go za rękę, Reed rozejrzał się, oceniając sytuację. Maszyny i monitory, irytujący dyskomfort powodowany przez wenflon tkwiący w grzbiecie dłoni, potworny ból głowy, kwaśny, metaliczny smak w gardle i wiele innych podrażnień. Bolało go całe ciało.

– Strzeliła do mnie. Patricia Hobart... jechała białą hondą civic, Maine...

– To wszystko już nam powiedziałaś.

Jego mózg znów chciał się wyłączyć, ale Reed się przemógł.

– Macie ją? Macie?

– Będziemy mieli. Jesteś gotów opowiedzieć mi, co się wydarzyło?

- Pamiętam to mgliście. Ile czasu minęło?
- Dziś jest trzeci dzień, prawie czwarty.
- Cholera! Cholera. Jak bardzo jest ze mną źle?

Essie zmieniła pozycję. Już wcześniej trochę o tym rozmawiali, ale teraz Reed wydawał się bardziej przytomny. A może tylko chciała, żeby taki był.

- Najpierw dobre wiadomości. Nie umrzesz.
- Naprawdę dobra wiadomość.
- Trafiła cię dwa razy. Postrzał w ramię coś tam rozerwał, ale lekarze mówią, że dzięki fizjoterapii odzyskasz pełną mobilność i zakres ruchu. Nie wolno ci lekceważyć ćwiczeń, bez względu na to, jak bardzo będą bolesne i nudne. Rozumiesz?

– Tak, tak.

– Druga kula trafiła w tułów, w prawy bok i naruszając po drodze kilka żeber, drasnęła wątrobę. Miałeś wewnętrzne obrażenia i straciłeś mnóstwo krwi, ale cię połatali. Przez jakiś czas będziesz czuł się do dupy, ale jeśli nie będziesz robił głupstw, całkowicie wyzdrowiejesz.

– Nie trafiła mnie, no wiesz, w wytwórnię uciechy? Bo tam na dole nie czuję się w porządku.

– To cewnik. Usuną go, kiedy będziesz mógł chodzić.

– A więc byłem prawie martwy niemalże cztery dni, ale jeszcze nie umarłem.

– Chcesz, żeby było jak w filmie, zdaj się na Reeda. Jak zdołała strzelić pierwsza?

Reed zamknął oczy i zmusił się, by to sobie przypomnieć.

– Blond peruka, niebieskie szkła kontaktowe, aparat na zęby – seksowny, nieznaczny nagryz pionowy. Powiedziała, że Renee musiała... Renee. – Otworzył oczy i zrozumiał. Zrozumiał, zanim Essie mu powiedziała.

– Przykro mi, Reed. Znaleźliśmy ją w domu. Dwa strzały w głowę. Czas śmierci określono na mniej więcej dwie godziny przed tym, jak postrzeliła cię. Według tego, co udało nam się zrekonstruować, Hobart – z rudymi włosami, używając nazwiska Faith Appleby – kilka miesięcy temu nawiązała

kontakt z Renee. Twierdziła, że szuka domu, i wygląda na to, że szła śladem nieruchomości, które cię interesowały. Zaprzyjaźniła się z Renee, więc musiała dowiedzieć się o umówionym spotkaniu i uznała to za dobrą okazję, żeby cię zabić.

– Powiedziała, że Renee się spóźni i poprosiła ją, żeby pokazała mi dom. Nie rozpoznałem jej od razu, ale głos... Oglądałem kilka wywiadów i poznałem jej głos. Zbyt późno to skojarzyłem.

– Partnerze, gdybyś tego nie skojarzył, byłbyś naprawdę absolutnie martwy.

– I jeszcze jeden filmowy klasyk. Strzeliła do mnie pierwsza i pozwól mi dodać, Essie: postrzał boli jak skurwysyn. Obeszła barek, część wyspy kuchennej, żeby mnie wykończyć. Nie mogłem użyć prawej ręki, ale wydobyłem broń lewą. Wydaje mi się, że wystrzeliłem trzy kule. Wiem, że ją trafiłem. Cholera, wiem, że ją trafiłem.

– Tak. Ślady krwi prowadziły od frontowych drzwi.

– To dobrze.

– Zgubiliśmy ją, Reed. Musiała mieć przygotowany plan ucieczki. Zabiła dziadków, zanim opuściła dom.

– Nie do wiary.

– Ta suka zrzuciła babcię z balkonika, a dziadka zastrzeliła w jego fotelu. Zamroziliśmy ich konta bankowe – wszystkie były na jej nazwisko – ale najwyraźniej systematycznie czyściła je przez lata i teraz musi mieć miliony.

Essie pogłaskała jego dłoń, którą trzymała w swoich.

– Jestem ci winna wielkie, ogromne przeprosiny.

– To ona. Ona zabijała ludzi, których jej brat i jego kumple zabić nie zdołali.

– Znaleźliśmy jej wojenny gabinet, listę zabójstw, zdjęcia, dane, które zebrała. Broń, którą zostawiła, peruki i przebrania, mapy. Nie było komputera. Trzeba przyjąć, że pracowała na laptopie i zabrała go ze sobą. Samochód, którym jechała na wasze spotkanie, został skradziony tamtego dnia rano i porzuciła go u dziadków. Wystawiliśmy list gończy za samochodem zarejestrowanym na nią, a ponieważ jest teraz główną podejrzaną w nierozwiązanych sprawach

w różnych stanach, rzecz ma już charakter krajowy.

– Włączą się federalni.

– Nie mam nic przeciwko temu. Ona jest inteligentna, Reed. Jest przebiegła i szalona. Ta sprawa jest nasza, ale przyjmujemy pomoc. Musisz stanąć na nogi, partnerze. A to znaczy odpoczynek, lekarstwa, fizjoterapię i cokolwiek powiedzą lekarze. I żadnego oszukiwania z twojej strony.

– W moim mieszkaniu, w sypialni. Mam tam tablicę i dane w komputerze. Nie pozwól, żeby federalni to skonfiskowali. Udostępnię im informacje, ale nie pozwól, żeby to skonfiskowali. Idź to zabrać.

– Rozumiem. Posłuchaj, sprowadzę teraz pielęgniarkę, skoro nie śpisz dłużej niż dotychczas. I twoich rodziców, którzy tu byli prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę, nawet kiedy twoje rodzeństwo przychodziło na zmianę.

Czując potrzebę, aby go dotknąć, przesunęła dłonią po czterodniowym zarostie na twarzy Reeda.

– Wyglądasz marnie, Reed, ale wychodzisz z tego. A tamten przycisk to morfina w kroplówce, sam możesz decydować, kiedy chcesz jej użyć.

– Dobrze. Pomyślę o tym. Jest jedna pielęgniarka – myślę, że to pielęgniarka – chyba że miałem halucynacje. Bardzo ładna, brązowe oczy, wspaniały uśmiech, skóra w kolorze karmelu, którym moja mama pokrywała jabłka na Halloween.

– Wierzę ci. To Tinette. Zobaczę, czy ma teraz dyżur. – Potem Essie pochyliła się i lekko pocałowała go w usta. – Przeraziłeś mnie jak cholera, Reed. Postaraj się więcej tego nie robić.

Reed na zmianę budził się i zasypiał przez następną dobę, ale tyle samo nie spał, co spał. Lekarze chcieli, żeby wstawał i trochę chodził – a urocza (niestety zamężna) Tinette łagodnie go popędzała. Dodała, że jeśli chce, by wyjęto mu cewnik – och, tak, proszę – musi być zdolny do poruszania się.

Dreptał więc, ciągnąc za sobą kroplówkę, zwykle w towarzystwie kogoś z rodziny albo innego gliniarza.

Wzruszyło go, że Bull Stockwell nie opuścił ani jednego dnia w szpitalu,

nawet jeśli łąał Reeda i kazał mu ruszać jego chudy symulancki tyłek.

W ciągu dziesięciu dni, odkąd został postrzelony, Reed stracił prawie cztery kilogramy i niemal czuł, jak mięśnie mu zanikają.

Matka przyniosła mu pieczeń, ojciec przemycił pizzę. Siostra upiekła dla niego ciasteczka. Brat ukradkiem wsunął piwo.

Po pierwszej fizjoterapii spływał potem i był wykończony.

W szpitalnym pokoju pełnym bukietów, roślin, książek, z groteskowym pluszowym misiem z odznaką policyjną i pistoletem kaliber dziewięć milimetrów, Reed zaczął czuć się jak w więzieniu.

Jedyny plus tej sytuacji polegał na tym, że dostać się tu było równie trudno, jak się stąd wyrwać. Kiedy pewnego razu Seleena Mullen wślizgnęła się do jego pokoju, Tinette – teraz bohaterka Reeda – natychmiast ją stamtąd wykopała.

Seleenie udało się zrobić mu zdjęcie komórką. Kiedy zobaczył je w internecie, pomyślał, że być może wszyscy go okłamywali i że umarł.

Bez wątpienia wyglądał jak zombie.

Bull zasłużył na swój przydomek. Zmusił Reeda, żeby wstał i ruszał się już po drugiej sesji fizjoterapii, kiedy Reed pragnął jedynie spać, żeby zapomnieć o cierpieniu.

– Przestań kwękać, jakby brzuch cię bolał.

– To nie brzuch mnie boli.

– Przeklinaj sobie, jęcz, wyj. Chcesz znów być gliną?

– Nigdy nie przestałem być gliną. – Reed zaciskał zęby, kiedy się przechadzali. Przynajmniej pozwolono mu teraz nosić bawełniane spodnie i T-shirt zamiast upokarzającej szpitalnej koszuli.

– Posadzą cię za biurkiem i zatrzymają tam, jeżeli nie będziesz mógł wyciągnąć i użyć broni jak mężczyzna.

– Essie skopie ci tyłek za to „jak mężczyzna”.

– Nie ma jej tu.

Bull wyprowadził Reeda do niewielkiego ogrodu, gdzie przynajmniej powietrze pachniało jak powietrze.



- Ona nie mówi ci tego wprost. Nie chce szarpać twoich biednych nerwów.
- O czym ty mówisz?
- O federalnych. Odsuwają nas. Przejmują sprawę.
- Wiedziałem! – Reed z oburzeniem dźgnął powietrze zaciśniętą pięścią.

Wzrok zaszedł mu mgłą, kiedy ramię eksplodowało bólem.

– Okej, dobra, nie przejmuj się, twardzielu. – Bull chwycił zdrowe ramię Reeda i posadził go na ławce. – Powinieneś wiedzieć, że naprawdę walczyła. Przez lata wszystkich w tej sprawie wyprzedzałeś i nikt cię nie popierał. To dotyczyło i mnie samego. Problem w tym, że sprawa jest nie tylko gorąca, ale i głośna. Federalni mogą przybrać swoje srogie miny i twierdzić, że mediom nic do tego, ale to gówna prawda. Z drugiej strony, byłeś w DownEast, a teraz stałeś się celem dla siostry jednego z zamachowców.

– Miała w tym udział. Mówię ci, że wiedziała, co zamierza jej brat.

– Nie przeczę. Zwracam ci uwagę, że federalni widzą w tym dwa powody, dla których nie powinieneś uczestniczyć w śledztwie, a nasze szefostwo się z nimi zgadza.

– Co za pieprzone bzdury!

– Cholerne pieprzone bzdury, ale tak właśnie twierdzą. Mają zamiar zatrzymać cię przy biurku, kiedy wrócisz, i przydzielić ci czarną robotę, dopóki nie zakończysz fizjoterapii. I nawet wtedy nie dopuszczą cię do sprawy Hobart.

– Kurwa mać.

– Pozbieraj znów swój smętny, chudy tyłek, chłopcze. Wielu z nas będzie pracować na boku przy tej sprawie, ale musisz otrząsnąć się z tego, że zostałeś postrzelony. Tylko mi nie mów, że w ciemności nie oblewają cię zimne poty.

– Widzę, jak ta broń się unosi. W zwolnionym tempie. Tak jakbym miał mnóstwo czasu, żeby się ukryć, odpowiedzieć ogniem. Ale poruszam się wolniej, a ten przeklęty pistolet jest wielki jak armata.

– Otrząśnij się z tego. Wróć do pracy.

– Twoja litość i współczucie są bardzo serdeczne.

Bull prychnął, jak to robią byki.

– Już wystarczająco cię dopieszczano i całowano w czółko. Potrzebujesz kopa w tyłek.

– Jestem wdzięczny.

– I na litość boską, jedź coś. Wyglądasz jak zombie strach na wróble. A teraz wstań i spaceruj.

Reed czekał, żeby porozmawiać o tym z Essie, ponieważ, nareszcie, wypuszczono go z klatki.

Wracał do domu.

Nie do nędznej nory, ponieważ na razie nie mógłby pokonywać po schodach trzech pięter, ale do swojej dawnej sypialni, do kuchni matki i cudownie marnych dowcipów ojca.

Specjalnie poprosił, żeby Essie go odebrała i zawiozła, więc czekał, by z nią porozmawiać.

– Dlaczego muszę siedzieć na wózku inwalidzkim, żeby opuścić szpital, skoro jedyne, co słyszałem przez dwa i pół tygodnia, to że mam wstawać i chodzić?

Tinette o pięknym uśmiechu poklepała oparcie wózka.

– Przepisy są przepisami, mój drogi. A teraz posadź ten słodki tyłek na wózku.

– Co powiesz na to, żebyśmy – kiedy będę w stu procentach sprawny – mieli gorący, namiętny romans? To byłoby dobre dla mojego zdrowia emocjonalnego i psychicznego.

– Mój mąż zgniótłby cię jak robaka, chudzielcu. Szkoda, że moja siostra ma tylko osiemnaście lat.

– Z osiemnastolatką można legalnie.

– Zbliżysz się do mojej siostrzyczki, a wpakuję cię znów do szpitala. – Jednak pogłaskała go po ramieniu. – Cieszę się, że wychodzisz, Reed, i jednocześnie tego żałuję.

– Będę tu wracał na tortury.

– A ja tam zejść i sprawdzę, czy nie płaczesz za głośno. Proszę, weź swojego misia.

Wziął maskotkę i ostatni raz rzucił okiem na pokój. Essie już zniosła na dół jego książki, tablet i pozostałe zgromadzone rzeczy.

– Nie będę tęsknił za tym miejscem – powiedział, kiedy wyprowadziła go na wózkę na korytarz – ale będzie mi brakowało ciebie. Jesteś jedyną kobietą, którą kocham – poza moją matką – i która widziała mnie nago, podczas gdy ja nie byłem tak samo uprzywilejowany.

– Niech na tych kościach pojawi się znów trochę ciała. I przyjmij pewną radę.

– Od ciebie przyjmę.

– Nie wracaj do tego wszystkiego zbyt szybko, kochany. Daj sobie trochę czasu. Spaceruj w słońcu, pieść szczeniaki, jedz lody, puszczaj latawce. Wiem dziś o tobie wystarczająco dużo, żeby powiedzieć, że jesteś dobrym gliną i porządnym człowiekiem. Poświęć trochę czasu, żeby sobie przypomnieć, dlaczego jesteś jednym i drugim.

Reed wyciągnął rękę do tyłu – lewą – sięgając do niej.

– Naprawdę będzie mi cię brakowało.

Essie powitała ich z uśmiechem.

– Zadurzyłeś się, partnerze. Tinette, jesteś skarbem.

– Och, w każdym calu. A teraz chodź, kochany, zapakujemy cię do auta. – Usadowiła go i objęła. – Dbaj o mojego ulubionego pacjenta.

– Tylko godzina w tanim motelu. To odmieni twoje życie.

Śmiejąc się, pocałowała go w usta.

– Lubię swoje życie. A teraz jedź i żyj własnym.

– A co by było, gdyby się zgodziła? – Essie zastanawiała się na głos, kiedy odjeżdżali.

– To niemożliwe. Szaleje na punkcie swojego męża. Wiesz, miała dwadzieścia lat, kiedy wydarzyło się DownEast, i pracowała społecznie w ramach spłaty kredytu studenckiego. Była asystentką pielęgniarki, więc tamtej nocy znalazła się na pierwszej linii frontu w szpitalu. Jaki ten świat mały.

Zamilkł na chwilę.

– Bull powiedział mi, że federalni przejęli śledztwo, odsunęli nas. Wyłączyli

mnie.

Essie głośno wypuściła powietrze.

– Miałam z tobą o tym porozmawiać, kiedy wyjdiesz ze szpitala, wrócisz do domu i zaaklimatyzujesz się. Przykro mi, Reed, decyzja zapadła. Jesteś zbyt blisko tej sprawy, więc i ja jestem zbyt blisko. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, ale zderzyłam się ze ścianą i ściana wygrała.

– To mnie nie powstrzyma.

Essie zdmuchnęła z czoła kosmyki grzywki, którą ostatnio zaczęła nosić.

– Posłuchaj, nie popierałam twojej teorii, a ona się teraz potwierdziła. Federalni zgarniają teraz twoje zasługi. Uścisną ci dłoń i poklepią po plecach. Decyzja w naszej sprawie zapadła na szczycie.

– To mnie nie powstrzyma – powtórzył.

– Wydadzą nam rozkaz. Wierz mi. Cokolwiek zrobisz, musisz robić to w tajemnicy, na boku. Jeśli się o tym dowiedzą, ukarzą cię za naruszenie dyscypliny i utemperują. To niesprawiedliwe, ale takie jest ich stanowisko.

– A twoje stanowisko?

– Jestem z tobą. Będziemy robić wszystko, co możliwe, w naszym wolnym czasie. Dodam, że Hank nas popiera.

– Świetny gość.

– To prawda. Nie zamierza wrócić do nauczania na pełen etat. Chce dokończyć pisanie książki. Nazywa ją policyjną powieścią kryminalną. Jak dotąd jest cholernie dobra – to, co pozwolił mi przeczytać. Jednak nie wraca do szkoły po części dlatego, że chce dać mi więcej czasu na zajęcie się tą sprawą. Razem z tobą, kiedy będę mogła.

– Muszę to przemyśleć, nie spiesząc się. Muszę wrócić do formy. Podobno ten postrzał zmienił mnie w zombie stracha na wróble.

– Kiedyś wyglądałeś lepiej. Ale, Jezu, wierz mi, Reed, że było gorzej.

Zdawał sobie z tego sprawę, tak jak wiedział, że ma przed sobą długą drogę.

– Muszę ją załatwić, Essie. Muszę wziąć w tym udział. Ale przemyślę to. Nie pojawiły się jakieś wiadomości, odkąd znaleźli jej samochód?

- Rozpłynęła się w powietrzu.
- Wiatr może się zmienić – mruknął.

Reed spędził miesiąc z rodzicami. Zaciskał pięści z wysiłku podczas fizjoterapii i przybrał parę kilogramów, o które schudł, gdy tkwił uwięziony w szpitalu.

Stracił pięć, zanim doszedł do swojej stałej wagi.

Wrócił do pracy – za biurkiem. Kiedy usłyszał od kapitana o śledztwie w sprawie Hobart, nie spierał się. Nie było sensu.

Jednak praca za biurkiem miała swoje zalety i dała mu mnóstwo czasu na gromadzenie danych. Może szefostwo za nim nie stało, ale miał innych policjantów.

Ślady krwi Hobart znaleziono na siedzeniu samochodu, który porzuciła na lotnisku. Auto, którego kradzież została zgłoszona, gdy czteroosobowa rodzina wróciła z trzytygodniowych wakacji na Hawajach, nie zostało jeszcze odzyskane.

Reed obstawiał tezę, że Hobart zatopiła je w jeziorze, spaliła w lesie lub zlikwidowała w inny sposób. Miała pieniądze, najprawdopodobniej również fałszywe dowody tożsamości i karty kredytowe. Mowy nie było, żeby zatrzymała kradziony samochód.

Przewidywał, że kupi jakiś pod fałszywym nazwiskiem, za gotówkę. Solidne, nierzucające się w oczy, używane auto. Zmieni kolor włosów i wygląd, żeby w niczym nie przypominać osoby ze zdjęć w wiadomościach i w internecie.

Będzie oglądała te wiadomości, czytała blogi i gazety, przyczajona na uboczu. Dopóki znów nie uderzy.

Jeśli kula utkwiała w jej ciele, znajdzie sposób, żeby uzyskać pomoc medyczną.

Reed starał się śledzić informacje o włamaniach, zgłoszenia do klinik, również weterynaryjnych, i aptek, ale nie natrafił na nic, co by pasowało.

Próbował szukać zgonów, informacji o ludziach związanych z medycyną.

Lekarzach, pielęgniarzach, asystentach, weterynarzach. Znalazł kilka nazwisk, ale znów nic nie pasowało.

Zastanowił się, co by zrobił, dokąd się udał na jej miejscu. Pomyślał o północy. Kanada. Fałszywy dowód tożsamości – fałszywy paszport. Przejechać granicę, zatrzymać się tam, złapać oddech.

To właśnie sam by zrobił.

Nie trzeba ryzykować podróży samolotem, nie trzeba uczyć się nowego języka. Wystarczy wynająć chatę w lesie i nie zwracać na siebie uwagi.

Jednak miał pewność, że Hobart nie będzie w stanie zaprzestać działania. Będzie musiała dokończyć to, co zaczęła. Wcześniej czy później Reed usłyszy alert informujący go, że umarła następna osoba, która dzieliła z nim tamten koszmar.

Dlatego przeglądał papiery, chodził na fizjoterapię i jadł to, co gotowała matka.

Pewnego dnia obudził się, zdając sobie sprawę, że już nie czuje się jak dobry policjant. Ledwie czuł się w ogóle jak policjant.

Mógł obracać ramieniem bez bólu i ćwiczyć z hantlami po cztery i pół kilograma, ale też za bardzo nie czuł się mężczyzną.

Był, no cóż, zombie strachem na wróble z sępem na ramieniu, który czeka na czyjąś śmierć.

Czas się go pozbyć, postanowił, i skorzystać z rady Tinette. Zapragnął spacerować w słońcu i przypomnieć sobie, kim kiedyś był i dlaczego.

## ROZDZIAŁ 13

**D**rugiego dnia, ciesząc się poranną kawą na tarasie, CiCi obserwowała mężczyznę na wąskiej wstędze piasku poniżej.

Trochę biegał, chodził, truchtał tam i z powrotem przez około pół godziny, po czym wspiął się – powoli – na skały, żeby usiąść i patrzeć na wodę.

Potem, jak człowiek, który był wysportowany i silny, a teraz dochodzi do siebie po długiej chorobie, powtórzył tamte czynności, po czym wrócił plażą do ścieżki rowerowej prowadzącej do miasteczka.

Po pierwszym dniu wypytała agenta, który wynajął mu bungalow, jak nieznajomy się nazywa. Trzytygodniowa rezerwacja w październiku aż do listopada nie była na wyspie precedensem, ale wydawała się niezwykła.

Ponadto zanim CiCi poznała nazwisko mężczyzny, użyła lornetki, żeby dobrze przyjrzeć się jego twarzy. Przystojny, ale chudy i zbyt blady, a do tego nieogolony.

Osobiście lubiła mężczyzn z kilkudniowym zarostem.

Rozpoznała go – śledziła bieżące wydarzenia – ale chciała mieć pewność.

Zatem wiedziała już, kim był, co się wydarzyło, i zastanawiała się, o czym myślał, kiedy biegał, spacerował, siedział.

Ponieważ chciała się tego dowiedzieć, trzeciego dnia, gdy znów rozpoczął poranne ćwiczenia, zrobiła sobie makijaż, upięła wysoko włosy, które ostatnio ufarbowała na głęboki śliwkowy kolor, włożyła legginsy – wciąż miała dobre nogi – i koszulkę z długimi rękawami, a do tego dżinsową kurtkę.

Napełniwszy moccą latte dwa kubki z pokrywkami, zeszła na plażę, kiedy mężczyzna usiadł na skałach.

Zerknął na nią, kiedy zaczęła się do niego wspinać, i zarobił punkty za to, że natychmiast wstał, aby podać jej rękę.

Lewą, zauważyła, i nie bez grymasu bólu.

– Dzień dobry – zagaiła, podając mu jeden z kubków.

– Dziękuję.

– To idealny poranek, żeby usiąść na skałach z latte. Jestem CiCi Lennon.

– Reed Quartermaine. Podziwiam pani pracę.

– Czyli masz dobry smak oprócz tego, że wyglądasz smakowicie. Pełna otwartość? Rozpoznałam cię. Wiem, kim jesteś i co ci się przydarzyło. Ale nie musimy o tym rozmawiać.

– Doceniam to.

Cudowne oczy, pomyślała CiCi. Jasnozielone, a intensywność spojrzenia nadaje im magiczny urok.

– A więc co cię sprowadza na naszą wyspę, Reed?

– Odpoczynek i rekreacja.

– To odpowiednie miejsce, zwłaszcza poza sezonem.

– Przyjeżdżałem tu kilka razy latem. Z rodziną w dzieciństwie, z kumplami, kiedy dorosłem na tyle, żeby móc prowadzić samochód. Jednak nie byłem tu, o rany, chyba z dziesięć lat.

– Niewiele się tu zmieniło.

– Nie, i to jest miłe. – Powoli, ostrożnie, obrócił się, żeby spojrzeć za siebie. –

Pamiętam pani dom i to, że myślałem, jak fajnie byłoby w nim mieszkać, te wszystkie okna... Cały czas mieć przed oczami wodę, móc zejść prosto na tę małą plażę.

– Tu jest fajnie. Znalazłam tu swoje miejsce, jak się okazało. Gdzie jest twoje?

– Wciąż go szukam. Prawdę powiedziawszy, zostałem postrzelony, kiedy szukałem nie tam, gdzie trzeba. – Uśmiechnął się lekko. – Dostałem nauczkę. Zapamiętałem jeszcze jeden dom, który nadal tu stoi. Przyszedłem z miasteczka, żeby sprawdzić, czy jest. Jednopiętrowy, z tarasem na dachu. Można to nazwać chaotyczną architekturą, jak u pani. Chyba lubię chaotyczną architekturę. Nie



jest zbyt przeszklony, ale wystarczająco. Ma elewację z cedrowych desek, które przetrwały niepogodę. Z przodu wielką, piętrową werandę. Z tyłu taras. Z jednej strony jest las, z drugiej woda. I mała piaszczysta plaża – nie tak duża, jak tutaj – a dalej skały.

– To dom Barbary Ellen Dorchet. Znajduje się w tej części miasteczka, trochę bardziej w głębi. Latem na podwórku kwitnie masa łubinów. Czy przed domem stał czerwony pickup?

– Tak. I mercedes G-Wagen.

– Należy do jej syna. Przyjechał, żeby pomóc trochę wyszykować dom, zanim Barbara wystawi go na sprzedaż.

– Na... Poważnie?

CiCi, posiadająca pewne paranormalne zdolności, uśmiechnęła się i upiła łyk latte.

– To dla niej niezbyt dogodny moment, bo nie będzie zbyt wielu osób, które szukałyby takiego domu na wyspie późną jesienią czy zimą. Ale w zeszłym roku straciła męża i nie czuje potrzeby, żeby tu zostać. Przeprowadza się na południe. Jej syn jakieś dwanaście lat temu wyjechał do pracy do Atlanty. Barbara ma troje wnucząt, więc woli być tam.

– Zamierza go sprzedać. – Reed zaśmiał się cicho. – Od lat szukałem odpowiedniego domu i kiedy tu przyjechałem, kiedy zobaczyłem pani dom i tamten, dotarło do mnie, dlaczego przy żadnym z oglądanych nie odezwał się dzwoneczek.

– Szukałeś nie tam, gdzie trzeba – odparła i dodała: – Powinieneś złożyć Barbarze ofertę. Z łatwością mogę sprawdzić przybliżony koszt.

– Nie spodziewałem się... – Urwał i upił nieco naprawdę doskonałej latte. – To jest absolutnie niesamowite.

– Jestem fanką tego, co absolutnie niesamowite. Chodź, detektywie Smakowity. Przyrządzę ci śniadanie.

– Nie musi pani... – Przerwał, żeby jej się przyjrzeć, jej bajecznym włosom, cudownym oczom. – Często zaprasza pani nieznanomych mężczyzn na

śniadanie?

– Tylko tych, którzy mnie interesują. Normalnie ty przygotowywałbyś śniadanie, ale ponieważ nie spędziłam szalonej nocy, robiąc na tobie wrażenie, usmażę naleśniki z żurawiną.

Reed roześmiał się serdecznie, czym zdobył sobie kolejne punkty.

– Byłbym głupi, odrzucając jednocześnie piękną kobietę i naleśniki z żurawiną. Nie jestem głupi.

– Z pewnością.

– Proszę mi pozwolić sprowadzić się na dół.

Reed zszedł ze skał, osłaniając prawy bok i krzywiąc się lekko z bólu, po czym wyciągnął do niej lewą rękę.

– Nadal boli?

– Miewam kłujące bóle i wciąż pracuję nad zakresem ruchu i odbudową mięśni. Mam sesje fizjoterapii – ćwiczenia – i dwa razy w tygodniu płynę promem na prawdziwe tortury.

– Powinieneś poćwiczyć jogę. Bardzo wierzę w nią i w holistyczne podejście. Jednak zaczniemy od naleśników. Co powiesz na Bloody Mary?

– Proszę nie żałować tabasco.

– Och, mój chłopak. – Wzięła go pod lewą rękę. – Jak to się mówi: oto początek pięknej przyjaźni.

Wnętrze domu okazało się równie fascynujące jak jego fasada. Kolor, światło... Jezu, co za widoki.

– Ten dom jest taki jak pani.

– No, no, bystrzak z ciebie.

– Nie, naprawdę. – Krążył, zaglądając wszędzie. – Jest śmiały, piękny i kreatywny. I... – Przystanął obok *Wynurzenia*, z zachwytem wpatrując się w rzeźbę. – O rany. To jest... Och.

– To praca mojej wnuczki Simone. To jest „och”.

– Czuje się w niej triumf, radość. Czy to właściwe określenie?

– To doskonałe określenie. Ona też była wtedy w centrum handlowym. Moja

Simone.

– Wiem. – Reed nie mógł oderwać wzroku od popiersia, od twarzy. – Simone Knox.

– Znasz ją?

– Hm? Co? Przepraszam. Nie. Po prostu starałem się śledzić na bieżąco, co dzieje się z ludźmi, którzy tam byli. Musiałem. Zacząłem to robić, jeszcze zanim zostałem policjantem.

– Ona też tam była. – CiCi delikatnie dotknęła popiersia, po czym ruszyła do kuchni, żeby przygotować drinki. – To twarz przyjaciółki, którą Simone straciła tamtego wieczoru. Taka, jaką ją sobie teraz wyobraża. A więc owszem, jest w tym triumf.

– Pani wnuczka była tą osobą, która pierwsza zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście.

– Rzeczywiście śledzisz to wszystko.

– Policjantka, która zastrzeliła Hobarta... Ta pierwsza, która zjawiała się na miejscu... Została moją partnerką, kiedy awansowałem na detektywa. Po części to ona spowodowała, że jestem gliniarzem.

– Czyż świat nie jest fascynującym miejscem, Reed? Jak wszystko się ze sobą spleta, krzyżuje, rozdziela się i znów łączy? Tamten chłopak zabił tę śliczną, słodką dziewczynę. Naprawdę była śliczna, a on zabił jej potencjał. Simone triumfalnie przywróciła ją do życia swoim talentem i miłością, którą miała dla Tish. Tamta policjantka zjawia się na miejscu, ponieważ los ją tam skierował, i powstrzymuje chorego chłopaka przed odebraniem życia kolejnym ludziom, a potem pomaga Simone przetrwać straszne pierwsze chwile. – CiCi podeszła i podała mu Bloody Mary. – Ta sama policjantka nawiązuje kontakt z tobą i ty też zostajesz policjantem. Mam trochę paranormalnych zdolności – dodała – i wyczuwam, że jesteś bardzo dobrym policjantem. Potem siostra tego chorego chłopaka zaczyna zabijać i próbuje zabić ciebie. I oto jesteś tutaj, w moim domu, który podziwiałeś, będąc dzieckiem. Jestem przekonana, że musiałeś tu trafić.

Stuknęła się z nim szklanką.

– Potrafię dobrze gotować, ale moje naleśniki są wyjątkowe. Dlatego przygotuj się na wielkie zaskoczenie.

– Byłem zaskoczony, odkąd usiadła pani przy mnie na skałach.

– Zdecydowanie cię lubię. To już absolutnie nieodwołalne. Będę mieszała ciasto na naleśniki, a ty usiądź i opowiedz mi wszystko o swoim życiu seksualnym.

– W tej chwili nie istnieje.

– To się zmieni. Ćwiczenia, dobra dieta, joga, medytacja, rozsądne popijanie trunków dla dorosłych. Trochę czasu na wyspie i absolutnie czas ze mną. Odzyskasz wigor.

– Dziś jest wielki początek.

CiCi się uśmiechnęła.

– Wynająłeś bungalow Whistlera.

Bloody Mary dawała kopa jak wściekły muł – właśnie taką lubił.

– Niewiele ujdzie pani uwadze.

– Albo zgoła nic. To dobre miejsce, ale tu jest lepsze. Po śniadaniu musisz tam wrócić i się spakować. Możesz zatrzymać się tutaj.

– Ja...

– Nie przejmuj się. Nie będę twoją panią Robinson. To kuszące, ale powinieneś łagodnie wrócić w tej sferze do formy, nie zaczynać od crescendo. Nad moją pracownią jest pokój gościnny – ciągnęła dalej. – Pozwalam się tam zatrzymać tylko specjalnym osobom. Będziesz miał piękny widok, plażę i moje cudowne towarzystwo. Umiesz gotować?

Reed nie przestał jej się przyglądać. Miała tatuaż jak bransoletkę na nadgarstku i naszyjnik z purpurowym, ostro zakończonym kryształem.

– Niezupełnie... Wcale.

– No dobrze, masz inne zalety. Będziesz mi również wyświadczał przysługi.

– Jak to?

– Przez większość czasu Simone mieszka tu i pracuje. Przyzwyczyłam się, że ktoś jeszcze się tu kręci. Ktoś sympatyczny i interesujący. Ty pasujesz. Kilka dni

temu Simone wyjechała do Bostonu, a potem ruszy do Nowego Jorku. Zrób uprzejmość samotnej kobiecie. Obiecuję cię nie uwodzić.

– Może chciałbym, żeby pani to robiła.

– To słodkie z twojej strony. – Mieszając ciasto naleśnikowe, posłała mu olśniewający uśmiech. – Jednak wierz mi, panie Smakowity, nie dałbyś rady.

Była niepowstrzymana jak siła natury, stwierdził Reed. Jak inaczej kobieta, którą właśnie poznał, mogła nakarmić go naleśnikami z żurawiną (fantastyczne) i przekonać go, żeby wprowadził się do jej pokoju gościnnego?

Siła natury, oczywiście, ponieważ nigdy nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia. A teraz był jej ofiarą.

Rozpakował się. Nie trwało to długo, bo nie zabrał ze sobą zbyt wielu rzeczy. Wciąż na wpół oszołomiony, rozglądał się po pokoju, który zaproponowała mu w sposób tak radosny, w jaki ktoś inny mógłby wskazać mu drogę do miejscowego baru.

Podobnie jak reszta domu, jak sama CiCi, pokój miał w sobie bogactwo koloru i stylu. CiCi Lennon nie uznaje bezpiecznych neutralności, pomyślał. Na ściany wybrała głęboką purpurę i zawiesiła je obrazami. Nie widokami plaży, jak można byłoby się spodziewać, lecz stylizowanymi aktami albo prawie aktami, męskimi i kobiecymi.

Na Reedzie szczególne wrażenie zrobił ten z kobietą, która wydawała się budzić, jedną ręką sięgając ku niebu, z szelmowskim, świadomym wyrazem twarzy i rozwijającymi się skrzydłami na plecach.

Łóżko, masywne z baldachimem, lśniło brązem, a na słupkach miało wyryte wąsy winorośli. Śnieżnobiałe tło narzuty ozdobił ogród purpurowych kwiatów. Do tego masa poduszek, bo z doświadczenia Reeda wynikało, że kobiety dziwnie kochają się w poduszkach. Podstawy lamp tworzyły coś w rodzaju drzew, jakie spodziewałby się zobaczyć w jakimś czarodziejskim lesie.

Była tu przestrzeń wypoczynkowa z niewielką sofą z pokryciem w kolorze fluorescencyjnej zieleni, stolik o podstawie w kształcie zwiniętego smoka – być

może kolegi tego, który stał na kamiennym postumencie i wyglądał, jakby zaraz miał zionąć ogniem – i komoda na giętych nóżkach z twarzami elfów wymalowanymi na szufladach.

Bajkowy pokój, pomyślał, gdy przyjrzał się uważniej smokowi, podziwiając detale i proporcje, wyraz ukrytej potęgi w oczach.

Jednak pomimo tych wszystkich cudów pokój nie mógł się równać z widokiem, który się z niego rozciągał. Zatoka, a dalej ocean, łodzie, skały, niebo – wszystko to było niemal częścią tego pomieszczenia, w tym samym stopniu, co czarodziejska mieszanka sztuki i barw.

Nie przyplłynął na wyspę, aby szukać przygód, ale żeby oderwać się od rzeczywistości, pomyśleć, naładować baterie. Tymczasem w ciągu jednego ranka znalazł źródło tego wszystkiego.

Najpierw się wykąpał, ale nie użył dysz do hydromasażu. Żebra wciąż sprawiały mu ból.

CiCi powiedziała mu, żeby przyszedł do jej studia, kiedy już się rozgości, więc zszedł po schodach pomalowanych na czerwień ostrej papryki i skierował się do drzwi w tym samym kolorze z uśmiechniętymi gargulcami po bokach.

– Wejdz! – zawołała, kiedy zapukał, i Reed znów znalazł się w krainie czarów.

Unosił się tu zapach farb, terpentyny i kadzidła – z lekką nutą marihuany. Nic dziwnego, skoro w jednej dłoni trzymała pędzel, a w drugiej jointa. Miała na sobie rzeźnicki fartuch poplamiony farbami, a jej fantastyczne włosy – tego samego koloru, co ściany w gościnnym pokoju – były upięte czymś, co wyglądało jak ozdobione klejnotami pałeczki.

Przybory do malowania zapełniały wysokie czerwone półki. Więcej ich stało na długim stole roboczym, zaplamionym farbą tak samo jak jej fartuch.

Wszędzie stały, leżały i wisały naciągnięte płótna.

Reed nie znał się zbyt dobrze na sztuce, ale potrafił rozpoznać prawdziwe dzieło.

– O rany. To jest jak... Nic podobnego nigdy nie istniało.

– Właśnie o to mi chodzi. Jak podoba ci się pokój?

– Jest bajkowy.

Posłała mu uśmiech pełen aprobaty.

– To prawda.

– Moje podziękowania nie wystarczą. Mam wrażenie, że... Chciałem powiedzieć, że znalazłem się na stronach jakiejś naprawdę świetnej książki, ale... To jest tak, jakbym wszedł do jednego z tych obrazów.

– Będziemy się tu naprawdę dobrze bawić. – Wyciągnęła do niego jointa, ale uśmiechnął się lekko i pokręcił głową.

– CiCi, jestem gliną.

– Reed, ja jestem starą hipiską.

– W żadnym razie nie starą. – Podeszedł dalej i szczeka mu opadła. – To jest...

– Stonesi, około tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku. To reprodukcja. Mick kupił oryginał. Mickowi trudno odmówić.

– Wierzę.

– Stoję przed samymi Stonesami.

– Jesteś ich fanem?

– Zdecydowanie. Znam te okładki albumów – dodał, przechadzając się po studiu. – I plakaty. Miałem ten plakat z Janis Joplin.

Zaciekawiona, CiCi zaciągnęła się jointem.

– Chyba trochę sprzed twoich czasów.

– Ona jest ponadczasowa.

– Jesteśmy dla siebie stworzeni – stwierdziła CiCi, przyglądając się, jak podziwiał jej prace, rozcierając dłonią prawy bok.

– W to miejsce cię postrzelono? – zapytała.

Reed opuścił rękę.

– Między innymi. Żebra już się goją, ale nadal bołą.

– Masz lekarstwa?

– Na razie je odstawiłem.

Pomachała jonitem.

– To lek organiczny.

– Być może, ale ile razy próbowałem tego na studiach, po odlocie i wielkim apetycie przychodził kłujący ból głowy.

– Szkoda. Ja lubiłam prochy i spróbowałam wszystkiego. Naprawdę wszystkiego. Nie wiesz, dopóki nie spróbujesz, no nie?

– Wiem, że jeśli skoczę z klifu do oceanu, to zginę.

CiCi uśmiechnęła się zza lekkiej mgły dymu.

– A co, jeśli jest tam syrena, która cię wyciągnie na powierzchnię i zaopiekuje się tobą, dopóki nie wyzdrowiejesz?

Reed się roześmiał.

– Trafna uwaga. Nie mam na to odpowiedzi.

– Jeśli masz wątpliwości jako policjant, od mniej więcej dziesięciu lat używam tylko trawki – mam na nią receptę – i alkoholu. Nie ma tu ukrytych żadnych nielegalnych substancji.

– Dobrze wiedzieć. Powinienem pozwolić ci wrócić do pracy.

– Najpierw powiedz mi, co o tym myślisz. – Wskazała płótno na sztaludze przed sobą.

Reed podszedł i serce mu zabiło.

Kobieta stała na czymś w rodzaju tonącej w słońcu polany pełnej kwiatów i motyli. Spoglądała na niego przez lewe ramię z lekkim uśmiechem na ustach i w złocistych oczach.

Ze środka jej pleców wyrastała winna latorośl i wijąc się, oplatała łopatki.

Postać była nasycona światłem i kolorem, ale to jej spojrzenie sprawiało, że Reed chciałby wkroczyć w ten obraz i pójść z nią.

Dokądkolwiek.

– Ona jest... piękna to za mało powiedziane. Frapująca?

– To dobre słowo.

– Zastanawiasz się, na kogo czeka, na kogo patrzy i co, u diabła, zajmuje temu komuś tyle czasu. Bo kto o zdrowym umyśle nie chciałby pójść z nią tą ścieżką?

– Bez względu na to, dokąd ta ścieżka prowadzi?

– Tak. Kim ona jest?



– Na tym portrecie? Jest kuszeniem. W rzeczywistości to moja wnuczka. Simone.

– Mam jej zdjęcie w swoich dokumentach, ale... – Nie zrobiło na nim wrażenia, nie tak jak ten obraz. – Wygląda jak ty. Ma twoje oczy.

– To miły komplement, dla nas obu. A to Natalie, moja młodsza wnuczka. – CiCi wskazała inne płótno.

Miało delikatniejsze barwy, zauważył, niemal pastelowe, podkreślające inny rodzaj piękna, inny nastrój. Królowa elfów, stwierdził, w wysadzanej klejnotami tiarze na złocistej aureoli włosów. Błękitne oczy i urocza twarz emanująca szczęściem raczej niż siłą, i smukła sylwetka w długiej białej sukni, przejrzystej na tyle, by widać było zarys ciała.

– Jest urocza i patrzy na kogoś, kto ją uszczęśliwia.

– Bardzo dobrze. To byłby Przystojny Harry, jej narzeczony. Mam zamiar dać mu ten obraz na gwiazdkę. Nigdy nie pozwoliłaby mu go powiesić, gdybym namalowała ją nago, więc poszłam na kompromis.

– Bardzo je kochasz. To widać.

– To moje największe skarby. Chciałabym, żebyś dla mnie pozował.

– Och, no cóż... Hm.

– Pomogę ci się oswoić. Trudno odmówić Mickowi i tak samo trudno odmówić CiCi.

– Wierzę – odparł, cofając się. – Zejdę ci z drogi.

– Co powiesz na koktajl o piątej?

– Powiem, że jestem za.

Ku jego uldze przez kilka następnych dni nie poruszała tematu pozwania. Kiedy wrócił, wyczerpany, z fizjoterapii, czekała na niego ze swoim specjalistą od akupunktury. Reed wzdrygnął się na widok igieł, ale miała rację.

Trudno było odmówić CiCi.

Uznał, że zasnął podczas akupunktury, ponieważ wykończyła go fizjoterapia, a nie dzięki dziwnym igłom i aromaterapii.

Namówiła go na jogę na plaży o zachodzie słońca z grupą innych ćwiczących. Czuł się głupio, niezręcznie, był sztywny, ale niemal odpłynął w trakcie shavasany.

Nie mógł zaprzeczyć, że po tym pierwszym tygodniu poczuł się silniejszy i miał jaśniejszy umysł, ale w końcu po to przybył na wyspę. Nie sprzeciwiał się kolejnej sesji akupunktury, zwłaszcza kiedy ani jego fizjoterapeuta, ani ukochana Tinette nie uznali tego za bzdurę, na co w skrytości liczył.

Kiedy CiCi zaproponowała mu wycieczkę rowerową, zebra i ramię przekleły go, ale nie tak głośno jak wcześniej.

Już od dawna trwała jesień, ale Reed lubił halloweenowy wygląd nagich drzew, sposób, w jaki ich gałęzie trzeszczały na wietrze. Zauważył dynie w ogrodach, a niektóre, już wydrążone, stały na gankach. W powietrzu unosił się intensywny zapach ziemi, która szykowała się do zimowego snu.

CiCi zatrzymała rower przed drugim z domów, które Reed podziwiał jako dziecko.

Cała ta linia dachu, zadumał się, ozdobne ościeżnice, przeszklone wyjście na niewielki taras, i ta piętrowa weranda. A wszystko zwieńczone uroczym tarasem.

– Srebrzystoszary dobrze wygląda – stwierdziła CiCi. – A kiedy lubin i reszta ogrodu zakwitną, będzie stanowić dla nich doskonałe tło. Ale ja bym pomalowała te werandy na liliowo.

– Na liliowo?

– Ale to jestem ja. Cody pomalował je i ościeżnice na ten ciemnoszary kolor, bo tak łatwiej sprzedać dom. Trudno ich za to winić. Tak czy owak, oczekują nas.

– Naprawdę?

– Wczoraj zadzwoniłam do Barbary Ellen.

Reed przyjrzał się domowi i westchnął. Pokręcił głową.

– CiCi, nie mogę kupić domu na wyspie. Gliniarze powinni mieszkać tam, gdzie pracują.

– Ale chcesz go obejrzyć, prawda?

– Tak, bardzo chcę. Po prostu nie chcę zawracać im głowy.

– Matka od tygodni wierci Cody’emu dziurę w brzuchu. Obojgu przyda się odrobina rozrywki. – Kiedy odstawili rowery, CiCi wzięła go za rękę i pociągnęła na wyłożoną kamiennymi płytami ścieżkę.

Weszła na werandę, która powinna być pomalowana na liliowo, i zapukała do drzwi, po czym otworzyła je i ruszyła do środka.

– Barbaro Ellen, Cody! Tu CiCi z przyjacielem! – zawołała, przekrzykując stuk młotka dobiegający ze schodów po prawej stronie od salonu.

W salonie znajdował się opalany drewnem kominek, a szerokie deski podłogi, które według oceny Reeda wyglądały na oryginalne, były świeżo wycyklinowane i polakierowane. Pokój otwierał się na kuchnię. Reed domyślał się, że włożyli mnóstwo wysiłku w jej modernizację. Półwysep i wyspa do przygotowywania posiłków, blaty z szarego granitu i nowiutkie szafki utrzymane w zwykłej bieli.

Nie miał pojęcia, po co komuś, kto nie jest maniakiem gotowania, kuchenka z sześcioma palnikami i podwójny piekarnik, ale rzecz robiła wrażenie.

– Wejdz i rozejrzyj się – powiedziała CiCi. – Zawołam ich jeszcze raz.

Reed nie mógł się powstrzymać i ruszył z powrotem do kuchni. Dostrzegł podwójne, jak w stodole, drzwi i otworzył jedno skrzydło. Stanowczo nie mógł kupić tego domu, napomniał się. Nie tylko z oczywistych powodów, ale także dlatego, że nie zasługiwał na kuchnię ze spiżarnią tak dużą, że pomieściłaby zapasy pozwalające przetrwać inwazję obcych.

Dlaczego zawiesili żarówki nad kuchennym półwyspem? Naprawdę uważał, że te światła to słaby punkt.

Odwrócił się, słysząc, że ktoś schodzi po schodach, trajkocząc cały czas.

– CiCi! Ledwie cię dosłyszałam przez ten hałas. Cody przerabia jedną z garderób w sypialni. Nie wiem, co bym zrobiła bez tego chłopca.

Była drobną kobietką i gdy objęła CiCi, wciąż szczebiocząc, Reedowi przyszedł na myśl ruchliwy ptaszek.

– Tym razem został na cały miesiąc. A zimą wróci, żeby wszystko dokończyć, jeśli będzie trzeba, żebyśmy wiosną mogli wystawić dom na sprzedaż. Wszyscy mówią, że wiosna to najlepszy czas, chociaż ja chciałabym to zrobić jeszcze przed nowym rokiem. Wyjadę stąd razem z Codym i zacznę szukać czegoś niewielkiego dla siebie, może apartamentu na wynajem. Nie jestem pewna, ale wiem na pewno, że nie chcę tu spędzić sama kolejnej zimy.

– Będzie cię nam brakować, Barbaro Ellen. Chodź i poznaj mojego Reeda.

– O mój Boże, oczywiście! Jak pan się miewa? CiCi opowiedziała mi wszystko o panu. – Podała Reedowi małą dłoń, uśmiechnęła się do niego ciemnobrązowymi oczami zza przybrudzonych szkieł okularów. – Jest pan policjantem. Mój wuj Albert był policjantem w Nowym Jorku, na Brooklynie. CiCi powiedziała, że pamięta pan mój dom z czasów, kiedy w dzieciństwie bywał pan na wyspie.

– Tak, proszę pani.

– No cóż, teraz wygląda tu trochę inaczej. Cody harował jak koń.

– Wygląda wspaniale.

– Z trudem rozpoznaję to miejsce. Już nie jest moje. Jednak muszę powiedzieć, że kuchnia jest bardzo przyjemna. Proszę pozwolić poczęstować się herbatą i ciasteczkami.

– Nie przejmuj się tym teraz. – CiCi poklepała ją po ręce. – Cody urządził śliczną małą toaletę nad schodami, prawda?

– Tak. Ten chłopiec jest taki zręczny. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

Wyśpiewując pochwały Cody'ego, Barbara Ellen – ponaglana przez CiCi – wyszła z kuchni. Reed musiał nastawić się psychicznie na widok lasu i wody. Z CiCi na przedzie ruszyli w górę po schodach.

Cztery sypialnie, w tym świeżo wyremontowana główna. Gazowy kominek, oszałamiające widoki, łazienka niemal tak duża jak sypialnia w jego starej norze.

Wszystko w tym domu go przyciągało i przeciwstawiało się zdrowemu rozsądkowi. Poznał zręcznego Cody'ego, z którym porozmawiał chwilę o przebudowie, po czym CiCi go odesłała.

– Idź na taras na dachu.

– O tak, powinien pan! – przytaknęła Barbara Ellen. – To zwieńczenie domu. Ja już tam nie chodzę. Obawiam się wąskich schodów, ale pan powinien to zobaczyć.

Wąskie tak, ale solidne, to również dzieło Cody’ego, pomyślał Reed.

Potem wyszedł na okrągły taras i całkiem przestał myśleć.

Widać stąd było wszystko. Wodę, las, miasteczko, cudowny dom CiCi na zachodzie, a fantazyjną latarnię morską na wschodzie. Świat w pełni swego koloru i piękna rozpościerał się przed nim niczym jeden z obrazów CiCi.

To mogło należeć do niego.

Pomyślał, że w żadnym z tych domów, do których wchodził, które oglądał, nad którymi się zastanawiał, ani razu nie poczuł nie tylko tego, że to mógłby być jego dom, powinien być jego, ale że już do niego należał.

– Cholera, cholera jasna, cholera. – Kiedy bezwiednie przecesał włosy palcami, ramię dało o sobie znać.

– To szaleństwo. Jestem szalony. – Machinalnie potarł ramię. – A może nie? Cholera. A może posiadłość inwestycyjna? Wynajmować by ją na sezon, używać podczas długich weekendów, na urlopiach poza sezonem. Co w tym złego? Nie mogę tego zrobić, nie mogę – mruczał, kolejny raz spacerując wzdłuż balustrady. – Nie mogę.

Kiedy zszedł na dół, usłyszał, jak CiCi pyta Cody’ego o to, o co sam zamierzał zapytać.

– No cóż, kiedy wyremontujemy ostatnią łazienkę i przerobimy ostatnią sypialnię, tu i tam coś wykończymy, dodamy to i to... Wszystko ładnie pomalujemy, zaprojektujemy ogród...

Wymienił sumę, która zabrzmiała tak, że Reed się skrzywił. Nie dlatego, że była poza jego zasięgiem, ale że była prawie w jego zasięgu.

– Oczywiście – wtrąciła Barbara Ellen, uśmiechając się lekko do Reeda – jeśli ktoś chciałby kupić ten dom, zanim wystawimy go na sprzedaż, oszczędziłby nam kłopotu i dodatkowych opłat kosztów. Wtedy obniżylibyśmy cenę. Prawda,

Cody?

– Trochę na pewno. Ale zostało nam jeszcze trochę pracy.

– A gdybyście nie musieli już nic robić? – Reed usłyszał siebie, jak zadaje to pytanie, i pojął, że przywiązuje sobie kamień do szyi. – To znaczy, gdybyście nie musieli remontować łazienki, projektować ogrodu, malować, przerabiać sypialni? Gdybyście na przykład skończyli tę garderobę i na tym poprzestali?

– No cóż. – Cody pociągnął nosem i potarł podbródek. – To zmienia postać rzeczy, prawda?

Jakby jednego było mało, gdy Cody rzucił kolejną przybliżoną sumę, Reed miał wrażenie, że przywiązuje sobie drugi kamień.

Nie zobowiązał się – nie pozwoliłby sobie na to. Musiał wszystko przeliczyć, zastanowić się, co by to oznaczało dla jego życia. Gdyby kupił ten, nigdy nie byłoby go stać na dom w Portland. Jednak... nie chciał domu w Portland.

– Chcesz go mieć – stwierdziła CiCi, kiedy stamtąd wracali.

– Chcę wielu rzeczy, których nie mogę mieć. Na przykład ciebie.

– A gdybyś mógł?

– Mieć ciebie? Pedałuj szybciej.

Wybuchnęła swoim cudownym śmiechem.

– Szaleję za tobą, mój Smakowity. Powiedziałaś, a ja się z tym zgadzam, że policjant mieszka tam, gdzie pracuje.

– Tak, w tym problem.

– A gdybyś mógł to zrobić? Mieszkać i pracować na wyspie? Komendant Wickett przechodzi na emeryturę. Na razie nie ogłosił tego oficjalnie, ale powiedział o tym mnie. Chce ustąpić w lutym, może w marcu, więc w przyszłym miesiącu zawiadomi radę miejską. Da im czas na znalezienie następcy.

## ROZDZIAŁ 14

**K**omendant policji? To było jeszcze większe szaleństwo. CiCi rzuciła mu te słowa, a potem beztrąsko udała się do swojego studia.

Poszedł więc na spacer po plaży w nadziei, że świeże powietrze przewietrzy mu głowę i przywróci zdrowy rozsądek.

Usiadł na skałach i zaczął rozmyślać. Potem znów pospacerował.

Kiedy wreszcie wrócił do domu, CiCi siedziała na tarasie z przytulnym pledem na nogach, z butelką wina i dwoma kieliszkami na stoliku.

– Potrzebny ci kieliszek dobrego wina.

– Nie mogę być komendantem policji.

– Dlaczego nie? To tylko tytuł. – Nalała wina do kieliszków.

– Nie tylko tytuł. To oznacza kierowanie wydziałem. Pracę administracyjną.

CiCi poklepała fotel stojący obok niej.

– Jesteś inteligentny, a obecny komendant pracowałby z tobą dopóty, dopóki nie wpadniesz we własny rytm. Powiedziałeś mi dość przez kilka ostatnich dni i rozrywkowych wieczorów, żebym zrozumiała, że nie jesteś szczęśliwy w Portland. Nie jesteś szczęśliwy w tym, w czym zamknął cię własny komendant czy kapitan. Uwolnij się, Reed. Masz przeznaczenie – kontynuowała.

– Twoja aura nim pulsuje.

– Moja aura pulsuje przeznaczeniem?

– Tak. I spełnisz je tutaj. Zrealizujesz też swoje równie podstawowe przeznaczenie, jakim jest śledztwo w sprawie tej psychopatki Hobart. W martwym sezonie również nie brakuje pracy dla szefa policji, ale będziesz tu

miał czas i przestrzeń. – Spojrzała na niego. – Powiedz, że jesteś szczęśliwy tam, gdzie jesteś, a zamilknę.

Chciał to powiedzieć, ale potrząsnął głową.

– Nie. Myślałem już, żeby się przenieść, ale tam jest Essie. I inni. Moja rodzina.

– Jesteś tu o mniej niż godzinę drogi od przyjaciół i rodziny. Pragniesz tego domu. Nie muszę mieć paranormalnych zdolności, żeby to wiedzieć, bo widać to po tobie. Ale ponieważ mam trochę tych zdolności, wiem, że będziesz tu szczęśliwy, szczęśliwy w tym domu, bo to jest twoje miejsce. To jasne jak słońce. Będziesz miał swoje przeznaczenie, swój dom. Znajdziesz miłość swojego życia.

– Już znalazłem – przerwał jej.

CiCi wyciągnęła do niego rękę.

– Znajdziesz kogoś, kto będzie dzielił z tobą ten dom. Stworzysz tu rodzinę.

– Ledwie mnie stać na ten dom. Kto wie, czy mam kwalifikacje, żeby zostać komendantem policji, albo czy rada miejska na wyspie zaproponuje mi tę pracę?

CiCi uśmiechnęła się znad okularów. W uszach błyszcząły jej srebrne kółka z wiszącymi krwistoczerwonymi kamykami.

– Mam tu niemałe wpływy. Potrzebujemy w policji dobrego, młodego, bystrego człowieka. I oto jesteś.

– Jesteś nieobiektywna, bo ty też mnie kochasz.

– Owszem, ale gdybym nie uważała, że to dobre dla ciebie, dla wyspy – nawet nie tylko dla ciebie, ale że to w ogóle dobre rozwiązanie – nie rozmawiałabym wczoraj z Hildy.

– Z Hildy?

– Panią burmistrz Hildy Intz. Bardzo chce z tobą porozmawiać.

– Jezu, CiCi.

Śmiejąc się, trąciła go w ramię.

– Sprawa nabiera realności, prawda? To mi przychodzi na myśl Simone. Mówiłam ci, jak próbowała się dostosować i w końcu zdała sobie sprawę, że nie



potrafi. Kiedy się wyrwała, znalazła odpowiedź. A przynajmniej jedną z nich. Nie pozwól trzymać się w zamknięciu, Reed. Cholera, to mój telefon. Zostawiłam go w środku.

– Przyniosę go.

Reed pospieszył i przyniósł go jej.

– Ha. Barbara Ellen. – Poruszając brwiami, odebrała połączenie. – Cześć, Barbaro Ellen. Tak. Hm.

Słuchała, kiwając głową i sącząc wino.

– Rozumiem. Och, oczywiście, że to zrobię. Ciebie też cudownie było widzieć. I Cody'ego. Tak, wykonał piękną robotę. Nic dziwnego, że jesteś z niego dumna. Aha... – Spojrzała na Reeda, przewracając oczami. – Wiem, że będziesz. Pozwolisz, że do ciebie oddzwonię? Na razie pa.

Rozłączyła się, odłożyła telefon i wzięła kolejny łyk wina.

– Barbara Ellen bardzo pragnie spakować się i przeprowadzić, po prostu wrócić z Codym i mieć sprawę załatwioną. W związku z tym nakłoniła Cody'ego do obniżenia ceny – dla ciebie, jeśli ją zaakceptujesz – o kolejne siedem i pół tysiąca.

– O cholera.

– Wie, że będziesz kochał dom, który ona kochała, gdzie wychowała dzieci. Oczywiście ma co do tego rację.

– Nie powinienem był wychodzić na taras na dachu. – Kolejne kamienie u szyi, pomyślał, tonąc coraz szybciej. Potarł twarz dłonią. – Już przedtem było źle. Było wystarczająco źle, kiedy jedynie czułem to miejsce, ale wejście na górę to przesądziło. Nie mogę sobie tego wyperswadować.

– Nigdy nie rozumiałam, dlaczego ludzie próbują wyperswadować sobie coś, czego pragną. Właśnie dostałeś kolejny znak, mój drogi. Powinieneś pójść za nim.

– Tak.

– Może zadzwonię do Hildy i zaproszę ją na drinka?

Reed spojrział na nią i kiwnął głową.

– Czemu by nie?

Gdy tylko wrócił do Portland, Reed skontaktował się z Essie i poprosił ją o spotkanie w parku. Usiadł na tej samej ławce, na której oboje siedzieli ponad dziesięć lat wcześniej. To tam, z jej pomocą, wybrał nowy kierunek drogi. Teraz przygotowywał się, żeby znów to zrobić.

W rześkim listopadowym wietrze spoglądał na wodę i ludzi, wracając myślami do tamtego upalnego letniego dnia. Pogrzeb Angie – dziewczyny, która nie miała szansy zmienić kierunku drogi.

Może to było częścią całości – w każdym razie częścią jego całości. Dano mu szansę – dwa razy – i wierzył, że musi wykorzystać ją jak najlepiej.

Po DownEast zastanawiał się i martwił, czy było tak, że kula – jak na zatrzymanym filmie – zawisała w powietrzu, czekając, by ktoś nacisnął guzik „play”. Patricia Hobart go nacisnęła i dwie, nie jedna, kule go znalazły.

I przeżył.

Żadnego marnowania czasu czy okazji, pomyślał. Żadnego oglądania się wstecz i rozmyślania: dlaczego tego nie zrobiłem?

Siedział więc, podczas gdy wiatr rozwiewał mu włosy, a zima zaczynała wsuwać lodowate palce w balsamiczne jesienne powietrze, i myślał o wczorajszych i przyszłych dniach. Ponieważ, do diabła, obecna chwila już trwała.

Obserwował, jak się zbliża – jego partnerka, mentorka, przyjaciółka. Szybkie kroki w mocnych butach, ciemna kurtka zapięta na zamek błyskawiczny dla ochrony przed wiatrem, ciemna wełniana czapeczka na krótkiej, łatwej do utrzymania fryzurze, którą nazywała włosami mamy-gliniarza.

Bez niej wykrwawiłby się na śmierć na odnowionej drewnianej podłodze domu na sprzedaż. Tak samo, jak kochał swoją rodzinę, tak Essie była osobą, której przenigdy nie chciałby rozczarować.

– Dobra, niech ci się przyjrzę. – Zrobiła to ze zmrużonymi oczami i krytycznym wyrazem twarzy. Potem skinęła głową. – Tak, wyglądasz

w porządku. Kilka tygodni na Tranquility dobrze ci zrobiło.

Usiadła i spojrzała mu w oczy.

– Jak się czujesz?

– Lepiej. O wiele. Spacerowałem codziennie, trochę biegałem. Kontynuowałem fizjoterapię. Zakochałem się w seksownej, fascynującej kobiecie.

– Nie zabrało ci to dużo czasu.

– Bum! – Strzelił palcami. – Słyszałaś o CiCi Lennon?

– Ach... Artystka, prawda? Miejskowa. Czy ona nie jest... hm, w wieku twojej babci?

– Możliwe. Przyszło mi do głowy, że kobiety zawsze miały głęboki wpływ na moje życie. Oczywiście mama, i siostra też. I w dziwny, okropny sposób Angie. Ty i ja siedzieliśmy tutaj w dniu jej pogrzebu.

– Pamiętam.

– Ty. Ty miałaś ogromny wpływ.

– Sam wszystkiego dokonałeś, Reed.

– Lubię tak myśleć, ale ty pomogłaś mi znaleźć drogę. Kocham być gliniarzem. Nie mogłem patrzeć na niepokój na twarzach rodziców w szpitalu i nie znoszę myśli, że już w nich pozostanie. Jednak wiem, że sobie z tym poradzą. Muszę być gliniarzem.

– Nigdy w to nie wątpiłam.

Reed wpatrywał się w wodę.

– Rzecz w tym, że ja też nie. Nawet leżąc na podłodze i zastanawiając się, czy to już. Gra skończona. Decyzja, którą tutaj podjąłem – a przynajmniej zacząłem podejmować – była słuszna. W znacznym stopniu wpłynęła na nią Angie i tamten wieczór. Nie mogłem przestać się tym zajmować, Essie. Nie mogę zaprzestać starań, by dopaść Patricię Hobart.

Essie pochyliła się ku niemu.

– Ta suka postrzeliła mojego partnera. Posłuchaj, jestem wkurzona, że nas wyłączono ze śledztwa i wciąż mam nadzieję, że federalni ją znajdą. Jednak i tak

będziemy nad tym pracować, Reed. Zrobimy to, nie zgłaszając nikomu, w wolnym czasie.

– Przez jakiś czas będą mnie trzymać za biurkiem. Przypuszczam, że trzy do sześciu miesięcy. Wydział nas nie wspiera. Ty masz rodzinę, Essie. Moglibyśmy wygospodarować na to trochę czasu, oczywiście, ale zanim pozwolą mi w pełni wrócić do służby, przydzielą ci innego partnera.

– Sprzeciwiam się temu... – zaczęła.

– Musimy opracować działanie. To najważniejsze. Żadnemu z nas nigdy nie pozwolą wziąć udziału w śledztwie w sprawie Hobart, nawet z zewnątrz, a ja nie mogę za mocno wkurzyć się z tego powodu. Jednak Hobart jest kluczem do reszty spraw i nie zamierzam tego odpuścić. Kiedy zostanę oczyszczony z zarzutów, przydzielą mnie do kogoś innego. Oboje możemy się sprzeciwiać, ale to wszystko jest bardzo niepewne. I oboje dostaniemy sprawy, którymi będziemy musieli zająć się najpierw.

– Krążysz wokół czegoś, a ja nie czuję się z tym dobrze. Myślisz o tym, żeby poprosić o przeniesienie?

– Niezupełnie. Znalazłem dom. Na wyspie. Jest wszystkim, czego chcę i potrzebuję, i dlatego nie znalazłem tego tutaj.

– Jezu, Reed, rozumiem, jak bardzo ci zależy na znalezieniu swojego miejsca, ale...

– Miejsca, Essie, w tym rzecz. Większość czasu na wyspie spędziłem w domu CiCi. Nie tak, jak myślisz – dodał, śmiejąc się. – Jednak gdyby pozwoliła mi spróbować... W każdym razie odkryłem wiele rzeczy. Bloody Mary i naleśniki, jogę na plaży...

Essie otworzyła usta ze zdziwienia i uniosła rękę.

– Poczekaj. Ćwiczyłeś jogę na plaży?

– CiCi się uparła. Rzecz w tym, że siedziałem na skałach pod jej domem, bo zapamiętałem go milion lat temu, kiedy spędzaliśmy wakacje na wyspie. A ona poprosiła mnie, żebym się u niej zatrzymał, bo mnie rozpoznała – w związku ze strzelaniną i moim powiązaniem z centrum handlowym. Jej wnuczka tam była.

– Czekaaj, czekaaj, to jest to. – Teraz Essie wyrzuciła rękę w powietrze. – Cały czas mnie to dręczyło. Ona jest babką Simone Knox.

– Właśnie. Zgłosiłaś się po telefonie Simone pod numer alarmowy. Analizuję to wszystko, Essie. Angie... Rozmawiałem z nią, umówiłem się na prawie randkę na kilka minut przed tym, jak zginęła. Ukryłem się z Bradym w jej sklepiku, miałem na sobie jej krew. A potem znalazłem się z tobą na tej ławce. To wszystko doprowadziło mnie na wyspę. Nie chcę doszukiwać się w tym jakiejś metafizyki, ale to po prostu coś znaczy.

– Chcesz mi powiedzieć, że kupiłeś dom CiCi Lennon?

– Nie. Były dwa, które zrobiły na mnie wrażenie, kiedy miałem jakieś dziesięć lat, i powiedziałem jej o tym, bo... Jezu, z CiCi można rozmawiać. A przynajmniej ja mogę. A to coś znaczy, Essie, że właścicielka i jej syn remontują dom, który zapamiętałem, i chcą go wystawić na sprzedaż. To ma znaczenie, że kiedy po nim chodziłem, reagowałem – tu znów użyję głupiego słowa – ale reagowałem emocjonalnie. Czułem, że jest mój. Próbowałem to sobie wyperswadować. Ale nie dałem rady. Pomyślałem: dobra, okej, potraktuję to jako inwestycję, wynajmę komuś, będę tam spędzał urlopy. Bo gliniarz musi mieszkać tam, gdzie pracuje, a ja muszę być gliniarzem. Jednak problem w tym, że nie chcę go nikomu wynajmować.

– Reed, proszę, powiedz mi, że nie zamierzasz być zastępcą szeryfa na wyspie. Jesteś śledczym. Jesteś...

– Nie, nie zastępcą szeryfa.

– Więc kim, do cholery?

– Komendantem policji.

– Ty... – Urwała i głośno wypuściła powietrze z płuc. – Poważnie?

– Jeszcze nie dostałem tej pracy. Rada miejska musi to przegłosować i w ogóle. Ale odbyłem rozmowę kwalifikacyjną – nawet kilka. I napisałem CV. Wkrótce zadzwonią do ciebie, do Bulla, do porucznika. Jeśli mnie nie przyjmą... Jestem młody, nie pochodzę z wyspy – to przemawia przeciwko mnie. Jestem detektywem policji z kilkuletnim doświadczeniem, zamknąłem wiele spraw,

i mam już umowę na kupno domu. To są moje plusy. A wpływowe osoby? CiCi. Więc oceniam swoje szanse na siedemdziesiąt procent.

Essie przez chwilę siedziała w milczeniu, zastanawiając się nad tym.

– Chcesz tego.

– Minusy? Byłbym dalej od rodziny, niżby sobie tego życzyła. I nie pracowałbym z tobą. Nie mógłbym wpadać, żeby zobaczyć się z tobą, Hankiem, Dylanem i przy okazji podjeść. Mam nadzieję, że to zrekompensuję, goszcząc was u siebie. Ponieważ tak, chcę tego. Chcę, bo znalazłem tam to, czego potrzebuję. Bo myślę, że mógłbym tam wykonać dobrą robotę. Chcę tego, bo będę miał czas i przestrzeń, zwłaszcza jesienią i zimą, żeby pracować nad sprawą Hobart. Nie mogę być gliną, patrzeć na siebie w lustro i nie pracować nad sprawą Hobart.

– Nienawidzę tego pomysłu. – Essie podniosła się z ławki, podeszła w stronę zatoki i wróciła. – Po prostu nienawidzę.

– Essie...

Uniosła rękę, żeby go powstrzymać, kiedy wstał.

– Nienawidzę go, bo wydaje się dla ciebie dobry. Po prostu czuję, że to słuszne. I będzie mi brakowało tego, że przestaniesz wpadać, żeby coś podjeść. Będę tęsknić za wspólnym rozwiązywaniem spraw.

– Uważasz, że to dla mnie dobre?

– Tak. Kiedy wyjeżdżasz?

– Jeszcze nie mam tej pracy.

– Dostaniesz ją. – To było zbyt słuszne, aby stało się inaczej. – Kiedy wyjeżdżasz?

– Nie przed nowym rokiem. Obecny komendant odchodzi na emeryturę w marcu... Powiedział o tym CiCi, ale jeszcze nawet nie poinformował rady miejskiej. Sprawa dopiero rusza z miejsca.

– Komendant Quartermaine. – Essie pokręciła głową. – Dostałeś kopa na rozpęd.

Poczuł tego kopa dziesięć dni później, kiedy formalnie objął stanowisko

komendanta policji Tranquility Island.

W ramach naprawiania stosunków Simone zgodziła się na elegancki lunch w kobiecym gronie w country clubie matki. Wolałaby spędzić wietrzne listopadowe popołudnie w swoim studiu, ale relacja z Natalie się poprawiła.

Natalie chciała tego lunchu i naciskała w jego sprawie. Siedziały zatem teraz, jedząc wyszukane sałatki, popijając kir royale i gawędząc o ślubie, do którego wciąż pozostawał prawie rok.

Krótkie, zmierzwione włosy Simone w kolorze, który jej pomysłowy fryzjer nazwał „zarzającymi się węglami” zdążyły już przyciągnąć spojrzenie matki. Jednak fakt, że Tulip choć raz trzymała język za zębami, pomógł zachować cywilizowaną atmosferę spotkania.

Zresztą nie mogła zaprzeczyć, że włożyła buty za kolana, zamszowe spodnie i zieloną skórzaną kurtkę, żeby sprowokować matkę.

W każdym razie cieszyła się, że widzi Natalie tak szczęśliwą, nawet jeśli w dużym stopniu brało się to z rozważania na temat fasonów sukien ślubnych i kolorów przewodnich na wesele.

Kiedy poczuła, że mózg jej mięknie nad recepturą idealnego weselnego koktajlu, skierowała rozmowę na dom, który Natalie i Harry właśnie kupili.

– A więc nowy dom. To podniecające. Kiedy będziecie gotowi się wprowadzić?

– Z pewnością nie ma pośpiechu – odezwała się Tulip. – Zwłaszcza że zbliżają się te wszystkie wakacyjne imprezy. Simone, koniecznie musisz przyjść na Bal Płatków Śniegu w przyszłym miesiącu. Triston, syn mojej przyjaciółki Mindy, przyjeżdża na święta z Bostonu i jestem pewna, że ucieszy się, mogąc ci towarzyszyć.

– Tak. – Promieniejąca szczęściem Natalie niemal podskoczyła na krześle. – Moglibyście chodzić na randki z Harrym i ze mną!

Simone szybko ścisnęła pod stołem nogę Natalie.

– Mam już wypełniony kalendarz, mam, ale dziękuję, że o tym pomyślałaś.

A co do domu...

– Choć raz chciałabym mieć przy sobie całą rodzinę na imprezie, która jest dla mnie ważna.

Simone podniosła kieliszek i ostrożnie upiła łyk drinka, który wydał jej się zbyt słodki i niedorzeczny.

– Wiem, że Bal Płatków Śniegu jest dla ciebie ważny. Tak samo jak Zimowa Gala, Bal Wiosenny, jak Letni Jubileusz w lipcu i tak dalej. Bywałam na wielu z nich przez ostatnie kilka lat.

– Ani razu nie przyszedł na Letni Jubileusz, a zbieramy na nim fundusze, które przeznaczamy na sztukę.

– To dla mnie nie najlepsza pora roku, mam.

Tulip zbierała się do dłuższej przemowy, po czym odwróciła wzrok.

– Ten bal pomaga zrobić coś dobrego.

– Wiem i robię to. Dla siebie. Naprawdę chciałabym posłuchać o domu.

– Czy nie dość długo ukrywałaś się na wyspie? Jeśli nie ma cię tam, jesteś jeszcze gdzieś. Na wyspie nigdy nie nawiązesz kontaktów towarzyskich ani nie spotkasz kogoś tak cudownego jak Harry.

Znów się zaczyna, pomyślała Simone.

– Mam takie kontakty towarzyskie, jakie chcę, i nie szukam kogoś takiego jak Harry. A on jest cudowny – dodała z uśmiechem dla Natalie. – Mamo – powiedziała szybko, zanim Tulip zdążyła znów się odezwać. – Porozmawiajmy o sprawach, co do których się zgadzamy. O tym, jaka szczęśliwa jest Natalie, jaki wspaniały będzie miała ślub. Jaki fantastyczny jest jej nowy dom.

– A wracając do ślubu – powiedziała Natalie, w tak oczywisty sposób próbując ratować sytuację, że Simone znów ścisnęła jej kolano, tym razem z wdzięcznością. – Zostaniesz moją drużną honorową?

To ją zaskoczyło, wzruszyło i oba te uczucia ukazały się na jej twarzy.

– Nat, jestem zaszczyczona. Naprawdę. Twoja propozycja tak wiele dla mnie znaczy i gdyby to było to, czego rzeczywiście pragniesz, z pewnością bym nią została. Ale...



Ujęła dłoń Natalie leżącą na białym obrusie.

– Cerise od dziesięciu lat jest twoją najbliższą przyjaciółką. Jesteście sobie tak bliskie, a ona dokładnie wie, czego pragniesz w związku ze ślubem. Wie, jak ci to zorganizować. To ona powinna być twoją druhną honorową.

– Ludzie będą oczekiwali...

Simone spojrzała na matkę tak szybko i ostro, że słowa zamarły tamtej na ustach.

– Liczy się to, czego chce Natalie. Poproś Cerise i pozwól, że zamiast tego zrobię dla ciebie coś specjalnego.

– Nie chcę, żebyś poczuła się urażona. Jesteś moją siostrą.

– Nie poczuję się. Nie jestem urażona. Chcę, żeby Cerise była twoim świadkiem. Chcę zrobić topper na zwieńczenie twojego tortu weselnego. Rzeźbę ciebie i Harry'ego. Coś, co zachowacie, żeby pamiętać najpiękniejszy dzień waszego życia. Coś, co pokaże nie tylko, jacy szczęśliwi byliście tego dnia, ale jak bardzo cieszę się waszym szczęściem.

– Już zaczęliśmy szukać wzorów tortów i topperów – zauważyła Tulip.

– Mamo. – Natalie sięgnęła po rękę matki i teraz trzymała dłonie jej i siostry.  
– Bardzo bym tego chciała. Naprawdę, byłabym zachwycona. Mogłabyś zrobić coś zabawnego na tort pana młodego? – zwróciła się do Simone. – Na przykład Harry'ego, który wbija piłkę do dołka albo wybija ją z kołeczka?

– Oczywiście. Daj mi wzór tortu, kiedy już go znajdziesz. A gdy będziesz miała suknię, zrobię kilka szkiców i zdjęć – to samo z Harrym, kiedy jego ubranie będzie gotowe. Jeśli chcesz, wymyślimy razem coś na tort pana młodego, ale zwieńczenie weselnego tortu będzie niespodzianką. – Obejrzała się na matkę. – Nie rozczaruję cię ani nie przyniosę ci wstydu. Chcę ofiarować Natalie coś, co jest częścią mnie. Co wy na to, żebyście wybrały desery i zamówiły mi czarną kawę? Wrócę za chwilę.

Przeszła przez salę jadalną i uciekła do toalety, przysięgając, że choćby nie wiadomo ile wysiłku trzeba będzie włożyć w naprawę stosunków, nigdy się nie zgodzi na kolejny damski lunch w klubie.

Postanowiła, że dla przeciwwagi po drodze do domu kupi ulubioną wegańską pizzę babki i będą się nią obżerać, popijając przy tym dobre wino.

Musiała się przemóc, żeby wejść do kabiny – zawsze tak było. Jednak drobne trzepotanie serca szybko minęło – jak zawsze.

Kiedy wyszła, ledwie rzuciła okiem na blondynkę ostrożnie poprawiającą szminkę przed lustrem nad długim srebrzystym blatem z szeregiem głębokich umywalek. Musiała pomyśleć, jak przykleić do twarzy pogodny uśmiech i przetrwać desery i kawę. A potem uciec.

– Simone Knox.

Simone spojrzała na blondynkę. Usłyszała szyderstwo w jej głosie, ujrzała je na ciemnoróżowych wargach. Potem zdała sobie sprawę, że wrażenie szyderstwa powstało przez naciągnięcie starannie zamaskowanych blizn.

Powieka lewego oka – wyraziście niebieskiego – lekko opadała. Zwykły obserwator mógłby tego nie zauważyć, ale nie uszło uwadze artystki, która studiowała strukturę i anatomię twarzy.

Simone postarała się zachować beznamiętny wyraz twarzy i głos.

– Tak, to ja.

– Nie poznajesz mnie?

Faktycznie nie poznawała, przez kilka sekund. Jednak zaraz załamy ją wspomnienia. Znów to wszystko ujrzała. Wszystko.

– Tiffany. Przepraszam. Dawno się nie widziałyśmy.

– Rzeczywiście.

– Jak się miewasz?

– Pytasz, jak wyglądam? Och, nie krępuj się – ciągnęła, poruszając dłońmi przy twarzy. – Osiem operacji w ciągu siedmiu lat. Dodaj do tego psychoterapię, krwawienie do mózgu. Pełną rekonstrukcję lewego ucha – dodała, stukając w nie palcem. – Oczywiście aparat słuchowy został uszkodzony, ale nie można mieć wszystkiego.

– Przykro mi...

– Przykro? Pieprzony skurwiel strzelił mi w twarz! Musieli ją na nowo

poskładać. Ty wyszłaś z tego bez jednego zadrapania, prawda?

Bez takich, które byłoby widać.

– Jednak po tych wszystkich latach wciąż mówi się o dzielnej, bystrej Simone Knox, która ukryła się i zadzwoniła po pomoc. Podczas gdy ja z twarzą w strzępach leżałam pod swoim martwym chłopakiem.

Simone nie chciała pamiętać tego obrazu, nie chciała widzieć błysków strzałów w drzwiach zaklinowanych przez martwe ciało. Nie chciała słyszeć krzyków.

– Przykro mi z powodu wszystkiego, co przeszłaś.

– Nie masz pojęcia, przez co przeszłam. – Opadająca powieka drgnęła, kiedy głos Tiffany wzrósł o kolejny rejestr. – Byłam piękna. Znaczyłam coś. A ty byłaś nikim. Rzucił cię. Miałaś szczęście, a nazywają cię bohaterką. Jak myślisz, dlaczego ludzie kupują to gówno, które rzeźbisz? Przykro ci? Powinnaś nie żyć. Czekałam dwanaście lat, żeby ci to powiedzieć.

– Teraz powiedziałaś.

– To wciąż za mało. Nigdy nie wystarczy.

Tiffany wypadła z toalety, a Simone pomyślała: lewe ramię ma odrobinę niżej niż prawe. Potem weszła do kabiny i zwymiotowała wyszukaną sałatkę i kir royale.

Kiedy wróciła do stolika, matka i siostra śmiejąc się, pochylały ku sobie głowy.

– Przepraszam, muszę już iść.

– Och, Simone, właśnie zamówiliśmy deser. – Natalie wyciągnęła do niej rękę.

– Przepraszam. – Ile razy dziś to powiedziała?

– Tylko dlatego, że jesteśmy innego zdania, nie... – Tulip przerwała tyradę w pół słowa. – Simone, jesteś blada jak ściana.

– Nie czuję się dobrze. Ja...

Tulip szybko wstała i obeszła stolik.

– Usiądź. Posiedź chwilę. Dam ci trochę wody.

– Wszystko w porządku. – Woda, pomyślała. Tak, trochę wody. Ale ręka jej drżała. – Naprawdę muszę wyjść. Potrzebuję powietrza.

– Tak. Trochę powietrza. Natalie, zostań tu. Wyprowadzę twoją siostrę na zewnątrz. – Objęła Simone w talii. – Weźmiemy płaszcze. Mam numerek.

Spokojna, kompetentna Tulip odebrała płaszcze i pomogła Simone się ubrać.

– Weź mój beret. Powinnaś była włożyć coś na głowę. – Wyprowadziła Simone na świątecznie udekorowane patio. – A teraz powiedz mi, co się stało.

– Zupełnie nic. To tylko migrena.

– Nie okłamuj mnie. Uwierz, że znam własne dziecko. Zasluguję na trochę szacunku.

– Przepraszam. – Znow to powiedziała. – Masz rację. Muszę się przejść. Odetchnąć.

– Przejdziemy się. Odetchniesz. I powiesz mi, co się stało.

– W toalecie. Tiffany Bryce.

– Znamy ją?

– Chodziłam z nią do szkoły. Była w kinie tamtego wieczoru.

– Oczywiście. Znam trochę jej macochę. Ona... one mają za sobą trudny czas.

– Tak. Powiedziała mi.

– Wiem, że te wspomnienia są dla ciebie trudne, ale...

– Obwinia mnie.

– Co takiego? – Tulip z roztargnieniem poprawiła włosy, kiedy rozwiął jej wiatr. – Oczywiście, że nie.

– Obwinia i dała mi to jasno do zrozumienia. Została postrzelona w twarz. Ja nie. Nic mi się nie stało.

– Wszystkim nam się to przytrafiło, niezależnie od tego, czy zostaliśmy fizycznie ranni, czy nie. Wszystkim. – Chwyciła dłoń Simone. – Co ona ci powiedziała, kochanie?

– Wyliczyła mi swoje obrażenia i oskarżyła, że ja nie miałam żadnych. I powiedziała, że powinnam była umrzeć. Że żałuje, że nie umarłam.

– Nie obchodzi mnie, co się z nią stało, nie miała prawa tego powiedzieć.

Bardzo prawdopodobne, że umarłaby tamtego wieczoru, gdyby nie ty.

– Nie mów tak. Proszę, nie mów. Nie chcę, żeby tak o mnie myślano.

– Byłaś odważna i mądra. Nigdy, przenigdy o tym nie zapominaj. – Chwyliła Simone za ramiona. – Ta dziewczyna jest rozgoryczona i pełna gniewu, dlatego mogę to wybaczyć. Jednak to, co ci powiedziała, jest niesprawiedliwe i nienawistne. Powiedziałaś wcześniej, że mnie nie rozczarujesz i nie przyniesiesz mi wstydu. Nie rozczarowuj mnie teraz i nie bierz sobie do serca ani jednego jej słowa.

– Nienawidziłam jej. Tamtego wieczoru, przedtem, kiedy weszła do kina z Trentem, taka zadowolona z siebie i lekceważąca mnie. Nienawidziłam jej. A teraz...

– Teraz jesteś dorosła, a ona najwyraźniej ani trochę się nie zmieniła. Nie wszyscy się zmieniają, Simone. Nie każdy potrafi wyjść cało z tragedii.

Simone oparła głowę na ramieniu matki.

– Czasami wciąż tkwię tam zamknięta. W kabinie w toalecie.

– A więc... Boże, mówię jak własna matka! Otwórz drzwi. Zrobiłaś to już i będziesz robić nadal. Nawet jeśli nie podoba mi się, dokąd to cię prowadzi. Kocham cię, Simone. Może dlatego nieustannie mnie irytujesz. Naprawdę, dlaczego robisz to ze swoimi włosami?

Simone zaśmiała się lekko.

– Mówisz o moich włosach, żebym przestała myśleć o tamtym.

– Być może, ale i tak nie potrafię zrozumieć, dlaczego je obcinasz, farbujesz na piekielną czerwień.

– Musiałam być w piekielnym nastroju, kiedy to zrobiłam. – Odsunęła się i pocałowała matkę w policzek. – Dziękuję. Już mi lepiej, ale nie chcę wracać. I tak nie mogłabym patrzeć na deser.

– Czujesz się na tyle dobrze, żeby prowadzić?

– Tak. Nie martw się.

– Będę się martwić, więc napisz mi esemes, kiedy już będziesz u babci.

– Okej. Powiedz Nat...

– Mam zamiar dokładnie opowiedzieć Natalie, co się wydarzyło, żeby nad deserem i kawą opłotkować tę głupią, wstrętną kobietę.

Tym razem śmiech przyszedł Simone z większą łatwością.

– Kocham cię, mamo. Pewnie dlatego nieustannie mnie irytujesz.

– W jednym musisz przyznać mi rację. Twój własny kolor jest lepszy. Napisz eśemes i każ CiCi zaparzyć ci jedną z tych jej wariackich herbat.

– Dobrze.

Zamiast przechodzić przez klub, w drodze do samochodu obeszła budynek. Pomyślała, że nie chciała tu przyjść, i nie mogła powiedzieć, że spędziła miło czas.

Jednak była zadowolona, że przyszła. Aczkolwiek w dziwny i okropny sposób, relacje zostały naprawione i wydawały się teraz silniejsze.

Może będą mogły utrzymać je takimi przez chwilę.

## ROZDZIAŁ 15

Simone nie mogła zapomnieć widoku twarzy Tiffany – dawnej i obecnej. Nie mogła zapomnieć szyderstwa malującego się na niej kiedyś i gniewu widocznego dzisiaj. Napierały na nią i atakowały dwie strony tego samego medalu: szyderstwo młodej dziewczyny, która szczyciła się swoją urodą, i gniew kobiety przekonanej, że ją straciła.

Gdy teraz pracowała, te twarze obracały się w jej głowie.

Simone nigdy nie wróciła do centrum handlowego DownEast ani nie poszła do żadnego innego. Już nigdy nie usiadła w kinowym fotelu. Robiła wszystko, żeby wyprzeć z pamięci tamten wieczór i towarzyszące mu okoliczności. Usunąć je ze swojego życia.

Po tym jednym spotkaniu, gdy obie twarze igrały w umyśle Simone, tamto wydarzenie i towarzyszące mu okoliczności całkiem nad nią zapanowały.

Nie mogąc wymazać ich z pamięci, uczyniła z nich projekt.

Naszkićowała twarz szesnastoletniej Tiffany: regularne rysy, perfekcyjne włosy pewnej siebie, rozkwitającej piękności.

Potem naszkicowała dzisiejszą Tiffany, kobietę, która stanęła przed nią w klubie: blizny, lekko opadająca lewa powieka, naciągnięta warga, zrekonstruowane lewe ucho.

Zdeformowana, pomyślała, przyglądając się obu twarzom, wyraźnie zdeformowana. Ale raczej nie monstrualna. W rzeczy samej, jako artystka, tę drugą twarz uznała za bardziej interesującą.

Jednak... Czy gniew brał się z tego, co sobie przypominała za każdym razem, gdy spoglądała w lustro? Czy znów przeżywała tamten horror? Nie była w stanie

odciąć się od niego, żyć dalej, bo skutki tamtego wieczoru trwały w jej twarzy odbitej w lustrze.

Czyż nie trzeba wyjątkowej siły i determinacji, aby stawić temu czoło i pójść dalej?

Jak mogła ją krytykować? Jak mogła zbywać jej gniew i urazę, skoro nie chciała stawić czoła własnemu? Po prostu nie dopuszczała ich do siebie.

Wstała i podeszła do okna. Na zewnątrz śnieg sypał ze smętnego szarego nieba, układając się w miękkie kopce na skałach. Woda i niebo zlewały się ze sobą. Zima zabrała wszystko poza tą wodą i niebem.

Przed sobą miała spokój i ciszę, samotność zimy na wyspie. Chaos i brzydota letniego wieczoru sprzed lat czekały za nią.

W jej głowie brzmiał głos Tiffany.

Wyszłaś z tego bez jednego zadrapania.

– Nie. Nie, to nieprawda. Zatem...

Westchnęła głęboko, odwróciła się i wróciła na miejsce.

Wzięła narzędzia i glinę.

W skali jeden do dwóch, pomyślała, rozkładając brezent i ugniatając glinę w prostokąt. W każdej chwili może przerwać, obiecała sobie. Albo zmienić koncepcję. Jednak jeśli chce pozbyć się tych twarzy ze swojej głowy, prawdopodobnie musi je stworzyć.

Odcięła kawałek gliny i zrolowała w cylinder. Ustawiła go pionowo i wygładziła dłońmi. Przycięła brzegi, wyłobiła warstwy, nasunęła je na siebie i złączyła, wyrównując spoiny i tworząc wgłębienia.

Rozpoczynając od części praktycznej, przygotowała trzon rzeźby.

Zaokrąglonym ostrzem dłuta naszkicowała zarys twarzy i sprawdziła proporcje.

Teraz dłońmi zaczęła nadawać jej kształt. Oczodoły, czoło, nos. Dodała trochę gliny i odpychając ją od środka cylindra, wyrzeźbiła policzki, kości policzkowe i podbródek.

Widziała ją, czując pod palcami. Kobiecą twarz – wciąż była to czyjkolwiek



kobieca twarz.

Wgłębienia, wcięcia, wypukłości.

Myśląc o tym, co było wtedy i co jest teraz, o próżności, goryczy, to samo zrobiła z gliną z drugiej strony.

Dwie strony życia, pomyślała.

Teraz sklepienie głowy, spajanie brzegów, wygładzanie, złobienie szczeliny, aż powstał otwór na tyle szeroki, aby pomieścić jej dłoń.

Przyjrzała się swojemu dziełu – tak, prosta, surowa podstawa – pozostawiając glinę, aby trochę podeschła, po czym wycięła okrągłe wgłębienia po bokach. Przejście od szyi do czaszki.

Zajęła się teraz przednią częścią rzeźby, powoli kształtując podbródek i szyję. To samo powtórzyła z drugiej strony, z subtelnymi zmianami z powodu obrażeń i upływu czasu.

Znów wstała i obeszła stół, przyglądając się niedokończonym twarzom i szkicom.

Usiadła i kciukiem ściągnęła w dół lewy oczodół.

– No to zaczynamy – mruknęła i zaczęła rolować maleńką kulkę gliny. – Nie wiem, co chcę udowodnić, ale zaczynamy.

Gałki oczne, kąciki oczu, powieki – ukształtowała za pomocą palców i dłut.

Jak to miała w zwyczaju, przeskakiwała od jednego fragmentu rysów do drugiego, zaznaczając z grubsza oczy, przechodząc do nosa, podbródka, uszu i z powrotem. Przerzucając się z jednej twarzy na drugą, zgodnie z tym, czego domagały się jej umysł i dłonie.

Usta, kiedyś tak idealne, z nutą samozadowolenia, teraz miały uniesiony kącik. Nie w uśmiechu, pomyślała, dodając glinę, nadając mu kształt dłutem i popychając w górę kciukiem, a potem pozostałymi palcami.

Zdeformowane, tak, zdeformowane, ale to gorycz sprawiała, że te usta twardniały.

Śnieg wciąż padał i Simone pracowała w ciszy. Dziś nie włączyła muzyki, nie było żadnego dźwiękowego tła.

Jedynie glina, która poddawała się jej dłoniom, kształtowała się, formowała.

Poczuła to, prawdziwe jak życie, jeszcze zanim wróciła do oczu. To była anatomia, oczywiście, z fałdami skóry, woreczkami łzowymi, zmarszczkami. Jednak w tych oczach zawsze było życie, wyraz otwierający okna duszy. Myśli i uczucia jednej tylko chwili albo całego życia objawiały się w oczach.

A tu, w twarzy ślicznej nastolatki, oczy błyszczały pewnością siebie graniczącą z arogancją. U kobiety odbijały się w nich nie tylko horror i strach jednego wieczoru, ale również to, jak zmienił on twarz, umysł i serce tej, która je przeżyła.

Podczas gdy Simone pracowała, to samo robiła Patricia Hobart.

Za jej oknem też padał śnieg, gdy zbierała informacje o kimś innym, kto przeżył.

Miała już dość Toronto, chciała zmienić otoczenie, przenieść się w inne miejsce. Właśnie to oferował jej Bob Kofax.

Tamtego wieczoru był ochroniarzem w galerii handlowej i oberwał dwie kule. Jego historia, to jak przeżył, ściągnęły na niego większe zainteresowanie mediów niż Patricia uznawała za właściwe. Na dodatek żerował – w jej mniemaniu – na nieszczęściu jej brata, pracując nadal w galerii.

To był dla niej policzek!

Wyglądało na to, że utrzymanie się przy życiu Bob uznał za przesłanie od siły wyższej, aby wykorzystać ten dar, pomagając ludziom w potrzebie, z wdzięcznością zaczynając i kończąc każdy dzień. Wiedziała o tym, bo obwieścił to na swojej stronie na Facebooku.

Częścią wykorzystywania daru życia miało być świętowanie jego pięćdziesiątych urodzin z żoną i dwojgiem dzieci, z których jedno było gejem „żonatym” z drugim gejem, co obrażało każdą cząstkę istoty Patricii. Na domiar złego adoptowali jakiegoś azjatyckiego dzieciaka. Przynajmniej drugi syn ożenił się z kobietą i miał kilkoro prawdziwych dzieci.

Cała cholerna rodzina zamierzała urządzić wielki jubel, przez tydzień bawiąc

na Bermudach. Ich strony na Facebooku zawierały wszystkie szczegóły, których potrzebowała, w tym – na miłość boską! – odliczanie dni.

Pięćdziesiąt lat Bob miał ukończyć dziewiętnastego stycznia.

Po namyśle Patricia wybrała dla siebie tożsamość i wygląd, zarezerwowała lot i luksusowy pokój w tym samym ośrodku wypoczynkowym.

Potem przeszła do rozrywkowej części planu, obmyślając najlepsze sposoby zabicia Boba, zanim ten dobiegnie pięćdziesiątki.

Dwa dni przed Bożym Narodzeniem dom CiCi został ozdobiony światłami tak bogato, że w bezchmurną noc jego blask widać było aż na lądzie. Na choince wisiała armia świętych mikołajów, mityczne stworzenia, bogowie, boginki i ręcznie malowane bombki.

Ogień trząsał radośnie na kominku. O zmierzchu w środku zapłonęły dziesiątki świec, a na zewnątrz szklane lampiony. Firma cateringowa przygotowywała ucztę, gdyż co roku na święta CiCi urządzała w swoim domu dzień otwarty.

Wigilię rezerwowała dla siebie i Simone, a Boże Narodzenie dla rodziny. Jednak ten wieczór, przeznaczony dla mieszkańców wyspy, był jednym z jej ulubionych w roku.

A jeszcze zyskał na uroku, gdy otworzyła drzwi przed Mi.

– Wesołych świąt i wszystkiego innego. – Mocno ją przytuliła i wzięła od niej bagaż.

– CiCi, twój dom wygląda cudownie. Tak jak i ty.

– Tak się cieszę, że cię widzę. Zabierzmy twój płaszcz i torby. Dam ci drinka.

– Jest dopiero druga po południu.

– To Boże Narodzenie! Przygotujemy mimosy <sup>12</sup>. Możesz jedną zanieść na górę do Simone i ściągnąć ją na dół, żebym przez chwilę miała przy sobie swoje dziewczyny. Sądzę, że ukrywa się w studiu, żebym nie zawracała jej głowy tym, w co ma się ubrać na wieczór. A co u twojej rodziny?

– Wszystko bardzo dobrze. – Mi ściągnęła czapkę z równo obciętych włosów.

– CiCi, Nari się zaręczyła, a właściwie zaręczy się jutro wieczorem. Wszyscy o tym wiedzą oprócz Nari. On – James – poprosił ojca o jej rękę i poważnie za to zapunktował. James oświadczy się w Wigilię.

Chłopak z Bostonu okazał się wytrwały, pomyślała CiCi, przystając z butelką szampana w ręce. – Czy ona go kocha?

– Kocha go.

– W takim razie wypijemy za jej szczęście. – CiCi wyjęła korek, który wysunął się z radosnym pyknięciem. – A co z tobą? Ktoś wpadł ci w oko?

– Hm. Ktoś wpadł, ale... – Wzruszyła ramionami. – Nikt nie zdobył przy tym serca i umysłu.

– Upieraj się przy tym. Seks jest łatwy. Miłość skomplikowana. A teraz zabierz to do Simone, spędźcie razem trochę czasu, a potem sprowadź ją na dół. Wypijemy razem kolejnego drinka, poplotkujemy, a potem zrobimy się na bóstwa.

Mi wbiegła na górę z kieliszkami w obu rękach.

Kiedy weszła do studia, w którym muzyka zagłuszała odgłos jej kroków na schodach, ujrzała przyjaciółkę pokrywającą rzeźbę warstwą czerwonej farby.

Naga kobieca postać płynnie odginała się w tył, niemal tworząc okrąg od stóp do czubka głowy. Trzymała napięty łuk ze strzałą skierowaną prosto w górę.

Siła i wdzięk, pomyślała Mi. I piękno. To samo mogłaby powiedzieć o swojej przyjaciółce. Simone miała włosy – ciemnobrązowe z czerwonymi pasemkami – splecione w krótki warkocz, dzinsy z dziurami na obu kolanach ubrudzone gliną i farbą, równie utyłaną bluzę z przetartymi rękawami do łokcia, a paznokcie u jej gołych stóp były pomalowane na ciemnoniebiesko.

Mi poczuła przyływ serdecznego uczucia. Pomyślała, że wszystko jest takie, jak być powinno i doświadczyła lekkiego ukłucia zazdrości z powodu swobodnego artystycznego stylu Simone.

Simone odstąpiła krok w tył, przechyliła głowę, żeby przyjrzeć się swojej pracy i dostrzegła Mi.

Pisnęła (ten dźwięk CiCi usłyszała piętro niżej i uśmiechnęła się) i rzuciła

pędzel, rozpryskując czerwoną farbę.

– Przyjechałaś!

– I przyniosłam mimosy.

– Jesteś ważniejsza od tuzina koktajli. Nie mogę cię przytulić. Cała jestem w farbie.

– Och, pieprzyć to. – Mi odstawiła kieliszki na bok i objawszy Simone, zakręciła nią w koło. – Stęskniłam się za tobą.

– Ja za tobą też. – Westchnęła głęboko. – Teraz już może być Boże Narodzenie.

– Wypijmy za to. Albo ja wypiję, a ty dokończysz to, co teraz robisz.

– Już skończyłam.

– Kto to jest?

– *Łuczniczka*. To właścicielka sklepu, którą zobaczyłam w Sedonie w Arizonie. Miała w sobie tę... śmiałość i spokój.

– Uchwyciłaś to.

– Tak myślisz? No cóż. – Simone sięgnęła po kieliszki.

– Uwielbiam ten pokój – powiedziała Mi, biorąc od niej kieliszek. – Jest tak bardzo twój. Tak bardzo inny od mojego laboratorium... które jest tak bardzo moje. No proszę. – Ścisnęła dłoń Simone i zaczęła się rozglądać. – To jest zainspirowane twoją podróżą na zachód?

– Tak, w większości. Wysłałam kilka prac do mojej agentki, żeby wiedziała, w jakim kierunku zmierzam. W każdym razie...

– Ta wygląda znajomo – zauważyła Mi, opuściła dłoń z kieliszkiem i odwróciła się. – Czy to Tiffany? Nie myślałam o niej od lat, ale...

– Tak.

Zaciekawiona Mi podeszła bliżej i przechyliła głowę.

– Po drugiej stronie jest twarz?

– Możesz ją podnieść. Jest dokończona.

Mi podniosła rzeźbę i ostrożnie ją odwróciła.

– Och. Rozumiem.

– Dawna i obecna. Powinnam była ją schować – stwierdziła. – Nie chcemy tu tych wszystkich niszczących nastrojów rzeczy.

– Nie, poczekaj! Dlaczego? Dlaczego Tiffany?

– Wpadłam na nią kilka tygodni temu. – Simone wzruszyła ramionami. – To bardzo dziwne. Sytuacja się odwróciła. Kiedyś byłam absolutnie przekonana, że ta dziewczyna... – Przesunęła palcem po czole bez zmarszczek, po gładkim policzku. – Ta dziewczyna zniszczyła mi życie. Ukradła chłopaka, którego kochałam, i byłam pewna, że wyjdę za niego za mąż i będę z nim żyła długo i szczęśliwie. Widziałam w niej przyczynę swojego nieszczęścia. Boże, Mi. Miałam szesnaście lat.

– Szesnaście. – Mi objęła Simone w pasie. – A jednak ta dziewczyna była podłą, przebiegłą dziwką.

– To prawda.

– Odwrócenie sytuacji oznacza, że teraz ona uważa, że zniszczyłaś jej życie? Obwinia cię? Jak to?

– Wyszłam z tego cało. – Simone przesunęła palcami po drugiej twarzy. – Ona nie.

– Należy za to winić JJ'a Hobarta. Co ona ci powiedziała, Sim?

– Widzisz tę twarz? Nie tylko deformacje.

– Masz na myśli gorycz i gniew? Oczywiście, że widzę. Jesteś geniuszem, jeśli chodzi o ukazywanie ludzkiego wnętrza. – Mi wzięła łyk drinka i przybrała odpowiedni ton głosu. – A więc nadal jest podłą, przebiegłą dziwką.

Simone roześmiała się i poczuła, jak lepkie, ściskające gardło macki stresu odpadają.

– Tak. O Boże, tak.

– Tragedia niekoniecznie musi nas zmieniać. Myślę, że częściej wydobywa z nas więcej tego, kim jesteśmy czy zawsze byliśmy. – Mi powoli odwróciła zgorzkniałą glinianą twarz i odstawiła na półkę. – Tiffany zawsze taka była.

Niedbałym gestem Mi uniosła kieliszek, wznosząc toast.

– Może nie jest tak idealnie piękna, jak kiedyś – jeśli chodzi

o powierzchowność. Ale żyje, a wielu zginęło. Prawdopodobnie żyje dzięki tobie. Jak ja. Nie kręć głową przed doktor Jung. Straciłam dużo krwi. Jeszcze dziesięć, piętnaście minut i nie przeżyłabym.

– Nie rozmawiajmy o tym.

– Nie, porozmawiajmy. Tylko przez chwilę, bo mam ci coś do powiedzenia. A to? To, co uczyniłaś z Tiffany – jak ona, u diabła, ma na nazwisko?

– Bryce.

– Pamiętasz. Ja nie. To też coś mówi. To, co uczyniłaś ze swoją sztuką, wiele znaczy.

– Naprawdę?

– O tak. Nie chodzi o to, kim ona jest, Sim, ale kim ty jesteś. My wszyscy przeżyliśmy i jesteśmy teraz tym, kim jesteśmy. Cokolwiek masz w sobie, dzięki czemu stworzyłaś ją z gliny, zawsze w tobie było. Ta szesnastolatka, która sądziła, że jej świat się zawalił, bo jakiś napalony palant, który nie był wart jej czasu – tak, może pójdę do piekła za złe słowa o zmarłym, ale on był napalonym palantem – mogła pograć się w bólu i z rozgoryczenia odrzucić swój talent.

Mi odwróciła się w stronę rzeźby.

– A w tej twarzy widzę kogoś rozgoryczonego, kto odrzuca dar życia i wini innych. Straciliśmy przyjaciółkę, Sim, i to wciąż boli. Nigdy nie przestanie boleć. Ale ty przywróciłaś jej życie, uczciłaś życie, które miała, a nawet to, które mogła mieć, w tej cudownej rzeźbie, która stoi na dole, również w innych.

– No nie wiem... – Simone niepewnie zaczerpnęła powietrza. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Nigdy się tego nie dowiesz. A ja? Skierowałam swoje umiejętności, swoją sztukę, jak sądzę, na to, aby znaleźć sposoby na łagodzenie bólu, cierpienia, poprawę jakości życia. To nie czyni nas wyjątkowymi, ale dzięki temu jesteśmy tym, kim jesteśmy. Jesteśmy lepsze niż cholerna Tiffany Bryce, Sim. Zawsze byliśmy.

Simone znów zaczerpnęła powietrza i powoli je wypuściła. A potem westchnęła:

– O rany.

– Powiedziałaś to wszystko poważnie, każde słowo, również o martwych czy żywych palantach. Powinnaś je sobie przypominać za każdym razem, kiedy spojrzysz na te dwie twarze. Pieprzyć tę sukę, Simone.

Marszcząc brwi, Simone ostatni raz przyjrzała się popiersiu.

– Może mi być przykro z powodu tego, co jej się stało – nikt na to nie zasługuje – ale czy nadal mogę jej nienawidzić?

– Tak!

– Nie wiem, dlaczego o tym nie pomyślałam. Nawet kiedy formowałam dłońmi te dwie twarze, nie przyszło mi to do głowy.

– Po to są przyjaciele.

– Tak, najlepsza na świecie przyjaciółka, znalazłaś odpowiedź na pytanie, której ja nie potrafiłam dostrzec. Tak. Pieprzyć tę sukę. A teraz zejdzmy na dół i napijmy się jeszcze szampana. Będę go potrzebować, żeby bawić się aż do świtu.

– Uwielbiam przyjęcia CiCi. – Kiedy wychodziły, Mi odwróciła się do Simone z radosnym uśmiechem. – Specjalnie na ten wieczór kupiłam nową sukienkę. Jest zabójcza.

– A niech cię. Teraz ona nie da mi spokoju, a nawet gorzej. To też pieprzyć – zdecydowała Simone. – Zaryzykuję. Pozwolę jej wybrać mój strój.

Zachwycona Mi trąciła ją w ramię.

– To dopiero będzie zabawa!

CiCi już wybrała strój, ponieważ kupiła go i powiesiła w swojej szafie, mając zamiar namówić Simone, żeby go włożyła.

Po sporej porcji szampana i plotek zaciągnęła dziewczyny do swojej łazienki na makijaż i przygotowanie fryzur. Dla Mi zarządziła elegancką i seksowną, po czym użyła lokówki, aby swojej nietypowo skłonnej do współpracy wnuczce stworzyć na głowie burzę loków.

Pochwaliła sukienkę Mi – czerwoną, z odkrytymi ramionami, wąską talią



i krótkim, szerokim dołem i czekała, aż Simone wciągnie na siebie ciemnoniebieską.

Długie rękawy i długość do kolan mogły robić wrażenie skromności, ale głębokie dekolty z przodu i z tyłu w kształcie litery V, rozcięcie wzdłuż prawej nogi sugerowały coś przeciwnego – zwłaszcza że suknia leżała na Simone jak druga skóra.

– To dlatego wczoraj dałaś mi niebieski lakier do paznokci.

– Dobrze pasuje – przyznała CiCi i wyjęła kolejną broń. – Zwłaszcza z nimi.

Sandały w metalicznym niebieskim kolorze, z pasków od palców do kostek, na wysokich, cienkich, srebrnych obcasach.

– Seksowna cyganeria – oznajmiła CiCi.

– Są boskie. – Simone usiadła, zapięła je i wstała. – Mogę potem utykać tygodniami, ale są tego warte.

– Wesołych świąt. – CiCi sięgnęła po aparat fotograficzny. – Stańcie do zdjęcia, dziewczyny.

Kiedy przybrały afektowaną pozę, pomyślała, że namaluje je jako młode syreny.

– Cholera, przyszedł facet od cateringu. Bizuteria! Mi – delikatna. Simone – artystyczna i odrobinę przesadna. Ruszajcie!

Z burzą powiewających wściekle czerwonych włosów CiCi wybiegła z pokoju, pozostawiając je wśród wirujących spódnic i sznurowanych bucików.

– Jak ona to robi? – zapytała Mi.

– Nie wiem, ale kiedy będę w jej wieku, mam zamiar wyglądać równie dobrze, poruszać się równie szybko i żyć równie mocno jak ona. Przymierzmy kolczyki i zejdźmy na dół, żeby jej pomóc.

Wiał ostry wiatr, temperatura spadała, ale dom CiCi wypełniał się gośćmi. Zjawili się stali i sezonowi mieszkańcy wyspy. Ludzie ze świata sztuki i muzyki mieszały się z miejscowymi nad ciasteczkami z homarem, kebabem z krewetkami i szampanem.

Niektórzy wylegli na taras, na którym stały przenośne grzejniki. Muzyka

płynęła z głośników, chyba że ktoś utalentowany miał ochotę sięgnąć po gitarę czy keyboard i poimprowizować.

CiCi krążyła wśród gości, ciesząc się każdą chwilą, chociaż wypatrywała jednej szczególnej osoby. Kiedy go dostrzegła, podeszła do Simone.

– Kochanie, czy mogłabyś pobiec na górę? Chyba zostawiłam w sypialni płonąca świecę. Nie chciałabym puścić domu z dymem.

– Jasne. Cudowne przyjęcie, CiCi.

– Nigdy nie urządzam innych.

Podczas gdy jej piękna wnuczka udała się na piętro z fałszywą misją, CiCi ruszyła prosto do Reeda. Na jej widok uśmiechnął się szeroko.

– Zapowiedziałś, że to będzie przyjęcie nad przyjęciami. Nie kłamałaś. Wesołych świąt. – Podał jej torebkę z prezentem.

– Jesteś słodki. Położę ją pod choinką. – Ucałowała go i pogładziła dłonią rękaw jego ciemnoszarej marynarki. – I przystojny.

– Musiałem się wystroić na przyjęcie nad przyjęciami. Wyglądasz fantastycznie. Może po przyjęciu ucieklibyśmy do...

CiCi uśmiechnęła się, kiedy urwał, a jego flirciarska mina zmieniła się w wyraz osłupienia. Nie musiała patrzeć w tamtą stronę, żeby wiedzieć, że Simone właśnie schodziła po schodach, dokładnie tak, jak to dla niej zaplanowała.

Reed znał Simone – oczywiście znał jej twarz. Przyglądał się jej tak jak wielu innym w swoim archiwum. Znał ją również z fotografii artystycznie rozstawionych w domu CiCi, obrazu, który wywołał w nim lekkie pożądanie i rozpałił ciekawość.

To jednak było dzieło sztuki, a tamto fotografie, zeznania świadków, kilka telewizyjnych wywiadów.

Tu miał przed sobą żywą kobietę, która sprawiła, że przez dobrych dziesięć sekund nic do niego nie docierało i przez szum w głowie przebiło się jedynie pełne oszołomienia „och”.

Kiedy ruszyła prosto do niego, szum w głowie stał się głośniejszy.

– Wszystko w porządku – odezwała się bogini.

– Dziękuję, kochanie. To jest Reed, wkrótce komendant policji na wyspie i jeden z ulubieńców w moim obecnym i wszystkich pozostałych życiach. Reed, to mój najcenniejszy skarb, moja Simone.

– Reed, oczywiście. – Te usta, cudowne usta wygięły się w cudownym uśmiechu. Głos był jak delikatna mgła nad czarodziejskim jeziorem. – Bardzo się cieszę, że w końcu cię poznałam.

Ujął dłoń, którą mu podała – czy to poczuła? Poczuła tę gorączkę?

– Ja też – wydobył z siebie.

– Simone, może zaprowadzisz Reeda do któregoś baru i dasz mu drinka. Masz ochotę na piwo, prawda, Smakowity?

– Ach, jasne. Piwo. Doskonale. Świetnie. – O Jezu.

– A więc chodźmy.

Simone gestem wskazała mu drogę i ruszyła przodem, gdy tymczasem Reed próbował się pozbierać. Trochę pomogło mu to, że kilka osób rzuciło mu pozdrowienia, poklepało go po plecach albo żartobliwie trąciło w ramię.

Simone dała znak barmanowi i odwróciła się do Reeda, żeby porozmawiać, czekając na jego piwo.

– A więc kupiłeś dom Dorchetów?

– Tak. Wprowadzam się tam na stałe po nowym roku.

– To wspaniały dom.

– Byłaś tam? Oczywiście, że byłaś – dodał od razu. – Kompletnie się w nim zakochałem.

– Trudno cię winić. Ten...

– Taras na dachu – powiedzieli jednocześnie.

Roześmiała się śmiechem CiCi i powiedziała:

– Właśnie.

W tym momencie Reed poczuł, że zaczyna wracać do równowagi.

Wziął piwo i postanowił wykorzystać szansę.

– Pewnie jesteś zajęta, ale czy mogłabyś poświęcić mi chwilę?

– Jasne.

Wyprowadził ją z tłumu przy barze w luźniejsze miejsce po drugiej stronie ogromnego pokoju.

– Chciałem powiedzieć, że odkąd spędzam czas z CiCi, wiem trochę więcej o sztuce.

– Ona bardzo cię lubi.

– Zakochałem się w niej.

Simone się uśmiechnęła.

– Witaj w klubie.

– Otworzyła przede mną drzwi, przez które sam bym nie wszedł. W każdym razie nadal nie wiem wiele o sztuce, ale tamta rzeźba? – Gestem wskazał *Wynurzenie*. – Gdyby kiedykolwiek było mnie stać na dzieło sztuki, a ona nie należałaby do CiCi, byłaby moja.

Przez chwilę Simone się nie odzywała, ale sięgnęła po kieliszek szampana z tacy przechodzącego obok kelnera.

– Dlaczego?

– Cóż, jest piękna, ale przede wszystkim patrząc na nią, widzę dowód życia. To dziwnie brzmi.

– Nie. To doskonałe określenie.

– Byłem tam wtedy.

Simone powoli skinęła głową, nie odrywając wzroku od rzeźby.

– Nie chcę w to wnikać. Jesteśmy na przyjęciu. Mówię to, bo nie jestem pewien, czy dociera do mnie głębiej, gdzieś głębiej, dlatego, że tam byłem. Widziałem inne twoje prace – CiCi zaprowadziła mnie na górę do twojego studia, poza tym tu i tam oglądałem inne rzeźby. Wszystkie są, no wiesz, magiczne. Jednak ta, jak by to powiedzieć, chwyta mnie za gardło i trafia prosto w serce.

Upił łyk piwa.

– W każdym razie.

– Zostałeś postrzelony. – Spojrzała na niego, prosto w oczy. – Nie wtedy,

a tego lata. Ale te sprawy się łączą.

– Tak.

– Jak się czujesz?

– Stoję tu z piękną kobietą i popijam piwo. Powiedziałbym, że cholernie dobrze.

– Poczekasz chwilę?

– Okej.

– Po prostu poczekaj. Zaraz wrócę.

Reed patrzył, jak Simone odchodzi, i zrobił wewnętrzny przegląd. Jego serce wydawało się znów bić normalnie, a umysł w pełni funkcjonować. To tylko osobliwa reakcja, stwierdził. Po prostu jakiś dziwny wstrząs i teraz już jest lepiej.

Wtedy zobaczył, jak ona wraca, poczuł ten sam wstrząs i przeżył drugie tego wieczoru „och”.

Prowadziła ze sobą ładną kobietę w czerwonej sukience. Jej twarz również znał.

– Mi, to jest Reed.

– Cześć, Reed.

– Mi-Hi Jung. Doktor Jung – uzupełniła Simone.

– Mi. – Uśmiechając się szeroko, Mi wyciągnęła do niego rękę. – Miło cię poznać.

– Reed kupił dom Dorchetów – ten pod lasem, z tarasem na dachu.

– Och, to piękny dom.

– Zostanie nowym komendantem policji na wyspie. Był detektywem – wciąż chyba jest – w Portland.

– Już nie – wyjaśnił, przywitawszy się z Mi.

– Był tam tamtego wieczoru. – Simone nie musiała wyjaśniać, o jaki wieczór chodzi. Wiedzieli. – Wszyscy troje tam byliśmy. To dziwne, prawda? Wszyscy tam byliśmy. A teraz jesteśmy tutaj. Reed został policjantem. Mi jest lekarzem, naukowcem, inżynierem biomedycznym. A ja... – Spojrzała w kierunku rzeźby.

– Czy zostałeś gliniarzem z powodu tamtego wieczoru?

– To mnie popchnęło w tę stronę. To i Essie. Essie McVee.

Simone wbiła w niego intensywne spojrzenie.

– Funkcjonariuszka McVee. To ona mnie znalazła. Ona pierwsza się zgłosiła.

Znasz ją.

– Tak. To moja bliska przyjaciółka. Przez kilka ostatnich lat moja partnerka.

– Teraz sobie przypominam – odezwała się Mi. – Złapałeś tego małego chłopca i ukryłeś go w bezpiecznym miejscu. Wtedy nie byłeś policjantem.

– Nie. Studiowałem. Pracowałem w restauracji Mangia.

– Tamtego wieczoru nie zostałeś ranny – przypomniała Simone. – Później tak. Mi była ranna. Gliniarz i naukowiec. Mi, powiedziałaś, że tragedia mocniej wydobywa z nas to, kim jesteśmy. Wybaczcie.

– Zdenerwowałem ją – powiedział Reed, kiedy Simone odeszła.

– Nie. – Mi położyła mu dłoń na ramieniu, spoglądając za przyjaciółką. – Nie, naprawdę nie. Zdenerwowana byłaby chłodna albo by wrzała. Teraz myśli i patrzy na coś, na co długo nie chciała patrzeć. – Odwróciła się do Reeda, wręcz promieniejąc. – Nie wiem, co powiedziałaś czy zrobiłaś, ale jeszcze bardziej cieszę się, że cię poznałam.

## ROZDZIAŁ 16

Poważne szkolenie Reeda w nowej pracy rozpoczęło się w styczniu. Wiedział, jak być gliną, jak być śledczym, jak przesłuchiwać podejrzanego, świadka, ofiarę. Jak prowadzić sprawę. Znał procedury i papierkową robotę. Rozumiał znaczenie stosunków ze społecznością lokalną i kontaktów.

Mniej był pewien swoich umiejętności jako administrator czy szef, albo talentów politycznych, zwłaszcza orientacji w polityce na wyspie. Rozumiał też bardzo dobrze, że trafił do tej pracy jako człowiek z zewnątrz.

Robił, co mógł, żeby pozbyć się statusu outsidera. Co rano szedł lub jechał na rowerze do miasteczka, wpadał na kawę i śniadania do Sunrise Café – otwartej cały rok od szóstej rano do dziesiątej wieczorem. Gawędził z kelnerkami, sklepikarzami, w miejscowym sklepie z artykułami żelaznymi kupił swoją pierwszą łopatę do odśnieżania, a kiedy styczeń pokrył wyspę ponadmetrową warstwą białego puchu, wrócił tam i zainwestował w pług śnieżny.

Za radą CiCi wynajął Jaspera Minka, aby zajął się pewnymi rzeczami w domu, które rzeczywiście wymagały naprawy.

Od razu zaprzyjaźnił się z przedsiębiorcą budowlanym, który wyglądał jak Willie Nelson w koszulce zespołu Def Leppard pod flanelową koszulą.

Robił zakupy w lokalnym supermarkecie, wysiadywał na stołku w Drink Up – jedynym barze otwartym zimą – i ogólnie starał się być widoczny i dostępny.

Uczył się zimowego rytmu życia wyspy. Ospałej, stale myślącej o pogodzie, samowystarczalnej i dumnej z tego. Starał się rozmawiać z członkami ochotniczej straży pożarnej, miejscowymi lekarzami, którzy zgarnęli go na

badania. To samo stało się u dentysty.

Ponieważ polityka odgrywała ważną rolę, Reed przybył na swoje pierwsze posiedzenie w ratuszu, wysłuchał skarg na przerwy w dostawie prądu na południu wyspy podczas ostatniego sztormu i obaw dotyczących erozji na północy. Odnotował gorzką wymianę zdań na temat obowiązkowego recyklingu odpadów i tych – wymienionych z nazwiska – którzy stale ignorowali to rozporządzenie.

Nie spodziewał się robić nic więcej poza słuchaniem i notowaniem, więc poczuł ucisk w żołądku, kiedy pani burmistrz wywołała jego imię.

– Wstań, Reed, żeby ludzie mogli cię zobaczyć. Większość z was wie albo powinna wiedzieć, że za parę miesięcy, kiedy Sam Wickett przejdzie na emeryturę, Reed obejmie stanowisko komendanta policji. Podejź tu, Reed, i przedstaw się. Powiedz ludziom trochę o sobie i dlaczego tu jesteś.

Cholera, pomyślał, cholera, cholera. Dostrzegł błysk w oku Hildy. Była mądrym burmistrzem, znała swoich ludzi, miejscową politykę i nie cierpiała głupców.

Lepiej, żeby nie zrobił z siebie głupca w ratuszu.

Wyszedł do przodu sali i przyjrzał się kilkudziesięciu twarzom tych, którzy zechcieli się tu pojawić.

– Jestem Reed Quartermaine, były detektyw departamentu policji z Portland.

– Dlaczego były? – zawołał ktoś. – Wyrzucili cię?

– Nie, proszę pani. Gdyby tak było, nie sądzę, aby pani burmistrz Intz czy rada miejska zaproponowali mi pracę. Myślę, że najlepiej ująć to w ten sposób, że – jak wielu moich znajomych z Portland – często spędzałem lato na wyspie. Podobało mi się tutaj.

– Lato to jedno – odrzyknął ktoś. – A zima drugie.

– Już się o tym przekonałem – odparł Reed i uśmiechnął się. – Kupiłem pług śnieżny od Cyrusa ze sklepu Island Hardware and Paints i nauczyłem się go obsługiwać. Jesienią, kiedy spędzałem na wyspie kilka tygodni, kupiłem tu dom, bo pamiętałem go z czasów dzieciństwa. I kiedy znów go zobaczyłem, kiedy tam



wszedłem, wiedziałem, że musi być mój. Od pewnego czasu szukałem domu i znalazłem go na wyspie, właśnie ten.

– Dom Dorchetów jest bardzo duży dla samotnego mężczyzny. – Kobieta o stalowosiwych włosach splecionych w warkocz spojrzała na niego z powątpiewaniem, jednocześnie dziergając na drutach coś z jaskrawozielonej włóczki.

– Tak, proszę pani, szukam odpowiedniej ilości mebli, żeby zlikwidować echo. Wielu z was mnie nie zna, ale jestem w pobliżu. Komendant Wickett pomaga mi się we wszystkim zorientować, a kiedy odejdzie, zamierzam kontynuować jego politykę otwartych drzwi. Będę robił dla was wszystko, co w mojej mocy. Teraz tu jest mój dom. Wy jesteście moimi sąsiadami. Jako komendant policji zostałem zaprzysiężony, żeby chronić was i tę wyspę. To właśnie mam zamiar robić.

Reed ruszył z powrotem na miejsce, ale zatrzymał się, gdy przysadzisty gość z siwiejącą brodą wstał z pierwszego rzędu.

– Jesteś pan w bliskich stosunkach z CiCi Lennon, prawda?

– Jeśli ma pan na myśli romantyczną relację, mogę tylko odpowiedzieć, że chciałbym.

Jego odpowiedź wywołała lekki śmiech i dała Reedowi trochę czasu, by sięgnąć do pamięci i zidentyfikować pytającego. John Pryor, przypomniał sobie. Stały mieszkaniec, hydraulik, na spółkę z bratem posiadacz kilku pokoiów do wynajęcia na lato.

– Wydaje mi się, że nie dostałbyś pan tej roboty, gdyby CiCi na to nie naciskała.

– Chwileczkę – wtrąciła się Hildy, ale Reed uniósł dłonie.

– W porządku, pani burmistrz. To uczciwe pytanie. Prawdą jest, że nie dowiedziałbym się o tej pracy ani o domu, który miał być wystawiony na sprzedaż, gdyby CiCi mi o tym nie powiedziała. Jestem jej za to wdzięczny, bo obie sprawy trafiłem za jednym strzałem.

– Zostałeś postrzelony w Portland. Może wykombinowałeś, że stanowisko

komendanta na wyspie będzie bezpieczną, ciepłą posadką?

Rozległy się pełne dezaprobaty pomruki, ale wyraz twarzy Pryora jedynie stwardniał.

– Rzecz nie w tym, żebym miał bezpieczną, ciepłą posadkę, John. Chodzi o to, żebym wypełniał swój obowiązek, o zapewnienie bezpieczeństwa ludziom, którzy tu mieszkają, i tym, którzy przyplývają tu w sezonie, zapełniając hotele i pensjonaty. Ty i twój brat – nazywa się Mark, prawda? – jesteście właścicielami jednego z tych pensjonatów. Ładne miejsce – dodał Reed. –

Gdybyście po marcu mieli jakiegokolwiek problemy, zadzwońcie do mnie. Tymczasem jeśli masz jeszcze jakieś pytania, po zebraniu możemy pójść do Drink Up. Postawię ci piwo.

Pryor nie przyjął piwa od Reeda, ale inni owszem, przez cały styczeń, włączając w to jego czterech całorocznych zastępców, dyspozytora i dwóch z trzech zastępców, którzy pracowali od czerwca do września. Trzeci każdej zimy spędzał sześć tygodni na Saint Lucia.

Tylko raz zdarzyło się piwo służące nawiązaniu kontaktu – wypił je z jedyną kobietą wśród swoich zastępców. Matty Stevenson cztery lata służyła w armii, trzy kolejne w policji w Bostonie, po czym wróciła na wyspę, gdzie się urodziła. Przez osiemnaście miesięcy była pełnoetatową opiekunką swojej owdowiałej matki, gdy ta zachorowała na raka piersi. Potem Matty została pierwszą kobietą na stanowisku zastępcy komendanta policji i zajmowała je już dziewięć lat.

Jej matka, od dziewięciu lat zdrowa, była właścicielką sklepu z pamiątkami na wyspie, który sama prowadziła.

Matty usiadła naprzeciw Reeda przy dwuosobowym stoliku. Miała krótkie, proste włosy w odcieniu popielatego blondu i niebieskie, twardo spoglądające oczy. Tego dnia włożyła flanelową koszulę, brązowe wełniane spodnie i mocne buty Wolverine.

Reed zebrał o niej informacje, zarówno rozmawiając z ludźmi, jak i czytając akta. Wiedział więc, że po burzliwym małżeństwie i rozwodzie „zaprzyjaźniła

się” albo „zaczęła się widywać” z długoletnim kawalerem Johnem Pryorem.

Nie musiał zbierać informacji, aby zdawać sobie sprawę, że nie była szczególnie zadowolona ze swojego przyszłego szefa.

Postanowił zagrać otwarcie i od razu przejść do rzeczy.

– Jesteś wkurzona, że zatrudniają mnie jako komendanta.

– Przemycili cię od tyłu. Niedługo minie dziesięć lat, jak służę w policji na wyspie. Nikt nawet nie zapytał, czy chciałabym wziąć tę robotę.

– Ja cię pytam.

– Teraz to bez różnicy.

– Pytam cię – powtórzył. – Jeszcze nie jestem komendantem.

– Podpisałeś umowę.

– Tak. A jednak cię pytam. Masz za sobą cztery lata służby w wojsku, kilkanaście w policji i od dawna mieszkasz na wyspie. Prawdopodobnie jesteś bardziej kompetentna ode mnie.

Odchyliła się i skrzyżowała ręce na piersi.

– Jestem bardziej kompetentna.

– Jak sądzisz, dlaczego nie zaproponowali ci tego stanowiska?

– Jesteś facetem. Oberwałeś parę kul. Jesteś jednym z bohaterów z DownEast.

Reed wzruszył ramionami.

– To wszystko prawda – z wyjątkiem tego, że „bohater” to głupie słowo w kontekście tego, co się wtedy wydarzyło. Służyłaś w Iraku. Dostałaś Purpurowe Serce. W tym przypadku słowo „bohater” nie brzmi głupio. Jestem facetem – powtórzył za nią. – Mówisz, że twoim zdaniem pominęli cię, bo nim nie jesteś?

Matty otworzyła usta. Potem zamknęła. Podniosła szklanę i upiła trochę piwa.

– Chciałabym powiedzieć, że tak. Chciałabym, bo nigdy nas o niczym nie uprzedzali. Komendant nie powiedział nam, że ma zamiar przejść na emeryturę, dopóki sprawa nie została załatwiona. Poszłam z tym także do Hildy, prosto do niej. W liceum spotykałam się z jej bratem, cholera jasna.

Znow upiła łyk piwa.

– Mimo to nie mogę powiedzieć, że tak, bo nie mam zwyczaju kłamać.

– A zatem dlaczego?

– Już wiesz dlaczego.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Mam wybuchowy charakter. Kilka razy byłam karana dyscyplinarnie – w armii, Bostonie, tutaj też. Ale nie w ostatnich latach. Nie po tym, jak już pozbyłam się tego dupka, za którego wyszłam z głupoty. Teraz co rano medytuję.

Reed powstrzymał uśmiech i tylko skinął głową.

– To działa?

Teraz ona wzruszyła ramiona.

– Przez większość czasu.

– Dobrze to słyszeć. Nie obchodzi mnie, z której strony masz guziki przy koszuli.

Matty uśmiechnęła się z satysfakcją.

– To męska koszula – odparła.

– Nieważne. Poza komendantem, który odchodzi, masz za sobą więcej lat służby w policji niż którykolwiek z pozostałych zastępców. Będę musiał na tobie polegać i chcę, żebyś dała mi szansę, zanim przekreślisz mnie jako jełopa, który sprowadził się na wyspę.

– A co, jeśli dojdę do takiego wniosku po tym, jak dam ci szansę?

– Wtedy nie przetrwam długo jako komendant.

Matty zastanowiła się.

– Uczciwa propozycja.

– Okej. Jeszcze jedno. Jeśli będę potrzebował hydraulika i zadzwonię do Johna Pryora, będzie ze mną zadzierał?

Teraz ona parsknęła śmiechem.

– Nie powinien był cię denerwować na tym spotkaniu.

– Aż tak bardzo mnie nie zdenerwował.

– Tak czy inaczej nie powinien. Przez to oboje wyszliśmy na wrednych dupków. A mieszając w to CiCi, wyszedł na jeszcze większego dupka. Odpowiedź brzmi: nie. Jest zbyt dumny ze swojej pracy.

– To też dobrze wiedzieć.

Rozmyślając o CiCi, w następny wolny od pracy dzień podjechał do jej domu. Kiedy nie otworzyła, obszedł budynek dookoła, tak jak zwykle to robił, w stronę jej pracowni.

Przez szybę zobaczył obrazy, ale nie artystkę.

Poczuł lekkie ukłucie niepokoju i wytłumaczył sobie, że jako gliniarz zawsze spodziewa się najgorszego, jednak poszedł do tarasu. Pomyślał, że sprawdzi, czy drzwi są otwarte, wejdzie do środka i zawoła.

Wtem dostrzegł kobietę siedzącą na skałach na ośnieżonej plaży.

Zszedł w dół, z radością czując na twarzy wiatr, słysząc fale uderzające o brzeg i ciesząc się ich widokiem. Zimowym błękitem tak ostrym jak niebo nad głową.

Usłyszała go i odwróciła głowę. Ta twarz, pomyślał. Ten cios znienacka prosto w pierś.

Wspiął się na skałę i usiadł obok Simone.

– Niesamowity widok – powiedział.

– Mój ulubiony.

– Tak, mój też.

Miała szyję owiniętą szalem w kilku jaskrawych kolorach, a na głowie jasnoniebieską czapkę.

Wyglądała barwnie i wyraziście, pomyślał Reed, wręcz fantastycznie.

– CiCi nie ma – poinformowała go. – Wybrała się z kimś na kilka dni do spa. Zdecydowała pod wpływem chwili.

– Byłem ciekaw, co się dzieje, kiedy nie otworzyła. Jej samochód stoi przed domem. Twój też.

– Rano zawiozłam ją na prom. Przyjaciel odebrał ją na drugim brzegu.

- On? Ha! – Reed uderzył się w pierś. – Złamała mi serce.
- Przyjaźnią się od lat. On jest gejem.
- Jednak nadzieja nie umiera. – Zamilkł na chwilę, ciesząc się widokiem jej uśmiechu. – Nie przeszkadzam ci?
- Nie. Słyszałam o tamtym spotkaniu. Podobno dobrze sobie poradziłeś.
- Ludzie potrzebują czasu, żeby do mnie przywyknąć, ocenić, czy sprawdzę się na tym stanowisku, czy okażę się beznadziejny.
- Nie sądzę, że będziesz beznadziejny.
- Nie będę, ale muszą mieć szansę to stwierdzić.
- Większość mieszkańców wyspy cię lubi. Z tego, co słyszę.
- Jestem facetem, który daje się lubić. – Posłał jej uśmiech, aby to udowodnić.
- Mógłbym nawet okazać się sympatyczny. A ty?  
Odwróciła wzrok i zapatrzyła się na wodę.
- Nie sądzę, żeby dobrze wychodziło mi bycie sympatyczną.
- Nie, chodzi mi o mnie. Porozmawiajmy o mnie. Twoim zdaniem dają się lubić?  
Znow odwróciła głowę i posłała mu długie spojrzenie tygrysiich oczu.
- Prawdopodobnie. Tak naprawdę cię nie znam.
- Mógłbym zaprosić cię na kolację. W Sunrise podają dziś pieczeń rzymską, ale jest też Mama's Pizza.  
Simone pokręciła głową.
- Robię sobie teraz przerwę, ale wieczorem mam zamiar pracować. – Głęboko wciągnęła w płuca ostry wiatr. – Zimno mnie przenika.  
Kiedy się podniosła, Reed zszedł niżej i podał jej rękę.
- Chodzi o pieczeń rzymską, prawda? – powiedział, wywołując jej śmiech.
- Do pewnego stopnia, ale naprawdę zamierzam pracować. Jednak najpierw potrzebowałam trochę powietrza. Żeby... przewietrzyć umysł.
- O ile problemem nie jest to, że ja cię zapraszam.  
Simone przechyliła teraz głowę i spojrzała w górę.
- Nie wiem, czy tak jest, bo właściwie cię nie znam. I ponieważ w ostatnich

miesiącach postanowiłam nie umawiać się z przedstawicielami twojej płci.

– Hej, ja też – z przedstawicielkami twojej! Uważam, że mamy sporo do nadrobienia.

– Dlaczego?

– Ponieważ – odparł, kiedy brnęli wyboistą ścieżką w śniegu, który odgarniali w zasy – czasami trzeba przerwać post.

– No nie... Dlaczego pościsz?

– Och. – Doszedł do wniosku, że kobieta nie odtrąca faceta, jeśli, ogólnie mówiąc, nie przerywa rozmowy. – No cóż, zostałem postrzelony, musiałem się nad tym przez chwilę zastanowić, ponarzekać. Przypląnąłem tutaj, poznałem oszałamiającą CiCi, zmieniłem swoje życie. Nie mam zbyt wiele czasu na pieczeń w damskim towarzystwie. A ty?

– Nie jestem pewna. Brak zainteresowania. Być może również SDS.

– SDS?

– Strefa Dumania Simone. Czasami tam przebywam. Ale powiedziałabym, że przede wszystkim chodzi o brak zainteresowania.

– Potrafię być równie interesujący, jak sympatyczny. – Ruszył z nią na schody prowadzące z plaży do domu. – Mógłbym je dla ciebie oczyścić ze śniegu.

– To jest życzliwość. Doceniam ją, ale do wieczora spadnie jeszcze kilkanaście centymetrów.

– Czy masz wszystko, co potrzebne, na wypadek gdyby przybyło go jeszcze więcej? Jedzenie, picie... Przepraszam – powiedział, słysząc sygnał w telefonie.

– Będę przechodził obok... – Urwał i z uwagą odczytał wiadomość. – Tak czy inaczej będę przechodził obok supermarketu, więc...

– Co to znaczy? Znam się na twarzach – stwierdziła, kiedy dotarli do tarasu. – Umiesz zachować pokerową twarz, a może to twarz gliniarza, ale na moment maska opadła. Czy z twoją rodziną wszystko w porządku?

– Tak. To nic w tym rodzaju.

– Znam się na twarzach – powtórzyła. – Powinieneś wejść na kawę.

Przeszła przez taras i otworzyła drzwi.

– CiCi by na to nalegała i byłaby mną rozczarowana, gdybym cię nie zaprosiła.

– Kawa to dobry pomysł. – Tupiąc, otrzepał buty ze śniegu i wszedł do ciepłego domu.

Simone najpierw zwiększyła płomień na kominku, a potem zdjęła płaszcz, czapkę, szalik, rękawiczki i podeszła do ekspresu do kawy. – Zwykłą czy coś specjalnego?

– Po prostu czarną.

– Bardzo po męsku. – Starła się mówić swobodnym tonem. – Dla siebie zwykle przyrządzam latte. Kiedy pierwszy raz przyjechałam do Nowego Jorku, pracowałam w pewnej zapyziałej kawiarni. Ale parzyliśmy doskonałą latte.

– Zdenerwowałem cię wtedy na przyjęciu. Twoja przyjaciółka powiedziała, że nie, ale...

– Mi miała rację, jak zwykle. Nie zdenerwowałeś mnie. Myślałam o czymś, a ty sprawiłeś, że zaczęłam myśleć intensywniej. Byłam szorstka, ale to dlatego, że pogrążyłam się w myślach.

– SDS?

Uśmiechnęła się lekko i wzruszyła ramionami.

– Może na granicy.

Spieniając mleko na swoją latte, zerknęła przez ramię. Reed nie zdjął płaszcza.

– Telefon. Ma z tym coś wspólnego? Z DownEast?

– Czy i ty masz pewne zdolności paranormalne, jak CiCi?

– Nie. To logiczne przypuszczenie. Powinieneś mi o tym powiedzieć. – Odwróciła się, żeby dokończyć przygotowanie kawy. – Jeszcze nie tak dawno temu upewniłabym się, że tego nie zrobisz. Nie mógłbyś. Teraz chcę, żebyś mi powiedział.

Reed zdjął płaszcz, ale milczał, kiedy podała mu kawę.

– Usiądźmy. – Gestem wskazała sofę naprzeciw kominka. – Jesteś pierwszą osobą, którą zaprosiłam do domu i której zaparzyłam kawę, od... Nie pamiętam,



żebym kiedykolwiek to zrobiła. Zastanawiam się dlaczego. Nie sądzę, żeby chodziło o twoją słynną sympatyczność.

– Nie chcę, żeby tak było dlatego, że przeżyliśmy wspólną traumę.

– Jednak po trosze tak jest, prawda? Nikt, kto nie doświadczył tego, co my, tak naprawdę nie zrozumie. Przez lata odsuwałam to od siebie. Nie możesz czegoś zobaczyć, jeśli nie patrzysz, nie możesz słyszeć, jeśli nie słuchasz. Chcesz wiedzieć, dlaczego znów zaczęłam patrzeć i słuchać?

– Tak, chcę.

Simone zmieniła pozycję na sofie i usiadła ze skrzyżowanymi nogami.

– Natknęłam się na swojego szkolnego wroga numer jeden. Była piękną, złocistą blondynką i miała biust. Ja byłam niezgrabną, zwyczajną szatynką.

– Nigdy nie byłaś zwyczajna.

– Właśnie to widziałam tamtego wieczoru w lustrze w toalecie. Myślałam: dlaczego nie mogę być piękna jak Tiffany? Przyszła do kina z chłopakiem, który dopiero co mnie rzucił, bo nie byłam gotowa iść z nim do łóżka. Zawód miłosny, upokorzenie intensywne tak, jak tylko można odczuwać w tym wieku. Świat się dla mnie skończył. I wtedy to się stało. Chłopak, który mnie rzucił, nie żył. Tiffany została postrzelona w tę młodą, piękną twarz. Teraz, po tylu latach, ona staje twarzą w twarz ze mną – w innej toalecie, cóż za bezmierna ironia. Powiedziała mi obrzydliwe rzeczy i z jakiegoś powodu tych kilka minut obrzydliwości sprawiło, że zaczęłam patrzeć i słuchać. Nie jej. Siebie.

– Ja nie mogłem przestać patrzeć i słuchać – powiedział Reed. – Nie sądzę, żeby to była obsesja, ale uczyniłem z tego misję. Śledziłem wszystkie historie, gromadziłem akta. Nigdy nie wydawały mi się wystarczająco dobre czy kompletne. Ci chłopcy ledwie mieli trochę rozumu, a jedyny inteligentny wśród nich? Dlaczego nie szukał dziewczyny, którą obwinił o zrujnowanie mu życia? Musiało w tym być coś więcej i chciałem się dowiedzieć, co to było.

– I miałeś rację – dodała Simone. – Tym „więcej” okazała się Patricia Hobart.

– Tak. To nabrało sensu, w chory, pokręcony sposób, kiedy my... oni – poprawił się – przejrżeli rzeczy, które musiała zostawić, uciekając w pośpiechu.

W tamtym czasie miała piętnaście lat. Już wtedy była psychopatką, i to bardzo inteligentną – dodał. – Zwłaszcza jak na piętnastolatkę. Inteligentną na tyle, aby ukryć swoją prawdziwą naturę. Jednak zanim strzeliła do mnie, zanim to nabrało chorego, pokręconego sensu, śledziłem wszystko. Essie też to robiła. Jednym ze sposobów, których używała – i ja też – był alert. Dostawaliśmy powiadomienia, gdy umierał ktoś, kto był wtedy w centrum handlowym. Z jakiegokolwiek powodu.

Tak więc Simone natychmiast zrozumiała, skąd wziął się tamten wyraz twarzy Reeda.

– Kto umarł?

– Był ochroniarzem w galerii. Tamtego wieczoru oberwał parę kul. Kiedy odzyskał siły, wrócił do pracy. Naprawdę porządny gość.

– Czy... Czy ona go zabiła?

– Uważam, że tak. Jednak na razie nie ma na to dowodów. A ona jest dobra – dodał, gdy wstał i zaczął krążyć po pokoju. – Jest cholernie dobra. Po tym, jak do mnie strzeliła, rozplynęła się w powietrzu. Nie zostawiła śladu. A teraz Robert Kofax nie żyje, bo zaprawiła mu drinka na plaży na Bermudach.

– Na Bermudach?

– Nie wiem, dlaczego tam był, dowiem się tego. Na razie tylko dostałem powiadomienie: jego nazwisko i przyczynę śmierci – wyjaśnił. – Znalazła jakiś sposób, bo to jest jej misja.

– Zabija tych, którzy przeżyli? To nie ma sensu.

– Kończy to, co zaczęła – bo zostawiła za sobą dość dowodów, że to ona za tym stała. Zaplanowała to i nie zrealizowała do końca. Jej brat stał się niecierpliwy. W każdym razie taka jest moja teoria.

Simone straciła trochę koloru na policzkach zaróżowionych od mrozu.

– Mi przeżyła masakrę. Moja matka i siostra. Ja. Ty.

– O Mi trochę pisano, ale nie udzieliła żadnego wywiadu. Ty również. Twoja rodzina nie zwróciła na siebie zbyt wielkiej uwagi. Sądzę, że ona ściga tych, którzy to zrobili. Ale ty i ja? Oboje zadzwoniliśmy pod dziewięćset jedenaście.

Pierwsza i drugi dzwoniący. Powinnaś być ostrożna i możesz mi wierzyć, że będę jej wypatrywał.

Lęk ścisnął żołądek Simone.

– Latem na wyspie są tłumy. Turyści na jednodniowych wycieczkach, ludzie, którzy spędzają tu wakacje, pracownicy sezonowi.

– Będę komendantem policji. Każdy gliniarz i członek służb ratowniczych dostanie jej zdjęcie. Zostaną rozlepione we wszystkich sklepach, restauracjach i hotelach. Na promie. Nie mówię, że ona nie spróbuje się tu dostać, ale myślę, że na razie szuka łatwiejszych ofiar. A jeśli spróbuje tu przyjechać, to żeby najpierw skończyć ze mną. Postrzeliłem tę sukę.

Teraz nie brzmi sympatycznie, pomyślała Simone. Wydaje się surowy, twardy i bardzo, bardzo kompetentny.

– Chyba potrzebuję czegoś mocniejszego niż kawa. – Podniosła się z sofy. – A ty?

– Nie odmówię.

Simone wybrała czerwone wino, pełne, mocno zbudowane, i szczerze nalała je do kieliszków.

– Teraz nie tylko cię zdenerwowałem. Przeraziłem cię.

– Nie sądzę. Właściwie nie wiem, jak się czuję. Zapewne wytrącona z równowagi. Nie jestem odważna. Wtedy też nie byłam.

– I tu się mylisz. Nie uciekłaś z krzykiem, a nie byłoby żadnego wstydu, gdybyś tak zrobiła. Zachowałaś się mądrze. Ukryłaś się i zadzwoniłaś po pomoc. Słyszałem tę rozmowę. Trzymałaś się. To jest odwaga.

– Nie czułam się odważna ani wtedy, ani nigdy później. Jednak... Chodź do mojej pracowni. Chcę ci coś pokazać.

– Na przykład akwaforty?

Simone uśmiechnęła się, już nie była aż tak zdenerwowana.

– Bynajmniej.

– Wciąż nie mam powodzenia u pięknych artystek z tego domu. Muszę wypróbować inną taktykę.

Jednak poszedł za nią.

– Mogę przydzielić ci ochronę – policjantkę – żeby dziś z tobą została, jeśli się boisz.

– Nie, ale dziękuję. W tym domu zawsze czułam się bezpiecznie. Ona nie zrobi ze mnie ofiary kolejny raz. Znam jej ofiary.

W pracowni Reed zobaczył dziesiątki szkiców przypiętych pinezkami do tablicy.

On też znał tych ludzi.

Rozpoznał twarze, których kilka wyrzeźbiła w glinie.

– Zaczęłam od niej. Od Tiffany. – Simone podniosła niewielkie popiersie. – Zrobiłam ją „przed”. – Obróciła rzeźbę. – A potem „po”. Pomyślałam, że będzie to dla mnie coś w rodzaju oczyszczenia. Ale wyszło inaczej. Jesteś jednym z powodów.

Reed patrzył na nią zafascynowany.

– Ja?

– W ten wieczór, kiedy odbyło się przyjęcie, rozmawiałam tutaj z Mi, pokazałam jej te dwie twarze. Rozmawiałam z tobą. Co więcej, słuchałam cię. I ponieważ... Ona przeżyła – powiedziała Simone i odstawiła popiersie. – Jednak nie czuje wdzięczności. Ja też właściwie nie czułam. Właśnie to mnie uderzyło. Żyłam i zamiast być wdzięczna, próbowałam udawać, że to się nie wydarzyło. Co to mówi o tych, którzy umarli? Czy chciałam powiedzieć, że nie istnieli?

Pociągnęła długi łyk wina.

– „Dowód życia” – powiedziałeś tamtego wieczoru o *Wynurzeniu*. O Tish. To mnie uderzyło, wywołało pewną myśl. Dlatego na mój własny sposób staram się dać im wszystkim dowód życia.

Reed spojrzał teraz na nią, na jej twarz, nie tylko dlatego, że serce mu biło, że przez nią krew szybciej płynęła mu w żyłach. Dlatego, że poczuł rodzaj podziwu i szacunku.

– To jest odwaga.

Simone na chwilę przymknęła oczy.

– Boże. Mam taką nadzieję.

Reed podszedł do półki i ostrożnie podniósł jedną z rzeźb.

– Znałem ją. To Angie – Angela Patterson. Była tak cholernie ładna. Durzyłem się w niej.

– Och. Byłeś w niej zakochany.

– Nie, ale bardzo ją lubiłem. – Pomyślał o sklepiku, o krwi, o zwłokach. I spojrzął na twarz – młodą, śliczną, nieco flirciarską. – Kilka razy w roku rozmawiam z jej matką. A to... To będzie bardzo wiele znaczyło dla matki Angie.

– Chcę stworzyć pomnik z tych wszystkich twarzy. Ludzie nie powinni zapomnieć, kim oni byli, co im się stało. Mógłbyś mi pomóc.

– Jak?

– Chcę włączyć w to tych, którzy umarli od tamtego czasu albo zostali zabici przez Patricię Hobart. Mógłbyś mi pomóc.

– Mógłbym. – Postawił popiersie na miejscu. – Pomogę ci. Co z tym zrobisz, kiedy już skończysz pracę?

– To potrwa miesiące, a nawet dłużej. Będę musiała robić sobie przerwy, inaczej przestanę jasno widzieć i słyszeć. Jednak mam nadzieję, że mój ojciec może mi w tym pomóc. Jest prawnikiem i ma mnóstwo kontaktów. I oczywiście jest CiCi. Chciałabym zrobić odlew w brązie i umieścić go w parku.

– Być może tu też mógłbym pomóc.

– Jak?

– Od czasu do czasu rozmawiam z najbliższymi krewnymi ofiar i tymi, którzy przeżyli. Jak mama Angie. Tak więc może zdołamy to przeprowadzić, kiedy będziesz gotowa.

Simone powoli pokiwała głową

– Apel ze strony ocalałych i najbliższych? Trudno byłoby odmówić. Jednak niektórzy mogą tego nie chcieć.

– Nie będą mieli racji. A zatem.

Odstawił kieliszek i podszedł do niej. Ujął w dłonie jej twarz i patrzył, jak te cudowne oczy myślą. Pocałował ją delikatnie i powoli. Nie natarczywie, nie nalegając. I zanim się odsunął, poczuł – miał nadzieję, że poczuł – że trochę mu się poddaje.

– Zmiana taktyki – powiedział.

– To było interesujące.

– Mówiłem ci. Mam zamiar teraz pójść na swoją samotną pieczeń. Do zobaczenia.

– Nie bywam nigdzie zbyt często – odparła, gdy zaczął zbierać się do wyjścia.

– Nie szkodzi. Ja często bywam. – Zatrzymał się w drzwiach i odwrócił na chwilę. – Muszę powiedzieć coś jeszcze. Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w swoim cholernym życiu.

Simone roześmiała się, szczerze rozbawiona.

– Daleko mi do tego.

– Znów się mylisz. Wiem, co widziałem we własnym życiu. CiCi ma tu gdzieś mój numer telefonu. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, zadzwoń.

Kiedy wychodził, Simone ze zmarszczonymi brwiami słuchała jego kroków na schodach. Upiła znów trochę wina, a potem to, co zostało w jego kieliszku, wlała do swojego i upiła jeszcze trochę.

Naprawdę był interesujący, pomyślała. I potrafił zdejmować i przywdziewać sympatyczność jak parę skarpetek. Miała wrażenie, że umiał być niebezpieczny, a to czyniło go jeszcze bardziej interesującym.

Poza tym wiedział, jak całować w sposób, który uchylał drzwi, zaledwie odrobinę.

Będzie musiała o tym pomyśleć.

Przede wszystkim jednak spojrział na jej pracę i zobaczył, co chciała w nią włożyć, czego pragnęła od niej.

I zrozumiał to.

## ROZDZIAŁ 17

**S**tojąc na tarasie na dachu, Essie McVee była pod wrażeniem. W ten kompletnie szary lutowy dzień drżała z zimna, smagana mroźnym wiatrem, a jednak widok, który się przed nią rozciągał, wydawał jej się cudem.

Ocean i niebo, oba w tym samym melancholijnym, monotonnym odcieniu szarości, nie mogły zatrzeć wrażenia swojej rozległości i potęgi skalistego wybrzeża z nieustannym ruchem lodowatych fal.

Essie czuła zapach sosen i śniegu, wdychała powietrze tak mroźne i wilgotne, iż wydawało jej się, że połyka rozdrobniony lód. Daleko po prawej stronie budynki z kolorowym oszalowaniem tworzyły miasteczko, a wydeptana w śniegu ścieżka wiła się między drzewami z gałęziami pokrytymi warstwą białego puchu.

W oddali stała latarnia morska, błyskając radosnym kolorem na tle nieustępliwego zimowego mroku.

Przed domem koślawy pomost z kilkoma budzącymi niepokój dziurami przecinał przestrzeń między skałami.

– Masz własną przystań – zauważyła.

– Tak, w trochę kiepskim stanie. Mam też szopę na łódź. Bez łodzi. Pani Dorchet sprzedała ją po śmierci męża. Mógłbym ją sobie sprawić. Znaczy łódź. Być może.

– Łódź.

– Być może. Mam już szopę i przystań. Wydaje się, że powinienem znaleźć dla nich uzasadnienie.

Essie spojrzała na niego. Przypomniała sobie smutnego chłopaka na ławce

w parku, młodego glinę nabierającego doświadczenia, partnera, z którym rozwiązywała sprawy. Przyjaciela, którego znalazła we krwi.

A teraz to. Mężczyzna przyglądający się swojej własności.

– To nie to, co tamta twoja nora, Reed.

Uśmiechnął się.

– Wymaga jeszcze trochę pracy tu i tam, ale nie, to nie jest nora.

– Jak to jest być komendantem?

– Powiem ci za miesiąc. Robię jakieś postępy, czuję się coraz pewniej. Jak się wydaje, większość ludzi wstrzymuje się jeszcze z opinią, czy ktoś spoza wyspy potrafi stanąć na wysokości zadania.

– Dasz radę.

– Tak, dam. Przez najbliższe miesiące będzie tu spokój, a zatem będę miał więcej czasu, żeby zaadaptować się do nowej sytuacji, dowiedzieć się, co i jak. I przejąć kontrolę nad komisariatem.

– Są tam jakieś problemy?

Reed mruknął wymijająco.

– Dotychczasowy komendant mnie wspiera i to pomaga. Zastępcy, dyspozytorka znajdują się na rzeczy i w okresie przejściowym wszystko przebiega spokojnie. Jest trochę zgrzytów, jak wszędzie, ale to rzetelni ludzie. Najlepsza jest jedyna wśród nich kobieta.

– Co ty powiesz!

– Bystra i twarda. Trochę gorąca głowa, ale to mi nie przeszkadza.

– Strzeż się romansu biurowego.

– Co? Och nie. – Ze śmiechem odrzucił w tył rozwichrzoną czuprynę. – Za diabła nie. Nie jest w moim typie, a ponadto będę jej szefem. Szef, ha ha! W każdym razie jest około czterdziestki, rozwiedziona i związana z tutejszym hydraulikiem. Potem jest Leon Wendall. Były mat w marynarce wojennej. Tutaj służy już siedem lat. Lubi łowić ryby. Od trzydziestu lat żonaty z nauczycielką. Mają troje dzieci i wnuczkę.

– Siedem lat? I zrobili cię jego przełożonym?



– Nie jest typem szefa – wyjaśnił Reed, kręcąc głową. – Nie chce nim być. Jednak będzie mi się przyglądał. Z pewnością. Dalej mamy Nicka Mastersona, trzydzieści trzy lata, niedawno się ożenił. Jest kompetentny. Do jego rodziny należy Sunrise Café. Jego mama zajmuje się księgowością. Ostatni pełnoetatowiec to Cecil Barr. Dwadzieścia cztery lata, luzak, ale nie jest głupi. Syn rybaka i pielęgniarki, jego starsza siostra studiuje medycynę, a młodszy brat jeszcze chodzi do liceum. Kończymy na Donnie Miggins, dyspozytorce. Ma równo sześćdziesiąt cztery lata. Pani osobiście mnie ostrzegła, że mam przynosić własną kawę, sam załatwiać swoje sprawunki i że nie będzie tolerować braku szacunku. Lubię ją. Trochę się jej boję, ale ją lubię.

– Jesteś szczęśliwy.

– Bardzo.

– I już prawie wróciłeś do dawnej wagi.

– Jestem stałym gościem Sunrise Café. Większość wyspiarzy bywa tam od czasu do czasu. Poza tym beznadziejnie gotuję.

– Powinieneś się nauczyć, żeby zasługiwać na taką kuchnię.

– Jeśli nie będę gotował, pozostanie czysta – zauważył.

– To głupi argument – stwierdziła.

– Zejdźmy na dół na kawę. Właśnie kupiłem ten wymyślny ekspres.

– Nie wiem dlaczego – powiedziała Essie, kiedy schodzili do kuchni – zawsze pijesz czarną.

– Dziewczyna moich marzeń lubi latte.

– Ta artystka?

Reed przyłożył dłoń do serca.

– Puk, puk.

Essie zatrzymała się tym razem przed główną sypialnią i prawem starej przyjaciółki weszła do środka.

– Bardzo przyjemny pokój i z pięknym widokiem. Jednak nie masz łóżka.

– To jest łóżko. – Wskazał jej materac na podkładce ze sprężynami.

– Łóżko ma ramę, zagłówek, czasem również oparcie z przodu. Ma pewien

styl. Na czymś takim, jak to, nigdy nie zdobędziesz dziewczyny swoich marzeń.

– Nie doceniasz mojego uroku i seksapilu.

– Nie, nie doceniam.

Rozejrzała się po pokoju i zauważyła pluszowego misia w przebraniu policjanta siedzącego na czymś, co Reed przez pomyłkę nazywał komodą.

– Powinieneś mieć prawdziwą komodę zamiast tego paskudnego kloca, który towarzyszy ci od czasów studiów. Może wygodny fotel. Jakieś stoliki, ładne lampy. Dywan. I... – Urwała, kiedy zajrzała do przyległego pomieszczenia. – Jezu, łazienka jest fantastyczna!

– Dzieło syna poprzedniej właścicielki, tak jak kuchnia. Już więcej żadnych ciurkających pryszniców, moja kochana!

– Kup nowe ręczniki, znajdź na te ściany jakieś obrazy od miejscowych artystów i dobre lustro do łazienki.

– To jest agresywna metoda sprzedaży, Essie.

– Wiem, co mówię.

Essie opuściła sypialnię i weszła do pustego pokoju.

– Co masz zamiar z tym zrobić? Gabinet?

– Nie, już go urządziłem, w głębi korytarza. Myślałem o pokoju gościnnym – mam ich dwa. Możesz tu czasem pobyc z rodziną. Kupię wielgachny grill. Zacznę ci się odwdzięczać za wszystkie kolacje i za noce, które u ciebie przekimałem.

– Byłoby cudownie.

– Pierwszy weekend jak się patrzy, z grillem na tarasie, kiedy oboje będziemy mieli wolne.

– Załatwione. Dwuosobowe łóżko – masz tu dużo miejsca – prosta narzuta i zasłony, małe biurko i fotel, ładne lampy i boczne stoliki – nic do kompletu, stara komoda – nie jakiś grat, ale stara.

– Co ty jesteś, moja dekoratorka wnętrz? Tak, tak – przyznał, zanim zdążyła odpowiedzieć. – Wiesz, co mówisz.

Kontynuując zwiedzanie domu, Essie weszła do nieodnowionej łazienki.

Ujrzała kafelki w odcieniu morskiej zieleni z czarnym obramowaniem. W tym samym kolorze były toaleta, wanna z prysznicem i umywalka. Do tego biała toaletka.

– Podoba mi się – stwierdziła.

– Naprawdę?

– Jest retro i trochę kiczowata, ale ma potencjał. Potrzebna jest nowa toaletka, kilka śmiesznych ręczników i zasłona prysznicowa oraz malowanie. Jest urocza.

Ruszyła dalej – rzucając pomysłami, aż Reed pomyślał, że powinien robić notatki. Wtedy weszła do gabinetu.

– Ach – westchnęła.

Na środku pokoju Reed ustawił wielkie, niezgrabne biurko, pozostałość z czasów college'u. Dzięki temu mógł patrzeć na widok za oknem, na drzwi i dwie przesuwane tablice, które zawiesił na ścianie.

W samym środku pierwszej białej tablicy umieścił zdjęcie Patricii Hobart. Obok fotografie jej ofiar i miejsc zbrodni. Napisał przy nich daty i dodał kopie raportów.

Rozrysowane linie – ciągłe i przerywane – rozchodziły się lub przecinały.

Na drugiej tablicy przypiął zdjęcia trzech zamachowców z centrum handlowego DownEast, rozrysował kolejne linie, dołączył informacje o broni oraz zdjęcia, nazwiska i wiek ofiar. Czerwoną linią oddzielił zdjęcia, nazwiska, wiek, miejsca zamieszkania i pracy tych, którzy przeżyli masakrę.

W pokoju stały trzy szafki z szarego metalu, kilka składanych krzeseł opartych o ścianę – otynkowaną, wygładzoną, ale niepomalowaną, jego stara mała lodówka – również z czasów studenckich, a także wielki kosz na śmieci do połowy wypełniony pustymi puszkami coli i Mountain Dew, opróżnionymi butelkami wody i kubkami kawy na wynos.

W otwartej szafie bez drzwi znajdowały się artykuły biurowe – papier do drukarki i skanera, teczki na dokumenty, pudełko markerów i notatniki.

Na dole w szafie stały zgrzewki z butelkami wody, puszkami coli i Mountain Dew – wszystkie rozdarte i niepełne.

Essie podeszła do tablic i zaczęła je studiować.

– Dobra, dokładna robota, Reed.

– Teraz jest tu spokój i jeszcze nie zostałem komendantem. Jednak ona dopadła kolejną osobę i znów rozplynęła się w powietrzu. Nie wiadomo, kogo następnego wzięła na cel, kiedy i gdzie. Równie dobrze można by wrzucić ich nazwiska do kapelusza i wylosować jedno.

– Ta pokręcona suka działa z większą logiką. Dla niej każdy, kogo dotychczas obrała za cel, w jakiś sposób zyskał na tamtej nocy. Trochę sławy, trochę pieniędzy, a wszyscy mieli zwyczaj, które mogła zaobserwować lub wykorzystać. Możemy iść tym tropem, kończąc na Bobie Kofaksie.

– Wszystko było na jego stronie na Facebooku – przyznał Reed. – Dokąd się wybierał, kiedy i po co. Jeszcze więcej, kiedy się tam znalazł. Zrobiła sobie roboczy urlop.

– Właśnie. Federalni dotarli do jej pokoju w tym samym ośrodku wypoczynkowym.

Reed odwrócił się gwałtownie.

– Jesteś pewna?

– Umieję się nie wychylać i mieć otwarte uszy. Możesz dodać nazwisko do swojej tablicy: Sylvia Guthrie. Nie użyje go ponownie, ale skorzystała z niego, żeby zarezerwować i opłacić pokój oraz resztę wydatków – kartą American Express. A także zabukować lot – w obie strony, pierwszą klasą, bezpośrednio z Nowego Jorku. Liniami JetBlue z lotniska JFK.

– Chaz mieszka w Nowym Jorku. Dostał awans i przeprowadził się tam.

– Ich zdaniem nie ma tam kryjówki. Tak jak my uważają, że jest w Kanadzie.

– Teraz tam nie zostanie.

– Zapewne. Mam w torebce kopię jej paszportu na nazwisko Guthrie i zdjęcia prawa jazdy. Dokumenty zawierają nowojorski adres, ale są podrobione. Te również możesz umieścić na swojej tablicy. Dowiedziałam się, że poleciała na Bermudy dzień przed swoją ofiarą, wzięła tam masaż, po czym zamówiła do pokoju butelkę wina za sto dolarów i cholernie dobre jedzenie. Obciążenie karty

obejmuje również kilka bezalkoholowych daiquiri zamówionych w barze na plaży trzeciego dnia – ofiara i jego rodzina zapłacili tam kilka rachunków w barze w tym samym przedziale czasowym, zanim Kofax stracił oddech, upadł i zmarł za sprawą cyjanku w swoim mai tai.

– Już drugi raz użyła trucizny. Pierwszy był doktor Wu. – Reed wskazał ręką tablicę. – W przypadku Kofaxa była to zatłoczona plaża zamiast zatłoczonego baru i cyjanek w drinku zamiast zastrzyku z toksyną, jak u Wu, ale to wygląda podobnie. Uważam, że ona lubi strzelać – dodał. – Myślę, że lubi uderzenie i krew, ale czasami trucizna jest łatwiejsza.

– Zgadzam się – powiedziała Essie. – Rodzina Kofaxa kilka razy wchodziła do wody – ciągnęła, chodząc po pokoju. – Surfowali na deskach, wygłupiali się, odpoczywali w cieniu na hotelowych leżakach. Kofax zamówił mai tai – drugie tego popołudnia, drinka dla żony, lemoniadę dla jednego z wnucząt, a potem zaciągnął żonę i dzieciaki z powrotem do wody. Wrócił, usiadł i sięgnął po drinka. I umarł, mając czterdzieści dziewięć lat, na dzień przed pięćdziesiątymi urodzinami.

– Musiała tylko ułożyć się gdzieś, zapamiętać, gdzie siedział i co pił. Kiedy poszedł do wody, zaprawiła mu drinka trucizną i odeszła.

– Zrobiła to, po czym wróciła do hotelu i poszła na masaż twarzy do spa. Wcześniej umówiony. Powiedziałabym, że dla Kofaxa od początku zaplanowała truciznę. Jeśli nie na plaży, to w barze przy basenie albo w jakimś innym czy w którejś z restauracji. Dostrzegła okazję i ją wykorzystała.

– Przesłuchali ją?

– W sezonie w ośrodku było dużo gości, ale miejscowa policja krótko z nią rozmawiała. Zeznała, że była na plaży mniej więcej w tym samym czasie, że nawet widziała liczną, radosną rodzinę. Wróciła do hotelu na umówiony zabieg w spa i nie zauważyła nikogo w pobliżu tej grupy. Była jednak pochłonięta czytaniem książki. Zniknęła, zanim pojawili się federalni.

– To zarówno kwestia szczęścia, jak też sprytu i planowania. – Wpatrując się w tablicę, Reed wsunął dłonie w tylne kieszenie spodni. – Mnóstwa szczęścia.

- Ma go dużo. O ile wiemy, nie udało jej się tylko raz – z tobą.
- Tak. – Mimowolnie potarł dłonią bok.
- Jak twój bok i ramię?
- W porządku. Nadal ćwiczę jogę.
- Chciałabym to zobaczyć.
- Nie, naprawdę nie. Pozwól, że zrobię ci tę kawę.
- Pozwolę ci poćwiczyć przygotowywanie latte dla dziewczyny twoich marzeń, ale wypijmy tę kawę tu na górze. – Obejrzała się na tablicę. Przedyskutujmy sprawę, zobaczymy, czy coś dostrzeżemy.
- Miałem nadzieję, że to powiesz.
- Poświęciła mu dwie godziny, zanim musiała odjechać na prom. Reed nie mógł powiedzieć, że coś dostrzegli, ale oboje rozważali myśl, że Hobart na jakiś czas osiadła gdzieś w cieplejszym klimacie.
- Dlaczego by nie?
- Wychodząc z tego założenia, przyjrzeni się ocalałym, którzy przenieśli się na południe.
- Bardzo się cieszę, że w końcu udało ci się przyjechać – powiedział do Essie na pożegnanie. – Następnym razem będą steki z grilla dla całej rodziny.
- Czy masz prawdziwe talerze?
- Eee... Coś w tym rodzaju.
- Kup naczynia i łóżko. Wymościć swoje gniazdo, partnerze. To naprawdę wspaniałe gniazdo.
- Okej, okej. Jezu, moja matka powiedziała to samo, a nawet zagroziła, że każe ojcu wyciągnąć coś ze strychu.
- Kup własne. – Dźgnęła go palcem w pierś. – Jesteś już dużym chłopcem. – Pochyliła się, żeby pocałować go w policzek, po czym obejrzała się, słysząc pukanie do drzwi.
- Masz towarzystwo.
- Reed podszedł do drzwi i uśmiechnął się, otwierając je CiCi.
- Cześć, moja piękna. Przyszłaś akurat w porę, żeby poznać bliską mi osobę.

– Wziął ją za rękę i wprowadził do środka. – CiCi Lennon, Essie McVee – przedstawił je sobie.

– Już się kiedyś spotkałyśmy. – CiCi, w jasnozielonej rastafariańskiej czapce na powiewających rudych włosach i starych butach emu wkroczyła i ujęła dłoń Essie. – Pewnie nie pamiętasz.

– Pamiętam. Spotkałyśmy się na krótko przed szpitalnym pokojem Mi-Hi Jung.

– Nie wiedziałem – odezwał się Reed.

– Chciałaś dowiedzieć się o nią i Simone – powiedziała CiCi. – Wtedy odniosłam wrażenie, że jesteś ofiarną i troskliwą kobietą. Nigdy się nie myłę. Przyjechałaś tu spędzić trochę czasu z Reedem.

– Spędziłam. Co za niesamowity dom! Będzie lepszy, kiedy on kupi trochę prawdziwych mebli.

– Okej, mamusiu.

– Muszę już uciekać, żeby zdążyć na prom. Cieszę się, że miałam okazję znów panią spotkać, pani Lennon.

– Jestem CiCi. Reed, następnym razem przyprowadź Essie do nas. Mam nadzieję, że przywieziesz tu męża i synka – zwróciła się do niej.

– Mam taki zamiar. Reed! – Essie objęła go i pocałowała w policzek. – Jestem z ciebie dumna, komendancie.

– Odprowadź Essie do samochodu – poleciła mu CiCi. – W moim jest pakunek dla ciebie. Możesz go tu przynieść. – Mówiąc to, odwiązała z szyi jasnozielony szalik. – Mam zamiar poczęstować się kieliszkiem wina, jeśli masz tu jakieś, Reed.

– Mam białe i to czerwone, które lubisz.

– Dobry chłopiec. Wróc niedługo, Essie.

CiCi rzuciła płaszcz, szalik i czapkę na będącą w prawdziwie opłakanym stanie sofę. Essie miała rację w sprawie mebli, pomyślała, decydując się na białe, które Reed chłodził w lodówce, tak jak lubiła.

Rozlała wino do dwóch kieliszków. On wolałby piwo, pomyślała znów, ale

miała nadzieję, że jej prezent na parapetówkę zasługuje na wino.

Reed wrócił, taszcząc pakunek.

– Pewnie jechałaś z otwartym oknem, żeby to zmieścić w samochodzie. Jest mróz, CiCi.

– My, wyspiarze, jesteśmy wytrzymali.

– To jest obraz. – Był duży i Reed wyczuwał ramę pod grubym brązowym papierem, którym go owinęła. – Namalowałaś dla mnie obraz.

– Tak, i mam nadzieję, że ci się spodoba.

– Nawet nie muszę go widzieć, żeby mieć pewność, że będę go uwielbiał.

– Będzie weselej, jeśli go zobaczysz. Chodź, zdejmij ten papier. Jestem przekonana, że wiem, gdzie powinien wisieć. Zobaczymy, co ty na to.

Reed musiał położyć obraz na kuchennej wyspie, żeby zerwać taśmę klejącą i zdjąć kartonowe zabezpieczenia z narożników ramy. Odwrócił go i zdjął arkusz kartonu osłaniający przód.

I gapił się oszołomiony, wdzięczny, do głębi poruszony.

– Jasna cholera, CiCi.

– Biorę to za aprobatę.

– Nawet nie wiem, co powiedzieć. Jest cudowny.

Plaża, skały, pasek piasku, wszystkie kolory tak żywe i mocne. Nad wodą unosiły się ptaki. Biała łódź sunęła w stronę horyzontu. Nad wszystkim rozciągało się najbłękitniejsze z błękitnych niebo i jedna ze zwiewnych białych chmur uformowała się w kształt smoka takiego jak ten, który pilnował jej pokoju gościnnego.

Kilka muszel, namalowanych z najdrobniejszymi szczegółami, leżało na piasku jak rozrzucone skarby.

A na skałach siedziały dwie postacie, zwrócone ku sobie i spoglądające przed siebie.

– To my – szepnął. – To ty i ja.

– Kiedyś znów cię namaluję, ale to dobry początek.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Spojrzał na nią. – Naprawdę nie wiem, jak ci



dziękować. To jest magiczne. Takie jak ty.

– To doskonale stwierdzenie. Dobrze wyglądamy, prawda? Bratnie dusze zjednoczone.

– Naprawdę cię kocham, CiCi.

– Ja też naprawdę cię kocham. Jak myślisz, gdzie chcesz go powiesić?

– Musi pójść tam, nad kominek. Musi być tam, gdzie będzie go widać z każdej strony.

– Masz absolutną rację. Najlepiej zrobić to teraz. Mam haczyki. – Sięgnęła po nie do kieszeni. – I wiertarkę w samochodzie, jeśli nie masz własnej.

– Mam wiertarkę.

– I taśmę mierniczą. Zróbmy to i zróbmy tak, jak należy.

Okazała się marudna w kwestii dokładności pomiaru i zamęczyła go obliczeniami. Jednak przy jej marudzeniu, obliczaniu i pomocy Reed powiesił pierwsze dzieło sztuki w swoim nowym domu.

– Mam oryginał CiCi Lennon. Do licha, sam jestem w oryginale CiCi Lennon. I to jest fantastyczne.

Podawała mu kieliszek i trąciła się z nim swoim.

– Za ciebie i twój szczęśliwy dom.

Wypił z nią, a potem przyciągnął CiCi do siebie.

– Gdzie bym teraz był, gdybyś tamtego ranka nie zeszła na plażę?

– Miałeś być tutaj, więc tutaj jesteś.

– Z pewnością na to wygląda. – Pocałował ją w czubek głowy. – Chyba muszę poważnie pomyśleć o meblach. Żaden z obecnych nie jest wart tego obrazu.

– Masz rację. Zaczynaj od wyrzucenia tej ohydnej sofy.

Reed poczuł ukłucie w sercu na wspomnienia związane z tą ohydą sofą. Ucinane na niej drzemki, oglądane mecze, dziewczyny, które rozbierał.

Potem spojrzał na obraz i pomyślał o wspomnieniach, które dopiero nadejdą.

Na wyspie nie było prawdziwego sklepu meblowego, ale istniało coś w rodzaju pchlego targu antyków. Reed znalazł tam kilka rzeczy i w jedynym

otwartym cały rok sklepiku z pamiątkami, który lubił, wyszukał coś jeszcze przez internet.

Starał się nie myśleć zbyt wiele o tym, jak wykrwawia się rachunek jego karty kredytowej.

Jednak zakupy na wyspie pełniły również funkcję promocji. A zafundowanie Cecilowi sześciopaka za pomoc w przewiezieniu, złożeniu i ustawieniu mebli dało mu okazję bliższego poznania zastępcy.

Na przykład dowiedział się, że Cecil miał większe doświadczenie w posługiwaniu się narzędziami. Facet nie był szybki, ale okazał się niestrudzony.

Stanęli razem, przyglądając się łóżku – pierwszemu nabytkowi Reeda, ponieważ stanowczo chciał mieć w nim dziewczynę swoich marzeń. Zdobył się nawet na kupno nowego materaca.

– To bardzo ładne łóżko, komendancie

– Tak myślisz? Rzeczywiście, może być.

Proste, pomyślał Reed, ale nie tak skromne, żeby wyglądało, że nie przykłada do tego wagi. Podobały mu się pionowe listwy, niskie oparcie z przodu, które nie będzie mu zawadzać, kolor wyblakłego grafitu.

– Chce pan położyć na to pościel?

– Później się tym zajmę. Wnieśmy resztę mebli. Jestem ci wdzięczny, Cecil.

– Do licha, nie ma sprawy. Lubię składać rzeczy. I ten dom jest super.

Kiedy podawał Cecilowi piwo, miał już umeblowaną sypialnię, nową sofę, drugie łóżko – podwójne, jak mu nakazano – stało w pokoju gościnnym razem z nocnymi stolikami i lampami. Nie wyglądały na komplet, miał nadzieję.

Wyczerpany, padł na swoje nowe łóżko, bez pościeli. Zastanowił się, poodbijał się na nim lekko.

Jak, u diabła, mógł cały czas spać na tym starym, gównianym materacu? Pomyślał o sięgnięciu po piwo stojące na nowej szafce nocnej – na podkładce, przecież nie był głupcem. Pomyślał o tym jeszcze raz.

I natychmiast odpłynął.

Śniły mu się wiertarki i młotki, śruby i śrubokręty. Jak można było się domyślić, przyśnił mu się potem zdumiewający erotyczny sen z Simone w roli głównej.

W tym śnie jego nowy zagłówek uderzał o ścianę, kiedy Simone objęła go nogami w pasie.

Obudził się ze wzrodem twardym jak skała i nieco zdyszany. I zorientował się, że stukanie nie ucichło.

– Cholera, szlag by to. – Podniósł się i postarał doprowadzić się do porządku.  
– Opadnij, mały – mruknął i ruszył po schodach na dół.

Krzepki kurier już tu bywał.

– Przepraszam, byłem na górze.

– Ma pan jeszcze jedną. – Podał Reedowi tablet do podpisania.

– Gdybym nie otworzył albo nie byłoby mnie w domu, może pan po prostu zostawić paczkę.

– Musi pan to potwierdzić, na piśmie.

– Okej, tak zrobię.

Kurier wrócił do swojego samochodu, pozostawiwszy Reeda z wielkim, dziwnie ciężkim pudłem na progu.

Reed wciągnął je do środka i wyjął scyzoryk, żeby rozciąć zamknięcie.

– Naczynia. Ach tak, kupiłem naczynia.

Białe, przypomniał sobie, bo kiedy zaczął je wybierać, głowa go rozboleła od nadmiaru kolorów i wzorów. Z białymi nie było problemu.

Tyle że teraz musiał je wypakować i prawdopodobnie umyć, co oznaczało załadowanie zmywarki, a potem rozładowanie i odstawienie naczyń.

Na tę myśl zapragnął ponownie udać się na drzemkę.

Ponadto musiał położyć pościel na łóżku i nie wypakował jeszcze nowych ręczników. Czy je też powinien wyprać?

Skąd miał to, do diabła, wiedzieć?

Bez sensu byłoby zadzwonić do matki i zapytać, bo od razu odpowiedziałyby, że tak. Wiedział to.

– To może poczekać – zdecydował, wracając na górę po piwo. Nie jest jeszcze całkiem ciepłe, powiedział sobie, zabierając je pod prysznic.

Jednak naczynia i ręczniki, wszystkie te cholerne rzeczy nie dawały mu spokoju dopóty, dopóki się nie poddał.

Ubrał się, włożył naczynia do zmywarki, a ręczniki do pralki. Przypomniawszy sobie, że czeka na telewizor. Właściwie dwa, bo jeden zamówił do sypialni. Drugi na dole nie pójdzie nad kominek, jak sobie wyobrażał, bo wisi tam magiczny obraz. Jednak miał jeszcze inne ściany.

Miał też cały tydzień do objęcia stanowiska komendanta.

Do tego czasu wszystko będzie gotowe.

Poszedł na górę, żeby rozłożyć pościel na łóżku – również nową (czyżby stracił rozum?). Jego matka niewątpliwie stwierdziłaby, że najpierw należało ją wyprać, ale do diabła z tym. Nie był w stanie zrobić wszystkiego.

Kupił narzutę w kolorze indygo – głównie dlatego, że taką pokazywali na łóżku na zdjęciu i wydawała się w porządku. Dostarczono ją z dekoracyjnymi poduszkami, z czym było mnóstwo zamieszania, ale udało mu się wszystko zrobić.

Nie czuł potrzeby wyjścia po jedzenie, więc pozostał przy niezawodnej mrożonej pizzy.

Zamiast piwa wziął teraz colę i zabrał kolację do gabinetu.

Usiadł i jedząc pizzę, studiował tablice.

– Gdzie jesteś, Patricio, ty cholerna morderczyni? Założę się, że tam jest ciepło.

Przeniósł wzrok na tablicę z jej potencjalnymi celami, na grupę, którą wydzielił. Jedna osoba w Savannah, druga w Atlancie, jedna w Fort Lauderdale, kolejna w Coral Gables.

Dodajmy do tego dzieciaka, który zaciągnął się do marynarki i stacjonował teraz w San Diego, oraz kobietę, która z mężem i córką przeniosła się do Phoenix.

– Które z nich? Gdzie się teraz ukrywasz?

Patricia, obecnie Ellyn Bostwick, miała ładny mały wakacyjny domek w Coral Gables.

Codziennie wychodziła z niego z aparatem fotograficznym, w kapeluszu z szerokim rondem i z plecakiem. Zmieniała wygląd i prowadziła przyjacielskie rozmowy z sąsiadami. Powiedziała im, że jest fotografką freelancerką i przyjechała tam na trzy miesiące, żeby zebrać materiał do swojego albumu ukazującego tę okolicę.

Z radosną miną robiła zdjęcia bachorów z sąsiedztwa dla ich matki idiotki. Drukowała je, a nawet oprawiała.

Powiedziała sąsiadom, że niedawno się rozwiodła i chce spędzić trochę czasu sama, z dala od zimnego i tłumnego Chicago.

Emily Devlon (z domu Frank) w wieczór masakry w galerii DownEast miała osiemnaście lat. Kiedy wybuchła strzelanina, właśnie kończyła jej się wakacyjna przerwa w pracy w barze Orange Julius.

Od razu rozpoznała strzały – jej ojciec był gliną – i zaczęła uciekać jak najdalej od ich odgłosów. Jednak te dochodziły z obu stron.

Emily wiedziała, co robić, mimo że ogarnęła ją panika. Trzeba znaleźć kryjówkę i zaszyć się tam. Przedzierając się przez pędzący tłum, skierowała się do najbliższego sklepu. Jakaś kobieta upadła przed nią i Emily niemal się o nią potknęła. W biegu chwyciła kobietę pod ramiona – starą, wątłą, jęczącą – i zawlokła do wnętrza sklepu.

Szklana witryna eksplodowała i obie zostały poranione odłamkami, ale Emily zdołała wciągnąć kobietę za gablotę z letnimi koszulkami i bluzami.

Ekspedientka z nieprzytomnym wzrokiem przebiegła obok niej. Emily zawołała bezgłośnie: Nie, nie rób tego!

Zamknęła oczy, słysząc krzyk i uderzenie ciała o podłogę.

Objęła starą kobietę, która przeżyła jeszcze osiem lat, zanim zmarła z przyczyn naturalnych. Zostawiła Emily sto tysięcy dolarów zapisane w testamencie.

Emily, obecnie żona i matka, za część spadku kupiła dom w ładnej dzielnicy daleko od Maine i złych wspomnień.

Będzie żyła dłużej niż kobieta, którą uratowała, ale zegar już dla niej tykał.

## ROZDZIAŁ 18

**R**eed ubrał się na swój pierwszy dzień w roli komendanta. Miał mundur – koszulę i spodnie khaki, a nawet czapkę z daszkiem – jednak wybrał dżinsy i jasnoniebieską koszulę. Mundur wyjmie na specjalne okazje, ale – cytując jedno z powiedzonek swojej babci – zacznie tak, jak zamierza kontynuować.

Włożył buty – nie nowe, ale niezbyt znoszone – oraz, ponieważ w marcu wiał ostry wiatr, skórzaną kurtkę, którą nosił od dziesięciu lat.

Do pasa przypiął broń.

Postanowił pójść pieszo trochę ponad kilometr do miasteczka. Pomyślał, że w ten sposób zredukuje emisję dwutlenku węgla, a jako komendant miał do dyspozycji samochód na komisariacie.

Spacer pozwolił mu trochę się zastanowić. Nie był zdenerwowany. Mieszkał na wyspie już prawie trzy miesiące, wyczuwał jej rytm. Wielu z tysiąca ośmiuset sześćdziesięciu trzech mieszkańców – w wieku od siedmiu miesięcy do osiemdziesięciu ośmiu lat – nie wierzyło, że przetrwa tu zimę.

Jednak został.

Część z nich przewidywała, że jako komendant nie dotrwa do końca lata.

Jednak zrobi to.

Nie tylko lubił swoje życie tutaj, to było jego życie.

Miał do wypełnienia osobną misję i dopóty będzie pracował nad sprawą Hobart, dopóki ta szalona dziwka nie usłyszy trzasku zamykanych drzwi swojej celi. Jednak od dziś priorytetem dla niego musiała być wyspa.

Zauważył parę jeleni wśród drzew tego, co nazywał swoim lasem, i wziął to

za dobry znak. Topniejący śnieg rozmiękczył ziemię pod jego stopami, gdzieś leżały na niej łąty białego puchu. Zima jeszcze całkiem nie odeszła, przynajmniej według dziadków, którzy popołudniami przesiadywali w Sunrise, popijając kawę, grając w karty i gadając głupoty.

Jednomyślnie twierdzili, że czeka ich jeszcze jeden porządny sztorm z północnego wschodu, który wywieje zimę, i dopiero przyjdzie wiosna.

Reed nie zakładałby się przeciwko nim.

Minął kilka letnich domów, które pozostaną zamknięte aż do rozpoczęcia sezonu. Przypadki wandalizmu, nawet w wykonaniu dzieciaków, zdarzały się rzadko. Wszyscy się tu znali i każdy wiedział, że ekonomia wyspy w znacznym stopniu zależy od letników.

Kilka następnych domów należało do stałych mieszkańców. Uznał, że musi znaleźć sposób, żeby zawrzeć z nimi choćby przelotną znajomość.

Artyści, fotografowie, właściciele sklepów, kucharze, ogrodnicy, emeryci, blogerzy, nauczyciele, poławiacze homarów, rzemieślnicy. Kilku prawników, pracownicy służby zdrowia, mechanicy, złote rączki (obu płci) i tak dalej.

Dzięki nim wszystkim wyspa tętniła życiem.

Teraz dołączył do nich on.

Przyglądał się promowi odpływającemu z wyspy. Niektórzy prowadzili na lądzie interesy albo podejmowali się pracy poza sezonem. Inni posłali dzieci do prywatnej szkoły. Zdaniem Reeda, czterdziestominutowy rejs nie był zły. Unikało się przecież korków na drodze.

Minął przystań promową, gdzie – jak pamiętał z dawnych lat – dziesiątki samochodów ustawiało się latem w kolejce, by popłynąć do domu po wycieczce na Tranquility Island.

Skręcił do miasteczka. Tak jak domy do wynajęcia, większość sklepów i restauracji było zamkniętych do rozpoczęcia sezonu. Z nastaniem wiosny niektóre zostaną świeżo odmalowane, więc wyblakłe oszalowanie przybierze jaskrawe barwy, przyciągając gości i dając dochody.

Od tego miejsca marina i plaża oferowały wszystko, czego mogli pragnąć



letnicy: słońce, piasek, wodę i sporty wodne.

Reed wszedł do Sunrise, gdzie owionął go zapach smażonego bekonu i kawy.

Val, stojąca za kontuarem jasnowłosa kelnerka w różowym fartuszku, powitała go radosnym uśmiechem.

– Dzień dobry, komendancie.

– Dzień dobry, Val.

– Ma pan tremę przed pierwszym dniem, co?

– Nie bardzo. Będę potrzebował sześciu dużych kaw na wynos. Dwie czarne, jedna z samą śmietanką, druga ze śmietanką i pojedynczą porcją cukru, kolejna ze śmietanką i podwójnym cukrem, a jedna z tą twoją waniliową śmietanką i potrójnym cukrem.

Val skinęła głową i poszła po dzbanek.

– Częstoje pan komisariat?

– Wydaje się, że tak należy pierwszego dnia.

– Słusznie pan myśli. Oznaczę dla pana te kubki, żeby było wiadomo, która jest która. Może chce pan wziąć ze sobą kawałek kawowego ciasta?

– Mam zamówione tuzin pączków w piekarni. Gliniarze, czyli pączki. Taki mamy zwyczaj.

Podczas gdy Val realizowała zamówienie, Reed przywitał się z kilkoma stałymi klientami, którzy przychodzili tu na śniadanie: dwoma szpakowatymi mężczyznami z tak silnym akcentem z Nowej Anglii, że musiał przestroić słuch na inną częstotliwość, żeby ich zrozumieć; z menedżerem Beach Buddies; z ornitologiem amatorem i blogerem, który nie rozstawał się z aparatem fotograficznym, lornetką i notesem; z dyrektorem banku i bibliotekarzem.

– Dzięki, Val.

– Powodzenia, komendancie.

Zabrał tacę z kawą do piekarni, wziął tuzin pączków i pogawędził chwilę z kobietą, która prowadziła Island Rentals, wynajmując letnikom pokoje, a teraz czekała na bułeczki zamówione na spotkanie, które nazwała burzą mózgow.

Reed ruszył dalej, na rogu skręcił w prawo i wszedł do białego parterowego

budynku z wąską zadaszoną werandą. Znak ustawiony na pasie trawy pomiędzy chodnikiem a werandą głosił: DEPARTAMENT POLICJI TRANQUILITY ISLAND.

Zręcznie przytrzymując kawę i pączki, Reed wyłowił z kieszeni klucze, które jego poprzednik przekazał mu wczorajszego wieczoru podczas spotkania przy piwie. Otworzył drzwi i głęboko zaczerpnąwszy powietrza, dokładnie o siódmej dwadzieścia wszedł do – od tej pory swojego – budynku.

CiCi, która twierdziła, że jest czarownicą i posiada pewne zdolności paranormalne, nalegała na odprawienie pewnego rodzaju rytuału. Oczyszczenia, otwarcia czy czegoś tam. Nie widział nic złego w tym, żeby pozwolić jej zapalić kilka świec, okadzić otoczenie szałwią i coś zanucić.

Teraz rozejrzał się po czymś, co w języku miejskich gliniarzy nazywałoby się „zagrodą”. Stały tam biurka jego zastępców – cztery w zwróconych ku sobie parach i dwa dzielone przez pracujących tu w sezonie letnim. Stanowisko dyspozytorki znajdowało się pod prawą ścianą. Pod lewą rząd krzeseł dla interesantów. Na ścianie wisiała mapa wyspy, a jakiś naprawdę smętnie wyglądający kwiat tkwił w donicy w kącie.

Stalowe drzwi prowadziły do cel w głębi. Drugie do małej zbrojowni. Toaleta – wspólna, malutki pokój wypoczynkowy z płytą grzewczą do kawy, mała lodówka i kuchenka mikrofalowa. Stół z popękany blatem, który postanowił wymienić, jeśli znajdzie na to środki w budżecie.

Miał budżet. Czyż to nie było zachęcające?

Przeszedł przez „zagrodę” do wąskiego korytarza, który z jednej strony prowadził do pokoju socjalnego, z drugiej do toalety, a na wprost do jego gabinetu.

Wszedł tam, postawił kawę i pączki, zdjął kurtkę i powiesił na wieszaku stojącym przy drzwiach. Biurko stało zwrócone przodem ku nim i zamierzał tak je pozostawić. Miał porządny fotel, komputer, białą tablicę do zapisywania planów, tablicę korkową, szafki na dokumenty i pojedyncze okno, przez które wpadało nieco światła.

Miał własną płytę grzewczą do kawy, ale zamierzał wymienić ją na prawdziwy ekspres.

– No to zaczynamy – powiedział głośno.

Usiadł za biurkiem, włączył komputer i wpisał swoje hasło. Wieczorem, kiedy CiCi odprawiała swoje magiczne rytuały, utworzył dokument. Teraz otworzył go, spojrzął na niego raz jeszcze i wysłał.

Gdy usłyszał otwierające się drzwi komisariatu, wstał, wziął kawę i pączki, po czym wyszedł do pokoju zastępców.

Nie był zaskoczony, widząc, że pierwsza pojawiła się Matty Stevenson.

– Komendancie – przywitała go trochę chłodno i trochę szorstko.

– Dziękuję, że przysłaś tak wcześnie. Kawa, czarna. – Wziął z tacy jej kubek. Matty zmarszczyła brwi.

– Dzięki.

– Pączki. – Uchylił wieko pudełka. – Jesteś pierwsza, więc wybieraj.

Podczas gdy Matty nadal marszczyła brwi, Reed postawił pudełko na najbliższym biurku.

– Jeśli zwołuję wszystkich pół godziny wcześniej, mogę przynajmniej przynieść kawę i pączki.

Kiedy Matty wciąż się nad nimi zastanawiała, weszli Leon i Nick.

– Komendancie Quartermaine – przywitał się Leon, przyjaźnie, ale formalnie.

– Kawa – oznajmił Reed, rozdając im kubki. – Pączki. – Wskazał kciukiem pudełko.

Do komisariatu wkroczył Cecil.

– Hej, spóźniłem się?

– Jesteś punktualnie – odparł Reed, podając mu kawę.

– Rety, dzięki, szefie. Hej, właśnie taka, jaką lubię.

– Weź pączka i usiądź.

– Ten cholerny pies! – Donna wpadła do pokoju. – Nie wiem, jak mogłam pozwolić Lenowi namówić się na tego cholernego psa. Co znaczy to wszystko?

– zapytała, zdejmując puchową kurtkę i odwijając z szyi szalik gruby i długi jak

boa dusiciel. – To jakaś impreza czy komisariat policji?

– To jest spotkanie. – Reed podał jej ostatni kubek kawy. – Poczęstuj się pączkiem.

– Pączki! Skończymy jako paczka tłustych gliniarzy. – Mimo to wzięła jeden.

– Dziękuję, że przyszliście tak wcześnie. Wczoraj wieczorem byłem na piwie z komendantem Wickettem. Chciał, żebym wam wszystkim jeszcze raz podziękował za pracę, którą wykonaliście pod jego dowództwem. Nie zamierzam tu wiele zmieniać.

– Wiele? – prychnęła Donna, wbijając zęby w wypełnionego dżemem pączka.

– Właśnie. Mam zamiar przyjrzeć się budżetowi, zobaczyć, czy mogę załatwić nowy stół do pokoju socjalnego. Będę kontynuował politykę otwartych drzwi po komendancie Wicketcie. Jeśli moje drzwi są zamknięte, to znaczy, że jest ku temu powód. Inaczej będą otwarte. Jeśli Donna nie podała jeszcze wszystkim numeru mojej komórki, weźcie go od niej. I potrzebne mi wasze. Chcę, żebyście mieli telefony stale przy sobie i naładowane. Na służbie i poza nią. Wiem, że komendant Wickett do ustalania dyżurów używał białej tablicy. Ja używam komputera. Ustaliłem harmonogram służby na kolejny miesiąc. Mam dostęp do waszych komputerów. Jeśli ktokolwiek zechce się zamienić dyżurami, wziąć wolne, możecie to ustalić między sobą. Ja tylko muszę o tym wiedzieć. Jeśli ten system się nie sprawdzi, znajdziemy inny sposób.

– Czy twoje dyżury są tam uwzględnione? – chciała wiedzieć Matty.

– Tak. A skoro jesteśmy tutaj, niech ktoś mi wyjaśni, czym, u diabła, jest to coś?

Wszyscy spojrzeli na cherlawy kwiat.

– To szkaradzieństwo – powiedziała Donna. – Żona komendanta dała mu go z jakiegoś przeklętego powodu. Powinniśmy skrócić jego cierpienia.

– No nie, Donno – zaczął Cecil.

– Komendant nie miał ręki do kwiatów, zamiast zielonego miał czarny kciuk – bez urazy, Cecilu.

Cecil, jedyny czarnoskóry w tym pomieszczeniu, tylko się uśmiechnął.

– Ja mam dwa. Ale nie możemy tak po prostu go wyrzucić. To nie w porządku.

– Czy ktoś tu ma zielony kciuk? – zapytał Reed. – Nie wiem, jakiego koloru jest mój. Nigdy nie próbowałem niczego uprawiać.

Wszyscy jak jeden odwrócili się w stronę Leona.

– Okej, Leon, jesteś odpowiedzialny za to coś. Jeśli padnie, urządzimy mu porządny pogrzeb. I zanim zacznie się sezon wegetacyjny, czy możecie powiedzieć mi coś o łubinie i czymkolwiek jeszcze, co wyrośnie przy moim domu? Nie mam o tym pojęcia.

– Mogę panu w tym pomóc.

– Świetnie. I jeszcze jedna prywatna sprawa. Myślę, że będę potrzebował kogoś do posprzątania domu, raz czy dwa w miesiącu. Nie patrzę na was. – Roześmiał się, widząc, jak wyraz ich twarzy waha się między kamiennym a przerażonym. – Proszę o radę.

– Kaylee Michael i Hester Darby obsługują Island Rentals – powiedziała Donna. – W sezonie zatrudniają tam dodatkowych pracowników, ale Kaylee i Hester mieszkają na wyspie.

– Znam Hester.

– Biorąc pod uwagę, że jest pan samotnym bałaganiarzem w tym wielkim domu, mądrzej będzie zatrudnić je obie. Zrobią wszystko szybciej i są bardzo dobrym zespołem.

– Dzięki. Porozmawiam z nimi. Jeśli ktoś z was ma jakieś sugestie, komentarze, złośliwe uwagi, teraz jest na nie pora. Jeśli macie bardziej osobiste pytania, komentarze, złośliwe uwagi, zapraszam do swojego gabinetu.

– Czy za złośliwe uwagi będzie kara dyscyplinarna?

Reed posłał Matty spokojne, zdecydowane spojrzenie.

– Chyba będziemy musieli się przekonać. Nie jestem przykładem twardziela, ale też nie jestem frajerem. Będziesz musiała znaleźć na mnie sposób. Sprawdźcie harmonogramy swoich dyżurów. Będę w swoim gabinecie.

Wychodząc, wziął sobie pączka.

Nie minęło dziesięć minut, kiedy rozległo się pierwsze pukanie w ościeżnicę.

– Wejdz, Nick.

– Wyzaczył mi pan na służbę w sobotę wieczorem. To równo sześć miesięcy od mojego ślubu i obiecałem Tarze, mojej żonie, że zabiorę ją wieczorem do Portland na elegancką kolację. Cecil powiedział, że się ze mną zamieni.

– Zmienię to. Jak poznałeś Tarę?

– Kilka lat temu wzięły z przyjaciółką wakacyjną pracę na wyspie. Jako ratowniczkę na plaży. Wyciągnęła z wody tego faceta – okazało się, że miał atak serca, o mało nie utonął. Wyciągnęła go, zrobiła mu resuscytację krążeniowo-oddechową i uratowała. Ja byłem na patrolu na plaży, więc rozmawiałem z nią, wziąłem od niej zeznanie i w ogóle. I tak to było.

Uśmiechnął się i oczy mu rozblęły.

– W każdym razie dziękuję, szefie.

Po kilku minutach weszła Matty i usiadła z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– To będzie złośliwa uwaga?

– To zależy. Zacznę od komentarza i pytania. Złośliwa uwaga zależy od twojej odpowiedzi.

Reed usiadł wygodniej w fotelu.

– Strzelaj.

– Komendant Wickett był dobrym gliną, dobrym szefem i dobrym komendantem, ale miał jeden słaby punkt. Toaleta jest wspólna.

– Tak, i nie wiem, jak mógłbym naciągnąć budżet, żeby zbudować drugą.

– Nie dbam o to. Słaby punkt komendanta oznaczał, że on oczekiwał ode mnie i Donny, że będziemy na zmianę sprzątać toaletę. Jego zdaniem dlatego, że mamy jajniki.

– Nie podzielam tego sposobu myślenia. Dopóki nie będę mógł, powtarzam, naciągnąć budżetu na tyle, żeby ktoś przychodził to robić raz w tygodniu...

– Mężczyźni są śmierdzący i niechlujni. Raz na tydzień nie załatwi sprawy.

– W takim razie dobrze, dwa razy w tygodniu, jeśli znajdę środki, żeby ktoś przychodził zająć się tym. Inaczej codziennie będzie pełna rotacja. Włączając

tych bez jajników. Wyślę w tej sprawie notatkę służbową.

– Jesteś w tym uwzględniony?

Reed uśmiechnął się do niej.

– Jestem komendantem policji. To oznacza, że nie szoruję toalety. Ale zrobię, co w mojej mocy, żeby nie być śmierdzącym i niechlujnym.

– Papier toaletowy ma być na uchwycie, a nie na cholernym boku cholernej umywalki.

– Dopiszę to.

– Kłapa sedesu ma być opuszczona.

– Jezu. – Reed podrapał się z tyłu w szyję. – A co ty na to, żeby kłapa była opuszczona po każdym użyciu? Chodzi tylko o deskę? W ten sposób faworyzuję niektórych.

– Zgoda. – Matty jednak się zawahała.

– Coś jeszcze?

– Tylko zastępcy powinni czyścić toaletę.

– Dlaczego nie Donna? Ona jej nie używa?

– Trzeba przykłęknąć, żeby sprzątnąć podłogę. Donna jest sprawna i zwinna, ale wiem, że bolą ją kolana.

– Dobrze, tylko zastępcy. Dziękuję, że mi powiedziałaś.

Matty skinęła głową i wstała.

– Dlaczego wyznaczyłeś mi patrol z Nickiem i Cecilem zamiast z Leonem?

– Ponieważ obaj potrzebują więcej zaprawy, a ty i Leon nie.

– Przedtem było...

– Teraz nie jest przedtem. Ciesz się zwycięstwem w sprawie toalety, zastępczyni. – Usłyszał, że w pokoju zastępców dzwoni telefon. – Jeśli to wezwanie, ty i Nick jedziecie pierwsi. Utrzymajmy tam bezpieczeństwo.

Pod koniec pierwszego dnia pracy wprowadził więcej poprawek – dodał nowe ustalenia, inne podtrzymał. Osobiście odebrał kilka wezwań, żeby nie wyjść z wprawy.

Pod koniec tygodnia zamknął komisariat z poczuciem pewności i satysfakcji.

Zostawił w pracy swój radiowóz, bo wolał się przejść. Gdyby otrzymał wezwanie po godzinach, mógł wziąć prywatny samochód. Zrobił zakupy w supermarkecie i wrócił do domu, wdychając powietrze, które pachniało sztormem.

Jego meteorolodzy w Sunrise powiedzieli, że nadciąga sztorm z północnego wschodu. Ponieważ oficjalna stacja meteorologiczna to potwierdziła, postanowił przygotować się na najgorsze, na wypadek, gdyby został wezwany w sprawie szkód wywołanych wiatrem, wypadków czy przewróconych drzew.

Drzewa chwiały się w porywach wiatru, ale zdołały przetrwać poprzednie sztormy. Reed skręcił na tyły domu, od strony kuchni.

Ujrzał samochód Simone zaparkowany obok jego auta i pomyślał: O tak. Nareszcie!

Nie zobaczył jej, więc obszedł dom, by znaleźć się od strony wody. I była tam, stała na wietrze z rozwianymi włosami. Miały teraz kolor ukochanej mahoniowej komody jego babci.

Łup, łup, łup – uderzało jego serce. Zastanawiał się, czy zawsze tak będzie.

– Hej, tam – zawołał. – Miły wiaterek, co?

Odwróciła się z żywym spojrzeniem i jaśniejącą twarzą.

– Nie ma to jak zbierający się sztorm. – Podeszła do niego. – Jak minął ci pierwszy tydzień?

– Nieźle. Chcesz wejść?

– Tak.

Ruszyła za nim i patrzyła, jak otwiera rozsuwane szklane drzwi do kuchni.

– Nie zamykasz domu?

– Jeśli ktoś zechce wejść, po prostu zbije szybę. – Położył torbę z zakupami z supermarketu na kuchennym blacie.

– Masz ochotę na drinka?

– Co proponujesz?

– Mam ulubione wina CiCi. – Wyjął po butelce każdego z nich i pokazał jej.

– Wybiorę caberneta – powiedziała.



Simone rozglądała się po domu.

– Ładna sofa. Powinieneś rzucić na nią kilka poduszek.

– Kobiety potrzebują poduszek. Ja jestem facetem.

– Facetem, który prawdopodobnie chciałby mieć kobiety na tej sofie.

– Masz rację. Poduszki to jest to. Nie znam się na kupowaniu poduszek. –

Otworzył caberneta.

– Nauczysz się. – Podeszła do obrazu. – To jest po prostu cudowne.

– Najwspanialszy na świecie prezent. – Wziął dla siebie piwo, Simone przyniósł wino. – Chcesz, żeby oprowadzić cię po domu?

– Tak, za chwilę. Tu, na dole, zrobiłeś dobry początek. Musisz mieć więcej obrazów, kilka foteli, kolejny stolik albo dwa, w tym jeden, który ustawisz tam, żebyś miał prawdziwy stół, kiedy ktoś przyjdzie do ciebie na kolację.

– Nie umiem gotować. Owszem, jajecznicę i GSB.

– GSB?

– Grillowany ser i bekon. Specjalność domu obok mrożonej pizzy. Jesteś głodna?

– Bardziej zaciekawiona. – Przysiadłszy na oparciu sofy, Simone sącyła wino. – Kiedy cię ostatnio widziałam, a to było ponad dwa tygodnie temu, pocałowałeś mnie i powiedziałaś, że jestem najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałeś.

– Tak powiedziałem. Bo to prawda.

– Poprzestałeś na tym.

Zrobił gest ręką, w której trzymał piwo i upił łyk.

– Jesteś tutaj, prawda?

Simone uniosła brwi tak, że jedna zniknęła pod mahoniowym pasmem włosów.

– To może oznaczać, że jesteś sprytny, potrafisz myśleć strategicznie albo masz szczęście. Zastanawiam się, która wersja wchodzi w grę.

– Po trosze każda z tych trzech. Pomyślałem, że naciskanie byłoby błędem.

– Miałaś rację. I wymyśliłeś, że czekanie przyprowadzi mnie tutaj?

– Liczyłem na to. Muszę ci też powiedzieć, że jeszcze kilka dni czekania, a ruszyłbym do ciebie. Pracowałem nad tym, jak być subtelnym w tej sprawie.

– No dobrze – odparła Simone i wstała. – Mam coś dla ciebie w samochodzie. Wahałam się, czy ci to dać. Po pierwsze dlatego, że nie byłam pewna, czy będzie pasowało. Jednak myślę, że będzie.

Podawała mu swój kieliszek.

– Może dolejesz mi wina, kiedy po to pójde?

– Jasne.

Dolał wina do kieliszka Simone, zastanawiając się, co ma o niej myśleć. Właściwie z nim nie flirtowała, raczej rozmawiała. Pomyślał, że chyba by się utopił w swojej dziwnej zielonej wannie, gdyby zdecydowała, że pozostaną jedynie przyjaciółmi.

Simone wróciła i podała mu pudełko w zamian za kieliszek.

Reed rozciął zamknięcie scyzorykiem i sięgnął do wnętrza pakunku. Pomacawszy to, co było w środku, wyjął rzeźbę przedstawiającą kobietę, nie większą od jego dłoni. Przepiękna, siedziała na jakiejś zakończonej pączkiem łydydze, sama niczym kwiat z włosami spływającymi z ramion na plecy, pomiędzy parę skrzydeł.

Trzymała rękę przy włosach, jakby odgarniała je z twarzy, usta miała wygięte w uśmiechu, a podłużne oczy były pełne wesołości.

– Twoja domowa wróżka – powiedziała Simone. – Na szczęście.

– Jezu, najpierw oryginalna Lennon, a teraz oryginalna Simone Knox.

– Niektórzy mężczyźni mogliby uznać, że wróżka jest zbyt dziewczynska.

– Uważam, że jest piękna. – Postawił rzeźbę na gzymsie kominka, przy tym rogu obrazu, gdzie siedział na nim z CiCi.

– Dobrze będzie w tym miejscu?

– Tak. Po drugiej stronie powinieneś mieć świeczniki. Coś interesującego i nie...

Reed podszedł i pocałował ją odrobinę mocniej niż za pierwszym razem.

– Dziękuję – powiedział.

- Nie ma za co. – Simone tym razem odsunęła się. – Miałeś mnie oprowadzić.
- To dobry moment. Zatrudniłem ekipę sprzątającą dwa razy w miesiącu.

Właśnie dziś tu była.

- Kaylee i Hester. Słyszałam.

Reed oprowadził ją po parterze. Simone, podobnie jak Essie i CiCi, komentowała i podsuwała rady.

Zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami.

– Gabinet – wyjaśnił, chwytając za gałkę przy drzwiach, żeby pozostały zamknięte. W żadnym wypadku nie chciał, żeby zobaczyła jego tablice. – Sam się nim zajmuję, więc teraz jest tam okropny bałagan. A tam mam pokój gościnny.

- Naprawdę bardzo ładny. Przytulny.

– Moja partnerka z policji miała konkretne pomysły, więc postarałem się je zrealizować. W większości. Mam nadzieję, że ona i jej mąż skorzystają z niego latem. Mają małe dziecko, ale jest tu drugi pokój gościnny – a właściwie dopiero będzie. I moi rodzice. Moja siostra z rodziną. Mój brat ze swoją.

- To miły pokój i z własną łazienką. Czy to była główna sypialnia?

- Nie, tamta jest na drugim końcu korytarza.

Idąc dalej, przystanęła przy łazience, którą w myślach nazwała Retro Green.

– To jest... po prostu czarujące. Ktoś inny by to wszystko wybebeszył, a ty zostawiłeś. I jest cudownie.

– Teraz muszę się przyznać, że moją pierwszą myślą było wybebeszenie. Essie, moja partnerka, miała inny pomysł. I przysłała mi zasłonę prysznicą z konikiem morskim, ręczniki, a nawet lustro nad umywalkę z ramą ozdobioną muszelkami. Sam kupiłem tylko toaletkę. Och, i poprosiłem Johna Pryora, żeby wymienił krany. Były naprawdę okropne.

– Ale pozostałeś przy starym stylu. Z połowy zeszłego wieku. Musisz mieć syrenkę – zdecydowała. – Znajdź sobie dobrą reprodukcję seksownej syreny, opraw ją na biało w stylu shabby chic, jak toaletka, i powieś na ścianie.

- Syrena.

– Seksowna.

Simone wyszła z łazienki i ruszyła za nim do głównej sypialni.

– No dobrze. – Weszła do środka i obróciła się wokół. – Czy to też pomysł twojej partnerki?

– Trochę. Nalegała, żebym kupił łóżko.

– Skoro nie miałeś łóżka, to na czym spałeś?

– To było łóżko. Takie, które składa się z materaca na sprężynowej podkładce ustawionej na podłodze. W Portland mieszkalem w okropnej norze. Wprowadziłem się tam od razu po studiach i zostałem, bo chciałem kupić sobie dom. A najpierw trzeba na niego zaoszczędzić, potem go znaleźć. To nie był ten rodzaj mieszkania, w którym myśli się o meblach.

– Przemyślałeś to. Kolory są dobrze dobrane – mocne, ale uspokajające. Podoba mi się, że nie kupiłeś nowej komody. Pomalowałeś ją na granatowo?

– Znalazłem ją na pchlim targu – wybrałem tam kilka rzeczy. Szuflady wymagały trochę pracy, ale były już pomalowane. Zobaczyłem ją i pomyślałem: załatwione.

– Żadnych zasłon przy drzwiach na werandzie. Nigdy nie zasłaniałabym takiego widoku. Jeśli chcesz pospać do późna, naciągnij prześcieradło na głowę.

Simone odwróciła się do niego.

– Czy wychodzisz rano na zewnątrz, rozglądasz się i myślisz: to wszystko moje?

Reed rozejrzał się teraz i przytaknął.

– Niemal codziennie.

Simone otworzyła drzwi na werandę i wpuściła wiatr do pokoju.

– Boże, czyż nie przenika cię na wskroś? Cała ta moc i piękno. Ta energia.

Wiatr rozwiał jej włosy w tył. Jej skóra zdawała się jarzyć blaskiem na tle gniewnego, pełnego kłębiących się chmur nieba. W oddali dostrzegła błyskawicę.

– Tak.

Zamknęła drzwi werandy i odwróciła się z tymi szalonymi, seksownymi

włosami, z tym swoim blaskiem. Podeszła do szafki nocnej i odstawiła na nią kieliszek.

– Podkładka – zauważyła.

– Jeśli bez niej postawię tu szklankę albo butelkę, słyszę głos matki – a ma ten zimny, zirytowany maminy ton: „Reedzie Douglasie Quartermaine, inaczej cię wychowałam”. Zatem... podkładki, ponieważ czasami człowiek ma ochotę wyciągnąć się tu z piwem.

– Czasami ty masz ochotę. – Podeszła do Reeda, nie odrywając wzroku od jego oczu, i zaczęła rozpinać mu koszulę.

Pochwyił ją jak szalony, biorąc wreszcie to, czego tak desperacko pragnął.

Ku swojemu – i jej – zaskoczeniu wolną dłoń zamknął na jej aktywnych dłoniach.

– Chcę trochę przyhamować – powiedział.

Brwi Simone znów uniosły się do góry.

– Ach tak?

Reed musiał zaczerpnąć powietrza, odsunąć się. Ponieważ miał pod ręką tylko jedną podstawkę, postawił piwo na talerzyku, na który co wieczór odkładał drobniaki.

– Źle to odczytałam? – zapytała.

– Nie. Masz piątkę z czytania ze zrozumieniem. Pragnąłem cię od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem, jak schodziłaś po schodach na przyjęciu u CiCi. Nie, nieprawda – sprostował. – Zapagnąłem cię, kiedy zobaczyłem cię na obrazie, na tym, który CiCi nazywa *Kuszeniem*.

– Stąd ten tytuł – powiedziała, przyglądając mu się.

– Tak, dobry tytuł. Jednak tego wieczoru, kiedy odbywało się przyjęcie, zobaczyłem cię. Zobaczyłem, jak schodziłaś po schodach, i wszystko się zmieniło. Wszystko zamarło, a potem znów ożyło. To była niesamowita chwila, Simone.

– Miewałeś już swoje chwile.

Kiedy się odwróciła, żeby sięgnąć znów po wino, Reed położył jej dłoń na

ramieniu.

– Nie takie jak ta. Wyjaśnijmy to sobie od razu. To jest kolejna niesamowita chwila. Po prostu chcę zwolnić tempo.

– Nie chcesz się dziś ze mną kochać?

– Powiedziałem, że chcę trochę zwolnić tempo. Nie mówiłem, że straciłem rozum. Chcę cię dzisiaj mieć, chyba że wyjdiesz. Po prostu chcę zrobić to powoli.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Był to długi i powolny pocałunek, w odróżnieniu do sztormu, który rozszalał się za oknem. Miękki, łagodny, rozmarzony.

– Nie wychodź – szepnął.

W odpowiedzi zarzuciła mu ręce na szyję i głębiej pocałowała.

– Jak bardzo powoli? – zapytała.

– Bardzo powoli, przynajmniej na początku. – Zsunął kurtkę z jej ramion. – Miałem w tym łóżku kilka bardzo intensywnych snów o tobie. Moglibyśmy się do niego udać.

Pochylił się do jej ust, kiedy zerwał się wiatr. Na niebie pojawiła się błyskawica, a po niej rozległ się grzmot.

Nie doceniła go, teraz to wiedziała. Była tak bardzo pewna, że po prostu wskoczą do łóżka i zaspokoi ochotę na seks, którą w niej wzbudził.

Jednak uwiódł ją tak, że uległa pokusie, by pragnąć wziąć więcej, więcej dać i poczuć.

Gdy uniósł ją nad podłogę, serce Simone zamarło i wstrzymała oddech. Wtedy znów ją pocałował. Boże, był w tym dobry. Położył ją na łóżku, a ona pociągnęła go za sobą, przyjmując jego ciężar, kształt ciała, zanim przetoczyła się na niego.

– Mogę wolniej. – Zbliżyła usta do jego ust i musnęła je delikatnie, prowokująco. – Ale również chcę.

Znów przyglądając się Reedowi, do końca rozpięła mu koszulę i zsunęła buty ze swoich nóg. Leżąc na nim, lekko przygryzła mu podbródek.

– Podoba mi się twoja twarz. Smukła, koścista, głęboko osadzone oczy o łagodnej zieleni, która wcale nie jest łagodna. Zrobiłam szkice twojej twarzy.

– Naprawdę?

– Próbuję zdecydować, co z tobą zrobić. – Odrzuciła włosy w tył i uśmiechnęła się do niego. – Postanowiłam zacząć od tego. – Przesunęła dłońmi wzdłuż jego boków i nagle drgnęła. – Masz broń.

– Przepraszam. Wybacz. – Zsunął ją z siebie i usiadł. – Nie pomyślałem o tym. – Odpiął kaburę i włożył ją do szuflady szafki nocnej.

– Zapomniałeś, że ją masz, bo stanowi część tego, kim jesteś.

– Tego, czym się zajmuję.

– I kim jesteś.

Reed odwrócił się i zobaczył, że Simone klęczy tuż za nim na łóżku.

– Wszystko w porządku – powiedziała. – Po prostu przez moment przeżyłam wstrząs. Jednak kto odróżni dobrych facetów od złych lepiej niż ty i ja? Naprawdę chciałabym, żebyś mnie teraz rozebrał.

– Z przyjemnością.

– Ale najpierw musisz zdjąć buty, żebym mogła zrobić z tobą to samo.

– Dobry pomysł. – Reed pochylił się, żeby rozwiązać sznurowadła.

– Od jak dawna tego nie robiłeś?

– Od... – Już miał powiedzieć, że od czasu, kiedy został postrzelony. – Od jesieni, z wielu powodów.

– To długo. Ja też długo. Z wielu powodów. Może moglibyśmy to przyspieszyć? Odrobinę.

– To też dobry pomysł. – Odwrócił się i ukląkł, żeby zdjąć jej sweter przez głowę. Miała na sobie czarny biustonosz, głęboko wycięty. – Rany. Wybacz, ale muszę wstrzymać się jeszcze na moment.

Położył na niej dłonie i Simone opuściła głowę w tył.

– Możesz wstrzymać się na moment. Albo dwa. Masz dobre dłonie, Reed. Silne, pewne.

– Chciałem cię nimi dotknąć. Tak jak teraz.

– Nie nalegałeś.

– Warto było czekać.

Simone uniosła głowę i otworzyła oczy.

– Dość czekania.

Zerwała z Reeda koszulę, przywarła do niego i zaczęła całować. Łapczywiej. Mocniej. Ogarnięta pożądaniem, pociągnęła za pasek u jego spodni.

W pokoju wokół nich eksplodowały błyskawice i w odpowiedzi ryknął grzmot. Lunał deszcz, niesiony wyjąłym wichrem.

Reed popchnął Simone na łóżko, ściągając z niej dzinsy, podczas gdy ona robiła to z jego dzinsami.

– Później zwolnimy – zdołała wyrzec.

– Doskonały pomysł. Pozwól mi...

Przycisnął wargi do jej ust. Było tyle do smakowania, do odczuwania. Gdy jego dłonie odnalazły ją, gorącą, wilgotną, gotową, Simone wygięła się przed nim z chrapliwym jękiem.

– Nie czekaj, nie czekaj...

– Nie mogę.

Zdjął z niej bieliznę i wszedł w nią.

Ziemia zadrżała i w końcu, nareszcie pozwolił sobie ją wziąć. Chwycił jej dłonie, jakby chciał je obie przywiązać do łóżka. Objęła go nogami, wyrzucając w górę biodra, domagając się więcej i więcej.

Zacisnęła się wokół niego jak pięść, ale się powstrzymał, ledwie się powstrzymał, aby mieć tego więcej, nawet kiedy krzyknęła.

Znów oprzytomniała i z narastającym napięciem, jęcząc, unosiła się i opadała wraz z nim.

Tym razem, kiedy dotarła do końca, powiedziała jego imię. I zanurzony w niej Reed już się nie wstrzymywał.



## ROZDZIAŁ 19

**L**eżeli spleceni ze sobą, spoceni, dyszący, podczas gdy niesiony wiatrem deszcz zmienił się w grad i uderzał w szyby z dźwiękiem przypominającym skwierczący tłuszcz. Gdyby to od niego zależało, Reed nie ruszyłby się z miejsca aż do wiosny, zadowolony z siebie i zaspokojony, u boku dziewczyny swoich marzeń.

Naprawdę zadowolony z siebie, pomyślał, kiedy Simone przesuwiała dłonie w górę i w dół po jego plecach. Nagle jej palce natrafiły na bliznę po ranie wylotowej w ramieniu.

Reed obrócił się i podparł na łokciu, spoglądając na Simone.

– Masz niezwykle oczy.

– Są brązowe.

– Niezła z ciebie artystka, jeśli „brązowe” to najlepsze określenie, które przychodzi ci do głowy. Są jak oczy tygrysa. Jak ciemny bursztyn. Wszystko dobrze?

– Niezły z ciebie szef policji, jeśli przy tylu dowodach „dobrze” to najlepsze określenie, które przychodzi ci do głowy.

– Chciałem być skromny. Naprawdę musisz tu zostać. Pogoda jest okropna. Przyznaję, że gdyby to była balsamiczna czerwcową noc, chciałbym, żebyś została na... och, na zawsze. Chyba że CiCi by uległa, wtedy musiałbym cię wyrzucić.

– Leżę naga w twoim łóżku, a ty mówisz o uprawianiu seksu z moją babcią.

– Taka jest prawda. Ale poważnie mówiąc, musisz zostać. Mam w zapasie wino, mrożoną pizzę i jeszcze więcej seksu.

Simone posłała mu szelmowskie spojrzenie z odrobiną uśmiechu.

– Jaki rodzaj mrożonej pizzy?

– Z kiełbasą i pepperoni. – Obrócił się, żeby sięgnąć po jej kieliszek z winem.

– I mam lody Dove.

– Lody Dove przesądzą sprawę. – Usiadła i wzięła od niego kieliszek. – Ale będę domagać się więcej seksu.

– Przed pizzą czy po niej?

– Po niej. Nabrałam apetytu. Muszę wysłać esemes do CiCi. Wie, dokąd się wybierałam, i domyśli się, o co chodzi, ale pogoda jest okropna i chcę, żeby wiedziała, że jestem tutaj, bezpieczna.

Reed wstał i podszedł do drzwi werandy.

– Naprawdę jest okropna. Poproś, żeby ci odpisała. Upewnijmy się, że u niej wszystko jest w porządku.

– CiCi przetrwała więcej sztormów niż my oboje razem. I ma generator. Dlatego urządza swoje tradycyjne spotkania przy północno-wschodnim sztormie. Kilkoro przyjaciół, mnóstwo jedzenia i alkoholu. Wszyscy będą tam koczować, dopóki nie przestanie wiać. Byłeś zaproszony, ale miałam inny pomysł – dodała.

Reed włączył kominek, rozjaśniając pokój migoczącym światłem elektrycznego płomienia.

– Miałaś dobry pomysł.

– Cieszę się, że tak myślisz. Bo mam jeszcze inne pomysły. Mam zamiar cię wyrzeźbić. Jako opiekuna. Obrońcę – ciągnęła w zadumie. – Nie z pistoletem, nie lubię broni. Myślę, że z mieczem. Być może w momencie, kiedy bierzesz nim zamach. Może...

Zerknął na nią przez ramię.

– Będę nosił zbroję?

Simone roześmiała się i podciągnęła, żeby oprzeć się na poduszkach, popijając wino.

– Nie, Reed. Będziesz nosił miecz.

– Naprawdę nie sędę...

– Jesteś dobrze zbudowany, masz atrakcyjne ciało. Smukłe, ale nie wychudłe. Na przyjęciu u CiCi byłeś prawie wychudły, ale wróciłeś do formy.

– Nadal brakuje mi paru kilogramów. – I chociaż nigdy nie był wstydlivy, sięgnął po porzucone bokserki. – Jakoś nie mogę ich odzyskać.

– Wyglądasz dobrze. Znam się na anatomii, na męskim ciele. Wyglądasz na sprawnego i silnego, a przy tym jesteś smukły. – Podniosła się, podeszła do niego i przeciągnęła palcami po bliznach na ramieniu i boku. – I to.

– Będziesz chciała je ukryć.

– Nie. Są częścią ciebie, częścią obrońcy. Byłeś ranny, ale nadal podnosisz miecz. To godne podziwu.

– To moja praca.

– To ty. Chłopak, który zatrzymał się w środku koszmaru, żeby chwycić przerażone dziecko, który je ochronił. Podziwiam to. Mogłabym tu zostać, gdybym nie... Dla mnie to był długi post. Jednak nie zostanę. – Wspięła się na palce i musnęła wargami jego wargi. – Muszę cię wyrzeźbić. Teraz mogłabym to zrobić z pamięci, ale wolę narysować kilka szkiców.

– Próbujesz przekonać mnie do tego za pomocą seksu.

– Och... – Z leniwym uśmiechem przesunęła dłoń po jego klatce piersiowej i w dół po brzuchu. – Tak.

– Muszę cię skłonić, żebyś to udowodniła.

Przyciągnął ją do siebie, chcąc zgnieść ustami ten uśmiech.

Wtedy zadzwonił telefon.

– Cholera, cholera! Niech to szlag! Przepraszam. – Przykucnął, żeby sięgnąć do spodni i wyjąć z ich kieszeni komórkę. – Quartermaine – odezwał się. – Okej, powoli. Gdzie? W porządku. Już jadę. Spokojnie.

– Muszę iść – wyjaśnił Simone, wkładając dzinsy. – Dziś wieczorem przyjmuję wezwania.

– Co się stało?

– Wypadek samochodowy, przewrócone drzewo i kompletna histeria.

– Mogę pojechać z tobą.

– Absolutnie nie. – Włożył koszulę. – Zostań tu. Wrzuć pizzę do piekarnika i zjedz. Napiszę ci esemes. – Wyjął z szuflady broń i przypiął do pasa.

– Musisz wziąć płaszcz nieprzemakalny.

– Na dole mam coś od deszczu. – Siedząc, zawiązał buty. – Jeśli padnie prąd, latarka jest w szufladzie, i świece, a na dole latarenka.

– Bądź ostrożny, komendancie. Pogoda jest bardzo zła.

– Szkoda, że nie mam miecza. – Wstał, objął ją i pocałował. – Pizza i lody są w lodówce. Wróć tak szybko, jak tylko będę mógł.

A więc tak to wygląda, pomyślała Simone, stojąc w pustym pokoju, kiedy zaczynasz sypiać z gliniarzem.

Nie wahał się, tak naprawdę nawet nie przeklinał. Po prostu ubrał się i wyszedł prosto w sztorm.

Podeszła do garderoby. Rozbawiło ją, że używał ćwierci – a może nawet mniej – dostępnej przestrzeni. Zajrzała do łazienki. Najwyraźniej smukły gliniarz z bliznami nie posiadał szlafroka. Wróciła do garderoby i pożyczyła jedną z jego koszul.

Wysłała CiCi esemes z krótką informacją, że sztorm przeczeka u Reeda.

Po dwóch minutach CiCi odpisała: *Hurra!*

Zastanowiła się nad pizzą, ale stwierdziła, że jeszcze trochę poczeka. Może Reed szybko wróci. Pomyślała o telewizji i zrezygnowała. Książki. Miał ich stosik w sypialni, widziała też trochę na dole.

*Paragraf 22*, kilka thrillerów. *Jakiś potwór tu nadchodzi* Raya Bradbury'ego.

Lubiła zwłaszcza tę ostatnią książkę, ale uznała, że nie jest to najlepsza lektura na samotną, ciemną i wietrzną noc w obcym jeszcze domu.

Gdyby tylko miała przy sobie szkicownik...

W nadziei, że Reed ma jakiś notes albo szkicownik, otworzyła szuflady szafki nocnej. Były tam latarka, jak zapowiedział, i iPad, za pomocą którego, jak się zorientowała, mógł włączać telewizję, zestaw muzyczny i kominek.

A więc komendant był wielbicielem technologii. Nowa cecha, uzupełniająca

jego obraz.

Gabinet, przypomniała sobie. W gabinecie musi mieć notatnik i ołówek. Wyszła z sypialni i na chwilę zatrzymała się przy łazience w stylu retro. Może namaluje mu seksowną syrenkę. Nie była tak dobrą malarką, jak CiCi Lennon, ale da radę stworzyć zabawną, seksowną syrenkę.

Czekając na powrót Reeda, zrobi rysunki syrenek i kilka szkiców *Obrońcy*.

Studium z boku – prawego, bo chciała pokazać blizny – głównie plecy i pośladki, postać z głową odwróconą w prawo, uchwyconą z mieczem oburącz uniesionym w zamachu do dołu.

Musi go poprosić, żeby na razie nie obcinał włosów. Chciała, żeby były dość długie i zmierzwione.

Gdy otworzyła drzwi gabinetu, niebo rozdarła kolejna błyskawica i Simone pomyślała o Reedzie, który wyszedł na tę pogodę, bo ktoś potrzebował pomocy. Przyznała, że przyszła tu po seks – głównie po to. Jednak została i czekała, ponieważ zaczęła odkrywać, kim był.

Włączyła światło i pomyślała, że mówił prawdę o bałaganie. Stosy dokumentów na kanciastym starym biurku i pluszowy miś z pistoletem i policyjną odznaką. Składane krzesła pod ścianą, otwarty kosz na śmieci wypełniony pustymi butelkami i puszkami. Mapy przypięte wprost do niewykończonych ścian.

Jednak, oto był, stos notatników – mogą się nadać – w szafie pozbawionej drzwi.

Weszła, wzięła jeden z nich i odwróciła się do biurka, żeby poszukać ołówków.

Wtedy je zobaczyła. Zobaczyła to, co wypełniało dwie wielkie tablice.

– Boże. O Boże. – Musiała chwycić się oparcia fotela przy biurku, nabrać powietrza i je wypuścić.

Znała te twarze, tak wiele z nich. Niektóre z nich uformowała już własnymi dłońmi.

Oto chłopak, którego, jak sądziła, kochała. Oto jej przyjaciółka. A tam Angie

Reeda.

Miał zdjęcia – nie tylko twarzy, ale ciał, krwi, potłuczonego szkła, broni. Uświadomiła sobie, że jedna z tych strzelb zabiła Tish, raniła Mi.

Simone patrzyła na zdjęcia zabójców – chłopców, zaledwie chłopców. Hobart, Whitehall, Paulson.

A na drugiej tablicy Patricia Hobart – jej zdjęcie i narysowana twarz. Na rysunku wyglądała inaczej, ale Simone ją rozpoznała.

Zrozumiała, że tę twarz widział Reed, kiedy Hobart próbowała go zabić.

Kolejne twarze, kolejne nazwiska i zwłoki. Daty, nazwy miast.

Zdała sobie sprawę, że patrzył na to codziennie. Przyglądał się i szukał odpowiedzi.

– Moja twarz – szepnęła, dotykając zdjęcia dziewczyny, którą była, kobiety, którą się stała. – Moja twarz na jego tablicy. Jego twarz i moja. Patrzy, nie odwracając wzroku, nigdy nie odwracał.

Dlatego usiadła przy jego biurku i również nie odwracała wzroku.

Kiedy Reed wrócił do domu, przemoknięty, tuż przed drugą w nocy, zastał Simone siedzącą przy kominku w jednej z jego koszul, popijającą colę i czytającą Bradbury'ego.

– Hej, nie musiałaś na mnie czekać.

– Nie mogłam zasnąć. – Wstała. – Przemokłeś.

– Tak. Wydaje mi się, że sztorm trochę słabnie, ale prawdopodobnie jeszcze przez kilka godzin nie przestanie wiać. – Zdjął czarny płaszcz przeciwdeszczowy z odblaskowym napisem POLICJA na plecach i z przodu. – Pralnia. – Gestem wskazał pomieszczenie i zniknął w nim.

Gdy pojawił się, boso, Simone stała przy lodówce, wydając z niej karton z jajkami.

– Jest zbyt późno na pizzę.

– Nigdy nie jest zbyt późno na pizzę – zaproponował. – A ty nie jadłaś?

– Jeszcze nie. Dla siebie też mogę usmażyć jajecznicę. Co się stało? Było

bardzo źle?

– Znasz Wagmanów?

– Priscilla – mówią na nią Prissy – i Rick. Mieszkają obok szkoły.

– Pokłócili się. Najwyraźniej mieli jakieś małżeńskie problemy.

– On miał – i prawdopodobnie nadal ma – romans z kobietą, która zeszłego lata pracowała przy homarach w Benson's Lobster Shack. Pochodzi z Westbrook. Dwukrotna rozwódka.

– A więc wiesz, o co chodzi. Masz ochotę na latte?

– Jest zbyt późno na latte.

– Ale pijesz colę.

– Bez sensu, prawda? Wypiję latte. Na chwilę zmienię temat – powiedziała, roztapiając na patelni kawałek masła i wbijając jajka do miseczki. – Zamiast soli i pieprzu możesz używać ziół, przypraw i skrawków czerwonej papryczki.

– Zapisz mi, a kupię je.

– Co się działo z Prissy i Rickiem?

– Wielka kłótnia, bo on najwyraźniej nadal spotyka się z kobietą z Westbrook. Dziś, podczas sztormu, Prissy postanowiła powiedzieć Rickowi – pijanemu Rickowi – że wynajęła adwokata i zamierza złożyć pozew o rozwód.

– Trudno jej się dziwić.

– Rzeczywiście – przyznał Reed. – W jego kieszeni znalazła paragon ze sklepu z bielizną w Westbrook, co dowodzi, że jest oszustem i głupkiem. A to wszystko teraz, kiedy mają pewne finansowe problemy, a on przysięgał, że skończył z odbiorczynią seksownej bielizny. Prissy zaczęła wyciągać jego ubrania z garderoby i zagroziła, że je spali. Rzuciła jego trofeum najlepszego zawodnika w softballu, które otrzymał w liceum. Rick twierdzi, że rzuciła nim w niego. Ona, że w ścianę. Jestem skłonny wierzyć jej, bo nie sądzę, żeby chybiła, a on był zbyt pijany, żeby się uchylić.

Gdy Simone roztrzepywała jajka, Reed postawił jej latte na śniadaniowym blacie.

– W każdym razie – opowiadał dalej – Rick wybiegł na deszcz, pijany

i wkurzony. Stracił panowanie nad kierownicą i uderzył w drzewo. Większa część drzewa upadła na auto Curta Seabolda. Ten wybiegł z domu, też lekko pijany, i pobili się z Wagmanem, przy czym Seabold miał przewagę, bo był tylko trochę pijany i nie krwawił po zderzeniu z cholernym drzewem. Alice, żona Seabolda, wybiegła i zobaczyła Wagmana na ziemi, podczas gdy jej mąż zataczał się z krwią płynącą z nosa, i zadzwoniła pod numer alarmowy.

– Przynajmniej ktoś zachował się rozsądnie.

– No tak. Musiałem aresztować ich obu i zawlec ich żalosne tyłki na pogotowie. Seabold już wrócił do domu, myślę, że czeka go areszt domowy, dopóki tego wszystkiego nie wyjaśnimy. Wagman nadal jest w klinice. Ma złamane żebro – a wiem, że to nie zabawa – lekkie wstrząśnienie mózgu, pękniętą wargę, stłuczone kolano i tak dalej. Prissy, która nie ma za grosz współczucia, zaproponowała, żebym mu kazał zadzwonić do jego dziwki, ale odmówiłem.

– Mądrze. – Simone opiekła trochę chleba, który kupił w supermarkecie, i postawiła przed nim talerz, a drugi wzięła dla siebie. – Wyspa będzie się z tego śmiać całymi tygodniami. Mam nadzieję, że ona nie przyjmie go z powrotem.

– Wydaje się bardzo zdecydowana w tej sprawie.

– O ile wiem, przyjęła go z powrotem już przynajmniej raz – chodziło o inną pracownicę sezonową. Byli wtedy trzy czy cztery lata po ślubie. Nigdy nie będzie jej wierny, ani tej dziwce. Przystawiał się do mnie ledwie w zeszłym tygodniu.

– Naprawdę?

– W idiotyczny sposób. – Simone skosztowała latte. – Dobra kawa.

– Wprawiałem się. Jajecznicza jest świetna.

– Byłaby lepsza z odrobiną tymianku.

– Tymianek jest na liście. – Reed dotknął palcem skroni. – A jak ty spędziłaś wieczór?

Postawiła latte i spojrzała mu w oczy.

– Muszę się do czegoś przyznać.



– Powinnaś chociaż pozwolić mi najpierw cię przesłuchać. Już widziałem, że ukradłaś mi koszulę. Poniesiesz konsekwencje.

Simone położyła dłoń na jego rękę.

– Najpierw muszę cię przeprosić. Byłam niegrzeczna i naruszyłam twoją prywatność.

– Znalazłaś moje pisma pornograficzne?

– Masz pisma pornograficzne?

Reed z kamienną twarzą odwrócił wzrok.

– Jakie pisma?

Simone roześmiała się lekko.

– Boże, jesteś tak cholernie pociągający. Kiedy wyszedłeś, byłam niespokojna. Chcę wyznać coś innego, co do mnie dotarło. Gdyby to był ktoś inny, wróciłabym do domu. Powiedziałabym sobie: no cóż, było fajnie, zostawiłabym ci radosny liścik i wróciła na imprezę u CiCi. Ale tego nie zrobiłam i naprawdę muszę to przemyśleć. Nawet przez chwilę nie brałam pod uwagę, że mogłabym wyjść.

– Prosiłem cię, żebyś została.

– To nie miałyby znaczenia – podkreśliła. – Gdyby to był ktoś inny, nie miałyby znaczenia. W college’u specjalizowałam się w przygodach na jedną noc.

– To było dawno temu, Simone.

– Tak, ale muszę się zastanowić dlaczego, będąc niespokojna i sama w cudzym domu, nawet nie wzięłam pod uwagę powrotu do siebie. Jednak ponieważ się denerwowałam, pomyślałam, że mogłabym trochę poszkicować. Narysować ciebie albo syrenę na ścianę do twojej łazienki. Tyle że nie miałam przy sobie szkicownika. Dlatego weszłam do twojego gabinetu, żeby poszukać szkicownika.

– Och. – Powieki opadły na te interesujące zielone oczy. – Okej.

– Zamknąłeś drzwi.

– Nie zamknąłem ich – podkreślił. – Nie powiedziałem: „Nie wchodź tam,

jeśli wiesz, co dla ciebie dobre”.

– Boże, jesteś taki opanowany, taki poważny. – Nie czując się równie opanowana, przeczesła włosy palcami. – Zobaczyłam w szafie notesy – nie miała drzwi.

– Musiałbym je otwierać i zamykać. Jaki w tym sens?

– Wtedy zobaczyłam, co robisz. Te wielkie przesuwane tablice. Zdałam sobie sprawę, że część tego, co na nich jest, ma urzędowy charakter. Zdjęcia z miejsc zbrodni i protokoły.

– Tak. Ponieważ nie jesteś podejrzana, możemy o tym zapomnieć. Jednak przykro mi, że to zobaczyłaś.

– Ty na to patrzysz. Na martwe ciała, na zabójców. Patrzysz na to, bo ktoś musi. Mam rację? Nie mów, że to część twojej pracy, Reed. – Ścisnęła jego dłoń.  
– Nie mów tego.

– To część pracy, tej, którą wybrałam. To część mojego życia. To rodzaj... misji, jeśli to nie brzmi zbyt banalnie.

– Ani trochę.

– Nie przestanę, dopóki jej nie dopadnę. Jeśli federalni mnie w tym ubiegną, w porządku. Tak czy inaczej, sprawa będzie zamknięta. Kiedy to się stanie... – Wyciągnął rękę i odgarnął jej włosy z twarzy. – Zlikwiduję tablice. Odłożę wszystko do akt.

– Potrafisz to zrobić?

Usiadł wygodniej z kawą w ręce.

– To, co się wydarzyło tamtej nocy, jest częścią nas i zawsze pozostanie. Ale nas nie definiuje i nie może definiować. Nie ciebie czy mnie, ani tego, kim ty i ja będziemy razem. Potrzebujemy – jakkolwiek oklepane jest to słowo – zamknięcia. I trochę choleralnej sprawiedliwości.

– Tak. – Simone westchnęła. – My, nikt z nas, nigdy jej nie otrzymaliśmy.

– Będę pracował, żebyśmy otrzymali jedno i drugie. Potem będę myślał o Patricii Hobart siedzącej w celi do końca życia i będę czuł się z tym dobrze. Lepiej niż dobrze.

– Obrałeś taką drogę. Tak to widzisz. Dobrzy faceci ścigają złych.

– Tak powinno być. A co ty robisz, Simone? Tworzysz pomnik. Pracujesz, wkładając w to całe serce, żeby uczcić martwych i pocieszyć tych, których zostawili. To także praca, ale nie tylko. To twoja misja.

– Późno się do tego zabrałam.

– Co z tego?

– Jesteś dla mnie cholernie dobry – stwierdziła. – To mnie przeraża.

– Będę nawet lepszy, więc musisz się do tego przyzwyczaić albo żyć w strachu. – Wziął ich talerze i zaniósł do zlewu.

– Opowiesz mi o swojej pracy? Na przykład dlaczego jesteś przekonany, że Patricia Hobart ma zamiar zabić któregoś z ocalałych, kto przeprowadził się na południe? Dwie osoby z Florydy są na górze twojej listy.

– To moje zdanie, oparte głównie na przecuciu. Problem w tym, że ocalały setki ludzi. Ona ma ogromny wybór. Opowiem ci o tym, a ty opowiesz mi o swojej pracy. Ale nie dziś. Skontaktowałaś się z CiCi?

– Tak. Dostałam radosne „hurra!”.

– Teraz już pewnie nie zechce uprawiać ze mną gorącej, słodkiej miłości. – Odwrócił się do Simone. – Chyba muszę zadowolić się tobą.

Simone przechyliła głowę.

– We Florencji mieszka niezwykle atrakcyjny włoski wiolonczelista o imieniu Dante, z którym wiele razy uprawiałam gorącą, słodką miłość. I znów mogę to robić. Jednak dopóki nie jestem we Florencji, chyba muszę zadowolić się tobą.

– Mocno się odgryzłam. Obiecałem ci więcej seksu.

– Rzeczywiście.

– Dotrzymuję słowa.

Wyciągnął rękę. Simone ją ujęła.

Zanim nastał jasny, wietrzny świt, Reed zdołał przespać parę godzin. Powiedział Simone, żeby spała dalej i została u niego tak długo, jak zechce, po czym wyszedł z domu z termicznym kubkiem z kawą i sprężystym krokiem, który mówił: „Tej nocy miałem mnóstwo seksu”.

Ruszył pieszo, pomimo lodowych łąt i śliskiego błota, ponieważ chciał zrobić przegląd zniszczeń dokonanych przez sztorm. Zobaczył wiele złamanych gałęzi i potężnych konarów, ale żadne drzewo nie miało takiego pecha, jak to u Curta Seabolda.

Należy to uprzątnąć, stwierdził. Będzie musiał kupić piłę łańcuchową i zachować ostrożność, żeby nie zabić nią siebie albo kogoś innego. Woda miała jasnoblękitny kolor, ale fale przetaczały się po niej gwałtownie, pędząc białe grzywy.

Reed dostrzegł trzech ludzi, którzy naprawiali uszkodzone letnie domki i zatrzymał się, żeby sprawdzić, co się stało.

Tu i tam zdmuchnięty gont, połamane gałęzie naniesione przez wiatr i – jak powiedział jeden z mężczyzn – przekłeta kupa błota, bo deszcz napadał na lód.

Na drodze natknął się na pogięty rower, ale nie znalazł śladów krwi ani rowerzysty. Podniósł rower i zabrał ze sobą. Czyjaś chorągiew – różowa z białym pegazem – podarta i mokra leżała w kałuży. Tę zostawił.

Kilka osób, które już zaczęły sprzątać swoje podwórka, zawołało go, żeby zapytać, jak się miewał po swoim pierwszym sztormie z północnego wschodu.

Nie przyznał się, że większą jego część spędził w łóżku z piękną kobietą.

Jednak to pomyślał.

Pogięty rower zostawił pod Sunrise, gdzie wszedł, żeby uzupełnić kawę w kubku i posłuchać nowin.

Gałęzie i konary, zarwany pomost, niewielkie zalania. Jednak rozmowy koncentrowały się głównie wokół incydentu z Wagmanem i Seaboldem. Mimo że naciskano na Reeda w kwestii szczegółów, odmówił ich wyjawienia.

Plotkowanie w kawiarni o aresztowaniach byłoby w złym tonie.

Zaprowadził rower do komisariatu, gdzie zastał Donnę i Leona, którzy też już plotkowali.

– Gdzie pan znalazł rower młodego Quentina Hobbsa? – zapytała Donna.

– Jakies półtora kilometra od miasteczka. Skąd pani wie, że to jego rower?

– Mam oczy. I jego matka, która jest tak głupiutka jak pijana tancerka

kankana, właśnie zadzwoniła, żeby powiedzieć, że ktoś w czasie burzy ukradł chłopcu rower.

– Pijana tancerka kankana?

– Widział pan kiedyś jakąś?

– Ani pijanej, ani trzeźwej.

– Może mi pan wierzyć. Zapytałam ją: „Czy twój syn zabezpieczył rower w szopie, czy go przywiązał?”. Nie zrobił tego, bo wdał się w matkę, i nigdy nie robi. Ten rower odleciał, oto, co się stało.

– Zgadzam się z Donna – powiedział Leon. – Nikt nie ukradnie dziecku roweru. I z pewnością nikt nie będzie wychodził, by to zrobić, nie zważając na burzę.

– Teraz to śmieć. Może jej pani powiedzieć, że go znaleźliśmy.

– Zapewne zażąda zbadania odcisków palców i wszczęcia śledztwa.

– Rozczaruje się. Leonie, byłbym wdzięczny, gdybyś udał się do kliniki, gdzie przykułem Ricka Wagmana kajdankami do łóżka, i sprawdził, w jakim jest stanie. Jeśli dobrym, możesz go tu sprowadzić i zamknąć w areszcie. Postawiłem mu już zarzuty i przeczytałem jego prawa.

– Słyszałem o tym. Czy pobił Prissy?

– Nie, inaczej o to też zostałby oskarżony. Zarzuciłem mu kierowanie pojazdem pod wpływem alkoholu, brawurową jazdę, napaść – na Curta Seabolda, zniszczenie prywatnej własności i opór przy aresztowaniu, kiedy próbował mnie zaatakować, gdy tam dotarłem.

– Zamachnął się na pana? – zapytała Donna, patrząc na niego spod zmrużonych powiek.

– Prawie. Miał wstrząśnienie mózgu, był pijany i głupi. Curtowi postawiłem zarzut napaści, bo obaj próbowali dotkliwie się pobić. Pozwoliłem mu zostać w domu i nie widzę powodu, żeby go zamykać.

Leon zmarszczył brwi i potarł podbródek.

– Mam wrażenie, że Curt się bronił.

– On pierwszy się zamachnął, Leonie, sam to przyznał. Wypił kilka drinków,

ale nie usiadł za kierownicą i już nigdy nie wsiądzie do tego auta, sądząc po jego stanie. Spodziewam się, że oskarżenie przeciwko niemu zostanie wycofane, ale na razie musi stanąć przed sądem. Jak Cecil by to przyjął, gdybym go poprosił, żeby podjechał tam z piłą łańcuchową i pomógł Curtowi pociąć drzewo, które spadło na samochód?

– Powiedziałbym, że dobrze by to przyjął.

– Zatem tak zrobimy. Nick i Matty mają służbę w następnej kolejności, ale ściągnę ich, jeśli będzie trzeba. Leonie, chcę, żeby Wagman znalazł się w celi, jak tylko lekarze go wypuszczą. Wczoraj wieczorem przygotowałem już dokumenty w jego sprawie. Może wziąć sobie adwokata, spróbować wystąpić o zwolnienie za kaucją, ale teraz ma być w celi albo w klinice przykuty kajdankami do łóżka. Pod moim okiem nikt na wyspie nie będzie jeździł po alkoholu, nic sobie z tego nie robiąc.

– Tak jest, panie komendancie.

– Wygląda pan całkiem żwawo jak na kogoś, kto przez pół nocy użerał się z pijakami.

Reed uśmiechnął się do Donny.

– Naprawdę? Widać to moje pogodne usposobienie. Będę w swoim gabinecie. Przyślijcie do mnie Cecila, kiedy się pojawi. Donno, jeśli nie przyjdzie za dziesięć minut, zadzwoń do niego i powiedz, żeby się pospieszył.

Wszedł do gabinetu, usiadł i włączył komputer. Potem skontaktował się z prokuratorem, który zajmował się wyspą, kiedy zachodziła taka potrzeba.

## ROZDZIAŁ 20

**R**ick Wagman dostał wyrok sześćdziesięciu dni więzienia, cofnięto mu prawo jazdy (nie pierwszy raz za brawurową jazdę po pijanemu) i nakazano obowiązkowy odwyk. Ponieważ cudzołóstwo nie jest przestępstwem, Reed uznał, że to wystarczająca kara dla tego pijanego dupka.

Kwiecień rozpoczął się dwoma dniami śniegu. Początek wiosny cofnął wyspę do połowy zimy, więc pługi śnieżne i łopaty pracowały. Potem wychynęło słońce i temperatura podniosła się do dziesięciu stopi Celsjusza. Śnieg zaczął gwałtownie topnieć i spływał strumieniami, robiąc dziury w asfalcie i zalewając plaże.

Pierwsze trzy tygodnie pracy Reed poświęcił głównie incydentom związanym z pogodą. Po godzinach starał się pokazywać w miasteczku, spacerując albo jeżdżąc na rowerze po wyspie, często z CiCi, Simone lub z nimi obiema. Spędzał z Simone w swoim łóżku tyle nocy, ile tylko mógł. I co wieczór przynajmniej godzinę poświęcał Patricii Hobart.

W połowie kwietnia w wolny dzień popłynął promem do Portland. Nie zdołał namówić Simone, żeby mu towarzyszyła. Pojął, że zapewne nie powinien był wspominać o wizycie u jego rodziców.

Zjechał z promu, zatrzymał się, żeby kupić kwiaty i zamiast nich w końcu wybrał sadzonkę obłędnie niebieskiej hortensji ogrodowej. Po namyśle kupił trzy.

Nie tylko do rodziców wybierał się z wizytą w tę wiosenną niedzielę.

Zjadł późne śniadanie z rodziną, pobawił się z dziećmi, pogadał o niczym z bratem, podokuczał siostrze, pomógł ojcu zasadzić z wdzięcznością przyjęty

krzew.

I zabrał ogromną paczkę z zapasami jedzenia.

Następnie pojechał do Leticii Johnson. Zastał ją siedzącą na ganku, gdzie sadziła bratki do doniczek. Kiedy podjechał pod jej dom, zdjęła ogrodnicze rękawice.

To niesamowite, pomyślał, że wygląda tak samo, jak tego wieczoru, kiedy ją poznał.

Zerknął na drugą stronę ulicy i stwierdził, że o niej nie może powiedzieć tego samego.

Właściciel rzeczywiście sprzedał działkę. Nowi nabywcy zrównali z ziemią to, co zostało z domu, i zbudowali ładny, nieduży dom z werandą – błękitny z białym wykończeniem. Dodali betonowy chodnik, asfaltowy podjazd i zasadzili wokół grupy roślin.

Sąsiedni dom Roba i Chloe już dawno został odremontowany i był teraz ładnym jednopiętrowym, szarzielonym budynkiem z garażem z boku, nad którym znalazł się dodatkowy pokój.

Reed wiedział też, że urodziło im się drugie dziecko.

Wyjął sadzonkę z samochodu i podszedł do uśmiechającej się na powitanie Leticii.

– Co za miły widok w ten słoneczny dzień.

– Nie tak miły jak pani. – Pochylił się, by pocałować ją w policzek. – Mam nadzieję, że lubi pani hortensje.

– Oczywiście, że lubię.

– Zatem proszę wybrać miejsce i powiedzieć mi, gdzie znajdę szpadel.

Chciała mieć hortensję tuż przed domem, żeby mogła na nią patrzeć, kiedy usiądzie na ganku. Podczas gdy Reed kopał, weszła do środka i wróciła z plastikowym pojemnikiem.

– Ziarna kawy i trochę skórek pomarańczy, których jeszcze nie dodałam do kompostu. Zakop je przy korzeniach, chłopcze. Sprawia, że kwiaty pozostaną niebieskie.



– Polubiłaby pani mojego ojca. Właśnie zawiozłem mu jeden krzew i powiedział to samo. Co pani wie o łubinie?

Rozmawiali o ogrodnictwie, ale większość z tego brzmiała dla Reeda jak obcy język.

Potem siedział z nią na ganku, popijając lemoniadę i jedząc ciasteczka.

– Wyglądasz na zdrowego i szczęśliwego. Życie na wyspie ci służy.

Reed nie zapomniał, że przyszła odwiedzić go w szpitalu – dwa razy.

– Rzeczywiście. Mam nadzieję, że czasem pani tam przyjedzie i pozwoli się oprowadzić. Możemy posiedzieć na mojej werandzie.

– Potrzeba ci raczej ładnej młodej kobiety, żeby tam z tobą siedziała.

– Pracuję nad tym.

– Chwała Bogu.

– Co słyhać u sąsiadów?

Oboje spojrzeli na drugą stronę ulicy.

– U Chloe, Roba i ich córeczek wszystko w porządku. Urocza rodzina. Naprzeciwko wprowadzili się nowi, tam gdzie mieszkała ta biedna kobieta.

– Tak?

– Dla rodziny, która zbudowała dom – bardzo ładny – okazał się ostatnio za mały. Teraz mieszka tam młoda para, jesienią spodziewają się pierwszego dziecka. Są bardzo mili. Na powitanie zaniósł im szarlotkę, a oni od razu zaprosili mnie do środka i oprowadzili po domu. I co tydzień, kiedy wywożone są śmieci, on i Rob na zmianę przychodzą tu, żeby zabrać moje kubły i postawić je przy krawężniku.

– Cieszę się, że to słyszę.

– Ciągle myślisz o tym, co tu się wydarzyło.

– Ona wciąż gdzieś tam jest.

Kręcąc głową, Leticia pogładziła krzyżyk, który nosiła na szyi.

– Osoba, która zamordowała własną mamę, swoich dziadków, nie jest człowiekiem. Jest czymś innym, co nawet nie ma nazwy.

– Mam dla niej wiele określeń. Pani Leticio, wiem, że pani wiele z nią nie

rozmawiała, jednak widywała ją pani. Kiedy tu bywała. Szukam schematów i odstępstw od nich.

– Tak jak już mówiliśmy, przyjeżdżała z zapasami i zostawała na chwilę. Przywoziła coś na Dzień Matki, na Boże Narodzenie. Nigdy nie wyglądała na zadowoloną z tego powodu.

– Czy kiedykolwiek zmieniła wygląd? Na przykład włosy, styl?

– Nie tak, żeby o tym wspominać. Jednak teraz przypominam sobie, że widziałam ją w jednym z tych strojów, w których dziewczyny ćwiczą. Jak do siłowni albo do biegania. To nie był jej zwykły ranek i wyglądała na mocno zirytowaną. Muszę przyznać, że miała lepszą figurę, niż sądziłam.

– Biegała prawie codziennie. Sprawdziliśmy to. Interesujące.

– Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że to było wtedy, kiedy jej mama zachorowała.

– Możliwe, że Marcia Hobart zadzwoniła do Patricii i kazała jej przyjechać wcześniej, a ta nie chciała zrezygnować z porannego biegania.

– Teraz przychodzi mi do głowy coś jeszcze. – Leticia postukała palcem w kolano. – Tego dnia nie wyglądała ani nie zachowywała się inaczej, ale może to jest to odstępstwo od schematu, o którym mówisz.

Leticia z zamkniętymi oczami zaczęła bujać się w fotelu, próbując coś sobie przypomnieć.

– To była zima – nie pamiętam dokładnie kiedy. Ale dzieciaki lepiły mi bałwana przed domem. Myślę, że to było jakieś pięć czy sześć lat temu. Mój wnuk – wiesz, ten policjant – odgarniał mi śnieg ze schodów i chodnika. Miał na sobie szalik, który mu wydziergałam na gwiazdkę, więc musiało być po świętach. Stałam na zewnątrz i przyglądałam się – zniosłam dzieciom marchewkę na nos dla bałwana – i wtedy przyjechała. – Leticia otworzyła oczy i spojrzała na Reeda. – Od razu, kiedy wysiadła z auta, zauważyłam, że była zirytowana, bo chodnik przed tamtym domem nie był odśnieżony. Zawołałam ją i zapytałam, czy chce, żeby któreś z dzieciaków odgarnęło śnieg, bo dziewczyna, która miała to zrobić, leżała chora na grypę.

Leticia znów przez chwilę bujała się w fotelu, a potem skinęła głową.

– Teraz sobie przypomniałam. Wydaje mi się, że kiedy to mówiłam, podeszłam do niej, a ona opuściła głowę, jak zwykle. Chwyciłam byka za rogi i zawołałam do wnuka, żeby przyszedł i odśnieżył chodnik dla tej pani, a najstarszemu z dzieci powiedziałam, żeby zaniósł do domu jej zakupy.

– Jak to przyjęła?

– Znalazła się w sytuacji bez wyjścia, prawda? Potrzebowała pomocy i pomoc właśnie przychodziła. Powiedziałam jej, że chyba złapała trochę słońca, bo tak wyglądała. Odpowiedziała, że była na wakacjach. Mój chłopiec odśnieżał jej chodnik, dzieciak niósł na ganek dwie torby z zakupami, więc utknęła tam i była wyraźnie zirytowana. Powiedziała, że nienawidzi tu wracać w czasie zimy i że chciałyby wszystkie zimy spędzać na Florydzie.

– Padło konkretnie słowo „Floryda”?

– Tak. Na Florydzie mają słońce, palmy i baseny, a tu mamy śnieg, lód i mróz. Wydaje mi się, że tylko tyle padło z jej strony podczas całej naszej rozmowy, więc powiedziałam jej, że to miło, że miała wakacje, i zapytałam, gdzie była na Florydzie? Mruknęła tylko, że musi już pójść do matki i odeszła. Przystanęła i zaproponowała mojemu wnukowi, który nadal odśnieżał, że mu zapłaci, ale nie przyjął pieniędzy. Jest dobrze wychowany.

– Zabiła kobietę w Tampie w lutym dwa tysiące jedenastego.

– Mój ty Boże! Jej opalenizna jeszcze nie zniknęła, więc to musiało być wkrótce potem. Opalała się, odbierając komuś życie i stała tu, narzekając na śnieg. Myślisz, że wróciła na Florydę po tym, jak cię postrzeliła?

– Nie, uważam, że pojechała do Kanady. Trafiłem ją, zostawiła ślady krwi. I musiała się spieszyć.

– Zdążyła zastrzelić własnych dziadków. – Leticia znów sięgnęła do krzyżyka.  
– Niech spoczywają w pokoju.

– Nienawidziła ich, podobnie jak matki. I musiała cierpieć. Czemu nie odreagować na nich? Jednak naprawdę cierpiała i nie wyobrażam sobie, żeby mogła przejechać całą drogę na Florydę z raną postrzałową. Kanada jest bliżej.

Miała nowy dowód tożsamości, przekroczyła granicę i znalazła kryjówkę. Sądzymy, że ma mnóstwo pieniędzy i karty kredytowe na fałszywe nazwisko. Myślę, że teraz jednak jest na Florydzie. Dobrze się tam bawiła. – Reed spojrział na Leticję. – I myślę, że mieszkają tam jej dwa kolejne cele.

– Musisz ich ostrzec, Reed. Nie mów, że to FBI prowadzi śledztwo. Ci ludzie muszą mieć szansę podjąć środki ostrożności, zabezpieczyć się.

Kiedy pocałował ją na pożegnanie, Leticia przyglądała się, jak odjeżdża. Martwiła się o tego chłopca. Osoba, która nie była człowiekiem, ale czymś tak złym, że stara kobieta nie miała na to nazwy w swoim słowniku, już raz próbowała go zabić. Z pewnością znów spróbuje. Trzeba się modlić i Leticia będzie to robić, aby okazał się wystarczająco mądry i wystarczająco dobry jako policjant, by złapać Hobart, zanim ona dopadnie jego.

Essie osłupiała, kiedy Reed podał jej hortensję.

– Powinnaś zasadzić ją z ziarnami kawy z powodów, które dla mnie są absolutnie niezrozumiałe. Dam ci tę roślinę w zamian za piwo.

– To piękna roślina. Hank! – zawołała. – Reed przywiózł nam roślinę.

Najpierw wybiegli Dylan i Puck.

– Mój kumpel! – Reed przybił piątkę z chłopcem i pochylił się, żeby pogłaskać merdającego psa.

– Jedziemy na wyspę? Możemy jechać już teraz?

– Musimy trochę z tym poczekać.

– O! Ja i Puck chcemy jechać!

Reed wziął go na rękę.

– Już niedługo. Kiedy przyjdziecie, zrobię ciebie i Pucka swoimi zastępcami na jeden dzień.

– Będziemy mieli wielkie odznaki?

– Bez odznaki nie możesz być zastępcą. Cześć, Hank.

– Cześć, Reed. Ładna hortensja. Nikko blue. Wymaga kwaśnej gleby, żeby zachować ciemnoniebieski kolor.

– W takim razie oddaję ją facetowi, który się na tym zna.

Wypił piwo z Hankiem, a potem podziwiał figurki z serialu *Power Rangers i dinozaury* Dylana. Hank dostrzegł subtelne porozumiewawcze spojrzenie między żoną a jej byłym partnerem.

– Hej, Dylan, chodźmy wykopać dołek dla rośliny. Już znalazłem dla niej miejsce.

– Chcesz jeszcze jedno piwo? – zapytała Essie, kiedy jej mężczyźni wyszli do ogrodu.

– Nie, dzięki. Muszę zdążyć na prom i nie mam zbyt wiele czasu. Zatrzymałem się, żeby porozmawiać z Leticją Johnson – zaczął i przekazał jej nowe informacje.

– Od początku wiedzieliśmy, że pojechała na Florydę, Reed.

– To prawda. Jednak myślę, że coś ją tam przyciąga. Rozmawiała o tym, a zwykle stara się prawie nic nie mówić. Wspomniała o Florydzie... A ta kobieta w piekarni, gdzie zwykle zaglądała rano? Hobart jej powiedziała, że wyjeżdża na kilka dni do sanatorium w górach.

– Jest kłamczynią, to też już wiemy. Jednak masz rację. Wymknęło się jej, bo była wkurzona – stwierdziła Essie.

– Zostawiła za sobą słońce i palmy, a tu czekały ją śnieg i mróz, a na dodatek nikt nie odśnieżył przekłętego chodnika.

– Pani Leticia w pewien sposób na chwilę ją osaczyła, więc trochę odpuściła, trochę ponarzekwała.

– Jakie naprawdę znaczenie miałyby to, co powiedziała jakiejś wścibskiej starej kobiecie mieszkającej w sąsiedztwie jej matki? Była zirytowana z powodu śniegu, bo dziewczyna go nie odgarnęła, i właśnie popełniła morderstwo. Tak. – Essie pokiwała głową. – Wymknęło się jej.

– Ona jest na Florydzie, Essie. Ja to wiem.

– Reed, nie mamy żadnego tropu, który by tam prowadził.

– Mieszkają tam dwa cele i to była mroźna zima. – Wstał i zaczął chodzić po pokoju. – Co pomyślałaś, kiedy zobaczyłaś ten dom, kiedy go kupiłaś?

– Że to jest mój dom.

– Tak, to samo pomyślałem o swoim. Hobart mieszkała z dziadkami i nienawidziła ich. Wcześniej z matką, której też nienawidziła. Zabiła ich wszystkich. Żadne z tych miejsc nigdy nie było dla niej domem. Założę się, że Floryda nim jest. Wyjeżdża z Kanady – nawet jeśli federalni uważają, że się tam ukryła – i leci na Bermudy. Wiesz, co myślę?

Essie wydeła policzki i pokiwała głową.

– To jej przypomniało, że kocha słońce i palmy.

– Właśnie. Już się domyśliliśmy, że chodzi o południe, a ja skłaniałem się ku Florydzie. Teraz jestem tego absolutnie pewien. Wiem, że to przecucie, Essie, ale to wszystko pasuje.

– Mogę to podpowiedzieć agentowi, który kieruje śledztwem.

– Nie rób tego, jeśli przez to zaczną cię naciskać.

– Doszli do tego? Nie. A ona zwiększyła liczbę ofiar. Załatwię to drogą oficjalną. Posłuchaj, Sloop wie, że jesteś w kontakcie z jego babcią i może to potwierdzić. Zajrzałś do niej, żeby sprawdzić, jak się miewa.

– Przywiozłem jej hortensję i zasadziłem.

– Tym lepiej. A ona opowiedziała ci coś nowego. Ty mi to przekazałeś. Ja przekażę to dalej. Proste.

– Dobra. Jako ktoś, kto zdobył informację, i jako komendant policji, który przysięgał bronić i służyć, skontaktuję się z dwiema osobami, które prawdopodobnie wzięła na cel.

– Reed...

– Przemyślenie tego, co im powiesz, zajmie federalnym trochę czasu i nawet wtedy nie dowiemy się, jakie działania mogą przedsięwziąć. Skontaktuję się z tymi ludźmi, Essie. Co mogą mi za to zrobić?

– Pewnie niewiele, jeśli w ogóle cokolwiek.

– Nie mogą ukarać ciebie, jeśli ja nawiążę kontakt.

– Kontakt może mieć większe znaczenie, jeśli sprawa wyjdzie ode mnie, detektywa policji w Portland.

– Detektyw i komendant policji. – Reed uśmiechnął się do niej. – Daj spokój.

– Mądrała.

– Uprzedzam cię, bo nigdy nie wciskaliśmy sobie kitu, a nie chcę, żebyś dowiedziała się o tym po fakcie. Muszę już iść.

Najpierw podszedł do okna i wyjrzał przez nie.

– Mężczyzna, chłopiec i pies. Miły obrazek.

– Mój ulubiony. Jestem w ciąży.

– Co? – Reed odwrócił się gwałtownie. – Poważnie? Dlaczego od razu nie powiedziałaś? To dobrze, prawda?

– O wiele lepiej niż dobrze. To dopiero siedem i pół tygodnia, a nie powinno się tego zdradzać przed dwunastym. Ale...

Spojrzała przez okno zatroskanym wzrokiem.

– Będę miała dwoje dzieci. Hank znalazł agenta, który zajmie się sprzedażą jego książki i, na Boga, właśnie zaczął pisać następną. Jest szczęśliwy, pisząc i będąc w domu. Ja jestem szczęśliwa. Dylan jest pełen szczęścia. Chcę, żeby ta suka została schwytana, Reed. Wcześniej czy później mnie też weźmie na cel. To ja zabiłam jej brata.

– Dopadniemy ją, Essie.

– Ona nie mierzy w rodziny. Nie interesują jej. Ale teraz mam rodzinę w sobie.

– Ogłoś to. Nie czekaj do dwunastego tygodnia. Myślę, że jesteś u niej na górze listy – nie wciskamy sobie kitu – więc to dla niej za wcześnie, żeby w ciebie uderzyć. Jeśli jednak cię na niej przesunie, a dowie się, że jesteś w ciąży, może ją to powstrzymać.

– To nie jest zła myśl. – Czując napięcie mięśni, Essie rozmasowała szyję pod związanymi z tyłu włosami. – Mogę to rozpowiedzieć. Zaatakowała ciebie, a byłeś tym drugim, który zadzwonił na policję.

– Drugi nie ma znaczenia. To nie ja sprowadziłem gliny. Zrobiła to Simone. Simone, w której jestem szaleńczo zakochany – dodał.

– Jesteś... – Essie nie posiadała się ze zdumienia. – Teraz moja kolej.

Poważnie?

– Jak najpoważniej. Na szczycie jej listy jesteś ty albo Simone. Mowy nie ma, żeby dotarła do którejkolwiek z was.

– Czy ona cię kocha?

– Pracuję nad tym. Muszę już iść.

– Ale to się robi coraz bardziej interesujące. Jak nad tym pracujesz?

– Przyjedź na wyspę i przekonaj się sama – odparł, kiedy odprowadzała go do drzwi. – Nie mogę spóźnić się na prom. Jestem komendantem policji.

Reed zadzwonił z pokładu promu. Rozmawiał z Maxem Lowenem w Fort Lauderdale. Przedstawił się i powiedział, że podczas niezwiązanego bezpośrednio z tą sprawą śledztwa otrzymał informacje, które przywiodły go do przekonania, że Patricia Hobart może przebywać na Florydzie.

Śmiertelnie przestraszywszy Lowena, Reed powiedział mu o podstawowych środkach ostrożności, zadał kilka istotnych pytań, podał mu numer swojej komórki i zasugerował, żeby Lowen przekazał to miejscowej policji i skontaktował się z prowadzącym śledztwo agentem w FBI. Chętnie z nimi porozmawia i wszystko potwierdzi.

U Emily Devlon odezwała się automatyczna sekretarka. Reed nagrał się, podając swoje nazwisko i numer telefonu. Poprosił, żeby jak najszybciej skontaktowała się z nim w związku z informacją na temat Patricii Hobart.

Potem wysiadł z samochodu i patrzył na pojawiającą się przed nim wyspę.

Dom, pomyślał. Jest tam, gdzie serce.

Znów wyjął telefon i wysłał Simone esemes.

*Jestem na promie, dopłynę za pięć minut. Myślę o tym, żeby wziąć pizzę i spędzić trochę czasu na tarasie, obserwując zachód słońca w towarzystwie dwóch pięknych kobiet.*

Simone odpowiedziała.

*CiCi gotuje to, co nazywa Zupą Jarzynową Na Wieki. I kazała mi wyrabiać ciasto chlebowe, więc nie potrzebujemy pizzy. Jest zbyt zimno na zachód słońca na tarasie. Posiedzimy przy kominku.*



*Załatwione. Jestem już prawie na miejscu.*

Wsunął telefon z powrotem do kieszeni. Rano jeszcze raz spróbuje skontaktować się z Emily Devlon, jeśli ona do niego nie oddzwoni. Jednak na razie odłoży sprawę na bok.

Emily usłyszała dzwonek telefonu w chwili, gdy zamykała za sobą kuchenne drzwi. Zawahała się na chwilę i już miała zawrócić, by odebrać połączenie, ale ruszyła dalej. Nie przejęła się telefonem. Jej mąż i dzieci wybrali się na plażę i pizzę. Gdyby Kent jej potrzebował, złapałby ją przez komórkę.

Mieli telefon stacjonarny, ponieważ Kentowi był potrzebny dla klientów i ze względu na pozostawiane wiadomości. Zatem musiał to być klient, kolejna irytująca polityczna agitacja albo telemarketer.

Poza tym to był jej wieczór. Babski wieczór pod pozorem spotkania klubu czytelniczek odbywającego się w pierwszą i trzecią niedzielę miesiąca – to pierwsze prowadziła, a w drugim uczestniczyła. Tak jak dzisiaj.

Weszła do garażu, którego jej mąż nigdy nie używał, bo był tak wypełniony sprzętem sportowym, narzędziami i kosiarką do trawników, że ledwie mieścił się w nim jej samochód.

Usłyszała jakiś dźwięk i poczuła piekący ból.

A potem niczego nie słyszała i nie czuła.

Patricia otworzyła torebkę Emily i przejrzawszy jej kontakty, odszukała nazwisko jednej z członkiń klubu. Wysłała jej esemes:

*Coś mi wypadło, później wyjaśnię. Nie dam rady przyjść. Buu!*

Na wypadek, gdyby jakiś sąsiad wyjrzał na zewnątrz, Patricia poprawiła na głowie perukę – w tym samym stylu i kolorze, co włosy Emily. Wzięła jej kluczyki, wsiadła do minivana i pilotem otworzyła drzwi garażu.

Przejechała przez sąsiedztwo i skierowała się prosto do centrum handlowego dwa i pół kilometra dalej, gdzie zaparkowała samochód.

Wrzuciła perukę do torby razem z pistoletem, poprawiła włosy – pieprzyć

DNA, chciała, żeby wiedzieli, że znów wygrała.

Przeszła spacerem przez centrum handlowe, rozkoszując się miłym wiosennym wieczorem. Rany, jak ona lubiła Florydę! Obejrzała sklepowe wystawy, kupiła kilka rzeczy i wróciła do własnego samochodu, który tu zaparkowała, zanim przewędrowała pieszo dwa i pół kilometra, żeby zabić Emily.

Torby podróżne miała już załadowane do bagażnika.

Patricia westchnęła. Nienawidziła opuszczać Florydy, żałowała, że nie może zostać i jeszcze trochę się nią porozkoszować. Jednak były miejsca, do których musiała się udać, ludzie, których musiała zabić.

– Wycieczka samochodem! – powiedziała ze śmiechem. Otworzyła torebkę chipsów jalapeño i puszkę dietetycznej pepsi, które kupiła na drogę. Włączyła satelitarne radio.

Odjeżdżając, stwierdziła, że Emily Devlon była, jak dotąd, jej najłatwiejszą do zabicia ofiarą.

Szczęście jej dopisywało.

Szczęście nie przestawało jej dopisywać. Mąż Emily nie zajrzał do garażu po powrocie do domu. Nie miał powodu. Dzieci – pełne energii po pizzy i lodach, których z powodu braku stanowczości nie potrafił im potem odmówić – zajmowały go i rozpraszały. W żadnym wypadku nie spodziewał się powrotu żony co najmniej do dziesiątej wieczorem.

Pozwolił dzieciom poszaleć w wannie, bo rozśmieszały go, nawet jeśli to oznaczało wycieranie wody z podłogi, zanim mama wróci do domu.

Przeczytał im opowiadanie, opatulił kołdrą w łóżkach, wytarł wodę w łazience i zrobił sobie dobrze zasłużoną wódkę z tonikiem. Nie sprawdził automatycznej sekretarki – nigdy o tym nie pamiętał – po czym zasnął podczas szóstej rundy meczu bejsbolowego, który oglądał na ekranie telewizora w sypialni.

Obudził się tuż po północy, zdezorientowany, a potem skonsternowany i zirytowany, odkrywając, że jest w łóżku sam.

Wyłączył telewizor i poszedł do łazienki oddać mocz. Ziewając, sprawdził, czy u dzieci wszystko w porządku, i zajrzał do pokoju gościnnego, gdzie Emily czasem spała, kiedy chrapał.

Zszedł na dół po schodach i zawołał ją.

Irytacja zapanowała nad konsternacją. Domowe zasady, pomyślał, obowiązują ich oboje: jeśli masz się spóźnić, dzwonisz, żeby o tym uprzedzić.

Sięgnął po komórkę, którą podłączył do ładowania przy łóżku. Poszedł do swojego gabinetu, żeby skorzystać z telefonu stacjonarnego i zobaczył mrugające światelko automatycznej sekretarki oznajmiające nagraną wiadomość.

Włączył ją i zmarszczył brwi. Dlaczego, u licha, jakiś komendant policji z wyspy obok Portland... Usłyszał nazwisko Hobart i krew ścięła mu się w żyłach.

Zadzwoił na jej komórkę i zrobiło mu się niedobrze, kiedy usłyszał jej radosny głos w poczcie głosowej.

– Zadzwoń do mnie. Zadzwoń do mnie, Emily. Natychmiast.

Zaczął nerwowo krążyć po pokoju w jedną i w drugą stronę, powtarzając sobie, że nic jej się nie stało. Po prostu za dużo kieliszków pinota, to wszystko. Nic jej się nie stało.

Jednak wyszedł z domu, sprawdził basen i wannę z hydromasażem.

Ulżyło mu i powoli wypuścił powietrze z płuc.

Przez blisko dziesięć minut garaż ani jej auto nawet nie przyszły mu do głowy. Gdy wszedł tam i nie zobaczył auta, poczuł się jednocześnie uspokojony i roztrzęsiony.

A potem ją znalazł.

Reed nie miał wiadomości od gliniarza z wydziału zabójstw do trzeciej nad ranem. Chwycił komórkę i usiadł na łóżku, które, jak pamiętał, było łóżkiem Simone, nie jego.

– Quartermaine – powiedział.

– Komendant Quartermaine z Tranquility Island w stanie Maine?

– Tak. Kto mówi?

– Detektyw Sylvio, departament policji w Coral Gables. Wziąłem pańskie nazwisko i numer kontaktowy z nagrania na automatycznej sekretarce...

– Emily Devlon. – Jeszcze przez dziesięć sekund Reed miał nadzieję. – Skontaktowała się z panem?

– Nie, komendancie Quartermaine.

– Jest pan z wydziału zabójstw?

– Na to wygląda.

– Cholera, niech to szlag. Kiedy? Jak?

– Pracujemy nad tym. Mam kilka pytań.

– Proszę je zadać. – Otworzył drzwi i wyszedł na długi taras z widokiem na wodę. Potrzebował powietrza.

Simone włączyła światło. Poczowała powiew zimnego powietrza, które wpadło do pokoju. Wstała, włożyła szlafrok i podeszła do otwartych drzwi, żeby zobaczyć, jak Reed stoi nago w świetle księżyca, rzucając gniewne odpowiedzi do telefonu.

Zdała sobie sprawę, że nie czuł zimna. Nie przy wściekłości, którą płonął. Simone nigdy nie widziała u niego gniewu, nie była pewna, czy kiedykolwiek w niego wpadł. A już na pewno nie w furię.

Teraz się nie wściekał, ale furia w nim była.

Simone słuchała, bo kiedy wyrzucił z siebie odpowiedzi, zaczął zadawać pytania. Oczywiście to, czego się dowiadywał, nie satysfakcjonowało go.

– Proszę dać mi spokój, detektywie. Niech się pan, cholera, ode mnie odczepi. Ona by żyła, gdybym zadzwonił wcześniej, gdybym się z nią skontaktował. Bo to jest Hobart, psiakrew. Wyśledziła ją osobiście, poprzez media społecznościowe. Ma kryjówkę – albo miała – w niedużej odległości pieszo albo samochodem. Znała zwyczaj Emily Devlon. Gdzie ta robi zakupy, do którego banku chodzi, gdzie je i pije. Zbadała każdy najdrobniejszy szczegół. Czy Devlon stale wychodziła w niedzielne wieczory?

Reed odgarnął włosy i zaczął chodzić po tarasie.

– Na miłość boską, proszę zadzwonić do FBI. Śledztwem kieruje Andrew Xavier. Ale teraz ma pan tam martwą matkę dwojga dzieci. Byłem z nią w centrum handlowym DownEast. Nie znałem jej, ale ja też tam byłem. I ja... Jezu, próbuje mnie pan wkurzyć? W takim razie proszę mi podać czas śmierci, a ja panu powiem, gdzie wtedy, kurwa, byłem. Byłem w domu mojej byłej partnerki i jej rodziny. To detektyw Essie McVee. – Wyrecytował szybko jej numer telefonu i adres. – Potwierdzi moje słowa. Wyszedłem od niej i pojechałem na prom płynący na Tranquility. Z promu zadzwoniłem do Emily Devlon i zostawiłem jej wiadomość na sekretarce. Przedtem zadzwoniłem do Maxa Lowena w Fort Lauderdale, bo byłem przekonany, że Hobart jest na Florydzie. Poczta głosowa ma, do licha, sygnaturę czasową, wie pan cholernie dobrze, że zadzwoniłem do niej tuż przed albo tuż po tym, jak została zamordowana.

Reed słuchał i, o tak, Simone widziała tę furię w każdej zmarszczce i każdym mięśniu jego ciała.

– Zrób to. Kurwa, zrób to. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Odwrócił się szybko i na widok dzikiej furii na jego twarzy Simone zrobiła krok w tył. Reed się zmitygował.

– Potrzebuję chwili – powiedział.

Jednak gdy sięgnął do drzwi, żeby je zamknąć między nimi, Simone postąpiła naprzód.

– Nie rób tego. Nie wykluczaj mnie. Usłyszałam dość, żeby zrozumieć, że zabiła kolejną osobę. Kogoś, kogo próbowałeś ostrzec. Wejdz do środka, Reed, włóż coś na siebie. Jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale przemarzłeś.

– Na wiele to się, kurwa, nie zdało. Nie odebrała telefonu. Może już nie żyła. Za późno, kurwa. – Rzucił telefon na łóżko i chwycił spodnie. – A ten duppek z wydziału zabójstw grillował mnie, wypytyjąc, dlaczego zostawiłem wiadomość, dlaczego odszedłem z policji w Portland, skąd tyle wiem, gdzie byłem w czasie, o którym mowa. Pierdolony skurwiel.

Znów się zmięgował.

– Przepraszam. Muszę wyjść.

– Żeby co zrobić? Gdzie indziej walnąć pięścią w ścianę? Kiedy pierdolony skurwieli sprawdzi minimum informacji, będzie wiedział, że jest pierdolonym skurwielem.

– Emily Devlon nie przestanie być przez to ani trochę mniej martwa. Miała dwoje małych dzieci. A ja się spóźniłem.

Simone podeszła i objęła go.

– Cholera, Simone. Spóźniłem się. Zginęła przeze mnie.

– Przez ciebie? – Uścisnęła go mocno i odchyliła się. – Dlaczego przez ciebie i tylko ciebie?

– Jestem tym jedynym, którego próbowała zabić, a kto spojrział jej w oczy i przeżył.

– A więc nie zrezygnujesz. Teraz uważasz, że to nie ma wielkiego znaczenia, ale ma. Sądzę, że ten gliniarz z Florydy zadzwoni do ciebie, przeprosi i poprosi cię o pomoc.

– Nie chcę jego pieprzonych przeprosin.

– Prawdopodobnie i tak je otrzymasz. Ale teraz pójdziemy na spacer na plażę.

– Jest zimno i środek nocy. Muszę już iść – zaprotestował.

– Powinieneś wrócić do łóżka.

Dziwne, pomyślała, zwykle zachowywał spokój. Teraz, kiedy go stracił, ona pozostawała opanowana.

– Poczekasz, aż się ubiorę, a potem pójdziemy na spacer. Mnie to pomaga, przynajmniej czasami, kiedy jestem naprawdę wkurzona. Przekonajmy się, czy i tobie pomoże.

Poszła do garderoby po dres.

– Zobaczyłam cię dziś w pełnym szale i uświadomiłam sobie, jakie szczęście ma ta wyspa, że tu jesteś.

– Rzeczywiście, nie ma jak wkurzony komendant policji.

– Masz prawo być wkurzony, a jednak już zaczynasz się uspokajać. Częścią

twojego gniewu, który wciąż widać, jest smutek. Wiem, jak mądry z siebie glina. Wiem, że poważnie traktujesz swoją pracę i chcesz ją dobrze wykonywać. I wiem, że troszczysz się o ludzi, ale dziś zobaczyłam, jak bardzo ci na nich zależy.

Wzięła szalik i owinęła nim szyję.

– Mamy szczęście, że tu jesteś, komendancie. Na dole wisi moja ciepła kurtka. Weźmiemy ją, i twoją, wychodząc.

– Kocham cię. Chryste, niech cię to nie odstraszy.

Na moment zabrakło jej tchu i jeszcze mocniej musiała nad sobą zapanować.

– Przeraza mnie to. Nie odstrasza, ale muszę się trochę pozbierać, zanim będę pewna, co z tym zrobimy. Do nikogo nie czułam tego, co czuję do ciebie. Po prostu muszę to wszystko zrozumieć.

– To mi odpowiada. I jestem już mniej wkurzony.

– Jednak chodźmy się przejść. Jesteś pierwszym mężczyzną, któremu uwierzyłam w te słowa. Sądzę, że nam obojgu przyda się spacer po plaży.

Spacer pomógł i chociaż Reed nie wrócił do jej łóżka, Simone wiedziała, że się uspokoił. Pocałował ją i odczekawszy, aż ona wejdzie do domu, odjechał.

Simone też nie wróciła do łóżka. Zaparzyła sobie wielki kubek kawy i poszła do pracowni.

Odszukała tam szkic portretu Emily Devlon, który wykonała na podstawie zdjęcia z tablicy Reeda. Wzięła narzędzia i zaczęła robić to, co potrafiła, żeby uczcić zmarłą.

## CZEŚĆ TRZECIA

# DOWÓD ŻYCIA

Życie prawdą! – Nasze życie To nie śmierci wiecznej próg. My istniejemy  
we wszechbycie; Nas nie prochem stworzył Bóg [13](#).

Henry Wadsworth Longfellow



## ROZDZIAŁ 21

**R**eed usłyszał przeprosiny – sztywne i oczywiście powiedziane na rozkaz – od detektywa z Florydy. A potem zadzwonił porucznik tego detektywa i ten nie wydawał się dupkiem.

Wymienili informacje i obiecali sobie pozostać w kontakcie, gdyby pojawiło się coś nowego.

Donna zastukała w ościeżnicę przy jego drzwiach.

– Zadzwoniła Ida Booker z Tidal Lane i jest bardzo zdenerwowana.

– Czym?

– Jakiś pies wpadł do jej kompostownika, rozkopał klomb z żonkilami, które właśnie wschodziły, i zagonił kota na drzewo.

– Czyj to pies?

– Niczyj, właśnie w tym problem. Ida mówi, że już drugi raz w ciągu dwóch dni zagonił jej kota na drzewo. Nigdy wcześniej nie widziała tego psa i rozpytywała o niego w okolicy. Uważa się, że ktoś go porzucił. Przyplłynął z nim promem i wrócił bez niego.

– Czy mamy na wyspie problem bezpańskich psów, o którym nie wiem?

– Dotychczas nie mieliśmy, ale wygląda na to, że teraz mamy. Ida mówi, że jeśli jeszcze raz zobaczy tego psa, strzeli mu w łeb. Kocha swojego kota.

– Nie chcemy, żeby ktokolwiek strzelał tu do psów.

– Więc lepiej, żeby pan go znalazł, zanim ona to zrobi. Krew się w niej zagotowała.

– Zajmę się tym. – Uznał, że przyda mu się oderwanie myśli od innych spraw.

Pojechał do Tidal Lane, ładnej dzielnicy z ośmioma domami, której

mieszkańcy chlubili się swoimi ogrodami i tworzyli coś w rodzaju nieformalnej wspólnoty rzemieślników.

Ida, krzepka pięćdziesięciolatka, była tkaczką, wychowała dwóch synów i kochała swojego kota.

– Wystraszył Biankę i Bóg wie, co jeszcze by zrobił, gdyby nie wskoczyła na drzewo. I niech pan spojrzy, co nawyprawiał! Wykopał moje cebulki i wszędzie rozniósł kompost. A kiedy wyszłam z domu, uciekł jak tchórz.

Reed pomyślał, że wolałby mieć do czynienia z tchórzliwym psem niż agresywnym.

– Czy miał obrozę?

– Żadnej nie zauważyłam. O ile wiem, jest wściekły.

– No cóż, tego nie wiemy. Proszę mi go opisać.

– Jakiś brązowy kundel. I brudny. Szybki. Za pierwszym razem, kiedy się pojawił i pogonił Biankę, byłam tuż obok, przygotowywałam grządkę do zasadzenia. Stałam, krzyknęłam na niego, a wtedy uciekł. Dziś to samo. Usłyszałam szczekanie i resztę. Bianca lubi drzemać na werandzie. Wyszłam, a on czmychnął.

– Którędy?

Ida mu pokazała.

– Z podkulonym ogonem. Ma szczęście, że nie wzięłam strzelby.

– Pani Booker, odradzam pani sięganie po strzelbę.

– Mój kot, moja posiadłość.

– Tak, proszę pani, ale używanie broni palnej w dzielnicy mieszkaniowej jest niezgodne z prawem.

– Samoobrona – oznajmiła z uporem.

– Zobaczmy, czy uda mi się złapać tego psa. Mówi pani, że uciekł, więc nie zaatakował pani?

– Zaatakował Biankę.

– Rozumiem, ale w stosunku do pani nie był agresywny?

– Uciekł od razu, kiedy mnie zobaczył. Tchórz.

Zatem nie jest agresywny w stosunku do ludzi. Prawdopodobnie.

– Dobrze. Poszukam tego psa. Jeśli go nie znajdę, wyślę swoich ludzi, żeby się za nim rozejrzeli. Złapiemy go. Przykro mi z powodu żonkili.

Reed sprawdził okolicę, znalazł tych, którzy zauważyli psa – po tym, jak przewrócił kubek na śmieci i uciekł.

Pokrzyżył trochę w sąsiedztwie, zastanawiając się, dokąd by się udał, gdyby był psem lubiącym ganiać koty i wykopywać żonkile. Uświadomił sobie, że uspokajało go zwyczajne zadanie, jakim było poszukiwanie bezpiecznego psa, przemierzanie tej części wyspy w samochodzie i pieszo.

Jednak był już bliski rezygnacji i w chwili, gdy postanowił wysłać na polowanie Cecila, usłyszał szczekanie.

Dostrzegł psa na skrawku plaży, ścigającego ptaki i fale. Sięgnął po smycz z pętlą i hamburgera, które kupił wcześniej, po czym powoli i ostrożnie zbliżył się do swojej łownej zwierzyny.

Na oko pies nie wyglądał na wściekłego, a ze sposobu, w jaki chlapał się w falach i uciekał, można było wywnioskować, że to jeszcze szczeniak. Chudy – z wystającymi żebrami – więc może uda się sztuczka z jedzeniem.

Usiadł, odwinął hamburgera i połowę położył obok siebie.

Pies uniósł nos, węsząc, a potem odwrócił głowę. Dostrzegł Reeda i zamarł.

Reed siedział i czekał, pozwalając, by wiatr zaniósł kuszący zapach mięsa. Pies się skulił i przydreptał bliżej. Ma długie łapy, zauważył Reed, oklapnięte uszy i, faktycznie, podkulony ogon.

Im bardziej pies się zbliżał, tym niżej się czołgał, aż zaczął szorować brzuchem po ziemi niczym komandos. Nie spuszczając wzroku z Reeda, capnął burgera i uciekł w stronę wody. Pożarł mięso.

Reed położył drugi kawałek i przygotował smycz.

Pies znów się przyczołgał, ale tym razem, kiedy sięgnął po hamburgera, Reed zarzucił mu pętlę na szyję.

Zwierzak próbował się cofnąć, oczy miał szeroko otwarte i dzikie.

– Oho, nic z tego. Jesteś aresztowany. I żadnego gryzienia.

Na dźwięk jego głosu pies zamarł i zaczął się trząść.

– Powiedziałbym, że ktoś nieźle dał ci popalić. – Reed podniósł hamburgera i widząc ten ruch, pies skulił się i przywarł do ziemi. – Nieźle popalić. – Powoli podał mu resztę mięsa.

Głód pokonał strach. Podkulony ogon zamerdał z wahaniem.

– Muszę cię zatrzymać. Za próbę napaści na kota i zniszczenie prywatnego mienia. Prawo jest prawem.

Powoli, bardzo powoli Reed położył dłoń na łbie psa i przesunął nią po nim. Wyczuł blizny na szyi.

– Ja też je mam – powiedział.

Przez parę minut głaskał zwierzaka, który odpłacił mu się niepewnym liźnięciem po grzbiecie dłoni.

Reed wstał i pies znów przywarował, a gdy oczekiwane uderzenie nie nastąpiło, podniósł na niego wzrok. Szybko okazało się, że zwierzak nie lubi smyczy. Ciągnął ją, zwijał, sztywniał za każdym razem, gdy Reed przystawał i na niego spoglądał. Tym sposobem dotarli do radiowozu.

Ogon zaczął merdać z większym entuzjazmem.

– Lubisz jeździć samochodem, co? Dobra, to twój szczęśliwy dzień. – Reed spróbował wsadzić go na tylne siedzenie, ale pies spojrzał na niego z głębokim smutkiem i lekką nadzieją w oczach.

– Nie wyrzycaj hamburgera w moim służbowym samochodzie.

W chwili, gdy otworzył przednie drzwi, zwierzak błyskawicznie wskoczył do środka, usiadł na miejscu pasażera i wystawił nos za okno.

Reed stwierdził, że pies wydaje się zdziwiony. Opuścił szybę i oklapnięte uszy jego aresztanta powiewały na wietrze przez całą drogę na komisariat.

– Muszę sporządzić raport na twój temat i zobaczyć, czy znajdę weterynarza, który przyjdzie, żeby cię obejrzeć.

Na parkingu dostrzegł czarnego SUV-a i domyślił się, że ma gościa z FBI.

W środku Donna odbierała kolejne zgłoszenie, Cecil i Matty siedzieli przy biurkach, a agent specjalny Xavier na krześle dla odwiedzających i z kubkiem

kawy w ręce przeglądał coś w swojej komórce.

Widok, zapach i głosy tylu ludzi w jednym miejscu sprawiły, że pies zaczął się trząść, podkulił ogon i opuścił łeb.

– Och, znalazłeś szczeniaka. – Cecil podniósł się z miejsca.

Reed uniósł dłoń, żeby go powstrzymać.

– Boi się ludzi.

– Nie wygląda, jakby bał się ciebie – zauważyła Matty.

– Wciąż jeszcze trochę, ale doszliśmy do porozumienia nad hamburgerem, który mu dałem. Donno, zadzwoń do weterynarza.

– Gabinet jest otwarty tylko w środy i soboty, chyba że chodzi o nagły wypadek.

– Wiem. Zadzwoń do niego do domu i powiedz, jaka jest sytuacja. Chcę, żeby obejrzał tego psa, sprawdził, czy nie jest chory. Cecil, może zaprowadziłbyś go do... – Kiedy podał smycz zastępcy, pies zaskowyczał i drżąc, przywarł do nogi Reeda. – Nieważne. Proszę chwilę poczekać. – Zaprowadził psa do pokoju socjalnego, znalazł miskę i butelkę wody. – Agencie Xavier – wracając, zwrócił się do gościa. – Może pójdziemy do mojego gabinetu?

– Przyprowadza pan psa?

– Jest u mnie w areszcie.

W gabinecie Reed wskazał mu krzesło, a sam usiadł za biurkiem. Pies natychmiast się pod nie wczołgał. Reed nalał wody do miski i postawił ją na podłodze.

– A więc co mogę dla pana zrobić? – zapytał, podczas gdy z dołu dobiegało głośne, łapczywe chłęptanie.

– Uznałem, że spotkanie twarzą w twarz pomoże postawić sprawę jasno, że ani ja, ani Biuro, nie jesteśmy zadowoleni z pańskiej ingerencji w trwające śledztwo.

– No cóż, nie musiał pan w tym celu przyplýwać promem, ale może mógłby pan sprecyzować, na czym polegała moja ingerencja.

– Detektywie, wiemy, że skontaktował się pan z dwiema osobami, wiemy też,

że jednej z nich przekazał pan informacje oraz wyraził osobiste przekonanie, że Patricia Hobart ma zamiar je zabić.

– Po pierwsze, jestem komendantem policji. I najwyraźniej moje osobiste przekonanie stało się faktem, kiedy Hobart zabiła Emily Devlon.

Xavier złączył dłonie, zwiijając wszystkie palce oprócz wskazujących.

– Nie mamy dowodu, na razie, że Hobart jest odpowiedzialna za śmierć Emily Devlon.

Reed tylko skinął głową.

– Byłby pan uprzejmy zamknąć drzwi? Jeśli wstanę, żeby to zrobić, pies pójdzie za mną, a wygląda na to, że w końcu zaczyna się uspokajać.

Reed odczekał chwilę, gdy Xavier spełniał prośbę.

– Poprosiłem, żeby pan je zamknął, bo wolałbym, żeby moi ludzie nie słyszeli, jak nazywam agenta FBI dupkiem.

– Zechce pan uważać. Komendancie.

– Och, nie sądzę. Powiem to jasno. Być może nie macie materialnych dowodów, na razie, czy naocznego świadka, ale macie całą resztę. Devlon dokładnie pasowała do schematu działania Hobart. Ocalała z masakry w DownEast, a będąc tam, uratowała komuś życie. Cieszyła się uznaniem... Nie, to moje biuro – powiedział, gdy Xavier chciał mu przerwać. – W tamtym czasie cieszyła się pewnym uznaniem, pisano o niej artykuły i tak dalej. Co więcej, odniosła korzyści finansowe, kiedy osoba, którą uratowała, umarła po latach z przyczyn naturalnych i zostawiła Devlon sto tysięcy w spadku. Jak dotąd każda z ofiar Hobart zyskała zainteresowanie mediów i w jakiś sposób czerpała korzyści z tamtego wydarzenia.

– Kazano panu trzymać się z daleka od tego dochodzenia.

– Nie pracuję już dla departamentu policji w Portland. W nic się nie mieszam i mam cholerną nadzieję, że FBI ją dopadnie, i to szybko. Dopóki tego nie zrobicie, dopóty będę robił to, co robię.

– Manipulując osobami, które prawdopodobnie obrała sobie za cel...

– Manipulując, dobre sobie! Zadzwoiłem do Lowena i przedstawiłem mu

sytuację, bo miałem informację, która kazała mi sądzić, że Hobart skierowała się na Florydę.

– I nie podzielił się pan tą tak zwaną informacją z prowadzącymi dochodzenie?

– Dostałem tę informację w niedzielę po południu i miałem szczerzy zamiar przekazać ją panu w poniedziałek rano. W rzeczy samej, poradziłem Lowenowi, żeby się z panem skontaktował. Podałem mu pańskie nazwisko i numer telefonu. To samo powiedziałbym Devlon, gdybym ją zastał. A gdybym ją zastał, być może by żyła. Proszę więc do mnie nie przychodzić, agencie Xavier, i nie próbować wciskać mi kitu. Kieruje pan dochodzeniem w sprawie Hobart, ale ta sprawa dotyczy mnie bezpośrednio.

– Właśnie dlatego został pan wyłączony z dochodzenia.

– Powtarzam, nie pracuję dla departamentu policji w Portland. Pracuję dla ludzi z tej wyspy i tych, którzy tu przyplływają. I o ile wiem, nie ma żadnego prawa ani przepisów, które by mówiły, że jako taki – albo jako zwykły obywatel – nie mogę zdobywać informacji czy kontaktować się z osobami, które moim zdaniem znajdują się w niebezpieczeństwie.

Xavier jedynie spojrział na grzbiet swojego nosa.

– Postawię sprawę jasno. FBI nie potrzebuje wątpliwej pomocy ogarniętego obsesją policjanta, który odgrywa grubą rybę na jakimś zadupiu i spędza czas na chwytaniu bezpańskich psów.

Reed zerknął na psa, który teraz chrapał u jego stóp.

– Nie poświęciłem temu wiele czasu. Powiem to, a potem obaj powinniśmy wrócić do pracy: nie zamierzam wchodzić panu w drogę i obaj wiemy, że nie wszedłem. Wkurzył się pan, bo teraz znalazło się w aktach, że jakiś ogarnięty obsesją policjant z jakiegoś zadupia skontaktował się z kolejną ofiarą Hobart – czy próbował się skontaktować. A pan, agencie specjalny, mając za sobą całą siłę FBI, nie zrobił tego. Na pańskim miejscu też byłbym wkurzony. Jednak Emily Devlon nie żyje i są ludzie, na których mi zależy, a którzy pasują do schematu działania Hobart. Dlatego traci pan czas, starając się mnie zastraszyć

czy onieśmielić.

– Ja pana ostrzegam. Tym dochodzeniem kieruje Biuro.

– Ostrzeganie mnie też nic nie da. Mam nadzieję, że ją złapiecie. Na Boga, mam nadzieję, że ją dopadniecie, zanim zabije następną osobę ze swojej listy. Kiedy to zrobicie, wyślę panu skrzynkę trunku, jaki pan wybierze. Do tego czasu obaj wiemy, na czym stoimy.

– Przekroczy pan granice. – Xavier podniósł się z krzesła. – Kiedy pan to zrobi, dopilnuję, żeby stracił pan tę ciepłą posadkę i wszelkie szanse na pracę gdziekolwiek w policji.

– Będę o tym pamiętał. Wie pan co? Nie zapytał pan, w jaki sposób doszedłem do tego, że Hobart jest na Florydzie i bierze na cel dwoje ludzi, z którymi się skontaktowałem. Nie pyta pan – ciągnął Reed – bo jest pan wkurzony. Wyślę panu tę informację i mam nadzieję, że pan do niej zajrzy, kiedy trochę panu przejdzie. Jest istotna, bo jeśli jeszcze nie potwierdził pan, że Hobart odpowiada za śmierć Devlon, zrobi pan to. Zostawiła coś na miejscu, bo chce za to uznania.

– Po prostu nie wchodź mi w drogę.

– Sezon jeszcze się u nas nie zaczął – dodał Reed, kiedy Xavier ruszył do drzwi. – Dlatego ma pan parę godzin do następnego promu do Portland. W Sunrise Café podają świetną kawę i ciasto.

Xavier wyszedł, zostawiając otwarte drzwi.

Reed znów spojrzał na chrapiącego psa.

– To, mój przyjacielu, był człowiek, który potrafi być jednocześnie kutasem i sztywniakiem.

Podniósł wzrok, gdy Donna stanęła w drzwiach.

– Pański gość nie wyglądał na zbyt zadowolonego, kiedy wychodził. Okazał się też niegrzeczny, trzaskając drzwiami. Myśleliśmy, że z jakiegoś powodu ma pan kłopoty z federalnymi, ale nie wygląda pan na zmartwionego.

– Nie martwię się, ponieważ jestem ogarniętym obsesją policjantem, który odgrywa grubą rybę na jakimś zadupiu. I to mi bardzo odpowiada.



- Gruba ryba. – Donna prychnęła.
- Hej, jestem komendantem policji. To całkiem gruba ryba.
- Naprawdę nazwał naszą wyspę zadupiem?
- Tak, ale my się tym nie przejmujemy, bo wiemy lepiej.
- Czy pan utarł nosa temu dupkowi?
- Nie wyszedł zadowolony, prawda?

Donna z aprobatą skinęła głową.

- Doc Dorsey powiedział, że może pan przyprowadzić psa.

Reedowi przyszło na myśl, że może lepiej nie budzić licha. Jednak gdy odsunął się z krzesłem o parę centymetrów w tył, pies poderwał łeb i spojrzał mu w oczy ze strachem i utęsknieniem.

- W takim razie chyba to zrobię.

Wolał wybrać się tam pieszo, mając nadzieję, że pies przestanie trząść się za każdym razem, gdy zobaczy kogoś innego niż policjant, który go aresztował. Zawsze wtedy przywierał do nogi Reeda i drżał.

Weterynarz miał gabinet przy swoim domu o jasnożółtych ścianach, mniej niż pół kilometra od centrum miasteczka. Mieszkał tam z żoną i najmłodszym synem, obecnie kończącym liceum.

Doc Dorsey – nawet żona mówiła do niego „Doc” – przyjmował dwa razy w tygodniu, trzeci poranek rezerwując na zabiegi chirurgiczne. Był gotów otworzyć gabinet w nagłych wypadkach, nawet jeśli wybrał się na ryby albo pracował przy swoich trzech ulach z pszczołami.

Gdy Reed wszedł do środka, żona doktora siedziała przy biurku w poczekalni. Był to rodzaj saloniku dla zwierząt z krzesłami i stolikami nie do kompletu i podłogą pokrytą jasnoniebieskim winylem.

– Pani Dorsey, jestem bardzo wdzięczny, że otworzyli państwo dla mnie gabinet.

– Och, żaden problem. – Kobieta z długim, ciemnym końskim ogonem i ładną, umalowaną twarzą machnęła ręką. – A więc to jest nasza przybłęda. Biedne zagubione maleństwo.

Szybko podniosła się z krzesła. Pies skulił się i schował za nogami Reeda.

– Boi się ludzi.

– Pana nie.

– Dałem mu hamburgera i przewiozłem radiowozem.

– Przywiązał się do pana. – Machnęła palcem w stronę Reeda i przykucnęła, żeby przyjrzeć się psu. – Myślę, że jest głodny. Ewidentnie niedożywiony. Ma słodki pyszczek. Trzeba go porządnie wykąpać. Wydaje mi się, że widzę trochę rudej sierści pod tą brązową, ale jest strasznie brudny. Czy przyniósł pan próbkę stolca?

– Och... Nie doszliśmy do tego etapu.

– No cóż, będzie nam potrzebna. Proszę go zaprowadzić na tył budynku. Wiele psów tam się załatwia. Zapach powinien go przynaglić. Jak dawno zjadł tego hamburgera?

– Dobrze ponad godzinę temu.

– W takim razie powinno się udać. Proszę to wziąć. – Wyjęła z szuflady lateksową rękawiczkę i plastikowy pojemnik z szerokim otworem. – Zawiadomię Doca, że pan już jest.

Reed, zrezygnowany, wyszedł z gabinetu, ale zanim zdążył zaprowadzić psa na tył budynku, ten przykucnął i wypróżnił się prosto na betonowy chodnik.

– Cholera, co za gówno. Dosłownie.

Reed włożył rękawiczkę i zrobił to, co miał zrobić.

– Szybko poszło – zauważyła pani Dorsey, kiedy wrócił.

– Zrobił to na chodniku, zanim zdążyłem się zorientować... Przepraszam. – Podał jej próbkę, którą obiecał przynieść. – Zebrałem większość.

– Proszę się nie przejmować, to nie pierwszy raz. Proszę go zaprowadzić do środka. Prosto tymi drzwiami i pierwszy pokój po lewej stronie. – Oddała mu próbkę. – Musi pan to dać Docowi, ale uważam, że biedactwo ma robaki.

– Fajnie.

Reed wszedł do gabinetu, w którym stały szafki, długi, wyściełany stół i wagi.

Na widok Doca pies znów zadrżał. Weterynarz miał włosy związane z tyłu

tak, jak u żony, ale przetykane siwizną, oraz anielski uśmiech. Nosił okrągłe okulary lenonki, T-shirt zespołu Grateful Dead, spodnie bojówki i martensy.

– I kogo tutaj mamy? – zapytał.

– Nie podał mi swojego imienia, ale mam to. – Reed radośnie wręczył doktorowi próbkę.

– Aha – mruknął Doc i przykucnął, tak jak wcześniej żona. – Z tego co widzę, od pewnego czasu nie jadał regularnie. Boi się ludzi, prawda?

– Trzęsie się na ich widok. Wyczułem u niego blizny na szyi.

Piękny uśmiech doktora zniknął, a spojrzenie za szklami okularów stwardniało.

– Obejrzymy to. Powiedziałbym, że nie jest jeszcze dorosły. Zobaczmy, czy uda się panu zmusić go, żeby stanął na wadze.

Wymagało to chwili przekonywania, ale gdy Reed przy nim ukląkł, pies stał nieruchomo, choć drżał.

Doc zanotował jego wagę i poprosił Reeda, żeby podniósł zwierzaka i umieścił go na stole.

– Proszę stanąć przed nim, żeby pana widział. I mówić do niego. Spokojnym głosem.

– Nikt nie chce cię skrzywdzić, ale musimy cię obejrzeć. – Reed przemawiał do psa, patrząc na niego, podczas gdy Doc delikatnie go obmacywał. – Ludzie zgłosili, że w okolicy błąka się bezpański pies. Wczoraj i dziś rano znowu zapędził na drzewo kota Idy Booker. Rozkopał ogród i uciekł na jej widok. Znalazłem go, kiedy ganiał ptaki na plaży. Skusiłem hamburgerem. Najpierw musiałem tam chwilę posiedzieć. – Reed mówił spokojnym, łagodnym tonem, jakiego używał w stosunku do ofiar napadu, nie spuszczać wzroku z oczu psa. – Podobała mu się jazda samochodem. Cały czas trzymał głowę wystawioną za okno. Wydaje się, że mnie akceptuje, ale płoszy się przy wszystkich innych ludziach. Jak dotąd. Jeśli zrobi pan zbyt szybki ruch albo podniesie rękę, szarpnie się.

– Klasyczne objawy maltretowania.

– Wiem. Bardzo podobnie jest u ludzi.

– A te blizny? Prawdopodobnie są od kolczatki. Ciągnięto za nią tak często, że metal go poranił.

– Co za skurwysyn. Przepraszam.

– Proszę nie przeproszać. Trzeba być skurwysynem, żeby zrobić coś takiego zwierzęciu. Muszę obejrzeć jego zęby, uszy i tak dalej.

Reed nie przestawał mówić. Pies drżał jeszcze mocniej, ale ponieważ Reed go trzymał, Doc mógł zbadać mu zęby, oczy i uszy.

– Ma infekcję obu uszu. Zęby są zdrowe. Powiedziałbym, że ma jakieś osiem, dziewięć miesięcy, co oznacza, że to był wyjątkowy skurwysyn.

Doc wyjął z kieszeni kilka przekąsek dla psów. Położył jedną na stole i poczekał, aż zwierzak przeniesie wzrok z ciasteczka na Reeda i z powrotem, a potem połknie je łapczywie. Drugie podał mu na wyciągniętej ręce. Pies znów spojrzał na Reeda.

– Proszę mu powiedzieć, że wszystko jest w porządku.

– Nie bądź idiotą. – Reed odezwał się do psa. – Kiedy ktoś częstuje cię ciasteczkiem, to je bierz.

Pies go posłuchał i spojrzał na weterynarza.

– Mogę zrobić test, żeby sprawdzić, czy był szczepiony. Jestem przekonany, że nie. Nie został też wykastrowany i trzeba się tym zająć. Muszę zbadać próbkę, więc proszę go jeszcze trzymać na stole.

Doc udał się do niewielkiej wnęki w gabinecie.

– Możemy go tu zatrzymać – powiedział – i wyleczyć, ale to pan jest osobą, którą traktuje jak właściciela. Jeśli może pan się nim zająć, lepiej byłoby mu u pana, dopóki nie wyzdrowieje. Ktokolwiek miał tego psa, nie powinien dostać go z powrotem. Jeśli pan znajdzie tego człowieka, trzeba go oskarżyć o maltretowanie i zaniedbywanie.

– Cały dzień nie ma mnie w domu, więc nie powinienem...

Pies polizał grzbiet dłoni Reeda i spojrzał na niego z tą samą mieszaniną utęsknienia i strachu.

– Zobaczymy, nie będę teraz o tym myślał.

– Ma robaki. Dam panu na nie lekarstwo – i będziemy musieli badać kolejne próbki. Dostanie pan maść na uszy i antybiotyk. Napiszę, jak ich używać. Radziłbym karmić go dobrym jedzeniem dla szczeniaków. Trzy razy dziennie, dopóki nie osiągnie normalnej wagi. Muszę pobrać mu krew, więc proszę odciągnąć jego uwagę.

Reed również starał się nie patrzeć. Wolałby oberwać pięścią niż dostać zastrzyk.

– Jak pan myśli, co to za pies? Chodzi mi o rasę.

– Sądzę, że ma w sobie trochę coonhonda. – Doc uchwycił fałd skóry z boku jego ciała i wbił igłę. – Może trochę labradora i jeszcze więcej tego i owego. Jeszcze nie całkiem urósł. Dam panu szampon. Ma pchły i to pomoże się ich pozbyć. Musisz się wykąpać, mały.

Doc obszedł stół, głaszcząc psa. Ten drżał już nieco mniej, ale obserwował lekarza, jakby w oczekiwaniu, że łagodna dłoń zmieni się w złą.

– Ktoś dał mu mocno popalić – stwierdził. – Z czasem, dzięki cierpliwości i przy dobrej opiece, będzie mógł dojść do siebie. Niektórym się udaje, innym nie. Dam panu lekarstwa, a Suzanna wydrukuje instrukcję, jak to wszystko stosować. Rachunek wystawić na departament policji?

Reed pomyślał o budżecie.

– Nie, proszę wystawić na mnie.

Uśmiech Doca powrócił.

– W takim razie obciążę pana kosztami lekarstw, a badanie uznamy za usługi publiczne.

– Jestem panu wdzięczny. Bardzo.

Doc podał psu jeszcze jedno ciasteczko. Zwierzak tylko zerknął na Reeda, uznał, że mu wolno i wziął je.

– Jeśli nie będzie pan go mógł zatrzymać, znajdziemy mu dom. Teraz ufa panu, a miał już dość traumy w swoim krótkim życiu.

Suzanna, bo przeszli już na „ty”, przygotowała listę rzeczy, których wymagała

podstawowa opieka nad szczeniakiem, i pomogła mu pierwszy raz zaaplikować maść, dała torebkę ciasteczek i coś, co nazwała kieszonkami na tabletki – o różnym zapachu.

Reed wrócił na komisariat z psem i torbą rzeczy od weterynarza.

– Cecil i Matty właśnie pojechali do liceum z interwencją. Kilku chłopców pobiło się – tuż pod szkołą. Prawdopodobnie o dziewczynę.

– Donna.

Kobieta zmrużyła oczy.

– Szefie.

– Pamiętam zasadę dotyczącą załatwiania prywatnych sprawunków, ale nie mogę zabrać tego psa do supermarketu, a na razie on się ode mnie nie odrywa. Suzanna Dorsey dała mi listę rzeczy, które trzeba mu kupić.

– Oczekuje pan, że opuszczę swój posterunek, pójdę do supermarketu i zrobię zakupy dla jakiegoś bezpiecznego psa?

– Ma blizny na szyi, bo ktoś szarpał go za kolczatkę tak mocno i często, że go poranił. Ma infekcję w uszach i trzyma się mnie, bo wszyscy inni ludzie w całym jego życiu go krzywdzili. Doc mówi, że on ma tylko około ośmiu miesięcy.

Podbródek Donny uniósł się tak wysoko, że dolna warga niemal zniknęła z oczu.

– Doc powiedział, że to była kolczatka?

– Tak.

– Niech mi pan da tę cholerną listę.

– Dzięki. Naprawdę.

– Nie załatwiam prywatnych sprawunków dla pana. Załatwiam je dla psa. Teraz proszę mi dać kartę kredytową, jeśli nie wie pan, ile to będzie kosztowało.

Reed podał jej kartę i pomyślał, że nad własnym budżetem zastanowi się później.

Kiedy wreszcie zamknął na noc budynek komisariatu, postanowił dać sobie i psu trochę odpoczynku i wrócić do domu radiowozem.

– Jesteś na zwolnieniu warunkowym – ostrzegł psa, wprowadzając go do środka. – Sikanie i kupy w domu oraz gryzienie czegokolwiek poza tym, co ode mnie dostaniesz, narusza warunki zwolnienia. Potraktuj to poważnie.

Pies obwąchał sypialnię, nie przestając zerkać jednym okiem na Reeda, który przebrał się w najbardziej znoszone dresy i włożył sneakersy, które miał wyrzucić. Ponieważ wiedział, że to, co teraz nastąpi, będzie jednym wielkim bałaganem.

Wyprowadził psa na zewnątrz, gdzie wziął wąż ogrodowy i szampon. Pierwsze dziesięć minut spędził na zapasach z mokrym psem, który skowytał, otrzępywał się i próbował uciec przed koszmarem mydła i wody. W końcu się poddał, posyłając Reedowi spojrzenie pełne bólu i poczucia zdrady.

Obaj byli przemoczeni i niezbyt zadowoleni z siebie nawzajem, gdy zajechała Simone.

– Lepiej trzymaj się z daleka. Tu jest pobożowisko.

– Suzanna Dorsey powiedziała Hildy, która powiedziała CiCi, że wzięłaś bezpańskiego psa. Widzę, że plotki jednak okazały się prawdą.

– On jest na zwolnieniu warunkowym. – Reed bezlitośnie oblał psa wodą z węża, żeby splukać z niego szampon i martwe pchły. – A w tej chwili jest bliski przekroczenia granicy.

– Ma słodki pyszczek.

– Tak, wszyscy to mówią. Jest też pogryziony przez pchły i ma robaki.

– Suzanna mówi, że był maltretowany.

– Tak. To też.

Simone podeszła i usiadła na schodach, bo pies obserwował ją, jakby miała rzucić mu w głowę kamieniem.

– Mam zrobić mu zdjęcie i wysłać CiCi.

– Powinnaś poczekać, aż będzie się lepiej prezentował.

– Ma ładne umaszczenie, trochę jak koń kasztan.

– Podobno ma w sobie trochę coonhonda, cokolwiek to jest.

– Lubisz psy?

– Pewnie. Kiedy byłem mały, mieliśmy suczkę. Siostra nazwała ją Frisky, zanim zdążyliśmy z bratem zgłosić weto. Była dobrym psem. Straciliśmy ją tuż przed tym, jak poszedłem na studia. – Zerknął na nią. – A ty?

– Nie mogliśmy mieć psa. Ani kota. Mama ma alergię. Albo tylko mówi, że ma. Nigdy naprawdę jej nie wierzyłam. Ale tak, lubię psy. Zatrzymasz go?

– Nie wiem. Przez większość czasu nie ma mnie tu. Doc powiedział, że znajda mu dom. Prawdopodobnie tak byłoby dla niego lepiej, kiedy już przywyknie do ludzi, którzy nie będą go bić.

Puścił psa, żeby wziąć jeden z ręczników, które miał wyrzucić, i zwierzak wykorzystał moment, żeby otrząsnąć się z wody. Opryskał nią Reeda od góry do dołu.

Simone się roześmiała, a Reed zamiast psa, wytarł ręcznikiem własną twarz.

– Teraz ja muszę wziąć prysznic.

– Wygląda na to, że właśnie go wzięłeś.

– Ha. – Reed zaczął energicznie wycierać psa, który w odpowiedzi zamerdzał i polizał go po twarzy.

– Jasne, oczywiście, teraz jesteśmy kumplami.

Simone przyglądała się mężczyźnie, który wycierał psa i uśmiechał się, podczas gdy zwierzak merdał i lizał go po twarzy. Chociaż wiedziała, że uczucie w niej narasta, teraz, patrząc na ten obrazek, naprawdę się zakochała.



## ROZDZIAŁ 22

**K**iedy Patricia stwierdziła, że chce profesjonalnie udokumentować swoją historię, uznała, że nadaje się do tego tylko jedna osoba. Seleena McMullen była wtedy w DownEast, nagrała na wideo tego idiotę Paulsona. Któż inny byłby lepszy?

Poza tym Patricia czuła, że Seleena potraktowała ją z pewnym respektem, gdy przeprowadzała tamten rocznicowy wywiad. Nawet podobało jej się to, jak wyglądała i brzmiała, chociaż oczywiście przybrała maskę biednej, nieśmiałej i żalostnej.

To będzie coś innego. Będzie prawdziwe. A kiedy to trafi do telewizji i internetu, ludzie w końcu dowiedzą się, kto tu miał rozum, kto miał cholerne poczucie krzywdy.

Patricia napisała nawet coś w rodzaju scenariusza i przećwiczyła go. Robiąc to, była pod wrażeniem swoich umiejętności i postanowiła, że gdy już zacznie wieść spokojne życie na Florydzie, napisze scenariusz na podstawie własnej historii.

Kiedy wszystko przygotowała i uznała, że jest idealnie, nawiązała kontakt.

– Tu Seleena.

– Nie rozłączaj się – szepnęła Patricia drżącym głosem. – Nie dzwoń na policję.

– Kto mówi?

– Proszę, muszę z kimś porozmawiać. Tak bardzo się boję!

– Jeśli chcesz ze mną rozmawiać, musisz się przedstawić.

– To ja... Patricia. Patricia Hobart. Proszę, nie dzwoń na policję!

– Patricia Hobart? – W głosie Seeleny słycać było niedowierzenie. – Udowodnij to.

– Weszłaś do – nazwałaś to poczekalnią dla artystów – zanim w lipcu zeszłego roku zabrali mnie do programu z okazji rocznicy. Usiadłaś przy mnie i powiedziałaś, że jeśli kiedykolwiek przypomni mi się coś o moim bracie, najdrobniejsza rzecz, o której nie powiedziałam policji, powinnam zadzwonić pod ten numer. Mogę ci powiedzieć.

– Jestem z tobą, Patricio. – Teraz w jej głosie wyraźnie brzmiał entuzjazm. – Cieszę się, że do mnie zadzwoniłaś.

Patricia usłyszała szelest i wyobraziła sobie, jak McMullen sięga po dyktafon i notes. Uśmiechnęła się.

– Nie wiem, co mam zrobić!

– Powiedz mi, gdzie jesteś. FBI cię szuka. I mnóstwo glin.

– To nie tak, jak oni mówią, zupełnie nie tak. Nie wiem, co się dzieje. Nie rozumiem. Uciekałam, ale cały czas jestem przerażona. Chcę się zgłosić, ale najpierw muszę z kimś porozmawiać. Z kimś, kto mnie wysłucha i powie prawdę. – Załkała łamiącym się głosem. – Nie wiesz, nie wiesz, co oni mi zrobili.

– Kto?

– Dziadkowie. Boże, muszę to komuś powiedzieć. Nie mogę stale uciekać, ale nikt mi nie uwierzy.

– Możesz powiedzieć mnie. Ja ci wierzę. Co ci zrobili?

– Nie, nie, nie w ten sposób. Osobiście. Chcę, żebyś wszystko nagrała, żeby było, no wiesz, podane do publicznej wiadomości. Nie możesz nikomu o tym powiedzieć, inaczej mnie zabiją. Wiem to. Może po prostu powinnam sama się zabić i to zakończyć.

– Nie chcesz tego, Patricio. Musisz opowiedzieć swoją historię. Pomogę ci.

Patricia uśmiechnęła się i postarała, żeby jej głos zadrżał pod wpływem nadziei.

– Ty... ty mi pomożesz?

– Tak. Może powiesz mi, gdzie jesteś?

– Ja... Zadzwoń na policję!

– Nie, nie zadzwonię. Powiedziałaś, że masz zamiar się zgłosić, ale że najpierw chcesz opowiedzieć swoją historię. Chcesz, żebym zapewniła, że ludzie ją usłyszą. Nie zadzwonię na policję.

Trzeba to powiedzieć słabym głosem, pomyślała Patricia, z odrobiną desperackiej nadziei.

– Przysięgasz?

– Patricio, jestem dziennikarką. Chcę tylko dowiedzieć się prawdy. Chcę tylko usłyszeć twoją historię. Nigdy bym cię nie zdradziła. Właściwie, jeśli jesteś gotowa, znam prawnika, który ci pomoże. Zorganizujemy to tak, że sama oddasz się w ręce policji, więc nikt cię nie skrzywdzi.

Patricia przyglądała się piersiówce szkockiej, z której pociągała, gdy McMullen mówiła.

– Zrobisz to?

– Powiedz mi, gdzie jesteś, a przyjadę do ciebie. Porozmawiamy.

– Jeśli powiesz policji, a oni przyjadą, zabiję się. Mam... mam pigułki.

– Nie bierz żadnych pigułek. Nie zrobię tego. Gdzie jesteś? Już do ciebie jadę.

– Teraz?

– Tak, teraz.

– Jestem w motelu Traveler's Best przy drodze 98, tuż przed wyjazdem z Portland. Proszę mi pomóc, panno McMullen. Nie mam nikogo innego.

– Siedź i nie ruszaj się, Patricio. Będę tam za czterdzieści minut.

– Ktoś musi mnie wysłuchać. – Patricia znów załkała. – Ty jesteś jedyna.

Rozłączyła się i wzniosła przed lustrem toast szkocką, w której zasmakowała.

Seleena prędko przebrała się w kostium, który nadawał się przed kamerę. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w ciągu dwóch godzin będzie miała tę wariatkę w swoim studiu. Najważniejszy wywiad na wyłączność, i to niespodziewanie.

Kiedy już będzie to miała gotowe, zadzwoni do FBI. Ale najpierw najważniejszy ze wszystkich wywiadów, a potem zostanie nieustraszoną

reporterką, która sprowadziła Patricję Jane Hobart.

Chwytnając laptop, sprawdziła godzinę – włączy go pilotem. Zbliżała się północ. Jeśli się pospieszy, zdąży dojechać w mniej niż czterdzieści minut.

Włożyła do torby dyktafon na wypadek, gdyby Patricia z początku okazała się nieśmiała, poza tym kamerę, telefon w kosmetyczce, sprawdziła swojego glocka z jaskraworóżową rękojeścią i dokładnie w ciągu pięciu minut znalazła się w garażu.

Emily Devlon mogłaby ją ostrzec o biegłości Patricji w otwieraniu drzwi garażu, ale martwe kobiety nie mówią.

Seleena usiadła za kierownicą.

Oczy jej się rozszerzyły, gdy we wstecznym lusterku zobaczyła, jak Patricia wsiada na tylne siedzenie. Mimo że sięgnęła po torebkę i pistolet, igła strzykawki wbiła jej się w szyję.

– Dobranoc – powiedziała Patricia.

Gdy Seleena opadła bezwładnie, Patricia wysiadła i otworzyła bagażnik. Wyciągnęła Seleenę z auta, unieruchomiła jej nadgarstki i kostki plastikowymi kajdankami zaciskowymi, dodała knebel na wypadek, gdyby środek usypiający przestał działać i dziennikarka narobiłaby krzyku.

Z pewnym wysiłkiem zaciągnęła ją do bagażnika, uniosła i wrzuciła do środka.

– Prześpij się trochę – powiedziała do Seleeny. – Czeka nas długa droga.

Zamknęła bagażnik.

Simone mu tego nie powiedziała, nie była gotowa. W każdym razie moment nie wydawał się dobry na wyznanie miłości.

Wiedziała, że Reed zatrzyma psa. Jeśli jeszcze nie był zakochany, tak jak i ona zaczynał kochać.

Ponieważ tego dnia spełnił naprawdę dobry uczynek, Simone postanowiła spełnić własny i przygotowała prostą kolację z makaronem. Nie wspomniała, że przepisu nauczyła się od pewnego włoskiego wiolonczelisty.

Podczas gdy Reed wyjaśniał, jak łatwo pies wpadał w popłoch przy ludziach, a także dlaczego tak się zachowywał, Simone celowo go ignorowała.

Reed karmił psa, który jadł tak, jakby głodował tygodniami. Serce jej pękało na myśl, że tak mogło być naprawdę.

Kiedy zjedli razem kolację, pies przestał już chować się za Reedem i spał zwinięty pod stołem obok swojej pustej miski.

– Musi mieć imię – powiedziała.

Reed pokręcił głową, kiedy siadali do stołu – drewnianego, z opuszczanym blatem, który kupił od znajomego CiCi.

– Jeśli pójdzie do kogoś innego, nazwą go inaczej i będzie jeszcze bardziej skołowany. Rany, to jest wspaniałe – zauważył, połykając pierwszy kęs makaronu. – Ukrywałaś to przede mną. Potrafisz gotować?

Simone zaprzeczyła ruchem głowy.

– Umiem nieźle przyrządzić kilka potraw, kilka innych tak, żeby były względnie jadalne. To raczej sposób na to, żeby nie umrzeć z głodu niż prawdziwe gotowanie.

– Według mnie to gotowanie. Dzięki. Jak ci minął dzień?

– Dobrze, ale czuję, że muszę oderwać się na chwilę od swojej... misji. Zmienić tempo. Chcę cię naszkicować.

– Co powiesz na przepaskę na biodra? Mógłbym włożyć przepaskę.

– Masz taką?

– Nie, ale może mógłbym taką sporządzić. To pozowanie nago...

– Widziałam cię nago.

– Widzieć mnie nago to co innego, niż przyglądać mi się, rysować mnie nagiego. Jesteś wtedy po drugiej stronie.

– Byłam po obu stronach.

– Co? – Reed przestał jeść.

– W Nowym Jorku dorabiałam jako modelka.

– Nago?

– Pozowałam do studiów postaci. – Rozbawiona, chociaż nie zaskoczona jego

reakcją, nabiła makaron na widelec. – To jest sztuka, Reed, nie voyeuryzm.

– Jestem pewien, że u części facetów – i prawdopodobnie dziewczyn – to był voyeuryzm.

Simone się roześmiała.

– Tak czy inaczej zapłacono mi. Dzisiejszy wieczór jest idealny. Przyniosłam szkicownik. Możesz uznać, że robisz to w zamian za kolację – i za to, co dostaniesz ode mnie po tej sesji.

– Przekupujesz mnie seksualnymi względami? To kompletnie... zadziała.

– Tak właśnie pomyślałam. Nie wspomniałeś, że FBI złożyło ci dziś wizytę.

– Plotki krążą – stwierdził.

– Właśnie. Nie powiedziałaś o tym, żeby mnie nie martwić?

– Nic wielkiego się nie stało.

Simone słyszała co innego, ale chciała usłyszeć jego wersję.

– Powiedz mi więc, co się stało, i uwierz, że sobie z tym poradzę.

Reed podniósł kieliszek z winem – Simone przekonała go, że lepiej pasuje do makaronu niż piwo. Nie mógł zaprzeczyć, że miała rację.

– Nie chodzi o to, czy sobie z tym poradzisz. Raczej o przynoszenie pracy do domu.

Marszcząc brwi, Simone pochyliła się, żeby ostentacyjnie spojrzeć na psa pod stołem.

– Dobra, masz rację.

– Nie możesz zupełnie oderwać się od swojej pracy, ja też nie. A więc?

– Agent specjalny Palant nie lubi pewnego policjanta z ciepłą posadką na zadupiu, który nadepnął na jego wrażliwy odcisk.

– Och. Uważa, że ta wyspa to zadupie.

– Coś w tym rodzaju. Nie mam nic przeciwko temu, żeby służyć naszemu zadupiu i je chronić. Jednak nie zgadzam się na to, żeby przychodził do mojego biura i próbował mnie zastraszyć. – Wyłożył jej sedno sprawy, wzruszył ramionami i dodał: – Zasadniczo powiedziałem mu, żeby spierdalał, po czym wyszedł.

– To, że zginęła kobieta, nie miało dla niego znaczenia?

– Muszę wierzyć, że miało i ma, co jest jedną z przyczyn, dla których postanowił mnie zaatakować. Zamachnął się i chybił. Większość agentów FBI, których spotkałem, to ludzie oddani sprawie, chcą chwycić przestępców i współpracować z lokalną policją – włączać ją w swoje dochodzenia, kiedy to ma sens. A ten gość? Słowo „specjalny” bierze dosłownie. Uważa, że jest lepszy od gliniarzy.

– Nie lubię go.

– Hej, ja też. To nieznośny fiut. Co nie znaczy, że nie wykonuje dobrze swojej pracy.

– To dlaczego nie schwytał Hobart?

– Jest sprytna. Inteligentna, bystra i cholernie przebiegła. Ma umiejętności, cel i kupę forsy. Nie winiłbym agenta specjalnego za to, że jeszcze jej nie schwytał.

– Reed wzruszył ramieniem. – Jest tak zadufany w siebie i tak broni swojego terytorium, że odrzuca informacje i pomoc z innych źródeł – zwłaszcza, z jakiegoś powodu, ode mnie.

– CiCi ma znajomości. Jestem pewna, że zna ludzi, którzy znają szefa FBI albo znają ludzi, którzy znają tych, co go znają.

– Nawet o tym nie myśl. – Reed poklepał jej dłoń. – Radzę sobie z tym. A jeśli się okaże, że nie? – Dopił wino. – Wtedy możemy wrócić do pomysłu skorzystania z możliwości CiCi.

Wstał, żeby umyć miseczki po makaronie. Pies natychmiast się poderwał, uderzając łbem o nogę krzesła.

– Jezu, uspokój się – zwrócił się do psa Reed. – Muszę mu dać kolejną tabletkę i posmarować maścią uszy. Z tabletką pójdzie łatwo. To coś, w co się ją wkłada, ma delikatny zapach. Z uszami może być problem.

– Jestem pewna, że to bardzo dobry pies. – Simone odwróciła się do niego, kiedy pies ruszył za Reedem do zlewu. – Jest odważny.

Zwierzak obserwował ją, przyklejony do nogi Reeda.

– Jesteś bardzo przystojny i masz takie dobre oczy. – Kiedy do niego

przemawiała, uspokoił się nieco i przysiadł na podłodze. – Jak ktoś mógł podle cię traktować? Ale teraz będzie dobrze. Wylądowałeś w wielkiej misce łakoci.

Pies zrobił ostrożny krok w jej stronę i cofnął się, ale Simone nie przestawała mówić.

– A czy nie okazałeś się mądry, znajdując Reeda? On cię zatrzyma. Przekonuje siebie, że nie, ale zatrzyma.

Kolejny ostrożny krok i jeszcze jeden.

Reed przyglądał się temu, stojąc nieruchomo i cicho, żeby nie przeszkadzać. Pomyślał, że pies wygląda jak zahipnotyzowany. Podczołgał się do miejsca, w którym Simone oparła dłoń na podłodze. Powąchał ją i spróbował polizać.

Skulił się, gdy uniosła rękę i zadrżał, gdy położyła mu dłoń na głowie.

– No już, już dobrze. Nigdy więcej nikt cię nie uderzy.

Pies przysunął się bliżej i nie spuszczał wzroku z jej twarzy, gdy go głaskała.

– Wyczuwam blizny – mruknęła. – Jest dzielny i ma hart ducha. I bardzo czyste serce, skoro jest w stanie zaufać człowiekowi. Nie zmienili go w złego psa. Nie ma w nim zła. – Pochyliła się i pocałowała go w nos. – Witaj w domu, nieznajomy.

Reed wyjął pigułkę i wcisnął ją w maleńką, miękką kieszonkę. I pogodził się z tym, że wziął sobie psa.

Minusy tej sytuacji ujrzał, zabierając psa na spacer. Pomyślał, że gdy ten pozna teren, zacznie wychodzić sam. Jednak na razie Reed postanowił pójść z nim do lasu. Skoro niedźwiedzie wypróżniają się w lesie, psy też powinny.

Gdy okazało się, że ten nie zachowuje się jak niedźwiedź, Reed uznał, że pies jeszcze za mało zjadł. Do chwili, gdy dotarli do wyłożonego płytami chodnika, gdzie przysiadł i się załatwił.

– Jasna cholera! Co jest nie tak z lasem? Teraz muszę wziąć szufelkę. – Gdy ją wyjął, pies skulił się i zaczął drzeć. – Jezu, to nie na ciebie!

Na myśl, że ktoś mógł bić biednego psa szufelką, ogarnęła go wściekłość.

Po powrocie do domu wziął ciasteczko i przykucnął, żeby podać je psu.

– To nie jest nagroda za robienie kupy na chodniku, stary, bo to jest



niecywilizowane zachowanie. Po prostu. Teraz pójde do sypialni i rozbiore sie, i to nie dla zabawy ani dla seksu. Czuję sie zażenowany.

Ruszył na górę z psem u boku. Gdy dotarł na piętro, odwrócił się, słysząc skowyt.

– Jak ci się to udało? – Zaskoczony, zszedł do miejsca w połowie schodów, gdzie pies utknął z głową między tralkami balustrady. – Dlaczego to zrobiłeś? Poczekaj. Przestań się wiercić. – Odchylił mu głowę w bok, przesunął resztę ciała i odchyliwszy głowę w drugą stronę, uwolnił ją. – Więcej tego nie rób.

Tym razem pies tuż za nim podążył do sypialni.

Simone siedziała w fotelu przy kominku, robiąc szkice różnych pozycji ciała – nagiego ciała. Jego nagiego ciała? Jakby to nie było dość dziwaczne, Reed zerknął na łóżko i zrobił krok w jego stronę.

– To miecz. Na łóżku leży miecz.

– Mówiłam ci, że chcę, żebyś trzymał miecz.

– Masz miecz.

– Pożyczyłam go od CiCi.

– CiCi ma miecz. – Reed podniósł go – był ciężki – i przyjrzał się jego długiej, rzeźbionej pochwy. Stwierdził, że broń wygląda na starą. Nie była wysadzana klejnotami i ozdobna, ale stara i... sprawdzona w walce.

– Jest fantastyczny. – Wyjął miecz z pochwy i zdumiały go blask i gładkość głowni. Sprawdzona w walce, pomyślał jeszcze raz, widząc kilka szczerb. Stal uderzyła o stal. – Absolutnie fantastyczny. Po co CiCi miecz?

– To prezent. Od jakiegoś ambasadora. A może to był Steven Tyler. Ma też miecz samurajski, nad którym się zastanawiałam, ale jesteś typowym amerykańskim chłopcem i samurajski miecz wyglądałby zbyt egzotycznie.

– Ma miecz samurajski i... Czy on jest obosieczny?

– Nie potrafię powiedzieć. Rozbierz się, komendancie.

Trzymając miecz, machając nim powoli w prawo i w lewo, bo nie mógł się powstrzymać, Reed spojrzął na Simone ze zmarszczonymi brwiami.

– Trzeba być wariatem, żeby nago wymachiwać mieczem.

– Celtowie tak robili.

– Ale najpierw powariowali.

– Zdejmij ubranie – rozkazała bezlitośnie. – Na odwagę masz butelkę wina.

– Może najpierw powinnaś okazać mi względy natury seksualnej?

– Wtedy nie będzie niespodzianki, prawda? Nie wstydz się. Powtarzam, że już widziałam cię nago.

– Ale pies nie widział – zaproponował Reed, ale odłożył miecz, żeby się rozebrać i mieć to już za sobą.

– To miło, że kupiłeś psu tego małego pluszowego szczeniaczka.

– Nie kupiłem. Donna dorzuciła go do zakupów. Żaden mój pies nie bawi się lalkami.

– Naprawdę? Lepiej mu to powiedz.

Zdjąwszy koszulę, z ręką na guziku dżinsów, Reed spojrział na psa, który zwinięty w kłębek, z jedną łapą na wypchanej zabawce, czule lizał pluszowy pyszczek.

– Przynosi mi wstyd – stwierdził i z westchnieniem rozebrał się do naga.

– Stań bliżej kominka, tam jest ładne światło – powiedziała Simone. – Z mieczem – dodała. – Obróć się w lewo, ale od pasa w górę z powrotem do mnie. Wypróbujemy kilka póż. Najpierw trzymaj miecz za rękojeść, skierowany w dół. Możesz rozmawiać.

– Brak mi słów.

– Wyspa zaczyna przygotowywać się do letniego sezonu.

Pogawędka nago. Pogawędka nago z mieczem w ręce. Jezu. Mimo to spróbował.

– Tak, widać mnóstwo sprzątanania i malowania.

Simone prowadziła z nim zwyczajną rozmowę, wtrącając w nią polecenia, żeby się odwrócił lub zmienił pozycję.

– Chcę, żebyś uniósł miecz nad lewe ramię, jakbyś chciał nim uderzyć. Pozostań tak przez chwilę.

Dobre mięśnie najszerze grzbietu, pomyślała, mocne bicepsy, wąski tułów.

Blizny nad prawym mięśniem skośnym brzucha, mięśniem najszerszym grzbietu, mięśniem naramiennym były namacalnym dowodem przemocy.

– Opuść go na chwilę i odłóż. – Podniosła się z fotela i podała mu wino. – Odpocznij.

– Skończyliśmy?

– Jeszcze nie. Chcę, żebyś odwrócił głowę i spojrzal na drzwi. Wyobraź sobie, że jest tam twój wróg, że cię atakuje.

– Czy to może być Darth Vader?

– A nie Kyo Ren? Zabił Hana Solo, a Vader nie potrafił.

– Dobrze, że to wiesz. – Reed oddał jej pusty kieliszek. – Jednak nikt tak jak Vader nie opanował ciemnej strony Mocy.

– A więc Lord Vader. – Wzięła od niego i odstawiła kieliszek, po czym wróciła na fotel. – Chcę, żebyś kilka razy zaczerpnął powietrza, a następnie spojrzal na drzwi. Tam jest Vader. Nie spuszczać z niego wzroku, zamachnij się mieczem i zostań tak. Zachowaj to spojrzenie i tę pozycję. Chcę, żebyś był napięty, gotowy zadać pierwszy cios. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem.

– Przygotuj się i zrób to prawdziwie. Uwierz w to, a będzie tak wyglądało.

Reed zmusił się, żeby usłyszeć złowieszczy oddech Vadera i kiedy już miał go w głowie, spojrzal i wziął zamach.

– Zostań tak, zostań w tej pozycji.

Idealnie, pomyślała Simone. Kąt nachylenia, mięśnie pośladków, ścięgna podkolanowe, mięśnie czworogłowe. Naprężone mięśnie pleców, rąk i ramion. Zaciśnięta szczęka.

– Mam to, mam – szepnęła, przenosząc ten obraz na papier. – Tylko się nie ruszaj.

Sięgnęła po telefon i szybko zrobiła trzy zdjęcia jako rezerwę dla szkicu.

– To jest to. Pokonałeś Imperium. Odpocznij.

Reed opuścił miecz i zrobił kilka krążeń ramion.

– Skończyliśmy?

– Mam to, o co mi chodziło. Jesteś doskonałym modelem.

– Zobaczymy.

– Aha! – Zatrzasnęła przed nim szkicownik.

– Daj spokój.

– Chcę, żebyś zobaczył skończoną rzeźbę. A poza tym... – Wstała i podeszła do niego. – Teraz, kiedy już zakończyliśmy sesję, myślę, że mam nagiego mężczyznę tylko dla siebie.

Dotknęła ustami jego ust i drażniąco przygryzła jego dolną wargę.

– Uważaj na miecz – ostrzegł ją.

Przesuwając dłonią po klatce piersiowej i w dół po brzuchu Reeda, zapytała:

– Na który?

– Ha.

– Odłóż ten metalowy. Dziś jest pełnia księżyca. Zanim z tobą skończę, będziesz do niego wył.

Zanim z nim skończyła, Reed uznał, że jeśli taka była wysokość zapłaty, z pozwowania nago mógłby uczynić swój zawód.

Reed obudził się półprzytomny, rozpaczliwie pragnąc kawy, i przypomniał sobie o psie, kiedy się o niego potknął.

– Przepraszam. Mam za swoje – powiedział, kiedy Simone mruknęła.

Wciągnął na siebie ubranie, wyprowadził psa przez kuchnię i żeby było szybciej, chwycił po drodze colę, zamiast zaparzać kawę. Nie musiał się spieszyć, ponieważ pies skorzystał z tarasu, zanim Reed zdążył zaprowadzić go dalej do lasu.

Posprząawszy, Reed wrócił do domu, nakarmił głupiego kundla, przygotował kawę i wypił ją, kiedy zwierzak łapczywie pochłaniał jedzenie. Podał mu lekarstwa i poszedł na górę, żeby wziąć prysznic.

Zatrzymał się w połowie schodów, widząc, że pies kolejny raz wetknął głowę między tralki balustrady.

– O co ci chodzi? Jesteś cholernym matolem? – Powtórzył przekręcanie pod

kątem, po czym zagonił psa na górę akurat w chwili, gdy Simone wstawiała z łóżka. – Mam dla niego imię – oznajmił.

– Jakie?

– Cholerny Matoł.

– Nie nazwiesz tego słodkiego psa Cholernym Matołem.

– Pasuje do niego, a imię musi pasować. W skrócie może być ChM.

– Pomyśl jeszcze raz.

– Zabrudził cały taras i znów wsadził głowę w balustradę. Jak więc nie jest Cholernym Matołem?

Gdy Reed to mówił, pies wpatrywał się w niego oczami pełnymi miłości.

– Przynajmniej poczekał, żeby wyjść na zewnątrz – zauważyła Simone. – Powinien mieć urocze imię. Na przykład Chauncy.

– Chauncy brzmi jak... – Reed powstrzymał się, zanim powiedział „jak cipka”. – Nie mógłbym mieć psa o imieniu Chauncy – dokończył. – Potrzebuję więcej kawy. I muszę wziąć prysznic. Prysznic! Idziesz ze mną. – Chwycił Simone za rękę. – Ty nie – zwrócił się do psa.

Seks pod prysznicem wprowadził go w lepszy nastrój.

Ubrana, po pierwszej filiżance kawy, Simone sięgnęła po kurtkę.

– Przyrowadź Hermana wieczorem do CiCi.

– Nie nazwę go Hermanem. Ale go przyrowadzę.

– Dobrze. W takim razie zobaczymy się wieczorem. – Pocałowała Reeda. – I z tobą też, Raphaelu. – Pocałowała psa w nos.

– Raphaelem też nie jest.

Reed zebrał jego rzeczy – pigułki, kieszonki, jedzenie, coś do gryzienia i kilka ciasteczek.

– Idziemy do pracy. Czas, żebyś zaczął zarabiać na swoje utrzymanie. – Wyprowadził psa z domu i przystanął, zauważywszy rośliny, które wychynęły z ziemi. – Co ty na to? Idzie wiosna. Jeśli to rozkopiesz, nie będzie ciasteczek. Wsiadaj.

Pies z radością zastosował się do polecenia i natychmiast uderzył głową w zamknięte okno.

– Widzisz, Cholerny Matole? Jesteś tym, kim jesteś. – Pomimo chłodu Reed opuścił szybę. – Chyba będę musiał awansować cię na zastępcę, jeśli mam cię codziennie ciągnąć do pracy. To znaczy, że zostaniesz psim zastępcą. Kapujesz?

Na to pies tylko wystawił głowę przez okno.

– To wszystko? Moje niezwykle detektywistyczne zdolności prowadzą mnie do wniosku, że przekłete tralki uważasz za okno, i że wiatr urwie ci uszy. Zastępca cymbał z ciebie.

Potrząsnąwszy głową, Reed skręcił w stronę miasteczka. W tym momencie poczuł przyływ natchnienia.

– Zastępca cymbał, ale miły. Jak Barney Fife <sup>14</sup>, prawda? To jest to. Masz na imię Barney. Załatwione.

Barney wydawał się nie mieć nic przeciwko temu, gdyż wywiesił język i uszy mu powiewały.

Reed otworzył komisariat i wszedł do swojego gabinetu. Napęłnił wodą miszkę Barneya i dał mu patyczki do gryzienia.

– Nie spraw, żebym tego żałował.

Wziął sobie kubek kawy i kiedy podszedł do biurka, żeby włączyć komputer, usłyszał wchodzącą Donnę – niemal zawsze pojawiała się pierwsza.

– Ma pan zamiar codziennie przyprowadzać tego psa?

– Barney został awansowany na zastępcę.

– Barney? – Wsparła pięści na biodrach. – Jak fioletowy dinozaur <sup>15</sup>?

– Nie. Jak Barney Fife. Zastępca szeryfa Barney Fife.

– Czy ten serial nie był pokazywany przed pana urodzeniem?

– To klasyka.

– Nie mogę zaprzeczyć. Mógłbyś przestać patrzeć na mnie ze strachem? – zwróciła się do Barneya. – Wchodząc, zabrałam pocztę.

Podeszła i położyła stosik listów na biurko Reeda. Zanim wyszła, oboje z psem wymienili spojrzenia.

Gdy Reed zaczął otwierać pocztę, zadzwonił jego telefon. Suzanna Dorsey chciała sprawdzić, co słyhać. Złożył jej relację, a potem zapytał o przyczynę uporu, z jakim pies używa chodników i tarasu.

– Biorąc pod uwagę pozostałe okoliczności, powiedziałabym, że przez większość czasu był przetrzymywany w zagrodzie. Z betonową podłogą. Biedactwo zna tylko twarde powierzchnie. Nauczy się, Reed, ale to może trochę potrwać.

– Będę trzymał szufelkę pod ręką.

Po skończonej rozmowie spojrział na Barneya. Ten odwzajemnił spojrzenie i podczołgał się bliżej z wyrazem zaufania i uwielbienia w oczach.

– Popracujemy nad tym – powiedział do niego Reed i podrapał go po głowie, zanim wrócił do poczty.

Nagle zamarł, widząc list zaadresowanego do niego, ze stemplem pocztowym z Coral Gables na Florydzie.

Reed sięgnął po rękawiczki używane na miejscu zbrodni i scyzoryk, którym ostrożnie otworzył kopertę. Wyjął z niej kartę z życzeniami.

**GRATULACJE!!!**

Pozłacane litery błyszcząły nad obrazkiem przedstawiającym kolorowe fajerwerki. Reed otworzył kartę czubkiem palca w rękawiczce i przeczytał wydrukowane w środku zdanie:

**ZABAWMY SIĘ!**

Wokół tych słów narysowała trupie czaszki i skrzyżowane piszczele, a poniżej ręcznie dopisała wiadomość.

*Przeżyłeś! Ciesz się tym, dopóki możesz. Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy, ale przyjdę po ciebie.*

*XXOO, Patricia*

*PS Jest tu drobny prezent ze wspaniałego stanu Floryda.*

Reed podniósł małą plastikową torebkę i przyjrzał się umieszczonemu wewnątrz kosmykowi włosów. Nie miał wątpliwości, że należały do Emily Devlon.

– Okej, suko, zgoda. Zrobiłaś z tego sprawę osobistą, a to jest błąd.

– Hej, szefie, czy... – Cecil cofnął się na widok zimnego błysku w oczach Reeda.

– Och, mogę przyjść później.

– Czego potrzebujesz?

– Pomyślałem, że powinienem ci powiedzieć, że malują Beach Shack i strącili z drabiny puszkę z kilkoma litrami farby. Wylała się na Jewels of the Sea i ochlapała Cheryl Riggs, która akurat tam stała i myła okno wystawowe. Wściekła się, szefie.

– Możesz się tym zająć?

– Tak, właśnie szedłem do pracy, kiedy to się stało, więc zrobiłem, co mogłem. Farba jest też na całym chodniku. Jednak pani Riggs chce, żebyś ty tam przyszedł.

– Powiedz jej, że przyjdę, ale najpierw muszę coś załatwić.

– Jasna sprawa.

– Zrób to osobiście, Cecilu. Zablokuj przejście, żeby ludzie nie chodzili po mokrej farbie. I każ Donnie skontaktować się ze służbami oczyszczania, żeby usunięto ją z chodnika.

– Tak jest, szefie.

– I zamknij drzwi, Cecilu.

Trzeba się zająć rozlaną farbą i rozgniewanymi sklepikarzami, pomyślał Reed. Jednak będą musieli poczekać.

Zrobił telefonem zdjęcia obu stron koperty, pierwszą stronę, wewnątrz i tył karty. Sfotografował też kosmyk włosów.

Potem wyjął z szuflady wizytówkę Xaviera i zadzwonił.



## ROZDZIAŁ 23

**S**eleena obudziła się i jęknęła. Co za straszny kac, pomyślała. Była przymulona i czuła mdłości. Głowa jej pękała, oczy pulsowały, gardło miała jak po piaskowaniu i przewracało jej się w żołądku.

Ile drinków...

I wtedy sobie przypomniała.

Pod wpływem wstrząsu gwałtownie oprzytomniała i światło zakłuło ją w oczy. Gdy spróbowała zasłonić je rękami, zaciskowe kajdanki wpiły jej się w skórę.

Wydała dziki, szalony krzyk.

– Rany, budzisz się rozdrażniona. – Popijając kawę z kubka, Patricia podeszła i stanęła w jej polu widzenia. – Prawdopodobnie źle się czujesz, a krzycząc, poczujesz się jeszcze gorzej. Nikt cię tu nie usłyszy, więc wyświadczy sobie przysługę i ucisz się.

– Gdzie jesteśmy? Dlaczego to robisz? Boże, nie zabijaj mnie.

– Jesteśmy głęboko w lasach. Już ci powiedziałam dlaczego – chcę opowiedzieć swoją historię. Gdybym zamierzała cię zabić, już byś nie żyła. Uspokój się. – Podała Seleenie szklankę ze słomką. – To tylko woda. Chcę, żebyś była przytomna i gotowa do pracy. Przepraszam za tę igłę w szyi, ale nie byłam pewna, czy mogę ci zaufać. Tak jest lepiej dla nas obu.

Seleena spojrzała w oczy Patricii i zadrżała. Miała pełny pęcherz i obawiała się, że zaraz popuści.

– Nie musisz tego robić. Powiedziałam ci, że nie wezwę policji.

– Tak, w tym punkcie ci ufałam. Chcesz mieć tę historię, więc nie zaczęłabyś

od zawiadomienia glin. Jednak lepiej, żeby było tak, jak teraz. – Przewracając oczami, pociągnęła trochę wody przez słomkę. – Widzisz? To tylko H<sub>2</sub>O.

Zdesperowana Seleena wzięła szklanekę i wypila wodę.

– Nie mogę zaparzyć ci macchiato – to twoja ulubiona kawa, prawda? Ale założę się, że napiłabyś się kawy dla pobudzenia umysłu.

– Tak, bardzo proszę.

– Pozwól, że przedstawię ci podstawowe zasady.

– Przepraszam, najpierw muszę pójść do toalety.

– To zrozumiałe, ale wstrzymaj się, Seleeno. Lepiej, żebyś najpierw poznała zasady, żebyśmy się nie pokłóciły. Uwolnię cię i skorzystasz z toalety. – Patricia wskazała to miejsce palcem. – Usunęłam drzwi. Co tam, obie jesteście dziewczynami, prawda? Potem wrócisz i usiądziesz. Znow założę ci kajdanki na lewą rękę i kostki, ale prawą rękę zostawię wolną, żebyś mogła wypić kawę i zjeść batonik jogurtowy dla podtrzymania sił. Jeśli czegokolwiek spróbujesz, zacznę od połamania ci palców. Nie zabiję cię – potrzebujemy siebie nawzajem – ale sprawię ci ból.

– Rozumiem.

– Świetnie.

Kiedy Patricia wyjęła sekator z długimi, ostro zakończonymi ostrzami, Seleena się skuliła.

– To do cięcia plastiku. Mam jeszcze mnóstwo opasek zaciskowych. – Patricia przecięła jej więzy, cofnęła się i wyjęła pistolet z kabury.

– Idź się wysuszać.

Seleena podniosła się chwiejnie na drżących nogach.

– Środek nasenny. Jesteś jeszcze trochę słaba. Nie spiesz się. Mamy mnóstwo czasu.

– Ludzie będą mnie szukać.

– Być może. Wysłałam twojej asystentce esemes z twojej komórki. Napisałam, że dostałaś cenną informację i na dzień lub dwa wyjeżdżasz

z miasta. Ale to może nie trwać długo.

– Dzień lub dwa – powtórzyła Seleena. Starła się zaobserwować szczegóły. Chata, stwierdziła, z opuszczonymi roletami w oknach. Surowe, rustykalne meble, żadnych odgłosów ruchu ulicznego. Żadnych dźwięków.

– To nie zajmie nam więcej czasu. A potem będziesz miała swoją wielką historię.

– A ty mnie wypuścisz. – Pokonując skrępowanie, Seleena podciągnęła spódnicę i zrobiła, co miała zrobić.

– Dlaczego miałabym cię nie wypuścić? Mamy umowę. Ja opowiem ci swoją historię, a ty ją upublicznisz. Chcę, żeby została upubliczniona. Chcę, żeby ludzie mnie wysłuchali.

– Masz zamiar zgłosić się na policję?

– No cóż, w tym punkcie skłamałam. – Patricia się uśmiechnęła. – I w sprawie odebrania sobie życia. Jednak popatrz. – Wskazała ręką stojący z boku sprzęt. – Mam statyw, profesjonalną kamerę wideo, światła, wszystko, co trzeba. Uznaj to za nasze studio w plenerze. Usiądziemy tutaj. Możesz zadawać pytania. Ja będę mówić. Opowiem wszystko. Tego właśnie chcę. I ty tego chcesz.

Kątem oka Seleena dostrzegła swoją torebkę. Miała w niej pistolet.

– Zachowam w tej sprawie poufność. Nie musisz przywiązywać mnie do krzesła.

– Pomyśl. Część tego, co mam zamiar ci powiedzieć, jest... no cóż, rzekłabym – drastyczna. Możesz się zdenerwować albo przestraszyć. Możesz pomyśleć: „Och nie! Ona mnie też zabije” i spróbować uciec albo coś wyciągnąć. Tak jak teraz zastanawiasz się, czy uda ci się użyć tego ślicznego różowego glocka, którego masz w torebce. I co wtedy? Au! Połamane palce. –

Patricia sięgnęła i wyjęła pistolet, który włożyła z tyłu za pasek. Uniosła go. – Zatem będzie tylko ból i żadnego zysku. Chronię cię przed tym. – Uśmiechnęła się uroczo, a potem rozchyliła wargi. – Siadaj, kurwa, albo zamiast złamać palec, strzelę ci w stopę z tej twojej babskiej broni.

– Będę współpracować. – Patrząc prosto i zachowując spokojny ton głosu,

Seleena wróciła na krzesło. – Chcę usłyszeć twoją historię.

– Usłyszysz.

Patricia schowała do kabury własną poważną broń – sig sauera – i wycelowała glocka w Seleenę. Różowy kolor coraz bardziej jej się podobał. Wzięła kilka opasek zaciskowych i rzuciła je Seleenie na kolana.

– Przywiąż kostki do nóg krzesła. Potem lewy nadgarstek do lewego oparcia. Wypijemy kawę, przegryziemy coś i porozmawiamy o tym, jak to urządzimy. Makijaż ci się rozmazał i masz tragiczne włosy. Nie martw się, poprawimy to. Wierz mi, jestem dobra w czesaniu i malowaniu.

Podczas gdy Patricia szykowała kawę, Reed zajmował się rozlaną farbą, uspokajał sklepikarzy, załatwiał sprawę z niezdarnym malarzem – jeszcze niedłwie nastolatkiem przerażonym, że straci pracę albo zostanie aresztowany.

Gdy wracał na komisariat ze swoim psim zastępcą, Barney zaczął wypróżniać się na chodnik.

– Nie rób tego! – Rzykując zabrudzenie spodni, Reed podniósł psa i przyspieszył kroku.

Barney zadrżał i nerwowo polizał go po brodzie.

– Powstrzymaj się! Tylko się powstrzymaj!

Reed wpadł do komisariatu, wprawiając w osłupienie Donnę i zastępców.

– Potrzebuję torebki na dowody rzeczowe! Szybko!

Matty zerwała się z miejsca i podała mu jedną.

– O co chodzi? – zapytała.

– Rozporządzenie 38-B.

Kiedy Reed wybiegł na zewnątrz, Matty przewróciła oczami.

– Zgarnąć kupę – wyjaśniła Cecilowi.

Reed postawił Barneya na trawie na tyłach komisariatu.

– Teraz możesz iść.

Ponieważ pies wyglądał na zdenerwowanego i skonsternowanego, Reed zaczął spacerować z nim po trawie.

– Jest wkurzona. Nie zabiła mnie, a co gorsza, ja ją postrzeliłem. Dlatego musiała uciekać. Zastrzeliła własną babkę przy jej balkoniku. Wyobraź to sobie.

Barney podejrzliwie powąchał trawę.

– Z tego powodu nie odziedziczyła tamtego wielkiego domu. Był wart co najmniej milion. A to wszystko w środku? Jeszcze więcej. Dodaj do tego zamrożone konta bankowe. Ukradła z nich mnóstwo pieniędzy, ale jeszcze więcej zostało. Tak, sporo ją kosztowałem i to cholernie wkurza tę psychopatkę. Psychopatkę – powtórzył, spoglądając na znajdujące się po drugiej stronie ulicy sklepy i jadłodajnie. Wiedział, że niektóre z nich mają na górze pokoje do wynajęcia dla pracowników sezonowych. – To ważny aspekt sprawy. Zanim mnie zaatakowała, zawsze jej się udawało. Jej brat wszystko spieprzył, ale to jej brat, a więzy krwi są najważniejsze, prawda? Jednak przede mną udało jej się zabić wszystkich, których wzięła na cel. Stuprocentowa skuteczność, a przecież dopiero zaczynała. – Rozważając to wszystko, Reed przystanął. – Nie chodzi tylko o to, że obniżyłem jej średnią trafień, prawda? Kosztowałem ją fortunę, na którą, jak sobie wyobraziła w swoim chorym umyśle, zasłużyła. Tak jakbym jej to ukradł. I postrzeliłem ją. Zraniłem i krwawiła. Od tego czasu traci nad sobą kontrolę, oto co się dzieje.

Reed odtworzył w pamięci wyraz twarzy Patricii, kiedy do niej strzelił – malujące się na niej szok i strach. Więcej, pomyślał, przypominając sobie brzmienie jej głosu, kiedy do niego krzyknęła i uciekła. Poczucie zniewagi i łzy w równym stopniu, jak wściekłość i strach.

– Od początku zdawałem sobie sprawę, że była wkurzona i zechce jeszcze raz spróbować mnie zabić. Ale wysłanie listu? Chce mieć pewność, że o niej nie zapomnę. Chce, żebyśmy poczuł to, co ona, ten szok i strach. Ale to był błąd. A kiedy raz go popełnisz, łatwiej o następne.

Barney zaskomlał i szarpnął smycz.

– Trawa albo nic. Wysłała ten list, zanim opuściła Florydę. Zrobiła to tuż po zabójstwie, zadowolona z siebie. Ruszy teraz na północ, tak to widzę. Może nie tam, skąd przyjechała, ale w tamtą stronę. – Spojrzał na psa. – Będziemy na nią

czekali.

W odpowiedzi, i wyglądając na skruszonego, pies się wypróżnił.

– Właśnie, tak, jak należy. – Kiedy Barney skończył, Reed serdecznie go pogłaskał. – Wygląda na to, że obaj przemyśleliśmy sprawę. Dobry chłopiec. Właśnie o tym mówiłem. Szkoda, że nie mogę nauczyć cię sprzątać po sobie, ale po to są partnerzy.

Wróciwszy do budynku, nie zważając na to, że użył torebki, umył ręce, a potem wszedł do pokoju zastępców.

– Donno, poproś tu Nicka i Leona.

– Po co?

– Bo muszę porozmawiać z wami wszystkimi.

Wszedł do swojego gabinetu po akta, które tam trzymał – na wszelki wypadek. Wyjął z nich zdjęcie Patricii Hobart.

– Cecilu, zrób kopie tej fotografii – kolorowe.

– Ile?

– Zaczynij od pięćdziesięciu.

– Pięćdziesiąt? – Cecil zamrugał ze zdumienia. – To trochę potrwa.

– Więc lepiej już zaczynij. Donno, federalni są w drodze do nas. Znam twoje stanowisko w tej sprawie, ale będę ci bardzo wdzięczny, jeśli zaparzysz dzbanek świeżej kawy, kiedy się tu zjawią.

– Zrobię wyjątek. Leon i Nick już idą.

– Dobrze. Kiedy tu przyjdą, odbieraj telefony, ale wszystko, co nie jest pilne, musi poczekać do zakończenia zebrania.

Reed usiadł naprzeciw Matty.

– Powiedz, co sądzisz o zastępcach, którzy pracują latem. Kto potrafi poradzić sobie z czymś poważniejszym niż stłuczka i rozlana farba?

– Czytałeś akta, rozmawiałeś z kilkoma z nich.

– Tak i mam własną opinię. Teraz chcę usłyszeć twoją.

Matty zmarszczyła brwi, ale wyraziła swoje zdanie. Reed kiwnął głową i wstał, kiedy wszedł Leon.

– Jakiś problem, szefie?

– Jeszcze nie. Usiądź, Leonie. – Podeszedł, żeby wziąć jedną z kopii zdjęcia, które wydrukował Cecil, i kiedy zjawił się Nick, przypiął je do tablicy. – Usiądź, Nick. Cecilu, na razie wystarczy. Dokończysz po zebraniu. Chcę, żebyście dobrze przyjrzeni się temu zdjęciu. Wszyscy macie kopie i rozdamy je w miasteczku, w agencjach wynajmu, wśród załogi promu. To jest Patricia Hobart, lat dwadzieścia osiem. Jak dotąd zabiła dziesięć osób, o tylu wiemy. Dodajmy do tego próbę zabicia mnie.

Chociaż sądził, że znają tę historię, a przynajmniej większość szczegółów, zapoznał ich z nią. Chciał, żeby usłyszeli ją na świeżo i bezpośrednio od niego.

– Dziś przysłała mi to. – Wyjął z teczki torebkę na dowody rzeczowe, w której była karta z życzeniami, koperta i kosmyk włosów. – Przekażę to FBI, kiedy tu przyjadą.

– Bzdura – warknęła Matty. – Szukają jej już prawie rok i nic nie mają.

– Nie wiemy, co mają ani jak blisko dotarli, ponieważ nie udzielają informacji. Tak to działa. – Odłożył teczkę na bok i otworzył następną. – To są moje akta – nasze. Jest tu kopia karty z życzeniami i koperty oraz kilka włosów, które mam zamiar zbadać. Mam swoje kontakty. Będziemy w pełni współpracować z FBI, ale to nie znaczy, że mamy siedzieć z założonymi rękami. Prędzej czy później ona tu się zjawi – mówił dalej. – Simone Knox też była w tym centrum handlowym. Jako pierwsza osoba, która zawiadomiła policję, jest kolejnym celem. Sądzę, że głównym. Od dzisiaj zaczniemy regularnie patrolować okolice domu CiCi. Będziemy siedzieć na przystani i obserwować pasażerów wysiadających z promu. Mam zamiar włączyć w to dwóch sezonowych zastępców.

– Ona zmienia wygląd – zauważyła Matty.

– Tak i jest w tym dobra. Dlatego zapamiętajcie to zdjęcie. Nie pozwólcie, żeby zmylił was kolor włosów, fryzura, kolor oczu, okulary czy drobne zmiany struktury twarzy czy sylwetki. Pojawi się sama. Musi wynająć pokój, poświęcić trochę czasu na poznanie naszych zwyczajów. Będzie uzbrojona, a jest cholernie

niebezpieczna. Trzeba ostrzec mieszkańców wyspy, a wy musicie dać im wyraźnie do zrozumienia, że nie mogą się do niej zbliżać ani jej przeciwstawiać. Jeśli pójdzie po zakupy do supermarketu, mają wziąć od niej pieniądze przy kasie, życzyć miłego dnia, a potem nas zawiadomić. Nie zamierza skrzywdzić nikogo oprócz mnie i Simone, ale to jej nie powstrzyma, jeśli zostanie osaczona. To jest wyspa – dodał. – Kiedy tu przybędzie, będzie uwięziona. To nasza wyspa. Znamy ją lepiej. Hobart jest cierpliwa. Może się pojawić za tydzień albo odczekać kolejne dwa lata.

Jednak Reed nie wierzył, że Patricia będzie długo czekać. Nie mogłaby.

– Nikomu z nas nie wolno spocząć na laurach, bo ona tu przybędzie.

Reed przerwał, kiedy drzwi się otworzyły i do środka wszedł Xavier – z koleżanką.

– Donno, będę naprawdę wdzięczny za tę kawę.

– Jasna sprawa, szefie. – Donna posłała Xavierowi wrogie spojrzenie i poszła do pokoju socjalnego.

– Zapraszam. – Reed wskazał agentom swój gabinet.

Agentka specjalna miała na sobie czarny garnitur, białą bluzkę i praktyczne buty. Reed ocenił, że jest wysportowana, tuż po czterdziestce. Ciemne włosy nosiła krótko ostrzyżone – fryzura równie praktyczna jak buty – a makijaż na ładnej twarzy o poważnych brązowych oczach był subtelny.

Reed doszedł do wniosku, że prawdopodobnie należy do tej samej kategorii, co ten dupek Xavier. Dopóki nie uśmiechnęła się do psa.

– Czyż nie jest słodki?

– Boi się ludzi – wyjaśnił Reed, kiedy Barney schował się pod jego biurko. – Ktoś porzucił go na wyspie po tym, jak go maltretował.

– Przykro mi to słyszeć. Moja siostra uratowała kundelka w podobnych okolicznościach. Teraz to najlepszy pies na świecie.

– Nie jesteśmy tu po to, żeby rozmawiać o psach.

Kobieta posłała Xavierowi szybkie spojrzenie, a potem wyciągnęła rękę do



Reeda.

– Agentka specjalna Tonya Jacoby, komendancie.

– Dziękuję za przybycie. – Ponieważ poczuł już do niej o wiele większą sympatię niż do Xaviera, podał jej torebkę z dowodami rzeczowymi. – To przyszło dziś z poranną pocztą.

Jacoby włożyła rękawiczki i otworzyła torebkę.

– Pańskie zdjęcia przyszły wyraźne – zaczęła.

– A ten kontakt i zawarta w nim groźba tym bardziej wskazuje na konieczność, żeby pan się wycofał.

Reed ledwie zerknął na Xaviera.

– Ponieważ to się nie stanie i nie ma sensu powtarzać naszej wczorajszej rozmowy, zacznijmy od tego: wprowadziłem w sprawę swoich zastępców.

– Ostatnie, czego nam trzeba, to banda uzbrojonych wieśniaków strzelających do cieni.

Reed powoli podniósł się z fotela. Jacoby zaczęła coś mówić, ale wszedł jej w słowo.

– Chce pan mnie atakować, proszę bardzo. Ale proszę uważać na to, co pan mówi o moich podwładnych. Dziś został pan tu zaproszony. Równie łatwo może pan być wyproszony.

– To jest dochodzenie FBI.

– Agencie specjalny Xavier, może pójdzie pan na spacer? – Spojrzenie Jacoby było teraz dłuższe i twardsze. – Proszę iść na spacer.

Xavier opuścił pokój i kolejny raz trzasnął za sobą drzwiami wejściowymi do komisariatu.

– Czy pani teraz kieruje śledztwem? – zapytał Reed.

– W rzeczy samej. Zostałam w nie włączona dopiero w zeszłym tygodniu. On nie jest z tego zadowolony, co może tłumaczyć jego wczorajsze zachowanie. Wyczytałam to z jego raportu. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

– Nie są potrzebne.

Donna weszła do gabinetu z kawą – przyniosła na tacy dzbanek, filiżanki

i całą resztę. Reed nie zdawał sobie sprawy, że mają tacę.

– Dzięki, Donno.

– Tak, dziękuję. – Jacoby dołała do swojej kawy porcję mleka i usiadła. – Porozmawiajmy.

Reed spędził z nią pół godziny i kiedy znów podali sobie ręce, widział sytuację w jaśniejszym świetle.

Kiedy Jacoby wyszła, dokończył zebranie ze swoim zespołem, odpowiadając na pytania.

– Agentka specjalna Jacoby, obecnie kierująca dochodzeniem w sprawie Hobart...

– Posunęli tego fiuta? – zapytał Leon.

– Wciąż jest włączony w to dochodzenie, ale już nim nie kieruje.

– Przynajmniej ktoś w FBI nie jest skończonym idiotą – stwierdziła Matty.

– Ponieważ Jacoby nie wydała mi się idiotką, powiedziałbym, że jest tam więcej niż jedna osoba. Poinformowała mnie, że trafili na trop w Tennessee. W Memphis. Jeśli się im powiedzie, będziemy mogli zakończyć sprawę. Jednak na razie chcę, żebyśmy nie rezygnowali z patroli i obserwowali prom. Ja i mój partner będziemy brali w tym udział.

– Partner? – zapytała Matty.

Reed poklepał psa po głowie.

– Zastępca Barney. Teraz jest jednym z nas.

W chacie laptop Patricii odbierał wiadomości Fox News na wypadek, gdyby wydarzyło się coś, co powinna wiedzieć, ona sama zaś poprawiała Seleenie makijaż.

– Widzę, że dbasz o skórę – stwierdziła, nakładając podkład. – Ja też. Moja matka się zaniedbywała. Wyglądała jak wiedźma, zwłaszcza po tym, jak zabili JJ'a. Ale nawet przedtem nie zajmowała się sobą. Nie winiłabym starego, że pieprzył się z kim popadnie i przyłożył jej od czasu do czasu, ale był strasznym dupkiem. Na powieki położę ci neutralny odcień. Będzie klasycznie

i profesjonalnie. Zamknij oczy.

Bądź zaangażowana, nakazała sobie Seleena. Nawiązuj kontakt.

– Ciebie też bił?

– Ledwie mnie dostrzegął, więc szkoda mu było fatygi. Zrobiłam się gruba – to też była jej wina. Stale przekupywała mnie słodyczami i pozwalała jeść całe torebki chipsów. Stary nazywał mnie Beczką Smalcu. W skrócie Beką.

– To okrutne.

– Czy nie mówiłam, że był dupkiem? Prześladowano mnie w szkole, wiedziałaś o tym?

Patricia musiała się cofnąć, żeby nie popsuć swojej pracy. Seleena otworzyła oczy.

– Ale zbyt szybko się z tym spieszę i wyprzedzam fakty. Zamknij oczy i nie otwieraj, dopóki ci nie powiem.

Seleena wykonała polecenie. Trzymała zamknięte oczy i słuchała. Słyszała szaleństwo, o Boże, naprawdę je słyszała. I gorycz, i coś jeszcze gorszego. Boże, coś gorszego – zimną obojętność, gdy Patricia opowiadała, jak wyświadczyła matce przysługę, mordując ją.

– Oni... Policja uznała to za wypadek.

– Bo jestem taka dobra, dziewczyno. Szurnięta, marudna stara jędza mi to ułatwiła, ale trzeba być dobrym. Otwórz oczy.

Seleena posłuchała, próbując ukryć strach.

– O tak, jestem dobra. Jeszcze raz zamknij. Wiesz, że tego wszystkiego o makijażach i fryzurach, pielęgnacji skóry dowiedziałam się z internetu? Z YouTube'a, bo matka nie nauczyła mnie absolutnie niczego. Moje IQ wynosi sto sześćdziesiąt cztery i z pewnością nie odziedziczyłam go po niej ani po starym dobrym tacie. Otwórz – powiedziała, zaczynając malować eyelinerem kreskę na dolnej powiece Seleeny. – Przywykłaś do tego, że robią ci makijaż.

– Tak.

– Ja maluję się sama. Wszystko robię osobiście, bo jestem mądra. JJ nie był głupi, ale nie był też zbyt mądry. Często odrabiałam za niego zadania domowe,

nawet po tym, jak te dupki, rodzice, nas rozdzielili. Nie powinni byli tego robić.

– Nie, nie powinni. To też było okrutne i samolubne.

– Masz cholerną rację! To JJ nauczył mnie strzelać, bo staremu nie chciało się dla mnie trudzić. Patrz w dół, kiedy będę malować ci rzęsy. Nie tak nisko!

– Przepraszam.

– Dobrze strzelał, ale ja i pod tym względem byłam lepsza. Nie przejmował się tym. JJ był ze mnie dumny. Kochał mnie. On jeden. A oni go zabili.

– Musi ci go brakować.

– JJ nie żyje, więc o co chodzi? Wiedział, że jestem mądra, ale mnie nie posłuchał, nie był odpowiednio przygotowany. Odciągnął kurek do połowy. Łapiesz? Broń, kurek.

Próbując odczytać wwiercające się w nią spojrzenie, Seleena odrobinę wygięła wargi w uśmiechu.

– A to dobre.

– Kiedy chcę, potrafię być zabawna. Nie mam wielu okazji rozmawiać z ludźmi i nigdy nie robię tego jako ja. Muszę rozmawiać z głupimi dupkami, kiedy śledzę ofiarę, ale to nie jestem ja. Prawdziwa ja znajduję się wtedy w swoim wnętrzu i pokazuję tylko zewnątrz, które spodziewają się zobaczyć. Masz szczęście, bo możesz zajrzeć do mojego wnętrza.

– To musiało być dla ciebie trudne – zamykać wewnątrz prawdziwą siebie.

– Musiałam robić to latami, cholernymi latami, w mauzoleum z wyschłymi, jęklivymi starcami. „Och, zrobię to, babciu. Nie martw się, dziadku. Sprzątnę to”. Nie zamierzali umrzeć i dać mi spokoju. Nikt nie wytrzymałby z nimi tak długo jak ja. Oczy wyglądają dobrze.

Patricia przyjrzała się zestawowi do makijażu. Wybrała róż i pędzel.

– Mówili okropne rzeczy o JJ’u, zwłaszcza kiedy już nie żył. Straszne rzeczy, a ja musiałam powstrzymywać się, żeby nie poderżnąć im gardeł. Może nie był zbyt bystry, może mnie nie słuchał, ale nie powinni byli mówić o nim tych strasznych rzeczy.

– Ich własna krew – wtrąciła Seleena.

– Mówili, że był chory, upośledzony, nawet zły. No cóż, zapłacili za to, prawda? Niewystarczająco, ale zapłacili. A on po prostu mnie nie posłuchał, oto, co się stało.

– Próbowłaś go powstrzymać.

Patricia cofnęła się i z zadowoleniem przyjrzała się różowi na policzkach Seleeny.

– Wykończymy to – powiedziała, sięgając po sypki puder.

– Powstrzymałabym go, gdybym wiedziała, że to przyspieszy. Nadal mam kilka szczegółów do dopracowania. A co on robi? Uderza w lipcu, kiedy zbyt wielu ludzi jest na wakacjach lub gdzieś tam wyjeżdżają. To miał być grudzień, tłumy przed świętami. Zabiłby dwa razy tyle osób. A nawet więcej, a ja do tego czasu opracowałabym drogi ucieczki.

– Opracowałabyś?

Patricia przechyliła głowę raz w jedną, raz w drugą stronę i czubkami palców uniosła podbródek Seleeny.

– Wyglądasz dobrze. Klasyka i profesjonalizm, tak, jak obiecałam. Chcesz coś zimnego do picia?

– Tak, poproszę. Dziękuję.

Patricia wstała i poszła do kuchni.

– Mam dietetyczną kolę, wodę i V8 Splash.

– Dietetyczna cola będzie doskonała. Dziękuję. Trochę kofeiny na pobudzenie, zanim zaczniemy nagrywać.

– Dobra myśl. – Patricia zdjęła kapsel z butelki i rozlała colę do dwóch plastikowych kubków z lodem. – O czym to mówiłyśmy? – Wróciła i podała kubek Seleenie. – Aha, prawda, o JJ’u. Czy nie powiedziałam, że nie był zbyt bystry? Chyba nie myślisz, że JJ i ci dwaj durnie, jego kumple, sami wpadli na to wszystko? DownEast to był mój pomysł, mój plan i powiódłby się, gdyby poczekali, aż dopracuję szczegóły.

– To ty... zaplanowałaś atak?

– Wymyśliłam, zaplanowałam, ukradłam temu kretynowi dziadkowi kartę

kredytową z limitem dość wysokim, żeby kupić kamizelki kuloodporne i hełmy.  
– Dotknęła palcem skroni. – Aż do dziś pozwalałam im uważać JJ'a za mózg tej akcji. Zmienimy to. Ty i ja. – Uniosła kubek i upiła łyk coli. – Jesteś gotowa, zostały tylko usta. Umaluję ci je przed samym nagraniem. Teraz zrobię własny makijaż i przebiorę się w ubranie odpowiednie przed kamerę. To chwilę potrwa, bo chcę dobrze wyglądać. Potem zaczniemy zabawę. Obmyśl kilka dobrych pytań, Seleeno. Liczę na ciebie.

## ROZDZIAŁ 24

Seleena siedziała cztery godziny pod światłami, przy włączonej kamerze, na fotelu ustawionym pod kątem do fotela Patricii.

Po drugiej godzinie Patricia znów puściła ją do toalety i wymieniła baterie w kamerze. Pozwoliła Seleenie pić wodę przez słomkę, kiedy poprawiała makijaż najpierw sobie, a potem dziennikarce. Jednak szybko wróciły do pracy.

Z upływem czasu, gdy Seleena wpadła w rytm wywiadu, gdy temat ją wciągnął, ambicja zaczęła pokonywać strach. Oto odkrywała się przed nią największa historia w jej zawodowym życiu. Nie pamiętała już, że została odurzona narkotykiem i porwana, kiedy jej ego gwałtownie urosło.

Siedziała twarzą w twarz i rozmawiała na wyłączność z mózgiem masakry w centrum handlowym DownEast, seryjną zabójczynią. A dzięki jej umiejętności prowadzenia wywiadów, jak mówiły Seleenie ambicja i ego, Patricia powiedziała wszystko. Opisała każde zabójstwo w najdrobniejszych szczegółach: śledzenie ofiar, zbieranie informacji, wybór momentu i metody.

Gdy więzy na kostkach nóg, lewej ręce (prawą Patricia zostawiła jej wolną, żeby mogła robić notatki) wpiły jej się w ciało, Seleena zapewniła siebie – i uwierzyła w to – że Patricia zostawiła je, bo chciała w ten sposób ochronić ją przed zarzutem pomocnictwa lub podżegania, utrudniania śledztwa.

Były w tym razem, tak jak stwierdziła Patricia.

Podniecenie związane z tym, co tu miała, co zrobi, gdy już znajdzie się w posiadaniu wideo... Strach był niczym w porównaniu z tym uczuciem.

Seleena zaczęła wyobrazać sobie korzyści.

Wiedziała, jak rozegrać ten wywiad, jak zaatakować, dodać zrozumienie

i empatię. Ta kobieta, ten potwór, wylewał z siebie szaleństwo, wściekłość, zimne, wyrachowane przekonanie, że ma prawo zabijać, bo Seleena zręcznie ją naprowadzała.

Kiedys będą analizować to wideo na kursach dziennikarstwa, a ona zarobi mnóstwo pieniędzy na wykładach.

Doszła do wniosku, że dla Patricii ci trzej chłopcy byli bronią, która nie wypaliła. Jej uczucia dla brata wydawały się dziwną mieszaniną miłości i pogardy. A jednak usprawiedliwiała dokonywane zabójstwa, o ile czuła potrzebę ich usprawiedliwiania, jako zapłatę za jego śmierć w wieku siedemnastu lat. Jednak... Boże, to było fascynujące. A jeśli fascynowało ją, to wyobraźmy sobie, tylko wyobraźmy, reakcję widzów.

– Jesteś najlepszą rozmówczynią, jaką kiedykolwiek miałam, Patricio. Ledwie za tobą nadążam! Czy możemy zrobić jeszcze jedną przerwę?

– Jeszcze nie skończyłam!

– Nie, nie, tylko dziesięć minut? – Seleena posłała jej szeroki uśmiech. Miała w rękach beczkę prochu i nie chciała zapalić zapałki. Pochlebstwo, napomniała się. Po prostu jej schlebiaj.

– Muszę zebrać myśli. Chcę podzielić to na segmenty – częściowo zrobimy to podczas montażu, ale chcę przygotować następne pytania. Poza tym zjadłabym coś i wypić dla podtrzymania energii. No i – dodała szybko – chciałabym też chwilę odetchnąć, nabrać znów sił. W każdej części musimy być świeże i wypoczęte.

– W porządku. – Patricia wstała.

– Jest w tym wielka siła, Patricio. Muszę mieć trochę czasu, żeby ją przyswoić.

– W porządku – powtórzyła Patricia, udobruchana. – Mam trochę pszennych krakersów i humus.

– Doskonałe. To nam pozwoli nabrać sił przed następną częścią. Myślisz, że mogłabym trochę rozprostować nogi? Ty biegasz, ja też jestem aktywna – zwróciła uwagę. – Gdybym tylko mogła trochę pochodzić wokół chaty... –



Znów posłała Patricii szeroki uśmiech. – Muszę ci się przyznać, że tyłek mi zdrętwiał.

– Pomyśl o swoich palcach, Seleeno.

Seleena roześmiała się, bo już w to nie wierzyła.

– Jestem w trakcie absolutnie największego wywiadu na wyłączność. Mówimy o nagrodzie Pulitzera, o Emmy. Możesz mi wierzyć, że nie zrobię niczego, co by to zepsuło.

– Po wszystkim będziesz naprawdę kimś. – Patricia przecięła jej więzy.

– Obie będziemy. Wszyscy poznają twoją historię.

I moją, pomyślała Seleena, kiedy starała się rozchodzić ból i mrowienie w nogach. Tylko poczekajcie, poczekajcie, aż zrobi specjalny program o tym, co przeżyła. Porwana, przetrzymywana przez Patricję Hobart. I nieustraszona reporterka prowadzi błyskotliwy, dociekliwy wywiad przed kamerą, wydobywając wszystkie szczegóły. Motywację, ofiary, metody, mechanizm działania. Wszystko.

– Pulitzer, Emmy – powtórzyła Patricia. – Masz nieograniczone możliwości. – Otworzyła pudełko krakersów. – Miałaś dużo szczęścia, że byłaś tamtego wieczoru w galerii i zrobiłaś nagranie. Dzięki temu się wypromowałaś.

– Nie straciłam głowy – przyznała Seleena. – Właśnie tak trzeba, jeśli chcesz się rozwijać. Zwłaszcza kiedy jesteś kobietą. Inteligentną, twardą kobietą. Nazywają cię bezczelną, złośliwą, arogancką, podczas gdy jesteś silna i ambitna.

– Co roku w lipcu robisz program o DownEast, bo to twój główny powód do chwały.

– Aż do teraz. Och, już mi lepiej. Znów zaczynam czuć swój tyłek. – Roztarła pośladki obiema rękami, spacerując tam i z powrotem.

– Ten wywiad przyniesie ci sławę i pieniądze. Napisałaś książkę o DownEast, ale inni też to zrobili. A nie jesteś aż tak dobrą pisarką.

– Jestem niezła, ale masz rację, książki to nie jest moja mocna strona. Tym razem wynajmę murzyna. Jakiej oglądalności się spodziewamy, Pat? Mamy dość materiału na pięcioczęściową serię, a słupki będą stale rosły. Pieprzyć Super

Bowl, pokonamy to i wszystko inne.

– Ponieważ będą to oglądać miliony ludzi.

– Będą, będą. Przyklejeni do telewizyjnych ekranów i innych urządzeń. Piętnastoletnia dziewczyna planuje masakrę, bo nienawidzi swojego życia, rodziców i potrafi manipulować bratem. I będą ciekawi, jak sobie z tym poradziła, kiedy ją odsunął i zrobił wszystko sam. Jak latami powstrzymywała i ukrywała swoją prawdziwą naturę.

Seleena pokręciła głową i westchnęła.

– To niebywałe, fascynujące. A twoje pierwsze zabójstwo? Boże, byłaś taka młoda! A potem twoja własna matka. Podkopałaś jej wolę, latami nią manipulowałaś, a w końcu nakłoniłaś ją do współudziału w jej zabójstwie. To genialne. Po prostu genialne.

– Usiądź i zjedz coś.

– Dzięki. Umieram z głodu. – Seleena wzięła papierowy talerzyk i krakersem nabrała trochę humusu. – Co za ironia, Pat, prawda? Że nie załatwiłaś tego gliniarza, który uratował dziecko w centrum handlowym. Nie zabiłaś go, sama zostałaś postrzelona, ale wydostałaś się stamtąd i dałaś radę wrócić do dziadków. Boże, to materiał na osobną część. Koniecznie.

– Uważasz, że ten gliniarz zasługuje na jakąś część – powiedziała powoli Patricia.

– Absolutnie. Ta chwila, kiedy zdałaś sobie sprawę, że go nie wykończyłaś i że cię postrzelił... Chcę trochę dłużej o tym porozmawiać. I o tym, co myślałaś, co czułaś, kiedy w pośpiechu jechałaś, żeby zabrać pieniądze, broń i dowody tożsamości, a jednak wykorzystałaś okazję, żeby zabić dziadków, zanim uciekłaś.

– Nie uciekłam. Przegrupowałam się.

– Mmm. – Seleena nabrała kolejną porcję humusu. – Wspomnimy o twoim pobycie w Kanadzie, ale to nie jest atrakcyjne. To raczej łącznik, więc przegrupowanie jest dobrym określeniem. Punktem zwrotnym była chwila, kiedy zorientowałaś się, że nie udało ci się zabić Quartermaine'a, a on zdołał cię

zranić. A potem mamy ten zbieg okoliczności, że policjantka, która zastrzeliła twojego brata, pomogła uratować człowieka, którego próbowałeś zabić.

– Zbieg okoliczności.

– To świetna telewizja, po prostu świetna. Teraz będę chciała bardziej skupić się na punkcie zwrotnym, gdy błąd popełniony z Quartermaine'em zmusił cię do zmiany planów, do przegrupowania się. Dzięki – dodała, kiedy Patricia wręczyła jej następny kubek dietetycznej coli.

– Uważasz, że to był błąd. Z tym pieprzonym gliniarzem.

Naprawdę głodna i zbyt mocno pochłonięta tematem, Seleena zapomniała, że dobry dziennikarz pozwala mówić swojemu rozmówcy. Dobry dziennikarz obserwuje zmiany tonu głosu i mowy ciała.

– Tak czy inaczej, przeliczyłaś się. I powtarzam, że to punkt zwrotny, na który położymy nacisk. Do tego momentu nawet nie brano cię pod uwagę, prawda? –

Upiła trochę coli i znów sięgnęła po krakersy. – Właśnie to powiedziałaś wcześniej – pozwoliłaś, żeby wina spadła na JJ'a.

– Żeby przypisano mu zasługę.

– Zasługę. Byłaś siostrą nastoletniego zabójcy, oddaną wnuczką, prowadzącą spokojne życie. A w następnej chwili stałaś się uciekinierką, która z zimną krwią próbowała zabić gliniarza, bo przeżył masakrę w DownEast. Która z zimną krwią zabiła starszych dziadków, a potem uciekła, żeby się ukryć – i przegrupować – w Kanadzie. Już wcześniej zabijałaś, Pat, ale chybienie o włos do Quartermaine'a wszystko zmieniło.

– Miał szczęście.

Seleena skinęła głową.

– To prawda, rzeczywiście miał szczęście. Rozpoznał cię na chwilę przed tym, kiedy byłoby za późno, potem raniąc cię, nie wspominając o ironii sytuacji, że jego policyjna partnerka właśnie zmierzała do tego domu – ta sama, która, znów jak na ironię, znajdowała się wtedy tuż przed kinem. Zastrzeliła JJ'a i pomogła uratować Quartermaine'a. Świetna telewizja.

– Tak uważasz?

- Wierz mi, ja to wiem. Dobra, mam już ułożoną następną część.
- Twoje części, twoja oglądalność, twój cholerny powód do chwały.
- Słucham? Co takiego?
- To moja historia. Moja.

– I to będzie bomba. Sądzę, że powinniśmy trochę odświeżyć makijaż, zanim wrócimy do nagrywania. – Seleena potrząsnęła ramionami i skrzyżowała nogi.

- Nie potrzebujesz – odparła Patricia – bo to już, kurwa, koniec.

Seleena spojrzała na nią i zdołała wydać jeden stłumiony okrzyk, zanim Patricia do niej strzeliła – raz, drugi i kolejny. Jak na ironię, jej zdaniem, z różowego glocka Seleeny.

Wypuściła powietrze z płuc i wraz z nim gniew. Poczowała się lepiej.

- I nie nazywaj mnie Pat.

Nałożyła sobie na talerz krakersy i humus. Jadła je, podczas gdy krew Seleeny spływała na podłogę chaty. Postanowiła zabrać kamerę, ale zostawić statyw i światła. Nie mogła zabrać tylu rzeczy w powrotną podróż samolotem na południe.

Ponieważ wcześniej zatrzymała się, żeby zmienić tablice rejestracyjne i zrobiła w nich trochę wgnieceń, uznała, że samochodem Seleeny bezpiecznie pokona odległość, która ją czeka.

Czas wypłacić trochę gotówki i zabrać kilka nowych dowodów tożsamości z banku w New Hampshire. Potem zostawi auto na lotniskowym parkingu i złapie samolot. Wynajmie domek w Louisville.

Za kilka dni znajdą ciało. Wynajęła chatę na tydzień i zostały jeszcze cztery dni. Do tego czasu ona już będzie... gdzie indziej.

Patricia roześmiała się cicho, popijając krakersy dietetyczną colą i uśmiechnęła się do ciała Seleeny.

- I kto tu popełnił błąd?

Po dyżurze Reed wrócił pieszo z psem do domu. Zabrał niezbędne rzeczy i pojechał samochodem do CiCi. Będzie musiał im powiedzieć – Simone i CiCi

– o liście i groźbie, a także wyjaśnić, jakie środki ostrożności muszą podjąć.

Kiedy zajechał na miejsce, przyjrzał się domowi. Całe to szkło, całe to cholerne szkło. Takie piękne i takie kruche. Jednak włamywanie się przez drzwi i okna nie było w stylu Hobart.

Lubiła fortele. Wybijanie szyb? To było po prostu nieeleganckie.

Reed usłyszał muzykę – niektóre okna były otwarte, aby wpadało przez nie wiosenne powietrze – i rozpoznał równy, zmysłowy rytm *After Midnight*. Wprowadził psa do środka i ujrzał CiCi – w opiętych dżinsach, czarnym T-shircie, z długimi, rozpuszczonymi włosami powiewającymi w tańcu.

Umie się poruszać, pomyślał, kiedy kołysząc ramionami i biodrami krążyła po pokoju przy dźwiękach gitary i uwodzicielskim głósie Claptona.

Nie widział, że Barney usiadł przy jego nodze i uderzając ogonem w podłogę, przyglądał się CiCi.

Zrobiła obrót i dostrzegła go. Wciąż się poruszając – teraz z leniwym uśmiechem – zgięła palec i kiwając nim na Reeda, powiedziała:

– Zatańczmy, Smakowity!

Reed podszedł do niej, objął ją ramieniem w talii i imponująco przechylił.

– No proszę!

– Faceci, którzy umieją tańczyć, zdobywają więcej dziewczyn – odparł, pociągając ją i obracając powoli.

– Trzymałeś to w tajemnicy.

– Nigdy wcześniej nie prosiłaś mnie do tańca.

Schodząc po schodach, Simone ujrzała babkę i komendanta policji w płynnym tańcu, podczas gdy pies obserwował ich wyraźnie zafascynowany.

Gdy skończyli, Reed obejmował talię CiCi, a ona jego szyję i uśmiechali się do siebie szeroko.

– A więc to tak.

– Simone, jesteś moim największym skarbem. – CiCi z radosnym westchnieniem oparła na chwilę głowę na ramieniu Reeda. – Jednak teraz, kiedy wiem, że ten mężczyzna potrafi poruszać się seksownie do muzyki Claptona,

możliwe, że będę musiała ci go ukraść.

– Jestem twój – powiedział Reed i pocałował ją w czubek głowy.

Poczuł zapach jej szamponu, lekką woń terpentyny i ulotny powiew trawki. Cała CiCi.

Uścisnęła go i odwróciła się, aby przyjrzeć się psu.

– A więc to jest ten czworonożny słodziak. Nie mylisz się, Simone, on ma słodki pyszczek i spojrzenie pełne serdeczności. – Nie przykucnęła, tylko wyciągnęła rękę. – Podejdź i przywitaj się, kochanie.

– On potrzebuje trochę czasu, żeby... – Reed urwał, kiedy Barney wstał i podszedł prosto do CiCi.

Reed nie mógł powiedzieć, że Barney oswoił się z ludźmi po paru dniach spędzonych w ich obecności. Chociaż przywykł do Cecila, kulił się na widok każdej ludzkiej istoty, którą spotykali po drodze do domu. Tymczasem tutaj, tylko na widok wyciągniętej ręki, podszedł do CiCi i zaczął machać ogonem, gdy pochyliła się, żeby go pogłaskać.

– Może jesteś czarownicą.

– Oczywiście, że jestem i łączy mnie pokrewieństwo ze zwierzętami, zwłaszcza z psami, ponieważ w młodym wieku byłam wilczycą. Poza tym ten słodziak i ja rozpoznajemy się nawzajem, prawda, przystojniaku? My też tańczyliśmy ze sobą w innym życiu.

To by Reeda ani trochę nie zdziwiło.

– Ma na imię Barney.

– Może być – orzekła Simone, po czym sięgnęła po pilota, żeby trochę ściszyć muzykę. – Ponieważ wszyscy skończyliśmy pracę na dzisiaj, jestem gotowa otworzyć wino. Czy ktoś się ze mną zgadza?

– Nie trzeba mnie przekonywać – odparła CiCi.

– Może usiedlibyśmy z nim na zewnątrz? Jest ciepło. Muszę omówić z wami pewne sprawy.

– Brzmi poważnie.

– Bo tak jest.

– Przynieś wino, Simone – poprosiła CiCi. – Zobaczymy, jak Barneyowi podoba się widok z tarasu.

Celowo wyprowadziła Reeda i psa na zewnątrz.

– Chodzi o Patricię Hobart.

– Plotki czy twoje zdolności paranormalne?

– Powiedzmy, że dziś rano wyczułam niepokój.

– W świecie Mocy?

– Wiem swoje. – Stuknęła go palcem w pierś. – A potem Hildy zadzwoniła do mnie po południu, po spotkaniu z tobą. Hildy nie jest papłą, ale znamy się od dawna. Chciała to ze mną omówić. Nie wspomniałam o tym Simone. Pracowała i nie chciałam jej rozpraszać. I pomyślałam, że sam zechcesz jej powiedzieć. Mogę zabrać Barneya na spacer po plaży, jeśli potrzebujesz prywatności.

– Dziękuję, ale nie. Chcę porozmawiać z wami obiema.

– Głęboko wierzę w prawo potrójnego powrotu. Cokolwiek uczynisz dobrego lub złego, wróci do ciebie po trzykroć. Jednak jestem gotowa zaryzykować wszystko, co mogłoby mnie spotkać, żeby ta suka spadła jak kamień do studni bez dna, za to, że próbuje skrzywdzić ciebie czy moją dziewczynkę.

– Nie pozwolę jej skrzywdzić Simone ani ciebie.

CiCi ujęła w dłonie jego twarz.

– Dodaj do tego siebie.

– Ja... już raz z nią tańczyłem. Wiem, jak się porusza.

– A oni znów to samo. – Wymownie przewracając oczami, Simone wniosła butelkę wina i trzy kieliszki. Postawiwszy to wszystko na stoliku, wyjęła z tylnej kieszeni spodni długi, gruby patyk do gryzienia. – Teraz każdy dostał coś dobrego.

Gdy Barney ułożył się ze swoim smakołykiem, Simone rozlała wino do kieliszków.

– Boże, miałam naprawdę dobry dzień, a teraz mam cudowny wieczór.

– Przykro mi, że muszę go zepsuć.

Simone spojrzała na Reeda.

– A więc to coś bardzo poważnego.

– Usiądźmy. – Reed rozważał rozmaite sposoby przedstawienia sprawy i nie zdecydował się na żaden z nich. Ostatecznie postanowił mówić wprost.

– Z poranną pocztą dostałem kartę z życzeniami. Od Patricii Hobart.

Simone, która siedziała obok CiCi, chwyciła babkę za rękę.

– Jakiego rodzaju kartę?

– Taką, która kosztowała ją trzy dolary dziewięćdziesiąt dziewięć centów plus podatek i opłata pocztowa. – Opisał tę kartę, a potem przytoczył wiadomość.

– Próbuje cię zastraszyć. Czy kiedyś już zrobiła coś podobnego?

– Nie, mnie nie i potwierdziłem dziś, rozmawiając z FBI, że nie ma dowodu, aby kontaktowała się z kimś jeszcze i komukolwiek groziła. Jest wściekła, że mnie nie załatwiła, a ja ją postrzeliłem. Kosztowałem ją wielki dom i mnóstwo pieniędzy. Ponieważ jest wkurzona, musiała podjąć kolejną próbę. To odstępstwo od schematu mówi mi, że popełni więcej błędów. I to jest dobra strona.

– Jest jakaś „dobra strona” otrzymywania śmiertelnych gróźb? – zapytała Simone.

– Więcej niż jedna. To mi mówi, że potrząsnąłem nią na tyle mocno, żeby przeniknąć do jej chorego, pokręconego umysłu. Mówi mi, że pomyślała o mnie od razu po zabiciu Emily Devlon i wysłała do mnie list. W środku był kosmyk włosów. To będą włosy Emily Devlon.

– Jezu, to jest straszna, chora, nikczemna istota – wtrąciła CiCi. – Karma ją dopadnie, tymczasem...

– Najpierw dopadnie ją system sprawiedliwości – odparł Reed. – Wysłała list z Florydy i FBI wytropi, gdzie to zrobiła.

– Ale jej tam nie będzie – zauważyła Simone.

– Nie, jednak to nam powie, gdzie się znajdowała i kiedy. Jak daleko jest to miejsce od domu Devlonów. FBI stara się zawęzić teren poszukiwań do tego trójkąta i dowiedzą się, gdzie mieszkała, kiedy śledziła Emily. Porozmawiają z ludźmi, którzy rozmawiali z Hobart, którzy ją widywali. Liczy się



najdrobniejsza informacja. Na dodatek ostrzegła mnie. Zamierzała mnie przestraszyć, ale znów chybiła. Ostrzeżony, podjąłem kroki.

– Jakie kroki?

– W jeden z nich zaangażowałem FBI.

– Tego palanta? – zapytała Simone.

– Nie kieruje już dochodzeniem. Zastąpiła go agentka specjalna Tonya Jacoby.

– Kobieta. – CiCi z satysfakcją kiwnęła głową. – Teraz do czegoś dojdziemy.

– Po dzisiejszym spotkaniu z nią przyznaję ci rację. I nie jest palantem. Od tej chwili, prawdopodobnie z tego powodu, że Hobart zrobiła fałszywy krok, zaczniemy dzielić się informacjami. Będę więcej wiedział, a oni – w tym Xavier, który wykonuje rozkazy Jacoby – będą bardziej słuchać.

– Do tego trzeba kobiety. – CiCi uniosła kieliszek.

– W wielu przypadkach tak jest. Wprowadziłem w sprawę swoich zastępców i Donnę. Mamy na tablicy zdjęcie Hobart. Chcemy je rozprowadzić. Rozmawiałem o tym z panią burmistrz i o ściągnięciu wcześniej paru sezonowych zastępców. Zgodziła się.

– Jesteśmy na wyspie – podkreśliła Simone. – Żeby się tu dostać albo stąd wydostać, Hobart musi przypłynąć promem, czarterową albo prywatną łodzią. W ten sposób trudniej uciec.

– Masz absolutną rację.

– Mogłaby poczekać, aż wybierzesz się po coś do Portland.

– Skąd miałyby o tym wiedzieć? – odparł z przekonaniem, ale i po to, żeby uspokoić Simone. – Nie udzielam się w portalach społecznościowych, które są jej podstawowym źródłem informacji. Wszystko odbędzie się tutaj, a to nam daje przewagę.

– Masz rację. – Simone pokiwała głową i pociągnęła łyk wina. – Masz absolutną rację, ale...

– Jest w tym dużo „ale”, jednak damy sobie z tym radę. Kolejna nasza przewaga polega na tym, że Hobart znów próbuje zabić gliniarza. I są uprzedzone o tym siły policyjne. Rozpracowywałem ją i jestem gotów się

założyć, że robiłem to dokładniej i dłużej, niż ona rozpracowywała mnie czy ciebie, Simone.

Teraz CiCi ujęła rękę Simone.

– Musimy stawić temu czoło, prawda? Przyjąć do wiadomości, że Hobart może skorzystać z okazji i próbować zabić was oboje.

– Najpierw musi się tu dostać i zostać na tyle długo, żeby poznać nasze zwyczaje i obmyślić plan. To też daje nam przewagę, nawet latem, bo wtedy przypłyynie. Lato jest dla niej lepsze. Wyspa jest pełna ludzi, mnóstwo się dzieje, sklepy i restauracje są zatłoczone. Zaczniemy jej wypatrywać już teraz, ale ona poczeka do lata. W tym roku, może w następnym. A teraz wróćmy do „ale”. –

Reed pochylił się do przodu. – Hobart jest inteligentna, przebiegła i cierpliwa, chociaż wydaje mi się, że traci cierpliwość pod wpływem gniewu i szaleństwa. Umie wyglądem i zachowaniem udawać kogoś innego. Wie, jak być niezauważalna, jak wmieszać się w otoczenie i jak wciskać kit. A z drugiej strony? Wy obie umiecie przyglądać się twarzom. Przyjrzyście się jej rysom tak dokładnie, że zapamiętacie każdy szczegół. Jestem przekonany, że widząc ją, rozpoznacie Hobart bez względu na to, jak będzie wyglądała. Poznacie ją.

– Nie da nam rady. – CiCi ścisnęła dłoń Simone. – Prawda, kochanie?

– Prawda.

– Tu jest lista zasad – powiedział Reed.

– Nienawidzę zasad. Zbyt wiele z nich wywodzi się z patriarchalnego systemu obmyślnego dla ucisku kobiet.

Reed posłał CiCi długie spojrzenie.

– Chciałbym zobaczyć tego patriarchę czy system, który potrafiłby uciskać którąkolwiek z was.

CiCi uśmiechnęła się do swojego kieliszka wina.

– Wielu próbowało i obilo sobie przy tym jaja.

– Ryzykując jaja, powiem, że nie są to wskazania ani wytyczne. To zasady, podoba wam się czy nie. Jeśli widzicie Hobart, nie podchodźcie ani nie dopuszczacie do konfrontacji. Kontaktujecie się ze mną albo z najbliższym

policjantem. Jeśli widzicie obcy samochód, rower, turystę przechodzącego obok domu więcej niż raz, kontaktujecie się ze mną. Jeśli będą głuche albo pomyłkowe telefony, kontaktujecie się ze mną. Będziemy odbywać regularne patrole.

– A co z twoim domem? – zapytała Simone.

– Jestem policjantem. Mój dom już jest patrolowany. Jednak kiedy tam będziesz pod moją nieobecność, masz zamknąć drzwi i ich nie otwierać. Jeśli ktoś się pojawi, skontaktujesz się ze mną. Jeśli pojedziesz do miasteczka czy gdziekolwiek, i zobaczysz przy drodze zepsuty samochód, masz się nie zatrzymywać.

– I skontaktować się z tobą – dodała domyślnie CiCi.

– Widzę, że chwytasz, o co chodzi. Nie ryzykujesz. To są zwykłe środki ostrożności. Chcę, żebyście zmieniały zwyczaje, zresztą i tak nie macie sztywnych. Jednak nie róbcie zakupów tego samego dnia w tygodniu albo o tej samej porze. Nie wychodźcie na spacer o regularnej godzinie. Niezależnie od tego, czy czekacie na jakąś przesyłkę, czy nie, jeśli podjedzie samochód, mają zostawić paczkę przed domem. Nie otwieracie drzwi, nie wychodzicie. Jeśli cokolwiek lub ktokolwiek sprawi, że poczujecie się nieswojo, macie skontaktować się ze mną. I żadnych informacji w mediach społecznościowych o waszych planach. – Reed usiadł znów wygodnie w fotelu. – Mogłybyście założyć alarm.

– O tym nie ma mowy – oznajmiła zdecydowanie CiCi.

– Domyśliłem się, jednak musicie się zamykać, bez względu na to, czy jesteście w domu, czy nie. Zróbcie to dla mnie, dobrze?

– Niech będzie. To mi się nie podoba, ale zgoda.

– Świetnie. Nie sugeruję, że nie potraficie o siebie zadbać. Zwłaszcza że nie chcę mieć obitych jaj i liczę na kolację. Chcę tylko powiedzieć, że kocham was obie i że zamierzam o was dbać. To wszystko.

– Nie myśl, że nie będziemy dbać o ciebie – z tego samego powodu. – CiCi wstała i wypila resztę wina z kieliszka. – Zacznę od tego, że przygotuję ci gorącą

kolację.

– Nie gotuj – odparł szybko. – Pójdę po coś na wynos.

– Gotowanie przywróci równowagę mojemu chi. – Pochyliła się i pocałowała Reeda. – Jesteś o wiele inteligentniejszy od niej, moja wnuczka też. A ja jestem o wiele przebieglejsza.

Simone odczekała, aż CiCi wejdzie do środka.

– Nigdy nie poruszałam tej sprawy, już tego jest dość, ale jeśli Hobart tu przyjedzie, wróci do Portland. Chodzi o moją siostrę i matkę.

– Rozmawiałem z Essie i z Jacoby. Będą miały na oku twoją rodzinę.

Simone podniosła się i podeszła dalej, żeby popatrzeć na wodę. Pies, który zjadł już swój smakołyk, leżał teraz rozciągnięty na stopach Reeda.

– Powinam była wiedzieć, że o nich pomyślisz.

– Rozmawiałem z policją w Bostonie, więc będą czuwać. Na pewno chcesz porozmawiać o tym z Mi. Rozmawiałem też ze swoim przyjacielem, którego, jak podejrzewam, Hobart też ma na liście. On teraz mieszka w Nowym Jorku. Przykro mi, że ściągnąłem tutaj to wszystko.

– Nie ściągnąłeś. Ona to zrobiła. Ona to wszystko zaczęła. To był jej straszny plan, który nie powiódł się tak, jak chciała. To też jej się nie uda. Zabawne... Kocham tę wyspę, zawsze ją kochałam. Jednak nie uświadamiałam sobie, jak głęboko, jak bardzo jest moja, dopóki nie zdałam sobie sprawy, że Hobart może tu się zjawić i starać się skrzywdzić kogoś, kto tak wiele dla mnie znaczy. Skrzywdzić jeszcze kogoś, kto znaczy tak wiele. Kto mógłby próbować splamić to miejsce tak, jak ona zrobiła to z galerią handlową i Portland? Po tamtej nocy już nigdy nie czułam się w Portland bezpiecznie. – Simone odwróciła się. – Wyjechałam do Nowego Jorku najszybciej, jak mogłam. Wyjechałam do Włoch, jeździłam wszędzie, byle jak najdalej stamtąd. Najczęściej wracałam tutaj. Chroniłam się tutaj, jednak wciąż szukałam czegoś innego. Dopóki nie spotkałam ciebie, nie jestem pewna, czy wiedziałam, że wyspa jest dla mnie czymś więcej – więcej niż schronieniem. To moje miejsce, mój dom. Ona nie jest w stanie tego zmienić.

Simone wróciła na miejsce i usiadła Reedowi na kolanach.

– Jest więcej niż jeden rodzaj schronienia. Ty nim dla mnie jesteś. Chcę być tym samym dla ciebie.

– Długo szukałem swojego miejsca i ciebie. Mam cholerne szczęście, że znalazłem jedno i drugie.

– Wiesz, co pomyślałam, gdy zesłam tu dziś po schodach?

– Jak łatwo można by cię zastąpić?

Śmiejąc się, Simone wtuliła się w Reeda.

– Oprócz tego. Pomyślałam, że chcę ich wyrzeźbić – Reeda i CiCi – właśnie takich. Obejmujących się w tańcu i uśmiechających się.

– Nagich? Posłuchaj...

– Jest sztuka, komendancie, i są rzeczy dziwaczne i niestosowne. Nie, nie nagich.

– W takim razie zgoda. Kiedy tu zeszaś, wyglądałaś na szczęśliwą.

– Spędziłam wspaniały dzień, pracując nad fascynującym nowym projektem. Teraz Reed wtulił twarz w jej ramię.

– Pewnie nie pozwolisz mi na to spojrzeć?

– Kiedy będzie gotowe. Zostań tu dzisiaj. Zostań ze mną.

– Miałem nadzieję, że o to poprosisz. Mam w samochodzie nasze rzeczy – swoje i mojego nowego zastępcy.

W kuchni CiCi patrzyła na nich przez okno. To, pomyślała, właśnie to – niebo płonące rumieńcem, gdy dzień chylił się ku końcowi; silny, dobry mężczyzna; nawet pies o słodkim pysku – spełniało jej nadzieje dla wnuczki.

Żadna suka z piekła rodem nie odbierze jej tych nadziei.

Dwa dni później Reed odebrał telefon od Essie.

– Seleena McMullen została uznana za zaginioną.

– Jak długo jej nie ma?

– Teraz już ponad czterdzieści osiem godzin. Jej asystentka odebrała esemes, że McMullen wyjeżdża z miasta, bo dostała cynk w jakiejś ważnej sprawie, ale

nie zjawiała się na umówionych spotkaniach i nie odbiera telefonu.

– McMullen odpowiada profilowi ofiary, Essie, ale to byłoby pierwsze uprowadzenie. Nawet zabicie jej i porzucenie ciała nie pasuje do *modus operandi* Hobart.

– W domu i w biurze McMullen nie ma żadnych śladów włamania ani walki. Tego dnia, kiedy zaginęła, tuż przed północą odebrała połączenie na telefon stacjonarny. Numer nie do wykrycia, komórka na kartę.

– Zwabiła ją gdzieś. – Reed zmarszczył brwi. – To też nie jest zwykła metoda Hobart.

A jednak.

– Rzecz w tym, że Hobart może nie być jedyną osobą, która chciałaby zrobić jej krzywdę. Były mąż za nią nie przepada i zdążyła wkurzyć mnóstwo ludzi. Jednak moi ludzie badają samochód McMullen pozostawiony na lotnisku. To jest *modus operandi* Hobart. Na razie, kiedy nie ma bezpośredniego powiązania z Hobart, dochodzenie prowadzi wydział kryminalny, bo chwyciłam tę sprawę. Jeśli znajdziemy związek, przejmą je federalni.

– Jacoby jest w porządku.

– Zgadza się. Jednak jeśli odkryjemy powiązanie, będzie to oznaczało, że ona wróciła w tę okolicę. Uważaj na siebie, partnerze.

– Będę. Ty też uważaj.

Reed rozłączył się i zaczął zastanawiać. McMullen... tak, to by pasowało. Jednak atakowanie teraz Essie – będącej na liście o wiele wyżej od oportunistycznej blogerki – nie pasowało. A atakowanie jego tuż po wysłaniu karty z życzeniami? Nie, to też nie pasowało. Hobart ma na razie więcej do powiedzenia.

Zatem jeśli to Hobart porwała albo zabiła McMullen, wróciła w tym celu do Portland? Dlaczego?

Musiał to przemyśleć.

Dwa dni później kolejni najemcy chaty znaleźli ciało McMullen. Essie przysłała Reedowi raport na temat reszty.

Statyw do kamery, dwa teatralne reflektory, zapas jedzenia i napojów na kilka dni, ślady kosmetyków do makijażu na podłodze i dwóch fotelach oraz kilka przeciętych opasek zaciskowych.

A wszędzie odciski palców Hobart.

Dlaczego ktoś miałby porwać reporterkę i blogerkę, która ma własny program w lokalnej telewizji i związaną z nim hardcorową stronę w internecie?

Reedowi wydawało się, że ktoś miał historię do opowiedzenia.

Stwierdził, że pomiędzy porwaniem i zabójstwem a wysłaniem listu Patricia Hobart zapragnęła uwagi.

Z radością jej ją poświęci.

Podczas gdy Jacoby i Essie współpracowały w dochodzeniu, wyjaśniając okoliczności śmierci McMullen, Reed zajął się własnymi sprawami. Znalazł w internecie zawieszkę w kształcie odznaki zastępcy komendanta i rozbawiony kupił dwie. Jedną dla Barneya, a drugą dla Pucka, którą zamierzał dać Essie, gdy ta ze swoją bandą przyjedzie w odwiedziny.

Kupił psu legowisko i z początku musiał umieścić je tuż przy swoim łóżku, inaczej Barney spałby na podłodze. Potem każdego ranka z rozmysłem odsuwał je o kilka centymetrów.

Gdy spróbował rzucić psu czerwoną piłeczkę, którą mu sprawił, Barney spojrział na niego z kompletnym brakiem zrozumienia. Popracują nad tym.

Kwiecień przeszedł w maj i zaczęły kwitnąć kwiaty. Reed kupił doniczkę żonkili na pojednanie i zabrał ją oraz Barneya do Idy Booker.

Kobieta wyszła przed dom, nie wypuszczając z niego kota.

– Barney chciałby przeprosić za kłopoty, które pani sprawił.

Ida skrzyżowała ręce na piersi.

– Ten pies stanowi zagrożenie.

– Przechodzi resocjalizację. Pani Booker, kiedy zaprowadziłem go do Doca, miał infekcję i wszystkie rodzaje problemów zdrowotnych. Ma bliznę w miejscu, gdzie ktoś dusił go kolczatką.

Ida jeszcze mocniej ściągnęła brwi.

– Ktoś dusił tego psa?

– Tak, proszę pani. Doc i Suzanna powiedzieli, że właśnie stąd te blizny. Bał się ludzi, ponieważ ktoś trzymał go w zamknięciu i krzywdził. Doc uważa, że być może dlatego gonił pani kota, że chciał się bawić. Nie jestem tego pewien i nie przyprowadzę go w pobliże pani kota – i ogrodu – bez smyczy. Pies był na wpół zagłodzony, pani Booker.

– Teraz wygląda lepiej. – Zakłęła pod nosem. – Nie jestem wielbicielek psów, ale ktoś, kto traktuje zwierzę w ten sposób, jest wart, żeby na niego napluć. Słyszałam, że pan go zatrzymał.

– Teraz ma na imię Barney i robi postępy. Właśnie wróciliśmy od Doca, który powiedział, że pies jest na dobrej drodze do zdrowia. Przybrał również trochę na wadze. Nie jest zły, ale może lubić ganiać koty. Biega też za ptakami na plaży.

– Chyba taka jest natura rzeczy. Dziękuję za kwiaty. – Ida westchnęła i wzięła doniczkę. – Należałam do tych, którzy myśleli, że to błąd ściągać kogoś spoza wyspy na stanowisko komendanta. Być może się myliłam. Czas pokaże.

Reed pojechał z powrotem do miasteczka. Po drodze zatrzymał się, żeby popatrzeć na podpływający prom. Dwaj niepełnoetatowi zastępcy mieli teraz zmianę, ale uznał, że nie zaszkodzi, jeśli sam rzuci okiem na wysiadających.

Zobaczył kilka rodzin z dziećmi jeszcze zbyt małymi, żeby chodzić do szkoły, paru mieszkańców wyspy wracających do domu, samochody dostawcze, turystów.

Zadowolony, Reed wrócił na komisariat.

– Co powiedział Doc? – zapytała Donna.

– Barney doszedł do siebie. Jest gotowy do czynnej służby.

Donna prychnęła.

– Proszę mu zabronić węszyć w koszu na śmieci albo już ja mu pokażę czynną służbę.

– On tylko szukał tam śladów. – Zadzwoił telefon na jego biurku i Reed poszedł do swojego gabinetu, a pies za nim. – Komendant Quartermaine.



– Agentka specjalna Jacoby. Jestem w Louisville, w Kentucky, podążam za tropem. Mamy świadka – byłego glinę, który śledził sprawę Hobart. Przysięga, że ją widział.

– Kentucky? Znów ruszyła na południe? Na ile wiarygodny jest ten świadek?

– Wierzę mu.

– Okej, gdzie ją zobaczył?

– W tamtejszym centrum handlowym. Mówi, że dobrze jej się przyjrzał, a kiedy skojarzył twarz, spróbował śledzić Hobart. Zgubił ją. Był tłok. To popularna galeria handlowa, a w dodatku zbliżają się piłkarskie derby. Jednak znów szczęście mu dopisało, kiedy zauważył, jak wyjeżdża z parkingu. Mam markę samochodu i model, kolor i numer tablicy rejestracyjnej. Jesteś gotowy?

– Tak, jestem. – Reed wszystko zapisał.

– Kupiła okulary przeciwsłoneczne, parę koszulek, dzinsy. Ma rozmiar numer sześć. Do tego kilka ubrań treningowych. Sprawdzamy sklep po sklepie, ale nasz świadek rozpoznał niektóre torby, zanim stracił ją z oczu. Zapłaciła za wszystko kartą Visa wystawioną na nazwisko Marshy Crowder z fałszywym adresem w San Diego. Włosy – jasnobrązowe – miała związane w koński ogon. Zaalarmowaliśmy wszystkie posterunki, podając opis i numer rejestracyjny samochodu. Jak dotąd bez rezultatu.

– To dobra wiadomość. Nie mam na liście Louisville ani Kentucky. O ile wiem, nie mieszka tam nikt, kogo mogłaby wziąć na cel.

– Trop w Memphis okazał się słaby, ale gdy znamy numer rejestracyjny, może być pewniejszy, niż nam się zdawało. Hobart prawdopodobnie kieruje się na północ. Uważaj na ten samochód, komendancie.

– Możesz być tego pewna.

– Mamy jej trop. Muszę działać.

– Dzięki za ostrzeżenie. Udanego polowania. Donna! – zawołał od razu, kiedy się rozłączył.

– Jeśli jestem panu potrzebna, ma pan do mnie wyjść – oznajmiła, z płonąącym wzrokiem wchodząc do gabinetu Reeda.

– Przekaż tę informację zastępcom, wszystkim, bez względu na to, czy mają służbę, czy nie. Biała toyota sienna, rocznik może dwa tysiące szesnasty, numery rejestracyjne z Tennessee. Sześć – osiem – trzy – Charlie – Kilo – Oscar. Hobart była widziana za kierownicą tego samochodu w Louisville.

– Rozumiem.

Reed otworzył teczkę z aktami, którą zawsze trzymał pod ręką i spojrzał na twarz Hobart.

– Możliwe, że już cię mamy.

\* \* \*

Patricia zmieniła tablice na parkingu Walmartu przy autostradzie międzystanowej numer 64. Coś nie dawało jej spokoju. Była absolutnie pewna, że ten staruch w Louisville śledził ją przez jakiś czas.

Lepiej dmuchać na zimne, stwierdziła i zniszczyła obecny dowód tożsamości i karty bankowe, po czym je wyrzuciła.

Weszła do Walmartu do części z produktami do włosów. Kupiła kasztanową farbę, za którą zapłaciła gotówką. Pojechała potem bocznymi drogami, krążąc po okolicy dopóty, dopóki przed przyczepą kempingową nie zobaczyła gruchota z napisem NA SPRZEDAŻ na przedniej szybie.

Dobiła targu z wieśniakiem i powiedziała mu, że zaraz wróci z gotówką. Wokół było mnóstwo lasów, w których mogła porzucić auto.

Wróciła pieszo, kupiła terkoczącego gruchota i podjechała nim do toyoty. Gdy przełożyła bagaże do nowego nabytku, z całych sił obiała toyotę, rozładowując nieco napięcie.

Spodziewała się, że jakiś inny wieśniak – a może ten sam – w końcu się na nią natknie i rozbierze ją na części.

Gruchotem pojechała do taniego motelu, gdzie zapłaciła za pokój gotówką.

Ufarbowała włosy, podcięła je, włożyła zielone szkła kontaktowe i zanim wyszła, wymieniła dowód tożsamości. Mimo że gruchot kaszlał i drżał, zdołała

dotrzeć do sporego miasta osiemdziesiąt kilometrów dalej. Zaparkowała auto i poszła kilkaset metrów do dealera używanych samochodów, którego firmę wcześniej zauważyła.

Zapłaciła gotówką, wypełniła papiery i po upływie niecałej godziny była znów na międzystanowej 64. Znów przeniosła rzeczy z jednego samochodu do drugiego i wyjechała stamtąd w świeżo umyтым chevy tahoe z osiemdziesięcioma sześcioma tysiącami kilometrów na liczniku.

Carrie Lynn Greenspan o kasztanowych włosach i zielonych oczach jechała na północ.

Musiała zrobić przystanek w uroczej Wirginii Zachodniej.

## ROZDZIAŁ 25

**E**ssie przywiozła rodzinę na wyspę na wielkie grillowanie przed Memorial Day. Weekend przed tym świętem nie miał dla wyspiarzy szczególnie uroczystego charakteru i na ten czas Reed przydzielił zadania i podwładnym, i sobie. Tydzień wcześniej wziął więc wolny weekend, aby urządzić drugie przyjęcie dla gości w swoim nowym domu. Pierwsze, na początku miesiąca, na które zaprosił rodzinę, upłynęło bardzo przyjemnie. Spodziewał się, że tym razem będzie równie miło.

Po intensywnym wstępnym obwąchaniu Barney pokochał Pucka. Baraszkował z psem, z Dylanem i z rozkoszą w oczach przyjmował uściski chłopca.

Zaakceptował Essie – prawdopodobnie dlatego, że miała na sobie zapach synka i psa, a może nawet odrobinę dziecka, które nosiła. Przy Hanku drżał i kulił się.

– Chyba chodzi o brodę – powiedział Reed. – Mój brat też ją nosi i Barney go unika. Sądzę, że ten, kto go maltretował, miał brodę.

– Dzieci i psy do mnie lgną – odparł Hank. – Jestem dla nich jak magnes. Zyskam jego zaufanie, zanim wrócimy na prom.

Hank podszedł do poręczy na tarasie na tyłach domu, gdzie Reed rozpałał grill, i spojrzał na las.

– To niesłychanie piękne miejsce, Reed. I przepiękny dom. Twoja pani też mi się podoba. Czy może powinienem powiedzieć: twoje panie?

– Mam zamiar zatrzymać obie.

– Bardzo chciałbym zobaczyć pracownię CiCi Lennon. I więcej prac Simone.

– Masz na to cały weekend.

Dylan, z odznaką zastępcy przypiętą do koszulki, podbiegł i rzucił się ojcu w ramiona. Barney zamarł i przywarł brzuchem do ziemi.

– Przyjrzyj się, jak będę go do siebie przekonywał.

Hank przysiadł na górnym stopniu tarasu. Odszukał miejsce, w którym jego syn miał łaskotki i wprawił chłopca w radosny chichot. Przydreptał do nich Puck i wsunął nos pod ramię Hanka.

– Tatusiu!

– Tak, jestem twoim tatą. – Hank całował i tulił chłopca i psa, z jawną fascynacją słuchając paplaniny Dylana o psach i rybach oraz pójściu na plażę. – Może zawołałbyś Barneya?

– Hej, Barney!

Pies zaskomlał i odczołgał się odrobinę w tył.

– Spróbuj tego. – Reed wyjął z kieszeni psie ciasteczko i podał je Dylanowi.

– Ciasteczko! Weź ciasteczko, Barney!

Puck potraktował to jak zaproszenie i natychmiast sięgnął po smakołyk.

– Spróbuj z następnym. – Reed wyjął drugą przekąskę.

– Twoja kolej, Barney!

Wyraźnie walcząc ze sobą, Barney przesunął się nieco bliżej. Chciał dostać ciasteczko, chciał być przy chłopcu, ale bał się brody.

– To dobre ciasteczko. Mniam, miam. – Udając, że odgryza kęs, Dylan zaśmiał się z własnego żartu.

Ten śmiech przeważył. Barney rzucił się biegiem, chwycił przekąskę i uciekł. Jedząc, przyglądał się brodatemu mężczyźnie.

– To pierwszy krok – oznajmił Hank. Postawił Dylana na ziemi i patrzył na odbiegającego syna. – Myślałeś o tym, żeby mieć własne? Dzieci?

– Muszę ją przekonać, żeby ze mną zamieszkała. To pierwszy krok.

Hank wstał i sięgnął po piwo, które wcześniej odstawił na bok.

– Z pewnością ci się uda.

– Twój chłopczyk jest uroczy – powiedziała CiCi, kiedy weszły z Essie do kuchni.

– Jedna z pielęgniarek na oddziale położniczym przysięgała, że puszczał oko i uśmiechał się do niej. Nie byłabym zdziwiona.

– Powiedział mi, że mam ładne włosy. Dziewczyny będą do niego wzdychały. Usiądź, a ja tymczasem wymieszam warzywa. Tym razem masz nadzieję na dziewczynkę czy chłopca?

Siadając przy kuchennym blacie, Essie uniosła brwi.

– Jak się domyśliłaś? Jeszcze nie widać... za bardzo.

– To aura – odparła mądrze CiCi i potrząsnęła kawałkami warzyw zamarynowanymi w plastikowej torebce.

– Aura – powtórzyła Essie. – Skoro to się już wydało, mam nadzieję na zdrowe dziecko i będę zadowolona, jeśli okaże się tak radosne jak Dylan. On budzi się szczęśliwy.

– Po części taką ma naturę, ale odziedziczył to również po tobie i twoim mężu. Zawsze byliście punktem odniesienia dla Reeda. Rodzice dobrze go wychowali. Są dobrymi, kochającymi ludźmi, ale wasze ścieżki skrzyżowały się w decydującym momencie życia i pomogłaś mu obrać właściwy kierunek.

– Myślę, że skrzyżowanie ścieżek pomogło nam obojgu. Wiesz, nigdy bym go sobie nie wyobrażała w tym miejscu, jako komendanta policji, w domu takim jak ten. Jednak kiedy o tym opowiadał, potrafiłam to zobaczyć.

– Bo go znasz i kochasz.

– To prawda. I widzę, że naprawdę tu pasuje. Na pewno wiesz, że jest kompletnie zakochany w Simone?

– Och, wiem. Ona też go kocha, ale na razie tego nie przyznaje. Moja dziewczynka jest silna i mądra, ale w niektórych sprawach nie tak pewna siebie jak nasz Reed. Oboje są dokładnie tym, czego potrzebuje to drugie.

– Naprawdę bardzo do siebie pasują – stwierdziła z uśmiechem Essie.

– Tak. Wiedziałam to, zanim zjedliśmy z Reedem nasze pierwsze naleśniki z żurawiną.

CiCi sięgnęła do lodówki po szklany pojemnik. Nauczyła Reeda parzyć słoneczną herbatę <sup>16</sup> i przekonała do jej walorów. Teraz napełniła nią szklanę Essie.

– Myślę, że te warzywa są już gotowe do grillowania.

– Reed grillujący warzywa! – Essie wstała. – Nigdy sobie czegoś takiego nie wyobrażałam.

– To dobry chłopak i zamówił taki ruszt, jaki mu wskazałam. Zobaczmy teraz, czy potrafi zrobić z niego użytek.

Reed zrobił z niego dobry użytek i cieszył się, widząc, jak wszyscy pałaszują jedzenie, które przygotował. Z pewną pomocą, oczywiście, ale w rzeczywistości było to dopiero jego drugie doświadczenie z prawdziwym gotowaniem.

– Oficjalnie zostałeś mężczyzną – powiedział mu Hank.

– Słyszę to z ulgą.

– Mężczyzna dopóty nie jest mężczyzną, przyjacielu, dopóki nie nauczy się grillować steków, i to w odpowiedni sposób – dodał Hank.

– Uważam, że Szekspir powiedział: Niewart mężczyzną zwać się, kto nie umie grillować <sup>17</sup> – wtrąciła CiCi.

Hank się roześmiał i wznosił toast za CiCi.

– Wielki poeta nigdy się nie mylił. Zastanawiam się, czy mógłbym zobaczyć twoją pracownię. Wciąż mam plakat Boskiego Gitarzysty, który przypiąłem do ściany w swoim pokoju w akademiku.

– Teraz oprawiony w ramki wisi na ścianie w jego domowym gabinecie – dodała Essie.

– Wpadnij jutro.

– Naprawdę? Jeszcze nigdy nie byłem tak podekscytowany. Simone, czy jest szansa, żebym przy okazji zobaczył twoją pracownię?

– Jasne. Ty nie – zwróciła się do Reeda, wskazując go palcem. – Pracuję nad rzeźbą przedstawiającą Reeda. Nie wolno mu wchodzić do pracowni, dopóki nie skończę.

Essie omal nie udławiła się herbatą.

– Zmusiłaś Reeda do pozwania?  
– Uwiodła mnie i omotała.  
– Co to znaczy uwiodła? – Dylan chciał się dowiedzieć.  
– To tak, jakby Różowa Wojowniczką <sup>18</sup> posiadała moc kontrolowania umysłów.  
– To by było super!  
– Rzeczywiście – przyznała Simone. – Władza nad umysłami to potężna broń przeciwko złu, takiemu jak podła Rita Odraza <sup>19</sup>.  
Reed odchylił się w tył w ogrodowym fotelu i spojrzał na nią.  
– Znasz *Power Rangers*?  
– Dlaczego miałabym nie znać? Kiedy miałam pięć czy sześć lat, w Halloween, przebrałam się za Różową Wojowniczkę.  
– Przekonała mnie, żebym uszyła jej kostium – powiedziała CiCi. – Zachowałam zdjęcia.  
– Muszę je zobaczyć. Koniecznie muszę zobaczyć.  
– Wyglądałam rozkosznie. – Simone wbiła widelec w ostatnią grillowaną paprykę na swoim talerzu.  
– Jestem pewien.  
– Możemy teraz pójść na plażę? – Dylan pociągnął ojca za ramię. – Zjadłem już wszystkie rzywa.  
– Warzywa.  
– Zjadłem wszystkie warzywa. Możemy?  
– Głosuję za – powiedział Reed. W tej samej chwili w jego kieszeni zadzwoniła komórka. Sięgnął po nią, a kiedy spojrzał na wyświetlacz, Simone zobaczyła, że przeniósł wzrok na Essie. – Przepraszam, muszę odebrać ten telefon. Zostawcie talerze i zabierzcie małego na plażę. Dogonię was. – Zszedł z tarasu i odebrał połączenie. – Komendant Quartermaine.  
Simone uśmiechnęła się i wstała.  
– Ruszajcie na plażę. CiCi pokaże wam najlepszą drogę. Ja poczekam na Reeda.



– Jejku! Pieski też! Chodźmy.

Essie dała jej znak subtelnym skinieniem głowy.

– Psy i plaża, oto prywatny raj Dylana – powiedziała. – Tak, chodźmy.

Kiedy poszli, Dylan i psy na przedzie, Simone zabrała talerze do kuchni. Pomyślała, że się czymś zajmie i postara za wiele nie myśleć, po prostu sprzątnie stół piknikowy, włoży talerze do zmywarki i będzie czekać. Bo to, co się okaże, nie będzie dobrą wiadomością.

Minęło pięć minut, potem dziesięć i jeszcze piętnaście, gdy usłyszała kroki Reeda.

Wyjęła z lodówki zimne piwo i podała mu, gdy wszedł do kuchni.

– Odesłałam ich. Essie wie, że jest jakiś problem, a ja wiem, że zechcesz z nią o tym porozmawiać. Jednak chcę, żebyś powiedział i mnie. Ta sprawa nie dotyczy wyspy, sądząc po spojrzeniu, które posłałeś Essie.

– Nie, to nie dotyczy wyspy. – Pociągnął łyk piwa. – Nie chciałem, żeby Dylan usłyszał koniec mojej rozmowy.

– Wiem. On teraz bawi się na plaży. Czy to była agentka Jacoby?

– Tak – zaczął z trudem. – Znaleźli samochód, którego używała Hobart, kiedy widziano ją w Louisville. Zmieniła tablice rejestracyjne i trochę go obtłukła. Idiota, który go znalazł, przekonywał, że to jego własność. Trochę go naprawił. Odkryli to, kiedy policja stanowa zatrzymała go za przekroczenie prędkości i jazdę po pijanemu, jak się jeszcze okazało. I znaleźli przy nim narkotyki. Z początku wciskał zwyczajny kit: „To nie mój samochód, człowieku, ja go tylko pożyczyłem”.

– „Nie mam pojęcia, skąd się wzięły te prochy” – dokończyła Simone.

– Tak, tyle że trochę tych prochów miał w kieszeni. W każdym razie zanim wszystko ostatecznie ustalili, w schowku na rękawiczki znaleźli odciski palców Hobart i umowę wynajmu na nazwisko, którego używała, robiąc zakupy w galerii handlowej. Okazało się, że znalazł auto, obite i porzucone. To ich doprowadziło do innego gościa, który sprzedał jej starego forda za gotówkę, nie martwiąc się o dokumenty.

– Teraz mają opis tego samochodu.

– Nie zatrzyma go na długo. Próbuje go wyśledzić.

– To nie wszystko.

– Nie. – Poglądził ją po ramieniu i podszedł do szklanych drzwi kuchni. – Nie, to nie wszystko. Powiedziałem ci, że znaleźli miejsce, z którego wysłała do mnie list.

– I że dzięki temu byli w stanie dowiedzieć się, gdzie mieszkała w Coral Gables. To pozwoliło wytropić ją w Atlancie i ustalić, że poleciała stamtąd do Portland.

– Trochę za późno dla McMullen, ale tak. Mają nazwisko, którego użyła, wynajmując chatę.

– Dzięki informacjom od tego świadka z Louisville sprawdzili kartę, którą płaciła w galerii, znaleźli samochód i numer rejestracyjny. Powiedziałeś, że to była bardzo dobra robota. Powiedziałeś, że ona popełnia błędy.

– Tak. – Reed odwrócił się. – To jej nie powstrzymało przed zabiciem Tracey Lieberman.

Simone oparła się ręką o kuchenny blat, a potem usiadła.

– Gdzie, jak?

– W pobliżu Elkins, w Wirginii Zachodniej. Lieberman pracowała jako przewodniczka. W parku narodowym. Była w kinie z matką, ciotką i kuzynką. Miała wtedy czternaście lat. Rok temu wyszła za mąż. Wcześniej nazywała się Tracey Mulder.

– Boże. Znałam ją... Trochę. Była w młodszej klasie, ale chodziła z Mi na zajęcia z gimnastyki. Znałam ją.

Reed podszedł i usiadł obok Simone.

– Jej matka została wtedy zabita. Zasłoniła Tracey własnym ciałem. Mimo to Tracey oberwała w obie nogi. Jej ciotka i kuzynka zostały lekko ranne, ale jej obrażenia były poważne. Lekarze nie mieli pewności, czy zacznie znów samodzielnie chodzić albo nie będzie mocno utykać. Nie mogła więcej uprawiać gimnastyki. W mediach było o niej głośno.

– A Hobart bierze na cel takie osoby.

– Tak. Nawet kiedy o jej historii trochę przycichło, zdobyła popularność dzięki temu, że się nie poddała. Po tych wszystkich operacjach, które przeszła, po latach fizjoterapii nie poddała się. Wzbudziła zainteresowanie kilkorga medalistów z amerykańskiej reprezentacji gimnastyków. Dali jej złoty medal za dzielność. To jej przyniosło jeszcze większą popularność. Nie tylko znów zaczęła samodzielnie chodzić, ale mając dwadzieścia lat, ukończyła swój pierwszy pięciokilometrowy maraton, na piątym miejscu. Jeszcze większa popularność. Po paru latach pokonała dwadzieścia pięć kilometrów i była trzecia na mecie. Zadeedykowała ten bieg swojej mamie.

– Jeszcze większa popularność.

– Wygłosiła kilka motywacyjnych wykładów, podjęła pracę w służbie leśnej i przeprowadziła się do Elkins. Wyszła za mąż. Pisała o niej również McMullen. W gazetach ukazały się jej zdjęcia z maratonu, na których zdrowo wyglądała, jeszcze więcej zdjęć w sukni ślubnej, ze złotym medalem w bukiecie.

– Była wszystkim, czego Hobart nienawidzi. Z tragedii i bólu wzięła siłę, odwagę i wytrzymałość.

– I dostała złoto – symbol bogactwa i sławy.

– Media społecznościowe? – zapytała Simone.

– Była aktywna na kilku stronach dla biegaczy. Miała dwie własne. Publiczną stronę poświęconą parkowi narodowemu, gdzie były opisy szlaków, zdjęcia i anegdoty. Prywatna zawierała informacje z jej życia.

– Jednak taka nigdy nie jest naprawdę prywatna, prawda?

Reed obrócił butelkę z piwem i pokręcił głową.

– Wystarczy ją zwyczajnie zhakować albo znaleźć sposób, żeby właściciel strony cię na nią wpuścił. Tak czy inaczej, Hobart wiedziała dość, żeby wysledzić Tracey podczas jej porannych przebieżek. Biegała codziennie, nie zawsze tą samą trasą, ale każdego ranka. Hobart też jest biegaczką.

– Mogła biec kilka razy jedną trasą, pozwolić, pokazywać się Tracey i przyzwyczać ją do swojego widoku. Nawet nawiązać rozmowę.

– Nic trudnego – przyznał Reed. – Została zabita dziś rano między szóstą trzydzieści a ósmą trzydzieści. Po kuli w obie nogi, jedna w głowę.

– Nogi. – Simone czuła, że serce jej płonie. – Hobart chciała zniszczyć Tracey, nim ją zabije.

– Jeszcze raz odebrać jej nogi – zgodził się Reed. – Przywołać tamten ból i grozę. Federalni postarają się dowiedzieć, gdzie tam mieszkała, jak długo, czym jeździła.

– Ale ona już stamtąd wyjedzie.

– To jej metoda, ale liczy się każdy strzęp informacji. Dodaje się jedno do drugiego. Ja powinienem dodać – mruknął.

– Czy Tracey była na twojej – chyba mogę to tak nazwać – liście obserwacyjnej?

– Miałem ją na niej, ale... Nigdy nie zyskała finansowo, nie była bohaterką mediów z powodu tamtego wydarzenia. Nie miała wpływu na to, czym się skończyło. Miałem ją, ale nasza uwaga była skierowana gdzie indziej. – Reed wstał i zaczął chodzić po kuchni. – Cholera, po Devlon opuściła Florydę, poleciała do Atlanty, potem do Portland, żeby porwać McMullen i godzinami trzymała ją w chacie w Górach Białych, na zachód stąd.

Jego godny podziwu spokój zaczął się ulatniać, zauważyła Simone. A więc teraz ona musi być opanowana – dla niego.

– Nikogo przedtem nie porwała i nie przetrzymywała.

– W przypadku McMullen chodziło jej o coś więcej niż proste morderstwo. Pragnęła uwagi. Statyw, reflektory, ślady kosmetyków do makijażu i reporterka? Nagrała wideo, musiało tak być.

– Boże, nagrała zabójstwo McMullen?

– To mógł być dodatek. Chciała mieć wywiad, to jest sensowne wytłumaczenie. Wynajęła chatę, kupiła zapasy na cały tydzień, ale zastrzeliła McMullen w ciągu dwudziestu czterech godzin od porwania. Nie mogła zaczekać, nie mogła się powstrzymać.

Chcąc zająć czymś ręce, Simone zaczęła dalej sprzątać naczynia.

– Co ci to mówi?

– Ona się załamuje. Jestem tego absolutnie pewien. Uważam, że potrzebowała rozmowy, chciała komuś powiedzieć – i nagrać to – jaka jest cholernie mądra, co zrobiła i dlaczego.

Simone odwróciła się do niego.

– Jest osamotniona, była taka właściwie przez całe życie. Głównie z wyboru, ale osamotniona, i gra różne role – stwierdziła.

– Właśnie.

– Ja raczej nie byłam, bo miałam CiCi i Mi, ale odsunęłam się od swojej rodziny, a przez to oni trochę odsunęli się ode mnie. Przez rok grałam pewną rolę, próbowałam zadowolić rodziców, a skończyło się chorobą i przygnębieniem, zanim z tym skończyłam.

– Jaką rolę? – Reed na chwilę uwolnił się od frustracji z powodu Hobart i spojrzał na Simone. – Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– To było dawno, za czasów studenckich. Poważny biznes, korporacyjna garsonka, randki z synem z bogatej rodziny, jakiego pragną rodzice. To okropne próbować być kimś, kim się nie jest. Ona robi to przez cały czas, robiła to od początku.

– Jej brat był wyjątkiem. Przy nim mogła być sobą.

– Najpierw rodzice zabrali go od niej, potem my – bo jej chodzi o nas wszystkich, prawda? Zabiliśmy go. Teraz jest sama i gra role. Ty jesteś jedynym żywym człowiekiem, który widział prawdziwą Patricję Hobart.

– Masz rację. Musiała wygłosić oświadczenie, przez pewien czas pobyć sobą. Jestem przekonany, że w kółko odtwarza to nagranie. – Sfrustrowany, zniesmaczony Reed opadł na stołek przy półwyspie kuchennym. – Jednak wciąż zaciera za sobą ślady i robi to cholernie dobrze. Zostawia w chacie zwłoki McMullen, uważając, że przez kilka dni nie zostaną znalezione – i ma rację. Bierze auto McMullen i jedzie na zachód w głąb New Hampshire, po drodze zmienia tablice rejestracyjne, porzuca wóz na lotniskowym parkingu w Concord – to jej ulubiony manewr – i znów rozplywa się w powietrzu. Federalni

odnajdują jej ślad w Louisville dzięki świadkowi, potem za sprawą morderstwa w Wirginii Zachodniej, ale spodziewaliśmy się jej na zachodzie. Po co wracać całą drogę tutaj, jechać z McMullen na zachód, zabierać samochód na zachód, jeśli zamierzała zawrócić na południe?

– Kentucky jest na zachód od Maine.

– Tak, wzięliśmy to pod uwagę. Szukamy powodu, dla którego pojechała do New Hampshire, potem, ponieważ była tam widziana, spodziewaliśmy się jej na południowym zachodzie. Dlatego sądziłem, że to będzie ten gość, który kilka lat temu przeprowadził się do Arkansas, i drugi w Teksasie. Wirginia czy Tracey nie przyszły mi na myśl.

– Jeśli choć w najmniejszym stopniu będziesz się o to obwiniał, naprawdę się na ciebie wkurzę.

– Nie obwiniam się, ale... Nie wiem, jak to powiedzieć. Hobart jeszcze raz zawróciła i nikt z nas tego nie przewidział.

– Później przedyskutujesz to z Essie. Ja wrócę do domu z CiCi. – Zanim zdążył zaproponować, Simone powstrzymała go, unosząc rękę. – Widziałam, że Hank potrafi zająć czymś Dylana. Wszyscy usuniemy wam się z drogi i będziesz mógł omówić sprawę z Essie.

Reed zsunął się ze stołka, podniósł Simone z jej własnego i oparł czoło na jej czole.

– Masz rację. Chodźmy na spacer na plażę. – Pocałował ją. – Z przyjaciółmi, psami i zwariowanym dzieciakiem.

Simone ruszyła z nim. Nie wiedziała, gdzie może być Elkins, ale była pewna, że jeśli wykreśli na mapie trasę z Louisville, znajdzie je.

Pomimo przygnębienia z powodu kolejnego morderstwa, w poniedziałek rano Reed odprowadził Essie i jej rodzinę na prom po miłym, radosnym weekendzie.

Odплыnęli, machając na pożegnanie w deszczu, który zaczął padać tuż przed świtem. Reed cieszył się, że wybrali ten czas, a teraz, gdy wokół jego domu zakwitły łubiny, tulipany i inne niezidentyfikowane rośliny, cieszył się również

z deszczu.

Siedzieli z Essie w jego gabinecie jak starzy partnerzy. Zgodzili się, że jeśli Hobart nie zboczy z kursu, następnym interesującym ją obszarem będzie Dystrykt Kolumbii. Mieli tam asystentkę kongresmena, prawnika reprezentującego ofiary, dziennikarza zajmującego się polityką i parę, która prowadziła schronisko dla kobiet – wszyscy w promieniu osiemdziesięciu kilometrów. Ich teorie, wnioski i nową listę Reed zamierzał przekazać Jacoby po przybyciu na komisariat.

Barney skomlał u jego boku, kiedy prom oddalał się od brzegu.

– Wróć. Dobrze się spisałeś, kolego. Nawet wzięłeś ciasteczko od straszego brodacza, chociaż potem od razu uciekłeś. To postęp. Chodźmy do pracy.

Przyszedł tam wcześniej, zaparzył kawę, wysłał Jacoby analizę, którą przygotowali z Essie, i zaczął przeglądać notatki i policyjne raporty leżące na biurku.

Pijaństwo i zakłócenie porządku publicznego – sobotni wieczór, przyjezdny, zatrzymany, otrzeźwiony i ukarany grzywną. Ktoś obwiesił dom Dobsona papierem toaletowym, również w sobotni wieczór. Tyle się działo!

Ponieważ Richard Dobson uczył w liceum matematyki, nie uchodził za milutkiego i nie słynął z zaokrąglania w górę wyników testów, prowadzący śledztwo funkcjonariusze – Matty i Cecil – podejrzewali ucznia, prawdopodobnie takiego, któremu groziło, że nie zda egzaminu.

Czas wystawiania ocen dobiegał końca, pomyślał Reed i zgodził się z wnioskami podwładnych.

Skargi na głośną muzykę i hałasy, również w szalony sobotni wieczór. Interweniujący funkcjonariusze – znów Matty i Cecil – przerwali imprezę, którą urządziła nastoletnia młodzież, wykorzystując wyjazd rodziców na weekend.

Odkryto, że nieletni spożywali alkohol.

Reed zwrócił uwagę, że policjanci zepsuli zabawę o dwudziestej drugiej trzydziści, a kiedy Dobson wyprowadzał psa o dwudziestej trzeciej na ostatni tego wieczoru spacer, nie widział ani śladu papieru toaletowego zwisającego

z jego drzew.

Nie dostrzegł go również przed drugą, kiedy obudził się, odpowiadając na wezwanie natury i zerknął przez okno łazienki.

Reed spojrział na Barneya.

– Dedukuję, mój młody praktykancie, że pewni uczestnicy imprezy mają kłopoty z algebrą albo trygonometrią – i solidaryzuję się z nimi. Podejrzewam, że po nalocie policji niektórzy z nich zebrali się ponownie, wzięli zapas papieru i dokonali zemsty.

W normalnej sytuacji Reed by odpuścił. To był tylko papier toaletowy, ale zauważył, że Dobson dwa razy dzwonił w niedzielę, domagając się ścigania wandalii. Przeczytał notatkę z informacją, że nauczyciel poskarżył się również pani burmistrz i chciał, aby sprawą zajął się osobiście komendant policji.

– A więc dobrze.

Z harmonogramu dyżurów wynikało, że Matty i Cecil mieli wolne, ale raport jego podwładnych był tak klarowny, że Reed nie musiał niczego omawiać.

Wstał, kiedy weszła Donna.

– Dzień dobry, Donno.

– Dzień dobry, szefie. Miał pan miły weekend?

– Tak. A ty?

– Nie padało, a to wystarczy.

– No tak. Donno, jak surowym twardzielem jest Dobson, ten nauczyciel matematyki?

– Serce ma twarde jak kamień. Mój wnuk uczy się tak, że mózg mu się lasuje, a ledwie daje radę zdać geometrię. Dobson nie stosuje dodatkowych zaliczeń, powtórkowych egzaminów, niczego. Chodzi o to, że obwiesili mu podwórko?

– Tak.

– Sama kupiłabym im ten papier, oto co myślę.

– Udam, że tego nie słyszałem. Muszę z nim porozmawiać.

– Życzę powodzenia – odparła Donna z goryczą. – Nie będzie zadowolony, dopóki ktoś, kto to zrobił, nie zostanie zakuty w dyby.



– Mamy tu dyby?

– On pewnie ma w garażu. Nie byłabym zdziwiona.

– Czy twój wnuk był w sobotę na imprezie u Walkerów?

Twarz Donny przybrała nieprzenikniony wyraz.

– Być może.

– Donno. – Reed wskazał jej krzesło i sam usiadł. – Nikt nie będzie zakuwany w dyby, łamany kołem, ćwiartowany ani smarowany smołą i pokrywany pierzem. Nikt nie zostanie aresztowany. Absolutnie nie zamierzam zawracać sobie głowy dzieciakami z powodu czegoś takiego. Jednak bardzo by mi pomogło, gdybym wiedział, kto brał w tym udział, żebym mógł z nimi porozmawiać. Poradzę sobie z Dobsonem.

– Nie zakabluję własnych krewnych.

– Chcesz, żebym przysiągł, że on nie będzie miał kłopotów, ani żaden z pozostałych?

Donna otworzyła szufladę i wyjęła Biblię Króla Jakuba.

– Nie żartujesz?

– Proszę położyć na niej prawą rękę i przysiąc.

– Boże święty.

– Proszę nie wzywać imienia Pana Boga nadaremno, kiedy trzymam Biblię.

– Przepraszam. – Reed położył dłoń na Biblii. – Przysięgam, że w tej sprawie będę trzymał twojego wnuka i pozostałych z dala od kłopotów.

Donna skinęła głową i odłożyła księgę.

– To dobry chłopiec. Ze wszystkich przedmiotów ma bardzo dobre stopnie z wyjątkiem tego jednego. Już dostał szlaban za obecność na imprezie i zasłużył na to.

– To prawda. Pili tam.

Donna wyciągnęła palec w kierunku Reeda.

– Chce mi pan powiedzieć, że kiedy zbliżał się do osiemnastki albo już tyle miał i za kilka tygodni kończył liceum, nie wypił pan piwa albo dwóch? – Znów otworzyła szufladę.

– Nie wyjmuj jej więcej. Nie zamierzam zaprzeczać. Jestem pewien, że wnuk cię słucha.

– Wszyscy mnie słuchają, jeśli wiedzą, co dla nich dobre.

– Dlatego opowiedz mi o tym. Potem z nim porozmawiasz. Powiedz mu, żeby unikał picia i... psot. Żeby unikał Dobsona poza klasą i całkowicie omijał jego dom.

– Tak zrobię.

– Dobrze. Kto jest jego najbliższym kumplem?

– Do diabła, Reed!

– Przysięgłem na Biblię.

– Brat Cecila, Mathias, i Jamie Walker.

– Jamie Walker od niesławnej imprezy?

– Właśnie.

– W porządku. Idziemy, Barney.

– Nie zawieźdź mnie, szefie.

– Nie zawiodę.

Kiedy weszli z Barneyem do szkoły, Reed poczuł, że dobrze wrócić do pracy.

Zobaczył Dobsona, kiedy nauczyciel matematyki – teczka w ręce, kwaśna mina – kroczył w stronę wejścia do budynku, w którym oprócz liceum mieściły się gimnazjum i szkoła podstawowa.

Obecnie do zespołu szkół, licząc trzy poziomy i klasę przedszkolną, uczęszczało dwustu dwudziestu siedmiu uczniów.

– Najwyższy czas – warknął Dobson. – Moje podatki idą na pańskie wynagrodzenie.

– Tak jest. Może porozmawiamy wewnątrz, nie na deszczu?

– Nie może pan wprowadzać psa do szkoły.

– To pies policyjny. – Żeby zakończyć dyskusję, Reed otworzył drzwi i wpuścił Barneya.

– Spodziewam się raczej...

– Możemy porozmawiać w pańskiej klasie albo w pokoju nauczycielskim,

gdzie pan woli. – Albo możesz zaciągnąć mnie do gabinetu dyrektora, pomyślał Reed.

Dobson ruszył naprzód. Nieduży facet, stwierdził Reed. Może metr siedemdziesiąt trzy, przysadzisty i zdecydowanie nadęty.

Jak na licea to było niewielkie, ale dla Reeda pachniało szkołą – był to zapach środka czyszczącego zabarwiony mieszanką adrenaliny i znużenia nastolatków. Dźwięk też przypominał mu szkołę, kiedy jego mokre sneakersy uderzały w podłogę. I wyglądało typowo: pokoje administracji prosto i po lewej, na przeciwległych ścianach matowoszare szafki.

– Ładna szkoła – zagaił Reed. – Zwiedzałem ją zimą, razem z gimnazjum i podstawową.

– Ładna to nie jest odpowiednie słowo. To miejsce edukacji i dyscypliny.

Chociaż poczuł się, jakby cofnięto go do liceum, Reed przewrócił oczami za plecami Dobsona, który otworzył drzwi klasy.

– Mam ograniczony czas.

– Zatem postaram się być zwięzły – odparł Reed. – Według policyjnego raportu, w czasie, kiedy pan się obudził i zobaczył papier toaletowy rozwieszony na swoich drzewach, nie widział pan nikogo na podwórku ani wokół domu.

– W czasie, gdy zobaczyłem skutek tego wandalizmu. Sam akt już został dokonany. Jeśli nie potrafi pan zidentyfikować i aresztować bandy wandalii, nie ma pan czego szukać w swoim biurze.

– Przykro mi, że tak pan to widzi. Co pan zrobił z dowodem rzeczowym?

– Dowodem rzeczowym?

– Z papierem toaletowym.

– Zdjąłem go, oczywiście – z dużymi kłopotami i poświęcając czas – i wyrzuciłem.

– No cóż, szkoda. Mógłbym znaleźć na nim odciski palców. Nie byłbym w stanie tego zagwarantować, bo być może sprawcy nosili rękawiczki. Jednak w tamtym czasie nikt, włącznie z panem, nikogo nie widział, niczego nie słyszał, a dowód rzeczowy zniszczył pan własnymi rękami. Mógłby pan dać mi listę

nazwisk ludzi, którzy źle panu życzą?

Dobson otworzył usta z zaskoczenia.

– Nikt nie życzy mi źle! W szkole jest kilku nauczycieli, pewna liczba uczniów i na pewno niektórzy rodzice, którzy mają ze mną problemy, ale...

– Problemy?

– Wielu, którzy nie aprobują moich metod nauczania i filozofii.

– Wielu, pewna liczba, niektórzy i kilku. To dużo jak na tak małą szkołę. Czy ktokolwiek z nich groził panu albo że zniszczy pańską nieruchomość?

– Nie wprost.

– Panie Dobson, zamierzam mieć oczy i uszy otwarte, moi zastępcy również. Jednak bez świadka i dowodu rzeczowego, nie mogąc wymienić nazwisk osób, które miałyby czas, okazję i motyw, żeby popełnić ten akt, nie jesteśmy w stanie wiele zrobić.

– Spodziewałem się więcej! Liczyłem na sprawiedliwość.

– Panie Dobson, gdybym zidentyfikował sprawcę lub osobę odpowiedzialną, sprawiedliwość oznaczałaby jedynie wymierzenie kary kilku godzin prac społecznych, być może niewielką grzywnę. Natomiast domagając się ścigania tych osób, nastawi pan przeciwko sobie więcej ludzi niż obecnie.

– Zamierzam jeszcze raz porozmawiać z panią burmistrz.

– Dobrze. Miłego dnia.

Reed zabrał Barneya i odszedł. Grupa rozgadanych uczniów zaczęła wchodzić do klasy, wnosząc ze sobą kolorowy nastrój i zapach mokrych włosów.

Reed wyszedł ze szkoły i czekał.

Mathias zauważył go w tym samym momencie, kiedy on dostrzegł Mathiasa i dwóch jego kolegów.

Mathias natychmiast zaczął wyglądać jak winowajca. Reed podszedł do niego.

– Jak się masz, Mathias?

– Dobrze, proszę pana. Musimy już iść do klasy.

– Jeszcze macie czas. Ty jesteś Jamie Walker?

Dzieciak w hipsterskiej czapce, z włosami wygolonymi po bokach głowy i opadającymi luźno z przodu i z tyłu, wzruszył ramionami.

– Muszę z wami porozmawiać o sobotniej imprezie – powiedział tak głośno, aby słyszeli go wszyscy przechodzący. – Podejźmy tam dalej. Ty też – zwrócił się do trzeciego chłopca z kapturem pomarańczowej bluzy nasuniętym na rude włosy. Chcąc wyglądać jeszcze bardziej cool, pomimo deszczu włożył ciemne okulary.

– Już nas za to ukarano, panie komendancie – zaczął Mathias. – Mam szlaban na dwa tygodnie.

– Trzeba się liczyć z konsekwencjami swoich czynów. Kto jeszcze dostał szlaban?

Obaj chłopcy podnieśli ręce.

– Ja mam osiemnaście lat – powiedział Jamie z otwartym oburzeniem – dostałem szlaban na urządzenie przyjęcia.

– W domu twoich rodziców, bez ich przyzwolenia. Z piwem i trawką.

– Nikt nie znalazł żadnej trawki – podkreślił Jamie.

– Bo byliście sprytni i zdążyliście szybko się jej pozbyć. Moi policjanci ją wyczuli. Jednak już jest po sprawie i macie szczęście, bo mogli was aresztować.

– To było tylko przyjęcie – mruknął Jamie.

– Mógłbym wam przyznać rację, ale byliście tak głupi, że narobiliście hałasu i zostaliście przyłapani. Następnym razem bądźcie mądrzejsi. Skąd wzięliście papier toaletowy?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Reed odwrócił się do Mathiasa. Brat Cecila też miał na głowie kaptur.

– Znasz dyspozytorkę Donnę.

– Tak, proszę pana. To babcia mojego przyjaciela i przyjaźni się z moją mamą.

– Oto moja propozycja. Donna kazała mi złożyć przysięgę z ręką na cholernej Biblii – kurczę, spuściłaby mi manto za „cholerną Biblię” – że będę trzymał jej wnuka, którego podejrzewam o udział w tym wszystkim, oraz resztę z was

z dala od kłopotów.

– Zrobiłaby to. – Mathias opuścił głowę, ale Reed dostrzegł jego uśmiech.

– Nie zamierzam ryzykować gniewu Donny, żeby ukarać was za obwieszenie domu papierem toaletowym. Pytam o to, bo jeśli byliście na tyle głupi, żeby go kupić, to sprawa się wyda, i będę musiał coś zrobić.

Mathias się zgarbił i zaczął szurać po ziemi zdartymi najkami KD.

– Każdy z nas wziął z domu kilka rolek.

– A więc nie jesteście całkiem głupi. Nie róbcie tego więcej – i przekażcie to tym, o których nie wiem. Na razie. Tymczasem trzymajcie się z daleka od Dobsona poza klasą i nie wychylajcie się. Nie kręćcie się koło jego domu. I, na miłość boską, nie przechwalajcie się tym. Jedyne, co was czeka, to że wszyscy – oraz wnuk Donny, o którym wiem, ale jeszcze z nim nie rozmawiałem – wykonacie trochę prac społecznych. Przez dwa weekendy praca w ogródku za domem czy co tam wasze matki wam wyznaczą. I żadnego narzekania na ten temat. Sprawdzę to.

– Nie powie pan panu Dobsonowi? – zapytał Mathias.

– Nie. Wszyscy wybieracie się do college’u albo do pracy. Natraficie na więcej takich Dobsonów, wierzcie mi. Wymyślcie lepszy sposób, żeby sobie z nimi radzić. A teraz idźcie do klasy.

– Dzięki, panie komendancie – powiedzieli wszyscy trzej niemal chórem.

Reed odszedł stamtąd w poczuciu satysfakcji. Tak, pomyślał, dobrze było wrócić do pracy.

## ROZDZIAŁ 26

Poczta nie spieszyła się z dostarczeniem listu. Następną kartę Reed dostał pięć dni po swoim wolnym weekendzie, tuż przed weekendem poprzedzającym Memorial Day, kiedy to odbywała się parada, festiwal homara, zaczęły się letnie promocje i napływali letnicy.

Jak zwykle Donna wzięła po drodze listy i zjawiała się w pracy tuż po Reedzie. Ten zdążył już zrobić sobie kawę z ekspresu, który kupił za własne pieniądze. Dał psu gryzak w kształcie kości, chociaż to było ponizające, małego wypchanego psa, którego Barney kochał.

Reed sądził, że Barney pogryzie zabawkę na strzępy, ale pies delikatnie brał ją w zęby albo przyciskał łapami, nie niszcząc jej.

Kiedy włączył komputer z myślą, by zajrzeć do czerwcowego kalendarza, Donna stanęła w otwartych drzwiach jego gabinetu.

– Szefie.

– Tak. A więc w drugi weekend czerwca mamy festiwal sztuki i rzemiosła? Pamiętam, jak pewnego roku moja matka była nim zachwycona. Czy mamy szacunkowe dane... – Urwał, kiedy podniósł wzrok i zobaczył wyraz jej twarzy.  
– Problem. – To nie było pytanie.

– Dostałeś w poczcie kolejną kartę. Ten sam charakter pisma, poznałam go. Stempel pocztowy z Wirginii Zachodniej. Chwyciłam kopertę tylko za róg, żeby włożyć ją do torby.

– Zobaczmy to.

Nie spodziewał się kolejnej karty, chociaż bardzo na nią liczył. Kolejny trop. Kolejny dowód utraty kontroli.

Donna ostrożnie położyła list na jego biurku i usiadła.

– Najpierw mam coś do powiedzenia, zanim to otworzysz.

– Muszę to otworzyć, Donno.

– Wiem, że musisz, ale najpierw muszę coś powiedzieć. – Ścisnęła w dłoniach wielką letnią torbę z trawy morskiej utrzymaną na kolanach. – Chcę to powiedzieć, zanim otworzysz list, bo oboje wiemy, że jest tam kolejna groźba.

– No to mów – odparł Reed, wyciągając parę rękawiczek i scyzoryk.

– Dotrzymałeś słowa. Sądzę, że dotrzymałbyś go bez względu na to, czy przysięgałeś na Biblię, czy nie. Ale to było zabezpieczenie. Postąpiłeś, jak należy i nie pozwoliłeś, żeby tym chłopcom – włącznie z moim wnukiem – całkiem uszło to płazem, ale nie zatrueś im życia z powodu zwykłej psoty. Dobson cię zaatakował, naciskał na panią burmistrz, ale postąpiłeś, jak należy.

– To był papier toaletowy, Donno, biodegradowalny.

– Nie w tym rzecz. Nie wiedziałam, co o tym sądzić, kiedy powierzyli ci stanowisko komendanta, ale nie miałam na ten temat najlepszego zdania. Jesteś młody, nie pochodzisz z wyspy i czasami bywasz pyskaty.

Reed nie mógł powstrzymać uśmiechu, chociaż narastało w nim zniecierpliwienie z powodu czekającego na biurku listu.

– Jestem pyskaty?

– To nie komplement. Ale wykonujesz dobrą robotę, traktujesz zastępców z szacunkiem i dotrzymałeś słowa. Jesteś dobry dla tego idioty psa.

– Obecnie jest tylko półidiotą.

– Nie podobał mi się pomysł, żebyś go tu przyprowadzał, ale powiem prawdę i przyznam, że teraz nabrałam do niego sentymentu.

Jej sentyment, jak wiedział Reed, oznaczał między innymi przemykanie psu małych przekąsek w kształcie kości z torby, którą trzymała teraz w komisariacie.

– Barney coraz bardziej ci się podoba.

– Uważam, że powinienesz porządnie się ostrzyć i kupić prawdziwe buty zamiast tych starych zdezelowanych sneakersów.

Reed zerknął w dół na swoje buty. Nie były takie zdezelowane.



– Zanotowałem.

– Poza tym – Donna pociągnęła nosem – dobrze sobie radzisz. Mniej lub bardziej.

– Jestem wzruszony.

– I jesteś komendantem, więc to byłoby tyle. – Sięgnęła do torby i wyjęła z niej czarną bejsbolówkę z białym napisem SZEK. – Więc to jest dla ciebie.

– Kupiłaś mi czapkę.

– Stale oglądam filmy w telewizji i widzę, że komendant policji nosi czapkę taką jak ta.

Szczerze teraz wzruszony Reed wziął od niej czapkę i włożył.

– Jestem ci bardzo wdzięczny, Donno. Będą ją nosił z dumą.

– Przynajmniej ludzie będą ją widzieli i nie pomyślą, że jesteś jakimś łąęgą z plaży z tymi potarganymi włosami i w zdezelowanych sneakersach. –

Podniosła się z krzesła. – Zawiadomię zastępców, którzy mają wolne, żebyś mógł zrobić zebranie, kiedy już obejrzysz tę kartę.

– Dzięki.

Donna przystanęła w drzwiach.

– Bądź mądry i bądź rozsądny.

– Mam zamiar być taki i taki.

– Zobaczymy. Sporo zapłaciłam za tę czapkę. Nie chcę, żeby coś jej się stało.

Kiedy wyszła, Reed uśmiechał się jeszcze przez chwilę, a potem włożył rękawiczki i rozciął kopertę scyzorykiem.

Tym razem przeczytał:

## MYŚLĘ O TOBIE

Na tle z kwiatowym wzorem.

Wewnątrz – nad obrazkiem przedstawiającym tęczę i jeszcze trochę kwiatów, widniał tekst:

TAK WIELE DLA MNIE ZNACZYSZ, MUSZĘ CI TO WYZNAĆ.

NIEWAŻNE, NA CO PATRZĘ, NIEWAŻNE DOKĄD IDĘ. ZAWSZE  
JESTEŚ W MOICH MYŚLACH.

Podpisała się *XXOO Patricia*, a na wewnętrznej stronie okładki dodała własną wiadomość:

*Nie mogę się doczekać, kiedy znów będziemy razem. Tyle czasu minęło!*

*Mam nadzieję, że myślisz o mnie równie często, jak ja o tobie, i z tą samą – czy możemy nazwać to namiętnością?*

*Dołączam kolejny znak mojej dozgonnej nienawiści.*

*Do zobaczenia... Patricia*

Reed wyjął kosmyk włosów umieszczony w zamkniętej plastikowej torebce. Nie należą do McMullen, pomyślał. McMullen, porwanie, wideo, zabójstwo, wszystko to było dla Hobart nie tylko osobiste, ale wręcz intymne.

Te włosy należały do Tracey Lieberman.

Reed zrobił zdjęcia i zamknął oryginalną torebkę z kosmykiem w torebce na dowody rzeczowe.

– Przyjdź tu, suko. Przestań się opieprzać i przyjdź. Dokończymy to.

Skontaktował się z Jacoby, wysłał jej zdjęcia, potem zrobił to samo, dzwoniąc do Essie.

Obrócił się w fotelu i spojrzał przez okno na kwitnące krzewy. Azalie – nawet on to wiedział. Pięknie wyglądały. Miał kilka przy swoim domu, w kolorze płonącej czerwieni, a dziko rosnące derenie – jak ustaliła CiCi – rozkwitły pod koniec marca między kolejnymi burzami śnieżnymi.

Łodzie rybackie będą w morzu, poławiacze krabów też. Niedługo dołączą do nich żaglówki, motorówki, łodzie wycieczkowe, ludzie zaczną opalać się na plaży, zbudują zamki z piasku.

Kiedy Hobart się zjawi, w jakikolwiek sposób się tu dostanie, on znajdzie sposób, żeby ją powstrzymać przed okaleczeniem tej wyspy.

Pstryknął w daszek czapki i wstał, żeby przekazać podwładnym najświeższe wiadomości. Pies, z zabawką w pysku, podreptał za nim.

W swojej pracowni Simone chodziła naokoło glinianej postaci. Szukała niedoskonałości, możliwości udoskonalenia. Przez kilka ostatnich dni dopieszczała szczegóły, odcinając maleńkie fragmenty gliny zakrzywionymi dłutami i raklami, wygładzała ją szpatułkami i delikatnie zwilżała, żeby usunąć ślady tych narzędzi.

Z doświadczenia wiedziała, że artysta może przycinać, wyrównywać i wygładzać – dążąc do doskonałości – i pozbawić swoje dzieło duszy.

Ręce ją świerzbily, by znów sięgnąć po narzędzia, ale odeszła od stołu i wychyliwszy się w stronę schodów, zawołała CiCi, która siedziała na dole przy porannej kawie.

– CiCi, mogłabyś wejść na górę i jeszcze raz spojrzeć na Reeda?

– Zawsze jestem gotowa patrzeć na Reeda. Nie pozwalałaś mi na to od wielu dni, zasłaniałaś go nawet wtedy, kiedy Hank i Essie byli u ciebie.

– Nie był wtedy gotowy. Wiem, że teraz już jest, ale nie mogę przestać szukać powodów, żeby go jeszcze odrobinę dopracować. Powstrzymaj mnie – powiedziała, kiedy CiCi dotarła na półpiętro. – Albo powiedz, żebym kontynuowała.

CiCi weszła do pracowni, odrzuciła na plecy długi warkocz, po czym zaczęła obchodzić rzeźbę, tak jak poprzednio robiła to Simone.

Sześćdziesięciocentymetrowej wysokości postać Simone umieściła na podstawie, która przypominała nierówną skałę. Uchwyciła Reeda w takiej pozie, jak to sobie wyobraziła – w półobrocie, zamachującego się mieczem trzymany nad lewym ramieniem, ze skrzyżowanymi biodrami i usztywnionymi nogami, z prawą stopą opartą przed lewą.

Włosy, zmierzwiłone i lekko skrzyżowane, wydawały się unosić wraz z tym ruchem. Na twarzy wyrzeźbiła ledwie powstrzymywaną wściekłość i zimną determinację.

Za lewą nogą Reeda stał Barney – pochylony ku niemu, z podniesioną głową i oczami pełnymi nadziei i ufności.

– Boże, jest cudowny! – stwierdziła CiCi, krążąc wokół stołu.

– Osobiście czy tutaj?

– I tu, i tu. Zdecydowanie i tu, i tu. Simone, to genialne, zachwycające i absolutny Reed. Mówiłaś, że nazwałaś tę rzeźbę *Obrońcą*. Idealny tytuł. Zostaw ją. Doskonałość często bywa wrogiem dokonanego, a ty już osiągnęłaś doskonałość. – Zbliżyła palec do blizn i nie dotykając, obwiodła je nim. – Doskonała skaza. Prawdziwa. Męska. Ludzka.

– Ta rzeźba z każdym dniem staje się dla mnie ważniejsza. A im jest ważniejsza... Chcę odlać ją w brązie.

– Tak! Tak. Och, widzę to już. – CiCi przechyliła się i objęła Simone w talii. – Pozwolisz mu zobaczyć gliniany model?

– Nie.

– To dobrze. Niech poczeka.

– Glina musi wyschnąć. Właściwie wiedziałam, że rzeźba jest gotowa. Już dziś mogę zacząć przygotowywać odlew.

– Zacznij. Moja genialna dziewczynka. To będzie arcydzieło.

– No dobrze – mruknęła Simone, kiedy została sama.

Wyjęła pędzel i gumę lateksową w płynie. Wzięła sobie wodę, włączyła muzykę w stylu New Age, wybierając ją z playlisty CiCi. Kojące dźwięki harf, dzwonków i fletów.

Za pomocą pędzla milimetr za milimetrem pokryła lateksem całą powierzchnię gliny. Uniknięcie tworzenia się pęcherzy powietrza wymagało cierpliwości, uwagi i czasu.

Dobrze znała teraz ciało Reeda, długość torsu, linię biodra, dokładne umiejscowienie blizn.

Gdy skończyła, cofnęła się, szukając wzrokiem najmniejszych fragmentów, które mogła przeoczyć. Potem umyła pędzel i odstawiła lateks.

Ten proces wymagał wielkiej cierpliwości. Następną warstwę nałoży jutro rano, a potem kolejną. Cztery warstwy, zdecydowała, zanim zrobi gipsowy odlew.

Gdy wszystko wyschnie, usunie gipsowy odlew i odetnie gumę od gliny.

Otrzyma gumowy „negatyw” i będzie mogła odlać w wosku replikę rzeźby.

Simone postanowiła poczekać, aż dojdzie do tego etapu i dopiero wtedy zamówić odlewnię, z której korzystała w Portland. Wykonanie woskowej repliki wymagało wielu czynności, a potem trzeba będzie wyczelować odlew, usuwając wszystkie powstałe w tym procesie niedoskonałości. Mozolne zajęcie, ale Simone wolała zrobić to sama, tak jak nauczyła się we Florencji.

Do tego czasu czekało ją wiele pracy, ale wyczuje, kiedy będzie gotowa odlać rzeźbę.

Popijając wodę, odwróciła się do tablicy i twarzy, które czekały. Pora wrócić do podjętej misji, pomyślała. Pójdzie na spacer po plaży dla odświeżenia umysłu, a potem wróci do pracy.

Reed wrócił z Barneyem do domu spacerem w łagodnym wiosennym powietrzu. Budynki czekały na letni sezon świeżo odmalowane na różowo, jaskrawoniebiesko, żółto i zielono. Wyglądało to trochę jak ogród, z kosztami bratków i skrzynkami w oknach pełnymi kwiatów – Reed właściwie nie wiedział czego, ale wyglądało to bardzo ładnie.

Spacer zamiast jazdy samochodem dawał pewne korzyści. Ludzie, których mijał po drodze, teraz go znali, przystawali, żeby zamienić słowo, zadać pytanie. Zdaniem Reeda najlepszy sposób, aby wpasować się w społeczność, to być regularnie widywanym, a komplementy na temat doniczek z kwiatami, farby na ścianach i nowej fryzury z pewnością nie zaszkodzą.

Barney wciąż się płoszył, ale mniej i nie przy wszystkich. Były osoby, które szczególnie lubił. Jego główna faworytka – Reeda również – wysiadła właśnie z samochodu, kiedy podeszli pod dom. Barney szczeknął radośnie i zaczął merdać, więc Reed odpiął smycz i puścił go wolno.

– Doskonałe wycucie czasu. – Simone pochyliła się, żeby popieścić psa. Podniosła na Reeda rozbawiony wzrok. – Ładna czapka, komendancie.

– Podoba mi się. Donna mi ją dała.

– Donna? – Simone wyprostowała się, unosząc brwi ze zdumienia. – No, no.

Zostałeś zaakceptowany.

– Na to wygląda.

– Gratuluję – powiedziała Simone, podchodząc do Reeda, obejmując go i przywierając ustami do jego ust w długim, gorącym pocałunku.

– Rany, co za cudowne zakończenie dnia pracy.

– Ja też miałam bardzo dobry dzień pracy. – Znow zaczęła go całować tak długo, aż Reed zacisnął dłoń na jej plecach.

– Może byśmy...

– Mmm... – Przygryzła lekko jego dolną wargę. – Najpierw mamy coś do zrobienia. Możesz wnieść zapasy.

– Mamy jakieś zapasy?

– Mamy sałatkę z makaronem – jeszcze jedno danie z mojego ograniczonego kulinarnego repertuaru – i marynowane piersi kurczaka, dzięki uprzejmości CiCi. Powiedziała, że jeśli nie wiesz, jak grilować kurczaki, wygoogluj to sobie.

– Mogę to zrobić i dostarczyć wino.

Wyjął z samochodu torbę, a Simone z drugiej strony wzięła prostokątny pakunek. Reed zdążył zobaczyć ich już dość, żeby domyślić się, że to obraz.

– Co to jest?

– Twoja syrenka, jak obiecałam. Podaj mi to wino, a ja ją rozpakuję.

– Cholera. – Uśmiechnął się do niej, kiedy ruszyli do domu – przez werandę, którą z pomocą Cecila i Mathiasa pomalował na liliowo. – Musiałś mieć naprawdę dobry dzień.

– Miałam. A ty?

– Porozmawiamy o tym, ale najpierw weźmy wino.

Reed zaczął je lubić, więc nalał teraz dwa kieliszki, a tymczasem Simone odwinęła opakowanie z obrazu.

Miał może czterdzieści pięć centymetrów kwadratowych i był pełen światła. Błękitne niebo różowiło się i złociło na horyzoncie, rozlewając barwne smugi na niebieskiej wodzie.

Jednak to syrenka była gwiazdą. Siedziała na skale na brzegu wody, jej ogon

lśnił jak klejnoty błękitem i zielenią z akcentami opalizującego złota. Złotym grzebieniem przeczesywała falujące rude włosy, które spływały jej na nagie piersi i plecy. Twarz miała odwróconą w stronę patrzącego na obraz.

I ta twarz, pomyślał Reed, dziwnie piękna, tajemnicza, śmiałe spojrzenie mądrych zielonych oczu, usta wygięte w zmysłowym uśmiechu, gdy fale rozbijały o skały białe grzywy.

– Ona jest... rety. Najbardziej seksowną syrenką.

– CiCi ją oprawiła – nigdy nie będę w tym tak dobra jak ona. Chodźmy ją powiesić.

– Za chwilę. Najpierw jeszcze jedno westchnienie zachwyty i podziękowanie.

– Reed postawił obraz na podłodze, przyciągnął do siebie Simone i pocałował. Obejmował ją jeszcze przez chwilę.

– Wydaje mi się, że nie miałeś najlepszego dnia.

– To zależy od punktu widzenia. Chcę to wszystko opowiedzieć i mieć za sobą, żebyśmy mogli po prostu razem pobyc. – Odsunął się lekko. – Dziś rano dostałem kolejną kartę.

– O Boże.

– Poczekaj chwilę. Oto, co mi to mówi: Hobart wciąż o mnie myśli i straciła z oczu swój główny cel. Pozwala, żeby emocje i mściwość utrudniały jej działanie. Podsunęła nam ten trop, Simone, komunikując się z nami, zamiast starać się ukrywać. To dla nas plus.

– Ona chce cię zabić.

– Już raz próbowała – przypomniał jej Reed. – Zawsze wiedziałem, że znów spróbuje. Zamiast przeczekać sprawę, a potem zaatakować mnie, kiedy będę nieprzygotowany, podsuwa mi trop i czas. Nie tylko mnie, ale i FBI. Jacoby intensywnie się tym zajmuje.

– Jeśli starasz się mnie uspokoić...

– Nie uspokajam. Hobart jest niebezpieczną, szaloną, żądną krwi psychopatką. Ty nie jesteś sama na wyspie, jesteś ze mną. Ona jeszcze tego nie wie, ale się dowie i zechce dopaść nas oboje. Nie próbuję cię uspokoić.

– Teraz rozumiem. – Simone westchnęła. – Opowiedz mi o tym liście.

– Jest pod hasłem „Myślę o tobie” – zaczął Reed, po czym zdał jej sprawę, wyjął telefon i pokazał zdjęcie karty.

– I znów w kopercie był kosmyk włosów – dodała Simone. – Nie należały do McMullen, prawda? Minęło zbyt dużo czasu.

– McMullen, z różnych powodów, stanowiła dla niej inną kategorię.

– Włosy należą do biednej Tracey, prawda?

– Tak uważam. Technicy to potwierdzą.

– Ledwie ją znałam, i tylko za pośrednictwem Mi, ale... – Simone musiała chwilę odczekać, żeby się uspokoić. – Miałam z nią kontakt, dlatego to trudniejsze niż w przypadku innych osób.

Reed pogładził ją po włosach.

– Kocham cię. Ta wyspa jest moim domem – na dowód mam nawet psa. Jestem teraz odpowiedzialny za ludzi, którzy tu mieszkają i którzy tu przybywają. Musisz mi zaufać, wierzyć, że się wszystkim zajmę.

Simone pomyślała o rzeźbie, o jej wymowie. Stworzyła ją, bo rozumiała, kim jest Reed.

– Ufam ci. Każesz jej zapłacić za Tracey i za wszystkich innych. Wtedy będzie nam lżej. Cieszę się, że od razu powiedziałeś mi o liście i na razie możemy przestać o tym myśleć.

– Tak, nie myślmymy o tym i spędźmy zwyczajny wieczór.

– „Zwyczajny” brzmi w sam raz.

– A więc dobrze. – Reed podniósł ją i ruszył w stronę schodów.

– Co to ma znaczyć?

– Udaję Rhetta Butlera i niosę cię po schodach do łóżka.

– To ma być zwyczajny wieczór?

– Tak to widzę.

Obrócił się, opuścił Simone na łóżko i opadł na nią.

– Ty to zaczęłaś. Pocałowałaś mnie przed domem. Teraz muszę dokończyć sprawę.



Barney, który bywał już świadkiem takiego zachowania, położył się na swoim pościeli z zabawką, żeby to przeczekać.

– Czcze pogródki. Może to ja chcę dokończyć to, co zaczęłam.

– Dam ci szansę. – Pochylił się do jej ust i całował długo, powoli, w nieskończoność.

Simone pomyślała, że to jest wszystko, czego chciała. Aż zbyt wiele tego, czego chciała. Tych uczuć i pragnień, słabości i siły, które w niej wzbierały i wirowały.

Przywarła mocniej do Reeda i odpłynęła.

Reed rozbierał ją powoli, kawałek po kawałku. Upojony nią, nie spieszył się. Przesunął dłońmi po nagiej skórze Simone, poczuł jej żar pod swoim dotykiem, a gdy dotknął jej ustami, zadrżała.

Wydawało się, że czas zwolnił, powietrze zgęstniało. Westchnienia i szepty, delikatne jak skrzydło motyla, płynęły i odpływały, gdy poruszali się w zgodnym rytmie i razem osiągnęli szczyt.

Reed kochał wszystko, kim była, jest i będzie. Wiedział, że Simone go kocha, więc mógł jeszcze poczekać, aż spojrzy na niego, w głąb niego i wypowie te słowa. Bo tu i teraz pokazała mu, co czuje, i żadne słowa nie były potrzebne.

Otworzył ją. Simone nie potrafiła tego wyjaśnić. Odblokował w niej coś tajemniczego, z czego istnienia nie zdawała sobie sprawy, i obchodził się z tym tak ostrożnie.

Przeciągnęła dłonią po jego boku, po bliznach. Obrońca, pomyślała. Ale kto ochroni jego?

Ja to zrobię. Ujęła w dłonie twarz Reeda i uniosła się ku niemu. Ja będę go chronić.

Wślizgnął się w nią powoli, bardzo powoli, ze wzrokiem utkwionym w jej oczach.

Ja będę go chronić, pomyślała znów i poddała się.

Gdy leżała pod nim, czując jego serce bijące przy swoim, piękno tej chwili ścisnęło ją za gardło i łzy napłynęły jej do oczu.

– Podoba mi się twoja wersja zwyczajności – powiedziała z trudem.

– Miałem taką nadzieję. – Musnął ustami jej ramię. – Mógłbym spędzić z tobą niejedno życie w taki zwyczajny sposób.

Jeszcze nie, pomyślała. Jeszcze nie.

– Czy zwyczajność obejmuje kolację?

– Kiedy tylko wygoogluję, jak grillować kurczaka. – Reed uniósł się i spojrzał na nią. – Hej. – Stał łąz z jej rzęs.

– To dobre łąz – odpowiedziała. – Bardzo dobre. Sprawiasz, że mam w sobie więcej uczuć, Reed. Wciąż się do tego przyzwyczajam. Weźmy się do tego. Ty sprawdzisz, jak przyrządzić kurczaka, a ja powiesz syrenkę. Każde z nas zrobi to, co umie najlepiej.

– Przekonamy się, czy powiesz to samo, kiedy zjesz kurczaka. To były dobre łąz?

– Bardzo dobre.

Reed nakarmił psa i przyrządził mięso, które okazało się całkiem niezłe, i podziwiał seksowną syrenkę na ścianie łazienki. Kiedy poszli na spacer, obejrzał wychylające się z ziemi łubiny, a potem przez las dotarli na plażę.

Dali sobie nawzajem zwyczajność.

Reed próbował rzucać Barneyowi piłeczkę, bez powodzenia. Simone wzięła ją od niego i rzuciła. Barney potruchtał za piłką, chwycił ją w zęby i przyniósł.

– Dlaczego aportuje dla ciebie?

– Bo jest dżentelmenem.

– Rzuć jeszcze raz.

Simone posłuchała, osięgając ten sam rezultat.

– Daj mi to – powiedział Reed. – Przynieś ją, Barney! – Rzucił zabawkę, ale Barney tylko się na niego gapił. – Do jasnej...

– Barney. – Simone wskazała psu piłeczkę. – Przynieś mi ją.

Pies machnął ogonem, pognał w dół plaży i wrócił do niej z piłką.

– Pogrywa sobie ze mną – stwierdził Reed. – Słucha, gdy każę mu siadać. Pod tym względem osiągnęliśmy już dziewięćdziesięcioprocentowy sukces. Jednak

kilka razy na tydzień wtyka głowę w balustradę przy schodach. A przy tym rośnie, więc coraz trudniej mu ją uwolnić.

Ruszyli dalej i Reed spróbował zastosować nową taktykę. Rzucił piłkę w tył przez ramię, a Barney pobiegł za nią.

– Teraz już sobie z nim poradzę.

Trzymając Simone za rękę, z psem biegającym truchtem z czerwoną piłką, Reed przyglądał się, jak księżyc wznosi się nad wodą.

– Możesz dziś zostać na noc?

– Będę musiała wcześniej wyjść. Mam coś do zrobienia, ale mogę zostać.

Reed pocałował jej dłoń i patrząc na księżyc, pomyślał, że nie mógłby prosić o lepszą zwyczajność.

## ROZDZIAŁ 27

**N**a wyspę przyszło lato, a z nim letnicy. Jednodniowi turyści wyposażeni w koce i filtry przeciwsłoneczne oraz weekendowi, przygotowani na dwudniową dawkę słońca i zabawy. Inni przyplływali tu na tydzień lub dwa, na miesiąc albo całe lato.

Prom kursował co godzinę z samochodami na pokładzie, a rowerzyści i spacerowicze gromadzili się na przystani po obu stronach zatoki.

Co godzinę sam Reed albo jego podwładni pełnili wartę przy brzegu.

Reed sprawdzał na listach rezerwacji, czy jakaś samotna kobieta nie wybierała się na wyspę, ale nikt taki się nie pojawił. Pracował codziennie, bez względu na to, czy miał służbę, czy nie. Chodził po miasteczku, plaży, zaglądał do pensjonatów.

Wcześniej czy później się zjawi, myślał.

W pogodny czerwcowy wieczór, podczas charytatywnej gali w Potomac w stanie Maryland, Marlene Dubowski – prawniczka reprezentująca rodziny ofiar, polityczna aktywistka, która sama ocalała z masakry w centrum handlowym DownEast – wygłosiła krótką mowę i wzniosła toast kieliszkiem.

Upiła łyk, przyłączyła się do tłumu, pogawędziła z kilkoma osobami, potem znów upiła łyk. I zaczęła z trudem chwytać oddech. Kiedy upadła, Patricia, pod postacią bogatej sponsorki, pochyliła się nad nią i szybko odcięła kobiecie kosmyk włosów.

– O Boże, zadzwońcie po pomoc!

– Ja jestem lekarzem! – krzyknął ktoś w tłumie. – Pozwólcie mi przejść!

Patricia wymknęła się w zamieszaniu.

Jechała, mijając eleganckie domy z zamiecionymi podjazdami, na pocztę, którą wybrała. Nucąc pod nosem, włożyła kosmyk włosów do plastikowej torebki w liście, który już podpisała, zaadresowała i przykleiła znaczek.

Wybrała życzenia:

### WŁAŚNIE DLATEGO, ŻE JESTEŚ SOBĄ!

Po zaklejeniu koperty wsunęła ją do skrzynki na listy naprzeciwko budynku poczty.

Zadowolona z siebie, ruszyła obwodnicą waszyngtońską i zjechała z niej w stronę hotelu średniej klasy, w którym wcześniej zarezerwowała sobie pokój ze względu na wakacyjne tłumy.

Potrzebowała tylko przespać noc i zjeść porządny posiłek.

W swoim pokoju z wydzieloną częścią sypialnianą – najlepszym, jaki był dostępny – zdjęła perukę w odcieniu popielatego blondu, wyjęła niebieskie szkła kontaktowe, a z ust przyrząd, który zmieniał kształt jej zuchwy. Ze stęknieniem ściągnęła z siebie dostojną suknię koktajlową i wyściółkę, którą miała pod spodem. Z wieczorowych butów wyjęła dodające jej wzrostu wkładki.

Zadzwoniła po obsługę hotelową i wzięła długi prysznic, żeby zmyć samoopalacz, którego użyła.

Wynajęty samochód porzuci rano na parkingu na lotnisku Dullesa i wynajmie inny. Gdzieś po drodze zmieni tablice rejestracyjne i znów zniknie.

Na stoliku przy łóżku położyła zdjęcie Reeda – kupi do niego ramkę.

– Jesteśmy umówieni na randkę, no nie? Właśnie dlatego.

Jacoby siedziała w gabinecie Reeda, całym ciałem okazując frustrację.

– Mieliśmy agenta na tej przeklętej gali, a ona nam się wymknęła. Ludzie wpadli w panikę, tłoczyli się i odcięli go. Widział ją i ruszył w pościg, ale... Uważa, że Hobart odjechała czarnym mercedesem sedanem, ale nie widział numeru rejestracyjnego. Tablice nie były oświetlone.

Sięgnęła do torebki i wyjęła rysunek.

– Portret pamięciowy – powiedziała.

– Dodała sobie lat, trochę tuszy, zmieniła linię żuchwy. I znów zastosowała cyjanek.

– Została tam, żeby zobaczyć, jak jej ofiara pada na podłogę i nawet pochyliła się przy niej na chwilę, kiedy mądrzej byłoby się wycofać i opuścić to miejsce.

– Stała się bardziej arogancka i nie zdawała sobie sprawy, że jesteście tak blisko.

– Nie dość blisko. Wyśle ci kolejny list.

– Liczę na to. Coraz bardziej skraca czas pomiędzy zabójstwami.

– Jeszcze jeden znak, że traci nad tym kontrolę, która pozwalała jej ukrywać się tak długo. To się zaczęło od ciebie, Reed, i tego, że ją postrzeliłeś. Z początku myślałam, a nasi analitycy zgadzali się ze mną, że cię zwodzi. Robi to, bo uważa, że w ten sposób cię dręczy. Teraz tak nie sędzę. Ona musi naprawić swój błąd.

– Zgadzam się. Jeśli po drodze tutaj zechce zabić jeszcze kogoś, a sędzę, że przy tym tempie zechce, powinniście zapewnić ochronę Mi-Hi Jung i Chazowi Bergmanowi. Myślę, że Brady Foster też powinien ją dostać. Essie jeszcze jej nie interesuje. Jest zbyt wysoko na liście. Gdybym nie mieszkał na wyspie, zostawiłaby też na razie Simone. Nie będzie jednak w stanie oprzeć się możliwości załatwienia nas za jednym razem. Ale...

Reed wstał i sięgnął do lodówki po colę, a drugą podał Jacoby.

– Masz może dietetyczną?

– Poczekaj. – Wyszedł z gabinetu do głównej sali, a potem do pokoju socjalnego, gdzie znalazł dietetyczną pepsi.

– Jestem ci winien butelkę – rzucił do Matty, zabrał pepsi do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

– Dzięki. „Ale”?

– Hobart zwiększa tempo i popełnia błędy, ale wciąż jest bystra i przebiegła. Widać to było po sposobie, w jaki pograła z nami w przypadku McMullen. Ona wie, musi wiedzieć, że idziesz jej śladem.

– Uważasz, że zboczy z kursu, że znów zawróci?

– Jeśli musi zabić kogoś przede mną, byłaby głupia, gdyby pojechała prosto do Maine. A nie jest głupia.

Jacoby wstała, podeszła do mapy, którą Reed przypiął do ściany, i przyjrzała się pinezkom, którymi zaznaczył miejsca wszystkich zabójstw popełnionych przez Hobart.

– Masz przeczucie, dokąd może zawrócić tym razem? – zapytała.

– Muszę to przemyśleć. Pojedzie samochodem czy wybierze samolot? Weźmie na cel kogoś, kto dzięki DownEast zyskał popularność i pieniądze, czy i pod tym względem odstąpi od schematu? Muszę to rozważyć.

– Ja też, i reszta moich ludzi z FBI. Miałam swojego człowieka w tym samym pomieszczeniu, gdzie była, a udało jej się zabić tę kobietę i odjechać.

Reed podniósł portret pamięciowy.

– Czy rozpoznajesz Hobart, kiedy patrzysz na ten rysunek?

– Prawdopodobnie bym jej nie rozpoznała, ale świadkowie zeznali, że miała południowy akcent – bardzo dobry. Wmieszała się między ludzi, Reed, gawędziła z nimi i potrafiła zapłakać, kiedy zmyśliła historię o swojej córce i o tym, co ta przeszła, po tym, jak została zgwałcona. Zapłaciła pięć tysięcy, żeby znaleźć się na tej gali.

– Wciela się w swoje role. Jest w tym dobra. Niesamowicie dobra.

– Muszę już wracać. Daj mi znać, kiedy dostaniesz następną kartę.

Reed musiał rozwiązywać problemy z korkami na drodze, parkingami, plażą, łodziami, pijakami, nawet z drobnymi kradzieżami. Każdy dzień był dniem wakacji i na ulicach, w sklepach, na szlakach i na plaży roiło się od ludzi.

Przez większość dni pracował do zachodu słońca i jeszcze dłużej. Jednak wieczory przeważnie spędzał z Simone. Jeśli trafiała mu się godzina czy dwie spokoju i samotności, siadał w gabinecie, studiował mapę i twarze, próbował przyjąć sposób myślenia Patricii.

Pewnego ranka wyszedł – ostatnio Simone miała zwyczaj opuszczać go o brzasku – i zastał przed swoim domem CiCi z naciągniętym na blejtram

plótnem, sztalugą i farbami.

– Dzień dobry, komendancie Smakowity.

– Dzień dobry, miłości mojego życia. Będziesz malować.

– Chcę mieć poranne światło. Bywałam tu kilka razy w tym tygodniu o późniejszej porze dnia, ale teraz potrzebne mi jest to światło.

Reed podszedł do niej – pies już zdążył przybiec i teraz merdał i ocierał się o nią.

– Chodzi o dom – powiedział. I łubiny, zauważył. Rzeki koloru, które wciąż wprawiały go w zdumienie, że do niego należą.

– Jeszcze nie są najpiękniejsze. Będą takie w przyszłym tygodniu. Jednak potrzebne mi jest to światło i chcę zacząć, zanim łubiny w pełni rozkwitną. Podobają mi się linie tego domu, zawsze je lubiłam. Ktoś był na tyle mądry, żeby pomalować werandy na liliowo.

– Ktoś miał kogoś z artystycznym okiem, kto mu to doradził.

– Jednak na to, żeby pomalować drzwi na fioletowo i wprowadzić przez to trochę dynamizmu, wpadłeś sam.

– Miewam czasem przebłycki geniuszu. I kanał telewizyjny o urządzeniu domów i ogrodów.

– Częściej niż czasem. Łubiny to dzieło samo w sobie.

– Leon mi przy nich pomógł, z innymi kwiatami też. Wie, jak zrobić kompost. Musiałem kupić kompostownik. Leon nie przyjmował sprzeciwu.

CiCi przyjrzała mu się, kiedy mówił.

– Za mało sypiasz, mój słodki. Widzę to.

– Jest lato. Pracowity okres.

– Nie tylko o to chodzi. Dlaczego nie potrafia jej złapać?

– Potrafi się wymykać. – Pochylił się, żeby pocałować CiCi w policzek. – Ale ją złapią.

Reed wyjął kółko z kluczami i odpiął dodatkowy.

– Ten jest do domu. Weź go i rozgość się, a kiedy będziesz wychodzić, zamknij drzwi. Zachowaj ten klucz. Tylko nie pal tu jonitów. Jestem



komendantem policji. Mam stosowną czapkę.

Przypiął Barneyowi smycz i poszedł spacerem do pracy, po drodze zatrzymując się przy domku do wynajęcia, żeby obudzić najemców – dzieciaki z college'u – i kazać im uprzątnąć butelki po piwie i winie rozrzucone po całym terenie. Odchodząc, ostrzegł ich, że jego zastępca zajrzy tu za godzinę i sprawdzi, czy wszystko zostało uprzątnięte.

A więc, pomyślał, zaczyna się letni dzień na wyspie.

A ponieważ się tego spodziewał, nie był zaskoczony, gdy Donna przyniosła trzeci list.

– Nie wołaj teraz nikogo, jesteśmy zbyt zajęci. Zadzwoń tylko do nich i powiedz, że mamy kolejną kartę, tym razem z Potomac w stanie Maryland.

– Ta szalona kobieta psuje mi lato.

– Mojego też nie zmienia w piknik – odparł Reed, wyjmując rękawiczki, scyzoryk i otwierając kopertę.

– Urocze – stwierdził, czytając wydrukowane pozdrowienia.

Tym razem Patricia narysowała serduszka kapiące krwią i przebite strzałami.

*Jak myślisz? Mogłabym spróbować z łukiem. Albo po prostu pozostaniemy przy kulach w serce i głowę. Może najpierw dla zabawy strzelę ci w jaja. Ta elegancka prawniczka o czułym serduszku po zwłokach mojego brata wspięła się na piedestał. Strąciłam ją z niego. Nie wiedziała, co ją wykończyło. Ty też nie będziesz wiedział, dupku.*

XXOO, Patricia

Narysowała nawet bardzo wyrazisty środkowy palec za swoim imieniem.

Popełnia błędy, pomyślał Reed. Ma w sobie coraz więcej gniewu albo słabiej panuje nad wściekłością, stąd bardziej otwarta groźba.

Będzie musiała znów kogoś zabić, nie ma co do tego wątpliwości. Potrzebuje adrenaliny.

Ale kogo? I gdzie?

Reed spojrział na mapę, telefonując do Jacoby.

Simone z uwagą badała każdy centymetr odlewu. Wycyzelowała prototyp,

zdrapując nadmiar wosku delikatnymi narzędziami, a gorącymi wygładzając nierówności. Teraz wszystko obejrzała i uznała, że jest gotowe.

Godzinami projektowała i tworzyła układ wlewowy – system kanałów umożliwiających wlanie roztopionego brązu do formy. Jednak dłużej trwało pokrywanie wosku gipsową powłoką. Najpierw dwie bardzo cienkie warstwy, żeby odcisnęły się w nim wszystkie najdrobniejsze szczegóły. Potem kolejne – razem było ich dziewięć, o różnej grubości ziaren – a każda musiała zaschnąć, zanim Simone położyła następną, aby ostatecznie uzyskać grubą ceramiczną skorupę.

Cała ta żmudna, techniczna praca zajmowała jej umysł przez wiele dni, pozwalając zapomnieć o obawach związanych z przeklętą trzecią kartą.

*Nie wiedziała, co ją wykończyło. Ty też nie będziesz wiedział, dupku.*

Nie myśl teraz o tym, powiedziała do siebie. Nie pozwól, żeby ta wariatka wpływała na twoje życie.

Zapakowała ceramiczną skorupę i zeszła na dół.

– Czy to Reed?

– Gotowy do drogi. – Sapiąc nieco z wysiłku, Simone postawiła pudło na kuchennym blacie. – Jestem ci wdzięczna, że rezygnujesz z pięknego słonecznego dnia, żeby ze mną jechać.

– Uwielbiam wycieczki do odlewni. Ci wszyscy spoceni mężczyźni... I kobiety – dodała CiCi. – Zrobię tam kilka szkiców. – Poprawiła przed lustrem długie, rozpuszczone włosy. Prześwitywały przez nie potrójne wielkie kółka w uszach. – I naprawdę chciałabym usłyszeć paplanie Natalie o ślubie. To będzie bardzo wesoły dzień. – Zarzuciła na ramię torbę z trawy morskiej wielką jak sterowiec Hindenburg. – Zanieśmy naszego pięknego chłopca do auta. Oczywiście uprzedziłaś go, że dziś rano płyniemy na ląd?

– Wyślę mu esemes z promu.

CiCi zmrużyła oczy, kiedy wychodziły z domu.

– Simone – powiedziała karcąco.

– Będzie się krócej martwił.

– I nie będzie miał czasu, żeby wybić ci z głowy opuszczanie wyspy.

– Właśnie. – Simone umieściła pudło w bagażniku i rzuciła obok swoją torbę.

Włożyła okulary przeciwsłoneczne, a CiCi – ze szklami w barwach tęczy.

Usiadła za kierownicą, nastawiła głośniej radio i posłała CiCi szeroki uśmiech. –

Babska wycieczka!

– Juhu!

W zwykłych okolicznościach Simone zapewne zarezerwowałaby pokój w hotelu w pobliżu odlewni, zamiast ograniczać pobyt do jednego dnia. Nie chodziło o to, że nie ufała tamtejszym nadzorcom czy robotnikom, którzy byli artystami w swoim fachu. Lubiła jednak być obecna przy każdym etapie odlewania.

To jednak nie były zwykłe okoliczności i Simone nie chciała być z dala od Reeda i wyspy, zatem musiała się spieszyć. Reed troszczył się o nią, a ona troszczyła się o niego.

Teraz jednak zostawiła CiCi w hali odlewniczej, gdzie z zachwytem krążyła wokół kadzi z ciekłym metalem, a sama stała nad robotnikiem, który wkładał jej dzieło do autoklawu.

Zastosowała swoją ulubioną metodę traconego wosku. Teraz żar i ciśnienie wytopi wosk z ceramicznej formy.

Jeśli wykonała dobrą robotę, myślała teraz, *Obrońca* będzie perfekcyjnie uformowany w pustej, twardej skorupie.

CiCi dołączyła do niej, gdy robotnicy przynieśli gorącą skorupę do hali odlewniczej.

– No to zaczynamy – rzuciła CiCi.

Robotnicy w kaskach, z maskami na twarzach i w kombinezonach ochronnych, z grubymi rękawicami i butami zawsze przypominali jej nieugiętych astronautów.

Jedni umieścili jej pracę w piasku, a w tym czasie inni doprowadzili brąz do stanu ciekłego. Simone wyobrażała sobie mięśnie napięte pod tymi grubymi

kombinezonami, gdy długimi narzędziami mieszały ten cudowny płynny brąz.

To też jest sztuka, myślała, ta praca w ogromnej temperaturze, w pocie, oparach chemikaliów. I magia jaskrawego światła, gdy robotnicy podnosili z pieca tygiel ze stopionym metalem.

A potem odlewanie go do ceramicznej formy – ta chwila prawdy – zawsze budziło w niej dreszcz emocji. Szybkie, zgodne ruchy robotników i rozjarzone, płynnie lejące się złoto, niczym roztopione światło słoneczne. Negatyw stanie się pozytywem i narodzi się symbol i studium mężczyzny, którego zaczęła kochać.

– Nie tak dobre jak seks – mruknęła stojąca obok niej CiCi – ale równie podniecające.

– O rany. – Simone westchnęła głęboko.

Ponieważ skorupa i znajdująca się w środku forma musiały jeszcze stygnąć przez kilka godzin, Simone pojechała z CiCi do miasta na długi lunch – dzięki Bogu nie w country clubie – z matką i siostrą.

Dominującym tematem rozmowy był ślub, ale Natalie promieniała radością, której blask udzielał się ich matce. Jeśli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich, pomyślała Simone.

– Widziałaś zdjęcia sukien dla druzhen, które wysłałam? – zapytała Natalie, sącząc drugi już kieliszek szampana.

– Tak – odparła Simone. – Są urocze, proste i eleganckie, i bardzo podoba mi się kolor.

– Malinojeżyna. – Tulip też pozwoliła sobie na kolejny kieliszek szampana. – Miałam wątpliwości i muszę przyznać, że próbowałam przekonać Natalie do czegoś bardziej tradycyjnego, ale miała rację. To bardzo efektowny kolor, zwłaszcza przy jej kolorach akcentujących.

– Róż i blade srebro. – CiCi pokiwała głową. – Kiedy chcesz, potrafisz mieć zmysł artystyczny, kochanie.

– Miałam nadzieję, że ty i Simone włożycie srebrny. Gdybyście szukały sukien w tym kolorze, mój butik, w którym robię zakupy, ma kilka naprawdę

pięknych do wyboru. I jest jeszcze czas, żeby zamówić własny wzór.

– Do twarzy mi w srebrnym – mruknęła CiCi.

– Nie będziecie świadkami. – Natalie spojrzała na Simone. – Jednak chciałabym, żebyście obie uczestniczyły w ceremonii.

– Może po lunchu pójdziemy do butików? – zasugerowała Simone. – Mogłabyś pomóc mi wybrać suknię.

Natalie zamruwała.

– Naprawdę?

– Jesteś panną młodą, Nat. – Simone trąciła się z siostrą kieliszkiem i dostrzegła błysk łez w oczach matki. – Chodźmy wszystkie na zakupy.

To tylko suknia, pomyślała Simone, ale dla matki i siostry jest wiele znaczącym symbolem. I sprawa zajmie kilka kolejnych godzin, podczas gdy jej brąz będzie stygł.

Kiedy przyjechały z CiCi z powrotem do odlewni – z sukniami, butami, torbami i pakunkami na jesienny ślub – Simone czuła się pełna energii.

– Było naprawdę bardzo przyjemnie – stwierdziła zdumiona.

– Nigdy nie zaszkodzi wyjść ze swojej strefy komfortu. Uszczęśliwiłaś je.

– Obie to zrobiłyśmy.

– Tak. – CiCi trąciła ją łokciem. – Teraz są nam coś winne.

– Jeszcze jak!

Ponieważ resztę pracy chciała wykonać sama, a wołała nie opuszczać wyspy, Simone poprosiła, żeby tkwiący nadal w skorupie brąz włożono jej do samochodu.

– Piszę esemes do Reeda – powiedziała CiCi, kiedy wjechały na prom. – Zawiadomię go, że wracamy.

– Nie chcę, żeby wrócił do domu, dopóki nie rozbijemy formy i nie umieścimy rzeźby w pracowni, żeby mogła wycyzelować metal.

– Powstrzymam go przed powrotem i zadzwonię po paru silnych mężczyzn, żeby pomogli nam wnieść rzeźbę na patio. – Pisząc, spojrzała na Simone. – Chcę być przy rozbijaniu formy.

– Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

Dwie i pół godziny później Simone otarła pot z czoła. Kawalki rozbitej skorupy leżały rozsypane na plandecce obok rozmaitych młotków i elektrycznych narzędzi.

A brąz stał obłany światłem wczesnego wieczoru.

– Cudowny, Simone. Cudowny.

– Dopiero będzie. – Simone zeszlifowała ślady po wlewach, wygładziła szorstką powierzchnię, tu i ówdzie wyrównała niedoskonałości. – Jeszcze kilka czynności. – Obróciła rzeźbę. – Cyzelowanie metalu, solidne piaskowanie, potem patyna, ale już to widzę, CiCi. Widzę, że jest dokładnie taka, jak oczekiwałam.

– On też taki jest, bez względu na to, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie.

– Nie oczekiwałam go, w tym rzecz. Przez jakiś czas nie oczekiwałam niczego i to było beznadziejne. Potem się ocknęłam i zapragnęłam móc zrobić coś takiego. Wystarczyło mi, naprawdę wystarczyło, że miałam ciebie, to miejsce i że zawsze mogłam tu wrócić. A potem... spojrzał na mnie. – Przykucnęła i przesunęła palcem po twarzy z brązu. – On mnie kocha.

– Wielu mężczyzn, i kilka kobiet, mnie kochało. To nie wystarczy, skarbie.

– Nie, nie wystarczy. Nie wystarczyłoby pomimo tego, że jest piękny i dobry, odważny i mądry i nie tylko. Nie wystarczyłoby. – Zdjęła bandanę, którą przewiązała włosy. – Jednak odblokował coś we mnie, CiCi. I teraz widzę więcej, czuję więcej i więcej pragnę. Sprawił, że uwierzyłam. Kocham go za to, kim jest, i za to, kim ja jestem przy nim.

– Kiedy zamierzasz mu to powiedzieć?

– Kiedy to skończę i mu pokażę. – Wyprostowała się. – Czy to głupie z mojej strony?

– Uważam, że głębokie. Pomogę ci to oczyścić i zanieść to cudo na górę.

Podczas gdy Simone cyzelowała metal, Reed zatrzymał dwóch chłopców, którzy uważali, że wrzucanie petard do koszy na śmieci w publicznych toaletach

to najgenialniejsza wakacyjna zabawa. Być może puściłby ich wolno, konfiskując resztę petard i wygłaszając kazanie, ale zdenerwował go ojciec, który najwyraźniej spożył na plaży zbyt dużo alkoholu.

– Wielka rzecz! Dzieciaki po prostu się bawią! Nikomu nic się nie stało. A ja sporo zapłaciłem za te petardy.

– Wielka rzecz polega na tym, że złamali prawo, stworzyli zagrożenie w miejscu publicznym i dla siebie samych i zniszczyli mienie.

– Kilka brudnych koszy na śmieci, to wszystko.

Nadal próbując dyplomacji, Reed skinął głową.

– Które wyczyszczą.

– Moi chłopcy to nie dozorczy.

– Dziś nimi są.

– Do diabła z tym. Chodźcie, Scotty, Matt, idziemy!

– Nie pójdą, dopóki nie sprzątną bałaganu, który narobili.

Pijany tata wypiął pierś.

– I co pan zamierza z tym zrobić?

Reed stwierdził, że dyplomacja nie zawsze jest skuteczna.

– Ponieważ są nieletni, wymierzę panu grzywnę za przyczynienie się do przestępstwa i wwiezienie na wyspę nielegalnych materiałów wybuchowych.

– Bzdura.

Reed uśmiechnął się uprzejmie.

– Mówię jak najbardziej poważnie.

– Nie zapłacę złamanego centa jakiemuś podrzędnemu gliniarzowi, który próbuje mnie oskubać i nęka moich chłopców na wakacjach. Powiedziałem, idziemy!

Odwrócił się. Reed zastąpił mu drogę.

Czerwony na twarzy i wściekły facet popchnął Reeda.

– No cóż, dodamy do tej listy napaść na policjanta. – Tylko lekko zaskoczony Reed uchylił się przed ciosem, po czym załatwił sprawę, obracając delikwenta i zatrzasnął mu kajdanki na rękach.

– Nie należy tak się zachowywać – wyjaśnił chłopcom, kiedy starszy otworzył usta ze zdumienia, a młodszy zaczął płakać. – Proszę pana, jest pan mocno nietrzeźwy – kontynuował, kiedy mężczyzna wyrywał się i kłął, a ludzie gromadzili się wokół robiąc zdjęcia i nagrywając sytuację wszechobecnymi telefonami. – Stawia pan opór i zakłóca teraz porządek publiczny, nie wspominając o tym, że daje pan zły przykład dzieciom. Czy wasza matka tu jest? – zapytał chłopców.

Młodszy odparł, szlochając:

– To nasz tydzień z tatą.

– Okej. Załatwmy to w komisariacie. Proszę pana, mogę tam pana demonstracyjnie doprowadzić jak przestępcę albo pójdzie pan spokojnie.

– Zaskarżę cię, dupku.

– A więc demonstracyjnie. Scotty i Matt, musicie iść z nami. – Reed zerknął na psa, który siedział i czekał. – Chodź, Barney.

Kiedy przyszedł do CiCi – został zaproszony na kolację – było już po dziewiątej i Reed łaknął drinka jak kania dżdżu.

– Ciężki dzień? – zapytała.

– Raz było lepiej, raz gorzej. Najgorszych było dwóch dzieciaków z petardami, którzy wystraszyli ludzi, i ich pijany, kłótniwy ojciec, który na koniec zarzygał mi biuro pod wpływem mieszaniny złości i alkoholu. To nie było przyjemne.

– Dam ci piwo, a potem przygotuję pikantną kanapkę z rusztu. To jedna z moich specjalności, kiedy nie jestem wegetarianką.

– Kocham cię, CiCi.

– Usiądź przed domem, wypij piwo i popatrz na wodę. Nie zaszkodzi wykonać kilka oddechów ujjayi.

Piwo pomogło, woda też – jej widok, zapach, szum fal. Być może oddychanie nie zaszkodziło. Jednak reszty dokonała Simone, która wyszła z domu – jej włosy, ostatnio jakby miedziane, teraz były przewiązane niebieską bandaną – niosąc talerz mięsa z grilla i sałatkę ziemniaczaną.



Podawała mu talerz, pociągnęła lekko za włosy pod czapką i pochyliła się, żeby go pocałować.

– Petardy i rzygający pijak.

– Tak. – Reed wskazał na psa, który już chrapał u jego stóp. – To wycieńczyło mojego zastępcę. Jak tam sprawy na lądzie?

– Kupiłam suknię na ślub siostry – CiCi też – i zapunktowałyśmy u Natalie i mamy, bo pozwoliłyśmy im pomóc nam w wyborze. No i buty. Zrobiłam szkic – nawet kilka, ale wybrałam jeden – topera do zwieńczenia tortu Natalie i Harry’ego.

– Chciałbym to zobaczyć. To radosna rzecz – odparł Reed. – Coś radosnego zrównoważy wymiociny pijaka.

– Rozumiem.

Reed jadł, patrzył na wodę, słuchał chrapania swojego psa.

Simone przyniosła szkicownik i przysiadła na poręczu jego fotela.

– Ten do mnie przemawia – powiedziała.

Reed przyjrzał się rysunkowi słodkiej kobiety w czymś, co uznał za suknię księżniczki. Z falbaniastym dołem i błyszczącą górą, bardzo pasowała do panny młodej w tiarze na upiętych jasnych włosach.

Pan młody wyglądał jak młody bóg w ciemnoszarym fraku i długim srebrzystym krawacie. Obrócił w tańcu pannę młodą, a falbany jej spódnicy uniosły się w ruchu. Patrzyli na siebie, mając w oczach tyle szczęścia, jakby poznali odpowiedzi na wszystkie wielkie pytania.

– Musisz to dla niej oprawić w ramkę.

– To tylko surowy szkic.

– Nieprawda i jestem przekonany, że będzie bardzo chciała go mieć. Podpisz go, opatrz datą i opraw.

– Masz rację. Spodoba jej się. Poproszę CiCi, żeby go oprawiła. Chcę zrobić topper z porcelany i pomalować go.

– Suknia i frak wskazują, że to będzie wielkie, formalne i eleganckie wesele.

– Jak dotąd na liście gości jest dwieście siedemdziesiąt osiem nazwisk.

Obowiązują stroje wieczorowe. Czyli wielkie i formalne wesele. A reszta? Tak elegancka, jak tylko można.

– Czy i ty tego chcesz? Ślubu tak eleganckiego, jak tylko można?

– Nigdy nie mówiłam, że chcę ślubu.

– Przejdziemy do tego, trochę później. I do trójki dzieci, którym nigdy nie damy cholernych petard i zapalek.

Simone poczuła motyle w brzuchu, ale nie potrafiła zdecydować, czy to był niepokój, czy radość.

– To śmiałe plany, komendancie.

– Po prostu tak to sobie wyobrażam. Chyba że CiCi zmieni zdanie i zrobi sobie ze mnie seksniewolnika. Wtedy umowa będzie nieważna.

– Oczywiście.

– Tymczasem muszę cię przekonać, żebyś się do mnie wprowadziła. To też może poczekać. Najpierw trzeba zbudować dla ciebie studio. Pracuję nad tym.

– Ty... co robisz?

– Nie pracuję w dosłownym znaczeniu. Latem jestem zbyt zajęty. Poprosiłem tylko kuzyna Donny – znasz go, ma na imię Eli. Jest architektem. Poprosiłem go, żeby narysował kilka luźnych projektów.

Reed upił trochę piwa i pomyślał, że dzięki zimnemu piwu i pikantnemu barbecue ciężki dzień zmienił się w miły.

– Oczywiście jeśli CiCi wysłucha moich błagań, wprowadzę się do niej, a ciebie stąd wykopiemy. Taka sytuacja byłaby niezręczna dla wszystkich.

Mówiąc to, Reed zamknął oczy. Było mu dobrze, ale, Jezu, czuł się tak bardzo zmęczony.

Simone spojrzała w dal, na światło księżyca lśniące na powierzchni bezkresnej wody.

– Czy w tej twojej fantazji mogę mieć jakiś udział w zaprojektowaniu potencjalnej pracowni?

– Pewnie, właśnie dlatego Eli rysuje kilka pomysłów. Potem je obejrzysz i będziesz mogła się nimi pobawić. Jak długo zechcesz.

Simone pomyślała o rzeźbie stojącej w jej pracowni i o tym, ile czasu potrzebuje, żeby ją dokończyć, udoskonalić i pokazać Reedowi. Skoro tak, to może powinna pokazać mu ją na tym etapie. Tak jak on pokazał jej to, co mogłoby być.

– Myślę, że powinniśmy... – Urwała, kiedy zadzwonił telefon Reeda i przesunęła się, żeby mógł po niego sięgnąć. Zobaczyła odczyt ekranu: Jacoby.

To, co mogłoby być, pomyślała, zostawiając go przy rozmowie o morderstwie, musi poczekać.

Hobart uderzyła, i to szybko, w Ohio, w eleganckiej dzielnicy na przedmieściu Columbus. Człowiek, którego wzięła na cel, popularny prezenter lokalnych wiadomości, został ostrzeżony przez FBI i potraktował zagrożenie poważnie.

Nigdy nie zapomniał wieczoru w centrum handlowym DownEast. Miał wtedy dwadzieścia osiem lat, pracował w telewizji w Portland, głównie relacjonując jakieś błahostki i starając się przebić do poważnych wiadomości. Właśnie kupował kamerę wideo, kiedy rozpętało się piekło.

Ukrył się i nagrywał sceny rzezi, drżącym głosem próbując opisywać to, co widział, słyszał i czuł.

McMullen wykorzystała reporterski fart w jeden sposób, a Jacob Lansin w inny. Wciąż drżącymi rękami przekazał nagranie policji, ale opuszczając galerię, zastał ekipę ze swojej stacji. Dał im relację z pierwszej ręki, w czasie rzeczywistym.

Wspiął się po szczeblach kariery i kiedy mu się trafiła okazja, został główny prezenterem lokalnego programu informacyjnego w Columbus. Ożenił się z dziewczyną z Columbus, córką bogatego biznesmena.

Zyskał bogactwo i sławę.

Szczęście uśmiechnęło się do Patricii, kiedy kobieta, która prowadziła samochód, jednocześnie pisząc esemes do przyjaciela, że spóźni się na lunch, uderzyła w bmw convertible Lansina. W wyniku tego wypadku prezenter miał

zwichnięte ramię, pękniętą kostkę i uraz kręgosłupa szyjnego. Ciesząc się, że nie było gorzej, Lansin wziął urlop, by dojść do zdrowia i załatwił sobie domową fizjoterapię.

Zaledwie dwa dni zajęło Patricii ustalenie, że fizjoterapeutka miała brązowy koński ogon, lubiła T-shirty i dżinsy oraz że przyjeżdżając codziennie o drugiej po południu, taszczyła stół do masażu.

Patricia wynajęła samochód tej samej marki i koloru, po czym, włożywszy brązową perukę, prosty T-shirt i dżinsy, zjawiła się dziesięć minut wcześniej. Trzymała stół tak, aby zasłaniał jej twarz.

Lansin, w kołnierzu ortopedycznym, z kostką w gipsie i ręką na temblaku, sprawdził obraz na monitorze systemu ochrony, wyłączył alarm i otworzył drzwi.

– Cześć, Roni, przyjechałaś wcześniej.

– Dokładnie na czas – odparła Patricia i strzeliła mu w pierś, a kiedy upadł, jeszcze dwa razy w głowę.

Wepchnęła stół do środka, szybko odcięła Lansinowi kosmyk włosów, zamknęła za sobą drzwi i uciekła do samochodu. Wszystko w niecałą minutę. Ponieważ zamierzała porzucić auto na lotnisku, nie przejmowała się tym, czy ktoś widział, jak odjeżdża.

Gdy to zrobiła, wróciła taksówką do Columbus i za gotówkę kupiła używanego luksusowego SUV-a.

Pora na wakacje na wyspie, pomyślała i zatrzymała się, żeby wysłać do Reeda kartę z życzeniami, która miała być ostatnią.

Tydzień, w którym przypadało święto Czwartego Lipca, przyniósł napływ turystów na wyspę. Hotele, pensjonaty i pokoje do wynajęcia pękały w szwach, a plaże zmieniły się w morze parasoli, koców i leżaków. W niewielkim parku przy High Street muszla koncertowa rozbrzmiewała patriotyczną muzyką, a dzieci – i wielu dorosłych – ustawiały się w kolejce do malowania twarzy, po owocowe sorbety i lany chrust.

Chroniąc się przed upałem – a było naprawdę gorąco – ludzie wskakiwali do wody, pływali i unosili się na wodzie. Łodzie wpływały i wypływały z mariny, widać było białe żagle i słyszeć warkot silników.

Powietrze pachniało kremem do opalania, frytkami smażonymi w oleju arachidowym, cukrem i latem.

Reed brał dwunastogodzinne dyżury i zdał sobie sprawę, że gdyby nie mały problem z seryjną zabójczynią, cieszyłby się każdą minutą pracy.

Zimą wyspa była spokojną, piękną kulą śnieżną. Wiosną budziła się i rozkwitała. Jednak latem wybuchała dźwiękiem i kolorem, pełna tłumów i głośnej, różnorodnej muzyki.

Jakby codziennie trwał karnawał, pomyślał Reed.

A latem kursowały dwa promy – podczas gdy jeden wyrzucał na przystani samochody i pieszych, drugi zabierał wracających na ląd i do rzeczywistości.

W święto Czwartego Lipca, tak jak starał się robić to codziennie, Reed obserwował promową przystań, samochody, kampery i ludzi, którzy schodzili z pokładu.

Obok stała Simone i tak jak on przyglądała się twarzom.

– Uważasz, że dziś się zjawi.

– Uważam, że dziś przyplynie najwięcej ludzi i to dobry dzień, żeby się tu przemknąć. Na obu przystaniach są ludzie, którzy rozglądają się za samotną kobietą. Dwóch zastępców mam tam dalej. – Ruchem głowy wskazał radiowóz.

– Od czerwca zauważyli kilka takich kobiet i wszystkie zostały sprawdzone. W marinie postępuje się tak samo z prywatnymi i czarterowymi łodziami.

– Jednak jest mnóstwo ludzi.

– Tak. Z drugiej strony Hobart jest wystarczająco bystra, żeby wiedzieć, że w ten świąteczny weekend będziemy jej szukać bardzo uważnie. Na jej miejscu poczekałbym.

– Tak jak czekasz na następny list.

– W święto Czwartego Lipca poczta nie pracuje. – Reed patrzył, jak ostatni samochód, minivan pełen dzieci, zjeżdża z rampy. – Barney i ja musimy iść do

pracy.

– Mógłbyś zatrudnić mnie jako zastępcę.

– Nie stać mnie na ciebie. – Pocałował ją. – Czułbym się lepiej, gdybyś dziś trzymała się z dala od tłumów. Mówiłaś, że ty i CiCi i tak ich unikacie, a fajerwerki oglądacie z patio. Róbcie po prostu to, co zwykle.

– Czułabym się lepiej, gdybyś robił to z nami.

Reed postukał palcem w napis SZEŃ na swojej czapce.

– Jeśli wziąć pod uwagę paradę, park, zabawy na plaży i ogólne szaleństwo w miasteczku, Hobart może być wszędzie, Reed. Mogłaby, Boże, wziąć cię na celownik z okna hotelu.

– Nie zaatakuj mnie w ten sposób. Na pewno. To sprawa osobista. Ona chce zobaczyć moją twarz, chce spojrzeć mi w oczy i zmusić, żebym spojrzał w jej oczy. I żeby jej to uszło na sucho. Zaufaj mi.

– Ufam. – Simone chwyciła go za rękę. – Będę na ciebie czekała.

– U CiCi. Zostań tam dzisiaj. Przyjdę po fajerwerkach. Hobart jeszcze tu nie ma. Może trochę udzieliły mi się paranormalne zdolności CiCi, ale wiem, że jeszcze jej tu nie ma.

To go nie powstrzymało od rozglądania się w tłumie, wypatrywania kobiet, szukania kogoś, kto go obserwuje. Pod koniec długiego dnia stał z ekipą strażaków i patrzył, jak niebo wypełnia się kolorami i czuł podmuchy powietrza drżącego od wystrzałów niczym z broni palnej.

Jeszcze nie, pomyślał, gdy ludzie wiwatowali. Jednak już niedługo.

## ROZDZIAŁ 28

**P**rzyjechała trzy dni później i ustawiła używanego SUV-a w kolejce na przystani na lądzie. Podobnie jak inni czekający na prom wysiadła z samochodu, żeby się przejść.

Zapłaciła włosy do ramion i ufarbowała na blond. Przez kilka ostatnich tygodni sumiennie stosowała samoopalacz i dzięki starannemu makijażowi uzyskała zdrowy, promienny wygląd. Pod modnymi dużymi okularami przeciwsłonecznymi miała szkła kontaktowe, które kolor jej oczu zmieniły na niebieski. Natomiast pod błękitną letnią sukienką – z krótkimi rękawami, żeby ukryć bliznę pod pachą – fałszywy brzuch ciążowy sugerujący mniej więcej dwudziesty tydzień. Na trzecim palcu lewej ręki nosiła imponującą ślubną obrączkę – z sześcienną cyrkonią, ale wystarczająco błyszcząca, aby mogła uchodzić za prawdziwy diament.

Zapłaciła za porządny manikiur i pedikiur – francuski, żeby wyglądać z klasą – i kupiła letnią torebkę Prady oraz pasujące do niej sandały.

Wyglądała jak dość zamożna, elegancka młoda kobieta w ciąży.

Czekając na wjazd na pokład, zauważyła parę turystów – mężczyznę i kobietę – siedzących na plecakach. Oni też byli młodzi, a kobieta wyglądała na zgrzaną i zmęczoną.

Podeszła do nich, trzymając rękę nad fałszywym dzieckiem, gestem, który zaobserwowała u kobiet w ciąży.

– Cześć, mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, że zapytam, czy znacie łatwe – naprawdę łatwe – trasy wycieczkowe na Tranquility? Mój mąż jest doskonałym piechurem i kiedy tu przyjedzie pod koniec tygodnia, będzie

mówił tylko o tym. Ja nie mam ochoty na męczące wędrówki. – Mówiąc to, uśmiechnęła się i pogładziła po brzuchu.

– Jasne. – Kobieta odpowiedziała na uśmiech Patricii. – Możesz dostać mapę w centrum informacyjnym, tam w głębi.

– Możesz je dostać również na wyspie – dodał mężczyzna. – Te w centrach informacyjnych są za darmo, ale w niektórych sklepach mają lepsze. Chyba nie są drogie. – Wyjął mapę z plecaka. – Możemy ci pokazać kilka przyjemnych, łatwych tras wzdłuż plaży. Ta w kierunku latarni morskiej jest trochę dłuższa i trudniejsza, ale warta wysiłku.

– Świetnie. Na ogół mam ochotę po prostu posiedzieć na plaży, czytać i patrzeć na wodę, ale Brett uwielbia wędrować. Skąd jesteście?

Patricia zagadywała ich. Ona – Susan „Mów mi Susie” Breen – przyjechała z Cambridge. Jej mąż – Brett – musiał nagle wyjechać w interesach, ale ona cieszy się, że będzie miała kilka dni, żeby rozgościć się w domku, który wynajęli na sześć cudownych tygodni, zgromadzić wszystko, co potrzebne, i będzie miała czas, żeby posiedzieć z książką i popatrzeć na wodę.

Oni – Marcus Tidings i Leesa Hopp – chętnie z nią gawędzili.

– A może bym was podwiozła? I tak muszę zapłacić za samochód, a nie biorą tu opłat za pasażerów. Oszczędzicie na biletach. Poza tym mogę was zabrać do miasteczka, przynajmniej do biura wynajmu, skąd mam odebrać klucze.

Wdzięczni za propozycję poszli do jej subaru, zanim Patricia zdała sobie sprawę, że na ostatnim postoju zapomniała założyć tablice rejestracyjne z Massachusetts. Z uśmiechem, zarazem przeklinając siebie za niedopatrzenie, wymyśliła historyjkę o samochodzie pożyczonym od brata. Jednak gdy tak trajkotała i trajkotała bez końca, jej mili towarzysze nie zwrócili na to uwagi.

Powiedziała Leesie, żeby usiadła przy niej z przodu, bo inaczej będzie się czuła jak kierowca taksówki.

Weszli we troje na pokład i cały rejs spędzili przy relingu.

Gdy Patricia odjeżdżała z przystani na Tranquility, policjanci obserwujący prom nie przyjrżeli się baczniej SUV-owi z tablicami z Ohio, który wiózł troje



pasażerów i miał pełny bagażnik.

Podczas gdy Patricia zatrzymała się przy biurze wynajmu, żeby odebrać klucze i zestaw powitalny, Simone użyła lampy lutowniczej do rozgrzania brązu tak, aby przybrał złoty odcień. Azotanem żelaza posypała włosy Reeda, całego Barneya i te fragmenty rzeźby, którym chciała nadać czerwony i złocisty połysk. Miecz i obrożę Barneya potraktowała azotanem srebra, który nadał im srebrzystoszarą patynę. Czekąco ją jeszcze wiele godzin pracy, ale Simone uznała, że to lepsze od starożytnej metody polegającej na zakopywaniu brązu w ziemi, żeby się utlenił. Poza tym mogła kontrolować ten proces, uwypuklić pewne szczegóły, w pewien sposób dodać dziełu ruch i życie.

Simone pracowała z mistrzami patynowania we Florencji i Nowym Jorku, poznając tę sztukę i jej techniki. Dla rzeźby, która stała się dla niej tak bardzo osobista, przywołała całą swoją wiedzę i szukała dodatkowych rozwiązań.

Od czasu do czasu przerywała to zajęcie i pijąc wodę, spacerowała po studiu, żeby oczyścić umysł. Jednocześnie przyglądała się twarzom, których teraz przybyło na półce. Wykańczając brąz, robiła przerwy i pracowała nad nimi.

Ostatnia, którą wyrzeźbiła, patrzyła na nią wielkimi, roześmianymi oczami. Trent Woolworth, chłopak, którego kochała tak, jak kocha młodzianka dziewczyna. Nie miał szansy stać się mężczyzną. Simone myślała, że złamał jej serce, ale ledwie je ukłuł. Dziś już to wiedziała i na myśl o nim czuła jedynie głęboki żal.

Doda jego twarz do pozostałych, wszystkich pozostałych, i odleje je w brązie, tak jak Reeda. Azotan miedzi, pomyślała, dla uzyskania subtelnych i pięknych zieleni i błękitów, które będą odzwierciedlały wodę.

Potrafi to zrobić i robi, nie tylko dlatego, że w końcu odnalazła w sobie to wszystko, ale dlatego, że mężczyzna, którego kochała, pomógł jej otworzyć resztę.

Włożyła rękawice i wróciła do rzeźby Reeda.

Po kilku godzinach, z ramionami zeszywniałymi przy końcowym etapie pracy – zabezpieczała powierzchnię brązu, woskując ją i polerując – zeszła na

dół do pracowni CiCi.

Przez szybę ujrzała babkę przy stanowisku do oprawiania obrazów, więc weszła do środka.

– Zastanawiałam się, czy wreszcie stamtąd wychyniesz.

– Ja też, ale... Och, CiCi, to jest cudowne! Dom Reeda, łubiny koloru jak morze, las i to światło! Elfy w cieniu drzew, ledwie ich zarys w nakrapianych słońcem liściach – szepnęła. – I Reed na tarasie na dachu z Barneyem. I ze mną.

– Właśnie tak to sobie wyobrażam. Chcę dać mu ten obraz – i, jak sądzę, tobie – na gwiazdkę. Do tego czasu z nim zamieszkas, chyba że moja wnuczka jest idiotką. A nie jest. Sądzę, że będzie pasował do sypialni.

– Jest doskonały. Ty jesteś doskonała. – Ujęła CiCi za rękę. – Czy możesz przerwać pracę i wyjść na chwilę?

– Jeśli w grę wchodzi jakiś trunek, to mogę.

– To możemy zorganizować.

– Odetchnijcie trochę z Reedem – powiedziała CiCi, kiedy przechodziły przez taras. – Idź do niego dziś wieczorem. Godzinami pracowałam jak szalona. Odkąd przyszła ta okropna ostatnia karta, oboje w napięciu czekacie na to, co się wydarzy. Idź, otwórzcie butelkę wina i kochajcie się.

– Właśnie myślałam o tym samym, bo... Wiesz co? Właśnie go skończyłam.

CiCi wstrzymała oddech. Artystka i babka poczuła, jak serce jej się unosi.

– Och, Simone. – Podeszła do blatu, na którym stała rzeźba w świetle późnego popołudnia. – Jest w tym życie, energia, dusza i o wiele więcej. Och, i ta patyna, to światło, głębia i ruch. Dopracowanie szczegółów, płynność formy. – Łzy stanęły jej w oczach. – Daj mi to wino, dziecko, i chusteczkę. Jestem głęboko poruszona.

Zaczerpnąwszy powietrza, CiCi obchodziła rzeźbę wokół, podczas gdy Simone otwierała butelkę.

– Kiedy lata temu we Florencji, na twojej pierwszej wystawie, zobaczyłam Tish – *Wynurzenie* – w podobny sposób wzruszyłam się do łez. Tworzysz piękne prace, Simone, niektóre wręcz oszałamiające. Jednak tu, podobnie jak

w *Wynurzeniu*, każda linia, krzywizna i kąt nosi w sobie twoje serce i duszę. –  
Wzięła kieliszek i chusteczkę. – Jest wspaniały. Mam wrażenie, że oddycha.  
Kiedy to zobaczy, nie będziesz musiała mu mówić, że go kochasz. Chyba że jest  
idiotą. A nie jest.

– Jestem gotowa mu to powiedzieć.

– Więc idź i to zrób. – CiCi mocno przytuliła Simone. – Idź po swojego  
mężczyznę.

W drugiej sypialni w swoim domku przy plaży Patricia zgromadziła broń –  
pistolety i amunicję, noktowizory, trucizny, strzykawki i noże. To jej kwatery  
główna, pomyślała. Zamierzała kupić mapy miasteczka, poznać zwyczaje  
obiektu ataku i jego bliskich współpracowników. Dowie się, gdzie chodzi na  
piwo, jada lunch, kogo pieprzy.

Będzie trzymała zamknięte drzwi i powie sprzątacze, że jej mąż bardzo nie  
lubi, kiedy narusza się miejsce, w którym pracuje. Nikomu nie wolno tam  
wchodzić.

W łazience ustawiła męskie kosmetyki, w szafie i w komodzie schowała  
męskie ubrania. Za kilka dni tu i tam postawi męskie buty i starannie rozrzuci  
kilka innych rzeczy.

Położyła egzemplarz poradnika *Czego się spodziewać, gdy spodziewasz się  
dziecka*, w którym zawczasu pozaginała rogi kartek i popodkreślała fragmenty.  
Na obecność mężczyzny miały też wskazywać sprzęt turystyczny, butelka ginu  
z wysokiej półki, który będzie po trochu wylewała do zlewu, szkocka single  
malt, którą sama piła, kilka butelek dobrego wina i rzemieślniczego piwa,  
wreszcie zapasy jedzenia, które po drodze kupiła w supermarkecie.

Zadowolona, wyszła na pierwszy spacer po miasteczku. Z łatwością  
wmieszała się w tłum, aby zajrzeć do sklepów i kupić kilka drobiazgów, w tym  
męskie kąpielówki i T-shirt ze słynną latarnią morską, którą, jak powiedziała  
sprzedawcy, jej mąż będzie zachwycony.

Nie minęło pół godziny, gdy dostrzegła Reeda, który trzymał na smyczy psa

i – jak się wydawało – wydawał polecenia grupie ludzi.

Nisko upadłeś, wielki detektywie, pomyślała.

Nie poszła bezpośrednio za nim. Spacerowała po ulicach, oglądała wystawy. Jednak miała go na oku przez całą drogę do jego nędznego komisariatu. I stwierdziła, że to dobry początek.

Po esemesie od Simone Reed postanowił chociaż raz wrócić do domu przed zmrokiem. Może ten dzień tylko wydawał mu się spokojny po weekendowym świątecznym szaleństwie, ale był wystarczająco spokojny.

Poprowadził Barneya do domu. Swędzenie między łopatkami kazało mu jeszcze trochę krążyć i bacznie się rozglądać, ale nic nie zauważył i nikt nie przyciągnął jego uwagi.

– Nie możemy pozwolić, żeby czekanie załamywało nas psychicznie, Barney. Żyjmy z dnia na dzień i nie martwmy się, co będzie jutro.

Widok samochodu Simone przed domem podniósł go na duchu. Sprawę dopełniło ujrzenie jej siedzącej na werandzie i sączącej wino.

– Wcześniej dziś wróciłeś.

– To był spokojny dzień. Komendant policji bierze wolny wieczór.

– Dobrze się składa, bo ja też. Brakowało mi wieczorów z tobą. – Wyjęła z kieszeni gryzak dla psa. – I z tobą też, Barney.

– Zostań tu. Wezmę zimne piwo i posiedzimy trochę przed domem.

– Właściwie chciałam ci coś pokazać. – Wzięła go za rękę. – I coś powiedzieć – dodała, prowadząc go do środka.

Postument znalazła na pchlim targu, wiedząc, że mu się to spodoba. Posąg stał teraz przy wejściu i był, jej zdaniem, niczym komunikat: obroni wszystko, co jest w środku.

A w tym miejscu brąz chwycił promienie popołudniowego słońca dokładnie tak, jak chciała.

Reed stał oniemiały i na jego twarzy malowało się to wszystko, co Simone miała nadzieję zobaczyć. Oszołomienie i podziw przeszło w coś jeszcze, kiedy

na nią spojrział.

Nie, pomyślała, nie był idiotą. A jednak był ostrożny w słowach.

– Ja... Muszę mieć chwilę. Albo godzinę. Albo miesiąc. Trudno mi to ogarnąć. Nie spodziewałem się... Nie wiem, dlaczego się nie spodziewałem... kiedy widziałem twoje prace.

– Jest inaczej, kiedy chodzi o ciebie.

– No tak, ale... – Po prostu nie mógł tego pojąć. – To jest... Umieściłaś tu Barneya.

– Najpierw myślałam, że to będzie kobieta albo dziecko. A potem obserwowałam ciebie z nim, i jego z tobą, zobaczyłam, jak zaufanie do ciebie zmieniło jego życie, jego świat. Tak jak moje zaufanie zmieniło moje życie.

– To najcudowniejsza rzecz. Wyglądam tu...

– Dokładnie tak, jak wyglądasz – przerwała mu. – Każda godzina, którą spędziłam nad tą rzeźbą, coraz bardziej pokazywała mi, kim jesteś. Kim ja jestem. I kim jesteśmy my. Nie zakochałam się w tobie podczas tej pracy. – Oparła dłoń na jego piersi, nad sercem. – Trochę zawdzięczasz to Barneyowi. Zakochałam się, widząc cię po raz pierwszy z nim, kiedy myleś tego biednego, chudego, przestraszonego psa. Śmiałeś się, gdy opryskał cię wodą i lizał po twarzy. Zakochałam się, gdy zdałam sobie sprawę, że masz w sobie to coś.

Reed zamknął jej dłonie w swoich.

– Powiedz to, dobrze? Nieważne, że to jego zasługa. Kupię mu przekąski z kawiolem. Jednak naprawdę chcę, żebyś na mnie spojrzała, Simone, spojrzała na mnie i to powiedziała.

– Właśnie tym jesteś dla mnie. – Dotknęła posągu. – Tym właśnie jesteś – powtórzyła, przyciskając drugą dłoń do jego serca. – To jest mężczyzna, którego kocham. Kocham cię.

Reed uniósł ją lekko, potem trochę wyżej, i pocałował, nie odrywając ust od ust Simone, dopóki znów nie postawił jej na podłodze.

– Nigdy nie przestawaj.

– Odląłam twoje serce – i swoje – razem w brązie. A to jest na zawsze. –

Objęła go mocno i wtuliła twarz w jego ramię. – Czekales na mnie. Czekales, aż będę mogła ci powiedzieć.

– Koniec czekania. – Reed znów ją pocałował i zawrócił w stronę schodów. – Chodź ze mną. Bądź ze mną. Chcę... – Zadzwoił jego telefon. – Cholera. Szlag by to trafił. – Wyszarpnął komórkę z kieszeni. – Tak, tak, lepiej będzie... – Jego wzrok stał się matowy, zimny. – Gdzie? Ktoś jest ranny? Dobrze. Już jadę. Przepraszam. Niech to diabli.

– Pojadę z tobą.

– Nie, nie, to sprawa policji.

– Jaka sprawa policji?

– Ktoś strzelił w okno chaty przy Forest Hill.

– Mój Boże...

– Nikt nie został ranny. Cecil już tam jest, ale... Muszę jechać.

– Bądź ostrożny.

– Prawdopodobnie jakiś dupek próbował ustrzelić jelenia i prawdopodobnie już dawno go tam nie ma. Chodź, Barney. Niedługo wrócę. – Ujął w dłonie twarz Simone i pocałował ją.

Kiedy Reed zjawił się przy ukrytej w lesie chacie, Cecil wyszedł mu na spotkanie.

– Cześć, szefie. Usłyszałem wezwanie, kiedy byłem w drodze do domu, więc dałem znać Donnie, że przyjmuję to zgłoszenie, skoro jestem w pobliżu.

– Co tu mamy?

– Rodzina z Augusty wynajmuje tę chatę na tydzień – rodzice z dwójką dzieci. Właśnie jedli lody i rozmawiali o wyjściu na spacer, kiedy usłyszeli strzał – jakby trzask i odgłos pękającego szkła. To okno tutaj.

Zaprowadził Reeda, żeby ten mógł obejrzeć boczne okno z dziurą w szkłe i odchodzącymi od niej koncentrycznie pęknięciami.

– Pocisk trafił też w lampę w środku – dodał Cecil. – Żona złapała dzieci i ukryła je na podłodze, z dala od okien. Mąż zadzwonił pod dziewięćset

jedenastcie. Rozejrzał się tu chwilę później, ale niczego nie zauważył.

Reed obejrzał uszkodzoną szybę, odwrócił się, żeby spojrzeć na drzewa pogrążające się w cieniu o zmierzchu.

W chacie przez pewien czas uspokajał nerwy i gniew mieszkańców, a potem pochylił się nad rozbitą lampą. Unikając skaleczenia odłamkami żarówki, wyjął małą, wąską latarkę i zaświecił nią pod krzesło.

Znalazł kulę wystrzeloną z wiatrówki.

Podczas gdy Reed uspokajał, dodawał otuchy i przeproszał zdenerwowaną i wyczerpaną rodzinę, Patricia obserwowała chatę przez lornetkę. Zapamiętała na przyszłość, jak szybko Reed się pojawił, oraz markę, kolor i numer rejestracyjny jego samochodu. Kiedy wyszedł stamtąd, uniosła karabin do ramienia i powiedziała cicho:

– Pif-paf!

A potem się zaśmiała.

– Żaden dzieciak na wyspie nie jest tak głupi, żeby w ten sposób strzelać z karabinu, szefie. To musiał być jakiś durny młody letnik.

– Obejdziemy wszystkie chaty i domki letniskowe w okolicy. Zobaczymy, czy uda nam się znaleźć tego durnia. Jestem ci wdzięczny, Cecilu, że poświęciłeś dodatkowy czas pracy.

– Och, żaden problem.

Rozdzielili się, żeby się tym zająć, ale umysł Reeda pracował intensywnie. Niewielka chata, myślał, w środku cztery osoby. Jednak kula uderza w miejsce, w którym w tym momencie nikogo nie ma. I trafia prosto w lampę.

Może to jakiś dureń. A może ktoś wcale nie taki głupi.

Przez następny tydzień Reed musiał sobie radzić z serią drobnych aktów wandalizmu. Obsceniczne napisy wykonane sprajem na szynach Sunrise, doniczki z kwiatami ukradzione wprost spod werandy domu pani burmistrz, trzy samochody porysowane kluczem, podczas gdy ich właściciele jedli kolację w Water's Edge, w innym pocięte wszystkie cztery opony, kiedy stał przed

wynajętym domkiem z widokiem na południową część zatoki.

Reed siedział w gabinecie pani burmistrz, a Hildy wylewała na niego swoją frustrację.

– Musisz położyć temu kres, Reed. Codziennie dzieje się coś nowego i nie są to takie same, co zwykle, wakacyjne problemy. Większość czasu spędzam przy telefonie, wysłuchując skarg. Jeśli ta sytuacja się utrzyma, będzie nas kosztować przychody i utratę reputacji. Dobson przebąkuje o napisaniu petycji w sprawie zwolnienia cię ze stanowiska komendanta. Musisz coś z tym zrobić.

– Patrolujemy całą wyspę, pieszo i w radiowozach. Zarządziłem nocne patrole. Pracujemy całą dobę.

– I mimo to nie potraficie złapać jakichś złośliwych dzieciaków.

– Gdybyśmy mieli do czynienia ze złośliwymi dzieciakami, złapałibyśmy ich. To jest zbyt sprytne, jak na nich. – Wstał, podszedł do wiszącej na ścianie mapy i wskazał palcem kilka punktów. – W każdym sektorze coś się wydarzyło. To oznacza, że ktokolwiek to robi, musi mieć samochód albo rower. A ramy czasowe obejmują całą dobę.

– Uważasz, że to nie jest jakiś złośliwy, znudzony dzieciak czy grupa dzieciaków, ale celowa próba przedstawienia wyspy w złym świetle?

– Coś w tym rodzaju. Zamierzam z tym skończyć, pani burmistrz. Ta wyspa to również mój dom.

Wracając na komisariat, Reed stwierdził, że nie może winić Hildy za jej gniew. On sam był pełen gniewu. Nie mógł jej winić za słabą wiarę w niego, bo uważał, że to właśnie był cel aktów wandalizmu. Uderzyć w każdy punkt na wyspie, myślał, zobaczyć, jak on zareaguje, ile czasu mu to zajmie, gdzie pojedzie i jak się tam dostanie.

To nie są znudzone dzieciaki, rozumował. To Hobart, która go śledziła.

Sprawdził biura wynajmu, pensjonaty i hotele. Nigdzie się nie zameldowała. A jednak znalazła sposób, żeby to obejść, ponieważ wiedział, że jest na wyspie. I że go śledzi.

Przebiegł wzrokiem treść ostatniego listu – czwartego. Tym razem była to



karta z wyrazami współczucia – po co być delikatną?

*Cieszysz się latem, dupku? Wyrzeź się na słońcu, bo spędzisz mnóstwo czasu w zimnie i ciemności. Nie przyjdę na twój pogrzeb, chociaż te wszystkie łzy byłyby rozkoszne! Ale wrócę i napluję na twój pieprzony grób.  
Szczęście mi dopisuje. Twoje się kończy. Czas umierać.*

*XXOO, Patricia*

Całkiem bezpośrednio zapowiedź, pomyślał, ale bardziej interesowały go niestaranne pismo i nacisk długopisu na papier. Tę kartę napisała pod wpływem silnych emocji i nie była już tak sprytna w przypadku wynajętego samochodu, którego użyła podczas ostatniego zabójstwa. Został odnaleziony dzięki GPS w ciągu godziny. Reed musiał zostawić federalnym wytropienie, czy z lotniska odjechała taksówką, czy autobusem, wynajęła lub kupiła następne auto. Może już na nią czekało na parkingu.

Jednak czymkolwiek wyjechała z Ohio, wjechała tym w Portland na pokład promu, a następnie na wyspę.

Bo Hobart była tutaj.

Pokojówce, która przychodziła dwa razy w tygodniu, Patricia otworzyła drzwi w szlafroku, z mokrymi włosami zaczesanymi do tyłu.

– O rany! Zaspaliśmy.

– Mogę przyjść później.

– Nie, nie, proszę. Wszystko w porządku. Nie chcielibyśmy komplikować ci pracy. Mój mąż nadal jest pod prysznicem, ale może mogłabyś zacząć na poddaszu? Poprosił mnie, żebym ci podziękowała za propozycję, że przynajmniej odkurzysz w jego pokoju, ale to niepotrzebne. – Przewróciła oczami. – Przysięgam, że on uważa swoją pracę za jakąś tajemnicę państwową czy coś podobnego. Pójdę się ubrać. Poczęstuj się kawą. Tęsknię za tym, żeby pozwolono mi choć na jedną filiżankę dziennie.

Poklepała się po brzuchu i z pokoju wypoczynkowego ruszyła do sypialni. Otworzyła drzwi i zanim zamknęła je za sobą, postarała się, żeby było słychać

szum prysznic, który zostawiła odkręcony.

Kiedy się ubierała – spodnie capri, różowy T-shirt i eleganckie buty trekkingowe – prowadziła rozmowę z nieistniejącą osobą, śmiejąc się od czasu do czasu, otwierając i zamykając szuflady oraz drzwi szafy.

Skontrolowała pokój – pościel zmięta po obu stronach łóżka, powieść szpiegowska i prawie pusty kieliszek wina na jednej szafce nocnej, romans historyczny i filiżanka z herbatą na drugiej. Męski pasek przewieszony przez oparcie krzesła. W łazience mokre ręczniki i dwie szczoteczki do zębów z wilgotnym włosiem. Męskie i damskie przybory toaletowe.

Zadowolona otworzyła drzwi i spojrzała przez ramię.

– Tak, Brett, idę! Działaj dalej. Idziemy na spacer, Kaylee – zawołała do dziewczyny. – Możesz już sprzątnąć sypialnię.

– Bawcie się dobrze!

– Och, na pewno będziemy. Uwielbiamy to miejsce. Wezmę tylko swoją butelkę wody i plecak, kochanie. Ach, ci mężczyźni! – rzuciła do pokojówki sprzątajacej tymczasem na poddaszu. – Są tacy niecierpliwi!

Wyszła z domu drzwiami z drugiej strony i postanowiła, że przespaceruje się w stronę domu, który, jak dowiedziała się z plotek, należał do komendanta policji.

Dla ciężarnej kobiety to długa droga, pomyślała z uśmiechem. Jednak czuła się na siłach, by ją pokonać.

Przez kilka następnych dni akty wandalizmu stały się rzadsze i wszyscy uznali, że chuliganom skończyły się wakacje i odpłynęli z wyspy.

Reed tego nie kupował.

– Ona nadal tu jest.

Reed popijał colę na tarasie, a zachodzące słońce w całym swoim pięknie zanurzało się w wodach zatoki.

– Jest wystarczająco inteligentna, żeby wiedzieć, że kręcąc się zbyt długo na wyspie, może być złapana przez dodatkowy patrol, ale wciąż nie wypada

z rytmu. – Odwrócił się do dwóch kobiet, które kochał. – Zróbcie mi przysługę, wsiądźcie rano na prom, wyjedźcie gdzieś.

– Ona cię nie zostawi – odparła CiCi. – Ja nie zostawię żadnego z was. Nie proś o coś takiego.

– Gdybyście byli gdzie indziej – Reed nie dawał za wygraną – we Florencji, w Nowym Jorku...

– Reed – przerwała mu Simone.

– Do diabła, pozostawanie tutaj oznacza, że muszę się o was martwić. Ona się przygotowuje. To cholerny zbieg okoliczności, że ona tu jest – a jest tutaj – kiedy zbliża się trzynasta rocznica DownEast. Dała to do zrozumienia w tej karcie. Moje szczęście się kończy, a jej dopisuje. Feralna trzynastka. Do rocznicy zostało mniej niż tydzień i nie chcę, żebyście mnie rozpraszały przez swój czysty, zacięty kobiecy upór. Stoicie mi na drodze. – Reed nie krzyczał, mówił rzeczowo i bez emocji, przez co każde jego słowo nabierało ostrości. – Dlatego skończcie z tym i pozwólcie mi wykonywać moją cholerną pracę.

– To też nie zadziała – oznajmiła CiCi, chłodno i spokojnie. – Próbując wywołać kłótnię, doprowadzając nas do szału, niczego nie zmienisz. Ale cholernie dobrze próbujesz.

– Posłuchaj, to nie jest...

– Już raz się ukryłam – wpadła mu w słowo Simone.

– Gówno prawda! – krzyknął teraz Reed, a Barney wczuł się pod stół. – Nie wciskaj mi tych bzdur.

– Ukryłam się. Nie mówię, że zachowałam się niewłaściwie, bo dobrze zrobiłam. Jednak teraz byłoby to niewłaściwe i odebrałoby mi wszystko, co zbudowałam przez lata.

– Simone. – Nie wiedząc, co począć, Reed zdjął czapkę i przeczesał włosy palcami. – Przysiągłem, że zapewnię bezpieczeństwo tobie i CiCi.

– Powiedziałaś, że chcesz rozpocząć ze mną życie. To jest nasze życie. Myślisz, że ona spróbuje... zrobić to dwudziestego drugiego?

Reed jeszcze raz spróbował spokojnej argumentacji.

– Tak. Myślę, że w ten sposób zatacza koło. Uważam, że bardzo dobrze wie, że ty i ja jesteśmy razem i jeśli uda jej się mnie wykończyć, poszuka ciebie. Nie ciebie pierwszą – podkreślił. – Nadal jesteś na liście wyżej ode mnie. I Hobart zechce wyeliminować największe zagrożenie. Jestem gliną i mam broń, ty nie. Gdybyście obie opuściły wyspę na czas do dwudziestego drugiego, nie musiałbym przy tym brać pod uwagę kwestii waszego bezpieczeństwa.

– Ja i CiCi nie będziemy bezpieczne, jeśli cię wyeliminuje. Nie pozwolisz na to. Nie pozwolisz na to – powtórzyła, wstając i podchodząc do niego – bo wiesz, że jeśli zabije ciebie, zabije mnie. Może nie teraz, ale prędzej czy później, ale ty jej nie pozwolisz. Wierzę w to, ufam, że tak będzie, absolutnie. Poza tym –

Simone ujęła w dłonie jego pełną frustracji twarz – mam zbyt wiele do zrobienia, żeby jechać do Florencji, Nowego Jorku czy gdziekolwiek. Mam pracę do wykonania, a poza tym przyszło mi do głowy, że dwudziesty trzeci to dobry moment, żeby się do ciebie wprowadzić. Muszę zapakować mnóstwo rzeczy.

Reed opuścił głowę i dotknął czołem jej czoła.

– To bardzo podstępny atak.

– Dwudziesty trzeci, Reed, bo do tego czasu będziesz musiał to zakończyć. Wprowadzam się. CiCi, przyjdiesz na kolację.

– Przyniosę szampana.

– Muszę zatrzymać tu swoje studio, dopóki Reed i ja nie dokończymy projektu i planów pracowni w... naszym domu.

– Zawsze masz tu swoje miejsce, moja bardzo mądra dziewczynko.

– Ten dzień, dwudziesty trzeci, będzie dla nas symboliczny – zwróciła się Simone do Reeda. – Będzie przypomnieniem, że cokolwiek straszego by się działo, jesteśmy razem.

– Sądzę, że to wymaga wielkiego dzbana sangrii.

Reed spojrzał na CiCi, kręcąc głową.

– Nie mogę. Muszę wracać do pracy. Zostań tutaj – powiedział do Simone. – Wrócę, jak tylko będę mógł. Chodź, Barney, z tymi dwiema do niczego nie

dojdziemy. Są ulepione z tej samej cholernej gliny.

– Właśnie dlatego nas kochasz – zawołała za nim CiCi, kiedy Reed wychodził. – Jestem z ciebie dumna, Simone.

– Jestem przerażona.

– Ja też.

Gdy Reed zakończył kolejny patrol, Patricia siedziała w swojej kwaterze wojennej, sącząc gin z tonikiem – z czasem coraz więcej ginu. Wylewanie do umywalki wydawało się marnotrawstwem. Poza tym gin stanowił miłą odmianę po szkockiej.

Dwa drinki – albo trzy – pomagały jej zasnąć. Jak miałyby spać bez niewielkiej pomocy, kiedy głowę miała wypełnioną myślami, umysł tak zajęty?

To nie było tak, jak u ojca – nie upijała się, prawda? Nie było jak u matki. Nie używała alkoholu, żeby popić pigułki. Po prostu potrzebowała niewielkiej pomocy, żeby uspokoić umysł. Nie ma w tym nic złego.

Zatem, sącząc gin, studiowała mapy, czas realizacji zadania, zdjęcia zrobione telefonem.

Fakt, że dwa najważniejsze obiekty jej ataku były parą zakochanych gołąbków, jednocześnie doprowadzał ją do wściekłości i zachwycał. Nie zasługiwali nawet na godzinę szczęścia. Z drugiej strony poderżnie gardło ich szczęściu i będzie patrzeć, jak się wykrwawia. A później – wciąż jeszcze miała trochę czasu – będzie przyglądać się tej suce i może ustrzeli dwa ptaszki jednym strzałem.

Patricia wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Jednak tę sukę, która zadzwoniła po gliny, zawsze zamierzała zabić jako ostatnią. Nadal miała na celowniku pół tuzina osób, w tym tę pindę policjantkę, która zastrzeliła JJ'a. Jednak sprawę miała zakończyć na małej dziwce, która się wtrąciła i schowała jak tchórz.

Dotarła tak daleko zgodnie z planem, a gliny i FBI kręcili się w kółko. Powinna trzymać się planu. Gdyby JJ trzymał się planu...

To nie była jego wina, pomyślała, niespokojnie uderzając się pięścią w udo,

chodząc po pokoju i popijając gin, chodząc i popijając. Simone Knox zabiła JJ'a, a ona tego nie zapomni.

A więc być może jeśli – i tylko jeśli – trafi jej się okazja, wykończy tę sukę wcześniej. Inaczej nie.

Wzięła pistolet i wycelowała w zdjęcie Reeda.

– Tylko ty i ja, dupku. A zabić cię? Tak, to złamie serduszko twojej małej kurewce, tej pindzie policjantce też. Rozkoszne łyzy. To mi bardzo odpowiada.

## ROZDZIAŁ 29

Czasem gin z tonikiem, krążenie po pokoju i planowanie nie działało. Żeby się rozluźnić, uspokoić burzę umysłu, Patricia pozwoliła sobie na ulubioną wieczorną rozrywkę.

W domku przy plaży, którego zaczęła nienawidzić – i który zamierzała doszczętnie spalić przed opuszczeniem wyspy – przy zamkniętych drzwiach i zasłoniętych oknach, sięgała po szkocką z lodem i włączała swoje wideo. Urzekało ją i bawiło, bez względu na to, jak często je oglądała.

Dobrze wyglądała! Cholernie dobrze. Dawno zniknęła ta gruba, pryszczata dziewczyna z brzydkimi włosami, która siedziała w swoim pokoju, oglądając telewizję i ucząc się hakowania komputerów. W rzeczy samej wyglądała fantastycznie, szczupła i wysportowana w czerwonej sukience, którą wybrała, bo kamera lubi ten kolor. „Świadomość własnego ciała”, tak to nazywają, rozmyślała, od nowa zaczynając oglądać film. Nieskazitelny makijaż, ale to była ona. Bez szkieł kontaktowych, które zmieniały kolor oczu, bez żadnych wkładek, bez peruki.

Cała Patricia.

Wyglądała lepiej niż ta dziennikarzyna, to na pewno. Była młodsza, silniejsza i, cholera, ładniejsza też. Może powinna była jeszcze trochę wygnieść garsonkę, którą McMullen miała na sobie. Wyglądała, jakby – ha, ha! – w niej spała.

To jednak nieważne. Patricia Hobart była gwiazdą, zgodnie ze swoim przeznaczeniem.

Nie było już dziewczyny, która marzyła, żeby być kimś ważnym, która leżała zwinięta w ciemności i wyobrażała sobie, jak zabija chłopaka, który nazywał ją

Tuczniakiem Patty, dziewczyn, które ukradły jej majtki i przypięły do rysunku słonia, matkę, dziadków, te idealne rodziny, które widywała w centrum handlowym.

Marzyła i marzyła, że ich zabije. Ich wszystkich.

Wszystkich.

Chrupiąc cebulowe chipsy ze śmietanową salsą (dobrze zasłużona nagroda, tylko ten jeden raz) słuchała siebie. Jak klarownie opowiedziała swoją historię, wyjaśniła światu, jak źle była traktowana i maltretowana. Rodzice, dziadkowie, nauczyciele, cholerne dzieciaki, które ją prześladowały. Zaśmiała się, jak zawsze, gdy doszła do fragmentu o tym, jak ten mały dupek spadł na głowę z roweru, który uszkodziła i rozwalił sobie twarz.

Żałowała, och, jak żałowała, że nie skręcił sobie karku.

Widzicie, jaka była mądra? Urodziła się mądrzejsza od wszystkich. Wideo tego dowodziło.

I proszę, z jaką fascynacją McMullen jej słuchała. Jaki podziw brzmi w jej głosie? Zrozumiała, że została zdeklasowana. Pojęła, jakiego umysłu, jakiej woli wymagało dokonanie tego wszystkiego, czego dokonała Patricia Hobart. Szkoda, że McMullen zaczęła paplać, pokazała, że jest tym, kim zawsze była. Jeszcze jedną oportunistką, która chce się wzbogacić i przechwalać się przed kamerami.

– Szkoda, że mnie wkurzyłaś – mruknęła Patricia, dolewając sobie szkockiej i przewijając film do sceny, w której ją zabija.

Jedyne, czego tu żałuje? Nie pomyślała, żeby stanąć w zasięgu kamery. Cieszyłoby ją oglądanie, jak unosi broń i strzela. Jednak McMullen jej to zrekompensowała, znów ją rozbawiła.

– Oto jest, zaszokowana twarz i pif-paf, pif-paf, pif-paf. – Rycząc ze śmiechu, sięgnęła znów po chipsy. – Gadanie o słupkach oglądalności! Ale nie dla ciebie.

Nie, nie dla ciebie, pomyślała, wracając do początku i wybierając kolejny fragment. Ten, w którym to ona była gwiazdą, opowiadającą przekłętymu światu, że zanim ukończyła piętnaście lat, miała inteligencję, umiejętności



i cholerną wizję, aby zaplanować masakrę z użyciem broni palnej tak wielką, jak ta w centrum handlowym DownEast.

Obejrzała ten fragment od nowa i jeszcze raz, kiwając głową, zadowolona z przejrzystości swojej opowieści, z aprobatą przyjmując to, co uważała za wyraz oszołomienia i podziwu na twarzy McMullen.

Tutaj, ledwie dwa kilometry od domu Reeda, włamała się na jakieś gówniane konto na Facebooku w Nashville i dołączyła wideo do jego strony.

To na początek, pomyślała i stwierdziła, że zasługuje na kolejnego drinka. Po dwudziestu sekundach, po tym, jak – znów się roześmiała – zastrzeli szeryfa, wysłała film do pieprzonego FBI.

Z zadowoleniem spojrzała na zdjęcia przypięte do ściany i wyciągnęła palec.

– A potem, okularniku Chazie Bergmanie, pora na ciebie. – Uniosła szklanke szkockiej, żeby wznieść za niego toast. – Nowy Jorku, oto nadchodzę.

Włączyła wideo i zaczęła oglądać je od początku.

– Tak się cieszę, że jesteś. – Simone przytuliła Mi, witając ją w swojej pracowni. – Szkoda, że musisz tak szybko wyjechać. Jeden dzień to za mało.

– Zobaczymy się we wrześniu na ślubie Nari. Przyjedziecie z CiCi. Zabierzesz Reeda.

– Zabiorę. A potem ty przyjedziesz w październiku na ślub Nat.

– Oczywiście. A w grudniu na wielki jubel u CiCi. Raz, dwa i trzy. Ale... Jeszcze raz cię proszę – wyjedź ze mną, Sim. Ty i CiCi pojedźcie ze mną na kilka dni do Bostonu.

– Wiesz, dlaczego nie mogę tego zrobić. Reed nie powinien był cię prosić, żebyś mnie przekonała.

– On cię kocha. Ja też.

– Wiem. Dlatego cię prosił i dlatego przyjechałaś. Ja też go kocham, więc muszę zostać. I kocham ciebie, więc musisz wyjechać.

– To by mnie nie zmusiło, ale Reed kazał mi przysiąc, że wsiądę na prom z tobą albo bez ciebie. – Mi, sfrustrowana, wcisnęła ręce do kieszeni. – Nie

powinnam była dawać mu słowa. Jutro jest dwudziesty drugi. Dlaczego jej to nie wystarczyło, Sim? Cała ta śmierć, którą spowodował jej brat, nie wystarczyła.

– To ona od początku za tym stała. Myślę, że on był tylko wadliwą bronią. Reed mówi, że zaczęła popełniać błędy. Jezu, Mi, dołączyła wideo do strony na Facebooku. Tak bardzo pragnie uwagi, że zaryzykowała zhakowanie konta i wysłała ten film.

– Jednak jej nie wytropili.

– Zrobią to. Ale Reed ją powstrzyma, bez względu na to, czy ją wytropią, czy nie.

– Zawsze myślałam, że tylko w CiCi będziesz wierzyć tak bardzo, jak wierzysz w niego.

– I w ciebie.

– Trzydzieści lat – powiedziała Mi z westchnieniem, odwracając się do półek, na których znajdowały się twarze ofiar. – To, co tu robisz, znaczy tak wiele. Ludzie zapominają, wydarza się następny koszmar i kolejny. A jednak po żalu i oburzeniu ludzie zapominają. Nikt nie będzie mógł zapomnieć, widząc to, co teraz robisz.

– Ja próbowałam zapomnieć.

– Jednak ci się nie udało. A Tiffany? – Mi ostrożnie zdjęła popiersie z półki. – Nadal tu jest.

– Żeby mi przypominać, że wszyscy, którzy przetrwali masakrę dwudziestego drugiego, noszą blizny. Jednak przetrwaliśmy, Mi. Możemy pamiętać tych, którzy nie zdołali, a jednak cenić sobie nasze życie. Nie było intencją Tiffany obdarować mnie tą wiedzą, ale to zrobiła. Dlatego zachowam jej twarz w swojej pracowni jako podziękowanie.

Mi odstawiła popiersie na miejsce.

– Nie zrobiłaś Tish.

– Chcę ją zrobić na końcu. Znaczy dla mnie więcej niż ktokolwiek inny, więc muszę zakończyć nią.

– Wciąż za nią tęsknię. Zrobisz mi uprzejmość? Nie, nie zamierzam zmuszać

cię do wyjazdu – powiedziała szybko Mi, gdy Simone zeszywniała. – Kiedy będziesz gotowa zacząć rzeźbić Tish, pozwolisz mi przyjechać? Wiem, że nie lubisz koło siebie nikogo, kiedy pracujesz, ale chciałabym tu być.

– Mogę zrobić jeszcze lepiej. Kiedy będę gotowa, pomożesz mi. Zrobimy to razem.

– Zawsze mówiłaś, że jak na artystkę, jestem dobrym naukowcem.

– Bo to prawda. – Simone uśmiechnęła się. – Jednak zrobimy to razem. Teraz cię stąd wykopuję, żebyś się nie spóźniła na prom.

– Jeśli coś ci się stanie...

– Myśl pozytywnie. – Simone wzięła Mi za rękę i poprowadziła do drzwi.

– Może jej tu nie ma, może nie ma jej na wyspie. To optymistyczna negacja.

Kiedy schodziły na dół, CiCi wyszła ze swojej pracowni.

– Słońce już zachodzi. Co powiecie na drinka, żeby uczcić koniec dnia?

– Mi musi już jechać.

– Mogłabym zostać na drinka.

– I spóźnić się na prom.

– Popłynę następnym.

– Przeciągasz strunę – zauważyła Simone. – Pamiętaj, że dałaś słowo.

– Nie powinnam była. – Zła na siebie Mi podniosła torebkę. Po telefonie od Reeda złapała pierwszy samolot, nawet nie wzięła bagażu. Teraz westchnęła. –

Myślał, że po prostu do ciebie zadzwonię, a kiedy powiedziałam, że przylecę, wywarł na mnie presję. Jest przebiegły i inteligentny. Naprawdę go lubię, Simone. Naprawdę lubię.

– Ja też. Kiedy tu wrócisz, będziesz miała więcej czasu, żeby go poznać. Pokażemy ci dom i plany mojej pracowni, które zdążymy wtedy dokończyć. Będzie więcej czasu – dodała, odprowadzając Mi do wyjścia.

– Chcę, żebyś jutro wysyłała mi esemesy. Co godzinę.

– Jeśli tak będzie trzeba.

– Będziemy na siebie uważać. – CiCi ucałowała Mi na pożegnanie. – Wracaj szybko.

– Mam wrażenie, że cię porzucam – powiedziała Mi, gdy Simone odprowadziła ją do samochodu wynajętego w Portland.

– Nie porzucasz. Polegasz na mnie. Ta wyspa zawsze dawała mi schronienie, kiedy go potrzebowałam. To się nie zmieni. Napisz mi esemes, kiedy wylądujesz w Bostonie.

– A jutro ty – co godzinę, Sim.

– Obiecuję.

Simone przez chwilę patrzyła za odjeżdżającą Mi, a potem ruszyła do domu. Dostrzegła ruch, przystanęła i zobaczyła kobietę niepewnie idącą pustą drogą.

– Czy mogę jakoś pomóc? – zapytała.

– Och, nie. Przepraszam. Po prostu podziwiałam dom. Jest taki piękny. Wyjątkowy. – Kobieta położyła dłoń na wypukłości ciężowego brzucha i poprawiła słoneczne okulary. – Jestem ciekawska – powiedziała z nieśmiałym uśmiechem. – W miasteczku słyszałam, że mieszkają tu sławne artystki i chciałam zobaczyć ten dom z bliska. Widziałam go z plaży. Pani jest tą sławną artystką? CiCi Lennon, powiedziała mi pani z galerii.

Latem zdarzało się to kilka razy – jakiś turysta przechodził tędy, często robiąc zdjęcie domu i mając nadzieję, że uda mu się przy tym uchwycić CiCi Lennon. Dlatego Simone uśmiechnęła się.

– To moja babcia – powiedziała.

Jasne włosy, odnotowała, i kapelusz z szerokim rondem. Plecak, drogie buty trekkingowe, różowy T-shirt z napisem W ODMIENNYM STANIE i opalone, umięśnione nogi w szortach khaki.

– Mój mąż na pewno zna jej prace, Brett jest wielbicielem sztuki. Nie mogę się doczekać, żeby mu o tym powiedzieć. Przyjechaliśmy tu na kilka tygodni na wakacje, z Columbus.

Nie, pomyślała Simone, bo jak na Ohio, miała zbyt wiele akcentu z Maine. Columbus – tam, gdzie został zastrzelony jeden z ocalałych, i skąd pochodził stempel pocztowy na ostatnim liście.

– Mam nadzieję, że miło spędzacie tu czas. – Simone zrobiła krok w kierunku

domu. Teraz to spostrzegła pomimo ciemnych okularów, kapelusza, zaokrąglonego brzucha. Ujrzała to w linii szczęki, profilu, kształcie uszu. Znała się na twarzach.

– Och, bardzo. To nasze wakacje przed narodzinami dziecka! Czy pani też tu mieszka?

– Wyspa to mój dom. – Kolejny krok w tył, jeszcze jeden, sięgnięcie do klamki.

Znała się na twarzach, pomyślała znowu i dostrzegła zmianę. W ułamku sekundy rozpoznały się obie.

Gdy Patricia sięgnęła do plecaka, Simone wpadła do domu. Zamknęła za sobą drzwi i skoczyła w stronę oszołomionej CiCi.

– Uciekaj – rzuciła.

Reed przekazał swoim ludziom ostatnie informacje i podziękował parze agentów FBI, których przysłała do niego Jacoby. Potem wyszedł, żeby obejść miasteczko i plażę. Zamierzał wrócić do domu pieszo, starając się być widocznym. Może, tylko może, uda mu się wywabić Hobart z ukrycia, pomyślał.

Przez witrynę biura Island Rentals zobaczył Bess Trix i postanowił jeszcze raz tu zajrzeć.

– Dzień dobry, komendancie, cześć, Barney. – Bess pokręciła głową. – Odpowiedź nadal jest ta sama. Kaylee może to potwierdzić. Sprząta wiele domków i chat. Razem z Hester nadzorują resztę ekipy pokojówek.

– Dobrze, spróbujmy inaczej. Czy miałaś tu kogokolwiek – poza rodzinami, ludźmi z dziećmi – kto wydał ci się dziwny? Albo że któraś z pokojówek powiedziała ci, że coś ją zaskoczyło?

Kaylee przewróciła oczami i pochyliła się, żeby pogłaskać Barneya.

– Komendancie, gdybym zaczęła mówić o dziwactwach letników, rozmawialibyśmy do następnego wtorku. W Windsurf jest czworo przyjaciół, którzy płacą za sprzątanie trzy razy w tygodniu i cholernie dobrze wiem, że równie często wymieniają się partnerami.

– Och, przestań, Kaylee.

– Klnę się na Boga, Bess. Możesz zapytać Hester, sprzątam tam obie. – Okręciła koniec warkocza wokół palca i zaczęła opowiadać. – Jest też para bliska osiemdziesiątki, która codziennie żłopie na spólkę całą butelkę wódki. Jest facet, który jeden pokój ma stale zamknięty na klucz i zasłonięte okna. Żona mówi, że to jego biuro i zastanawiam się, co za pracę ten facet wykonuje, że musi wszystko zamykać.

– Drzwi do tego pokoju zamyka na klucz?

– Komendancie, pan też ma w domu miejsca, do których nie wolno wchodzić.

– Ja nie zamykam ich na klucz – odparł Reed.

– Chyba ma pan większe zaufanie, że ja – i Hester też – nie będziemy tam zaglądać.

– Ale on zamyka drzwi – powtórzył Reed.

– Tak, i wygląda na to, że bardzo dużo pracuje. To mu nie przeszkadza tankować dużych ilości szkockiej i ginu – i to drogich. I jeszcze wina i piwa.

– Jest sam?

– Z żoną. I na dodatek powiem, że ma też ładną, młodą żonę, ale się nie przytulali – jeśli pan wie, co mam na myśli – odkąd tu przyjechali. Kiedy się zmienia pościel, to się wie.

– Kaylee.

– No cóż, on pyta o dziwne rzeczy, to mówię, Bess, a to jest dziwne. Człowiek się zastanawia, jak ta żona zaszła w ciążę. Wrzuca do kosza czyste ubrania, co jest lepiej niż u tej grupy w...

– Zostańmy przy tej parze w... Gdzie mieszka ta kobieta i jej tajemniczy mąż?

– Och, w Serenity. To tam dalej. Mają piękny widok z tarasu na poddaszu, ale trochę daleko do plaż i miasteczka.

– Niektórzy lubią ciszę i prywatność – zauważyła Bess.

– Niektórzy tak. On lubi wędrówki i zmusza tę biedną kobietę, żeby z nim chodziła. A kiedy nie ciągnie jej na spacer, siedzi zamknięty w swoim biurze.

Przynajmniej w te dni, kiedy przychodzę sprzątać.

– Jak on wygląda? – zapytał Reed.

– Ja... – Kaylee znów owinęła sobie palec końcem warkocza i zmarszczyła brwi. – Teraz, kiedy pan pyta, trudno mi powiedzieć. Nigdy na niego nie spojrzałam.

Reed poczuł, jak napinają mu się wszystkie mięśnie pleców.

– Nigdy go nie widziałaś?

– Skoro pan pyta, muszę przyznać, że nie. Sądzę, że to też jest dziwne. Ile razy przychodzę, jest albo pod prysznicem, albo w sypialni. A potem oboje wychodzą na spacer. Zawsze zaczynam sprzątanie od poddasza. I kończę, zanim zdążą wrócić.

– Wyciągnij rejestr rezerwacji – powiedział Reed do Bess. – Spotkałaś go? – zapytał.

– Nie sądę. Dokonał rezerwacji przez internet. Jeśli dobrze pamiętam, ona odebrała klucze i pakiet powitalny, bo on miał dojechać za kilka dni. Widywałam ją tutaj, ale... Jest. Brett i Susan Breen, z Cambridge w stanie Massachusetts.

– Tak sobie myślę, że to też jest dziwne – odezwała się Kaylee. – Ich samochód, ładny srebrny SUV, ma tablice rejestracyjne z Ohio.

– Podaj mi markę, model i rocznik – zażądał Reed.

– Skąd mam wiedzieć?

– Nie znam rocznika – wtrąciła Bess. – Ale to lincoln. Mój brat ma taki. Widziałam to auto, kiedy przyjechała. Jest srebrne, tak jak powiedziała Kaylee, i chyba całkiem nowe.

– Opisz ją – ostro rzucił Reed do Kaylee.

– Och, jest młoda i ładna, a przynajmniej ładnie umalowana. Nigdy nie widziałam jej bez makijażu, nawet kiedy włosy miała jeszcze mokre po prysznicu. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia sześć lat czy coś koło tego. Jasne włosy i chyba jest mojego wzrostu. Myślę, że ma niebieskie oczy, ale jej też się nie przyjrzałam. Jak mówiłam, wychodzą na spacer, kiedy tam sprzątam.

Jest w ciąży, to pewne.

Niekoniecznie, pomyślał Reed.

Wyciągnął wizytówkę.

– Zadzwoń pod ten numer i powiedz agentce specjalnej Jacoby, że muszę mieć wszystkie informacje o tych ludziach.

– Mam dzwonić do FBI?

– Natychmiast.

Wybiegł z biura i chwycił policyjne radio.

– Matty, chyba coś mam. Chcę, żebyście ty i Cecil spotkali się ze mną w domku Serenity przy plaży. Nie podchodźcie blisko. Tylko obserwujcie. Wezmę swój samochód i zaraz przyjadę.

Znalazł się tam przed nimi. Na podjeździe nie było samochodu, z zapadającym zmierzchu nie dostrzegł żadnych świateł. Okrążając dom, spuścił psa ze smyczy. Chciał, żeby Barney mógł uciec w razie problemów.

Zajrzał przez okna do dużego pokoju, otwartej strefy wypoczynkowej, kuchni, jadalni. Para męskich – jak sugerował rozmiar – butów trekkingowych stała przy drzwiach. Zabawne, pomyślał. Człowiek, który stale chodził na wycieczki, powinien mieć bardziej znoszone buty. Te wyglądały jak świeżo wyjęte z pudełka.

Jeden talerz i jedna szklanka stały na blacie przy zlewie.

Reed spróbował otworzyć drzwi – były zamknięte.

Podszedł do okien sypialni. Znów pojedyncza szklanka przy jednym boku łóżka i poduszki podparte tylko na jednej jego połowie. Na drzwiach do łazienki wisiał tylko jeden ręcznik. Drzwi sypialni wychodzące na mały taras również były zamknięte na klucz.

Reed ruszył do okien łazienki – zamkniętych – ale przez szybę dostrzegł mnóstwo kosmetyków do makijażu rozrzuconych na toaletce i podwójną umywalkę, przy której z jednej strony piętrzyły się męskie przybory toaletowe.

– Urządziłaś niezłe przedstawienie, Patricio, ale nie dość dobre.

Sprawdził jeszcze tylne wejście, by się przekonać, że jest zamknięte, po czym



obszedł dom do okien drugiej sypialni. Zobaczył opuszczone ciemne rolety i spróbował otworzyć okna – bez powodzenia.

Gdy sięgnął do kieszeni po scyzoryk, usłyszał, że podjeżdżają jego zastępcy.

– Ogłóście poszukiwania srebrnego SUV-a lincolna – rozkazał. – Tablice rejestracyjne z Ohio. I blondynka, młoda, dwadzieścia kilka lat, wygląda, jakby była w ciąży. Idźcie przed dom od frontu i zróbcie to.

Matty uważnie przyjrzała się Reedowi, a potem zasłoniętym oknom.

– Chcesz się włamać przez okno, szefie?

– Obejdź dom od frontu, zastępczyni!

Kobieta wyjęła z kieszeni ciężkie, uniwersalne narzędzie.

– Tym zrobimy to lepiej i szybciej niż twoim marnym scyzorykiem. Czy ta, która wygląda, jakby była w ciąży, to Hobart?

– Przekonamy się. – Reed wziął od niej narzędzie.

– O cholera. Włamiemy się i wejdziemy do środka?

Nie oglądając się na Cecila, Reed zajął się oknem.

– Ogłóście też poszukiwania. Jeśli się mylę, będziemy winni przeprosiny kobiecie w ciąży i jej paranoicznemu mężowi. Jeśli nie, i tak będę musiał się gęsto tłumaczyć z wtargnięcia bez nakazu.

– Chyba że włamiesz się niedbale. Kiedy tu przyjechaliśmy, to okno było już otwarte – spokojnie odparła Matty. – A roleta uchylona na tyle, że można było zajrzeć do środka. Nie ma śladów włamania, nie ma problemu.

Reed uchylił okno na kilka centymetrów i podniósł roletę.

– Jasna cholera – powiedziała Matty, kiedy zajrzała do środka razem z Reedem.

– Cecilu! Podejrzana to Patricia Hobart. Jest uzbrojona i niebezpieczna. Chcę, żeby zamknięto prom.

– Zamknięto?

– Nie opuści wyspy, dopóki jej nie przeszukam. Matty, niech trzej ludzie pilnują tego domku – z ukrycia. Nick, Cecil i... Lorraine, jest dobra. Bierzcie się do tego. Reszta z nas, razem z kolegami z FBI, ruszy w pościg.

Reed wyciągnął radio, żeby zacząć koordynować akcję, gdy zadzwonił jego telefon.

– Simone, chcę, żebyś...

– Ona tu jest, u CiCi. – Jej głos, zdyszany ze strachu, zmroził mu krew w żyłach. – Widziałam ją. Ma jasne włosy i sztuczny ciężowy brzuch. Jest... – Reed słyszał wiatr, szum fal uderzających o brzeg, i strach w zdyszonym głosie Simone.

– Gdzie jesteś?

– Uciekam. Na plażę, między skały. Słyszałam pękającą szybę, ale ona jeszcze się nie pokazała. Musisz się pospieszyć.

– Ukryj się i nie ruszaj, bądź cicho. Ona jest w domu CiCi – powiedział, biegnąc do samochodu. – Niech wszyscy tam jadą. Nick i Lorraine zostają tutaj, na wypadek, gdyby nam się wymknęła. Zamknijcie ten pieprzony prom!

Jakby wyczuwając nagłą sytuację i kłopoty, Barney wskoczył przez otwarte okno od strony pasażera, ale po raz pierwszy nie wystawił przez nie głowy.

CiCi omal nie upadła, kiedy zbliżały się do plaży.

– Jesteś ode mnie szybsza. Biegnij, dziecko. Biegnij.

– Oszczędzaj oddech. Musimy tylko dostać się do skał, ukryć się za nimi. – Simone zaryzykowała spojrzenie w tył. – Będzie myślała, że jesteśmy w domu. Najpierw musi sprawdzić dom.

Chyba że wyjrzy przez wielkie okna. Simone mocno ścisnęła w dłoni kuchenny nóż, który chwyciła podczas ucieczki. Biegnij, powtarzała w myślach, ukryj się. A kiedy nie będzie wyboru – walcz.

Dotarły do skał i przykucnęły za nimi. Woda zalewała im buty, zimne fale sięgały ponad kostki, uderzały w łydki.

– Reed jest już w drodze.

– Wiem, kochanie. – CiCi z trudem próbowała spokojnie oddychać. – Wydostałaś nas bezpiecznie z domu, a on już jedzie. Nadciąga przypyływ.

– Jesteśmy silnymi pływaczkami. Być może będziemy musiały płynąć. Ona

może zobaczyć ślady naszych stóp na piasku.

Teraz już spokojniejsza i zdecydowana zachować spokój, CiCi pokręciła głową.

– Robi się ciemno i trudniej będzie je dostrzec. Jeśli je widzi, jeśli ruszy na plażę, chcę, żebyś popłynęła w stronę miasteczka. A teraz posłuchaj – powiedziała, gdy Simone pokręciła głową. – Mam za sobą całe życie i w pełni je wykorzystałam. Zrób to, co ci mówię.

– Utoniemy albo popłyniemy razem. – Simone wychyliła głowę, żeby zerknąć ponad skałę, i znów się ukryła. – Jest na tarasie. Trzymaj się blisko skał. Słońce zachodzi i jeszcze nie wyszedł księżyc. Ona nie może nas widzieć.

Woda sięgała im już do kolan, fale przyboju szarpały nimi z coraz większą siłą.

Reed dostrzegł SUV-a czterysta metrów od domu CiCi i wziął zakręt z taką prędkością, że opony jego auta zapiszczały prawie tak głośno, jak syrena, którą włączył.

Słyszysz to, Patricio? Jadę po ciebie.

Słyszała to, ale już zaczęła schodzić po stopniach na plażę. Ta suka zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście, pomyślała w przebłysku paniki. Zatoczyła, cholera, pełne koło. Patricia rozważyła ewentualność ucieczki – mogłaby spróbować przedostać się do samochodu – jednak szanse na to były niewielkie.

Może nie powinna była pozwolić sobie na drinka, zanim poszła do domu tej starej hipiski, zwariowanej malarki. Teraz musiała to przyznać. I może nie powinna była tam stać i obserwować tej suki i jej przyjaciółki Azjatki. Sposób, w jaki się obejmowały i całowały, wywoływał w niej obrzydzenie. Lesbijki, bez dwóch zdań.

Nie powinna była zaczynać rozmowy z cholerną Simone Knox, zbliżać się tak bardzo do domu, ale została przyłapana.

Była tak blisko, tak bardzo blisko. Pif-paf i nie żyjesz.

Przedwcześnie, pomyślała. Tak jak JJ.

Nie było sensu teraz się tym martwić. Musi być mądra, jak zawsze, i po prostu dokończyć to odrobinę wcześniej, niż planowała.

Gdy się ściemniło, Patricia cofnęła się w kierunku wzniesienia. Ukryje się za nim, dopóki gliny – oby Quartermaine był wśród nich – nie zejda przynajmniej do połowy schodów. Wykończy tych niedorobionych wyspiarskich gliniarzy aż do ostatniego.

Wykończy ich, myślała, a potem, wyrzuciwszy fałszywy brzuch, żeby mieć swobodę ruchów, pod osłoną ciemności przedostanie się do wody. Popłynie do mariny i ukradnie łódź. Przybije do brzegu gdzieś na wybrzeżu i zwinie samochód. Będzie musiała dostać się do jednej ze skrytek bankowych, żeby zabrać gotówkę i dowody tożsamości, a także nową broń, ale jakoś znajdzie na to sposób.

Zawsze umiała znaleźć sposób.

I pewnego dnia wróci po sukę, która to spowodowała. Która to wszystko spowodowała.

Patricia przyjrzała się skałom i pomyślała, czy dałaby radę przedostać się do nich, zanim dotrą tu gliny. I czy ta suka i stara zwariowana hipiska tam się ukrywają.

Zebrała się do biegu i usłyszała, że syreny zamilkły.

– Muszę wyjrzeć jeszcze raz – szepnęła Simone. – Muszę się rozejrzeć.

– Na pewno słyszała syreny. Z pewnością wie, że Reed tu jedzie.

– Muszę zobaczyć.

Simone uniosła się, wytyżając wzrok w zapadającej ciemności. W tej wąskiej przestrzeni pomiędzy nocą a dniem nie było księżycy ani gwiazd.

Wtedy zobaczyła, jak Reed wchodzi na taras z wyciągniętą bronią, celując w prawo, w lewo i jeszcze raz w prawo. Z ulgą wypuściła powietrze z płuc, lecz nagle znów wstrzymała oddech, bo spostrzegła ruch poniżej domu.

– Do diabła, co tam się dzieje? – CiCi wychyliła się obok niej. – Dzięki bogom i boginiom, już jest nasz bohater.

– Nie widzi jej. Idzie tu do nas, ale jej nie widzi.

– Co robisz? Simone, na miłość boską...

Simone wdrapała się na skały i zrzuciła buty, bo fala przyboju próbowała ściągnąć ją w tył. Uklękła i zawołała Reeda.

Wszystko stało się błyskawicznie, chociaż potem nieskończenie wiele razy odtwarzał to w myślach w zwolnionym tempie. Poprzez szum wody usłyszał Simone i zobaczył ją – sylwetkę klęczącą na skale. Mimo że machała rękami i coś wskazywała, Barney zaszczekał radośnie i pognał po schodach na plażę.

Na dole Barney spojrzał w prawo, przywarował w obronnej pozie i zadrżał.

Patricia wystąpiła zza skały i obróciła się w lewo, żeby oddać strzał.

Reed strzelił pierwszy. Jej pocisk drasnął mu ramię, tuż nad starą blizną. On trafił ją trzy razy, w sam środek ciała.

Zszedł w dół z bronią wciąż wycelowaną w Patricię i odkopnął jej pistolet od miejsca, w którym wypuściła go z ręki.

Przytomna, ciężko dysząc, wpatrywała się w niego błękitnymi oczami pełnymi wściekłości i bólu.

– Nie umieraj mi tu, Patricio. Zadzwońcie po karetkę! – zawołał, gdy jego podwładni wpadli na taras, a kolejni, zgodnie z rozkazem, nadbiegli od północnej części plaży.

– Podejrzana unieszkodliwiona. Jest ranna. Niech kilku z was zaprowadzi Simone i CiCi do domu, żeby mogły się ogrzać i wysuszyć.

– Szefie. – Matty stanęła przy nim, kiedy Reed ukląkł i przycisnął opatrunek do rany w klatce piersiowej Patricii. – Jesteś ranny.

– To nic wielkiego. Wiem, jak to wygląda. Tylko mnie drasnęła. Dzięki mojej dziewczynie i cholernemu matołowi psu tylko mnie drasnęła. Oddychaj, Patricio. Chcę móc rozmyślać o tym, jak odsiadujesz w celi wszystkie kolejne dożywocia. Oddychaj.

– Reed.

Podniósł wzrok na Simone i CiCi, obie blade, z podkrążonymi oczami, drżące.

– Chcę, żebyście poszły na górę i włożyły suche ubrania. Kiedy będziecie mogły, złożycie zeznania Matty i Leonowi. Osobno. Przyjdę do was, jak tylko będę mógł. Teraz nie ma się czym martwić.

Reed chciał objąć je obie i przytulić, ale nie rękami pokrytymi krwią.

– Postrzeliła cię. Ona...

– Zmuszasz mnie, żebym to powtórzył. To tylko powierzchowna rana. Nic mi nie jest. CiCi musi się ogrzać i wysuszyć. Zabierz Barneya, dobrze? On też jest trochę wstrząśnięty.

– Przyjechała karetka. – Cecil zbiegł na dół. – Już tu idą.

– Dobrze. Cecilu, chcę, żebyś odpiął mi kaburę i zatrzymał moją broń do czasu, aż będziemy mieli wszystkie zeznania. Matty przejmuje moje obowiązki dopóki sprawa nie zostanie w pełni wyjaśniona.

– Odmawiam, panie komendancie.

– Cecilu, takie są procedury.

– Nie zrobię tego. Możesz mnie zwolnić z pracy, ale tego nie zrobię.

– Mnie też będzie musiał zwolnić – wtrąciła Matty. – I resztę z nas, bo nikt go nie posłucha.

– No dobrze. – Reed wstał i odszedł na bok, kiedy ratownicy medyczni przystąpili do działania.

## ROZDZIAŁ 30

**M**imo że Matty potwierdziła relację Simone jako naocznego świadka, ponieważ znajdowała się dziesięć kroków za Reedem, on sam złożył zeznanie przed Leonem.

– Muszę cię prosić, żebyś zabrał moją broń.

– Nie.

– Zastępco Wendall, muszę cię prosić, żebyś odebrał broń, z której strzelałem, żebyśmy mogli zachować procedury i łańcuch dowodowy. Nie domagam się, żebyś przejął dowodzenie, tylko zabrał broń, umieścił w torebce na dowody rzeczowe, zamknął ją i oznakował. Mam zapasowy pistolet w kaburze na kostce, który noszę od Memorial Day.

Leon zastanowił się, pocierając podbródek.

– Zgoda. Musisz opatrzyć to ramię, szefie.

Reed złożył zeznanie przed federalnymi, podczas gdy jeden z lekarzy z wyspy zszywał mu ranę w kuchni CiCi.

Ponieważ rejs promu został wstrzymany, Mi wróciła do nich i teraz trzy kobiety siedziały razem, nie próbując się stamtąd ruszyć, a wokół nich technicy badali miejsce zbrodni.

Weszła Jacoby i usiadła naprzeciw Reeda.

– Tranquility Island [20](#), co?

Reed uśmiechnął się.

– Zazwyczaj. Są jakieś wiadomości o stanie Hobart?

– Zabrali ją helikopterem do Portland. Wasza klinika nie ma odpowiedniego wyposażenia, żeby przyjąć kogoś w tak ciężkim stanie. Teraz jest na sali

operacyjnej. Poprosiłam twoją dawną partnerkę, żeby współpracowała z nami po tamtej stronie zatoki. Chce, żebyś się do niej odezwał, kiedy znajdziesz wolną chwilę. Poprosiła, żebym ci przekazała, że skontaktuje się z twoją rodziną. Da im znać, że nic ci się nie stało.

– Jesteś w porządku jak na federalną. Mój zastępca, Leon Wendall, ma broń, której użyłem – zabezpieczoną i oznakowaną jako dowód rzeczowy. Oddałem z niej trzy strzały. Chcesz, żebym ci to wszystko powtórzył?

– Nie, mam twoje zeznanie. Pracujemy nad domkiem letniskowym, który Hobart wynajęła, i nad jej samochodem. Jeśli przeżyje i dojdzie do procesu, będziemy mieli wszystkie dowody. Chyba że ma gdzieś ukryte inne zapasy. Wygląda na to, że zostało jej niewiele dowodów tożsamości. W tym domku znaleźliśmy tylko kilka. To jasne, że odkąd ją postrzeliliś – za pierwszym razem – coraz mniej panowała nad sytuacją. Jeszcze porozmawiamy, ale chcę powiedzieć... – Jacoby wstała i wyciągnęła do niego rękę. – Praca z tobą to była przyjemność, komendancie.

– Dla mnie też była to przyjemność, agentko specjalna.

Ponieważ Matty nie chciała przejąć jego obowiązków, Reed koordynował pracę swoich zastępców i rozmawiał z panią burmistrz, która przybiegła do nich w różowej koszulce z falbankami i spodniach piżamowych z wzorem w rozgwieżdżony. Spotkał się również z wydawcą *Biuletynu Tranquility*.

Będzie jeszcze musiał wydać oficjalne oświadczenie i poradzić sobie z reporterami, którzy przypląną na wyspę, ale to może poczekać.

Essie uspokoiła jego rodzinę, więc z nimi wszystkimi też porozmawia trochę później.

Zostawiwszy to wszystko na razie na boku, Reed podszedł i usiadł na stoliku kawowym naprzeciw Simone, CiCi i Mi.

– Jak się czujecie?

Najpierw oparł dłoń na kolanie CiCi.

– Czułabym się lepiej, gdybym mogła sztachnąć się kilka razy, ale czekam, aż



gliny się wyniosą, żeby nie postawić komendanta policji w trudnej sytuacji.

– Jestem ci wdzięczny. Przepraszam, że nie przyjechałem szybciej. Przepraszam, że nie znalazłem jej, zanim...

– Zamknij się. Zamknij się... – Simone objęła dłońmi jego twarz i przycisnęła usta do jego ust, wkładając w ten pocałunek całe serce. – Zrobiłeś dokładnie to, co obiecałeś. Ja też. Więc się zamknij.

– Dam wam whiskey – oznajmiła CiCi.

– Na razie będę musiał poprzestać na kawie. Jestem na służbie.

– Ja ją zaparzę, ty siedź. – Mi pogładziła CiCi po ramieniu, wstała, a potem pochyliła się i objęła Reeda za szyję. I tak go trzymała. – One są moją rodziną – powiedziała. – Teraz i ty nią jesteś. – Wyprostowała się i ruszyła do kuchni.

– Te dziewczyny traktują mnie jak starszą panią – poskarżyła się CiCi. – A to mi się nie podoba, więc nie zachowuj się tak samo. Kiedy ci gliniarze – z wyjątkiem tu obecnego – wyniosą się z mojego domu?

– To nie potrwa długo. – Reed spojrział na rozbite szklane drzwi. – Zabijemy je deskami.

CiCi skinęła głową.

– Mi chce zadzwonić do swojej rodziny. Wieści o wszystkim już się rozchodzą, a ponieważ im nie powiedziała, że tu jedzie, będą martwić się o mnie i Simone. Tulip też, i Ward, i Natalie.

– Możecie zadzwonić do swoich bliskich.

– A więc pójdę po whiskey i to zrobię. – CiCi wstała. – A wy nie dręczcie go przez chwilę. – Pochyliła się ku Reedowi. – Jesteś odpowiedzią na moje modlitwy do wszystkich bogów i bogiń. Jak najszybciej wyrzuć tych gliniarzy, bo muszę okadzić swój dom. I zabierz do siebie Simone.

– Dziś zostaniemy tutaj – odparł Reed.

– Dlatego że jestem starszą panią?

Reed z rozmysłem odsunął Simone na bok i szepnął do ucha CiCi:

– Jesteś miłością mojego życia, ale muszę zadowolić się nią. – Gdy się roześmiała, pocałował ją w skroń. – I dlatego że Simone nie wprowadzi się do

mnie przed dwudziestym trzecim i nie przyjdiesz na kolację.

– W porządku. Mi, nalej mi whiskey, a sobie to, co tam masz. Potem pójdziemy na górę i zadzwonimy. Mój telefon wywoła histerię po drugiej stronie, więc nalej mi podwójną. Porozmawiamy rano – rzuciła do Simone, a potem uśmiechnęła się do Reeda. – Nad naleśnikami z żurawiną i nad Bloody Mary.

– Może jednak zmieni zdanie – pomyślał Reed, biorąc kawę, którą przyniosła mu Mi.

– Czy wolno nam wyjść na chwilę z domu? – zapytała Simone.

– Jasne, przecież nadal jestem komendantem policji. Nie pozwól, żeby to, co się tu wydarzyło, zniszczyło w twoich oczach ten dom, plażę czy cokolwiek innego.

– Nie zniszczy – odparła Simone, kiedy wyszli na taras i głęboko odetchnęła.

– Nie może.

W dole, na plaży, wciąż widać było światła, policjanci nadal wykonywali swoje zadania. Simone nie zwracała na to uwagi. Reed był tutaj.

– Kiedy stąd odjadą, będziemy mogli pójść na spacer po plaży? – Pochyliła głowę do jego rannego ramienia. – To nasza wersja kilku sztachnięć i okadzania białą szałwią.

– Chodźmy.

– Musisz zadzwonić do rodziny.

– Essie z nimi rozmawiała, więc wiedzą, że nic mi nie jest.

– Musisz do nich zadzwonić. Chcą usłyszeć twój głos. Zrób to teraz. Ja poczekam.

– Ty zadzwonisz do swojej rodziny, a ja do mojej.

– CiCi już rozmawia z mamą i tatą.

– Zadzwoń do siostry.

– Masz rację. – Simone westchnęła głęboko. – Masz rację.

Rozmawiając z siostrą, słyszała, jak Reed umniejsza znaczenie pewnych szczegółów, powolnym głaskaniem uspokajając wciąż zdenerwowanego

Barneya. Nie winiła go, że coś pomijał, ona robiła to samo. Brutalna prawda może jeszcze trochę poczekać.

Odłożyła telefon i spoglądając na wodę, czekała na Reeda.

– Jutro przyjeżdżają – powiedział, gdy zakończył rozmowę. – Nie mogłem im tego wyperswadować.

– To dobrze, bo Natalie przyjeżdża z Harrym i założę się, że rodzice również.

– Chyba będziemy musieli rozpalić grill.

Simone pocałowała jego zabandażowane ramię.

– A jutro będziesz mógł opowiedzieć mi, co się wydarzyło. To i owo usłyszałam, ale ty opowiesz mi wszystko. Nie dziś, jutro. Chociaż chyba już jest jutro, ale odłóżmy to do rana. Porozmawiamy po naleśnikach.

– Załatwione. Uratowałam mnie. Hobart znów mogła mnie kropnąć.

– Nie sądzę. Patrzyłam na to i nie sądzę. Możemy powiedzieć, że uratowaliśmy się nawzajem. A on nam pomógł – dodała, patrząc na Barneya.

– Przekąski z kawiozem przez resztę życia.

– I szampan na popitkę.

– Wystawne życie dla Barneya. Przepraszam – powiedział i wyjął telefon. – Jacoby? Rozumiem. – Reed głośno wypuścił powietrze z płuc. – Tak, dziękuję za wiadomość.

Przez chwilę patrzył na telefon, a potem go odłożył.

– Hobart nie przeżyła. Zgon stwierdzili o dwudziestej czwartej trzydzięci osiem.

– Dwudziestego drugiego lipca – dodała Simone. – W trzynastą rocznicę. – Chwyliła dłonie Reeda. – CiCi powiedziałyby, że to karma albo ręka losu, i nie myliłaby się. Te drzwi zostały zamknięte, Reed, dla nas obojga. I dla wszystkich ludzi, których zamierzała zabić tylko dlatego, że udało im się przeżyć.

– Słyszała syreny, musiała słyszeć, ale nawet nie próbowała uciec. A więc tak, te drzwi zostały zamknięte. – Reed odwrócił dłonie Simone i pocałował. Pościerała je trochę na skałach. – Pójdziemy na spacer po plaży i rozpoczniemy nowy etap życia. A ponieważ już cię namówiłem na krok pierwszy –

zamieszkanie razem – zacznę cię przekonywać do drugiego. Zwłaszcza że te drzwi zostały zamknięte, a ja jestem ranny.

– A na czym konkretnie polega krok drugi?

– Musimy omówić kilka spraw. Nigdy nie odpowiedziałas na moje pytanie o elegancki ślub. Ja sam wolę coś skromniejszego, ale jestem elastyczny.

– Nie tak bardzo, jak udajesz. A krok pierwszy jeszcze nie nastąpił.

– Dziś jest ten dzień. Poza tym... au! Jestem ranny. Tamci na dole już się zwijają. Chodźmy na spacer po plaży.

Simone zeszła z nim po schodach, po których razem z najważniejszą w jej życiu kobietą zbiegały zaledwie kilka godzin wcześniej.

Teraz księżyc rozsiewał światło nad wodą i oblewał srebrem skały, które dały schronienie jej i osobie, którą oboje z Reedem kochali.

Simone nie patrzyła na piasek, w który wsiąkała kałuża krwi. Zmyją ją czas, wiatr i deszcz. Tych, którzy zginęli, odleje w brązie i sprawi, że pozostaną. Razem z Reedem wkroczy w przyszłość i on też pozostanie.

Wspólnie zajmą się domem i dobrym, słodkim psem, a każdy dzień będą wspominać jak bezcenny dar.

Odwróciła się do niego.

– Nie mówię, że jestem na niego gotowa czy że można mnie przekonać do kroku drugiego – mimo że jesteś ranny.

– Krew! Igły! Szwy!

Simone znów dotknęła ustami jego ramienia.

– Mówię tylko, że w tym momencie podoba mi się zwyczajność.

Reed uśmiechnął się, pocałował czubki jej palców, a potem ruszył z nią po plaży z psem, który truchtem pobiegł za nim.

### – Rok później –

W parku, w którym dziewiętnastoletni Reed Quartermaine zapytał funkcjonariuszkę McVee, jak zostać policjantem, zebrały się setki ludzi. Ocaleni i bliscy tych, którzy stracili życie, trzymali w rękach po jednej białej róży

z gałązką rozmarynu.

Białe mewy szybowwały nad wodą pod błękitnym letnim niebem. Wśród zgromadzonych kręciły się dzieci, jakiś maluch głośno grymasił. Pani burmistrz Rockpoint wygłosiła krótką mowę, a po niej zajęła miejsce Simone.

Spojrzała na twarze ludzi, na łzy, które płynęły. Spojrzała na Reeda, który stał razem ze swoją i jej rodziną.

– Dziękuję, pani burmistrz, dziękuję mojemu ojcu, Wardowi Knoxowi, i mojej babce, cudownej CiCi Lennon, dzięki którym ta rzeźba mogła stanąć w Parku Rockpoint. Dziękuję mojej matce, Tulip Knox, za to, że pomogła zorganizować dziś to... spotkanie i odsłonięcie pomnika.

Simone próbowała przygotować tę mowę, napisać ją i powtórzyć kilka razy, ale każda z tych prób wypadła sztywno, sztucznie i, no cóż, robiła wrażenie przygotowanej. Dlatego posłuchała rady CiCi. Mówiła to, co dyktowało jej serce.

– Byłam tam tego wieczoru dwudziestego drugiego lipca, czternaście lat temu – zaczęła. – Straciłam wtedy przyjaciółkę, piękną dziewczynę – mówiła dalej, spoglądając na rodzinę Olsenów. – Przyjaciółkę, za którą nadal tęsknię, każdego dnia, tak jak wielu z was tu zebranych, którzy stracili kogoś kochanego. Bardzo długo starałam się zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Niektórzy z was być może rozumieją, co mam na myśli, gdy mówię, że próbowałam udawać, że to już przeszłość i nie ma wpływu na moje życie. Sądziłam, że muszę tak robić, żeby przetrwać. Jednak myliłam się, a każdy z was wie, że jeśli mamy żyć dalej, nie możemy, nie powinniśmy zapomnieć. Znacie te twarze – syna czy córki, matki czy ojca, brata, siostry, męża, żony. Znacie je. Ja dopiero niedawno zaczęłam je poznawać i mam nadzieję, że oddając im cześć, sprawię, że nigdy nie zostaną zapomniane. Mam nadzieję, że będziecie myśleć o tym nie jak o pomniku, ale jak o pamięci. Pragnę zadedykować tę pracę nie tylko tym, których kochaliśmy i straciliśmy, ale nam wszystkim. Oni są, tak jak i my, złączeni, jednak nie przez tragedię. Przez miłość.

Wyciągnęła rękę do Reeda i poczekała, aż Essie i Mi zajmą miejsce po drugiej

stronie okrywającej pomnik zasłony.

– Okej. – Głęboko zaczerpnęła powietrza. – Okej.

Razem unieśli tkaninę.

Simone odlała rzeźbę w brązie, nadając jej kształt półkola. Uformowało je ponad sto twarzy połączonych różami i rozmarynem. Wszystko pokryła delikatną, błękitno-zieloną patyną. U podstawy umieściła – płaskorzeźbione – wszystkie nazwiska.

Gdy usłyszała szloch, chwyciła Reeda za rękę, nie będąc w stanie przenieść wzroku z twarzy, które odlała w brązie, na te zapłakane.

Wtedy usłyszała głos CiCi, cudownej CiCi, która zaczęła śpiewać *The Long and Winding Road*. Pozostali dołączyli do niej, najpierw niepewnie, potem głośno, jeśli znali słowa piosenki.

Simone podniosła oczy i zobaczyła, że wzięli się za ręce, tak jak Reed trzymał ją. Zobaczyła, że ludzie się obejmują. Widziała łzy. I ukojenie.

Gdy sama zaczęła płakać, odwróciła się do Reeda i znalazła ukojenie w jego ramionach.

W chwili, gdy śpiew się skończył, ludzie ruszyli naprzód. Niektórzy pochyłali się, żeby dotknąć dłonią twarzy na pomniku. Inni podchodzili, żeby wziąć za rękę albo objąć Simone.

Reed przyprowadził do niej kobietę.

– Simone, to jest Leah Patterson. Mama Angie.

– Chcę, żebyś to wiedziała. – Leah pochwyciła jej dłonie. – Chcę, żebyś naprawdę rozumiała, co to dla mnie znaczy. Ludzie będą wiedzieli, że ona tu była. Że żyła. Nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

Potem Leah ruszyła do pomnika i na trawie u jego stóp położyła białą różę, tak jak zrobili to inni.

Tulip poczekała, aż tłum się przersedzi, zanim podeszła do Simone.

– Jestem z ciebie bardzo dumna.

– Wszyscy jesteśmy bardzo dumni – dodał Ward i z uśmiechem pocałował ją w policzek. – Byłabyś beznadziejnym prawnikiem.

– Rany, doprawdy?

– Mam w rodzinie dwoje dobrych. – Zerknął w tył na Harry’ego i Natalie, która przesunęła dłonią po wypukłym brzuchu. – I być może w planach jest już kolejne pokolenie.

– Ward. – Tulip poklepała go po ramieniu i spojrzała na Simone spod przymrużonych powiek. – Co to za kolor włosów?

– Nazywa się „wspaniały kasztan”, a jasne pasemka to „złota bogini”.

– Nigdy tego nie zrozumiem, ani ciebie. – Objęła mocno Simone. – I tak cię kocham.

– Ja ciebie też.

– Reed. – Tulip nadstawiła mu policzek, a Reed pochylił się, żeby ją pocałować. – Nie sądzę, żeby udało ci się namówić moją córkę, żebyście oboje, i moja matka, przyłączyli się dziś do nas na kolacji w klubie.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni za zaproszenie, ale musimy wracać. Wieczorem mam służbę.

– No cóż. – Tulip poprawiła mu krawat i musnęła klapy marynarki. – Mam nadzieję, że wkrótce się z wami zobaczymy.

Reed uściskał rękę Warda, a potem patrzył, jak oboje odchodzą.

– Wzięłeś dziś wolny dzień i wieczór – przypomniała mu Simone.

– Mam służbę przy grillu. Pożegnajmy się z Essie i jej bandą, zgarnijmy Mi i CiCi, a potem wrócmy do domu. Muszę pozbyć się tego krawata.

– Idź naprzód, ja za chwilę dołączę. Muszę jeszcze porozmawiać z Nat.

Reed podszedł do Essie i dziecka w wózku spacerowym.

– Cześć, Ariel.

Dziewczynka zagruchała, uśmiechnęła się i pomachała pulchną piąstką, a potem znów sięgnęła po gryzak.

– Gdzie są panowie i pies? – zapytał Reed.

– Tam dalej, na huśtawkach. A raczej Dylan się huśta, a Hank pilnuje jego i psów.

– Całkowicie przekonał do siebie Barneya. Jestem mu wdzięczny, że

wszystkim się zajął, podczas gdy my to przygotowywaliśmy. – Spojrzał w kierunku ławki, na której siedzieli kiedyś z Essie. – Czasami wydaje mi się, że upłynęła wieczność, a czasami, że to było wczoraj.

– Nie zmieniłabym absolutnie niczego od chwili, gdy siedzieliśmy na tej ławce.

– Ja też. No cóż, może nie chciałbym zostać postrzelony, chociaż jedno wydarzenie prowadzi do innych. Widziałaś panią Leticję?

– Tak.

– To dobrze, że tu przyszła. – Obejrzał się na pomnik. – To dobrze.

– Jest piękny, chwytający za serce i ważny. Gdy na niego patrzę, chciałabym mocno przytulić swoje dzieci, Hanka i wszystkich, których kocham.

– Zabierz swoją bandę – zaproponował Reed – i przyjedźcie do nas na resztę weekendu. Dziś rozpalam grilla. Nie odmawiaj. Spakuj trochę rzeczy i wsiądźcie na prom.

– Masz pojęcie, ile rzeczy trzeba zabrać dla takiego malucha i chłopca?

– Jeszcze nie, ale się dowiem. Chodź, Essie, zakończmy ten dzień czymś radosnym, zasypmy pamięć o tym, co rok temu wydarzyło się na wyspie.

Essie westchnęła.

– Załatwione – powiedziała.

– Wspaniale. Pójdę po swojego psa i powiem o tym Hankowi.

Simone pomachała do Natalie i wzięła pod rękę CiCi.

– Planowałaś zaśpiewać Beatlesów?

– Nie. Po prostu nagle przyszło mi to na myśl. Wydawało mi się, że potrzebujemy piosenki i ta jest odpowiednia, mój skarbie. – Westchnęła i zbliżyła głowę do głowy Simone, kiedy patrzyły razem na pomnik z kwiatami ułożonymi u podstawy.

– Tish umieściłam w środku. Musiałam. Ona była moja. Oni wszyscy stali się moimi, ale ona była najpierw. I zawsze.

– I tak właśnie powinno być. Widzę, że nasz Reed idzie tu z Barneyem. Przyprawdę Mi. Czas wracać do domu, pozwolić mu rozpalic grill i włączyć



muzykę. Mam ochotę tańczyć na piasku.

– Zatańczę z tobą. Tylko potrzebuję jeszcze chwili.

– Najwyższy czas. – CiCi zakołysała się tanecznym ruchem. – Mam pewne zdolności paranormalne – dodała. – Idź, spraw mu radość. – Trąciła Simone łokciem.

Simone ze śmiechem pokręciła głową i uznała, że jej babka jednak musi mieć pewne zdolności paranormalne.

Z Reedem i wiernym Barneyem spotkała się przed pomnikiem.

– Poprosiłem Essie i Hanka, żeby spakowali rzeczy dzieci i przyjechali do nas. Myślę, że powinniśmy urządzić przyjęcie.

– Uważam, że to doskonały pomysł. Mi może spać u CiCi.

– Świetnie. Jesteś gotowa?

– Prawie. – Ujęła w dłonie jego twarz, tak dobrze teraz znajomą. – Chcę, żeby było skromnie. Może potem zorganizujemy dziką imprezę, ale sama uroczystość ma być skromna.

– Mogę przygotować hamburgery i... – Uśmiech powoli rozjaśnił mu twarz. – Kiedy? Muszę zarezerwować czas w terminarzu.

– Latem komendant policji jest zbyt zajęty. Co powiesz na sobotę po Święcie Pracy [21](#)? Na wyspie znów jest wtedy bardzo spokojnie.

– Może być sobota po Święcie Pracy.

– U CiCi. Nikt tak jak ona nie urządza przyjęć, a CiCi i Mi będą moimi druhnami honorowymi. I żadnych strojów wieczorowych ani fraków.

– Czy mogę zacząć ci mówić, jak bardzo cię kocham?

– Dojdziemy do tego. CiCi chce, żeby ceremonię odprawiła jedna z jej przyjaciółek, pogańskich kapłanek. Chciałabym jej na to pozwolić.

– Nie mam nic przeciwko temu, o ile ta kapłanka ma uprawnienia, żeby dawać ślub. Czy już mogę zacząć mówić?

– Prawie. Chcę, żeby uroczystość odbyła się o zachodzie słońca. Nie chcę tradycyjnej przysięgi, ale musi być wymiana obrączek. A miodowy miesiąc spędzimy we Florencji. – Zastanowiła się i pokiwała głową. – Myślę, że to

wszystko. Teraz możesz dodać swoje oczekiwania.

– Zgadzam się ze wszystkim. W tej chwili mój jedyny warunek dotyczy przysięgi – skoro będzie prawomocna. Jeśli CiCi kiwnie palcem i powie: „Chodź, Reed, wsiądźmy na łódź i popłynij przed siebie”, wtedy wypadasz.

– W porządku.

Uśmiechając się szeroko, Reed poderwał ją z ziemi i obrócił kilka razy, podczas gdy Barney skakał i machał ogonem.

CiCi patrzyła na nich, obejmując Mi.

– Jesteś niesamowita, CiCi. Naprawdę niesamowita.

– Doktor Jung, urządzimy naszej dziewczynce niebywałe wesele.

Oczami zasnutymi łzami radości CiCi patrzyła, jak mężczyzna, którego uwielbiała, okręca w koło jej największy skarb, stojąc przed półkolistym pomnikiem z brązu i kopcem utworzonym z białych róż.

# PRZYPISY

1. Henry Fielding, Historia życia Toma Jonesa, czyli dzieje podrzutka, t. I-II w przekładzie Anny Bidwell. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1978. [\[wróć\]](#)
2. Druga poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych przyznaje obywatelom amerykańskim prawo do posiadania i noszenia broni. [\[wróć\]](#)
3. W starych typach kuchenek gazowych stale powinien palić się mały płomyk. Pozwala on zapalić gaz przy palnikach kuchennych i w piekarniku. [\[wróć\]](#)
4. Cytat z tekstu przeboju zespołu Rolling Stones Wild Horses. W tekście padają słowa: „Nawet dzikie konie nie mogłyby mnie odciągnąć”. [\[wróć\]](#)
5. Lanai na Florydzie to zadaszony teren przed domem, zwykle ogród, służący do wypoczynku. Często znajdują się tam baseny. [\[wróć\]](#)
6. Pierwsza poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych zakazuje ograniczania wolności religii, prasy, słowa, petycji i zgromadzeń. [\[wróć\]](#)
7. Postać nastolatki z popularnego w Stanach Zjednoczonych komediowego serialu The Brady Bunch (w Polsce znanego pod tytułem Grunt to rodzinka). [\[wróć\]](#)
8. Słynne powiedzenie (Book'em Danno), które pada na końcu każdego odcinka serialu Hawaii Five-O. Detektyw Danny „Danno” Williams słyszy je od swojego szefa, kiedy udaje im się schwytać przestępcę. [\[wróć\]](#)
9. Aluzja do słynnej strzelaniny w O.K. Corral z 26 października 1881 w miasteczku Tombstone na Dzikim Zachodzie. [\[wróć\]](#)
10. Gra słów: arystokratyczny tytuł duke (diuk, książę) ma podobną pisownię jak słowo duck, czyli kaczka. [\[wróć\]](#)
11. Stan Maine słynie z połowu homara, którego wizerunek umieszcza się tam na tablicach rejestracyjnych pojazdów. [\[wróć\]](#)
12. Koktajl z szampana i soku pomarańczowego. [\[wróć\]](#)
13. Henry Wadsworth Longfellow, Psalm życia, w przekładzie Wiktora Baworowskiego. [\[wróć\]](#)
14. Bernard „Barney” Fife to fikcyjna postać z programu The Andy Griffith Show nadawanego w amerykańskiej telewizji w latach sześćdziesiątych. Barney Fife był zastępcą szeryfa w spokojnym, sennym miasteczku w Karolinie Północnej. [\[wróć\]](#)
15. Bohater telewizyjnego serialu dla dzieci Barney i przyjaciele. [\[wróć\]](#)
16. Torebki herbaty zalane zimną wodą wystawia się w szklanym pojemniku na słońce na kilka godzin. Pozwala to na wydobywanie jej innego smaku. Można dodać do niej listki mięty, miód lub dowolny sok. [\[wróć\]](#)

17. W oryginale: Niewart mężczyzną zwać się, kto nie umie zdobyć kobiety, schlebując jej dumie (William Szekspir, Dwaj panowie z Werony, tłum. Stanisław Koźmian). [\[wróć\]](#)
18. Postać z serialu Power Rangers. [\[wróć\]](#)
19. Jw. [\[wróć\]](#)
20. Nazwę Tranquility Island można przetłumaczyć jako „Wyspa Spokoju”. [\[wróć\]](#)
21. Święto obchodzone w Stanach Zjednoczonych w pierwszy poniedziałek września. [\[wróć\]](#)